Aby rozpocząć lekturę,

kliknij na taki przycisk ,

który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.

port wydawniczy
@literatura net.pl
KLIKNIJ TUTAJ

WINNETOU TOM II

ROZDZIAŁ I

W ROLI DETEKTYWA

Po bardzo wytężonej jeździe dotarliśmy do ujścia Rio Bosco de Natchitoches, gdzie spodziewaliśmy się zastać czekającego na nas Apacza. Niestety, nadzieja ta nie ziściła się. Znaleźliśmy wprawdzie ślady ludzi, którzy tam byli, ale jakie! Były to trupy obydwóch handlarzy, od których otrzymaliśmy swego czasu ważne wiadomości o wsi Keiowehów.

Jak się później dowiedziałem od Winnetou, zastrzelił ich Santer.

Podróż czółnem odbył Santer tak prędko, że dostał się do ujścia Rio Bosco równocześnie z obu handlarzami, mimo iż opuścili oni wieś Tanguy znacznie wcześniej od niego. Santer musiał się wyrzec nuggetów Winnetou, został więc bez środków do życia. Wpadły mu w oko towary handlarzy; pragnąc je zagrabić, zastrzelił prawdopodobnie z zasadzki właścicieli, a następnie podążył dalej z ich mułami. Winnetou wyczytał to ze śladów, które znalazł przybywszy na to miejsce.

Morderca podjął się rzeczy niełatwej, gdyż przeprowadzenie tylu zwierząt jucznych przez sawanny przedstawia dla jednego człowieka ogromne trudności. W dodatku musiał się śpieszyć, gdyż wiedział, że pościg trwa.

Na nieszczęście przez kilka dni padał deszcz i pozacierał ślady, tak że Winnetou nie mógł się już zdać na swój wzrok, lecz jedynie na domysły. Przypuszczając, że Santer udał się do jednej z najbliższych osad, aby tam spieniężyć swój łup, postanowił przeszukać te osady jedną po drugiej.

Po szeregu straconych dni odnalazł znowu zagubiony ślad w faktorii[1] Gatera. Santer był tutaj, sprzedał wszystko, kupił sobie dobrego konia i ruszył na Wschód ówczesnym gościńcem wzdłuż Red River. Winnetou rozstał się ze wszystkimi Apaczami, odesłał ich do domu i sam wybrał się w dalszą pogoń. Miał pod dostatkiem złota, a więc posiadał środki na dłuższy pobyt na Wschodzie.

Nie wiedząc, gdzie się Winnetou znajduje ─ nie zostawił nam bowiem żadnej wskazówki nad Natchitoches ─ zwróciliśmy się w kierunku Arkanzasu, aby najkrótszą drogą lądową dostać się do St. Louis. Żałowałem bardzo, że na razie nie zobaczę mego przyjaciela, ale zmienić tego nie mogłem.

Przybyliśmy wreszcie pewnego wieczora do St. Louis. Oczywiście udałem się natychmiast do mego zacnego mr. Henry'ego. Kiedy wszedłem do jego pracowni, zastałem go przy warsztacie. Był tak zajęty, że nie dosłyszał szmeru wywołanego otwieraniem drzwi.

─ Dobry wieczór, mr. Henry! ─ pozdrowiłem go tak, jak gdybym zaledwie wczoraj był po raz ostatni w jego domu. ─ Czy nowy sztucer prędko już będzie gotowy?

Z tymi słowy usiadłem na rogu ławki, jak to dawniej czyniłem. Rusznikarz zerwał się- z miejsca, patrzył na mnie przez chwilę jak nieprzytomny i krzyknął radośnie:

─ Wy... wy... to jesteście wy? Wy tutaj? Ten nauczyciel domowy... surweyor... ten legendarny Old Shatterhand!

Zarzucił mi ręce na szyję, przycisnął do siebie i ucałował kilkakrotnie w oba policzki, aż klasnęło.

─ Old Shatterhand! Skąd znacie to przezwisko? ─ spytałem, gdy wreszcie wypuści? mnie z uścisku.

─ Skąd? Toż wszędzie o was opowiadają! Zostaliście westmanem, jak się patrzy! Mr. White, inżynier z najbliższego sektora, pierwszy przyniósł nam tę wiadomość i nie skąpił niezwy-

[1] Faktoria – wielka osada handlowa w obcym, na niskim stopniu kultury stojącym kraju, a zarazem skład towarów

kłych pochwał dla waszej osoby. Muszę to przyznać. Ale ukoronowaniem tych wiadomości było to, co powiedział Winnetou.

— Jak to?

— Słyszałem od niego o wszystkim.

— Co? Jak? Czyżby był tutaj?

— Naturalnie, że był.

— Kiedy?

— Przed trzema dniami. Opowiadaliście mu o mnie i o mojej starej rusznicy na niedźwiedzie, toteż nie mógł mnie ominąć. Dowiedziałem się od niego, jaki teraz z was westman, usłyszałem o bawole, o szarym niedźwiedziu i tak dalej! Otrzymaliście nawet godność wodza!

Mówił w tym tonie jeszcze długo i nic nie pomogły moje kilkakrotne protesty. Uścisnął mnie ponownie, nadzwyczajnie uradowany tym, że to on skierował drogę mego życia na Dziki Zachód.

Jak się okazało, Winnetou nie stracił już tropu Santera i dotarł za nim w pośpiesznym tempie do St. Louis, skąd ślad prowadził dalej do Nowego Orleanu. Ten jego pośpiech sprawił, że przybyłem do St. Louis dopiero w trzy dni po nim. Zostawił Henry'emu wiadomość, że prosi, abym się udał za nim do Nowego Orleanu, jeśli mam na to ochotę, Postanowiłem oczywiście natychmiast wyruszyć w tę podróż.

Musiałem naturalnie załatwić przedtem moje sprawy zawodowe i dopełniłem tego nazajutrz. Od wczesnego ranka siedziałem już z Hawkensem, Stone'em i Parkerem za szklanymi drzwiami, gdzie mnie, bez mojej zresztą wiedzy, egzaminowano przed wyjazdem na pomiary. Mój stary Henry nie mógł się powstrzymać, aby z nami nie pójść. Co tam było do opowiadania i wyjaśniania! Okazało się przy tym, że nasz sektor był najbardziej ze wszystkich narażony na niebezpieczeństwo. Wiadomo, że ja jeden ze wszystkich surweyorów pozostałem przy życiu.

Sam starał się wszelkimi siłami wyjednać dla mnie osobne wynagrodzenie, ale na próżno. Otrzymaliśmy natychmiast umówioną zapłatę, lecz ani dolara więcej. Przyznaję szczerze, że sporządzone z takim trudem i ocalone rysunki oddawałem z uczuciem gniewu i rozczarowania. Ci panowie przyjęli pięciu surweyorów, ale zapłacili tylko jednemu, a pieniądze, które się tamtym czterem należały, schowali do kieszeni, chociaż dostali do rąk zaokrąglony wynik naszej wspólnej pracy — wynik mego nadmiernego wysiłku.

Sam wygłosił ostrą przemowę, ale nie uzyskał tym nic ponad to, że go razem z Dickiem i Willem wyproszono za drzwi. Wyszedłem oczywiście za nimi i strzepnąłem pył z obuwia. Zresztą suma, którą otrzymałem, była wcale znaczna.

Chciałem wyruszyć w ślad za Winnetou, który zostawił mi u Henry'ego adres swego hotelu w Nowym Orleanie. Z uprzejmości i z przywiązania zapytałem Sama i jego przyjaciół, czy zechcą mi towarzyszyć, oni jednak postanowili wypocząć w St. Louis, czego im nie mogłem brać za złe. Kupiłem sobie nieco bielizny i nowe ubranie, zamiast indiańskiego, i tak odświeżony wyruszyłem koleją na Południe. Rzeczy, których nie chciałem brać z sobą, a zwłaszcza ciężką rusznicę dałem do przechowania Henry'emu. Deresza zostawiłem także, gdyż nie potrzebowałem go już teraz. Sądziliśmy wszyscy, że moja nieobecność nie potrwa długo.

Miało się jednak stać zupełnie inaczej. Nie wspomniałem dotychczas o tym, gdyż to nie wpływało na ubiegłe wypadki, że w tym właśnie czasie wrzała w całej pełni Wojna Domowa[2]. Missisipi była na razie otwarta dla żeglugi, ponieważ słynny admirał Farragut opanował

[2] Wojna Domowa (lub secesyjna) – tak nazywa się w historii wojnę, która toczyła się w latach 1861 – 65 w Stanach Zjednoczonych. Wojnę tę wywołał bunt sześciu stanów południowych przeciwko nowo obranemu prezydentowi, Abrahamowi Lincolnowi. Lincoln bowiem był zwolennikiem zniesienia niewolnictwa Murzynów.

Stany południowe zawiązały konfederację i wybrały własnego prezydenta, odrywając się tym samym od „Unii" ogólnopaństwowej (stąd nazwa „secesjoniści" od łacińskiego s e c e s j o – oddzielenie się, odłam, bunt), a wreszcie wszczęły zbrojną rebelię, która przekształciła się czteroletnią wojnę Północy z Południem. Istotną

ją znowu na korzyść stanów północnych. Mimo to statek, na którym się znajdowałem, spóźnił się znacznie z powodu rozmaitych, koniecznych zresztą, przepisów. Toteż gdy przybywszy do Nowego Orleanu zapytałem w oznaczonym hotelu o Winnetou, odpowiedziano, że wyjechał poprzedniego dnia. Zostawił mi tylko wiadomość, że udaje się za Santerem do Viksburga i że jednak ze względu na niepewne stosunki radzi mi zaniechać dalszej podróży. Obiecał przy tym, że wracając zostawi mr. Henry'emu w St. Louis wiadomość, gdzie należy go szukać.

Co miałem począć? Chciałem koniecznie odwiedzić w ojczyźnie krewnych, którzy ─ być może ─ potrzebowali wsparcia, z drugiej strony, pragnąłem spotkać się z Winnetou. Po namyśle doszedłem jednak do przekonania, że wątpliwe jest, czy Winnetou zdoła dotrzeć do St. Louis. Zapytałem więc, czy nie odchodzi jaki statek. Był tylko jeden, północno-amerykański, który korzystając z chwilowego uspokojenia się wojny zamierzał popłynąć na Kubę; tam mogłem znaleźć okazję do wyjazdu, jeśli już nie do Europy, to przynajmniej do Nowego Jorku. Nie ociągając się więc długo, wsiadłem na ów statek.

Dla ostrożności powinienem był zamienić gotówkę na przekaz w jakimś banku, ale czy można było zaufać któremuś z bankierów nowoorleańskich? W dodatku nie miałem na to czasu, gdyż ledwo zdołałem kupić bilet. Wiozłem więc całą gotówkę z sobą.

Aby się krótko załatwić z nieszczęsnym wypadkiem, któremu w tej podróży uległem, powiem tylko, że w nocy zaskoczył nas niespodzianie huragan. Wprawdzie przez cały dzień było chmurno i wietrzno, ale płynęliśmy dość gładko i nic nie zapowiadało niebezpiecznego orkanu. Poszedłem więc beztrosko spać, tak samo zresztą jak i inni podróżni, którzy również skorzystali z okazji aby wyjechać do Nowego Orleanu. Po północy obudziło mnie nagle wycie i ryk burzy. Zerwałem się z łóżka, gdy wtem statek uderzył o coś tak silnie, że upadłem na ziemię, a na mnie runęła z trzaskiem kajuta, w której spałem z trzema innymi podróżnymi. Kto w takich momentach myśli o pieniądzach?! Życie może zależeć od jednej chwili, a w głębokiej ciemności i beznadziejnym zamieszaniu długo musiałbym szukać bluzy z pularesem. Wydobyłem się czym prędzej spod szczątków kajuty i pośpieszyłem, a raczej potoczyłem się na pokład. Statek trzeszczał i skrzypiał okropnie.

Na dworze nic nie widziałem z powodu nieprzebitej ciemności. Huragan obalił mnie natychmiast i przewaliła się przeze mnie fala. Zdawało mi się, że słyszę krzyki, ale zagłuszyło je wycie orkanu. Nagle kilka szybko po sobie następujących błyskawic rozjaśniło na parę chwil nocne ciemności. Ujrzałem wzburzone fale, za nimi zaś ─ ląd. Statek dostał się między skały, a napór wody podnosił go ciągle z tyłu. Był stracony i mógł lada chwila się roztrzaskać. Łodzie zabrała woda. Gdzie był ratunek? Tylko w pływaniu! Nowa błyskawica rzuciła światło na pokład. Leżeli tu ludzie trzymając się kurczowo rozmaitych przedmiotów, aby ich nie porwały fale! Ja natomiast sądziłem, że trzeba się właśnie takiej fali powierzyć.

Wtem nadpłynęła jedna, wysoka jak dom i widoczna mimo ciemności dzięki swemu fosforycznemu połyskowi. Dobiegła do statku, który tak zatrzeszczał, jakby się miał już rozlecieć w drzazgi. Chwyciłem się żelaznej poręczy, ale natychmiast ją puściłem. Fala porwała mnie, zakręciła mną w kółko jak piłką, ściągnęła w głąb, a potem znowu podniosła. Nie poruszałem się wcale, gdyż wszelki wysiłek byłby na razie daremny, ale pomyślałem sobie, że skoro tylko

---

treścią wojny była rozgrywka między feudalnym obszarniczo – plantatorskim Południem a młodym, postępowym kapitalizmem uprzemysławiającej się Północy. Przemysłowcy Północy potrzebowali nowoczesnego robotnika najemnego, gdy tymczasem plantatorzy Południa opierali się na pracy niewolników, dlatego też nie chcieli zgodzić się na ich uwolnienie. Wojna Domowa nabrała oblicza rewolucyjno – wyzwoleńczego, zwłaszcza od chwili ogłoszenia przez Lincolna 1 stycznia 1863 proklamacji o zniesieniu niewolnictwa w USA (stąd nazwa zwolenników Północy> „abolicjoniści" od łacińskiego a b o l i t i o – zniesienie – obalenie). Wojna zakończyła się zwycięstwem Północy – jej społeczne zdobycze zostały wszakże po niewielu latach faktycznie zatracone, gdyż burżuazja północna zawarła kompromis z feudałami Południa, wskrzeszając w miejsce formalnego niewolnictwa faktyczną niewolę ekonomiczną i społeczną Murzynów.

woda dobiegnie do lądu, trzeba będzie wytężyć wszystkie siły, aby mnie nie uniosła z powrotem.

Znajdowałem się zaledwie pół minuty w mocy rozhukanego morza, ale wydawało mi się, że to trwa długie godziny. Wtem potężna fala uniosła mnie w powietrze i rzuciła między skały w spokojną wodę tak gwałtownie, jakby mnie wypluła. Żeby się jej tylko nie dać pochwycić z powrotem! Zacząłem pracować rękami i nogami i płynąłem z największym wysiłkiem, na jaki się mogłem zdobyć. W użytym dopiero co wyrażeniu „spokojna woda" mam oczywiście na myśli tylko względny spokój. Fala zaniosła mnie poza obszar nasilenia burzy, ogromne fale zostały w tyle, wicher jednak rzucał mną po wodzie jak korkiem. Na szczęście zobaczyłem wreszcie ląd. Gdybym go wówczas nie dostrzegł, byłbym z pewnością zgubiony. Wiedziałem teraz, w którym kierunku mam płynąć, a chociaż w rozszalałym żywiole posuwałem się naprzód bardzo powoli, dotarłem w końcu do brzegu. Dotarłem ─ ale nie tak, jak chciałem. Zarówno morze, jak ląd pogrążone były w ciemności. Nie mogłem ich od siebie odróżnić ani znaleźć odpowiedniego miejsca do lądowania. Uderzyłem więc głową o skałę tak silnie, że doznałem wrażenia, iż nie zdołam się już podnieść. Pozostało mi jednak jeszcze tyle przytomności, że wdrapałem się po tej skale na górę. Tam zemdlałem.

Kiedy przyszedłem do siebie, huragan jeszcze trwał. Głowa mnie bolała, ale na to nie zważałem. Bardziej niepokoiło mnie to, że nie wiedziałem, gdzie się znajduję. Czy leżę na stałym lądzie, czy też na sterczącej z wody skale? Bałem się ruszyć z miejsca, gdyż skała była śliska i z trudem mogłem się na niej utrzymać, a burza wciąż tak silna, że mogła mnie znieść. Po jakimś czasie zauważyłem, że się zmniejszyła i jak to zwykle bywa z takimi gwałtownymi huraganami, ucichła nagle. Deszcz ustał, a na niebie zabłysły gwiazdy.

W ich nikłym świetle dopiero rozpatrzyłem się w swoim położeniu. Znajdowałem się na brzegu; za mną szalały fale, a przede mną stało kilka drzew. Podszedłem ku nim. Te oparły się burzy, ale kilka innych huragan powyrywał z ziemi, a niektóre nawet poniósł dalej. Następnie dostrzegłem poruszające się światła. Był to znak obecności ludzi, udałem się więc ku nim czym prędzej.

Byli to rybacy. Burza zapędziła nasz statek na jedną z wysp Tortuga, na której znajdował się fort Jefferson.

Nieszczęśliwi mieszkańcy stali obok swoich domostw poniszczonych srodze przez burzę, która z jednego nawet cały dach uniosła. Jakże się zdziwili moim widokiem! Wytrzeszczyli na mnie oczy, jak gdyby uważali mnie za widmo. Morze szalało jeszcze tak, że musieliśmy głośno krzyczeć, by się nawzajem dosłyszeć.

Rybacy zajęli się mną bardzo życzliwie, zaopatrzyli mnie w świeżą bieliznę i niezbędną odzież, gdyż byłem ubrany w taki strój, w jakim ułożyłem się do snu podczas morskiej podróży. Potem uderzyli na alarm, gdyż należało wyruszyć na wybrzeże, by szukać innych rozbitków. Do rana znaleziono szesnaście osób, z tych trzem udało się przywrócić życie, ale reszta nie żyła. Kiedy nadszedł dzień, ujrzałem brzeg pokryty naniesionymi przez wodę szczątkami rozbitego okrętu. Dziób tkwił między skałami, gdzie go wpędził orkan.

Byłem zatem rozbitkiem, i to w najpełniejszym tego słowa znaczeniu, gdyż zostałem ogołocony ze wszystkiego. Pieniądze, które przeznaczyłem na tak ważny cel, leżały na dnie morza. Ubolewałem oczywiście nad tą stratą, ale w tym strapieniu nie brakło pociechy; żyłem, ja i jeszcze trzej inni towarzysze podróży, a to już można było uważać za szczęście.

Komendant fortu zaopiekował się nami, zaspokajając wszystkie nasze potrzeby, a mnie ułatwił nadto wyjazd statkiem do Nowego Jorku. Przybyłem tam teraz biedniejszy niż wówczas, kiedy po raz pierwszy stanąłem w tym mieście. Nie miałem nic prócz odwagi do życia.

Czemu udałem się do Nowego Jorku, a nie do St. Louis, gdzie mieszkali moi znajomi, gdzie mogłem w każdym razie na pewno liczyć na pomoc Henry'ego? Byłem mu już winien tyle wdzięczności, że nie chciałem powiększać tych zobowiązań. Gdybym choć był pewien, że tam spotkam Winnetou! Tej pewności jednak nie było. Jego pogoń za Santerem mogła trwać

miesiącami albo i dłużej i gdzież miałem go szukać? Postanowiłem wprawdzie spotkać się z nim znowu, ale w tym celu trzeba było udać się na Zachód do puebla nad Rio Pecos, aby zaś tego dokonać, musiałem stanąć znów na własnych nogach. Sądziłem, że w obecnych warunkach najłatwiej dojdę do tego w Nowym Jorku.

Przypuszczenie to nie zawiodło mnie. Szczęście istotnie mi sprzyjało. Poznałem wielce szanownego mr. Josy Tailora, kierownika sławnego podówczas zakładu prywatnych detektywów, i poprosiłem go o przyjęcie do pracy. Usłyszawszy, kim jestem i co robiłem w ostatnich czasach, oświadczył, że weźmie mnie tymczasem na próbę. Niebawem jednak, raczej dzięki przypadkowi niż własnej zręczności, zdobyłem jego zaufanie, które z biegiem czasu tak się wzmogło, że w końcu darzył mnie szczególnymi względami i powierzał przeważnie takie zadania, jakie rokowały pewny wynik i dobre wynagrodzenie.

Pewnego razu zawezwał mnie do siebie już po apelu. Zastałem u niego jakiegoś starszego, frasobliwie spozierającego jegomościa. Przedstawiono mi go jako bankiera Ohlerta, który szukał u nas pomocy w sprawie osobistej. Chodziło o wypadek przykry dla niego osobiście, a zarazem niebezpieczny dla jego interesów.

Miał on syna jedynaka, imieniem Wiliam, liczącego lat dwadzieścia pięć, nieżonatego, którego wyposażył w tak szerokie pełnomocnictwa, że wszelkie jego dyspozycje w sprawach finansowych znaczyły tyle samo, co dyspozycje ojca. Syn, z usposobienia bardziej marzycielski niż energiczny, zajmował się chętniej książkami naukowymi z zakresu sztuki, a nawet metafizyki niż księgowością i uważał siebie nie tylko za uczonego, lecz także za poetę. W tym przekonaniu utwierdził go fakt, że gazety nowojorskie przyjęły kilka jego wierszy. Dziwnym trafem młody Ohlert wpadł na pomysł napisania tragedii, której bohaterem miał być obłąkany poeta. Aby sobie ułatwić pracę, postanowił zaznajomić się gruntownie z chorobami umysłowymi i nabył mnóstwo odpowiednich dzieł. Skutek tego był straszny: młodzieniec zaczął się coraz bardziej identyfikować z poetą-bohaterem swojej tragedii, a w końcu uwierzył, że sam jest obłąkany. Ojciec jego poznał w tym czasie lekarza, który nosił się rzekomo z zamiarem utworzenia zakładu dla umysłowo chorych. Miał on też być długi czas asystentem sławnych psychiatrów i potrafił wzbudzić takie zaufanie bankiera, że ten poprosił go, by się zaznajomił z jego synem i spróbował, czy jego obcowanie z chorym nie odniesie dobrego skutku.

Od owego dnia nawiązała się serdeczna przyjaźń między lekarzem a Ohlertem juniorem, zakończona całkiem niespodzianie zniknięciem obydwóch. Teraz dopiero zaczął się bankier dokładniej rozpytywać o lekarza i dowiedział się, że to jeden z szarlatanów, jakich tysiące uwija się po Stanach Zjednoczonych.

Tailor zapytał, jak się nazywał domniemany lekarz, a gdy bankier wymienił nazwisko Gibsona, okazało się, że mamy do czynienia z dawnym znajomym, którego już pewien czas śledziłem z powodu innej jego sprawki. Miałem nawet jego fotografię. Kiedy pokazałem ją Ohlertowi, poznał natychmiast rzekomego przyjaciela i lekarza swojego syna.

Gibson był szalbierzem na wielką skalę i grasował przez długi czas pod rozmaitymi postaciami po Stanach i po Meksyku. Poprzedniego wieczora udał się Ohlert do jego gospodarza i dowiedział się, że oszust zapłacił swoją należność i odjechał w niewiadomym kierunku. Syn bankiera zabrał z sobą znaczną kwotę w gotówce, a dziś przyszła tragiczna depesza z Cincinnati, że oprócz tego podjął tam pięć tysięcy dolarów i udał się dalej do Louisville po swoją narzeczoną. To ostatnie było oczywiście kłamstwem.

Nie brakło powodów do przypuszczenia, że lekarz uprowadził swojego pacjenta, aby posiąść znaczne sumy. Wiliama znali najwybitniejsi finansiści i mógł od nich

dostać tyle pieniędzy, ile mu się podobało. Chodziło zatem o ujęcie szarlatana i sprowadzenie chorego do domu. To zadanie zlecono mnie. Otrzymałem potrzebne pełnomocnictwo, fotografię Wiliama Ohlerta i pojechałem do Cincinnati. Ponieważ Gibson mnie znał, przeto zabrałem także odpowiednie rekwizyty na wypadek, gdybym musiał zmienić swój wygląd.

W Cincinnati wstąpiłem do wspomnianego bankiera i od niego dowiedziałem się, że Gibson był rzeczywiście razem z Ohlertem. Potem ruszyłem do Louisville, gdzie mi powiedziano, że obydwaj kupili bilety do St. Louis. Pojechałem oczywiście za nimi, ale zdołałem odnaleźć ich ślad dopiero po długich i mozolnych poszukiwaniach. Dopomagał mi w tym mr. Henry, którego oczywiście odwiedziłem zaraz po przyjeździe. Zdziwił się niemało, ujrzawszy mnie w roli detektywa, ubolewał nad stratą, którą poniosłem przez rozbicie okrętu, a przy pożegnaniu wymógł na mnie przyrzeczenie, że po dokonaniu poleconego mi zadania porzucę to zajęcie i udam się na Dziki Zachód. Chciał, żebym tam wypróbował jego nowy sztucer wielostrzałowy. A moją rusznicę obiecał mi także do tego czasu przechować.

Ohlert i Gibson popłynęli parowcem po Missisipi do Nowego Orleanu, musiałem więc podążyć tam za nimi. Ohlert senior[3] dał mi wykaz firm, z którymi łączyły go stosunki handlowe. W Louisville i w St. Louis dowiedziałem się, że Wiliam był w tych firmach i podjął duże sumy pieniędzy. To samo uczynił również w Nowym Orleanie u kilku przyjaciół swego ojca. Tych, których to jeszcze nie spotkało, ostrzegłem i poprosiłem, żeby posłali po mnie, gdyby Wiliam zjawił się raz jeszcze.

To były wszystkie wiadomości, które zebrałem. Teraz utkwiłem bezradnie w mrowisku ludzkim zapełniającym ulice Nowego Orleanu. Zgłosiłem się oczywiście ze swoją sprawą na policję, a potem nie pozostawało mi nic innego, jak czekać na wynik starań władz policyjnych. Nie chciałem tracić bezczynnie czasu, snułem się więc wśród tego chaosu i szukałem licząc trochę na szczęśliwy przypadek.

Nowy Orlean ma wybitnie południowy charakter, zwłaszcza w starszych dzielnicach miasta, gdzie wzdłuż brudnych, wąskich uliczek ciągną się gęsto skupione domy z ganeczkami i werandami. Tam kryje się życie, które unika światła dziennego. Tam można ujrzeć wszystkie barwy twarzy, od białej i żółtej do najgłębszej murzyńskiej czarności. Mężczyźni nawołują się, kobiety krzyczą głośno, kataryniarze, wędrowni śpiewacy i gitarzyści popisują się rozdzierającymi uszy utworami.

Lepsze wrażenie sprawiają liczne małe przedmieścia, gdzie stoją zgrabne wille, otoczone czystymi ogrodami, w których rosną róże, palmy, oleandry, grusze, figi, brzoskwinie, pomarańcze i cytryny. Tam znajduje mieszkaniec upragniony spokój, gdy wydostanie się z hałasu miejskiego.

Największe ożywienie panuje oczywiście w porcie, Roi się tam od okrętów i statków różnego rodzaju i rozmaitych rozmiarów. Tam leżą stosy olbrzymich bel bawełny i beczek, wśród których krzątają się setki robotników. Widzowi może się zdawać, że został przeniesiony na któryś z indyjskich targów bawełny.

Chodziłem tak po mieście, na próżno się rozglądając. Około południa zrobiło się bardzo gorąco. Na pięknej, szerokiej Common Street wpadł mi w oko szyld piwiarni. Łyk pilznera nie mógł mi zaszkodzić w tym skwarze. Wszedłem więc do środka.

Jakim powodzeniem cieszyło się już wówczas to piwo, przekonałem się widząc w lokalu mnóstwo gości. Dopiero po długim poszukiwaniu znalazłem w samym kącie nie zajęte jeszcze krzesło. Stał tam niewielki stolik na dwie osoby, przy którym siedział już jakiś gość o odstraszającej powierzchowności. Poszedłem tam mimo to i poprosiłem, żeby mi pozwolił wypić w jego towarzystwie szklankę piwa.

Po twarzy przemknął mu uśmiech politowania. Zmierzył mnie badawczym, pogardliwym prawie spojrzeniem i zapytał:

— Macie pieniądze, master?

— Oczywiście! — odrzekłem zdziwiony tym pytaniem.

— Możecie więc zapłacić za piwo i za miejsce, które chcecie zająć?

— Rozumie się.

---

[3] Senior - tu: starszy członek rodu.

— Dobra, po cóż w takim razie pytacie mnie o pozwolenie? Widać z tego, że jesteście greenhom. Diabli porwaliby każdego, kto by mi spróbował zabronić usiąść tam, gdzie mi się zechce! Siadajcie zatem, połóżcie nogi, gdzie wam się podoba, i każdemu, kto by się temu sprzeciwiał, dajcie w ucho!

Przyznaję szczerze, że postępowanie tego człowieka wzbudziło we mnie podziw. Poczułem, że się zarumieniłem. Właściwie słowa jego obrażały mnie, zdawałem sobie, choć nie dość jasno, sprawę z tego, że powinienem odeprzeć tę obrazę. Dlatego siadając odrzekłem:

— Można być grzecznym, lecz mimo to starym wygą.

— Pshaw! — powiedział ze spokojem. — Nie wyglądacie na to. Nie starajcie się wywołać w sobie gniewu, bo to do niczego nie doprowadzi. Nie pomyślałem o was nic złego. Nie wiem więc, dlaczego chcielibyście mnie zaczepić. Old Death nie da się groźbą wyprowadzić z równowagi.

Old Death! Ach, więc to był Old Death! Słyszałem już o tym znanym, sławnym nawet westmanie. Sławą jego rozbrzmiewały wszystkie obozowe, ogniska po drugiej stronie Missisipi, a imię jego nieobce było nawet w miastach Wschodu. Jeśli w opowiadaniach o nim była choć dziesiąta czy nawet dwudziesta część prawdy, to był to strzelec i poszukiwacz ścieżek, przed którym należało zdjąć kapelusz. Wiek jednego pokolenia spędził na uwijaniu się po Zachodzie i pomimo niebezpieczeństw, na jakie się narażał, nie odniósł ani jednej rany. Dlatego zabobonni uważali go za człowieka, którego się kule nie imają.

Nie wiedziano, jak się właściwie nazywał. Old Death, „Stara Śmierć", był to jego wojenny przydomek nadany mu przez ludzi z powodu jego nadzwyczajnej chudości. Widząc go przed sobą, przekonałem się, że ci, co go tak nazwali, niedalecy byli od prawdy.

Niezwykle wysoki, pochylony ku przodowi, wyglądał istotnie tak, jak gdyby się składał tylko ze skóry i kości. Skórzane spodnie trzepotały mu wokoło nóg. Skórzana również bluza skurczyła się widocznie, tak że rękawy jej sięgały ledwie po łokcie. Obie kości przedramienia przezierały przez skórę.

Z bluzy wystawała długa szyja, z wystającym jabłkiem Adama. A cóż dopiero głowa! Zdawało się, że nie ma na niej pięciu hitów mięsa. Oczy w głębokich oczodołach, a na głowie ani jednego włosa! Strasznie zapadłe policzki, kanciaste szczęki, występujące mocno kości policzkowe i zapadnięty, perkaty nos składały się rzeczywiście na całość, której można się było przestraszyć.

Jego długie i wychudłe nogi tkwiły w podobnych do butów futerałach, skrojonych z jednego kawałka końskiej skóry. Do nich przymocował ostrogi, których kółka sporządzone były ze srebrnych meksykańskich pestówek.

Obok niego leżało na ziemi siodło z całkowitą uprzężą, a o ścianę opierała się jedna z owych długich rusznic kentuckich, jakie dziś spotyka się już rzadko, gdyż musiały ustąpić miejsca odtylcówkom. Reszta uzbrojenia Old Deatha składała się z kordelasa i z dwu dużych rewolwerów, których głownie wystawały zza pasa.

Oberżysta przyniósł mi zamówione piwo. Kiedy podniosłem szklankę do ust, myśliwiec wyciągnął do mnie swoją i rzekł:

— Stój! Nie tak prędko, chłopcze! Trąćmy się najpierw! Słyszałem, że tam w waszym kraju jest taki zwyczaj.

— Tak, lecz tylko między dobrymi znajomymi — odrzekłem nie kwapiąc się bynajmniej do podjęcia jego wezwania.

— Nie róbcie ceregieli! Siedzimy teraz razem i nie potrzebujemy nawet w myślach skręcać sobie karków. Trąćcie się więc! Nie jestem szpiegiem ani oszustem, możecie więc spokojnie zabawić się ze mną przez pół godziny.

To już brzmiało inaczej niż przedtem. Dotknąłem jego szklanki swoją, mówiąc;

— Wiem, za kogo was uważać, sir! Jeśli rzeczywiście jesteście Old Death, to nie obawiam się, że się znajduję w złym towarzystwie.

— A więc znacie mnie? W takim razie nie potrzebuję was zaznajamiać szczegółowo z moją osobą. Pomówmy raczej o was! Po co właściwie przybyliście do Stanów?

— Z tego samego powodu, który i innych tu przywiódł: szukać szczęścia.

— Wierzę. Tam w Europie zdaje się ludziom, że tu wystarczy otworzyć kieszeń, a błyszczące dolary same zaczną w nią wpadać. Ilekroć się komuś poszczęści, krzyczą o tym wszystkie gazety, o tych jednak tysiącach ludzi, które toną w nurtach życia i giną bez śladu w walce z nim, nikt nie napisze nawet wzmianki. Czy znaleźliście już szczęście lub znajdujecie się przynajmniej na jego tropie?

— Sądzę, że mogę powiedzieć: tak.

— Baczcie więc bystro, żeby trop ten nie uszedł waszej uwagi. Ja wiem najlepiej, jak trudno utrzymać się na takim tropie. Słyszeliście może, że jestem zwiadowcą, poszukiwaczem ścieżek, który śmiało i bez obawy idzie w zawody z każdym westmanem, a mimo to daremnie goniłem za szczęściem do dzisiaj. Sto razy zdawało mi się, że trzeba tylko po nie sięgnąć, ale ilekroć wyciągnąłem rękę, znikało jak zamek na lodzie, istniejący jedynie w ludzkiej wyobraźni.

Powiedział to posępnie i w milczeniu zaczął patrzeć przed siebie. Gdy nic na te słowa nie odpowiedziałem, podniósł znów wzrok na chwilę i rzekł;

— Nie wiecie oczywiście, dlaczego wygłaszam takie zdania. Wyjaśnienie jest bardzo proste. Zawsze mnie to trochę porusza, ilekroć widzę Europejczyka, zwłaszcza młodego, i gdy sobie muszę powiedzieć, że pójdzie on niezawodnie na dno. Moja matka bardzo mnie kochała. Gdy umierała, byłem dzięki jej zabiegom na stanowisku, z którego widać już było szczęście. Ja jednak uważałem siebie za mądrzejszego i puściłem się w fałszywym kierunku. Master, bądźcie rozsądniejsi ode mnie! Poznaję po was, że z wami może się stać to samo, co ze mną.

— Rzeczywiście? Jak to?

—Jesteście zbyt delikatny, pachniecie perfumami. Gdyby Indianin zobaczył waszą fryzurę, padłby trupem z wrażenia. Na waszym ubraniu nie ma ani jednej plamki, ani jednego pyłku. W ten sposób nie szuka się szczęścia na Zachodzie.

— Nie zamierzam bynajmniej go tutaj szukać.

— Tak? Czy będziecie tak dobrzy powiedzieć mi, jaki obraliście sobie zawód?

— Odbyłem studia uniwersyteckie.

Powiedziałem to z pewną dumą, on zaś spojrzał na mnie z lekkim uśmiechem, który na jego twarzy wyglądał jak szyderczy grymas, potrząsnął głową i ciągnął dalej:

— Studia! O biada! Nie budujcie na tym zbyt wiele. Właśnie ludzie tego pokroju, co wy, najmniej posiadają zdolności do zdobycia szczęścia. Doświadczyłem już tego niejednokrotnie. Czy macie jaką posadę?

— Tak. W Nowym Jorku.

— Jaką?

Pytania te zadawał Old Death takim tonem, że prawie nie podobna było odmówić mu odpowiedzi. Ponieważ nie mogłem wyjawić prawdy, przeto oświadczyłem:

— Pracuję u pewnego bankiera i z jego polecenia znajduję się tutaj.

— Bankiera? Aha! W takim razie droga wasza jest o wiele równiejsza od mojej. Nie opuszczajcie tej posdy, sir! Nie każdy, mający za sobą studia, otrzymuje stanowisko u amerykańskiego posiadacza pieniędzy. I jeszcze do tego w Nowym Jorku! Cieszycie się widocznie

mimo swej młodości wielkim zaufaniem. Z Nowego Jorku wysyła się na Południe tylko takich, na których można polegać. Bardzo jestem rad z tego, że się pomyliłem co do was, sir! A więc polecono wam załatwić jakiś pieniężny interes.

— Coś w tym rodzaju.

— Tak! Hm!

Obrzucił mnie znowu bystrym, badawczym spojrzeniem, zrobił grymas uśmiechu i mówił dalej:

— Ale ja sądzę, że odgaduję właściwy powód waszej obecności tutaj.

— Wątpię.

— Nie chcę was pozbawiać tego przekonania, ale udzielę wam dobrej rady. Jeżeli nie chcecie dać poznać po sobie, że kogoś tutaj szukacie, to uważajcie lepiej na swoje oczy. Obejrzeliście wszystkich tu obecnych z wpadającą w oko dokładnością, a teraz wzrok wasz ustawicznie błądzi po oknach, zatrzymując się na przechodniach. Szukacie zatem kogoś. Czy zgadłem?

Tak, master. Chciałbym spotkać się z kimś, a nie znam jego adresu.

— Zwróćcie się do hoteli!

— To okazało się daremne, a tak samo bez skutku pozostały starania policji.

Na to przemknął mu znów po twarzy ów grymas, który miał być przyjaznym uśmiechem. Potem parsknął z cicha, strzelił palcami i rzekł:

— Master, jesteście greenhorn, prawdziwy, rzetelny greenhorn! Nie bierzcie mi tego za złe, ale tak jest w istocie.

W tej chwili spostrzegłem się, że powiedziałem za wiele. Old Death potwierdził ten mój pogląd, mówiąc dalej:

— Przybywacie tu w sprawie podobnej, jak się sami wyraziliście, do pieniężnego interesu. Tego człowieka szuka z waszego polecenia policja. Wy sami biegacie po ulicach i po piwiarniach, aby go znaleźć. Nie byłbym Old Deathem, gdybym nie wiedział, kogo mam przed sobą.

— No kogo, sir?

— Prywatnego detektywa, który podjął się zadania raczej rodzinnej niż kryminalnej natury.

Ten człowiek był istotnie wzorem przenikliwości. Czy miałem potwierdzić, że się dobrze domyślił? Nie. Sprzeciwiłem się przeto tymi słowy:

— Mam wielki szacunek dla waszej bystrości, sir, ale tym razem przeliczyliście się.

— Nie przypuszczam!

— Na pewno!

— Well! To wasza rzecz, czy przyznacie mi słuszność, czy też nie. Ja nie chcę i nie mogę was do tego zmusić. Jeśli wam jednak na tym zależy, żeby was nie przejrzano, to nie zachowujcie się tak nieostrożnie. Idzie o sprawę pieniężną. Powierzono ją greenhornowi, czyli poszkodowani życzą sobie łagodnego postępowania z winowajcą, który zapewne jest dobrym ich znajomym, a może nawet członkiem rodziny. Coś kryminalnego jest w tym także, bo w przeciwnym razie nie pomagałaby wam policja. Poszukiwany jest w rękach łotra, który go wyzyskuje. Tak, tak, przypatrzcie mi się, sir! Dziwicie się mej wyobraźni? Dobry westman buduje sobie nawet z dwu śladów bardzo długą drogę, choćby stąd w głąb Kanady, i rzadko kiedy się pomyli.

— Istotnie dajecie dowód nadzwyczajnej wyobraźni, master,

— Pshaw! Możecie sobie dalej zaprzeczać! Mnie to nie szkodzi! Jestem tutaj dość znany i mógłbym wam coś poradzić, jeśli jednak sądzicie, że własną drogą prędzej dojdziecie do celu, to jest chwalebne, chociaż wątpię, czy rozumne.

Wstał, wyjął starą skórzaną sakiewkę, aby zapłacić za piwo. Zdawało mi się, że moją nieufnością wyrządziłem mu przykrość. Zęby to naprawić, odezwałem się tymi słowami:

— Są sprawy, w które nie należy nikogo wtajemniczać, szczególnie nikogo obcego. Nie chciałem bynajmniej was dotknąć i sądzę...

— Ależ skąd! — przerwał mi, kładąc monetę na stole. — O obrazie nie ma mowy! Żywiłem w stosunku do was najlepsze chęci, gdyż tkwi w was coś, co budzi we mnie życzliwość ku wam.

— Może się jeszcze kiedy spotkamy!

— Wątpię bardzo. Ja wyruszam dzisiaj do Teksasu, a stamtąd udaję się do Meksyku. Trudno przypuścić, żeby wasza przechadzka miała się odbyć w tym samym kierunku. A zatem szczę-

śliwej drogi, sir! A przypomnijcie sobie czasem, że was nazwałem greenhornem! Od Old Deatha możecie to przyjąć spokojnie, gdyż nie ma on zamiaru obrazić was, a żadnemu nowicjuszowi nie zaszkodzi, jeśli będzie myślał o sobie skromniej.

Włożył na głowę sombrero z szerokimi kresami, które wisiało dotąd na ścianie, zarzucił siodło i uździenicę na plecy, chwycił strzelbę i wyszedł. Ale zrobiwszy zaledwie trzy kroki, odwrócił się znowu, podszedł jeszcze raz do mnie i szepnął:

— Nie bierzcie mi niczego za złe, sir! Ja także studiowałem i z przyjemnością dziś wspominam, jakim to wówczas byłem zarozumiałym głupcem. Do widzenia!

Po tych słowach opuścił lokal, nie odwracając się już wcale. Patrzyłem za nim, dopóki jego osobliwa i wyśmiewana z lekka przez przechodniów postać nie zniknęła w tłumie. Chętnie bym się właściwie pogniewał na niego. Zadawałem sobie nawet trud, by się zmusić do gniewu, ale nie zdołałem tego dokazać. Jego wygląd budził we mnie coś jakby litość, słowa jego były surowe, ale glos brzmiał przy tym łagodnie, przekonywająco i mile. Z całego jego zachowania wyczuwałem w gruncie rzeczy, że był dla mnie dobrze usposobiony. Spodobał mi się pomimo swojej brzydoty, ale byłoby nieostrożnością wtajemniczać go w moje zamiary, chociaż rzeczywiście mógł mi udzielić cennych wskazówek. Nazwę „greenhorn", którą mnie obdarzył, ścierpiałem, gdyż Sam Hawkens tak mnie do niej przyzwyczaił, że już nie mogła mnie dotknąć. Nie uważałem również za stosowne chwalić się przed nim, że byłem już raz na Zachodzie.

Oparłem łokieć na stole, a głowę na dłoni i patrzyłem w zamyśleniu przed siebie. Wtem otworzyły się drzwi i wszedł nie kto inny... jak Gibson.

Stanął u wejścia i objął wzrokiem obecnych. Kiedy mi się wydało, że oczy jego natknęły się na mnie, odwróciłem się plecami do drzwi. W całej piwiarni nie było ani jednego miejsca oprócz tego, na którym siedział przedtem Old Death. Gibson musiał więc podejść do mego stolika, jeśli chciał coś wypić. Cieszyłem się już w duszy przestrachem, jakiego mu napędzi mój widok.

Lecz Gibson nie zbliżał się jakoś, natomiast usłyszałem szmer drzwi obracających się w zawiasach. Odwróciłem się czym prędzej, ale Gibsona już nie było: poznał mnie i umknął. Widziałem go, jak wyszedł i szybkim krokiem pośpieszył dalej. W mgnieniu oka wsadziłem kapelusz na głowę, rzuciłem oberżyście zapłatę i wypadłem z lokalu. Gibson biegł na prawo, starając się widocznie zniknąć w gęstej gromadzie ludzi. Oglądnąwszy się, zobaczył mnie i przyśpieszył kroku. Gdy minąłem ową grupę ludzi, ujrzałem go znikającego w wąskiej uliczce, do której dobiegłem właśnie w chwili, gdy on skręcał za jej róg. Przedtem jednak odwrócił się jeszcze raz, zdjął kapelusz i zaczął nim ku mnie wymachiwać. To mnie oczywiście rozgniewało. Nie zważając na to, że przechodnie będą się ze mnie śmieli, ruszyłem ku niemu kłusem. Policjanta nigdzie nie było widać. Prosić prywatne osoby o pomoc byłoby rzeczą daremną; nikt nie stanąłby po mojej stronie.

Dobiegłszy do rogu ulicy, znalazłem się na niewielkim placyku. Po prawej i lewej stronie stały zwartym szeregiem małe domki, a naprzeciw ujrzałem wille we wspaniałych ogrodach. Sporo ludzi kręciło się na placu, ale Gibsona nie zauważyłem. Widocznie gdzieś się już ukrył.

Przy sklepie fryzjera stał oparty o drzwi jakiś Murzyn. Znajdował się tu już zapewne długo i niewątpliwie musiał spostrzec zbiega. Podszedłem więc do niego, zdjąłem uprzejmie kapelusz i zapytałem, czy nie widział dżentelmena wybiegającego z uliczki. Zapytany pokazał w uśmiechu długie, żółte zęby i odrzekł:

— O tak, sir! Widziałem. Pędził bardzo szybko i wpadł tutaj.

Równocześnie wskazał na małą willę. Podziękowawszy mu, pośpieszyłem w tym kierunku. Żelazna brama ogrodu, który należał do willi, była zamknięta. Musiałem dzwonić z pięć minut, zanim pojawił się jakiś Murzyn. Powiedziałem mu, o co chodzi, on zaś zatrzasnął mi przed nosem drzwi, mówiąc:

— Ja zapytać najpierw massę. Bez pozwolenia massy nie otworzyć.

Po tych słowach odszedł. Stałem z dziesięć minut jak na rozżarzonych węglach. Nareszcie powrócił Murzyn z odpowiedzią:

— Nie wolno wpuścić. Massa zakazać. Nikt dzisiaj nie wejść. Drzwi. Drzwi zawsze zamknięte. Wy prędko odejść, bo jakby skoczyć przez płot, massa skorzystać z prawa domowego i strzelić z rewolweru.

Teraz nie wiedziałem, co począć. Wcisnąć się przemocą byłoby niebezpiecznie, gdyż właściciel willi na pewno nie pożałowałby mi kuli. Amerykanin nie zna żartów, gdy wchodzi w grę prawo domowe. Nie pozostało mi nic innego, jak udać się na policję.

Kiedy przechodziłem w najwyższym gniewie przez plac, podbiegł do mnie jakiś chłopiec z kartką w ręku.

— Sir, sir! — zawołał. — Zaczekajcie no! Dacie mi dziesięć centów za tę kartkę?

— Od kogo ta kartka?

— Od dżentelmena, który wyszedł z tamtego domu — odrzekł wskazując przy tym nie na willę, lecz w kierunku wprost przeciwnym. — On napisał te słowa i polecił wam je oddać. Ale dajcie wpierw dziesięć centów, to ją dostaniecie.

Wręczyłem mu żądaną kwotę, za co otrzymałem kartkę. Chłopak pobiegł swoją drogą. Na kawałku papieru, wyrwanym z notatnika, przeczytałem, co następuje:

Szanowny Master!

Czy z powodu mnie przybyliście do Nowego Orleanu? Domyślam się, że mnie ścigacie. Uważałem was za człowieka naiwnego, ale nie aż tak głupiego, żebyście chcieli mnie schwytać. Kto nie posiada więcej niż pół łuta mózgu, nie powinien zabierać się do takich spraw. Wracajcie do Nowego Jorku i pozdrówcie ode mnie master Ohlerta. Postarałem się o to, żeby o mnie pamiętał, i spodziewam się, że wy przypomnicie sobie także od czasu do czasu nasze dzisiejsze spotkanie, które, co prawda, nie miało zbyt zaszczytnego dla was przebiegu.

G i b s o n

Można sobie wyobrazić mój zachwyt podczas czytania tego miłego listu! Zmiąłem kartkę, wsunąłem ją do kieszeni i poszedłem dalej. Być może, Gibson obserwował mnie z ukrycia, nie chciałem więc sprawić mu tego zadowolenia, żeby mnie widział w kłopocie.

Rozglądałem się przy tym badawczo po placu. Gibsona nie było widać. Murzyn zniknął spod sklepu, a chłopca, który mi podał kartkę, także nie mogłem dostrzec. Pomyślałem sobie, że otrzymał pewnie polecenie, żeby się czym prędzej ulotnić.

Podczas gdy ja układałem się z Murzynem o wpuszczenie do willi, Gibson znalazł czas na napisanie listu o kilkudziesięciu wyrazach. Murzyn wystrychnął mnie na dudka, a Gibson pewnie wyśmiał, chłopiec miał bowiem taką minę, jak gdyby wiedział, że chodzi o to, by mnie wyprowadzić w pole.

Popadłem oczywiście w gniewny nastrój: czułem się skompromitowany w najwyższym stopniu i postanowiłem zamilczeć przed policją, że widziałem Gibsona.

Wracając nie wstępowałem już na plac, ale przeszukałem raz jeszcze wychodzące nań ulice, oczywiście bez śladu powodzenia, gdyż jasne było, że Gibson opuścił tak niebezpieczną dla siebie dzielnicę. Należało się spodziewać, że skorzysta z pierwszej sposobności wyjazdu z Nowego Orleanu.

Wpadłem na tę myśl pomimo swego ,,pół łuta" ważącego mózgu i udałem się wobec tego na miejsce, gdzie stały okręty, które miały odejść tego dnia. Pomagali mi dwaj policjanci w cywilnych ubraniach, . ale także na próżno. Gniew z tego powodu, że pozwoliłem .sobie dać takiego szczątka w nos, odebrał mi wszelki spokój, snułem się więc po ulicach do późna w noc i zaglądałem do najrozmaitszych restauracji i szynków. Czując się już zbyt znużonym, poszedłem w końcu do swego pensjonatu i położyłem się spać.

Sen przeniósł mnie do domu obłąkanych. Setki wariatów, którzy uważali się za poetów, wyciągały do mnie pękate rękopisy, żebym je przeczytał. Oczywiście były to same tragedie z obłąkanymi poetami jako bohaterami. Musiałem czytać i czytać, bo Gibson stał obok mnie z

rewolwerem i groził natychmiastową śmiercią, gdybym przestał na chwilę. Czytałem i czytałem, aż mi pot spływał z czoła. Chcąc się obetrzeć wydobyłem chustkę z kieszeni, zatrzymałem się na sekundę, a w tej chwili Gibson strzelił!

Huk wystrzału zbudził mnie, gdyż nie był to huk urojony, lecz rzeczywisty. Rzucałem się w rozdrażnieniu po całym łóżku starając się wyrwać Gibsonowi rewolwer i strąciłem z małej szafki nocnej lampę służącego. Policzono mi za nią nazajutrz osiem dolarów.

Zbudziłem się oblany potem. Ubrawszy się, wypiłem herbatę i pojechałem nad wspaniałe jezioro Pontchartarain, gdzie orzeźwiłem się kąpielą. Następnie rozpocząłem znów poszukiwania, zajrzałem też do piwiarni, w której wczoraj spotkałem Old Deatha. Wszedłem, nie spodziewając się bynajmniej znaleźć tu jakiegokolwiek śladu. Lokal nie był taki pełny jak dnia poprzedniego. Wczoraj nie można było doprosić się gazety, dzisiaj aż kilka leżało nie zajętych na stole. Wziąłem jedną z nich.

Nie mając zamiaru dokładnie czytać, rozłożyłem ją na chybił trafił. Pierwsze, co mi wpadło w oko, był wiersz. Przerzucając gazetę, zwykle czytywałem poezje na samym końcu albo wcale ich nie czytałem. Tytuł utworu, który zauważyłem, przypominał tytuły rozdziałów kryminalnych powieści, bo brzmiał „Noc najstraszliwsza". Odebrało mi to ochotę do czytania. Chciałem już odwrócić kartkę, kiedy zauważyłem pod wierszem dwie litery: „W. O." Wszak od tych liter zaczynało się imię i nazwisko Wiliama Ohlerta. Ponieważ tyle czasu miałem na myśli to imię i nazwisko, przeto nic dziwnego, iż skojarzyłem z nimi te litery. Ohlert junior uważał się za poetę. Czyżby w ten sposób skorzystał z pobytu w Nowym Orleanie, żeby drukować swoje rymy? Być może dlatego wydrukowano wiersz tak szybko, że autor zapłacił za to. Jeżeliby się moje przypuszczenie sprawdziło, mógłby mnie ten utwór naprowadzić na jego ślady. Wiersz brzmiał:

Noc najstraszliwsza
Znaszlj tę noc, z którą na ziemią leci
Wycie wichury i dżdżu gęsty mrok,
Tę noc, gdy z nieba żadna z gwiazd nie świeci,
A fal deszczowych nie przebije wzrok?
Choć straszna noc ta, będzie po niej dniało,
Więc połóż się i zaśnij sobie śmiało.

Znaszli tę noc, która na życie spada,
Gdy cię przedśmiertne już otoczą sny,
Gdy bliska wieczność znienacka zagada
I przerażeniem tętno w żyłach drży?
Choć ciemna noc ta, będzie po niej dniało,
Więc połóż się i zaśnij sobie śmiało.

Znaszli tę noc, co ducha owija,
Że próżno żądzą wyzwolenia drga,
Co cię obmota jako wściekła żmija,
A tysiąc diabłów ciągle w mózg ci plwa?
Czuwać nie warto, na nic by się zdało,
Bo po tej nocy już nie będzie dniało!

Przyznaję, że mnie ta treść głęboko wzruszyła. Utwór ten mógł nie posiadać literackiej wartości, ale zawierał w sobie krzyk przerażenia uzdolnionego człowieka, walczącego na próżno z obłąkaniem, którego padł ofiarą. Wkrótce jednak opanowałem wzruszenie, gdyż musiałem działać. Nie wątpiłem ani na chwilę, że autorem wiersza był Wiliam Ohlert. Wyszukałem więc w księdze adresowej adres wydawcy tej gazety i udałem się do niego.

Jak się okazało, przypuszczenia moje były słuszne. Niejaki Wiliam Ohlert przyniósł osobiście poprzedniego dnia ten utwór i prosił o rychłe zamieszczenie. Ponieważ redaktor się ociągał, poeta ofiarował mu dziesięć dolarów i postawił za warunek, że wiersz pojawi się w dzisiejszym numerze i że otrzyma on korektę. Zachowanie się poety było bardzo przyzwoite, tylko wzrok miał jakiś błędny i oświadczył kilkakrotnie, że wiersz pisany jest krwią serdeczną. Frazesem tym posługują się zresztą rozmaici zdolni i niezdolni poeci i pisarze. Aby można było posłać mu korektę, zostawił adres mieszkania, który mnie oczywiście także podano. Był to jeden z wytwornych i drogich pensjonatów prywatnych w nowej dzielnicy miasta.

Pośpieszyłem więc tam natychmiast, zmieniwszy przedtem swój wygląd. Po drodze wstąpiłem po dwóch policjantów, którym kazałem się ustawić pod drzwiami wspomnianego domu.

Byłem pewien, że potrafię pochwycić łotra i jego ofiarę, więc w podniosłym nastroju pociągnąłem za rączkę od dzwonka, nad którą przybity był szyld z napisem:

„Pensjonat pierwszej klasy dla Pań i Panów". Dom i zakład należały do kobiety. Portier otworzył, zapytał, czego żądam, a ja w odpowiedzi poprosiłem, by mnie oznajmił pani domu. Równocześnie wręczyłem mu kartę wizytową, opiewającą oczywiście na inne nazwisko. Zaprowadzono mnie do salonu, gdzie niebawem pojawiła się lady.

Była to wykwintnie ubrana, dość okazała kobieta lat około pięćdziesięciu. Kędzierzawe włosy i lekkie zabarwienie paznokci dowodziły resztek czarnej krwi w jej żyłach. Wywarła na mnie wrażenie osoby kulturalnej, przyjęła mnie z wielką uprzejmością.

Przedstawiłem jej się jako redaktor felietonów z gazety, pokazałem jej kupiony dopiero co numer i powiedziałem. że pragnę pomówić z autorem tego utworu, gdyż wiersz tak się ogólnie podobał, że przynoszę poecie nowe zamówienie.

Gospodyni przysłuchiwała mi się spokojnie, przypatrywała badawczo, a gdy skończyłem, rzekła:

— A więc ten pan drukował swój utwór w pańskim dzienniku? Jak to ładnie! Czy dobry?

— Znakomity! Miałem już zaszczyt wspomnieć, że wywarł na czytelnikach wielkie wrażenie.

— To mnie ogromnie interesuje. Ten pan wydawał mi się bardzo wykształcony, to prawdziwy dżentelmen. Niestety mówił niewiele i nie obcował z nikim. Wyszedł raz tylko, prawdopodobnie wówczas, kiedy zaniósł panom poemat.

— Czyżby? W czasie rozmowy u nas w redakcji wspominał, że kilkakrotnie podejmował tutaj pieniądze, musiał zatem wychodzić więcej razy.

— W takim razie działo się to podczas mej nieobecności, a może te sprawy załatwiał jego sekretarz.

— On ma sekretarza? O tym nic mi nie mówił. Wobec tego to chyba człowiek bardzo zamożny?

— Przypuszczam! Płacił dobrze i jadł potrawy najwytworniejsze. Kasę prowadził jego sekretarz Clinton.

— Clinton? Ach, jeżeli ten sekretarz nazywa się Clinton, to jego pewnie spotkałem w klubie. Pochodzi z Nowego Jorku, a przynajmniej stamtąd przybywa i jest niezrównany w towarzystwie. Widziałem się z nim wczoraj około południa.

— To możliwe — wtrąciła. — Rzeczywiście wychodził o tej porze.

— I tak — ciągnąłem dalej — podobaliśmy się sobie nawzajem, że zaszczycił mnie swoją fotografią. Ja nie noszę swojej z sobą, musiałem mu jednak przyrzec, że dam mu ją dzisiaj, gdyż postanowiliśmy się zobaczyć. Oto jego fotografia. — Pokazałem jej wizerunek Gibsona, który zawsze nosiłem przy sobie.

— Słusznie, to jest ten sekretarz — rzekła rzuciwszy okiem. — Niestety, nieprędko go pan zobaczy, a od master Ohlerta nie otrzyma pan już żadnego wiersza, gdyż obaj wyjechali.

Przestraszyłem się, ale zapanowałem szybko nad sobą i odrzekłem:

— Bardzo mi przykro! Decyzja odjazdu zapadła chyba bardzo nagle.

— Rzeczywiście! To bardzo a bardzo wzruszająca historia. Master Ohlert wprawdzie o tym nie mówił, bo nikt sam ran swoich nie dotyka, ale jego sekretarz powierzył mi tę tajemnicę pod warunkiem, że będę milczała. Musi pan wiedzieć, że cieszę się zawsze zaufaniem tych, którzy u mnie mieszkają.

— Wierzę pani. To zupełnie naturalne. Jej -wytworne maniery, jej delikatne formy towarzyskie upoważniają do tego całkowicie. — Przypochlebiałem się najbezczelniej.

— O proszę bardzo! — rzekła dotknięta mile tym niezgrabnym pochlebstwem. — Ta historia do łez mnie wzruszyła, raduję się, że nieszczęśliwemu młodzieńcowi udało się jeszcze w czas umknąć.

— Umknąć? To brzmi tak, jak; gdyby go ścigano.

— Tak też jest w istocie.

— Ach! Jakież to dziwne! Tak wysoce uzdolniony, wręcz genialny poeta — ścigany! Jako redaktor, a zatem po części kolega tego nieszczęśliwego, pragnę dowiedzieć się czegoś bliższego o nim. Dziennikarstwo przedstawia znaczną potęgę. Może byłoby wskazane ująć .się za nim w artykule. Jaka szkoda, że zaznajomiono panią z tą niezwykłą historią tylko pod warunkiem zachowania milczenia!

Policzki jej pokraśniały. Wydobyła niezbyt czystą chustkę do nosa, aby ją mieć każdej chwili pod ręką, i rzekła:

— Co się tyczy tej dyskrecji, sir, to nie poczuwam się już teraz do obowiązku zachowania jej, gdyż ci panowie odjechali. Wiem, że prasę nazywają mocarstwem, i byłabym bardzo szczęśliwa, gdyby pan dopomógł temu młodzieńcowi do uzyskania jego praw.

— Zrobię chętnie wszystko, co tylko w mojej mocy. Musiałbym się jednak dowiedzieć, o co chodzi.

Przyznaję, że z trudem ukrywałem ciekawość. — Dowie się pan, gdyż serce nakazuje mi wyjawić panu wszystko. Tu wchodzi w grę miłość, równie wierna, jak nieszczęśliwa.

— Tak też przypuszczałem, gdyż nieszczęśliwa miłość to cierpienie największe i najbardziej rozdzierające serce.

Mnie samemu oczywiście ani się jeszcze śniło o miłości.

— Słowa pańskie wzbudziły we mnie przychylność dla pana! Czy i pan doznał już tego cierpienia?

— Jeszcze nie.

— W takim razie jest pan człowiekiem szczęśliwym. Ja niestety nacierpiałam się więcej, niż moje serce mogło wytrzymać. Matka moja była Mulatką. Ja zaręczyłam się z synem francuskiego plantatora, a więc z białym. Szczęście nasze zniweczono, ponieważ ojciec narzeczonego nie chciał przyjąć do rodziny kolorowej lady. Jakżeż współczuję temu pożałowania godnemu poecie, którego ten sam los spotkał!

— Więc on kocha Mulatkę?

— Tak! Lecz ojciec jego zabronił mu tej miłości i podstępnie wydarł rewers, na którym dama ta stwierdziła swoim podpisem, że wyrzeka się szczęścia i połączenia z Wiliamem.

— Cóż za nieludzki ojciec! — zawołałem z oburzeniem, zaskarbiając sobie znowu życzliwe spojrzenie niewiasty.

Właścicielka pensjonatu niewątpliwie bardzo się przejęła tym, co jej Gibson nakłamał. Niewątpliwie opowiedziała mu dzieje swej miłości, a on zaraz zmyślił bajkę, za pomocą której udało mu się zdobyć jej współczucie i wytłumaczyć konieczność nagłego wyjazdu. Wiadomość, że się teraz przezwał Clintonem, miała dla mnie oczywiście ogromne znaczenie.

— Tak, nieludzki ojciec! — potwierdziła. — Wiliam jednak dochował wiary ukochanej i umknął z nią aż tutaj, gdzie umieścił ją w pensjonacie.

— Nie rozumiem więc, dlaczego opuścił Nowy Orlean.

— Ponieważ przybył tu jego prześladowca.

— Więc ojciec każe go ścigać?

— Tak. Ten nędznik ścigał ich z rewersem w ręku z miasta do miasta aż tutaj. (Śmiałem się w duchu z oburzenia jejmości na kogoś, z kim właśnie rozmawiała wcale serdecznie). Jest funkcjonariuszem policji. Polecono mu Wiliama pochwycić i sprowadzić do Nowego Jorku.

— Czy sekretarz opisał pani tego okrutnika? — zapytałem, żądny dalszych wiadomości o sobie.

— Bardzo dokładnie, gdyż możliwe jest, że ten barbarzyńca odnajdzie mieszkanie Wiliama i przyjdzie do mnie. Ale już ja go przyjmę! Obmyśliłam sobie każde słowo, które do niego powiem. Ode mnie się nie dowie, dokąd Wiliam wyjechał. Poślę go właśnie w przeciwnym kierunku.

Gospodyni opisała mi tego „barbarzyńcę" i wymieniła jego, to jest moje, nazwisko. Opis zgadzał się z rzeczywistością, chociaż wypadł dla mnie niezbyt pochlebnie.

— Spodziewam się go każdej chwili — mówiła dalej. — Kiedy mi oznajmiono pana, myślałam już, że to on. Ale pomyliłam się na szczęście. Pan nie jest tym prześladowcą zakochanych, tym rabusiem najsłodszego szczęścia, tą otchłanią niesprawiedliwości i zdrady. Po pańskich poczciwych oczach widać, że pan umieści w swej gazecie artykuł, który zdruzgocze tego detektywa i weźmie w obronę uciśnionych.

— Jeśli mam to uczynić, co zresztą zrobię z przyjemnością, to muszę koniecznie wiedzieć, gdzie się Wiliam Ohlert znajduje. Chciałbym do niego napisać. Prawdopodobnie pani zna miejsce jego obecnego pobytu?

— Wiem istotnie, dokąd się udał, lecz nie jestem pewna, czy go tam jeszcze list pański zastanie. Owego prześladowcę byłabym wysłała na północny zachód, panu jednak powiem, że Ohlert pojechał na Południe do Teksasu. Miał zamiar udać się do Meksyku i wylądować w Veracruz, ale w tym czasie żaden statek nie wypływał z portu, wsiadł więc na „Delfina", który zmierzał do Kwintany.

— Czy pani wie o tym na pewno?

— Oczywiście. Wiliam Ohlert musiał się śpieszyć, gdyż do odjazdu pozostawało zaledwie tyle czasu, żeby przenieść rzeczy na okręt. Załatwiał to mój portier, który będąc na pokładzie, rozmawiał z majtkami i dowiedział się, że "Delfin" zdąża tylko do Kwintany, a przedtem zatrzyma się w Galvestonie. Master Ohlert pojechał rzeczywiście „Delfinem", gdyż mój portier zaczekał aż do odejścia statku.

— Czy jego sekretarz i miss towarzyszyli mu?

— Naturalnie. Portier jednak nie widział tej pani, gdyż zeszła od razu do damskiej kajuty. Nie pytał się też o nią, moi służący bowiem przyzwyczajeni są w najwyższym stopniu do dyskrecji i delikatności. Rozumie się samo przez się, że Wiliam nie zostawił narzeczonej i nie naraził jej na niebezpieczeństwo. Właściwie cieszę się z tego, że ich prześladowca do mnie przyjdzie, gdyż będzie to scena barowo zajmująca. Spróbuję najpierw wzruszyć jego serce, a jeśli mi się to nie uda, rzucę mu w twarz piorunujące słowa i tak z nim pomówię, że będzie się wił pod ogromem mej pogardy.

Poczciwa kobieta wpadła rzeczywiście w rozdrażnienie z powodu tej sercowej sprawy. Wstała z krzesła, ścisnęła małe, tłuściutkie piąstki, wyciągnęła je ku drzwiom i zawołała groźnie:

— Tak, przyjdź tylko, przyjdź, ty diabelski wysłańca! Przebiję cię mym spojrzeniem i zdruzgocę moimi słowy!

Usłyszałem już dość i mogłem odejść. Kto inny postąpiłby tak zapewne i zostawił po prostu ową niewiastę w jej błędnym mniemaniu. Ja jednak uznałem za stosowne wytłumaczyć jej wszystko, by już dłużej nie uważała łotra za uczciwego człowieka. Nie obawiałem się, żebym sobie tą otwartością w jakikolwiek sposób zaszkodził, dlatego rzekłem:

— Sądzę, że nie będzie pani miała sposobności ukarać tego osobnika druzgocącymi słowami i spojrzeniami.

— Dlaczego?

— Ponieważ on zabierze się do rzeczy zupełnie inaczej, niż pani sądzi. Nie uda się też pani skierować go na północny zachód, gdyż pojedzie wprost do Kwintany.

— Ależ on nie zna miejsca ich pobytu!

— Przeciwnie, wszak pani sama mu je wyjawiła.

— Ja? To nie może być? Musiałabym o tym wiedzieć! Kiedyż to się stało?

— Właśnie teraz.

— Sir, ja pana nie pojmuję! — zawołała w najwyższym zdumieniu.

— Ja pani dopomogę. Czy pozwoli pani, że przeobrażę nieco moją osobę?

To mówiąc, zdjąłem ciemną perukę, sztuczną brodę i okulary. Jejmość cofnęła się z przestrachem.

— Na Boga! — krzyknęła prawie. — Pan nie jest redaktorem, lecz owym detektywem! Pan mnie oszukał!

— Musiałem to zrobić, ponieważ już przedtem wprowadzono paaią w błąd. Historia z Mulatką jest kłamstwem od początku do końca. Nadużyto pani serca, urządzając sobie z niej drwiny. Clinton nie jest wcale sekretarzem Wiliama. Nazywa się w rzeczywistości Gibson i jest niebezpiecznym oszustem, którego należy unieszkodliwić.

Upadła jak zemdlona na krzesło i zawołała:

— Nie, nie! To nieprawda! Ten miły, niezrównany człowiek nie może być oszustem. Nie wierzę panu!

— Uwierzy pani, skoro mnie pani wysłucha. Pozwoli pani, że jej o wszystkim dokładnie opowiem!

Przedstawiłem jej właściwy stan sprawy i życzliwość jej dla „miłego i niezrównanego" sekretarza zamieniła się w gwałtowny gniew. Przekonała się, że ją najhaniebniej okłamano, i wyraziła mi nawet swe zadowolenie z tego powodu, że przyszedłem do niej w przebraniu.

—Gdyby pan tego nie uczynił — rzekła — nie dowiedziałby się pan ode mnie prawdy i pojechałby pan wedle mojej wskazówki na Północ, do Nebraski albo Dakoty. Postępowanie tego Gibsona-Clintona zasługuje na najsurowszą karę. Spodziewam się, że pan puści się natychmiast w pogoń za nim. Proszę też napisać mi z Kwintany, jak się panu powiodło. Gdy go pan będzie wiózł do Nowego Jorku, musi pan z nim do mnie wstąpić, żebym mu mogła powiedzieć, jak nim gardzę.

— To będzie trudno. W Teksasie nie łatwo kogoś pochwycić i zabrać do Nowego Jorku. Czułbym się bardzo szczęśliwy, gdybym zdołał tylko uwolnić Ohlerta z rąk tego oszusta i ocalić przynajmniej część tych sum, które oni w drodze podjęli.

Rozstaliśmy się bardzo serdecznie. Czekającym pod domem policjantom oświadczyłem, że sprawa już załatwiona, wcisnąłem im w ręce napiwek i odszedłem.

Musiałem śpieszyć do Kwintany, zapytałem więc, kiedy odpływa tam statek, ale szczęście mi nie sprzyjało. Jeden parowiec odchodził wprawdzie do Tampico, ale nie miał się nigdzie zatrzymywać po drodze. Statki wprost do Kwintany podnosiły kotwicę dopiero za kilka dni. Wreszcie znalazłem pośpieszny kliper idący z ładunkiem do Galvestonu. Ten rozpoczynał podróż już po południu. W nadziei, że w Galvestonie trafi się prędzej sposobność odpłynięcia do Kwintany, załatwiłem czym prędzej swoje sprawy i wsiadłem na ten statek.

Niestety, zawiodłem się, gdyż z Galvestonu odpływał tylko jeden okręt, i to poza cel mojej podróży — do Matagordy, obok ujścia wschodniego Kolorado. Zapewniono mnie jednak, że stamtąd z łatwością dostanę się z powrotem do Kwintany. Poszedłem za tą radą i okazało się później, że dobrze zrobiłem.

Uwaga gabinetu waszyngtońskiego zwracała się wówczas na południe, ku Meksykowi, który cierpiał jeszcze z powodu krwawych zamieszek i walki rzeczypospolitej z cesarstwem.

Benito Juarez[4] został uznany prezydentem republiki meksykańskiej przez Stany Zjednoczone, które postanowiły nie dopuścić do jego przegranej w walce z Maksymilianem. Zawsze bowiem uważały cesarza za uzurpatora. Zaczęły więc wywierać nacisk na Napoleona, żeby cofnął z Meksyku swoje wojska. Powodzenie Prus w wojnie z Austrią przyczyniło się do tego, że Napoleon dotrzymał słowa i od tej chwili los Maksymiliana był właściwie przypieczętowany.

Podczas wybuchu amerykańskiej Wojny Domowej Teksas oświadczył się za secesją i stanął tym samym po stronie państw przeciwnych zniesieniu niewolnictwa. Pokonanie secesjonistów nie sprowadziło szybkiego uspokojenia ludności. Wszyscy byli rozgoryczeni na Północ i zachowywali się niechętnie w stosunku do jej polityki. Ludność Teksasu była właściwie usposobiona republikańsko. Uwielbiano „bohatera indiańskiego" Juareza, który nie wahał się podjąć walki z Napoleonem i latoroślą potężnej dynastii Habsburgów. Ponieważ jednak po stronie tego bohatera stał rząd waszyngtoński, przeto konspirowano przeciw niemu ─ ukradkiem. W ten sposób powstał głęboki rozłam między ludnością Teksasu. Jedni wystąpili otwarcie za Juarezem, drudzy zaś przeciwko niemu, nie tyle zresztą z przekonania, co na przekór Stanom. Te zamieszki utrudniały w wysokim stopniu podróże w tym kraju. Na nic się nie przydawała ostrożność i ukrywanie swych przekonań politycznych, bo do ich wyjawiania po prostu zmuszano.

Tak wyglądała sytuacja w Teksasie, kiedy chwilowo zamiast Kwintany ujrzałem nizinę nadmorską, dzielącą Zatokę Matagordy od Zatoki Meksykańskiej. Wpłynęliśmy przez Paso Caballo i musieliśmy zaraz potem zapuścić kotwicę, gdyż zatoka jest tak płytka, że głębiej zanurzonym okrętom grozi niebezpieczeństwo utknięcia na mieliźnie.

Nieco dalej od brzegu stało na kotwicy kilka małych statków, a na morzu wielkie okręty, trzymasztowce i jeden parowiec. Kazałem się oczywiście zawieźć zaraz do Matagordy, by się dowiedzieć, jak szybko wyruszę do Kwintany. Usłyszałem niestety, że okręt odpłynie dopiero za dwa dni. Zostałem więc na miejscu i złościłem się, ponieważ Gibson zyskiwał przez to cztery dni i mógł zniknąć bez śladu. Pocieszałem się tylko tym, że zrobiłem wszystko, co było można w danych okolicznościach,

Ponieważ skazany byłem na czekanie, wyszukałem sobie zajazd, do którego poleciłem zanieść rzeczy ze statku.

Matagorda była wówczas mniejszym miastem niż teraz. Położona we wschodniej części zatoki, ma jako port daleko mniejsze znaczenie niż Galveston. Jak wszędzie w Teksasie, tak i tu wybrzeże jest bardzo niezdrową niziną, której nie można jeszcze nazwać bagnistą, jakkolwiek obfituje w wodę. Nic łatwiejszego, jak dostać tu febry i dlatego wcale nie byłem zadowolony, że muszę tu bawić tak długo.

---

[4] Benito Juarez (1806 - 1872) – Indianin, meksykański mąż stanu, od 1857 r. Wieloletni prezydent republiki meksykańskiej, wódz narodu meksykańskiego w walce o swobody konstytucyjne i o niezależność kraju. W czasie wojny domowej Juarez stał się przywódcą partyzanckiej armii liberałów broniącej konstytucji przed konserwatystami i reakcyjnymi klerykami. Popierały go Stany Zjednoczone. Wojna toczyła się ze zmiennym szczęściem, aż w końcu fala zwycięstwa przechyliła się na stronę liberałów i w styczniu 1860 roku Juarez wkroczył do stolicy. Wojna zrujnowała jednak kraj. Tę ciężką sytuację gospodarczą wykorzystały obce państwa, głównie Francja. Panujący wówczas we Francji cesarz Napoleon III postanowił odbudować w Meksyku monarchię i zadać cios liberalizmowi. Realizacji tego planu sprzyjał wybuch Wojny Domowej w Stanach Zjednoczonych, ponieważ w tej sytuacji Stany nie mogłyby udzielić Meksykowi pomocy przeciw interwencji europejskiej. Koronę meksykańską ofirowano arcyksięciu Maksymilianowi Habsburgowi, ktry wylądował w Meksyku pod osłoną armii francuskiej. Juarez wraz z rządem i częścią wojska zmuszony był się wycofać na północ, aż do samej granicy Stanów Zjednoczonych. Po zakończeniu Wojny Domowej w Stanach, zwycięski rząd amerykański postanowił dopomóc jednak Juarezowi w wypędzeniu Francuzów z Meksyku. Skoncentrowano wojska wzdłuż Rio Grande, armie Juareza rosły. Francuzi zostali zmuszeni do wycofania wojsk, Maksymilian zaś został ostatecznie pokonany i rozstrzelany. W połowie 1867 roku po raz drugi Benito Juarez wkroczył jako zwycięzca do stolicy.

Mój „hotel” dorównywał europejskiej oberży trzeciego rzędu, pokój przypominał kajutę okrętową, a łóżko dostałem tak krótkie, że stale brakowało miejsca ─ albo dla głowy, albo dla nóg.

Po złożeniu rzeczy postanowiłem wyjść, by się przypatrzyć miejscowości. Między moją izbą a schodami znajdował się pokój, którego drzwi były właśnie otwarte. Rzuciwszy przelotnie okiem do wnętrza, zobaczyłem tam pod ścianą na ziemi siodło, a nad nim wiszącą na gwoździu uździenicę. W kącie, tuż przy oknie, stała oparta długa kentucka rusznica. Pomyślałem mimo woli o Old Deathie, chociaż przedmioty te mogły należeć także do kogo innego.

Wyszedłszy z domu, ruszyłem zwolna ulicą. Okrążając róg, zderzyłem się z człowiekiem, który nadszedł z drugiej strony.

─ Do pioruna! ─ krzyknął. ─ Uważajcie, sir, jeśli wypadacie w ten sposób zza rogu!

─ Jeśli mój ślimaczy chód nazywacie wypadaniem, to ostryga będzie chyba podobna do parowca na Missisipi ─ odrzekłem śmiejąc się.

Zagadnięty odskoczył o krok, przypatrzył się mi i zawołał:

─ Toż to ten greenhorn, który nie chciał się przyznać, że jest detektywem. Czego tu szukacie w Teksasie, a do tego w Matagordzie, sir?

─ Nie was, master Death!

─ Wierzę! Należycie, jak się zdaje, do ludzi, którym bardzo trudno znaleźć to, czego szukają, ale za to łatwo zderzyć się z tymi, z którymi nie mają nic do czynienia. Chce się wam pewnie jeść i pić. Chodźcie, zawiniemy do jakiegoś portu, gdzie dostaniemy dobrego piwa. Nawet w tej nędznej dziurze nie brak tego dobroczynnego napoju. Macie już mieszkanie?

─ Pod „Wujem Samem”.

─ Pięknie! Ja także rozbiłem tam swój wigwam.

─ Czy w izbie na pierwszym piętrze, w której leży uprząż i rusznica?

─ Tak. Musicie wiedzieć, że bardzo niechętnie rozstaję się z tą uprzężą, tak ją polubiłem. Konia wszędzie dostanę, ale dobrego siodła nie. Chodźcież, sir! Byłem właśnie w knajpie, w której jest chłodne piwo. W czerwcu piwo to prawdziwa rozkosz. Gotów jestem wypić jeszcze kilka szklanek.

Zaprowadził mnie do małego lokalu, w którym sprzedawano piwo flaszkowe po bardzo wysokiej cenie; my byliśmy jedynymi gośćmi. Poczęstowałem Old Deatha cygarem, ale nie przyjął go, wyciągnął natomiast tabliczkę tytoniu do żucia, odciął kawałek, który wystarczyłby dla pięciu majtków, wsunął go w usta, umieścił pod policzkiem, a potem rzekł:

─ Tak, teraz wam służę. Ciekaw jestem, jaki wiatr przywiał was za mną tak szybko. Czy pomyślny?

─ Nie, nawet bardzo przeciwny.

─ Więc nie zamierzaliście przybyć tutaj?

─ Nie. Chciałem się dostać do Kwintany. Ponieważ jednak nie nadarzała się szybka okazja, przyjechałem tu, gdyż powiedziano mi, że tu łatwo złapać okręt do tej miejscowości. Niestety muszę czekać aż dwa dni.

─ Znieście to cierpliwie, master, i pocieszcie się tym słodkim przekonaniem, że nie macie szczęścia.

─ Ładna pociecha! Czy sądzicie, że wa-m za nią złożę uroczyste podziękowanie?

─ Zbyteczne! ─ zaśmiał się Old Death. ─ Rad udzielam zawsze za darmo. Zresztą mnie się tak samo powodzi. Siedzę tu niepotrzebnie, ponieważ byłem zbyt powolny. Postanowiłem pojechać do Austin, a potem trochę dalej przez Rio Grandę del Norte. Pora roku pomyślna. Deszcz padał, więc w Kolorado dość wody i można płytkim statkiem dotrzeć do Austin. Kiedy indziej, a nawet przez większą część roku Kolorado ma bardzo mało wody.

─ Słyszałem, że jakaś zapora przeszkadza żegludze.

─ Nie jest to właściwie zapora stała, lecz mnóstwo naniesionego przez wodę drzewa, co sprawia, że rzeka o osiem mil angielskich stąd dzieli się na kilka odnóg. Za tym drzewem

droga jest wolna aż do Austin i dalej. Ponieważ w tym miejscu żegluga się przerywa, najlepiej przejść ten kawałek pieszo i tam wsiąść na okręt. Zamierzałem tak zrobić, ale to piwo mi dogodziło. Raczyłem się nim z wielką przyjemnością i zabawiłem w Matagordzie za długo, gdy więc przybyłem do zatoru, parowiec dał mi drapaka sprzed nosa. Musiałem dźwigać siodło z powrotem, a teraz czekam na następny statek, który ma odejść jutro rano.

— A więc jesteśmy towarzyszami niedoli. Pocieszcie się wy tym samym, czym mnie kazaliście się przedtem uspokoić. Oto wy także nie macie szczęścia.

— To nic. Ja nie ścigam nikogo i wszystko mi jedno, czy przybędę do Austin dzisiaj, czy za tydzień. Ale złości mnie to, że ta głupia żaba mnie wyśmiała. Uprzedził mnie i gwizdał na mnie z pokładu, kiedy musiałem stać z siodłem na brzegu. Jeśli go jeszcze kiedy spotkam, to dostanie lepsze cięgi niż na tamtym statku.

— Mieliście bójkę, sir?

— Bójkę? Old Death się nigdy nie bije. Ale na „Delfinie", którym tutaj przybyłem, znajdował się hultaj, który pokpiwał sobie z mojej powierzchowności i uśmiechał się, ilekroć mnie zobaczył. Zapytałem, co go tak bawi, a gdy mi odpowiedział, że mój szkielet, dostał taki policzek, że usiadł. Potem porwał się do rewolweru, ale nadszedł kapitan, kazał mu się wynosić i oświadczył, że spotkała go słuszna kara za to, że mnie obraził. Dlatego śmiał się szelma, gdy się do zatoru spóźniłem na statek. Szkoda jego towarzysza podróży! Wyglądał na prawdziwego dżentelmena, tylko wciąż był smutny i ponury i patrzył przed siebie jak obłąkany.

Te słowa zwróciły moją uwagę.

— Obłąkany? — rzekłem. — Czy słyszeliście może, jak się nazywa?

— Kapitan mówił do niego „master Ohlert". Teraz wydało mi się, że mnie ktoś ugodził pałką po głowie. Zapytałem z pośpiechem:

— Ach! A jego towarzysz?

— Nazywał się Clinton, jeśli dobrze pamiętam.

— Czy to możliwe, czy to możliwe? — zawołałem zrywając się ze stołka. — Oni obydwaj byli z wami na statku?

Old Death spojrzał na mnie zdumionym wzrokiem, mówiąc:

— A was co napadło, sir? Podrywacie się jak rakieta! Czy was ci ludzie co obchodzą?

— Nawet bardzo, bardzo! Szukam ich właśnie! Po twarzy przemknął mu znów przyjazny grymas.

— Ładnie, ładnie — rzekł — przyznajecie więc nareszcie, że śledzicie dwóch ludzi? I to tych dwóch właśnie? Hm! Jesteście istotnie greenhornem, sir! Sami pozbawiliście się dobrego połowu.

— Jak to?

— Dlatego, że w Nowym Orleanie nie byliście szczerzy w stosunku do mnie.

— Wszak nie mogłem w tej sprawie inaczej się zachować — odparłem.

— Człowiekowi wolno zrobić wszystko, co prowadzi do dobrego celu. Gdybyście przedstawili mi swoją sprawę, byliby już teraz obydwaj w waszych rękach. Poznałbym ich natychmiast, wsiadając na statek, i albo sam was sprowadził, albo zawiadomił przez kogoś. Czy nie mam racji?

— Kto mógł wiedzieć, że się tam z nimi spotkacie! Oni jechali zresztą nie do Matagordy, lecz do Kwintany.

— Tak powiedzieli tylko. Wcale tam nie wysiedli. Jeśliście mądrzy, to opowiedzcie mi całą tę historię. Może ułatwię wam wasze zadanie.

Ten człowiek istotnie żywił wobec mnie dobre chęci. Nie myślał wcale mi dokuczać, a mimo to czułem się zawstydzony. Wczoraj starałem się milczeć przed nim, dziś zmusiły mnie do wyjaśnienia okoliczności. Ambicja doradzała mi zataić rzecz dalej, ale rozum zwyciężył. Wydobyłem obie fotografie, podałem Old Deathowi i rzekłem:

— Zanim zacznę opowiadać, przypatrzcie się tym wizerunkom. Czy te osoby widzieliście?

— Tak, tak, to oni! — potwierdził rzuciwszy okiem na fotografie. — Wszelka pomyłka jest wykluczona.

Teraz przedstawiłem mu otwarcie i szczegółowo całą sprawę. Przysłuchiwał się uważnie, a gdy skończyłem, potrząsnął głową i oświadczył:

— Wszystko to jest dla mnie jasne. Jednego tylko nie rozumiem. Czy ten Wiliam jest istotnie obłąkany?

— Nie. Nie znam się wprawdzie na chorobach umysłowych, ale tutaj moim zdaniem zachodzi tylko wypadek manii, gdyż poza tym Wiliam panuje całkowicie nad swoimi uczynkami.

— Tym bardziej wydaje mi się niepojęte, że pozwala temu Gibsonowi wywierać tak nieograniczony wpływ na siebie. Zdaje się, że on we wszystkim słucha tego człowieka. Gibson widocznie chytrze się z nim obchodzi i zręcznie używa go do swoich celów. Jest nadzieja, że podpatrzymy te wszystkie wybiegi i podstępy.

— Jesteście zatem pewni, że zdążają do Austin? A może zamierzają wysiąść po drodze?

— Nie, Ohlert powiedział kapitanowi okrętu, że się udaje do Austin.

— To mnie dziwi, że tak otwarcie podał cel swej podróży.

— Czemu? Ohlert nie wie może nawet, że go ścigają i że jest na manowcach. Działa w dobrej wierze i żyje zaabsorbowany tylko swoją ideą, a reszta jest sprawką Gibsona. Obłąkany uważał za stosowne powiedzieć kapitanowi, dokąd jedzie, a ten podzielił się ze mną tą wiadomością. Cóż poczniecie teraz?

— Naturalnie, że czym prędzej udam się za nimi.

— Mimo niecierpliwości musicie zaczekać do jutra. Wcześniej żaden statek tam nie odchodzi.

— A kiedy tam dopłyniemy?

— Wobec obecnego stanu wody dopiero pojutrze. .

— Ach, jak to długo, jak to długo!

— Weźcie pod uwagę, że oni dwaj z powodu niskiego stanu wody także przybędą później. Nie da się tego uniknąć, że czasem statek utyka na mieliźnie i upływa sporo czasu, zanim go znowu ruszą z miejsca.

— Żebym tylko wiedział, co Gibson zamierza i dokąd wlecze Ohlerta!

— Tak, to zaiste zagadka. Oszust ma niewątpliwie jakiś określony cel. Pieniądze, które dotąd podjęli, wystarczyłyby, aby uczynić go zamożnym człowiekiem. Mógłby je wziąć sobie, a Ohlerta po prostu zostawić na lodzie. Fakt, że tego jeszcze nie uczynił, dowodzi, że chce go dalej wyzyskiwać. Bardzo mnie ta sprawa zajmuje, a ponieważ na razie jedziemy tą samą drogą, przeto jestem na wasze usługi, jeśli sobie tego życzycie.

— Przyjmuję waszą pomoc z wdzięcznością, sir. Wzbudzacie we mnie szczere zaufanie, wasza przychylność bardzo mnie cieszy i spodziewam się, że wasze łaskawe starania wielce się przydadzą.

Uścisnęliśmy sobie ręce i wypróżniliśmy szklanki. Żałowałem mocno, że już wczoraj nie zwierzyłem się temu człowiekowi.

Podano nam właśnie nowe szklanki, kiedy doleciał nas przeraźliwy zgiełk. Można w nim było rozróżnić dzikie wrzaski ludzkie i szczekanie psów. Hałas zbliżał się coraz bardziej. Naraz otwarły się gwałtownie drzwi i weszło sześciu mężczyzn, z których każdy musiał już dobrze wypić przedtem, gdyż żadnego nie można było nazwać trzeźwym. Ordynarne postacie i twarze, lekkie południowe ubrania i pyszna broń natychmiast wpadały w oko. Każdy uzbrojony był w strzelbę, nóż i rewolwer albo pistolet; a prócz tego mieli wszyscy u boku tęgie harapy i trzymali na mocnych smyczach psy. Były to ogromne psiska owej starannie hodowanej rasy, używanej w stanach południowych do chwytania zbiegłych Murzynów. Nazywają się one „krwawymi łapaczami ludzi”.

Awanturnicy przypatrzyli się nam bez powitania bezczelnym wzrokiem, rzucili się na krzesła, aż zatrzeszczały, pokładli nogi na stole i zaczęli po nim bębnić obcasami, co miało oznaczać, że zwracają się do gospodarza z uprzejmą prośbą, żeby się do nich potrudził.

— Człowiecze, czy masz piwo? — krzyknął jeden z nich.

Gospodarz z trwogą dał potakującą odpowiedź i wycofał się czym prędzej, aby obsłużyć swych wytwornych gości, ja zaś odwróciłem się mimo woli i spojrzałem na mówiącego. Ten dostrzegł to. Jestem pewien, że w moim spojrzeniu nie było nic obrażającego, ale on widocznie nie lubił, żeby mu się przypatrywać, a może szukał zaczepki, bo wrzasnął do mnie:

— Czemu się na mnie gapisz? Odwróciłem się w milczeniu.

— Miejcie się na baczności! — szepnął do mnie Old Death. — To są awanturnicy najgorszego gatunku, wydaleni ze służby dozorcy niewolników, których chlebodawcy pobankrutowali po zniesieniu niewolnictwa. Teraz połączyli się, aby. razem wieść zbrodniczy żywot. Najlepiej na nich nie zważać. Wypijmy prędzej i wynośmy się.

Ten szept nie podobał się widocznie awanturnikowi, bo wrzasnął znowu ku nam:

— Co tam gadasz po cichu, stary szkielecie? Jeśli mówisz o nas, to krzycz głośno, bo inaczej my otworzymy ci gębę!

Old Death przyłożył szklankę do ust i pociągnął parę łyków, nic nie odpowiadając. Nowi goście dostali piwo i skosztowali. Choć napój był istotnie niezły, mimo to krzycząc i wydziwiając, wylali go na izbę. Ten, który do nas mówił poprzednio, trzymał jeszcze w ręku pełną szklankę i zawołał:

— Nie na podłogę! Tam siedzą dwaj, którym to widocznie smakuje. Niech mają! — po czym rozmachnął się i bryznął na nas piwem.

Old Death otarł sobie zmoczoną twarz rękawem, ja jednak nie zdołałem znieść tak spokojnie tej nikczemnej obelgi. Kapelusz, kołnierz, bluza, wszystko ociekało mi piwem, ponieważ na mnie padł główny strumień. Odwróciłem się i rzekłem:

— Sir, proszę was bardzo, żebyście nie powtarzali tej zabawy! Żartujcie sobie z kolegami, ale nas zostawcie w spokoju!

— Tak! A co byście zrobili, gdyby mi przyszła ochota oblać was znowu?

— To by się okazało.

— Proszę? W takim razie musimy zaraz zobaczyć, co by się okazało. Gospodarzu, piwa!

Reszta śmiała się i ryczała zadowolona ze swojego herszta, który gotów był żart powtórzyć.

— Na miłość Boga, sir, nie zaczepiajcie tych drabów — ostrzegł mnie Old Death.

— Czy się boicie? — zapytałem.

— Ani mi się śni, ale oni zaraz chwytają za broń, a na kulę nawet najodważniejszy nic nie poradzi. Zważcie też, że oni mają psy!

Psy były przywiązane do nóg stołowych. Aby mnie znowu z tyłu nie oblano, wstałem z miejsca i usiadłem tak, że zwróciłem się bokiem do awanturników.

— Aha! Przybiera obronną postawę! — zaśmiał się dowódca. — Będzie się bronił, ale jeśli się tylko ruszy, puszczę na niego Plutona. On tresowany na ludzi.

Odwiązał psa i trzymał go na sznurku przy sobie. Jeszcze gospodarz nie przyniósł piwa, jeszcze mieliśmy czas rzucić na stół pieniądze i odejść, ale przypuszczałem, że ta banda nie pozwoli nam się oddalić, a ponadto czułem wstręt do ucieczki przed tymi pogardy godnymi ludźmi. Tacy samochwalcy są zawsze tchórzami na dnie duszy.

Sięgnąłem do kieszeni i odbezpieczyłem rewolwer. Wiedziałem, że jeżeli przyjdzie do mocowania, zwyciężę, nie byłem tylko pewien, czy mi się uda pokonać psy. Miałem już, co prawda, do czynienia z psami tresowanymi na ludzi, ale mogłem sobie poradzić tylko z jednym na raz.

Wtem wszedł gospodarz, postawił szklanki na stole i rzekł błagalnym głosem do swych wojowniczych gości:

— Dżentelmeni, wasze odwiedziny są mi bardzo przyjemne, ale proszę was, żebyście zostawili w spokoju tych dwóch ludzi. To także moi goście.

— Łotrze! — ryknął jeden z nich. — Chcesz nam dawać nauki? Zaczekaj, zaraz ostudzimy twój zapał!

I zawartość dwóch czy trzech szklanek trafiła w gospodarza, który uznał za najwłaściwsze opuścić czym prędzej izbę.

— No, a teraz tamten pyskacz! — zawołał mój przeciwnik. — Teraz dostanie!

Trzymając psa lewą ręką, prawą chlusnął ku mnie całą szklankę piwa. Zerwałem się ze stołka i skoczyłem w bok tak, że mnie strumień nie dosięgną!, po czym podniosłem pięść, by się na tego łotra rzucić i ukarać go. On uprzedził mnie jednak.

— Pluto, bierz go! — zawołał puściwszy psa.

Zostało mi jeszcze tyle czasu, żeby przyskoczyć do ściany. Potężny zwierz rzucił się na mnie, przeskakując całą przestrzeń między mną a sobą, wynoszącą pięć kroków, jednym, iście tygrysim skokiem. Pies był pewny, że pochwyci mnie zębami za gardło. W chwili jednak, kiedy chciał mnie ugryźć, uderzył nosem o ścianę. Skok był tak silny, że pies padł ogłuszony na ziemię.

Porwałem go błyskawicznie za tylne nogi, zamachnąłem się i palnąłem nim o ścianę tak mocno, że rozbiłem mu czaszkę.

Powstał okropny hałas. Psy szczekały, wyły i ciągnęły smyczami stoły, ludzie klęli, a właściciel zabitego psa gotował się do bójki ze mną. Wtem powstał Old Death i mierząc do łotrów z obydwu rewolwerów, zawołał:

— Stop! Na teraz jednakże już dość, chłopcy. Jeszcze jeden krok lub ruch po broń, a strzelę. Pomyliliście się trochę co do nas. Ja jestem poszukiwacz ścieżek, Old Death, o którym słyszeliście zapewne, a ten sir, mój przyjaciel, również się was nie boi. Siądźcie i pijcie dalej grzecznie swoje piwo! Weź rękę od kieszeni, bo strzelam!

Z tą przestrogą zwrócił się do jednego z byłych dozorców niewolników, który zbliżył rękę do kieszeni, aby wydobyć rewolwer. Ponieważ ja także tymczasem wyciągnąłem rewolwer, przeto obaj z Old Deathem rozporządzaliśmy osiemnastu strzałami. Zanimby który z tych hultajów zdołał pochwycić za broń, musiałby dostać kulą w łeb. Stary poszukiwacz ścieżek zmienił się naraz zupełnie. Jego zazwyczaj pochylona postać wyprostowała się i podniosła, oczy zabłysły, a na całej twarzy odbił się wyraz energii nie znoszącej oporu. Było to wprost komiczne, jak spokornieli ci,, przedtem tak butnie zachowujący się, ludzie. Mruknęli półgłosem kilka uwag, lecz usiedli w końcu; nawet właściciel zabitego psa nie ważył się doń przystąpić, gdyż musiałby zbliżyć się zanadto do mnie.

Staliśmy jeszcze z rewolwerami w ręku, kiedy wszedł nowy gość, Indianin.

Miał na sobie wyprawioną na biało i pokrytą czerwonym haftem indiańskim bluzę myśliwską i spodnie z tego samego materiału, ozdobione na szwach frędzlami ze skalpów. Cały strój wolny był od wszelkich plam lub brudu. Małe nogi Indianina tkwiły w haftowanych perłami trzewikach, ozdobionych ponadto kolcami jeżozwierza. Na jego szyi zauważyłem woreczek z „lekami", artystycznie rzeźbioną fajkę pokoju i potrójny sznur pazurów szarego niedźwiedzia, zdobytych na tym najstraszliwszym drapieżcy Gór Skalistych. Dokoła bioder biegł pas sporządzony z kosztownego koca santillo, spoza pasa wyglądały rękojeści noża i rewolwerów. W prawej ręce trzymał dwururkę, której części drewniane obite były gęsto srebrnymi gwoździami. Na głowie nie miał Indianin żadnego okrycia. Ciemne, granatowoczarne włosy związane były w węzeł podobny do hełmu i przeplecione rzemieniem ze skóry grzechotnika. Ani orle pióro, ani żadna inna odznaka nie zdobiła tej fryzury, a mimo to od razu nasuwała się myśl, że ten młodzieniec jest wodzem i słynnym wojownikiem. Rysy poważnej, pięknej, męskiej jego twarzy można było nazwać rzymskimi. Kości policzkowe wystawały zaledwie w nieznacznej mierze, a wargi były pełne, choć subtelnie zarysowane. Matowa, jasna cera miała lekki odcień

brązowy. Jednym słowem był to... Winnetou, wódz Apaczów, z którym łączyło mnie braterstwo krwi.

Zatrzymał się na chwilę w drzwiach. Bystrym, badawczym spojrzeniem ciemnych oczu przebiegł po całej izbie i po wszystkich znajdujących się w niej osobach, po czym usiadł blisko nas, a jak najdalej od gapiących się nań awanturników.

Już się podnosiłem, aby podejść do Winnetou i pozdrowić go jak najserdeczniej, gdy zastanowiło mnie, że nie zwrócił na mnie uwagi, chociaż niewątpliwie mnie poznał. Miał widocznie jakiś ważny powód ku temu, przeto i ja nie wstałem, starając się przybrać wyraz obojętności.

Z twarzy jego wyczytałem, że zrozumiał natychmiast całe położenie. Zmrużył oczy, jakby z lekką pogardą, rzucił jeszcze raz okiem na naszych przeciwników, a kiedyśmy usiedli i schowali rewolwery, ukazał się na jego ustach ledwie dostrzegalny, ale przychylny uśmiech.

Wrażenie, jakie wywołał, było tak wielkie, że po jego wejściu zrobiło się cicho jak w kościele. Cisza ta upewniła widocznie gospodarza, że niebezpieczeństwo minęło, bo wychylił głowę przez przymknięte drzwi, a widząc, że jego przypuszczenie się sprawdza, wsunął się cały do izby.

— Proszę o szklankę piwa! — rzekł Indianin piękną, jasną angielszczyzną i miłym dla ucha, dźwięcznym głosem.

Jego zachowanie zwróciło uwagę awanturników. Zbliżyli głowy i poczęli coś szeptać. Spojrzenia rzucane ukradkiem na Indianina dowodziły, że nie mówili o nim nic korzystnego.

Winnetou otrzymał piwo, podniósł szklankę pod światło padające przez okno, zbadał je wzrokiem znawcy i skosztował.

— Dobre! — rzekł mlasnąwszy językiem. — Wasze piwo jest dobre. Wielki Manitou białych ludzi nauczył ich wielu sztuk, a warzenie piwa nie należy do najmniejszych.

— Czy uwierzyłby kto, że to Indianin? — rzekłem cicho do Old Deatha, udając, że nie znam Winnetou.

— Tak, i to jeszcze jaki! — odpowiedział stary również cicho, ale z naciskiem.

— Czy znacie go? Czy widzieliście i spotkaliście go już kiedy?

— Nie widziałem go jeszcze, ale poznaję go po ubraniu, postaci, wieku, a najbardziej po strzelbie. To słynna srebrna rusznica, która nigdy nie chybia celu. Macie szczęście poznać najsłynniejszego indiańskiego wodza Ameryki Północnej, wodza Apaczów, Winnetou, najwybitniejszego wojownika ze wszystkich Indian. Imię jego rozbrzmiewa w każdym pałacu, w każdej chacie, przy każdym obozowym ognisku. Sprawiedliwy, rozumny, rzetelny, wierny, dumny, waleczny aż do zuchwalstwa, mistrz we władaniu wszelką bronią, przyjaciel i obrońca wszystkich czerwonoskórych i białych potrzebujących pomocy, znany jest wszerz i wzdłuż Stanów Zjednoczonych i daleko poza ich granicami jako największy bohater dalekiego Zachodu.

— Ale gdzie nauczył się tej angielszczyzny i tych manier białego dżentelmena?

— Spędza wiele czasu na Wschodzie, a prócz tego opowiadają, że europejski uczony dostał się do niewoli Apaczów, którzy jednak tak dobrze się z nim obchodzili, że postanowił u nich pozostać. On to był nauczycielem Winnetou, ale nie wpoił prawdopodobnie w niego swoich humanitarnych zasad i, być może, sam zmarniał w niewoli.

Old Death powiedział to tak cicho, że ja ledwie zdołałem go zrozumieć. Mimo to Indianin, choć siedział od nas o jakich pięć łokci, odwrócił się i rzekł do mego nowego przyjaciela:

— Old Death się pomylił. Biały uczony dobrowolnie przybył do Apaczów, gdzie go przyjaźnie przyjęto. Stał się nauczycielem Winnetou i uczył go być dobrym i odróżniać grzech od sprawiedliwości i prawdę od kłamstwa. Nie zmarniał on w niewoli, lecz przez cały czas doznawał czci i nie tęsknił nigdy do białych mężów. Gdy umarł, obsadzono grób jego dębami. Przeniósł się na wiecznie zielone sawanny, gdzie zbawieni nie rozszarpują się wzajem, lecz

piją zachwyt z oblicza Manitou. Tam go Winnetou znowu zobaczy i zapomni o nienawiści, jaką widzi tu, na ziemi.

Old Death był niesłychanie uszczęśliwiony tym, że Winnetou go poznał. Twarz promieniała mu radością, kiedy zapytał:

— Jak to, sir, wy mnie znacie? Rzeczywiście?

— Nie widziałem was jeszcze, ale mimo to poznałem was natychmiast, gdy tu wszedłem. Jesteście poszukiwaczem ścieżek, którego imię rozbrzmiewa aż po Las Animas.

Po tych słowach znów się od nas odwrócił. Podczas rozmowy nie drgnął ani jeden rys jego spiżowej twarzy. Teraz siedział cicho zatopiony w sobie, jak gdyby nie zajmował się zupełnie tym, co się odbywało z tyłu, poza nim.

Nasi przeciwnicy szeptali dalej między sobą, kiwali potwierdzająco głowami i powzięli zapewne jakieś postanowienie. Nie znali Indianina, nie umieli z jego mowy wywnioskować, kim jest, i zamierzali prawdopodobnie wynagrodzić sobie poniesioną przedtem klęskę, dając mu odczuć, jak dalece gardzą czerwoną skórą. Byli też, zdaje się, przekonam, że nie przyjdzie nam na myśl ująć się za nim, gdyż jako nie dotknięci osobiście obrazą, musielibyśmy, wedle panujących tu zasad, zachować się spokojnie. Ten, który przedtem mnie zaczepił, wstał i podszedł powoli w wyzywającej postawie ku Indianinowi. Ja na to wydobyłem z kieszeni rewolwer i położyłem na stole przed sobą, żeby go móc łatwo dosięgnąć.

— To niepotrzebne! — szepnął do mnie Old Death. — Winnetou poradzi sobie nawet z podwójną liczbą takich drabów.

Awanturnik rozkraczył się szeroko przed Apaczem, oparł ręce na biodrach i rzekł:

— Czego szukasz tu, w Matagordzie, czerwona skóro? My nie możemy znieść dzikich w swym towarzystwie.

Winnetou nie spojrzał nawet na mówiącego, podniósł szklankę do ust, pociągnął dobry łyk, mlasnął językiem.na znak, że mu smakuje, i postawił znowu szklankę na stole.

— Czy słyszałeś, co powiedziałem, przeklęta czerwona skóro? — krzyknął drab. — Chcę wiedzieć, co tutaj robisz. Snujesz się, by podsłuchiwać i grać rolę szpiega. Te czerwone skóry stoją po stronie Juareza, który ma także skórę czerwoną, ale my jesteśmy po stronie imperatora Maksa i wieszamy każdego Indianina, który nam wejdzie w drogę. Jeśli w tej chwili nie zawtórujesz nam w okrzyku: „Niech żyje cesarz Maks!", to założymy ci stryczek na szyję!

I teraz nie odezwał się Apacz ani słowem. Ani jeden muskuł nie drgnął mu w twarzy.

— Psie, czy rozumiesz? Żądam odpowiedzi! — wrzasnął rozwścieczony awanturnik i położył pięść na ramieniu Winnetou.

Na to poderwała się natychmiast gibka postać Indianina.

— Precz! — zawołał rozkazująco. — Nie ścierpię, jeśli na mnie kojot wyje.

Kojot to tchórzliwy wilk preriowy, uważany powszechnie za zwierzę godne pogardy. Indianie posługują się tą obelgą, ilekroć chcą komuś okazać swoje lekceważenie.

— Kojot? — zawołał drab. — To obelga, za którą puszczę ci krew, i to natychmiast.

Równocześnie wydobył rewolwer, lecz wtem stało się coś, czego się napastnik nie spodziewał. Oto Apacz wytrącił mu z ręki broń, porwał go za biodra, podniósł i rzucił nim w okno, które oczywiście roztrzaskało się w drobne kawałki i wyleciało razem z nim na ulicę.

Odbyło się to o wiele prędzej, niźli się da opowiedzieć. Brzęk szyb, wycie psów, gniewny ryk towarzyszy wyrzuconego w ten sposób hultaja, to wszystko złożyło się na straszny zgiełk, nad którym górował głos Winnetou. Indianin przystąpił do drabów, wskazał ręką okno i zawołał:

— Czy jeszcze kto chce się tam dostać? Niechaj powie! Podczas tego zbliżył się zanadto do jednego z psów, który już zamierzał chwycić go zębami, ale Apacz kopnął zwierzę tak, że skowycząc wlazło pod stół. Dozorcy niewolników cofnęli się ze strachem i zamilkli. Winnetou nie miał w ręku żadnej broni. Wszystkich wprawił w podziw. Indianin wyglądał jak pogromca zwierząt, który wchodząc do klatki poskramia drapieżników wzrokiem.

Wtem drzwi otwarły się gwałtownie i wszedł wyrzucony przez okno awanturnik z twarzą pokaleczoną lekko odłamkami szkła. Dobył noża i skoczył z okrzykiem wściekłości ku Winnetou. Apacz ustąpił cokolwiek na bok i chwycił napastnika szybkim ruchem za rękę, w której tamten trzymał nóż. Potem porwał go znów tak samo jak przedtem za biodra, podniósł i tak nim grzmotnął o podłogę, że drab legł na niej bez przytomności. Ani jeden z towarzyszy obitego nie próbował już zaczepki ze zwycięzcą, który z całym spokojem, jak gdyby nic nie zaszło, wypił resztę piwa. Następnie skinął na gospodarza ukrytego trwożnie za drzwiami, wyjął sakiewkę zza pasa, dobył z niej mały, żółtawy przedmiot i wsunął mu go do ręki, mówiąc:

— To za piwo i za okno, master landlord! Widzicie, że dziki płaci, co jest winien, można się tym bardziej spodziewać, że i od cywilizowanych otrzymacie swoją należność. Oni nie potrafią ścierpieć przy sobie „czerwonej skóry", ale wódz Apaczów, Winnetou, nie odchodzi dlatego, że się ich boi, lecz z tego powodu, że przekonał się, iż u tych bladych twarzy tylko barwa skóry, a nie dusza jest jasna.

Wziął rusznicę i opuścił lokal, nie rzuciwszy na nikogo okiem. Nawet na mnie nie spojrzał.

Teraz awanturnicy znowu nabrali życia. Ciekawość ich jednak przewyższała zdaje się gniew, zawstydzenie i troskę o nieprzytomnego towarzysza. Zapytali gospodarza przede wszystkim, ile otrzymał od Indianina.

— Nugget — odrzekł zapytany, pokazując im kawałek szczerego złota wielkości laskowego orzecha. — Nugget, który wart przynajmniej dwanaście dolarów. To stare i zbutwiałe okno z popękanymi szybami doskonale mi się opłaciło. Zdaje się, że miał pełną sakiewkę nuggetów.

Hultajów opanowała złość z kolei z tego powodu, że czerwonoskóry posiadał taką masę złota. Nugget gospodarza przechodził z rąk do rąk, przy czym oceniano jego wartość. My, korzystając z tej sposobności, zapłaciliśmy i wyszliśmy z gospody.

— No, jakież wrażenie zrobił na was ten Apacz? — zapytał mnie Old Death, kiedyśmy szczęśliwie stanęli na dworze. — Czy znajdzie się drugi taki Indianin? Te łotry zlękły się go jak wróble na widok sokoła. Jaka szkoda, że go już nie zobaczę! Należało pójść za nim, aby się dowiedzieć, co tutaj robi, czy obozuje za miastem, czy też zajechał do jakiegoś hotelu. Musiał gdzieś umieścić konia, gdyż nie można sobie wyobrazić Apacza, a szczególnie Winnetou, bez rumaka. Zresztą, sir, i wy także sprawiliście się nieźle. Byłem już niemal w strachu, bo to zawsze niebezpiecznie wdać się z takimi łotrami, ale odwaga i zręczność, z jaką obeszliście się z tą psią bestią, każe się spodziewać, że niedługo przestaniecie być greenhornem. Ale oto już nasze mieszkanie! Czy wejdziemy? Taki stary traper, jak ja, tylko z konieczności wciska się między mury. Najlepiej się czuję, kiedy widzę nad sobą niebo. Pochodzimy jeszcze po tej pięknej Matagordzie dla zabicia czasu. A może lubicie grać?

— Nie jestem w ogóle graczem i na przyszłość będę się starał nim nie zostać.

— To słuszne, mój młodzieńcze! Ale tu każdy grywa, a im dalej w Meksyk, tym gorzej. Tam nawet mąż gra z żoną, kot z myszą, przy czym oczywiście i noże dość często latają. Skoro więc nie gracie, to użyjmy przechadzki. Potem coś zjemy i położymy się spać. W tym błogosławionym kraju człowiek nigdy nie wie, gdzie i kiedy pójdzie wieczorem na spoczynek.

— Tak źle chyba nie będzie!

— Nie zapominajcie, sir, o tym, że znajdujecie się w Teksasie, a tu stosunkowo daleko jeszcze do porządku. My, na przykład, zamierzamy udać się do Austin, ale pytanie jeszcze, czy się tam dostaniemy. Fale wypadków w Meksyku przewaliły się na drugą stronę Rio Grandę. Tam dzieje się niejedno. A ponadto musimy się także liczyć z pomysłami Gibsona. Jeśli mu przyszło na myśl przerwać drogę do Austin i wysiąść gdzieś po drodze, będziemy zmuszeni uczynić to samo.

— Ale jak się dowiemy, czy wysiadł?

— Będziemy się dopytywali. Parowiec nie śpieszy się tu na Kolorado tak jak na Missisipi lub gdzie indziej. W każdej miejscowości będziemy mieli z pół godziny czasu na wywiady. Mu-

simy się przygotować nawet na to, że przyjdzie nam niekiedy wysiąść tam, gdzie nie będzie ani miasta, ani hotelu, w którym moglibyśmy zagościć.

— A co w takim razie stanie się z moim kufrem? Old Death zaśmiał się głośno na to pytanie.

— Z kufrem, z kufrem! — zawołał. — Wożenie z sobą kufra to jeszcze resztka przedpotopowych stosunków. Któż rozumny wlókłby z sobą taki pakunek! Gdybym ja chciał zabierać z sobą wszystko, co może się przydać w podróżach i wędrówkach, nie zaszedłbym daleko. Weźcie to, co najbardziej potrzebne, a resztę kupicie w swoim czasie. Cóż to za ważne rzeczy macie w swej starej skrzyni?

— Ubrania, bieliznę, przybory toaletowe...

— To wszystko są rzeczy bardzo ładne, ale wszędzie można je dostać, a gdzie ich nie ma, tam się człowiek bez nich obejdzie, Koszulę nosi się dopóty, dopóki wytrzyma, a potem kupuje się nową. Przybory toaletowe! Nie gniewajcie się za to, sir, co powiem, ale szczotki do włosów, nożyczki do paznokci, pomady do wąsów i tym podobne drobiazgi poniżają mężczyznę. Rzeczy, którymi zmienialiście swój wygląd, mogły przydać się tam, gdzie byliście dotychczas, ale nie tutaj. Tu nie ma już potrzeby kryć się pod fałszywym zarostem. Takie romantyczne głupstwa nie prowadzą do celu. Tu należy zabrać się do rzeczy energicznie.

Zatrzymał się, zmierzył mnie wzrokiem od stóp do głów, zrobił wesołą minę i mówił dalej:

— Tak jak teraz przede mną stoicie, możecie się pokazać w buduarze najbardziej wymagającej damy albo w loży teatru. Ale Teksas nie jest ani krztynę podobny do buduaru czy do loży teatralnej. Może się łatwo zdarzyć, że wasze zgrabne ubranie wisieć będzie na was w strzępach, a piękny cylinder przybierze kształt harmonijki. Czy wiecie, dokąd uda się Gibson? W Teksasie nie zostanie, bo musi się wydostać ze Stanów Zjednoczonych. Okoliczność, że obrał tę drogę, pozwala się domyślać, iż dąży do Meksyku, gdzie wśród ogólnego zamieszania może zniknąć i nikt już, żadna policja nie wydobędzie go stamtąd.

— Kto wie, czy istotnie nie macie słuszności. Sądzę jednak, że gdyby jechał do Meksyku, to udałby się od razu do jednego z tamtejszych portów.

— Nonsens! Musiał opuścić Nowy Orlean tak pośpiesznie, że wsiadł na ten okręt, który najszybciej odjeżdżał. Po wtóre, porty meksykańskie znajdują się w rękach Francuzów, z którymi on z pewnością również woli się nie spotykać. Pozostaje mu do wyboru jedynie droga lądowa, a będzie niewątpliwie o tyle przezorny, żeby nie pokazywać się w większych miastach. Może więc się zdarzyć, że ominie także Austin i wysiądzie gdzieś po drodze. Pojedzie oczywiście konno słabo zaludnionym krajem ku Rio Grandę. Czy puścicie się za nim z kufrem, w cylindrze i w tym pięknym ubraniu? Gdyby tak było, musiałbym was porządnie wykpić.

Przyznawałem w duchu, że Old Death miał słuszność, ale dla żartu spojrzałem z udanym żalem na swoje, prawie jeszcze nowe ubranie. Na to poklepał mnie po ramieniu, mówiąc:

— Nie żałujcie i rozstańcie się śmiało z tym niepraktycznym ubraniem. Idźcie tu do handlarza, sprzedajcie cały ten niepotrzebny kram i sprawcie sobie za to inne szaty. Musicie bezwarunkowo kupić mocne i trwałe ubranie traperskie. Liczę na to, że zaopatrzono was oclicie w pieniądze.

Przyznałem mu rację.

— Wobec tego wszystko w porządku — dodał. — Precz z tymi łachami! Wszak umiecie jeździć konno i strzelać. Koń jest także niezbędny, ale tu na wybrzeżu się ich nie kupuje, bo są drogie i liche. W głębi kraju każdy farmer odstąpi wam dobrego wierzchowca. Tylko siodło trzeba tu kupić.

— O ja nieszczęśliwy! Czy każecie mi tak uganiać z siodłem na plecach, jak wy to czynicie?

— Czemużby nie? Czy wstyd wam przed ludźmi? Co to kogo może obchodzić, że ja noszę siodło? Jeśli mi się spodoba, to będę włóczył z sobą kanapę, aby przy sposobności spocząć na niej w puszczy lub na prerii. Kto by się ze mnie śmiał, temu dam szczutka w nos, aż mu wszystkie gwiazdy w oczach zabłysną. Wstydzić się należy tylko wówczas, kiedy się popełniło jakąś nieprawość albo głupstwo. Przypuśćmy, że Gibson z Wiliamem gdzieś wysiedli,

kupili konie i pojechali ─ wtedy dobre siodło bardzo wam się przyda. Róbcie, co chcecie, jeśli jednak życzycie sobie istotnie, żebym z wami pozostał, to posłuchajcie mojej rady. No, nie namyślajcie się długo!

Po tych słowach, nie czekając na moje postanowienie, wziął mnie za ramię, obrócił i pokazał mi dom z wielkim sklepem, nad którym widniał napis o łokciowych literach: „Sklep towarów mieszanych". Potem pociągnął mnie do wejścia, wepchnął tak, że wpadłem na beczkę śledzi, i sam wsunął się za mną z uśmiechem.

Napis firmy nie zawierał kłamstwa. Sklep był bardzo duży i zaopatrzony we wszystko, czego w tutejszych warunkach można było potrzebować: nawet siodła i strzelby.

Scena, która się teraz rozegrała, była jedyna w swoim rodzaju. Ja wyglądałem jak uczeń stojący z ojcem przed budą jarmarczną, chłopiec, któremu zaledwie wolno nieśmiało objawić swoje życzenie i wziąć to tylko, co wybierze doświadczony ojciec. Old Death oświadczył zaraz na początku, że właściciel sklepu musi przyjąć jako zapłatę moje ubranie i zawartość mojego kufra. Kupiec chętnie na to przystał i natychmiast posłał subiekta po mój kufer. Potem oszacowano moje rzeczy, Old Death zaś zaczął wybierać dla mnie strój. Wnet leżały przede mną czarne skórzane spodnie, para wysokich butów, czerwona wełniana koszula, kamizelka tego samego koloru z niezliczonymi kieszeniami, czarny wełniany szalik na szyję, bluza myśliwska z niebarwionej skóry jeleniej, skórzany pas szerokości dwu dłoni, worek na kule, kapciuch z pęcherza, fajka, kompas i kilkanaście innych drobiazgów, jak onuczki zamiast skarpetek, olbrzymie sombrero, koc wełniany z otworem na głowę, lasso, rożek z prochem, krzesiwo, nóż, siodło z kaburami i uździenica. Potem przystąpiliśmy do wybierania strzelb. Old Death nie był zwolennikiem nowości. Odsuwał wszystko, co nosiło na sobie świeższą datę, a wreszcie wybrał starą iglicówkę, na którą ja bym nie spojrzał. Zbadał ją z miną znawcy, nabił, wyszedł przed sklep i strzelił w szczyt dalekiego domu. Kula utkwiła w celu.

─ Well! ─ stwierdził z zadowoleniem. ─ Ta pukawka zrobi swoje. Znajdowała się w świetnych rękach i jest więcej warta od wszelakich rupieci, które się teraz zaszczyca nazwą rusznicy. Tę strzelbę wykonał dobry mistrz rusznikarski i spodziewam się, że przyniesiecie mu zaszczyt. Jeszcze tylko forma na kule i będziemy gotowi. Dostaniemy tu także ołowiu, pójdziemy więc do domu i odlejemy zapas kuł, których w Meksyku powinni się bać.

Wziąwszy jeszcze kilka drobiazgów, jak chustki do nosa, które Old Death uważał zresztą za zupełnie zbyteczne, przeszedłem do przyległego pokoiku, aby się przebrać. Gdy wróciłem do sklepu, stary zaczął mi się przypatrywać z zadowoleniem.

Żywiłem w duchu nadzieję, że on poniesie moje siodło, ale mu to ani przez myśl nie przeszło. Wpakował mi na plecy cały zakupiony magazyn i wypchnął za drzwi.

─ Tak ─ uśmiechał się na dworze. ─ Zobaczcie teraz, czy rzeczywiście jest się czego wstydzić! Każdy rozsądny człowiek będzie was uważał za rozumnego dżentelmena, a diabła to obchodzi, co będą mówili głupcy.

Teraz nie różniłem się już niczym od Old Deatha. Dźwigałem cierpliwie moje jarzmo do oberży, on zaś kroczył obok mnie, ubawiony wielce w duchu moim wyglądem.

Przybywszy do hotelu, położył się spać, ja zaś wyszedłem szukać Winnetou. Można sobie wyobrazić, jakie wrażenie wywarło na mnie ranne spotkanie. W knajpie ledwie zapanowałem nad sobą i nie rzuciłem mu się na szyje. Nie mogłem sobie wytłumaczyć, jak przybył do Matagordy i czego tutaj szukał, dlaczego udawał, że mnie nie zna. Jego zachowanie się miało z pewnością jakąś przyczynę, ale jaką?

Tęskniłem za rozmową z nim. On także niewątpliwie pragnął ze mną pomówić, spodziewałem się więc, że czeka na mnie gdzieś w okolicy. Obserwował nas pewnie i widział, gdyśmy wchodzili do hotelu. Należało go zatem szukać w pobliżu. Poszedłem od razu ku tylnej stronie domu, przytykającej do nie zabudowanego jeszcze placu, i rzeczywiście ujrzałem Winnetou opartego o drzewo, w odległości kilkuset kroków. Spostrzegłszy mnie, opuścił swe sta-

nowisko, poszedł zwolna w stronę lasu i znikł pomiędzy drzewami. Ja oczywiście podążyłem za nim. Wyszedł naprzeciw mnie z obliczem promieniejącym radością i zawołał:

— Szarlih, mój kochany, mój drogi bracie! Jakże się cieszę twym niespodziewanym widokiem! Tak raduje się poranek, kiedy po nocy słońce zaświeci.

Przycisnął mnie do siebie i ucałował.

— Co ranka wiadomo — odpowiedziałem — że słońce wzejść musi, my jednak nie spodziewaliśmy się, że się tu zobaczymy. Jakże jestem szczęśliwy, że słyszę znowu twój głos.

— Co sprowadza twą stopę do tego miasta? Czy masz tu co do czynienia, czy też wylądowałeś, aby stąd udać się do nas nad Rio Pecos?

— Pewien obowiązek, który przyjąłem na siebie, sprowadza mnie tutaj.

— Czy mój biały brat powie mi, jaki to obowiązek, i czy opowie, gdzie przebywał od czasu naszego rozstania nad Red River?

Równocześnie wciągnął mnie trochę głębiej w las, gdzie usiedliśmy obok siebie. Trzymając go za rękę opowiedziałem mu, co dotąd przeżyłem. Gdy skończyłem, on skinął poważnie głową i rzekł:

— Odmierzyliśmy ścieżkę dla ognistego konia, ażebyś otrzymał pieniądze, a huragan ci je zabrał. Gdybyś został u miłujących cię Apaczów, nigdy byś nie potrzebował pieniędzy. Dobrze zrobiłeś nie czekając na mnie w St. Louis u Henry'ego, gdyż moja droga nie prowadziła tamtędy.

— Czy mój brat pochwycił mordercę Santera?

— Nie. Zły Duch go chronił, a dobry Manitou dopuścił, że mi umknął. Udał się do żołnierzy stanów południowych, gdzie zniknął mi z oczu pośród wielu tysięcy. Ale oko moje zobaczy go jeszcze, a wówczas mi już nie ujdzie. Wróciłem nad Rio Pecos, nie osiągnąwszy celu. Nasi wojownicy przez całą zimę opłakiwali śmierć Inczuczuny i mojej siostry. Następnie musiałem odbyć wielkie podróże, aby rozmaite plemiona Apaczów powstrzymać od kroków zbyt pośpiesznych, gdyż chcieli podążyć do Meksyku i wziąć tam udział w walkach. Czy mój brat słyszał o czerwonoskórym prezydencie Juarezie?

— Tak.

— Kto ma słuszność: on, czy Napoleon?

— Juarez.

— Brat mój myśli tak samo jak ja. Proszę cię, byś nie pytał, co robię w Matagordzie! Muszę to nawet przed tobą zataić, gdyż tak przyrzekłem Juarezowi, którego spotkałem w El Paso del Norte. Czy mimo to, że mnie tu znalazłeś, udasz się za tymi dwoma bladymi twarzami, których szukasz?

— Muszę. Jakżebym się cieszył, gdybyś mi towarzyszył! Czy to niemożliwe?

— Nie. I ja muszę spełnić swoją powinność równie wielką, jak twoja. Dziś jeszcze tu zostaję, ale jutro wyjadę statkiem do La Grange, skąd się udam przez Fort Inge do Rio Grandę del Norte.

— Pojedziemy więc tym samym statkiem, tylko nie wiem jak daleko. Będziemy zatem razem jeszcze przez jutro.

— Nie. — Dlaczego?

— Ponieważ nie chciałbym mego brata wplątać w moją sprawę. Z tej samej przyczyny udałem przedtem, że cię nie znam. Także z powodu Old Deatha nie mówiłem z tobą.

— Jak to?

— Czy on wie, że jesteś Old Shatterhand?

— Nie. To nazwisko nie padło nigdy pomiędzy nami.

— Mimo to on słyszał o nim na pewno. Byłeś dotychczas na Wschodzie i nie wiesz, jak często wymawiają je na Zachodzie. Old Death słyszał pewnie także o Old Shatterhandzie, ale ciebie uważa, jak się zdaje, za greenhoma.

— Tak jest w istocie.

— W takim razie będzie to ogromną niespodzianką, kiedy się dowie, kto jest tym greenhornem. Nie chciałbym memu bratu popsuć tej przyjemności. Skoro odszukasz Ohlerta i jego krzywdziciela, spotkamy się na dłużej, bo niewątpliwie nas odwiedzisz.

— Na pewno.

— Pożegnajmy się więc teraz, Szarlih. Na mnie czekają blade twarze.

To rzekłszy powstał. Musiałem uszanować jego tajemnicę. Rozstałem się z nim znowu, ale w nadziei, że tym razem nie na długo.

Nazajutrz wynajęliśmy z Old Deathem dwa muły i pojechaliśmy do zatoru, gdzie czekał już statek.

Na parowcu znajdowało się mnóstwo podróżnych. Kiedy my, niosąc siodła, weszliśmy na pokład, jakiś głos zawołał:

— Na Jowisza! Oto idą dwa dwunożne osiodłane osły! Czy to kto widział? Zrobić miejsce, ludzie! Niech idą na dół! Takie bydło nie może jechać z dżentelmenami!

Ten głos nie był nam obcy. Najlepsze miejsca pokrytej szklanym dachem pierwszej klasy zajęli awanturnicy, których poznaliśmy wczoraj w piwiarni. Krzykacz, z którym poprzedniego dnia się rozprawiłem, grający widocznie rolę herszta przyjął nas tą nową obelgą. Spojrzałem na Old Deatha, ale ponieważ on puścił ją spokojnie mimo uszu, przeto ja także udałem, że nic nie słyszę. Usiedliśmy naprzeciw nich i wsunęliśmy siodła pod krzesła.

Stary usadowił się wygodnie, wyjął rewolwer, odwiódł kurek i położył broń obok siebie, a ja poszedłem za jego przykładem. Hultaje zbliżyli głowy, szepcząc między sobą, nie śmieli jednak rzucić już głośnej obelgi. Swoje psy, z wyjątkiem oczywiście jednego, mieli także z sobą. Herszt patrzył na nas szczególnie wrogo. Trzymał się pochyło, prawdopodobnie z powodu uszkodzenia, jakiego doznał, gdy został rzucony o ziemię przez Winnetou. Na jego twarzy widniały świeże zadrapania od szkła.

Gdy konduktor zapytał, dokąd jedziemy, Old Death podał miejscowość Kolumbus. Zapłaciliśmy za przejazd do tej przystani, tam mogliśmy w razie potrzeby kupić bilety na dalszą podróż. Old Death bowiem sądził, że Gibson nie pojechał aż do samego Austin.

Rozległ się już drugi sygnał, kiedy zjawił się nowy podróżny — Winnetou. Jechał na karym ogierze, osiodłanym na- sposób indiański. Było to wspaniałe zwierzę. Indianin zeskoczył z siodła dopiero na pokładzie i zaprowadził wierzchowca na przód statku, gdzie znajdowało się ogrodzenie z desek na wysokość człowieka, przeznaczone dla koni.

Następnie nie zważając na nikogo usiadł przy burcie statku. Awanturnicy oczywiście baczenie go obserwowali. Zaczęli głośno chrząkać i kaszlać, aby zwrócić na siebie jego uwagę, ale na próżno. Winnetou siedział wsparty o lufę swej kutej srebrem strzelby na pół odwrócony od nich, jak gdyby ich wcale nie słyszał.

Wtem zabrzmiał dzwonek po raz trzeci. Zaczekano jeszcze kilka minut, czy nie nadejdzie w ostatniej chwili jakiś spóźniony podróżny, po czym poruszyły się koła i statek popłynął.

Zdawało się z początku, że podróż minie spokojnie. Do Wharton na statku panował zupełny spokój. Tam opuścił pokład jeden podróżny, a za to wsiadło wielu nowych. Old Death udał się na brzeg na kilka minut, aby zapytać stojącego tam komisjonera o Gibsona, i dowiedział się, że opisani przez niego ludzie nie wysiedli w tej miejscowości. Ten sam skutek odniosło także dopytywanie się w Kolumbus. Wobec tego kupiliśmy bilety do La Grange. Z Matagordy do Kolumbus statek przebywa przestrzeń, dla pokonania której pieszy wędrowiec potrzebowałby pięćdziesięciu godzin. Było już dość późno po południu, kiedy dojechaliśmy do tej miejscowości. Przez cały ten czas Winnetou tylko raz opuścił swe miejsce, aby zaczerpnąć dla konia wody i dać mu trochę kukurydzy.

Zdawało się, że awanturnicy zapomnieli o swej złości do Apacza. Zaczepiali co pewien czas nowych podróżnych, ale przeważnie odpowiadano im na to pogardliwym milczeniem. Chełpili się tym, że nie należą do abolicjonistów, pytali każdego o jego przekonania i wymyślali wszystkim, którzy byli odmiennego zdania. Wyrażenia, jak „przeklęty republikanin”,

„pociotek murzyński", „sługus Jankesów" i inne, daleko gorsze, sypały im się z ust tak, iż w końcu wszyscy odsunęli się nie chcąc mieć z nimi nic do czynienia. Ta okoliczność zapewne sprawiła, że zaniechali zaczepek w stosunku do nas. Nie spodziewali się widocznie z niczyjej strony pomocy. Gdyby jednak znaleźli więcej zwolenników, przepadłby spokój na okręcie.

W Kolumbus niestety wysiadło wielu spokojnych ludzi, a na ich miejsce weszli liczni podróżni o zupełnie odmiennym sposobie postępowania. Między innymi wtoczyła się na pokład banda piętnastu czy dwudziestu pijanych, których zachowanie się nie zapowiadało nic dobrego. Awanturnicy powitali ich ze zgiełkliwą radością. Przybysze przyłączyli się do nich i niebawem widać było, że niespokojne żywioły uzyskały na statku przewagę. Draby rozwalały się na siedzeniach, nie pytając, czy to komu wygodne, czy nie, popychały spokojnych podróżnych i okazywały, że czują się tu panami. Kapitan pozwolił im hałasować, sądząc prawdopodobnie, że najlepiej na nich nie zważać. Dopóki nie przeszkadzali mu w kierowaniu statkiem, pozostawił samym podróżnym obronę przed napaściami. Na jego rumianym obliczu błąkał się nieustannie dobroduszny uśmiech.

Większość awanturników udała się do restauracji okrętowej, skąd też wkrótce zabrzmiały dzikie wrzaski, którym towarzyszył brzęk szkła rozbijanych flaszek. Potem wbiegł na pokład kelner, Murzyn, wdrapał się na pomost kapitański i począł biadać, że go zbili harapem i grożą, iż go powieszą na kominie okrętowym.

Na skutek tych słów kapitan spoważniał. Wyjrzał, czy statek płynie w odpowiednim kierunku, i sam poszedł do restauracji; mijając nas zetknął się z konduktorem, który od razu zaczął mówić:

— Kapitanie, nie możemy dłużej przypatrywać się spokojnie temu, co wyprawiają ci, noszący się ze złymi zamiarami, ludzie. Wysadźcie na ląd tego Indianina, gdyż chcą go powiesić za to, że poturbował wczoraj któregoś z nich. Oprócz tego są tu jeszcze dwaj biali, których postanowili zlinczować, ponieważ byli oni świadkami tego zajścia, a szpiegują podobno na rzecz Juareza.

— Do wszystkich diabłów! — rzekł kapitan. — To nie żarty! Którzy to biali mogą być? Rozejrzał się badawczo dokoła.

— To my — odpowiedziałem przystępując do niego.

— Wy? No, jeżeli wy jesteście szpiegami Juareza, to ja zjem moją krypę na śniadanie! — rzekł przypatrując mi się badawczo. — No, nie pozwolę wam zrobić nic złego. Przybiję natychmiast do brzegu, gdzie wysiądziecie i udacie się w bezpieczne miejsce.

— Na -to ja się nie godzę. Muszę tym statkiem jechać dalej, gdyż nie mogę się narażać na stratę czasu!

— Rzeczywiście? To przykra sprawa. Zaczekajcie! Podszedł do Winnetou i powiedział mu parę słów. Apacz potrząsnął głową pogardliwie i odwrócił się od niego. Kapitan powrócił do nas i oznajmił z zakłopotaną miną:

— Tak też myślałem! Czerwonoskórzy mają żelazny upór. On także nie chce wysiąść na ląd.

— W takim razie będzie zgubiony razem z tymi panami — rzekł konduktor — bo ci awanturnicy są bardzo na nich zawzięci. A obsługa statku nie da rady takiej przemocy.

Kapitan spojrzał w zamyśleniu przed siebie. Na twarzy jego pojawił się uśmiech, jak gdyby przyszedł mu doskonały pomysł do głowy.

— Wypłatam tym drabom figla, który długo popamiętają — rzekł do nas — ale wy, panowie, musicie się tak zachować, jak tego zażądam. Nie używajcie przede wszystkim broni. Schowajcie strzelby pod ławą razem z siodłami. Obrona pogorszyłaby sprawę.

— Do wszystkich diabłów! Czy mamy się dać spokojnie zlinczować, master? — odburknął Old Death.

— Nie. Stosujcie bierną obronę, a w odpowiedniej chwili poskutkuje mój środek. Ochłodzimy tych łajdaków kąpielą. Zdajcie się już na mnie. Brak mi teraz czasu na długie wyjaśnienia. Oni się już zbliżają!

Rzeczywiście szajka wychodziła z restauracji. Kapitan odwrócił się od nas szybko i wydał konduktorowi jakieś rozkazy. Ten pobiegł do sternika, obok którego stali dwaj pokładowi posługacze, a wkrótce potem ujrzałem go, jak udzielał po cichu wskazówek pozostałym podróżnym. Dłużej nie mogłem na niego zważać, gdyż wraz z Old Deathem musieliśmy zwrócić uwagę na naszych przeciwników. Spostrzegłem jeszcze tylko, że owi spokojni podróżni skupili się jak najciaśniej na przednim pokładzie.

Zaledwie pijacy opuścili restaurację, otoczyli nas obu. My stosownie do życzenia kapitana odłożyliśmy strzelby.

— To on! — zawołał wczorajszy mówca wskazując na mnie. — Szpieg stanów północnych, które stoją po stronie Juareza. Wczoraj jeszcze ubrany był jak elegancki dżentelmen, a dziś ma na sobie ubranie traperskie. Po co on się przebiera? Zabił mi psa, a obaj wygrażali mi rewolwerami.

— To szpieg, tak, to szpieg! — wołali inni mieszanymi głosami. — Dowodzi tego jego przebranie. Utwórzcie zaraz sąd! Powiesimy łajdaka! Precz z północnymi stanami, precz z Jankesami i ich sługami!

— Co tam wyrabiacie, dżentelmeni? — zawołał z góry kapitan. — Ja chcę mieć spokój i porządek na statku. Nie róbcie zgiełku i zamieszania między podróżnymi!

— Milczcie, sir! — ryknął któryś z szajki. — My także chcemy porządku i zaraz go tu sobie zrobimy. Czy do waszych obowiązków należy przewożenie szpiegów?

— Moim obowiązkiem jest przewozić ludzi, którzy płacą za przejazd. Jeśli przyjdą do mnie przywódcy secesjonistów, to wezmę ich na pokład pod warunkiem, że zapłacą i będą się zachowywać spokojnie. Oto moja lojalność. A jeśli będziecie mi psuli zarobek, to wysadzę was na brzeg i popłyniecie sobie lądem do Austin.

Szyderczy, podobny do rżenia śmiech był mu odpowiedzią. Hultaje otoczyli mnie i Old Deatha tak ciasno, że nie mogliśmy się ruszyć. Protestowaliśmy oczywiście, ale głosy nasze ginęły w zwierzęcym niemal wyciu i wrzaskach. Zepchnęli nas nawet z miejsca, gdzieśmy poprzednio siedzieli, ku kominowi, żeby nas na nim powiesić. Na górnym brzegu komina umieszczone były obrączki do przytrzymywania lin: bardzo praktyczne urządzenie do wieszania! Wystarczyło opuścić liny, obwiązać nimi nasze szyje i podnieść. Dokoła nas utworzono krąg i trybunał. Było to wprost śmieszne, że tym łotrom nie przyszło nawet na myśl zapytać, dlaczego się me bronimy. Wszak wiedzieli, że mamy noże i rewolwery. Fakt, że ich nie użyliśmy, musiał mieć przecież jakiś powód.

Old Death zadawał sobie niemało trudu, aby nie stracić spokoju, Ręka podrywała mu się ciągle do pasa, lecz ilekroć rzucił okiem w górę, kapitan dawał mu ukradkiem znak przeczący.

— No — rzekł do mnie cicho — zastosuję się jeszcze do wskazówek kapitana. Ale jeśli sobie zaczną zanadto pozwalać, to w tej samej minucie będą mieli dwadzieścia cztery kule w brzuchu. Strzelajcie, skoro tylko ja zacznę!

— Słuchajcie! — wołał wspomniany już kilkakrotnie awanturnik. — Te przeklęte draby należą do tej bandy łotrów, która stanom południowym najbardziej dokucza. Czego oni chcą tutaj w Teksasie? To szpiegi i zdrajcy l Załatwimy się z nimi krótko!

Rykiem przyznano mu słuszność. Kapitan przestrzegł ich znowu surowo, lecz go wyśmiano. Nagłe ktoś rzucił pytanie, czy nie należałoby przesłuchać Indianina, zanim zostaniemy powieszeni. Na to wszyscy zgodzili się łatwo i przewodniczący wysłał dwóch ludzi po Indianina.

Otoczeni dokoła, nie mogliśmy widzieć Winnetou. Usłyszeliśmy tylko głośny okrzyk. Apacz powalił jednego awanturnika uderzeniem, a drugiego zrzucił z pokładu.

Następnie wskoczył do pokrytej blachą budki kapitana znajdującej się przy kole sterowym i wysunął przez małe jej okienko lufę swej strzelby. Wypadek ten wywołał oczywiście zgiełk nie do opisania. Wszyscy pobiegli do bariery, wołali na kapitana, żeby wysłał łódź na ratunek człowiekowi wrzuconemu do wody. Kapitan posłuchał tego wezwania i skinął na jednego z

posługaczy, który zaraz wskoczył do umieszczonej nad tylnym pokładem łodzi, odwiązał linę, którą była przymocowana, i popłynął ku łotrzykowi, który na szczęście umiał trochę pływać i starał się utrzymać nad wodą.

Teraz znalazłem się sam z Old Deathem. O wieszaniu nie było na razie mowy. Oczy sternika i reszty załogi były zwrócone na kapitana, który dał znak, byśmy się zbliżyli, i rzekł stłumionym głosem:

— Uważajcie, panowie! Teraz się skąpią! Wy zostańcie spokojnie na statku, cokolwiek by się działo. Hałasujcie tylko jak najwięcej!

Kazał statek zatrzymać, a potem płynąć zwolna wstecz ku prawemu brzegowi, w miejsce, nad którym załamywała się woda. Była to płaska ławica, od której począwszy aż do brzegu rzeka była zupełnie płytka.

Na znak kapitana sternik skinął z uśmiechem głową i wpędził statek na ławicę. Zgrzytnęło pod nami straszliwie i nastąpiło takie wstrząśnięcie, że wszyscy się zatoczyli, a wielu upadło na pokład. To odwróciło powszechną Uwagę od łodzi. Wszystkich spokojnych podróżnych pouczył już konduktor, więc zaczęli krzyczeć jakby w strachu śmiertelnym, a reszta, która uwierzyła w nieszczęśliwy wypadek, zawtórowała im przeraźliwie. Wtem wychylił się z tyłu jeden z posługaczy, przybiegł z udanym przerażeniem do kapitana i krzyknął:

— Woda w statku, kapitanie! Skała rozcięła rufę na połowę. Za dwie minuty okręt utonie!

— Przepadliśmy! — zawołał kapitan. — Ratować się, kto może! Woda płytka aż do brzegu. Dalej w wodę!

Zbiegł ze swego miejsca, zrzucił z siebie surdut, kamizelkę i czapkę, zdjął z największym pośpiechem buty i skoczył z pokładu. Woda sięgała mu tylko do szyi.

— Na dół, na dół! — krzyczał. — Jeszcze czas. Okręt tonąc pociągnie wszystkich za sobą.

Nikt z hultajów nie pomyślał o tym, że kapitan pierwszy wyskoczył, aby się ocalić, i że się przedtem rozebrał. Wszystkich ogarnęło przerażenie. Pozeskakiwali z pokładu i starali się dostać do brzegu, nie zważając na to, że kapitan popłynął na drugą stronę okrętu odwróconą od brzegu i tam wylazł czym prędzej na pokład po drabince, którą mu prędko spuszczono. Statek był oczyszczony i tam, gdzie przed chwilą panował jeszcze blady strach, zabrzmiał teraz wesoły śmiech.

W chwili właśnie kiedy pierwsi z ratujących się wchodzili na ląd, kapitan dał znak do ruszenia naprzód. Statek, mający małe zanurzenie i mocno zbudowany, nie doznał żadnych uszkodzeń i poddał się łatwo naciskowi kół. Powiewając surdutem jak flagą, zawołał kapitan ku brzegowi:

— Dobrej drogi, dżentelmeni! Jeśli jeszcze kiedy będziecie mieli ochotę utworzyć trybunał, to się sami wieszajcie. Wasze rzeczy, znajdujące się na statku, oddam w La Grange. Możecie je sobie stamtąd zabrać.

Można sobie wyobrazić, jakie wrażenie wywołały te słowa na wywiedzionych w pole. Podnieśli wściekłe wycie i zażądali od kapitana, żeby ich natychmiast wziął z powrotem na pokład. Grozili doniesieniem, śmiercią i innymi strasznymi środkami, niektórzy nawet, którym nie zamokły strzelby, strzelali, ale nie uszkodzili statku. Wreszcie ryknął jeden w bezsilnej wściekłości do kapitana:

— Psie! Zaczekamy tu do twego powrotu i powiesimy cię na twym własnym kominie.

— Well, sir! Przyjdźcie potem łaskawie na pokład! Tymczasem jednak kłaniajcie się swoim generałom!

Teraz jechaliśmy już pełną parą, gdyż należało nadrobić stracony czas.

ROZDZIAŁ II

K U - K L U X - K L A N[5]

Powyższe słowo jest do dziś Jeszcze językową zagadką, którą rozmaicie już rozwiązywano. Nazwa osławionego Ku-Klux-Klanu ma być według jednych naśladowaniem szmeru, wywołanego odwodzeniem kurka strzelby. Inni uważają, że składa się ona z: cuc ─ ostrzeżenie, gluck ─ bełkot, i klan ─ szkockiego słowa: szczep, ród albo banda. Nie będę rozstrzygać, jak się ta sprawa ma w rzeczywistości, sami zresztą członkowie Ku-Klux-Klanu nie wiedzieli, skąd pochodzi ich nazwa i jakie było jej pierwotne znaczenie. Może nawet było im to obojętne. Nie jest wykluczone, że któremuś z nich przyszło na myśl to słowo, inni je podchwycili i powtarzali potem, nie troszcząc się o sens czy brak sensu tego określenia.

Nie tak niejasny był już cel tego stowarzyszenia, które powstało w kilku okręgach Karoliny Północnej, a potem rozszerzyło się na Karolinę Południową, Georgię, Alabamę, Kentucky, Missisipi, Tennessee, a w końcu nawet dotarło do Teksasu. Związek jednoczył w sobie mnóstwo zapamiętałych wrogów stanów północnych, a celem ich była walka z porządkiem, jaki zapanował po Wojnie Domowej. I rzeczywiście przez szereg lat członkowie Ku-Klux-Klanu utrzymywali w ciągłym zamieszaniu całe Południe, zagrażali wszelkiemu mieniu, hamowali przemysł i handel i nawet najsroższe kary nie zdołały przez długi czas położyć końca tym niesłychanym nadużyciom.

Tajny ten związek powstał wskutek reform narzuconych zwyciężonemu Południu przez rząd, a rekrutował się ze zwolenników niewolnictwa, wrogów Unii i stronnictwa republikańskiego. Członków zobowiązywano surowymi przysięgami do posłuszeństwa dla tajnych przepisów, a groźbą kary śmierci do zachowania tajności organizacji. Nie cofali się oni przed żadnym aktem gwałtu, podpaleniem czy morderstwem, odbywali regularnie zebrania, a wykonując swe bezprawne czyny ukazywali się zawsze na koniach i w przebraniu. Strzelali do księży na ambonach, do sędziów podczas urzędowania, napadali na zacnych ojców rodzin, pozostawiając po swych odwiedzinach poszarpane ciała. Wszystkich awanturników i rozbójników razem wziętych nie obawiano się tak jak tego Ku-Klux-Klanu, który w końcu poczynał sobie tak zuchwale, że gubernator Karoliny Południowej był zmuszony poprosić prezydenta Granta o pomoc wojskową ─ z tajnym związkiem, przybierającym coraz większe rozmiary, nie można już było sobie inaczej poradzić. Grant przedłożył tę sprawę Kongresowi, a ten wydał ustawę, mocą której powierzono prezydentowi władzę dyktatorską celem zniszczenia tej bandy. Okoliczność, że musiano się uciec do tek drakońskiego środka, dowodzi, jak straszliwe niebezpieczeństwo tkwiło w działalności Ku-Klux-Klanu, niebezpieczeństwo, które groziło zarówno poszczególnym obywatelom, jak i całemu narodowi. Z czasem stał się Ku-Klux-Klan otchłanią, w której gromadziły się wszystkie najgorsze elementy. Pewien kapłan, nim go zastrzelono na ambonie, modlił się po kazaniu za zbawienie dusz rodziny, której członków wymordował Ku-Klux-Klan w biały dzień. W pobożnym zapale i zgodnie z prawdą nazwał on działalność klanu walką dzieci szatana z dziećmi Boga. Wtem zjawiła się po przeciwnej stronie kościoła zamaskowana postać i przeszyła mu kulą głowę. Zanim wierni zdołali się opamiętać z przerażenia, zbrodniarz zniknął.

---

[5] Ku – Klux – Klan – tajne stowarzyszenie terrorystyczne powstałe w południowych stanach Ameryki Północnej po Wojnie Domowej 1861 – 65. Głównym jego celem było prześladowanie ludności murzyńskiej przy zastosowaniu gwałtów i morderstw. Formalnie rozwiązany w roku 1870, Ku – Klux – Klan nie przestał jednak istnieć, odnowiony w roku 1915 do dziś uprawia okrutne samosądy.

Nasz statek dopłynął do La Grange już pod wieczór, a kapitan oświadczył, że z powodu niebezpiecznego stanu koryta rzeki dalej jechać nie może. Musieliśmy zatem wysiąść w tej miejscowości. Winnetou wyjechał konno przed nami i zniknął w ciemnościach nocy pomiędzy pobliskimi domami.

W La Grange był także komisjoner w przystani. Old Death zwrócił się doń natychmiast:

— Sir, kiedy przybył tu ostatni statek z Matagordy i czy wszyscy podróżni wysiedli?

— Wczoraj w tym samym czasie. Wszyscy pasażerowie wysiedli, ponieważ parowiec ruszał dalej dopiero nazajutrz.

— A byliście tutaj, kiedy rano wsiadali?

— Oczywiście, sir!

— To może udzielicie mi pewnej informacji. Szukamy dwóch przyjaciół, którzy płynęli tym statkiem, a więc także tutaj zostali. Chcielibyśmy wiedzieć, czy rano odjechali.

— Hm, to nie łatwo powiedzieć. Było dość ciemno, a podróżni tak się cisnęli na ląd, że trudno było przypatrzyć się każdemu z osobna. Prawdopodobnie odjechali wszyscy z wyjątkiem niejakiego Clintona.

— Clintona? O niego nam właśnie chodzi. Proszę was, podejdźcie no tu do światła! Mój przyjaciel pokaże wam fotografię, aby się przekonać, czy to był rzeczywiście Clinton.

Jak się okazało, był to istotnie Clinton.

— Czy wiecie, gdzie się zatrzymał? — spytał Death.

— Na pewno nie, ale przypuszczam, że u seniora[6] Cortesio, gdyż tam jego ludzie ponieśli kufry. Jest to agent od wszystkiego, Hiszpan z pochodzenia. Zdaje mi się, że się teraz trudni tajnym dostarczaniem broni do Meksyku.

— Poznamy w nim prawdopodobnie dżentelmena.

— Sir, w dzisiejszych czasach każdy chce być dżentelmenem, choćby nawet nosił siodło na plecach.

Powiedział to oczywiście pod naszym adresem, choć nie w złej myśli. Old Death zapytał znowu z niemniejszą niż dotąd uprzejmością:

— Czy w tym błogosławionym miejscu, gdzie prócz waszej latarni nie ma, jak się zdaje, żadnego światła, jest jakiś zajazd, gdzie można by się przespać bez przeszkód ze strony ludzi i owadów?

— Jest tylko jeden, a ponieważ staliście tu ze mną tak długo, wyprzedzili was już zapewne inni podróżni i zajęli tych parę wolnych pokoi, które jeszcze zostały.

— O, to zaiste niezbyt przyjemne — rzekł Old Death, który nie odczuł i tego docinku. — A w domach prywatnych nie można liczyć na gościnę?

— Hm, sir, ja was nie znam. Sam nie mógłbym was przyjąć, gdyż moje mieszkanie jest bardzo małe, ale mam znajomego, który by was nie odprawił, jeśli jesteście ludźmi rzetelnymi. To kowal, który się tu przeniósł z Missouri.

— No — odparł mój przyjaciel — mój towarzysz i ja nie jesteśmy opryszkami. Chcemy i możemy zapłacić, przypuszczam więc, że wasz znajomy zaryzykuje. Czy nie opisalibyście nam jego mieszkania?

— To nie jest wcale konieczne. Poszedłbym z wami, ale mam jeszcze robotę na statku. Master Lange, tak się ten człowiek nazywa, jest o tej porze w gospodzie. Tam więc o niego spytajcie i powiedzcie mu, że przysłał was komisjoner. Idźcie prosto, a później na lewo. Poznacie gospodę po światłach. Okiennice są jeszcze otwarte.

Odwdzięczywszy mu się za wiadomość napiwkiem, poszliśmy dalej z naszymi siodłami. O istnieniu gospody świadczyły nie tylko widoczne światła, lecz także zgiełk dolatujący przez otwarte okna. Nad drzwiami wisiał wizerunek zwierzęcia podobnego do olbrzymiego żółwia,

[6] Senior (hiszp. señor) - pan

ze skrzydłami i dwiema nogami. Pod tym był napis: „Hawk's Inn”. Żółw miał zatem przedstawiać drapieżnego ptaka, a dom był gospodą: „Pod Jastrzębiem”.

Gdy otworzyliśmy drzwi, buchnęła ku nam chmura smrodliwego dymu tytoniowego. Goście cieszyli się widocznie silnymi płucami, skoro mogli wytrzymać i nie udusili się w tej atmosferze. Zresztą na dobry stan ich płuc wskazywała także czynność narządów mowy, gdyż nikt prawie nie mówił, lecz każdy krzyczał, nie pozostawiając cienia nadziei, że zamilknie choć na sekundę, aby wysłuchać drugiego. Zatrzymaliśmy się na kilka minut w drzwiach, aby przyzwyczaić oczy do dymu i rozpoznać ludzi i przedmioty. Potem zauważyliśmy, że w gospodzie są dwie izby, większa dla zwyczajnych, a mniejsza dla znakomitszych gości, co w Ameryce Północnej było wówczas rzadkością, gdyż obywatele wolnego państwa nie uznawali różnic towarzyskich.

Ponieważ w pierwszej izbie nie było miejsca, udaliśmy się do drugiej. Znaleźliśmy tam jeszcze dwa wolne krzesła, które objęliśmy w posiadanie, złożywszy siodła w kącie. Koło stołu siedziało kilku mężczyzn przy piwie. Rzucili na nas przelotne, badawcze spojrzenie, przy czym wydało nam się, że na nasz widok przeszli czym prędzej na inny temat rozmowy. Dwaj z nich tak byli do siebie podobni, że na pierwszy rzut oka widziało się, że to ojciec i syn. Byli to rośli i silni ludzie o wyrazistych rysach i potężnych pięściach, co dowodziło, że żyli z wytrwałej i ciężkiej pracy. Twarze ich o dobrodusznym wyrazie były teraz lekko zarumienione z podniecenia, jak gdyby roztrząsali jakiś niemiły temat.

Gdyśmy usiedli, przysunęli się bliżej siebie, zasłaniając wolne miejsce pomiędzy nami a sobą, czym zaznaczyli dyskretnie, że nie chcą mieć z nami nic wspólnego.

— Zostańcie na swoich miejscach, panowie! — rzekł Old Death. — Nie grozi wam z naszej strony pożarcie, chociaż nie jedliśmy od rana. Może nam powiecie, czy sprzedadzą nam tu do jedzenia coś takiego, co by nie nadwerężyło zbytecznie naszych przewodów pokarmowych.

Ten, którego wziąłem za ojca, przymrużył prawe oko i odrzekł z uśmiechem:

— Co się tyczy pożarcia naszych czcigodnych osobistości, to spróbowalibyśmy przeciwko temu cokolwiek się bronić. Zresztą wyglądacie jak drugi Old Death; wątpię, czybyście się wstydzili porównania z nim.

— Old Death? Któż to taki? — spytał mój przyjaciel z najgłupszą w świecie miną.

— W każdym razie sławniejszy od was westman i poszukiwacz ścieżek, który więcej dokonał w jednym miesiącu swojej włóczęgi aniżeli inni przez całe życie. Widział go mój chłopiec Will.

Ten „chłopiec” miał ze dwadzieścia sześć lat, ciemno ogorzałą twarz i robił wrażenie, że mógłby stanąć do walki z półtuzinem przeciwników na raz. Old Death spojrzał nań z ukosa i spytał:

— On go widział? A gdzież to?

— W roku sześćdziesiątym drugim w Arkanzasie, na krótko przed bitwą pod Pea Ridge. Ale o tych zdarzeniach wy niewiele chyba wiecie.

— Czemu? Dużo wędrowałem po Arkanzasie i zdaje mi się, że wtedy byłem niedaleko stamtąd,

— Tak? A po czyjej stronie staliście wówczas? Stosunki u nas są teraz takie, że trzeba znać polityczne przekonania człowieka, z którym się siedzi przy jednym stole.

— Nie obawiajcie się, master! Sądzę, że nie jesteście stronnikiem zwyciężonych właścicieli niewolników, a ja żywię te same przekonania.

— Witam więc was serdecznie. Ale mówiliśmy o Arkanzasie i Old Deathie. Wiecie może o tym, że na początku wojny domowej Arkanzas sprzyjał Unii? Ale później wszystko się zmieniło. Wielu dzielnych ludzi, dla których niewolnictwo, a szczególnie postępowanie południowych plantatorów, było okropnością, zebrało się i oświadczyło przeciwko secesji. Ale hołota, do której zaliczam przede wszystkim owych plantatorów, opanowała całą władzę publiczną i zastraszyła rozumnych, skutkiem czego Arkanzas przyłączył się do Południa. Mieszkałem

wówczas w Missouri, w Poplar Bluff, niedaleko granicy Arkanzasu. Siedzący tu przed wami chłopak wstąpił oczywiście do jednego z pułków stanów północnych. Pewnego razu, chcąc przyjść z pomocą unionistom z Arkanzasu, wysłano do nich na zwiady niewielki oddział. W oddziale tym znajdował się Will. Zwiadowcy natknęli się jednak niespodzianie na przeważające siły południowców i ulegli po bohaterskiej obronie.

— I dostali się do niewoli? Ciężka to była wówczas sprawa. Wiadomo, co wyprawiały stany południowe z jeńcami wojennymi, gdy na stu umierało przynajmniej osiemdziesięciu z powodu złego traktowania. Ale oficjalnie jeńców nie zabijano przecież?

— Oho! Jesteście w grubym błędzie. Nasze zuchy trzymały się bardzo dzielnie, wystrzelały wszystką amunicję, a potem walczyły kolbami i nożami. Secesjoniści ponieśli ogromne straty i rozgniewani tym postanowili odebrać jeńcom życie. Will jest jedynakiem, więc mnie jako ojcu groziło sieroctwo, a że się to nie stało, zawdzięczam jedynie Old Deathowi.

— Jak to, master? Bardzo mnie tym zaciekawiliście. .Czy ten westman sprowadził może odsiecz, aby wyswobodzić jeńców?

— W ten sposób nic by nie wskórał, gdyż zanimby nadeszła pomoc, rzeź zostałaby już dokonana. Nie, on zabrał się do tego jak prawdziwy, zuchwały westman. Sam wydobył jeńców z rąk nieprzyjaciół.

— Do stu piorunów! To była sztuka!

— Jeszcze jaka! Zakradł się do obozu czołgając się na brzuchu tak, jak się podchodzi Indian, a podstęp ten ułatwił mu deszcz, który lał tego wieczora jak z cebra i pogasił ognie. Cały batalion secesjonistów obozował w farmie. Oficerowie zajęli dom mieszkalny, a żołnierze rozmieścili się, gdzie mogli. Jeńców zamknięto w tłoczni trzciny cukrowej. Pilnowali ich czterej strażnicy, każdy na jednym rogu budynku. Nazajutrz mieli nieszczęśni ponieść śmierć. W nocy zaraz po zmianie warty usłyszeli nad sobą na dachu niezwykły szmer, który nie mógł pochodzić od deszczu. Zaczęli więc uważnie nasłuchiwać. Nagle zatrzeszczało i załamała się część dachu zrobionego z gontów z miękkiego drzewa. Potem ktoś zaczął pracować nad wybiciem dziury w powale i po jakimś czasie do izby zaczął padać deszcz. Wówczas na kilka chwil zapanowała cisza. Przez otwór wsunął się do wnętrza pień młodego drzewa z kawałkami gałęzi, po którym jeńcy wydostali się na dach niskiego budynku, a stamtąd na ziemię. Tam ujrzeli leżących bez ruchu czterech strażników i zabrali sobie zaraz ich broń. Zbawca przeprowadził uwolnionych z wielką zręcznością przez obóz do granicy na znaną im wszystkim drogę, Dopiero tutaj dowiedzieli się szczęśliwcy, że to poszukiwacz ścieżek, Old Death, naraził swoje życie, aby ich ocalić.

— Czy poszedł razem z nimi? — spytał Old Death.

— Nie, powiedział, że ma jeszcze do załatwienia ważne sprawy, i zniknął w ciemnej i dzikiej nocy, nie zostawiając im czasu na podziękowanie. Noc była tak ciemna, że nie można było rozpoznać jego twarzy. Will zauważył tylko długą i chudą postać, ale rozmawiał z Old Deathem i do dziś jeszcze pamięta słowa tego dzielnego męża. Gdyby Old Death znalazł się kiedy wśród nas, przekonałby się, że my umiemy być wdzięczni.

— Myślę, że i tak będzie o tym wiedział. Przypuszczam, że syn wasz me jest jedynym człowiekiem, którego mógłby spotkać. Ale, sir, znacie tu może niejakiego master Langego z Missouri?

Nieznajomy zaczął słuchać uważniej.

— Langego? — powtórzył. — Czemu o niego pytacie?

— Obawiam się. że tu „Pod Jastrzębiem" nie znajdziemy miejsca, a komisjoner z przystani wskazał nam go jako człowieka, którego można by poprosić o nocleg. Radził nam powołać się na swoją znajomość z master Langem. Mówił, że na pewno go tu zastaniemy.

Stary zwrócił na nas jeszcze raz baczne spojrzenie i powiedział:

— W takim razie miał słuszność, sir, gdyż ja właśnie jestem Lange. Ponieważ przysyła was komisjoner, a ja uważam was za ludzi uczciwych, przeto zapraszam was do siebie w nadziei, że się nie zawiodę. Kim jest wasz towarzysz, który nie przemówił jeszcze ani słowa?

— Mój przyjaciel, człowiek wykształcony, który przybył szukać tu szczęścia.

— O biada! Ludzie spoza oceanu myślą, że tutaj pieczone gołąbki same lecą do gąbki. Zapewniam was, sir, że tutaj trzeba o wiele ciężej pracować i więcej wycierpieć rozczarowań, zanim się dojdzie do czegokolwiek, niż u was. Ale to nic! Życzę powodzenia i zapraszam wasi

Podał mi także rękę, a Old Death uścisnął ją ponownie, mówiąc:

— A gdybyście mieli wątpliwości, czy warci jesteśmy waszego zaufania, to zapytajcie swego syna, a on poświadczy, że zasługujemy na nie w całej pełni.

— Mój syn, Will? — spytał Lange zdumiony.

— Tak, on, nikt inny. Wspomnieliście, że rozmawiał z Old Deathem i pamięta jeszcze każde jego słowo. Może mi powtórzycie, młodzieńcze, tę rozmowę. Żywo mnie to zajmuje.

Na to Will odrzekł z zapałem;

— Wyprowadziwszy nas na drogę, szedł Old Death na przedzie. Ja otrzymałem postrzał w rękę, który mi bardzo dolegał, gdyż nie opatrzono mnie, a rękaw przylepił mi się do rany. Przechodziliśmy przez zarośla. Old Death puścił konar, który odginając się, uderzył mnie w zranione miejsce. Tak mnie to zabolało, że krzyknąłem głośno i...

— Za to nazwał was poszukiwacz ścieżek osłem! — wtrącił Old Death.

— Skąd wy o tym wiecie? — zapytał Will w zdumieniu.

Stary westman ciągnął dalej:

— Na to wy tłumaczyliście się, że was postrzelono i że rana się zaogniła, a on poradził wam zmoczyć rękaw i ochładzać starannie ranę sokiem z liści babki, co zapobiega tworzeniu się zgorzeli.

— Tak było, tak! Skąd wy to wiecie, sir? — zawołał młody Lange, zaskoczony niespodzianką.

— Jeszcze pytacie? To ja właśnie dałem wam tę dobrą radę. Wasz ojciec powiedział przedtem, że jestem podobny do Old Deatha, co jest prawdą, gdyż istotnie jestem podobny do tego starego hultaja jak małżonka do żony.

— Ach... tak... Więc to wy jesteście? — zawołał Will zrywając się ze stołka, by biec do Old Deatha.

Ale ojciec go zatrzymał, ściągnął na powrót na krzesło i powiedział:

— Siedź, mały! Jeśli chodzi o uścisk, to ojciec pierwszy ma prawo i obowiązek zarzucić twemu zbawcy ręce na szyję. Zaniechamy tego jednak, bo wiesz, gdzie się znajdujemy i jak tu na nas uważają. Siedź więc spokojnie!

Zwróciwszy się zaś do Old Deatha, dodał:

— Chciałbym, żebyście nie pojęli mylnie mego stanowiska w sprawie wdzięczności syna. Mam ku temu powody. Diabeł nie śpi. Wierzcie mi, że jestem wam nader wdzięczny, ale właśnie dlatego muszę unikać wszystkiego, co by mogło was narazić na niebezpieczeństwo. O ile wiem i dość często słyszałem, jesteście znani jako stronnik abolicjonistów. Podczas wojny dokonywaliście czynów, które wam przyniosły sławę, a południowcom wyrządziły wielkie szkody. Byliście przewodnikiem i poszukiwaczem ścieżek w oddziałach armii północnej i prowadziliście je na tyły nieprzyjaciół drogami, na które nikt inny nie odważyłby się wejść. Czciliśmy was za to wysoce, ale południowcy nazywali i nazywają was jeszcze szpiegiem. Wiecie chyba, jak teraz sprawy wyglądają. Gdybyście się dostali w towarzystwo secesjonistów, gotowi by was powiesić.

— Wiem o tym dobrze, master Lange, lecz nie robi to na mnie wrażenia — odrzekł Old Death chłodno. — Nie pragnę wprawdzie zawisnąć na stryczku, grożono mi tym już często, choć

nigdy nie doszło do wykonania groźby. Nie dawniej jak dziś chciała nas banda awanturników powiesić na okrętowym kominie, ale i oni nie potrafili tego dokonać.

Old Death opowiedział zajście na parowcu, a kiedy skończył, rzekł Lange po głębokim namyśle:

— To było bardzo zacnie ze strony kapitana, lecz niebezpiecznie dla niego. On pozostanie tutaj w La Grange do jutra, awanturnicy przybędą zapewne już w nocy i — obym się mylił — powinien się przygotować na ich zemstę. Warn zaś może się wydarzyć jeszcze coś gorszego.

— Eh! Nie boję się tych kilku ludzi. Nie z takimi jak oni miałem już do czynienia.

— Nie bądźcie zbyt pewni siebie, sir! Awanturnicy otrzymają tu znaczną pomoc. Od kilku dni nie bardzo tu w La Grange bezpiecznie. Ze wszystkich stron przybywają jacyś obcy, których nikt nie zna, stoją po wszystkich kątach i radzą nad czymś potajemnie. Nie przyjechali tu z powodu interesów, gdyż włóczą się tylko całymi dniami i zachowanie ich jest podejrzane. Teraz siedzą tam w izbie i rozdziawiają pyski tak: szeroko, że szary niedźwiedź mógłby sobie w nich urządzić legowisko. Zanim tu przyszliście, usiłowali nas zaczepiać. Gdybyśmy im odpowiedzieli, krew by się na pewno polała. Ja nie mam zresztą dzisiaj ochoty dłużej tu bawić, a wam także pewnie tęskno do spoczynku. Tylko z wieczerzą będzie gorzej. Ponieważ jestem wdowcem, prowadzimy kawalerskie gospodarstwo i chodzimy na obiad do gospody. Sprzedałem także dom przed kilku dniami, gdyż zaczyna mi się tu grunt palić pod nogami. Nie chcę przez to powiedzieć, że mi się tutaj ludzie nie podobają. Nie są właściwie gorsi aniżeli gdzie indziej, ale wojna w Stanach zakończyła się niedawno, a jej skutki ciążą jeszcze na kraju. W sąsiednim Meksyku biją się teraz na dobre, Teksas zaś leży między tymi krajami. Burzy się tutaj, gdzie tylko spojrzeć, ze wszystkich stron ściąga tu hołota i obrzydza nam pobyt. Dlatego postanowiłem wszystko sprzedać i udać się do córki, która wyszła bardzo szczęśliwie za mąż.

U jej męża dostanę dobre zajęcie, lepszego życzyć sobie nie mogę. W dodatku znalazłem tutaj na miejscu kupca, któremu moje gospodarstwo bardzo odpowiada. Ponieważ zapłacił mi gotówką już onegdaj, mogę więc odjechać, kiedy mi się spodoba. Udaję się do Meksyku.

— Jakże tak, sir? — zawołał Old Death.

— Jak to?

— Skarżyliście się przedtem na Meksyk dlatego, że się tam biją na dobre, a teraz się tam wybieracie?

— Nie może być inaczej, sir. Zresztą nie we wszystkich stronach Meksyku jest tak samo. Tam, dokąd ja się przenoszę, a mianowicie w Chihuahua, wojna się już skończyła. Juarez musiał wprawdzie umykać aż do El Paso, ale się zerwał niebawem i odpędził Francuzów energicznie na południe. Dni ich są już policzone; wyganiają ich z kraju. Wszystko rozstrzygnie walka o stolicę, a tymczasem prowincje północne unikną klęsk wojny. Tam właśnie przebywa mój zięć, do którego udam się wraz z Willem. U niego oczekuje nas wszystko, czego możemy sobie życzyć, bo ten dzielny chłopiec jest bardzo zamożnym właścicielem kopalń srebra. Mieszka w Meksyku już przeszło półtora roku i pisze w ostatnim liście, że przyszedł na świat nowy król kopalń srebra, który bardzo krzyczy za dziadkiem. Czyż, do wszystkich diabłów, mogę tutaj zostać? Obaj z Willem mamy otrzymać w kopalni dobre posady, a przy tym ja będę mógł tego małego króla kopalnianego nauczyć pacierza i tabliczki mnożenia. Widzicie zatem, panowie, że nie wypada nam tu siedzieć. Dziadek powinien być bezwarunkowo przy wnuku. Toteż udaję się do Meksyku, a jeśli będziecie mieli ochotę jechać z nami, będzie mi bardzo przyjemnie.

— Hm! — mruknął Old Death. — Nie żartujcie, sir, bo gotowiśmy skorzystać z waszej uprzejmości.

— Co, wy tam także zmierzacie? To byłoby rzeczywiście wspaniale. No, ręka, sir! Jedziemy razem. Przy tych słowach podał mu rękę.

— Zwolna, tylko zwolna! — zaśmiał się Old Death. — Przypuszczam wprawdzie, że się udamy do Meksyku, ale nie jest to jeszcze pewne. A gdyby nawet tak się stało, to na razie nie wiemy, jaki obierzemy kierunek.

— Jeśli tylko o to idzie, to pojadę z wami, gdzie chcecie. Wszystkie drogi wiodą stąd do Chihuahua, a jest mi obojętne, czy tam przybędę wcześniej, czy później. Jestem egoistą i dbam o własną korzyść. Wy jesteście sprytnym westmanem i poszukiwaczem tropów. Jeśli mnie z sobą weźmiecie, zajadę bez wątpienia szczęśliwie na miejsce, a to dużo znaczy w tych niepewnych czasach. Gdzie zamierzacie zasięgnąć bliższych wiadomości?

— U niejakiego seniora Cortesio. Czy znacie tego człowieka?

— Czy go znam! La Grange jest takie małe, że wszystkie koty mówią tu do siebie „ty", a ten właśnie senior kupił ode mnie gospodarstwo.

— Przede wszystkim chciałbym się dowiedzieć, czy to nicpoń, czy człowiek honoru.

— Honoru, honoru! Jego przekonania polityczne nie obchodzą mnie, byle spełniał swoje obowiązki. Ma on stosunki z tamtą stroną granicy. Zauważyłem, że nocą obładowuje się u niego muły pełnymi, ciężkimi skrzyniami oraz że potajemnie zbierają się w jego domu ludzie, którzy potem udają się nad Rio de Norte. Na pewno się nie omylę, jeśli powiem, że dostarcza stronnikom Juareza broni i amunicji i że im posyła ludzi chętnych do walki z Francuzami. To jest w naszych stosunkach dowodem odwagi, na którą zresztą pewni ludzie ośmielają się jedynie w przekonaniu, że nawet przy ryzyku zrobi się dobry interes.

— Gdzie on mieszka? Muszę jeszcze dziś z nim pomówić.

— Zastaniecie go o dziesiątej wieczorem. I ja miałem być u niego dziś jeszcze w pewnej sprawie, która jednak załatwiła się tymczasem sama, wobec czego rozmowa okazała się już niepotrzebna. Powiedział, że mogę przyjść do niego o dziesiątej, bo na krótko przedtem wróci.

— Czy był u niego ktoś podczas waszych odwiedzin?

— Tak, dwóch mężczyzn, starszy i młodszy.

— Czy wymieniono ich nazwiska? — wtrąciłem z zaciekawieniem.

— Tak. Siedzieliśmy razem z godzinę, a w przeciągu takiego czasu musi się usłyszeć nazwisko tego, z kim się rozmawia. Młodszy nazywał się Ohlert, a starszy senior Gavilano. Ten drugi był widocznie znajomym seniora Cortesio, gdyż rozmawiali o dawnym swym spotkaniu w stolicy Meksyku.

— Gavilano? Takiego nie znam. Czyżby Gibson tak się teraz nazwał?

Z pytaniem tym zwrócił się Old Death do mnie. Gdy wydobyłem obie fotografie i pokazałem kowalowi, poznał obu natychmiast.

— To oni, sir — potwierdził. — Ten z chudą, śniadą twarzą to senior Gavilano, a ten drugi to master Ohlert, który wprawił mnie w niemały kłopot. Pytał mnie ciągle o dżentelmenów, których ja nigdy w życiu nie widziałem[7], na przykład o Murzyna Otello; o młodą miss z Orleanu imieniem Joanna, która pasła najpierw owce, a potem wyruszyła z królem na wojnę; o niejakiego master Fridolina, który odbył drogę po młot żelazny; o nieszczęśliwą lady Marię Stuart, której w Anglii ucięto głowę; o dzwon, który podobno śpiewał pieśń Schillera; o bardzo poetycznego sir Uhlanda, który przeklął dwu śpiewaków, za co jakaś królowa rzuciła mu różę odpiętą od stanika. Master Olhert cieszył się rozmową ze mną i zaprezentował mi mnóstwo imion, historii teatralnych, z których zapamiętałem tylko te, które wymieniłem. Huczało mi to wszystko w głowie jak młyńskie koło. Ten master Ohlert wydawał mi się zacnym i nieszkodliwym człowiekiem, ale założyłbym się, że ma małego bzika. W końcu wydobył kartkę z wierszem, który mi odczytał. Była tam mowa o okropnej nocy, po której dwa razy z kolei przyszło rano, a trzeci raz nie. Był tam deszcz, gwiazdy, mgła, wieczność, krew w żyłach, duch ryczący o zbawienie, diabeł w mózgu i kilka tuzinów wężów w duszy, słowem — same

[7] ...pytał mnie o dżentelmenów, których ja nigdy w życiu nie widziałem – Ohlert wylicza tu sławne postacie z literatury.

niemożliwe bałamuctwa zupełnie nie trzymające się kupy. Nie wiedziałem zaiste, czy śmiać się, czy płakać.

Teraz nie było wątpliwości, że mister Lange rozmawiał z Wiliamem Ohlertem, którego towarzysz Gibson zmienił po raz wtóry nazwisko. Nazwisko Gibson było prawdopodobnie także tylko przybrane. Może pochodził rzeczywiście z Meksyku i nazywał się pierwotnie Gavilano, a senior Cortesio poznał go pod tym nazwiskiem. Gavilano znaczy „jastrząb", a więc nazwisko pasowało do nigo. Przede wszystkim pragnąłem się dowiedzieć, pod jakim pozorem wodził za sobą Wiliama. Niewątpliwie było w tym coś, co bardzo pociągało obłąkanego i pozostawało w bliskim związku z jego idee fixe. Przypuszczając, że Ohlert wspominał coś na ten temat, zapytałem:

— Czy więcej nic nie słyszeliście od Ohlerta?

Owszem. Mówił jeszcze bardzo wiele o tragedii, którą zamierza napisać, twierdził jednak, że musi wpierw przeżyć to wszystko, co ten utwór ma zawierać.

— To przecież niemożliwe.

— O nie. Ja jestem innego zdania. Obłąkanie polega właśnie na tym, że chory bierze się do rzeczy, które nie wpadłyby na myśl rozumnemu człowiekowi. Co trzecie słowo było: seniorita Feliza Perilla, którą master Ohlert postanowił uprowadzić przy pomocy przyjaciela.

— To rzeczywiście obłąkanie, czyste obłąkanie! Gdyby ten człowiek istotnie miał zamiar przenieść zdarzenia i postacie z tragedii do rzeczywistości, należałoby temu bezwarunkowo zapobiec. On zapewne jest jeszcze tutaj w La Grange?

— Nie. Odjechał właśnie wczoraj z seniorem Gavilano do Hopkins Farm, aby stamtąd udać się nad Rio Grandę.

— O, to źle, bardzo źle! Musimy czym prędzej wyruszyć za nimi, o ile możności dziś jeszcze. Nie wiecie, czy można by tu kupić dwa dobre konie?

— Właśnie u seniora Cortesio; on zawsze trzyma konie, które odstępuje ludziom zaciągającym się pod znak Juareza. Ale ja odradzałbym wam tę jazdę nocną. Nie znacie drogi i będzie wam potrzebny przewodnik, którego dziś już nie dostaniecie.

— A może jednak? Spróbujemy w każdym razie wyruszyć jeszcze dziś. Przede wszystkim musimy się rozmówić z seniorem Cortesio. Dziesiąta minęła, bądźcie przeto łaskawi pokazać nam jego mieszkanie.

— Chętnie. Chodźmy więc, skoro tak sobie życzycie, sir!

Wstając od stołu, usłyszeliśmy tętent przed domem. W kilka chwil potem weszli do izby nowi goście, w których ze zdumieniem i niepokojem rozpoznałem od razu owych secesjonistów, którym kapitan okrętu dał dziś tak piękną sposobność uratowania życia. Znali widocznie kilku z obecnych gości, gdyż przyjęto ich gorąco. Z krzyżujących się pytań i odpowiedzi wywnioskowaliśmy, że czekano tu na nich. Przywitanie zajęło ich tak dalece, że nie mieli czasu zwracać na nas uwagi, .co było nam oczywiście bardzo na rękę. Usiedliśmy więc na razie z powrotem na swoich miejscach, gdyż po to, by się oddalić, trzeba było przejść obok nich, a secesjoniści skorzystaliby na pewno z tej sposobności do zaczepki. Gdy Lange usłyszał, kim są przybyli, przymknął drzwi tak, że nie mogli nas widzieć, my zaś mogliśmy słyszeć, o czym mówili. Oprócz tego zmieniliśmy nasze miejsca w ten sposób, że zwróciliśmy się do przedniej izby plecami.

— Chodzi o to, żeby was nie zobaczyli — rzekł kowal. — Już przedtem panował wśród nich nieprzychylny dla nas nastrój. Gdyby spostrzegli was, których uważają za szpiegów i których chcieli już raz dziś powiesić — awantura gotowa.

— Nic strasznego — odrzekł Old Death. — Czy jednak sądzicie, że będziemy tu siedzieli, dopóki oni się nie oddalą? Na to nie mamy czasu, ponieważ musimy bezwarunkowo być u Cortesia.

— Dobrze, sir! Wyniesiemy się taką drogą, że na pewno nas nie zobaczą.

Old Death rozejrzał się po pokoju i rzekł:

— A którędy? Wyjście jest możliwe tylko przez pierwszą izbę.

— Nie. Tędy o wiele wygodniej. Wskazał na okno.

— Czy nie żartujecie przypadkiem, sir? — zapytał stary. — Nasuwa mi się podejrzenie, że się chyba boicie! Czy mamy się pożegnać po angielsku i uciekać jak myszy, które włażą do dziur ze strachu przed kotem? Ładnie by nas potem wyśmiano!

— Trwogi nie znam, ale znam stare, dobre przysłowie, że mądry głupiemu ustępuje. Wystarczy, gdy sam sobie powiem, że nie czynię tego z obawy, lecz z ostrożności. Pomijam już to, że przewyższają nas dziesięciokrotnie Liczebnością. Ci awanturnicy są butni i rozzłoszczeni. Nie przepuszczą nas bez zaczepek. Ponieważ zaś ja nie zniósłbym tego, a was także nie uważam za ludzi, którzy by to obojętnie przyjęli, dojdzie więc do porządnej bijatyki. Nie boję się wprawdzie walki na pięści lub kawałkami połamanych krzeseł, ponieważ jestem kowalem i potrafię grzmocić, ale rewolwer to broń diabelnie głupia. Najtchórzliwszy pędrak może kulką, wielkości grochu, powalić najodważniejszego olbrzyma. Nie trzeba do tego wielkiej mądrości, żeby dojść do przekonania, iż najlepiej będzie spłatać figla tym drabom i ukradkiem wyprowadzić się przez okno. To bardziej ich rozzłości, niż gdybyśmy otwarcie stanęli do walki i kilku z nich wprawdzie roztrzaskali łby, ale sami oberwali po nosach.

Przyznałem w duchu słuszność temu rozsądnemu człowiekowi, a Old Death rzekł także po chwili:

— Zdanie wasze nie jest oczywiście pozbawione słuszności. Godzę się na wasz wniosek i wysunę przez okno nogi razem ze wszystkim, co podtrzymują. Posłuchajcie, jak oni ryczą! Zdaje mi się, że mówią o przygodzie na statku.

Rzeczywiście nowoprzybyli opowiadali, co im się zdarzyło na parowcu, potem o Old Deathie i o mnie oraz o podstępie kapitana. Po wylądowaniu nie mogli się pogodzić co do rodzaju zemsty. Poza tym część z nich chciała czekać na następny parowiec, część zaś nie miała na to ochoty lub czasu.

— Nie mogliśmy przecież siedzieć całą wieczność na brzegu — rzekł opowiadający — gdyż musieliśmy przybyć tutaj, gdzie na nas czekano. Bardzo szczęśliwie się stało, ze znaleźliśmy farmę, gdzie nam wypożyczono

konie.

— Pożyczono? — zapytał ktoś z uśmiechem.

— Tak, ale oczywiście na nasz sposób. Z początku liczba koni nie wystarczała na wszystkich, musieliśmy więc jechać po dwóch ludzi na jednym, potem się sytuacja poprawiła, gdyż napotkaliśmy jeszcze inne farmy, tak że w końcu każdy miał konia dla siebie.

Gdy się skończyło to opowiadanie o kradzieży, rozległ się niepohamowany śmiech. Opowiadający ciągnął dalej:

— Czy tutaj wszystko w porządku? Czy znaleziono tych, którzy mieli się tu z nami spotkać?

— Tak, znaleźliśmy ich.

— A ubrania?

— Przywieźli dwie skrzynie; to wystarczy.

— To będzie przyjemność. Ale szpiegowie i kapitan muszą także dostać za swoje. Parowiec zatrzymuje się tu w La Grange na noc, więc kapitana łatwo znajdziemy, a Indianina i szpiegów także nie powinniśmy długo szukać, gdyż bardzo łatwo ich poznać. Jeden z nich miał nowe traperskie ubranie, obaj zaś nieśli na plecach siodła.

— Siodła? — zawołali tamci prawie z radością. — Czy ci dwaj, którzy tu weszli niedawno i siedzą w tamtej izbie, nie mieli...

Resztę powiedział po cichu. Odnosiło się to oczywiście do nas.

— Panowie — rzekł kowal — czas nam się stąd zabierać, bo wejdą tu za kilka minut. Wyjdźcie wy najpierw! Siodła wam podamy.

Rzeczywiście niebezpiecznie było dłużej zwlekać. Bez chwili zastanawiania wyskoczyłem czym prędzej przez okno, a Old Death poszedł za moim przykładem. Kowale podali nam rzeczy i strzelby i sami też przeleźli przez okno.

Znajdowaliśmy się pod przednią ścianą domu na małym, ogrodzonym i porosłym trawą placyku. Przeskoczywszy przez płot, spostrzegliśmy, że reszta gości z tej samej izby także opuściła ją oknem, nie spodziewając się widocznie również zbytniej uprzejmości ze strony secesjonistów.

— No śmiał się Lange — a to wytrzeszczą oczy te draby, gdy zauważą, że im ptaszki uleciały. Istotnie dobrze zrobiliśmy.

— Ależ to diabelna kompromitacja! — biadał Old Death. — Mam wrażenie, że słyszę ich szyderczy śmiech.

— Niech się śmieją! My będziemy się śmiali ostatni, a to jak wiadomo korzystniej. Dowiodę jeszcze, że się ich nie obawiam, ale nie wdaję się w karczemne bójki.

Obaj kowale wzięli od nas siodła, zapewniając, że nie mogą dopuścić, aby ich goście dźwigali takie ciężary. Niebawem znaleźliśmy się pomiędzy dwoma budynkami. W lewym panowała zupełna ciemność, w prawym przez szparę w okiennicy migotało światło.

— Senior Cortesio jest w domu — rzekł Lange. — U niego właśnie widać światło. Zapukajcie, to wam otworzy. Skoro załatwicie z nim swoją sprawę, przyjdźcie tutaj na lewo, gdzie my mieszkamy. Zapukajcie w okiennicę koło drzwi. My tymczasem przygotujemy przekąskę.

Kowale udali się do domu, a my skierowaliśmy się na prawo. Na nasze pukanie uchyliły się drzwi, a przez wąską szparę spytał jakiś głos:

— Kto tu być?

— Przyjaciele — odrzekł Old Death. — Czy senior Cortesio w domu?

— Czego chcieć od senior?

Sposób wyrażania się wskazywał, że to Murzyn.

— Chcemy z nim załatwić pewien interes.

— Co za interes? Powiedzieć, bo nią wolno wejść!

— Przysyła nas master Lange!

— Massa Lange? On być dobry. Wolno wejść, ale zaczekać chwilę!

Zamknął drzwi, ale wnet je otworzył i przyniósł odpowiedź:

— Wejść! Senior powiedzieć, że chcieć mówić z obcymi.

Przez wąską sień weszliśmy do małej izby, prawdopodobnie kantoru, gdyż skromne jej umeblowanie składało się tylko ze stołu, kilku krzeseł i pulpitu do pisania. Stał przy nim długi i chudy mężczyzna, zwrócony twarzą ku drzwiom. Na pierwszy rzut oka widać było, że to Hiszpan.

— Buenos tardes![8] — odpowiedział na nasze uprzejme pozdrowienie. — Przysyła was senior Lange? Czy wolno zapytać, seniores, co was do mnie sprowadza?

Byłem ciekaw, co Old Death na to odpowie. Zastrzegł sobie bowiem z góry, że sam rozmówi się z Cortesiem.

— Może interes, a może tylko potrzeba zasięgnięcia pewnej wiadomości, senior. Sami tego jeszcze dobrze nie wiemy — rzekł stary.

— Zobaczymy. Usiądźcie i zapalcie cigarillo. Podał nam cygarniczkę i zapałki. Trudno było nie przyjąć tego zaproszenia. Meksykanin nie wyobraża sobie niczego, a w każdym razie rozmowy, bez cigarilla. Old Death, który dziesięć razy bardziej wolał fajeczkę od najwytworniejszego cygara, wziął najcieńsze, zapalił, a ledwie pociągnął kilka razy, już cigarilla nie było.

— Rzecz, z którą się wam naprzykrzamy — zaczął po chwili Old Death — nie ma zbyt wielkiego znaczenia. Przychodzimy tak późno dlatego tylko, że przedtem byśmy was nie zastali.

[8] Buenos tardes (hiszp.) – dobry wieczór.

Nie chcemy zaś bawić tu do jutra, ponieważ tutejsze stosunki nam nie odpowiadają. Mamy zamiar udać się do Meksyku i ofiarować nasze usługi Juarezowi. Podobnej decyzji nie podejmuje się na wiatr. W tym wypadku trzeba mieć jakąś pewność, że się będzie chętnie przyjętym. Zasięgnąwszy stosownych informacji, dowiedzieliśmy się, że można się zaciągnąć w szeregi Juareza tu w La Grange. Wymieniono nam wasze nazwisko, więc przybyliśmy do was, a wy nam może łaskawie powiecie, czy dobrze trafiliśmy.

Meksykanin nie odpowiedział od razu, lecz przypatrzył się nam wpierw badawczym spojrzeniem. Wzrok jego spoczywał na mnie z widocznym zadowoleniem, gdyż byłem młody i wyglądałem rześko. Old Death mniej mu się zapewne podobał, wychudła bowiem i zgarbiona jego postać nie rokowała na pierwszy rzut oka wytrzymałości fizycznej, koniecznej do znoszenia wielkich trudów i niewygód. Potem zapytał:

— Kto wam podał moje nazwisko, senior?

— Pewien człowiek spotkany na statku — kłamał Old Death. — Przypadkiem zetknęliśmy się potem także z master Langem, który nas uprzedził, że przed dziesiątą nie zastaniemy was w domu. Pochodzimy z Północy i walczyliśmy przeciwko stanom południowym. Posiadamy zatem doświadczenie wojenne, może więc przydalibyśmy się prezydentowi Meksyku.

— Hm! To brzmi wcale dobrze, senior, ale przyznam się wam otwarcie: nie czynicie wrażenia, że jesteście zdolni do znoszenia wysiłków i niewygód, jakich od was będą wymagali.

— Podoba mi się wasza szczerość, senior — zaśmiał się stary. — Gdy jednak usłyszycie moje nazwisko, zaraz się przekonacie, że mogę się bardzo przydać. Nazywają mnie zazwyczaj Old Death.

— Old Death! — zawołał Cortesio zdumiony. — Czy to być może! Wy jesteście tym sławnym poszukiwaczem ścieżek, który takie szkody wyrządził południowcom?

— Jestem nim. Legitymuje mnie chyba najlepiej moja postać.

— W istocie, w istocie, senior. Muszę być jednak bardzo ostrożny, by się to nie dostało do publicznej wiadomości, że zaciągam ludzi w szeregi Juareza. Szczególnie teraz byłoby niebezpiecznie narazić się na podobne podejrzenie. Ponieważ jednak jesteście Old Death, przeto nie mam powodu się wahać i oświadczam otwarcie, że zwróciliście się pod dobrym adresem. Jestem gotów natychmiast was przyjąć i obiecać wam nawet rangę, gdyż usługi takiego wojownika jak Old Death mogą być dobrze zużytkowane i nie byłoby sensu, gdyby was wepchano między zwykłych żołnierzy.

— Mam nadzieję, że się tak nie stanie, senior. Co się tyczy mego towarzysza, to choćby wstąpił jako zwyczajny żołnierz, szybko osiągnie wyższy stopień. Wśród abolicjonistów doszedł, choć młody, aż do kapitana. Nazywa się wprawdzie tylko Müller, ale mimo to słyszeliście już pewnie o nim. Służył pod Sheridanem i jako porucznik dowodził w flankowym marszu przez Missionary Ridge szpicą przedniej straży. Wiecie zapewne, jakich zuchwałych wypadów podejmowano się wówczas. Müller był szczególnym ulubieńcom Sheridana i dzięki temu miał zaszczyt brać zawsze udział w tych ryzykownych przedsięwzięciach. On to był owym oficerem konnicy, który w krwawej, lecz doniosłej w skutkach bitwie pod Five Forks odbił pojmanego już generała. Dlatego sądzę, że nie będzie to dla was zły nabytek, senior.

Stary zmyślał niestworzone rzeczy! Ale czyż mogłem zarzucić mu głośno kłamstwo? Czułem, że krew mi napływa do twarzy, ale poczciwy Cortesio wziął widocznie mój rumieniec za oznakę skromności, gdyż podał mi rękę i zaczął także kłamać jak z nut:

— Niechaj was nie peszy ta zasłużona pochwała, senior Müller. Słyszałem oczywiście o was i o waszych czynach i pozdrawiam was serdecznie. Rozumie się, że i wy wstąpicie jako oficer; gotów jestem zaraz dać wam pewną sumę do rozporządzenia na sprawienie sobie przynajmniej najpotrzebniejszych rzeczy.

Old Death chciał się już zgodzić. Poznałem to po nim, toteż wtrąciłem czym prędzej:

— To zbyteczne, senior. Nie możemy pozwolić na to, żebyście nas we wszystko zaopatrywali. Na razie nie potrzebujemy nic innego tylko dwa konie, które chętnie od was odkupimy. Siodła mamy swoje.

— To się dobrze składa. Mogę wam odstąpić dwie tęgie szkapy, a jeśli rzeczywiście chcecie za nie zapłacić, to oddam je wam za cenę, za jaką je sam kupiłem. Jutro rano pójdziemy do stajni, gdzie wam je pokażę. To najlepsze ze wszystkich, jakie posiadam. Czy rozejrzeliście się już za noclegiem?

— Tak. Zaprosił nas master Lange.

— To doskonale. W przeciwnym razie ja bym to uczynił, chociaż moje mieszkanie jest niewielkie. Czy wolicie załatwić resztę spraw od razu, czy dopiero jutro rano?

— Teraz oczywiście — odrzekł Old Death. — Jakież są jeszcze formalności do załatwienia?

— Na razie nie ma żadnych. Ponieważ idziecie na własny koszt, przeto odbiorą od was przysięgę dopiero w korpusie po objęciu obowiązków. Muszę wam tylko dać paszporty i list polecający, który zabezpieczy należną wam szarżę. Lepiej pisma te sporządzić od razu, gdyż tutaj nigdy człowiek nie wie, co go czeka w następnej chwili. Proszę więc o kwadrans cierpliwości. Będę się śpieszył. Oto są cigarilla, a zaraz przyniosę wino, jakim zresztą nikogo nie częstuję. Niestety, mam już tylko jedną flaszkę.

Podsunąwszy nam cigarilla i flaszkę wina, podszedł do pulpitu i zabrał się do pisania. Old Death zaczął za jego plecami robić do mnie miny, z czego wywnioskowałem, że jest z siebie bardzo zadowolony. Następnie nalał sobie pełną szklankę wina i wychylił duszkiem za zdrowie Cortesia. Mnie ten wynik nie cieszył jeszcze tak bardzo, gdyż nie mówiliśmy dotąd o ludziach, o których mi chodziło. Szepnąłem o tym staremu, na co mi odpowiedział gestem oznaczającym, że sam to załatwi.

W przeciągu kwadransa Old Death wysączył resztę wina z flaszki, a Cortesio skończył pisanie. Przed zapieczętowaniem przeczytał nam list polecający, którego treść zadowoliła nas w zupełności. Następnie wypełnił cztery blankiety i wręczył po dwa każdemu z nas. Ku swemu zdumieniu ujrzałem, że są to paszporty, jeden w języku francuskim podpisany przez generała Bazaine'a, a drugi — w hiszpańskim, z podpisem Juareza. Cortesio musiał zauważyć moje zdziwienie, gdyż rzekł z uśmiechem chytrego zadowolenia:

— Widzicie, senior, że możemy was ochronić przed różnymi zdarzeniami. W jaki sposób posiadłem blankiet z podpisem Bazaine'a, to moja rzecz. Nie wiecie, co się wam może zdarzyć, dobrze więc, że macie tego rodzaju podwójne paszporty, które was na wszelki wypadek zabezpieczają. Wystawiam je tylko wyjątkowo, a odchodzący stąd ochotnicy zwykle nie otrzymują w ogóle żadnych papierów.

Old Death skorzystał z tego, by zadać upragnione przeze mnie pytanie:

— Jak dawno odeszli stąd ostatni ochotnicy?

— Wczoraj. Sam odprowadziłem oddział złożony z trzydziestu ludzi aż do Hopkins Farm. Tym razem byli z nimi także dwaj prywatni seniores.

— Przeprowadzacie zatem również ludzi prywatnych? — spytał Old Death ze zdziwieniem.

— Nie. To narażałoby mnie na różne nieprzyjemności. Wczoraj zrobiłem wyjątek, ponieważ jeden z tych panów jest moim dobrym znajomym. Zresztą wy będziecie mieli doskonałe konie, a jeśli wcześnie stąd wyruszycie, doścignięcie oddział, zanim się dostaniecie do Rio Grandę.

— W którym miejscu mają przejść przez rzekę?

— Udadzą się w kierunku Orlego Wąwozu, ponieważ jednak nie mogą się tam pokazywać, zboczą nieco na północ. Pomiędzy Rio Nueces a Rio Grandę przetną drogę dla mułów, prowadzącą z San Antonio, przybędą do Fortu Inge, który także muszą ominąć, i przeprawią się przez Rio Grandę pomiędzy dopływami Las Moras i Morał, tam bowiem jest bród znany naszym przewodnikom. Stamtąd ruszą na zachód, aby przez Baya, Cruces, San Vinzente, Tabal i San Carlos dostać się do miasta Chihuahua.

Wszystkie te miejscowości były dla mnie czymś zupełnie nie znanym, lecz Old Death potakiwał głową i powtarzał głośno każdą nazwę, jakby znał te okolice.

— Dopędzimy ich pewnie, jeśli nasze konie nie będą zbyt liche, a ich zbyt dobre — rzekł. — Ale czy pozwolą nam się przyłączyć?

Cortesio potwierdził gorąco, a przyjaciel mój pytał dalej:

— Czy jednak ci dwaj prywatni panowie zgodzą się na to?

— Oczywiście, Oni nie mają nic do rozkazywania, muszą sami być wdzięczni za to, że mają sposobność odbycia podróży pod osłoną oddziału. Ponieważ się z nimi spotkacie, przeto z przyjemnością was uprzedzam, że poznacie w nich prawdziwych dżentelmenów. Jeden z nich, rodowity Meksykanin, nazwiskiem Gavilano, jest moim znajomym, z którym przeżyłem piękne chwile w stolicy. Jego siostra, młodsza od niego, nadzwyczaj przystojna, zawracała głowy wszystkim seniorom.

— To i on zapewne jest pięknym mężczyzną?

— Nie. Nie są do siebie podobni, bo to rodzeństwo przyrodnie. Ona nazywa się Feliza Perillo i była czarującą śpiewaczką i zachwycającą tancerką. Była, gdyż później zniknęła i dopiero teraz dowiedziałem się od jej brata, że żyje jeszcze w okolicach Chihuahua. I on jednak nie mógł mi udzielić dokładniejszych wiadomości, gdyż sam musi się o nią dopiero wypytać, skoro tam przybędzie.

— Czy wolno spytać, czym właściwie był i jest ten senior?

— Poetą.

Old Death przybrał minę takiego zdumienia i lekceważenia, że zacny Cortesio dodał:

— Senior Gavilano tworzy za darmo, gdyż posiada znaczny majątek i nie potrzebuje zapłaty za swe utwory.

— W takim razie można mu pozazdrościć!

— Tak, zazdroszczono mu też. Z powodu intryg, którymi go ludzie omotali, musiał opuścić miasto, a nawet kraj. Teraz wraca z Jankesem, który chce z jego pomocą wejść w krainę poezji i poznać przy tym Meksyk. Mają zamiar zbudować w stolicy teatr.

— Życzę im szczęścia! Czy Gavilano wiedział, że wy przebywacie teraz w La Grange?

— O nie. Znajdowałem się przypadkiem nad rzeką, kiedy nadjechał parowiec, aby wysadzić podróżnych na ląd. Poznałem natychmiast tego seniora i zaprosiłem go razem z jego towarzyszem do siebie. Okazało się, że obydwaj chcieli się udać do Austin, a stamtąd przekroczyć granicę. Poradziłem im, w jaki sposób można pewniej i prędzej przedostać się przez granicę, dla obcego bowiem, zwłaszcza niesecesjonisty, pobyt tutaj bynajmniej nie jest wskazany. W Teksasie grasują teraz ludzie, którzy chętnie łowią ryby w mętnej wodzie. Pełno tutaj wszelkiej bezużytecznej hołoty, której pochodzenia ani celu wędrówki nikt nie zna. Wszędzie słyszy się o zbrodniach, napadach, okrucieństwach z niewiadomego powodu. Sprawcy znikają, a policja jest bezradna wobec tych okropnych faktów.

— Czyżby to byli ludzie z Ku-Klux-Klanu? — zauważył Old Death.

— Wielu o to samo pytało, a w ostatnich czasach zaszły wypadki, które pozwalają się domyślać, że prawdopodobnie istotnie mamy do czynienia z tą właśnie szajką. Onegdaj znaleziono w Halletsville dwa trupy; zbrodniarze przypięli do nich kartki z napisem „Jankesowskie psy". W Shelby zaćwiczono niemal na śmierć rodzinę za to, że ojciec służył pod generałem Graniem. A dzisiaj dowiedziałem się, że koło Lyons znaleziono czarny kaptur z przyszytymi dwoma kawałkami białej materii w kształcie jaszczurek.

— O, do pioruna! Takie maski noszą członkowie Ku-Klux-Klanu!

— Tak, zasłaniają sobie twarze czarnymi kapturami, opatrzonymi w białe naszywki. Każdy z nich ma naszywkę w innym kształcie, po którym się go poznaje, gdyż podobno nawet swoje nazwiska sami przed sobą trzymają w tajemnicy.

— Należy wobec tego przypuszczać, że tajne stowarzyszenie znowu zaczyna tu gospodarować. Miejcie się na baczności, senior Cortesio. Przyjdą tutaj na pewno. Najpierw byli w Hal-

letsville, a kaptur znaleziono już w Lyons. Ta druga miejscowość leży przecież znacznie bliżej stąd niż pierwsza.

— Rzeczywiście, macie słuszność, senior. Od dzisiaj będę zamykał silnie drzwi i okna i będę trzymał w pogotowiu nabite strzelby.

— Dobrze zrobicie. Tych łotrów nie trzeba oszczędzać, bo oni także nikomu nie darują. Kto się im podda licząc na ich łaskę, ten dozna zawodu. Ja przemawiałbym do nich tylko prochem i ołowiem. Zresztą i w gospodzie nic dobrego się nie święci. Widzieliśmy tam bowiem dżentelmenów, którym źle z oczu patrzy. Powinniście starannie ukryć wszystko, co by was mogło zdradzić, że jesteście stronnikiem Juareza. Zróbcie to zaraz dzisiaj! Lepiej raz być przesadnie ostrożnym niżeli dać się obić lub zastrzelić wskutek zaniedbania ostrożności. Sądzę, że to na razie wszystko. Jutro rano znowu się zobaczymy. Czy macie jeszcze coś do nas?

— Nie, seniores. Na dziś wszystko załatwione. Cieszę się bardzo, że was poznałem, i spodziewam się, że o was jeszcze dużo dobrego usłyszę. Jestem pewien, że będzie wam sprzyjało szczęście u Juareza i że prędko się wybijecie.

Na tym rozstaliśmy się, uścisnąwszy podaną nam uprzejmie przez Cortesia rękę. Kiedy jego drzwi zamknęły się za nami, nie mogłem się powstrzymać, żeby nie szturchnąć starego w bok i nie powiedzieć:

— Skądże wpadło wam do głowy zmyślać w ten sposób przed seniorem! Kłamstwa wasze były wprost niebotyczne!

— Tak? Hm! Wy tego nie rozumiecie, sir! Mógł nas przecież odprawić z kwitkiem. Dlatego wzbudziłem w nim apetyt na nas.

— Chcieliście nawet wziąć pieniądze! To byłoby wyraźne oszustwo!

— No, wyraźne nie, gdyż on nic o tym nie wiedział. Czemu nie miałem wziąć, skoro dawał dobrowolnie?

— Ponieważ nie zamierzamy zasłużyć na te pieniądze.

— Tak! Teraz oczywiście dalecy jesteśmy od tego zamiaru, ale skąd wiecie, że nie nastręczy nam się sposobność służby u Juareza? Może nawet ze względu na siebie samych będziemy do tego zmuszeni. Trudno jednak nie przyznać wam słuszności. To bardzo dobrze, że nie przyjęliśmy pieniędzy, gdyż tylko dzięki temu znaleźliśmy się w posiadaniu paszportów i listu polecającego. Ale najważniejsze to, że wiemy, dokąd udał się Gibson. Znam doskonale tę drogę. Wyruszymy wcześnie i z pewnością go doścignięmy. Dzięki naszym papierom komendant oddziału nie zawaha się ani na chwilę z wydaniem ich obu w nasze ręce.

U Langego nie potrzebowaliśmy wcale pukać, gdyż sam gospodarz stał w otwartych drzwiach. Wprowadził nas do izby, której wszystkie trzy okna zasłonięte były grubymi kocami.

— Nie dziwcie się tym zasłonom, panowie! — rzekł. — Zawiesiłem je naumyślnie. Mówmy w ogóle jak najciszej, żeby się członkowie Ku-Klux-Klanu nie dowiedzieli, że jesteście u mnie.

— Czy widzieliście tych łotrów?

— W każdym razie ich zwiadowców. Ponieważ dość długo bawiliście u seniora Cortesio, zaczęło mi się nudzić, wyszedłem więc, aby na was zaczekać przed drzwiami. Wtem usłyszałem, że się ktoś skrada od strony gospody. Przymknąłem drzwi, pozostawiając tylko wąską szparę, przez którą wyglądałem. Nadeszło trzech mężczyzn i stanęli tuż koło drzwi. Mimo ciemności zauważyłem na nich bardzo długie, szerokie bluzy i kaptury. nasunięte na twarze. Przebranie to było z ciemnej materii i obszyte jasnymi naszywkami.

— Aha, jak u członków Ku-Klux-Klanul

— Właśnie. Dwaj z nich zostali przy drzwiach, a trzeci podkradł się pod okno i usiłował zajrzeć przez okiennicę. Powróciwszy doniósł, że w izbie siedzi tylko młody człowiek, najprawdopodobniej syn Langego, że starego nie ma oraz że jedzenie leży na stole. Na to drugi orzekł, że teraz zapewne będziemy jeść kolację, a potem pójdziemy spać. Chcieli obejść do-

koła dom, by się przekonać, którędy najlepiej wedrzeć się do środka. Potem zniknęli za rogiem, a wy nadeszliście zaraz po zasłonięciu okien. Ale mimo wizyty tych łotrów nie mogę zapominać, że jesteście moimi gośćmi. Usiądźcie! Jedzcie i pijcie! Stawiam dzisiaj przed wami takie jedzenie, na jakie stać leśnego człowieka, ale podaję z serca, co mam. Możemy także podczas jedzenia mówić o grożącym mi niebezpieczeństwie.

— W którym was oczywiście nie opuścimy — rzekł Old De'ath. — Gdzież wasz syn?

— Kiedyście wychodzili od Cortesia, oddalił się po cichu. Mieszka tu kilku moich dobrych przyjaciół, na których mogę liczyć. Syn ma ich potajemnie sprowadzić. Dwóch z nich już znacie, siedzieli w gospodzie przy naszym stole.

— Ale czy będą się starali wejść do domu niepostrzeżenie? Byłoby dla was korzystniej, gdyby członkowie Ku-Klux-KIanu sądzili, że napadają tylko na was i waszego syna.

— Nie obawiajcie się! Moi przyjaciele wiedzą już, co czynić, a zresztą pouczyłem Willa, jak się mają zachować.

Jedzenie składało się z szynki, chleba i piwa. Zaledwie zaczęliśmy się posilać, usłyszeliśmy o kilka domów dalej skomlenie psa.

— To znak — rzekł Lange powstając. — Moi przyjaciele nadchodzą.

Wyszedł, by im otworzyć, i powrócił z synem oraz z pięciu uzbrojonymi w strzelby, rewolwery i noże mężczyznami. Nikt nie wyrzekł ani słowa; wszyscy zbadali okna, czy dobrze są zasłonięte. To byli ludzie, jakich nam właśnie było trzeba. Jeden z nich, stary z siwymi włosami i brodą, nie spuszczał oka z Old Deatha i pierwszy do niego przemówił:

— Wybaczcie, master! Will uprzedził mnie, kogo tu zastanę. Bardzo się tym ucieszyłem, gdyż sądzę, żeśmy się już gdzieś spotkali.

— Możliwe! — odrzekł mój towarzysz. — Widziałem Już wielu synów swoich rodziców.

— Nie przypominacie mnie sobie?

Old Death przypatrzył się mówiącemu uważnie i odpowiedział:

— Wydaje się mi istotnie, że musieliśmy się już gdzieś spotkać, ale nie mogę sobie przypomnieć, gdzie.

— W Kalifornii przed dwudziestu laty, w chińskiej dzielnicy. Grało się ostro i paliło się przy tym opium. Przegrałem wtedy wszystkie pieniądze, jakie miałem, około tysiąca dolarów. Została mi jeszcze tylko jedna moneta, której nie chciałem już przegrać w karty, lecz przepalić, a potem palnąć sobie kulą w łeb. Byłem namiętnym graczem, ale wtedy nie miałem żadnego innego wyjścia. Wtem...

— Już dośćl Przypominam sobie! — przerwał mu Old Death. — Nie potrzebujecie dalej opowiadać.

— Przeciwnie, sir. Muszę to powiedzieć, gdyż wy ocaliliście mnie wówczas. Wam przypadła połowa mojej przegranej, Wy jednak, wziąwszy mnie na bok oddaliście mi pieniądze, przy czym musiałem na wasze żądanie złożyć święte przyrzeczenie, że nigdy już nie będę grać, a przede wszystkim, że wyrzeknę się raz na zawsze znajomości z szatańskim opium. Obiecałem zmienić się pod tym względem i dotrzymałem słowa, chociaż przychodziło mi to z trudnością. Jesteście moim wybawcą. Jeżeli chcecie zrobić mi wielką uciechę, to pozwólcie zwrócić sobie pieniądze, gdyż obecnie posiadam ładny majątek.

— Nie głupim! — zaśmiał się Old Death. — Długo byłem dumny z tego, przynajmniej jednego, dobrego uczynku jaki zrobiłem, i ani mi się śni sprzedawać tego poczucia za wasze pieniądze. Gdy kiedyś umrę, nie będę miał z sobą nic oprócz tego jednego czynu, nie oddam go więc za nic w świecie. Mówmy teraz o innych rzeczach, o wiele ważniejszych. Ja wówczas ostrzegłem was tylko przed dwoma szatanami, których niestety dobrze znałem, ale swoje ocalenie zawdzięczacie jedynie własnej sile woli. Zamilczmy już o tym.

Te słowa starego poszukiwacza ścieżek naprowadziły mnie na pewien domysł. Jeszcze w Nowym Orleanie wspomniał on, że matka wskazała mu drogę prowadzącą do szczęścia, on jednak obrał inny kierunek. Teraz określił sam siebie jako znawcę obu straszliwych występ-

ków: gry i palenia opium. Czyżby tę znajomość zdobył tylko przypatrując się innym? Chyba nie! Nasunęło mi się podejrzenie, że sam musiał być namiętnym graczem i jest nim może jeszcze dotychczas. A co do opium, to jego wychudła, podobna do szkieletu postać dowodziłaby właśnie niszczącego działania tej trucizny. Czyżby dotąd jeszcze był skrytym palaczem opium? To jednak nie wydało mi się prawdopodobne, gdyż palenie tej trucizny wymaga dużej ilości czasu, którego nie miał podczas swych ciągłych wędrówek. Ale kto wie, czy nie żuł opium? Zacząłem nań patrzyć innymi oczyma. Do czci, którą go otaczałem dotychczas, przyłączyło się sporo litości. Czymże były wszystkie przygody, które przeżył, czym wszystkie poniesione przezeń trudy wobec walk, jakie musiał stoczyć sam z sobą! Jakie zdrowe musiał mieć ciało i ducha, skoro trucizna nie zdołała ich zniszczyć? Nazwa „Old Death" zawierała teraz dla mnie w swym brzmieniu coś niepokojącego. Słynny westman sądził kiedyś widocznie, że jest skazany na upadek, wobec którego śmierć fizyczna może być dobrodziejstwem!

Ostatnie słowa; „Zamilczmy już o tym!" wymówił Old Death takim tonem, że stary jego znajomy wyrzekł się dalszych swych rozważań i przeszedł do innej sprawy.

— Well, sir! Mamy teraz do czynienia z wrogiem równie zajadłym, równie nieubłaganym, jak gra i opium. Na szczęście łatwiej go ująć, zabierzmy się więc do dzieła. Ku-Klux-Klan jest otwartym wrogiem nas wszystkich. Każdy musi się przed nim bronić, i to nie tylko ten, którego on bezpośrednio zaatakuje. To bestia, która ma milion ramion. Wszelka pobłażliwość byłaby w tym wypadku karygodnym błędem. Od razu, w pierwszym ataku trzeba pokazać, że jesteśmy nieubłagani. Jeśli członkom Ku-Klux-Klanu uda się tu usadowić, będziemy zgubieni; wezmą się do nas i wyduszą jednego po drugim. Dlatego powinniśmy, moim zdaniem, zgotować im dzisiaj takie przyjęcie, tyle im strachu napędzić, żeby się nie ośmielili powrócić. Spodziewam się, że i wy jesteście tego zdania.

Wszyscy obecni zgodzili się na to.

— Pięknie! — mówił dalej. Nie przerywano mu, jako najstarszemu. — Należy się przygotować do walki tak, żeby nie tylko chybili swego zamiaru, lecz żeby jego ostrze obróciło się przeciwko nim samym. Czy ma kto z was jaki wniosek w tej sprawie? Komu przyjdzie dobra myśl, niech ją wyjawi.

Oczy jego i wszystkich pozostałych zwróciły się na Old Deatha. Jako doświadczony westman, wiedział on lepiej od nich wszystkich, jak należy się zachować wobec takich nieprzyjaciół. Widząc wyraz oczekiwania w oczach obecnych i ich milczące wezwanie, Old Death skrzywił po swojemu twarz, kiwnął głową jakby do siebie samego i odezwał się:

— Skoro inni milczą, to ja powiem kilka słów, panowie. Trzeba się liczyć z tą okolicznością, że oni przyjdą dopiero wtedy, kiedy master Lange położy się spać. W jaki sposób zamykają się tylne drzwi, czy na zasuwę?

— Nie, na zamek, jak wszystkie moje drzwi.

— Well! O tym także będą wiedzieli i sądzę, że zaopatrzą się w dorobione klucze. Byłoby to z ich strony błędem nie do darowania, gdyby tego nie uczynili. To zacne stowarzyszenie musi mieć członków ślusarzy, a przynajmniej ludzi umiejących się obchodzić z wytrychem. Wedrą się pewnie do środka, naradźmy się więc nad tym, jak ich przyjąć.

— Oczywiście, że — strzelbami. Zaczniemy do nich strzelać natychmiast!

— A oni do nas, sir! Błysk waszych strzałów zdradzi im, gdzie się znajdujecie, gdzie stoicie. Nie, strzelać nie można. Sądzę natomiast, że byłoby najlepiej pojmać ich, nie narażając się na niebezpieczeństwo zetknięcia się z ich bronią.

— Czy uważacie to za możliwe?

— Nawet za stosunkowo łatwe. Ukryjemy się w domu l wpuścimy ich do środka. Skoro tylko znajdą się w sypialni, zatrzaśniemy drzwi. Kilku z nas stanie przy nich na czatach, a kilku na dworze pod oknem. Tak więc nie będą mogli się wydostać i będą musieli po prostu się poddać.

Stary sąsiad Langego potrząsnął.poważnie głową i upierał się energicznie przy tym, by wystrzelać włamywaczy. Na odpowiedź starego Old Death przymrużył jedno oko i zrobił minę, która wywołałaby zapewne powszechny śmiech, gdyby pozwalało na to nasze położenie.

— Cóż za miny stroicie, sir? — zapytał Lange. — Czy się nie zgadzacie?

— Wcale nie, master. Wniosek naszego przyjaciela wygląda bardzo praktycznie, ale sądzę, że wszystko odbędzie się inaczej, aniżeli przypuszcza-. Członkowie tajnego związku byliby warci batów, gdyby postąpili tak, jak on się po nich spodziewa. Wasz przyjaciel sądzi, że wejdą wszyscy razem i ustawią się przed naszymi strzelbami jak na dłoni. Gdyby tak uczynili, nie mieliby krzty oleju w głowie. Jestem pewien, że otworzą po cichu tylne drzwi i potem wyślą dwóch lub trzech tu na zwiady. Tych dwóch lub trzech możemy oczywiście zastrzelić, wówczas jednak reszta oddali się czym prędzej, aby powrócić niebawem w zwiększonej liczbie i zrobić to. co im się nie udało za pierwszym razem. Nie, sir, nic z tego planu nie wyjdzie. Musimy ich wpuścić wszystkich, by ich połapać. Tym samym uniemożliwimy im powtórny napad i osiągniemy nasz cel w sposób mniej krwawy. Jeśli obstajecie przy tym, żeby ich wystrzelać jak sforę dzikich zwierząt, to zróbcie to, lecz ja i mój towarzysz nie weźmiemy w tym udziału. Pójdziemy i wyszukamy sobie inne miejsce na nocleg, żebyśmy później nie musieli wspominać tej nocy ze zgrozą i wyrzutami sumienia!

Słowa Old Deatha wywarły zamierzone wrażenie. Wszyscy skinęli głowami, a starzec rzekł:

— To, co powiedzieliście na końcu, to istotnie bardzo słuszne. Sądziłem, że takie przyjęcie wypędziłoby ich z La Grange raz na zawsze, lecz nie zastanowiłem się nad odpowiedzialnością, jaką bierzemy na siebie. Dlatego przychyliłbym się do waszego planu, gdybym tylko miał pewność, że się uda.

— Każdy, nawet najlepszy plan może się nie udać. Będzie to jednak nie tylko po ludzku, lecz i mądrze zarazem, jeżeli wpuścimy tych ludzi i zamkniemy ich tak, że żywcem wpadną nam w ręce. Zważcie przy tym, że zabicie takiej ilości członków klanu wywołałoby jego zemstę. Nie tylko nie odstraszylibyście członków Ku-Klux-Klanu od pobytu w La Grange, lecz ściągnęlibyście ich tutaj. Przyszliby się zemścić okrutnie za śmierć swoich ludzi. Proszę zatem o przyjęcie mojego planu. To najlepsze ze wszystkiego, co się tu da wykonać. Aby usunąć wszystko, co mogłoby zaszkodzić jego powodzeniu, obejdę teraz niepostrzeżenie dom. Może zauważę coś, co mogłoby się nam przydać.

— Może raczej zaniechacie tego, sir? — zapytał Lange. — Sami przyznajecie, że napastnicy niewątpliwie postawili wartownika. A co będzie, jeśli on was spostrzeże?

— Mnie spostrzec? — roześmiał się Old Death. — Czegoś podobnego jeszcze mi nikt nie powiedział, Old Death byłby tak głupi, żeby się pokazać podczas skradania się dokoła domu lub podchodzenia do jakiegoś człowieka! Master, to śmieszne! Jeśli macie kawałek kredy, to narysujcie mi przekrój poziomy domu, żebym się mógł do tego zastosować. Wypuśćcie mnie tylnymi drzwiami i czekajcie tam, dopóki nie wrócę. Nie zapukam, tylko poskrobię po drzwiach. Gdyby kto zapukał, będzie to ktoś inny i tego do środka nie wpuszczajcie.

Lange zdjął kawałeczek kredy z półki nad drzwiami i narysował przekrój na stole. Old Death przyjrzał mu się dokładnie i wyraził swoje zadowolenie skrzywieniem twarzy w uśmiechu.

Byli już obaj przy drzwiach, kiedy Old Death odwrócił się nagle i zapytał mnie:

— Czy podchodziliście już kiedy człowieka, sir?

— Nie — odrzekłem stosownie do mojej umowy z Winnetou.

— To macie teraz doskonałą sposobność zobaczyć, jak się to robi. Jeśli chcecie, wezmę was z sobą.

— Stać, sir! — wtrącił Lange. — To byłoby zbyt wielkie ryzyko. Wasz przyjaciel sam przyznaje, że brak mu doświadczenia w tych sprawach. Gdybyście popełnili najmniejszy błąd, wartownik zauważyłby was i wszystko by przepadło.

— Głupstwo! Znam tego młodzieńca wprawdzie dopiero od niedawna; lecz wiem, że pragnie usilnie wyrobić w sobie zalety dobrego westmana. Będzie się starał unikać błędów. Gdyby szło o to, żeby podejść wodza indiańskiego, nie wziąłbym go z sobą, ale zapewniam was, że nikt z zacnych preriowców nie wstąpił do Ku-Klux-Klanu. Dlatego próżne są obawy, żeby wartownik okazał się tak zręczny i spostrzegawczy. A nawet gdyby nas spostrzeżono, Old Death znalazłby się natychmiast na miejscu, aby naprawić ten błąd. Chcę wziąć z sobą tego młodzieńca, więc pójdzie ze mną, A zatem chodźcie, sir! Zostawcie tylko w izbie swoje sombrero, co oczywiście i ja uczynię. Taka jasna słoma zanadto świeci i mogłaby nas zdradzić. Zsuńcie sobie włosy na czoło i podnieście kołnierz powyżej brody, aby ukryć twarz. Trzymajcie się ciągle za mną i róbcie tylko to, co ja będę robił. Chciałbym widzieć kluksa, czy kleksa, który by nas zauważył.

Nikt się już dalej nie sprzeciwiał, przeszliśmy więc przez sień do tylnych drzwi. Lange otworzył je po cichu i zamknął za nami. Skoro tylko znaleźliśmy się na dworze, Old Death przykucnął, a ja uczyniłem to samo. Zdawało się, że chce on przebić oczyma ciemność, usłyszałem też, jak długimi oddechami wciągał w nozdrza powietrze,

— Sądzę, że tu przed nami nie ma nikogo — szepnął do mnie, wskazując poza dziedziniec w stronę zabudowań stajennych. — Mimo to muszę się przekonać, gdyż konieczna jest największa ostrożność. Czy nauczyliście się w swych chłopięcych latach na źdźble trawy, trzymanym między kciukami, naśladować głos świerszcza?

Potwierdziłem po cichu.

— Tam pod drzwiami rośnie trawa. Weźcie sobie źdźbło i czekajcie, dopóki nie wrócę. Nie ruszajcie się z miejsca. Gdyby się jednak coś stało, to ćwierknijcie, a przyjdę natychmiast.

Położył się na ziemi i czołgając się na rękach, zniknął w ciemności. Upłynęło z dziesięć minut, zanim powrócił. I rzeczywiście nie oczy, lecz węch mi powiedział, że się zbliża.

— Przypuszczenie moje się sprawdziło — szepnął. — Na dziedzińcu i pod ścianą przednią nie ma nikogo, ale na drugim rogu, tam gdzie znajduje się okno od sypialni, z pewnością ktoś stoi. Połóżcie się na ziemi i czołgajcie się za mną! Ale nie na brzuchu jak wąż, lecz na palcach jak jaszczurka. Nie stąpajcie całą stopą, ale końcami palców. Badajcie ziemię rękami, żebyście nie złamali jakiejś gałązki, i zapnijcie dobrze bluzę, żeby jej koniec nie wlókł się po ziemi! No, naprzód!

Posunęliśmy się do rogu. Tu Old Death zatrzymał się, ja uczyniłem to samo. Po chwili odwrócił do mnie głowę i szepnął:

— Jest ich dwóch. Bądźcie ostrożni!

Poczołgał się dalej, a ja znów za nim. Nie trzymał się ściany domu, lecz skierował się w stronę płotu. Porosły dzikim winem czy też inną, podobną rośliną, płot ten otaczał ogród. Poczołgaliśmy się wzdłuż niego równolegle do przedniej ściany domu w odległości jakichś dziesięciu kroków. Na dzielącej nas od domu przestrzeni dostrzegłem niebawem jakąś ciemną kupę wyglądającą jak namiot. Dowiedziałem się później, że były to ustawione w ten sposób tyczki od fasoli i chmielu. U ich stóp rozmawiano po cichu. Old Death sięgnął ręką wstecz, ujął mnie za kołnierz, przyciągnął do siebie tak, że moja głowa znalazła się obok jego, i szepnął:

— O, tam siedzą. Musimy podsłuchać, o czym mówią. Właściwie powinienem tam pójść sam, ponieważ jako greenhorn możecie mi popsuć całego figla. Ale dwóch słyszy więcej niż jeden. Czy potraficie podkraść się niepostrzeżenie tak blisko, żebyście ich mogli podsłuchać?

— Tak! — odpowiedziałem.

— To spróbujmy. Wy zbliżajcie się do nich z tej, a ja z tamtej strony. Już koło nich schylicie twarz ku ziemi, żeby nie zobaczyli blasku waszych oczu. Gdyby mimo to zauważyli was, może z powodu zbyt głośnego oddechu, to trzeba będzie natychmiast ich unieszkodliwić.

— Zabić? — spytałem szeptem.

— Nie. Musiałoby się to stać cicho, strzału rewolwerowego nie można ryzykować. Skoro tylko spostrzegą was albo mnie, rzucimy się: ja na jednego, a wy na drugiego. Obejmiecie mu szyję rękami i ściśnięcie tak, żeby nie mógł wydać z siebie głosu. Należy go przy tym powalić na ziemię. Potem wam powiem, co robić dalej. Tylko bez hałasu? Widziałem, że z was mocny chłop, ale czy jesteście pewni, że zdołacie grzmotnąć takim drabem o ziemię?

— Bezwarunkowo! — odrzekłem.

— A zatem naprzód, sir!

Poczołgał się dokoła tyczek, aby zajść drabów od tyłu, a ja podsunąłem się ku nim z przodu. Obaj opryszkowie siedzieli tuż obok siebie z twarzami zwróconymi w stronę domu. Udało mi się dojść bez szmeru tak blisko, że głowa moja znalazła się zaledwie o łokieć od ciała jednego z nich. Położyłem się więc na brzuchu, a twarz zasłoniłem rękami, trzymając głowę tuż przy ziemi. Jak się później przekonałem, przydało się to podwójnie. Po pierwsze — nie mogła mnie zdradzić jasność twarzy, a po wtóre — lepiej było słychać. Rozmawiali zresztą tym nerwowym szeptem, który sprawia, że nawet na kilka kroków można zrozumieć poszczególne słowa.

— Kapitana zostawimy w spokoju — rzekł ten właśnie, w którego pobliżu leżałem. — Wysadził was wprawdzie na ląd, ale ściśle biorąc, spełnił swój obowiązek. Widzisz, Locksmith, jeśli przyłożymy mu nóż do gardła, nic nam to nie pomoże, przeciwnie — zaszkodzi. Chcąc osiąść i utrzymać się w Teksasie, nie możemy psuć sobie stosunków ze służbą okrętową.

— Dobrze! Stanie się wedle waszej woli. Czerwonoskóry umknął, jak mi się zdaje. Żaden Indianin nie wysiadł w La Grange, aby czekać tu całą noc na odejście statku, ale te dwa psy są jeszcze tutaj. To szpiedzy, których na!eży bez litości zlinczować. Gdybyśmy tylko wiedzieli, gdzie się teraz znajdują. Ulotnili się przez okno, tchórze!

— „Ślimak" został w gospodzie i nie spocznie, zanim się nie dowie, gdzie siedzą. To chytra sztuka. Jemu też zawdzięczamy wiadomość o tym, że Lange dostał od Meksykanina pieniądze. Zrobimy zatem dobry interes i ubawimy się przy tym nieźle. Młody walczył przeciwko nam, jako oficer i powinien za to zawisnąć na stryczku. Stary zrobił z niego żołnierza, za co mu się także należy zapłata, ale go nie powiesimy. Dostanie takie baty, że mu skóra na plecach popęka. Potem go wyrzucimy z domu i podpalimy chałupę.

— Nie wyrządzimy mu tym zresztą żadnej szkody, ponieważ ją sprzedał — odparł drugi.

— Tym bardziej rozzłości to Meksykanina, który nie wyprawi już pewnie nikogo na służbę do Juareza. Zrobimy z nim porządek i damy mu pamiątkę, o której tak prędko nie zapomni. Instrukcje zostały wydane. Ale czy rzeczywiście jesteś pewien, że twoje klucze się nadadzą?

— Nie obrażajcie mnie, kapitanie! Znam się dobrze na swoim zawodzie. Te drzwi nie oprą się wytrychowi.

— No, to niedługo przystąpimy do dzieła. Żeby tylko poszli prędko spać. Nasi ludzie się zniecierpliwią, gdyż w tych krzakach bzu diabelnie źle siedzieć. Obaj gospodarze rzucali tam wszelkie skorupy i śmieci. Chciałbym, żebyście poszli zaraz dać znać towarzyszom. Posłucham jeszcze raz pod okiennicą, czy te nocne marki już się pokładły.

Opryszek wstał i podszedł cicho pod okiennicę izby sypialnej. Towarzysze nazywali go „kapitanem"; to określenie i rozmowa, którą właśnie usłyszałem, kazały przypuszczać, że był dowódcą. Drugiego nazywano „Locksmith", co oznacza ślusarza. Może się tak nazywał, a może rzeczywiście był ślusarzem, ponieważ z rozmowy wynikało, że się zna na wytrychach. Poruszył się właśnie, wskutek czego usłyszałem lekki brzęk, co dowodziło, że istotnie miał przy sobie klucze. Z tych rozmyślań wyrwało mnie lekkie szarpnięcie za spodnie. Poczołgałem się wstecz. Za tykami leżał Old Death. Przysunąłem twarz do jego twarzy. Spytał mnie z cicha, czy wszystko słyszałem i zrozumiałem, a gdy to potwierdziłem, powiedział:

— Wiemy zatem, o co idzie. Spłatam tym drabom figla, który na długo popamiętają! Gdybym tylko mógł się zdać na was!

— Spróbujcie! Cóż mam uczynić?

— Jednego z drabów wziąć za gardło.

— Well, sirl Zrobię to!

— Dobrze, aby jednak czuć się zupełnie pewnym, objaśnię wam, jak się do tego zabrać. Słuchajcie! On tu za tyczki nie przyjdzie!

W tej chwili kapitan wrócił spod okiennicy. Szczęściem usiadł zaraz z powrotem.

Old Death nie uważał za stosowne podsłuchiwać ich w dalszym ciągu i szepnął do mnie:

— Pouczę was zatem, jak ująć tego hultaja. Poczołgacie się ku niemu i zajdziecie go od tyłu. Gdy krzyknę półgłosem, chwycicie go za szyję. Kiedy go już będziecie trzymali, przyciśnijcie go do ziemi tak, żeby najpierw położył się na boku, potem na brzuchu. Wtedy na nim usiądziecie i przytrzymacie go, dopóki ja nie wrócę. Czy dokażecie tego?

— Na pewno. Brałem udział w zapasach wiele razy.

— W zapasach! — szydził stary. — To nic nie znaczy! Musicie także zważyć, że kapitan jest wyższy od tego drugiego. Przynieście zaszczyt swemu nauczycielowi, sir, i nie dopuśćcie, żeby was nasi w izbie wyśmiali! A zatem naprzód! Czekajcie na mój okrzyk!

Odsunął się, a ja poczołgałem się na moje poprzednie miejsce. Przysunąłem się jeszcze bliżej do kapitana i podciągnąłem kolana, by się móc natychmiast podnieść.

Obaj członkowie Ku-Klux-Klanu rozmawiali w dalszym ciągu, wielce rozgniewani tym, że tak długo muszą czekać. Potem wspomnieli o nas obydwóch i wyrazili nadzieję, że ,,Ślimak" odnajdzie nasze miejsce pobytu. Wtem usłyszałem przyciszony głos Old Deatha:

— Otóż jesteśmy, panowie! Uważajcie!

Zerwałem się czym prędzej i chwyciłem kapitana za szyję tak, jak mi polecił Old Death. Trzymając go, przygniotłem go bokiem i przewróciłem tak, że legł twarzą do ziemi. Potem ukląkłem mu na plecach. Nie wydał z siebie głosu i leżał spokojnie. Wtem ukazała się zgięta wpół postać Old Deatha. Stary uderzył kapitana w głowę kolbą rewolweru i powiedział:

— Puśćcie go, sir! Jak na początek, zrobiliście to nieźle. Macie, jak się zdaje, zdolności i sądzę, że kiedyś będzie z was dzielny westman. Weźcie tego draba na plecy l chodźcie!

Wziął na barki jednego, ja drugiego i powróciliśmy do tylnych drzwi. Old Death poskrobał zgodnie z umową i Lange nas wpuścił.

— Co przynosicie? — zapytał z cicha, zauważywszy pomimo ciemności, że coś dźwigamy.

— Zobaczycie! — rzeki Old Death wesoło. — Zamknijcie drzwi i wejdźcie do środka!

Jakież było zdziwienie, kiedyśmy złożyli naszą zdobycz na podłodze!

— Do stu piorunów! — zawołał stary sąsiad Langego. — To dwaj członkowie Ku-Klux-Klanu! Czy nie żyją?

— Żyją - odrzekł Old Death. — Widzicie, jak to dobrze, że wziąłem z sobą tego młodzieńca. Trzymał się dzielnie i pokonał nawet dowódcę szajki.

— Dowódcę? Ach, to doskonale! Ale gdzie siedzą jego ludzie i dlaczego przynieśliście tych dwóch tutaj?

— Trzeba wam to dopiero wyjaśniać? To przecież bardzo łatwo odgadnąć. Ja i młody sir włożymy przebrania tych drabów i sprowadzimy tu całą szajkę, która czeka

pod stajnią.

— Co wy, do diabła! Narażacie przecież w ten sposób swoje życie! A jeśli spostrzegą, że jesteście fałszywymi członkami Ku-Klux-Klanu?

— Tego właśnie nie spostrzegą — odrzekł mój towarzysz tonem pewnej wyższości, — Old Death jest chytry, a ten młody master także nie taki głupi, jak się wydaje.

Old Death opowiedział im, cośmy podsłuchali, i przedstawił swój plan. Ja, jako Locksmith miałem pójść za stajnię i sprowadzić tutaj napastników, on zaś postanowił włożyć przebranie kapitana i udawać dowódcę.

— Rozumie się — rzekł westman — że będziemy mówili tylko po cichu, gdyż przy szepcie wszystkie głosy brzmią jednakowo.

— Nie będziemy się wam sprzeciwiać — rzekł stary Lange, — Ale co my tymczasem będziemy robili?

— Najpierw wyjdziecie po cichu i wniesiecie tu kilka pali lub mocnych tyk, którymi podeprzemy drzwi od izby, żeby nie można było ich otworzyć od zewnątrz. Następnie zgasicie światła i ukryjecie się w domu. Oto całe wasze zadanie. Co uczynimy potem, tego jeszcze na razie nie podobna przewidzieć.

Ojciec i syn wyszli -na dziedziniec po wspomniane pale, a my zdjęliśmy z obu jeńców przebrania. Były czarne z białymi odznakami. Odzież kapitana miała na kapturze, piersiach i na wysokości ud sztylety, a Locksmitha — klucze. Sztylet oznaczał zatem wodza. Ten, który został w gospodzie, by dowiedzieć się o miejscu naszego pobytu, nazywał się „Ślimak", miał więc pewno ponaszywane ślimaki. Kiedy zdejmowaliśmy z kapitana krótkie, podobne do szwajcarskich spodnie, odzyskał on przytomność. Spojrzał dokoła zdumionym wzrokiem i zamierzał się poderwać sięgając ręką po rewolwer tam, gdzie przedtem była kieszeń. Old Death jednak przygniótł go znowu do ziemi, przyłożył mu koniec noża do piersi i zagroził;

— Cicho, chłopcze! Wydaj jeden niedozwolony głos, zrób jeden ruch, a ta piękna stal wejdzie ci w ciało!

Kapitan był mężczyzną lat około trzydziestu i nosił brodę przystrzyżoną jak u francuskich oficerów. Twarz jego, ostro zarysowana, ciemnawa j nosząca ślady wielu przeżyć, kazała się domyślać w nim południowca. Pochwycił się ręką za bolącą głowę, w miejscu gdzie otrzymał uderzenie, i zapytał:

— Gdzie ja jestem? Coście za jedni?

— Tu mieszka Lange, którego postanowiliście napaść, chłopcze! A ja i ten młodzieniec jesteśmy tymi dwoma mężczyznami, których miejsce pobytu miał odszukać wasz Ślimak, Widzisz więc, że jesteś tam, dokąd cię gnała tęsknota.

Jeniec zacisnął wargi i przebiegł dzikim, ale wystraszonym wzrokiem dokoła. W tej chwili powrócili obaj Langowie z kilkoma tykami i piłą.

— Materiału do krępowania jest pod dostatkiem — rzekł ojciec.

— To dajcie na razie dla tych dwóch.

— Ja nie pozwolę siebie związać! — zawołał kapitan, ponownie usiłując się podnieść.

Równocześnie jednak Old Death przyłożył mu. znowu nóż do piersi, mówiąc:

— Nie rusz się! Widocznie zapomniano ci powiedzieć, kim jestem. Nazywają mnie Old Death, a wiesz zapewne, co to znaczy. Myślałeś może, że jestem przyjacielem właścicieli niewolników i członkiem Ku-Klux-Klanu?

— Wy jesteście Old... Old Death? — wyjąkał kapitan w najwyższym przerażeniu.

— Tak, chłopcze. Teraz przystępuję do naszej sprawy. Wiem, że chciałeś powiesić młodego Langego, a starego bić dopóty, dopóki mu skóra nie popęka, a potem podpalić ten dom. Jeśli się spodziewasz jakiejś laski, to doznasz jej tylko pod warunkiem, że z tego wszystkiego zrezygnujesz.

— Old Death, Old Death! — powtarzał kapitan blady jak trup. — Wobec tego jestem zgubiony!

— Jeszcze nie. Nie jesteśmy niecnymi mordercami jak wy. Darujemy wam życie, jeżeli się poddacie bez walki, w przeciwnym razie jutro można będzie wrzucić do rzeki wasze trupy. Posłuchaj teraz tego, co ci chcę powiedzieć. Jeśli postąpisz zgodnie z moim zaleceniem, będziesz mógł opuścić tę okolicę, a nawet Teksas, aby tu już więcej nigdy nie wrócić. Jeśli zaś pogardzisz moją radą, to pożegnaj się ze światem. Wprowadzę tutaj zaraz twoich ludzi. Każ im się poddać. Jeśli tego nie zrobisz, wystrzelamy was jak kaczki.

Kapitana, związano i wsadzono mu do ust chustkę, to samo zrobiono z Locksmithem, gdy przyszedł do siebie. Następnie przeniesiono obu na łóżka Langów, przywiązano ich do nich tak mocno, by się nie mogli ruszyć, i przykryto aż po szyję kołdrami.

— Tak! — śmiał się Old Death. — A teraz może się zacząć komedia. Jakże się zdziwią ci hultaje, gdy w tych spokojnie śpiących ludziach poznają własnych towarzyszy. Sprawi im to niewymowną przyjemność! Ale powiedzcie, master Lange, czy dałoby się porozmawiać z tymi, którzy tu wejdą, tak żeby nie mogli oni nikogo widzieć ani zaatakować, a żebyśmy pomimo to ich widzieli?

— Hm! — rzekł zapytany wskazując na powałę. — Tam z góry. Powała składa się z jednej warstwy desek. Możemy jedną z nich wyrwać.

— To chodźcie wszyscy i zabierzcie ze sobą broń. Wejdziecie na górę i zostaniecie tam aż do właściwej chwili. Przedtem jednak postarajmy się o dobre podpory.

Kilka pali skrócono piłą o tyle, że nadawały się dokładnie do tego celu, podpory były więc przygotowane. Ja wdziałem spodnie i bluzę Locksmitha. W szerokiej kieszeni znalazłem na obręczy pęk rozmaitych kluczy.

— Nie będą wam potrzebne — rzekł Old Death. — Nie jesteście ślusarzem ani włamywaczem i zdradzilibyście się tylko swoją niezręcznością. Musicie zabrać ze sobą jedynie klucze właściwe. Potem udacie, że otwieracie drzwi wytrychem. Noże i rewolwery weźmiemy z sobą, ale nasze strzelby pozostawimy. Póki załatwimy się z naszą sprawą na dworze, panowie tutaj wybiją jedną deskę z powały. Potem jednak należy wszystkie światła pogasić.

Postąpiono według tej wskazówki, wypuszczono nas i zamknięto za nami drzwi. Miałem przy sobie trzy klucze: od domu, od izby i od komory. Old Death pouczył mnie teraz dokładniej niż przedtem, jak się mam zachować. Usłyszawszy trzask wyrwanej deski, rozeszliśmy się. On udał się ku przedniej stronie domu, gdzie leżały tyki, ja zaś poszedłem po miłych towarzyszy przez dziedziniec ku stajni. Nie stąpałem przy tym zbyt cicho, chcąc, żeby mnie usłyszeli i przemówili pierwsi. Wolałem nie zaczynać rozmowy pierwszy, gdyż łatwo mogłem popełnić jaki błąd. W chwili gdy zamierzałem okrążyć róg domu, podniosła się z ziemi postać, o którą omal się nie potknąłem.

— Stop! — powiedział. — To ty, Locksmith?

— Tak! Chodźcie, ale jak najciszej!

— Powiem to porucznikowi. Zaczekaj tutaj! Potem zniknął w ciemności. A więc był i porucznik. Ku-Klux-Klan zorganizowany był zatem na sposób wojskowy. Po niespełna minucie zbliżył się drugi i rzekł po cichu;

— A to długo trwało. Czy te przeklęte psy zasnęły nareszcie?

— Nareszcie, ale tym mocniej. Wychylili na dobranoc całą flaszkę brandy.

— To będziemy mieli łatwą robotę. Jakżeż tam z drzwiami?

— Wszystko jest w najlepszym porządku.

— To chodźmy! Północ już minęła. Potem odwiedzimy Cortesia. Prowadź nas!

Za nim wynurzyło się mnóstwo zamaskowanych postaci, które ruszyły za mną. Przed domem podszedł do nas cicho Old Death, którego nie podobna było w ciemności odróżnić od kapitana.

— Czy wydacie jakieś osobne rozkazy, kapitanie? — spytał drugi oficer.

— Nie — odrzekł stary pewnym siebie tonem. — Wszystko zależy od tego, co zastaniemy w środku! No, Locksmith, zacznijmy od drzwi wchodowych!

Przystąpiłem do drzwi, trzymając prawdziwy klucz w ręce. Mimo to udałem, że próbuję wszystkich innych. Otworzywszy zatrzymałem się wraz z Old Deathem, aby przepuścić resztę. Porucznik został także z nami. Kiedy pozostali weszli po cichu, zapytał:

— Czy wydobyć latarnie?

— Tymczasem tylko wy wyjmijcie swoją! Weszliśmy także. Zamknąłem drzwi, ale nie na klucz, a porucznik wyciągnął z kieszeni szerokich spodni ślepą latarkę. Zauważyłem, że ubranie jego obszyte było białymi naszywkami w kształcie noża myśliwskiego. Było nas razem piętnastu, a każdy miał inny znak: kule, półksiężyce, krzyże, węże, gwiazdy, żaby, koła, ser-

ca, nożyce. ptaki, różne czworonogi. Wszyscy zatrzymali się nieruchomo. Porucznik lubił widocznie dowodzić, gdyż poświecił dokoła i zapytał:

— Czy warta stanie tu przy drzwiach?

— Po co? — odrzekł Old Death. — To niepotrzebne. Niech Locksmith zamknie. Tu nikt nie wejdzie.

Zamknąłem natychmiast, ale klucz zostawiłem w zamku, by nie obudzić w poruczniku żadnych wątpliwości.

— Musimy tam wejść wszyscy — rzekł teraz Old Death — kowale to chłopy jak dęby.

— Coś wy dziś całkiem inni niż zwykle, kapitanie!

— Bo warunki są inne. Naprzód!

Popchnął mnie ku drzwiom od izby, gdzie powtórzyła się ta sama procedura z dobieraniem klucza i otwieraniem. Następnie weszliśmy wszyscy. Old Death wziął z rąk porucznika latarkę i poświecił przy drzwiach od sypialni.

— Tędy! — rzekł. — Ale cicho, cicho!

— Czy my także mamy powyjmować latarki?

— Nie — dopiero w sypialni!

Tym poleceniem chciał Old Death zapobiec, żeby zbyt szybko nie rozpoznano śpiących. Piętnaście osób mogło się zmieścić w sypialni; szło tylko o to, żeby wszyscy tam weszli i żebyśmy nie potrzebowali pilnować również bawialni. Otwierając ostatnie drzwi, postępowałem jeszcze ostrożniej. Nareszcie drzwi się otworzyły. Old Death poświecił latarnią do wnętrza, zajrzał do sypialni i szepnął:

— Śpią. Prędzej do środka. Ale cicho! Porucznik naprzód!

Nie dal mu czasu do namysłu tub sprzeciwu, wepchnął go do środka, a reszta wsunęła się za nim na palcach. Zaledwie jednak wszedł ostatni, zamknąłem drzwi i przekręciłem klucz w zamku.

— Prędko drągi! — rzekł Old Death.

Drągi były tak długie, że można je było wcisnąć ukośnie pomiędzy brzeg drzwi a futrynę okna, aby zaś wyważyć tak podparte drzwi, na to trzeba było siły słonia. Pobiegłem czym prędzej na schody.

— Jesteście tam? — zawołałem do góry. — Już są w pułapce. Zejdźcie! Wezwani zbiegli prędko na dół.

— Są w sypialni. Trzech z was pójdzie pod okno l podeprze je drągami. Kto z napastników będzie usiłował wyleźć, dostanie kulą w łeb!

Wypuściłem tych trzech tylnymi drzwiami. Reszta poszła do izby mieszkalnej. Tymczasem w sypialni powstał okropny zgiełk. Wystrychnięci na dudków hultaje spostrzegli, że są zamknięci, wyciągnęli latarnie i poznali przy świetle, kto leży w łóżkach. Zaczęli kląć, ryczeć i walić pięściami w drzwi.

— Otworzyć, otworzyć zaraz, bo wszystko w izbie zdemolujemy! — zabrzmiało z wnętrza.

Gdy groźby ich nie skutkowały, spróbowali wywalić drzwi, ale na próżno, gdyż podpory trzymały silnie. Potem usłyszeliśmy, że otworzyli okno i starali się wyważyć okiennicę,

— Nie da się! — zawołał jakiś gniewny głos. — Jest czymś podparta od zewnątrz!

Wtem rozległa się z dworu groźba:

— Jesteście uwięzieni. Precz od okiennicy! Kto ją otworzy, dostanie kulą w łeb!

— Tak — dodał z izby Old Death — i te drzwi są obsadzone. Stoi tu dość ludzi na to, żeby was wysłać na tamten świat. Spytajcie swego kapitana, co macie czynić.

Ciszej zaś powiedział do mnie:

— Chodźcie na strych z latarką i strzelbą! Tamci zaś niech tu zapalą lampę, Weszliśmy na górę do znajdującego się nad sypialnią poddasza i z łatwością znaleźliśmy wyrwaną deskę. Zakrywszy latarnię i zdjąwszy kaptury, podnieśliśmy deskę i w ten sposób mogliśmy zajrzeć do wnętrza oświetlonej kilku latarkami sypialni.

Napastnicy stali wszyscy stłoczeni jeden obok drugiego. Obu jeńcom zdjęli już więzy i kneble, a kapitan mówił coś cicho, ale z wielkim naciskiem, do swoich ludzi.

— Oho! — rzekł porucznik. — Poddać się? Z iluż to ludźmi mamy do czynienia?

— Jest ich aż nadto, by was w przeciągu pięciu sekund wszystkich powystrzelać! — zawołał ku dołowi Old Death.

Wszystkie oczy zwróciły się ku górze. W tej samej chwili doleciał nas huk wystrzału, jeden, a potem zaraz drugi. Old Death natychmiast pojął, co to znaczy i jak należy z tego skorzystać.

— Słyszycie! — mówił dalej. — Waszych kompanów odprawiają teraz kulami u Cortesia. Całe La Grange jest przeciwko wam. Wiedziano, że tu jesteście, i przygotowano dla was przyjęcie, o jakim nawet nie marzyliście. Tu nie potrzeba Ku-Klux-Klanu. W izbie obok was stoi dwunastu, pod oknem sześciu, a tu na górze również sześciu ludzi. Ja nazywam się Old Death. Zrozumiano? Daję wam dziesięć minut czasu. Jeśli po upływie tego terminu złożycie broń, to postąpimy z wami łagodnie, w przeciwnym razie wystrzelamy was wszystkich. Więcej nie mam wam nic do powiedzenia. To moje ostatnie słowo. Zapamiętajcie je sobie!

Założył deskę na powrót i rzekł do mnie po cichu:

— Teraz prędko na dół do Cortesia z pomocą! Zabraliśmy dwóch ludzi z izby, w której został tylko Lange z synem, a dwóch spod okiennicy, gdzie na razie wystarczał jeden strażnik, i przemknęliśmy na drugą stronę. W chwili gdy padł nowy strzał, ujrzeliśmy przed domem kilka zamaskowanych postaci, a kilka innych wybiegało spoza domu Cortesia. Jedna z nich krzyknęła głośniej może, niż miała zamiar:

— Tam w tyle także strzelają. Nie wejdziemy!

Położyłem się na ziemi, podczołgałem się bliżej i usłyszałem, jak jeden ze stojących na przedzie odrzekł:

— Diabelska historia! Kto się mógł tego spodziewać! Meksykanin zwęszył coś i pobudzi strzałami całą ludność. Wszędzie zapalają się światła. Tam w tyle słychać już kroki. Za kilka minut wsiądą nam na karki; śpieszmy się. Wywalmy drzwi kolbami! Zgadzacie się?

Nie czekając odpowiedzi, skoczyłem do towarzyszy i poprosiłem:

— Panowie, prędzej! Uderzmy kolbami na tę zgraję! Chcą szturmować do drzwi Cortesia.

— Well, well! Dalej na nich! — zawołali towarzysze, a w ślad za tym zaczęły padać ciosy, Opryszkowie rzucili się z krzykiem do ucieczki, zostawiając czterech członków swej bandy, których obezwładniliśmy. Tych rozbrojono, po czym Old Death podszedł do drzwi Cortesia i zapukał.

— Kto tam? — zapytano ze środka.

— Old Death, senior, Spędziliśmy wam z karku tych łotrów. Już ich nie ma. Otwórzcie!

Drzwi uchyliły się ostrożnie. Meksykanin poznał Old Deatha, chociaż ten miał na sobie spodnie i bluzę kapitana.

— Czy rzeczywiście ich nie ma? — zapytał.

— Uciekli, gdzie pieprz rośnie. Czterech pochwyciliśmy. To wyście strzelali?

— Tak. Szczęście, żeście mnie ostrzegli, bo byłoby ze mną źle. Ja broniłem domu z frontu, a Murzyn z drugiej strony, nie mogli więc się do nas dostać. Potem zauważyłem oczywiście, że napadliście na nich.

— Tak, wybawiliśmy was, ale teraz chodźcie wy nam na pomoc! Do was już nie powrócą, ale my mamy tam jeszcze piętnastu łotrów, których nie chcemy wypuścić. Niech wasz Murzyn biegnie od domu do domu i narobi hałasu. Trzeba zbudzić całe La Grange, aby tych bandytów wyświecić raz na zawsze z miasta.

— Niechaj więc przede wszystkim pobiegnie po szeryfa. Słuchajcie, nadchodzą jacyś ludzie. Ja także będę tam zaraz. Cofnął się na powrót do domu. Z prawej strony nadeszło dwóch ludzi z rusznicami w ręku i zapytali, co znaczą strzały, a dowiedziawszy się, o co chodzi, oświadczyli się natychmiast z pomocą. Nawet secesjonistycznie nastrojeni mieszkańcy La Grange byli przeciwni Ku-Klux-Klanowi, którego wyczyny oburzały wszystkich. Wzięliśmy

czterech rannych za kołnierze i zaciągnęliśmy ich do izby Langego. Dowiedzieliśmy się od niego, że uwięzieni zachowywali się dotąd spokojnie. Senior Cortesio nadszedł także, a niebawem zjawiło się takie mnóstwo innych mieszkańców La Grange, że zabrakło miejsca w izbie i wielu z nich musiało zostać na dworze. Powstał taki gwar i hałas zbliżających się i oddalających kroków ludzkich, że uwięzieni z pewnością musieli wywnioskować, jak sprawy stoją. Old Death zabrał mnie znów na poddasze. Po odsunięciu deski ukazał się nam obraz głuchej, ale zajadłej rozpaczy. Jeńcy stali oparci o ściany, siedzieli na łóżkach albo leżeli na podłodze, pełni wściekłości.

— No — rzekł Old Death dziesięć minut minęło. Co postanowiliście?

Zamiast odpowiedzi któryś z nich rzucił przekleństwo.

— Milczycie? W takim razie uważam, że nie chcecie się poddać, i zacznie się strzelanie.

Zmierzył ze strzelby, a ja poszedłem za jego przykładem. Dziwnym sposobem żadnemu z nich nie przyszło na myśl strzelić do nas z rewolweru. To właśnie dowodziło, że byli tchórzami i że odwaga ich polegała tylko na atakowaniu bezbronnych.

— Odpowiadajcie, bo strzelam! — zagroził stary. — To moje ostatnie słowo.

Gdy nikt się nie odezwał, Old Death szepnął do mnie:

— Strzelajcie także. Musimy trafić, bo inaczej nie nabiorą respektu. Wy mierzcie w rękę porucznika, a ja kapitana.

Padły dwa strzały równocześnie, nie chybiając celu. Obaj oficerowie krzyknęli przeraźliwie, a reszta zaczęła wstrętnie wyć różnymi głosami. Nasze strzały usłyszano

wewnątrz domu. Sądząc, że walczymy z uwięzionymi, towarzysze podnieśli hałas w izbie i na dworze. Przez drzwi i okna zaczęły sypać się do sypialni kule. Wszyscy uwięzieni padli na ziemię, gdzie czuli się pewniej, wrzeszcząc wniebogłosy. Kapitan ukląkł przy łóżku, owinął prześcieradłem zakrwawioną rękę i zawołał do nas:

— Wstrzymajcie się, poddajemy się!

— Dobrze — odrzekł Old Death. — Odstąpcie wszyscy od łóżka! Rzućcie na nie swoją broń, a potem was wypuścimy. Ten, u którego później znajdzie się jakaś broń, dostanie kulę w brzuch! Słyszycie, że na dworze są setki ludzi. Tylko pełna kapitulacja może was ocalić.

Położenie, w którym znaleźli się członkowie tajnego stowarzyszenia, było beznadziejne, gdyż o ucieczce nie mogli nawet marzyć; sami o tym dobrze wiedzieli. A w razie poddania się, co im się mogło stać? Zamiarów swych nie wykonali, nie można było więc zasądzić ich za zbrodnię. Woleli tedy pójść za radą Old Deatha. Wkrótce też zaczęły padać na łóżko noże i rewolwery.

— Dobrze, panowie! — zawołał Old Death. — A teraz oświadczam, że zginie także każdy, kto się poważy wziąć broń na powrót, skoro drzwi się otworzą. Zaczekajcie teraz chwilę!

Posłał mnie na dół z poleceniem do Langego, żeby wypuścił z izby i pojmał bandytów. Ale wykonać to polecenie nie było tak łatwo, jakby się zdawało. Całą sień oświetloną latarniami zatłoczyli ludzie. Ponieważ prócz kaptura miałem jeszcze na sobie cały strój członka Ku-Klux-Klanu, przeto wzięli mnie za należącego do tajnej szajki i pochwycili natychmiast między siebie. Nie pomogły moje wołania, gdyż nie słuchano ich wcale. Zaczęli mnie tak potrącać i kopać, że czułem to wszystko jeszcze po kilku dniach. Gotowi byli zaraz wyprowadzić mnie przed dom i tam zlinczować.

Byłem w niemałym niebezpieczeństwie, ponieważ napastnicy mnie nie znali. Szczególnie jeden z nich, długi i kościsty człowiek, walił mnie bez ustanku pięścią w bok i ryczał przy tym:

— Na dwór z nim, na dwór! Drzewa mają konary, ładne konary, silne konary, wspaniałe konary; nie złamią się z pewnością, gdy na nich zawiśnie taka ludzka istota! Równocześnie popychał mnie ku tylnym drzwiom.

— Ależ, sir — krzyknąłem na niego — ja nie jestem członkiem Ku-Klux-Klanu! Spytajcie master Langego!

— Piękne konary, wspaniałe konary! — odparł uderzając mnie ponownie w biodra.

— Żądam swobodnego przejścia do izby master Langego! Przebrałem się tak tylko, aby...

— Naprawdę wspaniałe konary! A sznur także się znajdzie w La Grange, ładny, elegancki sznur z dobrych konopi.

Popchnął mnie znowu i tak trącił w bok, że straciłem cierpliwość. Mógł rozdrażnić tych ludzi do tego stopnia, że zlinczowaliby mnie rzeczywiście, a tym bardziej nie należało się spodziewać niczego dobrego, gdyby mnie pochwycili na dworze.

— Panie! — ryknąłem teraz. — Wypraszam sobie wasze ordynarne postępowanie! Idę do master Langego, rozumiecie?

— Wspaniałe konary! Niezrównane sznury! — krzyknął jeszcze głośniej i poczułem potężne pchnięcie w żebra.

Tu się już miarka przebrała. Uderzyłem go pięścią. Teraz zrobiło się wokół mnie nieco przestronniej. Skorzystałem z tego, ruszyłem naprzód przemocą i ryczałem waląc dokoła na ślepo tak, że zaczęto mi ustępować. Utworzyłem sobie w ten sposób wąską uliczkę, którą dostałem się do izby. Ale kiedy posuwałem się naprzód tak utorowaną drogą, ta uliczka zamykała się za mną, wszystkie ręce szły w ruch i pięści spadały na mnie po prostu jak grad. Biada prawdziwym członkom Ku-Klux-Klanu, skoro przebranemu tylko w ich strój, spokojnemu obywatelowi dostały się takie cięgi. Kościsty człowiek, krzycząc jak ranny odyniec, wszedł za mną do izby. Ujrzawszy go, Lange rzekł:

— Na miłość Boską, co się stało, kochany sir? Czemu tak krzyczycie? Dlaczego krew z was cieknie?

— Na drzewo z tym członkiem Ku-Klux-Klanu — odparł rozwścieczony.

— Roztrzaskał mi nos i wybił zęby. Wspaniałe zęby. Jedyne jakie miałem na przedzie! Powieście go!

Gniew jego był teraz bardziej uzasadniony, gdyż krew rzeczywiście szła mu z ust i z nosa.

— Ten? — zapytał Lange wskazując na mnie. — Ależ, sir, szanowny sir, to nie jest członek Ku-Klux-Klanu! To nasz przyjaciel, któremu właśnie zawdzięczamy, że pochwyciliśmy tych drabów. Bez niego nie żyłbym teraz ani ja, ani senior Cortesio, a domy nasze stałyby w płomieniach!

Kościsty człowiek wytrzeszczył oczy, otworzył usta i zapytał;

— Bez... bez... tego?...

Obraz był nadzwyczajny! Wszyscy obecni zaczęli się śmiać. On otarł sobie chustką pot z czoła, ja zaś pocierałem na swym ciele rozmaite miejsca, na których zostały bolesne odciski jego kościstych palców.

— Słyszycie zatem, sir! — huknąłem na niego, — Wściekliście się po prostu z żądzy powieszenia mnie! Od waszych diabelskich szturchańców czuję w sobie niemal każdą kosteczkę.

Nie umiał sobie w swym zakłopotaniu poradzić inaczej niż w ten sposób, że otworzył znowu usta i wyciągnął do nas dłoń z dwoma „jedynymi" zębami, które jeszcze miał przed chwilą. Teraz i ja musiałem się roześmiać, choć widok jego był istotnie opłakany. Po tym zajściu dopiero zdołałem przekazać Langemu polecenie Old Deatha.

Pozbierano troskliwie wszystkie sznury, jakie się tylko znalazły, i złożono je w kącie.

— Wypuszczajcie ich zatem, ale po jednym! — rzekłem. — Każdego trzeba związać, skoro tylko się ukaże. Old Death będzie się dziwił, dlaczego tak długo zwlekamy. Właściwie powinien już tu być szeryf. Murzyn Cortesia miał go zaraz sprowadzić!

— Szeryf? — spytał Lange zdumiony. — Toż to on właśnie! Nie wiecie nawet, komu zawdzięczacie szturchańce. Oto on.

Wskazał na kościstego.

— Do krocset piorunów, sir! — huknąłem nań. — Wy jesteście szeryfem, najwyższym urzędnikiem władzy wykonawczej w tym pięknym okręgu, macie pilnować porządku i starać się o

należne posłuszeństwo wobec prawa, a tymczasem sami gracie rolę samego sędziego Lyncha[9]? To bardzo źle! W takim razie nic dziwnego, że Ku-Klux-Klan tak się tu rozwielmożnił!

Wprawiło go to w kłopot nie do opisania. Pokazał mi jeszcze raz oba wybite zęby, przy czym wyjąkał:

— Wybaczcie, sir! Pomyliłem się!

— Spełniajcie więc od teraz przynajmniej swoje obowiązki, jeśli nie chcecie popaść w podejrzenie, że dlatego zabraliście się do linczowania porządnych ludzi, ponieważ stoicie potajemnie po stronie Ku-Klux-Klanu.

To wróciło mu pełną świadomość urzędowej godności, bo rzekł prostując się dumnie:

— Oho! Ja, szeryf tego wielce szanownego okręgu Fayetta, miałbym być członkiem Ku-Klux-Klanu? Dowiodę wam zaraz, że jest przeciwnie. Rozprawa przeciw tym łotrom odbędzie się jeszcze tej nocy. Odstąpcie, panowie. i zróbcie im miejsce. Wyjdźcie do sieni, ale pokażcie przez drzwi wasze strzelby, aby wiedzieli, kto teraz jest panem domu. Weźcie sznury do ręki i otwórzcie drzwi!

Rozkaz ten wykonano i pól tuzina dwururek zajrzało groźnie przez drzwi. W izbie znajdowali się teraz szeryf, obaj Langowie, Cortesio, dwaj od początku sprzymierzeni z nami towarzysze i ja. Z dworu dolatywały okrzyki tłumu domagającego się przyśpieszenia akcji. Otworzyliśmy okiennice, aby ludzie mogli zajrzeć i przekonać się, że nie próżnujemy. Odsunięto podpory, a ja otworzyłem drzwi. Żaden z uwięzionych nie chciał wyjść pierwszy Wezwałem najpierw kapitana, a potem porucznika. Obaj mieli ręce owinięte chustkami. W górze siedział nad otworem Old Death i trzymał strzelbę zwróconą na dół. Zipanym przezeń w pułapkę ludziom wiązano ręce na plecach, po czym musieli stanąć obok skrępowanych tak że czterech towarzyszy sprowadzonych spod domu Cortesia. Ludzie, którzy stali na dworze, widząc, co się dzieje w izbie, wydawali głośne okrzyki. Zostawiliśmy pojmanym kaptury na głowach, zdjęliśmy kaptur tylko porucznikowi. Na moje usilne pytania i żądania sprowadzono człowieka, który przedstawił się jako cyrulik i twierdził. że wkrótce opatrzy, zoperuje i wyleczy wszystkie rany Zbadał rannych i rozpędził potem pół kopy mieszkańców La Grange na poszukiwania waty, przędzy, szmat, plastrów, tłuszczu, mydła i innych środków, których potrzebował.

Gdyśmy już wszystkich członków Ku-Klux-Klanu mieli w swej mocy, rzucono pytanie, gdzie ich zaprowadzić, ponieważ w La Grange nie było więzienia na dziewiętnastu ludzi.

— Odstawić ich do sali w gospodzie! — rozkazał szeryf. — Najlepiej sprawę załatwić jak najszybciej. Utworzymy sąd z sędziami przysięgłymi i wyrok wykonamy natychmiast. Mamy do czynienia z wyjątkowym wypadkiem i postąpimy także w sposób wyjątkowy.

Wiadomość o tym zarządzeniu przedostała się natychmiast na zewnątrz. Tłum się zakołysał i ruszył naprzód ku gospodzie, aby zająć dobre miejsca w sali. Wielu, którym się to nie udało, ulokowało się na schodach, w sieni i przed gospodą. Członków Ku-Klux-Klanu spotkało tak groźne przyjęcie ze strony publiczności, że eskorta musiała zadać sobie niemało trudu, by zapobiec rękoczynom. Z wielkim wysiłkiem dostaliśmy się do obszernej, lecz bardzo niskiej komnaty, przeznaczonej na zabawy taneczne. Podium orkiestry było już zajęte, lecz opróżniono je natychmiast, aby tam umieścić pojmanych. Gdy zdjęto z nich kaptury, okazało się, że nie było między nimi nikogo z okolicy.

Nowo utworzony sąd z szeryfem, jako przewodniczącym na czele, składał się z oskarżyciela publicznego, obrońcy, pisarza i przysięgłych. Świadkami byli obaj Langowie, Cortesio, pięciu innych ludzi, Old Death i ja. Jako dowód leżała na stołach broń oskarżonych i ich strzelby, które Old Death zabrał z kryjówki za stajnią. Okazało się, że w każdej lufie był nabój. Szeryf

[9] Sędzia Lynch – nazwa l y n c h pochodzi od nazwiska plantatora kpt. Wiliama Lyncha z Pensylwanii w stanie Wirginia. Lynch (spolszcz. lincz) – bestialska rozprawa nad Murzynami, bez śledztwa i sądu, została zastosowana po raz pierwszy w 1776 roku. Od tego czasu „wyroki" wydaje się w imieniu rzekomego sędziego Lyncha.

oznajmił, że rozpoczyna rozprawę, a równocześnie odstępuje od zaprzysiężenia świadków, ponieważ „etyczna wartość oskarżonych jest za niska, aby tak moralnych i czcigodnych dżentelmenów jak my obarczać ciężarem przysięgi". Dalej zauważył szeryf, że z wyjątkiem członków Ku-Klux-Klanu znajdują się poza tym na sali sami ludzie, których moralne i prawne zapatrywania są ponad wszelką wątpliwość, i stwierdził to ku wielkiej swojej radości i zadowoleniu. Powszechne brawo zabrzmiało w nagrodę za to pochlebstwo, urzędnik zaś odpowiedział pełnym godności ukłonem. Ja jednak dostrzegłem rozmaite twarze, na których wcale nie odbijały się owe wychwalane tak dalece „moralne i prawne zapatrywania".

Najpierw przesłuchano świadków. Old Death przedstawił obszernie cały wypadek, my zaś ograniczyliśmy się do potwierdzenia tego, co on powiedział. Po nas zabrał głos oskarżyciel publiczny. Przytoczywszy nasze zeznania, stwierdził, że oskarżeni należeli do zakazanego stowarzyszenia, którego zgubnym celem jest podkopywanie porządku publicznego, ruina fundamentów państwa i szerzenie zbrodni godnych potępienia, które karze się zazwyczaj długoletnim lub dożywotnim więzieniem, a nawet śmiercią. Już sama przynależność do klanu wystarcza do osadzenia w więzieniu na dziesięć lub dwadzieścia lat. Oprócz tego dowiedziono, że oskarżeni zamierzali zamordować byłego oficera republiki, zbić okrutnie dwóch bardzo szanownych dżentelmenów i puścić z dymem domy tego błogosławionego miasta. W końcu chcieli powiesić dwóch nadzwyczaj spokojnych i czcigodnych mężów ─ tu skłonił się po dwakroć mnie i Old Deathowi ─ co najprawdopodobniej pociągnęłoby za sobą ich śmierć, a co należy ukarać tym surowiej, że właśnie dzięki tym mężom udało się odwrócić grożące La Grange niebezpieczeństwo. Oskarżyciel domaga się więc jak najsurowszej kary dla winnych i wnosi, aby kilku członków Ku-Klux-Klanu, wybranych przez wielce szanowny sąd, powieszono, a resztę ćwiczono tęgo dla „moralnego pokrzepienia", a potem zamknięto między grubymi murami, iżby nie mogli na przyszłość zagrażać państwu i znanym z uczciwości obywatelom.

Oskarżyciel dostał także huczne brawo i podziękował pełnym godności ukłonem. Po nim przemówił obrońca. Zauważył najpierw, że przewodniczący dopuścił się karygodnego zaniedbania, nie zapytawszy oskarżonych o ich nazwiska i inne dane. Radzi mu zatem obecnie to uzupełnić, gdyż należy wiedzieć, kogo się ma powiesić lub zamknąć, choćby na wypadek gdyby zaistniała potrzeba wystawienia świadectwa zgonu i innych dokumentów. Ta bystra uwaga uzyskała z mojej strony pełną, choć milczącą aprobatę. Obrońca w dalszym ciągu nie negował wcale wyżej wymienionych zamiarów członków Ku-Klux-Klanu, twierdząc, że musi uznawać prawdę, ale przecież żaden z tych zamiarów nie został wykonany istotnie i nie wyszedł poza stadium usiłowań. Dlatego nie może być mowy o powieszeniu lub dożywotnim więzieniu, Zapytuje wszystkich, czy samo usiłowanie wyrządziło komu szkodę i czy ją może w ogóle wyrządzić. Nigdy, a zatem i w tym wypadku nie. Ponieważ więc nie przyniosło to nikomu szkody, musi prosić bezwarunkowo o uwolnienie oskarżonych, czym członkowie wysokiego trybunału dowiodą, że są humanitarnymi i miłującymi pokój dżentelmenami. Kilka głosów zawołało i teraz „brawo!", a obrońca skłonił się głęboko na wszystkie strony, Jak gdyby otrzymał poklask od całego świata.

Teraz powstał przewodniczący po raz drugi. Stwierdził najpierw, że z wyraźnym zamiarem nie pytał oskarżonych o nazwiska i inne dane, gdyż był święcie przekonany, że go okłamią. Wnosi więc, żeby na wypadek powieszenia wystawić ogólne świadectwo zgonu, brzmiące mniej więcej w ten sposób: „Powieszono dziewiętnastu członków Ku-Klux-Klanu, gdyż udowodniono im winę. Przyznaje następnie, że istotnie chodzi tu tylko o usiłowanie i w tym kierunku poprowadzi przewód, ale zaznacza przy tym, że jedynie obu obecnym dżentelmenom należy zawdzięczać, że usiłowanie nie stało się czynem. Samo usiłowanie zbrodni jest już niebezpieczne i za to należy winnych ukarać. Mówca nie ma ani ochoty, ani czasu wahać się godzinami pomiędzy zdaniem oskarżyciela a obrońcy i nie myśli zajmować się zbyt długo szajką, która mimo że składała się z dziewiętnastu ludzi i była dobrze uzbrojona, dała się

wziąć do niewoli dwóm ludziom. Tacy bohaterowie nie zasługują na to, żeby pies z kulawą nogą na nich zwracał uwagę. Mówca skarży się, że już nawet nazwano go przyjacielem Ku-Klux-Klanu, a taka obelga musi być zmyta, więc postara się przynajmniej o to, żeby oskarżeni odeszli ze wstydem i raz na zawsze zaniechali powrotu. Zapytuje więc panów sędziów przysięgłych, czy oskarżeni winni są usiłowania morderstwa, rabunku, uszkodzenia ciała jako też podpalenia. Prosi też, by sędziowie nie odkładali odpowiedzi do ostatniego grudnia przyszłego roku, gdyż zgromadziło się tu mnóstwo czcigodnych słuchaczy, wobec których nie wolno zbyt długo zwlekać z wyrokiem".

To sarkastyczne przemówienie nagrodzono hucznymi oklaskami. Panowie przysięgli zgromadzili się w kącie, naradzali się przez kilka minut, a ich przewodniczący podał do wiadomości wynik narady. Wyrok brzmiał: winni. Teraz nastąpiła cicha narada szeryfa z ławnikami. Zwracało przy tym uwagę, że szeryf kazał odebrać uwięzionym wszystko, co mieli w kieszeniach, a szczególnie pieniądze, które natychmiast przeliczono. Wreszcie szeryf skinął głową i podniósł się, by ogłosić wyrok.

.— Panowie — rzekł — oskarżonych uznano winnymi. Sądzę, że będę wyrazicielem waszych życzeń, jeśli nie tracąc wielu słów, powiem, na czym polega kara, dla której oznaczenia i energicznego wykonania zebraliśmy się tutaj. Zarzuconych winnym zbrodni nie dokonano, dlatego w myśl apelacji pana obrońcy do naszego uczucia humanitaryzmu postanowiliśmy zaniechać bezpośredniej kary...

Oskarżeni odetchnęli widocznie, wśród słuchaczy zaś odezwało się kilka okrzyków niezadowolenia. Szeryf mówił dalej:

— Zaznaczyłem poprzednio, że samo usiłowanie dokonania zbrodni też pociąga za sobą odpowiednie konsekwencje. Jeżeli członków Ku-Klux Klanu nie ukarzemy, musimy się przynajmniej postarać o to, żeby nie byli dla nas groźni na przyszłość. Postanowiliśmy zatem wydalić ich ze stanu Teksas, i to z takim dla nich wstydem, że nigdy im już na myśl nie przyjdzie pokazać się tutaj. Dlatego zarządzam najpierw ostrzyżenie im włosów, brody i wąsów aż do skóry. Kilku z obecnych zechce się tym zapewne zabawić. Kto mieszka niedaleko, niechaj się uda do domu i przyniesie nożyczki: czcigodny sąd przyznaje pierwszeństwo tym, którzy nie umieją dobrze strzyc.

W odpowiedzi na to wybuchł powszechny śmiech. Jeden ze słuchaczy otworzył okno i zawołał:

— Nożyczek! Będzie się strzygło członków Ku-Klux-Klanu. Kto przyniesie nożyczki, może wejść na salę.

Nie ulegało wątpliwości, że w następnej chwili wszyscy, stojący na dole, pobiegną po nożyczki. Niebawem też sprawdziło się moje przypuszczenie, gdyż usłyszeliśmy gwałtowną bieganinę i głośne wołania o przeróżne przyrządy do strzyżenia, nawet o sekatory ogrodnicze i nożyce do strzyżenia owiec.

— Dalej uchwalono — mówił szeryf — zaprowadzić skazanych na parowiec, który właśnie przybył o jedenastej z Austin, a o świcie odchodzi do Matagordy. W tym z kolei mieście wsiądą na pierwszy lepszy statek i nie wolno im będzie wrócić kiedykolwiek do Teksasu. Wsadzi się ich na pokład tego statku bez względu na to, kim są, skąd przyszli i dokąd statek odchodzi. Od chwili obecnej aż do momentu, gdy znajdą się na statku, nie wolno im zdjąć przebrania, żeby każdy z podróżnych miał sposobność przypatrzyć się, jak Teksańczycy postępują z członkami Ku-Klux-Klanu. Pozostaną również nadal skrępowani. Chleba i wody dostaną dopiero w Matagordzie. Koszty transportu pokryje się z ich własnych pieniędzy, które tworzą piękną sumę trzech tysięcy dolarów, zebranych prawdopodobnie z grabieży. Oprócz tego skonfiskuje się całe ich mienie, a w szczególności broń, i urządzi się niezwłocznie licytację. Sąd postanowił obrócić dochód z licytacji na zakup piwa, ażeby czcigodni świadkowie wraz ze swymi paniami mieli łyk płynu w czasie tańców, jakie rozpoczną się tu po ukończeniu sądu. O brzasku odprowadzimy członków Ku-Klux-Klanu z muzyką i żałobnymi pie-

śniami na parowiec. Muszą oni przypatrzyć się naszemu balowi i w tym celu zostaną tu, gdzie się teraz znajdują. Jeżeli obrońca ma coś przeciwko temu wyrokowi, to chętnie go wysłuchamy, tylko idzie o czas. Trzeba ostrzyc podsądnych i zlicytować ich rzeczy, zanim się rozpocznie bal.

Okrzyki zadowolenia, które odezwały się teraz, graniczyły wprost z rykiem. Przewodniczący i obrońca natrudzili się niemało, zanim przywołali do porządku rozbawionych słuchaczy. Wreszcie mógł obrońca zabrać głos.

— Na korzyść moich klientów — rzekł z zapałem — mogę powiedzieć, co następuje. Uważam wyrok wielce szanownego trybunału za zbyt srogi, lecz srogość tę łagodzi nieco ostatnia część wyroku, dotycząca piwa, tańca, muzyki i śpiewu. Dlatego oświadczam w imieniu tych, których interesów bronię, że zgadzam się w zupełności z wyrokiem i wyrażam nadzieję, że posłuży im on za zachętę do lepszego, pożyteczniejszego życia. Ostrzegam ich zarazem, żeby do nas nie powracali, gdyż w takim wypadku nie przyjąłbym ponownie obrony, a wobec tego zostaliby pozbawieni tak doskonałego doradcy prawnego.

Co zaś do mego wynagrodzenia, to zastrzegam sobie po dwa dolary od klienta, co na dziewiętnastu ludzi wynosi trzydzieści osiem dolarów, których odbioru nie potrzebuję pisemnie stwierdzać, jeśli je otrzymam zaraz wobec świadków. Z pieniędzy tych osiemnaście dolarów wezmę dla siebie, a resztę przeznaczam na światło i koszty wynajęcia lokalu. Muzykantów można opłacić z wstępów, które radzę oznaczyć na piętnaście centów od dżentelmena. Panie oczywiście nie płacą.

Obrońca usiadł, a szeryf oświadczył, że się z nim zupełnie zgadza.

Ja siedziałem jak we śnie. Czy to wszystko mogło być prawdą? Nie mogłem o tym wątpić, bo obrońcy wypłacano pieniądze, a wielu ludzi pobiegło do domów, aby sprowadzić swoje żony na bal. Inni powracali z nożycami rozmaitego gatunku. Porwał mnie z początku gniew, ale wnet roześmiałem się serdecznie. Old Death też był niesłychanie ubawiony zakończeniem awantury. Członków Ku-Klux-Klanu ostrzyżono rzeczywiście do samej skóry, po czym zaczęła się licytacja. Strzelby poszły prędko i zapłacono za nie dobrze. Z reszty przedmiotów także niebawem nic nie zostało. Panował przy tym zgiełk i ścisk nie do opisania. Jedni wchodzili, drudzy wychodzili, wszystko odbywało się dość swobodnie, nie obeszło się więc bez potrąceń i szturchańców. Wszyscy chcieli być w sali, chociaż ta nie mogła pomieścić nawet dziesiątej ich części. Wreszcie weszli muzykanci: klarnecista, skrzypek, trębacz i właściciel starego fagotu. Ta wspaniała orkiestra ustawiła się w kącie i zaczęła stroić swoje przedpotopowe instrumenty, co dało mi niezbyt przyjemny przedsmak ich umiejętności. Postanowiłem opuścić to szanowne zebranie, zwłaszcza że na sali ukazały się panie, ale Old Death nie chciał nawet o tym słyszeć, twierdząc, że właśnie my dwaj, jako główni bohaterowie dnia, powinniśmy użyć przyjemności po wszystkich trudach i niebezpieczeństwach. Szeryf zaś zaznaczył z wielką energią, że wszyscy obywatele La Grange czuliby się obrażeni, gdybyśmy wzbraniali się odtańczyć pierwszego kotyliona. W dodatku przedstawił Old Deathowi swoją żonę, a mnie córkę jako doskonałe tancerki. Ponieważ wybiłem mu dwa zęby, a on uderzył mnie kilkakrotnie w żebra, wobec tego powinniśmy się, jego zdaniem, uważać za powinowatych z wyboru. Zapewniał, że byłoby ma bardzo przykro, gdybym nie wziął udziału w zabawie. Obiecał zarazem postarać się, żeby nam dano osobny stół. Co miałem zrobić? Ukazały się także obie panie, którym nas przedstawiono.

Jako jeden z bohaterów dzisiejszego dnia i prywatny detektyw incognito, zrozumiałem, że będę musiał odważyć się na słynny kotylion, a może także na kilka suwanych i skakanych.

Poczciwy szeryf cieszył się prawdopodobnie tym, że oddał nas pod opiekę boginiom swego domowego ogniska. Wyszukał dla nas stół, który miał ten wielki błąd, że wystarczał tylko na cztery osoby, więc wpadliśmy bez ratunku w moc obu pań. Panie były nieocenione. Stanowisko męża i ojca nakazywało im nadawać sobie jak najwięcej powagi. Mama mogła mieć nieco powyżej pięćdziesiątki; przez cały czas robiła na drutach, odezwała się raz na temat Kodeksu

Napoleona[10], po czym usta jej zamknęły się na zawsze. Córeczka, lat ponad trzydzieści, przyniosła tomik poezji i mimo piekielnego zgiełku, nieustępliwie czytała. Zaszczyciła również Old Deatha uwagą o Pierre Jean de Berangerze[11], która miała dowodzić bystrości jej umysłu, a gdy stary westman zapewnił ją całkiem szczerze, że nie rozmawiał jeszcze nigdy z tym dżentelmenem, zapadła także w głębokie milczenie. Piwa nasze panie nie piły, kiedy jednak szeryf przyniósł im dwie szklanki brandy, ich ostro zarysowane, mizantropijne oblicza ożywiły się.

Wkrótce potem urzędnik szturchnął mnie swoim, znanym mi już sposobem w bok i szepnął:

— Teraz nadchodzi kotylion. Bierzcie się prędko do dzieła!

— Czy panie nam nie odmówią? — zapytałem tonem, z którego nie przebijało zbyt wielkie zadowolenie.

— Nie. Panie są przeze mnie uprzedzone. Wstałem więc i skłoniłem się przed córką, mruknąłem coś o zaszczycie, przyjemności i wyróżnieniu i otrzymałem... książkę z wierszami, do której przyczepiona była miss. Old Death zabrał się do rzeczy praktyczniej, wołając do matki wprost:

— No, może pójdziemy! W prawo, czy w lewo? Jak wolicie? Bo ja skaczę równie dobrze w jedną, jak i w drugą stronę.

Jak tańczyliśmy obaj, jakiego nieszczęścia narobił mój stary przyjaciel, padając razem z tancerką na ziemię, jak dżentelmeni zaczęli pić — o tym zamilczę. Dość że kiedy dzień nadszedł, skończyły się już prawie zapasy gospodarza.

Szeryf zapewniał jednak, że uzyskana z licytacji suma jeszcze się nie wyczerpała, że można by dzisiaj wieczorem albo jutro zrobić następną małą potańcówkę.

Gdy tylko rozeszła się wiadomość, że wszyscy ruszają z członkami Ku-Klux-Klanu ku przystani, obie panie zerwały się na równe nogi.

Pochód odbywał się w następującym porządku: na czele szli muzykanci, potem sędziowie, członkowie Ku-Klux-Klanu w swoich dziwacznych przebraniach, następnie my, świadkowie, a za nami panowie, panie, słowem — tłum ludzi,

Amerykanin to dziwny człowiek: zawsze zdobywa to, czego mu potrzeba. Okazało się, że każdy uczestnik pochodu. z wyjątkiem czcigodnych pastorów i pań, miał jakiś instrument do sprawienia kociej muzyki. Skąd ci ludzie wszystko to tak prędko zdobyli, tegośmy nie mogli pojąć. Kiedy wszyscy stanęli w szeregu, szeryf dał znak, pochód ruszył, a idący na czele wirtuozi zaczęli pastwić się nad piosenką „Yankee doodle". Na zakończenie przeszło to w kocią muzyko. Co tam świstano, ryczano, śpiewano, to się nie da opowiedzieć. Zdawało mi się, że się znajduję wśród wariatów. Tak szliśmy wolnym, pogrzebowym krokiem ku rzece.

Więźniów wydano kapitanowi, który, jak się o tym przekonaliśmy, wziął ich pod swą opiekę. O ucieczce mowy nie było — za to ręczył kapitan. Oprócz tego pilnowali ich jak najbezwzględniej współpodróżni.

Gdy statek ruszył, muzykanci zagrali swoją najpiękniejszą fanfarę, a publiczność pożegnała opryszków znowu kocią muzyką, Kiedy jeszcze oczy wszystkich zwrócone były na okręt, wziąłem Old Deatha pod ramię i poszliśmy razem z Langem i jego synem do domu, żeby się zdrzemnąć. Spaliśmy jednak dłużej, niż to było naszym zamiarem. Byłem tym zgnębiony.

— Nie obawiajcie się, sir! — uspokajał mnie Old Death. — Kiedy taki stary ogar jak ja przyłoży nos do tropu, to nie puści go, dopóki nie pochwyci zwierzęcia. Możecie temu śmiało zaufać!

— Ja też to czynię, ale przez nasze spóźnienie Gibson wysforuje się zbytnio naprzód.

---

[10] Kodeks Napoleona – kodeks praw ogłoszony przez Napoleona I.

[11] Pierre Jean de Beranger (1780 - 1857) – słynny piosenkarz francuski, popularyzator legendy napoleońskiej we Francji, mistrz pieśni, których wiele stało się własnością ludu.

― Już my go dościgniemy. Sądzę, że to wszystko jedno, czy pochwycimy go o jeden dzień wcześniej, czy później, byleśmy go tylko znaleźli. Głowa do góry! Nazywają mnie Old Death. Zrozumiano?

Brzmiało to dość pocieszająco, zresztą ufałem staremu, że dotrzyma danego słowa. Uradowałem się też, gdy mi Lange przy obiedzie powiedział, że chciałby pojechać z nami, ponieważ jego droga prowadzi na razie w tym samym kierunku.

― We mnie i w moim synu nie będziecie mieli złych towarzyszy ― zapewniał. ― Umiem obchodzić się z koniem i używać broni, a gdybyśmy po drodze spotkali się z jakąś białą lub czerwoną hałastrą, to nie pomyślimy o ucieczce. Weźmiecie więc nas z sobą? No, ręka na zgodę!

Oczywiście, że zgodziliśmy się na to. Później przyszedł Cortesio, który spał jeszcze dłużej od nas, aby nam pokazać konie.

― Ten młody master twierdzi wprawdzie, że umie dobrze jeździć na koniu ― rzekł Old Death ― ale ja wiem, co o tym sądzić. Nie wierzę w jego „koński rozum". Kupując konia, wybieram sobie czasem takiego, który najgorzej wygląda, ale ja oczywiście jestem pewny, że ten jest lepszy. Zdarzyło mi się to już nieraz.

Musiałem przejechać się przed nim na wszystkich koniach, które stały w stajni, on zaś przypatrywał się każdemu z miną znawcy i przezornie pytał za każdym razem o cenę. W końcu istotnie postąpił zgodnie ze swym zwyczajem i nie wziął tych koni, które przeznaczył nam Cortesio.

― Te wyglądają na lepsze, niż są w istocie ― zawyrokował. ― W kilka dni zmęczyłyby się do cna. Nie, my kupimy te dwa stare kasztany, które dziwnym sposobem kosztują tak mało.

― Ależ to szkapy robocze! ― zaprotestował Cortesio.

― Nie znacie się na tym, senior, jeśli mi wolno tak powiedzieć. Te kasztany to konie prerio-we, tylko były w złych rękach. Nie zabraknie im oddechu i sądzę, że nie pomdleją z powodu byle jakiego wysiłku. Te bierzemy i basta, sprawa załatwiona!

ROZDZIAŁ III

PRZEZ GRANICĘ

W kilka dni potem w tym punkcie, gdzie stykają się południowe krańce teksańskich okręgów Medina i Uwalde, jechało przez prerię pięciu jeźdźców. Jadący na samym przedzie dwaj biali byli prawie jednakowo ubrani z tą tylko różnicą, że ubranie młodszego było nowsze od ubrania starszego, wychudłego człowieka. Niosły ich kasztanki kłusując wesoło i parskając od czasu do czasu, jakby na znak, że podołają wytężonej jeździe w tych rozległych okolicach. Po drugiej parze podróżnych poznać było natychmiast, że to ojciec i syn. Byli także jednakowo ubrani, lecz nie w szaty skórzane jak pierwsi, ale wełniane. Na głowie mieli szerokie pilśniowe kapelusze, a broń ich składała się z dwururki, noża i rewolweru. Murzyn o żylastej postaci miał na sobie lekkie, ciemne płócienne ubranie, a na kędzierzawej głowie wysoki, lśniący cylinder. W ręku trzymał dwururkę, a za jego pasem tkwiła macheta, czyli długi, szablowaty nóż, jakich przeważnie używa się w Meksyku.

Nazwiska czterech pierwszych jeźdźców są wam znane. Byli to Old Death, Lange, jego syn i ja. Piąty był to Murzyn Cortesia z La Grange, ten sam, który owego pamiętnego wieczora wpuszczał nas do Meksykanina. Cortesio dowiedział się oczywiście, że obaj Langowie przytaczają się do naszego towarzystwa. Ostatniego dnia naszego pobytu w La Grange przyszedł do nas i zapytał, czy nie bylibyśmy tak uprzejmi wziąć z sobą jego Murzyna Sama. Zdumieliśmy się, lecz Cortesio wytłumaczył nam powód swej prośby. Oto otrzymał z Waszyngtonu ważną depeszę, na skutek której musi wysłać do Chihuahua równie ważny list. Nam nie mógł tego listu powierzyć, gdyż chodziło mu o odpowiedź, której my nie mogliśmy mu przynieść. Zmuszony więc był pchnąć posłańca, a nikt nie nadawał się do tego lepiej od Sama, który pod względem zdolności stał znacznie wyżej od wielu ludzi. Służył wiernie u Cortesia od bardzo dawna, był mu szczerze oddany i kilkakrotnie już przeprawiał się przez granicę przezwyciężając dzielnie wszystkie trudności takiej podróży, Cortesio zapewnił, że Sam nie będzie nam przeszkadzał, przeciwnie, jest uważny i posłuszny. Zgodziliśmy się na życzenie Cortesia i jak dotychczas nie mieliśmy powodu, by tego żałować. Sam był nie tylko dobrym, lecz nawet znakomitym jeźdźcem. Ćwiczył się w tym kunszcie jeszcze wówczas, gdy wraz ze swoim panem mieszkał w Meksyku i konno pilnował bydła. Był zręczny, bardzo uprzejmy, a mnie widocznie polubił najbardziej ze wszystkich, gdyż świadczył mi mnóstwo grzeczności, które mogły być jedynie wynikiem szczególnego przywiązania.

Old Death uważał, że szukanie śladów Gibsona byłoby zbyteczną stratą czasu. Wiedzieliśmy wszak dokładnie, w którym kierunku udał się ów oddział ochotników wysłanych Juarezowi przez Cortesia i przez jakie miejscowości wiedzie jego trasa. Old Death postanowił więc jechać wprost na Rio Nueces i do Orlego Wąwozu w przekonaniu, że w tej części kraju wpadniemy na właściwy trop. Oczywiście należało się śpieszyć, ponieważ oddział wysunął się znacznie naprzód. Nie wierzyłem, żebyśmy go mogli doścignąć, lecz Old Death wyjaśnił mi, że ochotnicy meksykańscy nie wszędzie mogą się pokazywać, lecz muszą zbaczać to w prawo, to w lewo i znacznie nadkładać drogi. My natomiast mogliśmy jechać prosto jak strzelił i w ten sposób wyrównać stracony czas.

Tak przejechaliśmy w ciągu sześciu dni prawie dwieście mil angielskich, czego, prócz Old Deatha, nikt by się po naszych kasztanach nie spodziewał. Tu, na Zachodzie, konie ożyły w sposób widoczny. Pasza na polu, świeże powietrze i szybki ruch doskonale na nie działały. Ośmielały się z każdym dniem i ożywiały coraz bardziej, jakby stawały się młodsze, Old Death cieszył się tym nadzwyczajnie, gdyż był to dowód, że ma znakomity „rozum koński".

Minęliśmy San Antonio i Castroville, przejechaliśmy przez obficie nawodniony okręg Medina i zbliżaliśmy się do okolic coraz uboższych w wodę, gdzie zaczyna się smutna teksańska pustynia piaszczysta, najbardziej jałowa pomiędzy Nueces a Rio Grandę. Zmierzaliśmy najpierw ku Rio Leona, głównemu dopływowi Rio Frio, ku temu miejscu Rio Nueces, w którym wpada doń Turkey Creek. Na północny zachód od nas leżała wysoka góra Leona z fortem Inge w pobliżu. Oddział musiał tamtędy przechodzić, ale oczywiście ukradkiem, by go załoga nie zauważyła. Spodziewaliśmy się więc, że dostaniemy wkrótce jakąś wiadomość o Gibsonie i jego towarzyszu.

Teren, który mieliśmy teraz przed sobą, nadawał się doskonale do szybkiej jazdy. Znajdowaliśmy się na równej prerii, porosłej niską trawą, po której konie nasze biegły z łatwością. Bardzo czyste powietrze sprawiało, że horyzont rysował się przed nami jasno i wyraźnie. Jadąc na południowy zachód, obserwowaliśmy przeważnie tereny ciągnące się przed nami, a nie rozglądaliśmy się na inne strony. Z tego to powodu dość późno spostrzegliśmy jeźdźców, na których zwrócił naszą uwagę Old Death. Wskazał ręką w prawą stronę i rzekł:

— Popatrzcie tam, panowie. Jak myślicie, co tam widać?

Ujrzeliśmy czarny punkt zbliżający się na pozór bardzo powoli.

— Hm! — rzekł Lange osłaniając dłonią oczy. — To będzie pasące się zwierzę.

— Tak! — uśmiechnął się Old Death. — Zwierzę! W dodatku pasące siei Przedziwne! Oczy wasze nie chcą się jakoś przyzwyczaić do perspektywy. Ten punkt oddalony jest od nas o jakieś dwie mile angielskie, a wielkość jego pomimo tej odległości wskazuje, że to nie może być jedno zwierzę. Musiałby to chyba być bawół, pięć razy większy od starego słonia, a bawołów tu nie ma. Gdyby się nawet jakiś zapędził, to nie o tej porze roku, lecz w jesieni albo na wiosnę. Nie macie doświadczenia i dlatego nie zdajecie sobie sprawy z ruchu przedmiotu, który znajduje się przed wami w takim oddaleniu. Bawół lub koń pasąc się idzie powoli, krok za krokiem. Założę się, że ten punkt porusza się szybkim cwałem.

— To nie może być — rzekł Lange.

— No, skoro biali tak fałszywie sądzą — oświadczył Old Death — to posłuchajmy, co powie Murzyn. Samie, co o tym sądzisz?

Murzyn milczał dotychczas skromnie, teraz jednak, zapytany, odpowiedział wprost:

— Jeźdźcy być. Cztery, pięć albo sześć.

— I ja tak myślę. Może Indianie?

— O nie, sirrah! Indian tak wprost nie przychodzić do białych. Indian się schować, aby się z ukrycia białym przypatrzyć, zanim z nimi mówić. Jeźdźcy jechać prosto na nas, więc być biali.

— To bardzo słuszne, poczciwy Samie. Widzę, ku memu zadowoleniu, że masz rozum jaśniejszy od skóry.

— O, sirrah, o! — chrząknął poczciwiec pokazując wszystkie zęby w uśmiechu. Pochwała Old Deatha wielce go uradowała.

— Jeśli ci ludzie rzeczywiście mają zamiar się do nas zbliżyć, to musimy tu na nich zaczekać — zauważył Lange.

— Ani myślę! — odparł westman. — Wszak jasne jest, że nie jadą wprost na nas, lecz bardziej ku południowi, Widzą, że się posuwamy, i pędzą po przekątnej na nasze spotkanie. A zatem naprzód! Szkoda czasu na zatrzymywanie się. Może to żołnierze z fortu Inge wysłani na zwiady, a w takim razie nie mamy powodu cieszyć się tym spotkaniem,

— Czemu nie?

— Ponieważ niewątpliwie zdarzy nam się coś niemiłego, master. Fort Inge położony jest stąd dość daleko na północny zachód. Skoro komendant wysyła patrole aż tutaj, wisi w powietrzu coś przykrego. Przekonacie się o tym z pewnością.

Jechaliśmy dalej z tą samą szybkością. Punkt zbliżał się widocznie i rozdzielił się w końcu na kilka mniejszych, które powiększały się bardzo prędko. Wkrótce poznaliśmy wyraźnie, że

to są jeźdźcy, a w pięć minut potem widać było mundury wojskowe. Niebawem podjechali tak blisko, że usłyszeliśmy zwrócony do nas okrzyk z rozkazem zatrzymania się, Był to wachmistrz dragonów z pięciu ludźmi.

— Dlaczego się tak śpieszycie? — zapytał osadziwszy konia. — Czy nie zauważyliście, że nadjeżdżamy?

— Owszem — odparł Old Death z zimną krwią ale nie pojmujemy, dlaczego mielibyśmy na was czekać.

— Ponieważ musimy wiedzieć, coście za jedni.

— No, jesteśmy białymi, a jedziemy na południe. To wam chyba wystarczy.

— Do diabła! — wybuchnął wachmistrz.— Nie sądźcie, że pozwolę z siebie żartować.

— Pshaw! — uśmiechnął się Old Death. — Ja sam nie mam chęci do żartów. Znajdujemy się tu w otwartej prerii, nie zaś w szkole, a wy nie jesteście nauczycielem, na którego pytania musielibyśmy odpowiadać posłusznie i uniżenie, nie chcąc narazić się na niebezpieczeństwo... rózgi.

— Postępuję wedle instrukcji i wzywam was, żebyście wymienili wasze nazwiska.

— A jeżeli nam się nie spodoba posłuchać?

— To przypatrzcie się, że jesteśmy uzbrojeni, potrafimy więc zmusić was do tego.

— Ach! Możecie to rzeczywiście uczynić? Cieszy mnie to nadzwyczaj ze względu na was, tylko nie radzę próbować. Jesteśmy wolnymi ludźmi, panie wachmistrzu! Chcielibyśmy widzieć człowieka, który by się odważył powiedzieć nam na serio, że go musimy słuchać, słyszycie — musimy! Stratowałbym po prostu takiego draba!

Old Death błysnął oczyma, poderwał konia cuglami tak, że stanął dęba i posłuszny naciskowi nóg skoczył groźnie ku wachmistrzowi. Dowódca szarpnął swego konia wstecz i chciał wybuchnąć gniewem, ale nasz stary nie dopuścił do tego, mówiąc prędko dalej:

— Nie mówiąc już o tym, że mam dwa razy tyle lat, co wy, że więcej doświadczyłem i przeżyłem aniżeli wy kiedykolwiek, zwracam tylko na to waszą uwagę, że wspomnieliście o broni. Czy wam się zdaje, że nasze noże są z marcypanu, lufy z cukru, a kule z czekolady? Te słodycze nie wyszłyby wam na zdrowie! Tłumaczycie się, że działacie wedle instrukcji. Well, tak powinno być i nic przeciwko temu nie mam. Ale czy kazano wam także fukać na doświadczonych westmanów i przemawiać do nich tonem, jakim posługuje się generał wobec rekrutów? Jesteśmy gotowi mówić z wami, ale nie wołaliśmy was i żądamy przede wszystkim grzeczności!

Podoficer się zakłopotał. Old Death zmienił się tym razem nie do poznania. Wystąpienie jego nie pozostało bez skutku.

— Nie zapędzajcież się w gniewie tak daleko! — rzekł wachmistrz. — Nie zamierzam bynajmniej być grubiańskim.

— No, ja nie dosłuchałem się ani w waszym tonie, ani w słowach wielkiej delikatności.

— To dlatego właśnie, że tutaj nie jest salon dostojnej pani. Włóczy się tędy wszelkiego rodzaju hałastra, a my, jako ludzie wysunięci na daleką placówkę, musimy mieć oczy otwarte.

— Hałastra? Czy nas także zaliczacie do tych wątpliwych dżentelmenów? — wybuchnął stary.

— Nie mogę powiedzieć ani tak, ani nie. Człowiek z czystym sumieniem nie zawaha się podać swego nazwiska. Kręci się teraz w tych stronach mnóstwo przeklętych drabów, którzy chcą się dostać do Juareza. Tym drabom nie można wierzyć.

— A więc wy stoicie po strome secesjonistów, stanów południowych?

— Tak, spodziewam się, że wy także.

— Ja sprzyjam każdemu uczciwemu człowiekowi, który walczy przeciwko łajdakom. Co do naszych nazwisk i pochodzenia, to nie potrzebujemy kryć się z tym wcale. Przybywamy z La Grange.

— A więc Jesteście Teksańczykami. Teksas trzymał stronę Południa. Mam zatem do czynienia z ludźmi wspólnych zapatrywań.

— Wspólnych zapatrywań! Do wszystkich diabłów! Wyrażacie się bardzo wzniosie; nie spodziewałbym się tego po wachmistrzu. Ale zamiast podawać wam pięć naszych nazwisk, które i tak zapomnielibyście niebawem, powiem, aby wam ułatwić sytuację, tylko moje. Jestem starym preriowcem, a ci, którzy mnie znają, nazywają mnie Old Death.

Nazwisko to podziałało natychmiast, Wachmistrz poderwał się na siodle i wytrzeszczył oczy na starego. Reszta żołnierzy rzuciła nań także zdziwione, ale już nieco bardziej przychylne spojrzenia. Podoficer ściągnął brwi i powiedział:

— Old Death! Szpieg stanów północnych!

— Panie! — zawołał groźnie Old Death. — Miejcie się na baczności. Jeżeli słyszeliście kiedy o mnie, to zapewne nabraliście przekonania, że nie zwykłem przyjmować obelg. Ofiarowałem na rzecz Unii mienie, krew i życie, bo mi się tak podobało i ponieważ zamiary Północy uważałem i do dziś dnia uważam za słuszne. Słowo szpieg oznacza coś zupełnie innego i jeśli mi taki smarkacz jak wy rzuci w twarz ten wyraz, to tylko dlatego nie uderzam go pięścią, że mi go żal. Old Death nie boi się sześciu dragonów ani dziesięciu, ani więcej. Na szczęście towarzysze wasi wyglądają rozumniej od was. Niechaj powiedzą komendantowi fortu Inge, że spotkaliście Old Deatha i że ofuknęliście go jak chłopca. Mam nadzieję, że was potem tak zwymyśla, że się nie pozbieracie.

Te słowa osiągnęły odpowiedni skutek. Komendant był chyba człowiekiem rozumniejszym od swego podwładnego. Wachmistrz musiałby wspomnieć w raporcie o tym spotkaniu i o jego wyniku. Zetknięcie się z tak sławnym myśliwcem posiada dla dowódcy patroli wielką wartość, bo może on usłyszeć wiele cennych i przydatnych myśli, zapatrywań i rad. Z westmanem takim jak Old Death obchodzą się na ogół oficerowie jak z równym sobie, z największymi względami i uszanowaniem. Co mógł o nas donieść ten wachmistrz, skoro tak głupio postąpił z Old Deathem? Zdawało się, że sam to sobie teraz w duchu powiedział, gdyż rumieniec zakłopotania pokrył mu twarz aż po czoło. Aby powiększyć to wrażenie. Old Death mówił dalej:

— Jestem z całym szacunkiem dla waszego munduru, ale mój wart jest przynajmniej tyle, co wasz. Nie zaszkodziłoby wam wcale wobec waszej młodości, gdybyście otrzymali od Old Deatha kilka rad. Kto jest teraz komendantem fortu Inge?

— Major Webster.

— Ten, który jeszcze przed dwoma laty był kapitanem w forcie Ripley? — spytał Old Death.

— Ten sam.

— To pozdrówcie go ode mnie. Zna mnie bardzo dobrze, strzelałem z nim często do tarczy. Może mi dacie notes, abym napisał do niego kilka słów? Sądzę, że się bardzo ucieszy na wieść, iż jeden z jego podwładnych nazwał Old Deatha szpiegiem.

Wachmistrz nie wiedział, co zrobić. Połknął ślinę raz, drugi i trzeci i wykrztusił z widocznym trudem:

— Ależ, sir, ja was mogę zapewnić, że tak nie myślałem. W tych warunkach, w jakich ciągle żyjemy, człowiek łatwo unosi się gniewem i nic dziwnego, że przybiera czasem ton niezamierzony.

— Tak, tak! To brzmi już uprzejmiej aniżeli przedtem. Przyjmuję zatem, że nasza rozmowa zaczyna się dopiero teraz. Czy macie zapas cygar w forcie Inge?

— Już nie. Tytoń wyszedł nam ku naszemu ubolewaniu.

— To bardzo źle; żołnierz bez tytoniu jest tylko półczłowiekiem. Mój towarzysz zabrał z sobą pełną torbę cygar. Może wam coś z tego udzieli.

Oczy wachmistrza i jego ludzi zwróciły się na mnie pożądliwie. Wyjąłem garść cygar, rozdzieliłem je pomiędzy nich i podałem ognia. Gdy podoficer pociągnął kilka razy, na twarzy rozlał mu się wyraz błogiego zachwytu; skinął mi głową na podziękowanie, mówiąc:

— Takie cygaro to istna fajka pokoju. Zdaje mi się, że nie mógłbym się gniewać na najgorszego wroga, gdyby mi tu na prerii, po całych tygodniach tytoniowego postu, ofiarował coś takiego. Ponieważ jednak, sir, musimy ruszać dalej, więc zdałoby się nam zapytać o pewne, potrzebne nam informacje. Czy widzieliście może tropy Indian?

Old Death zaprzeczył i wyraził wątpliwość, czy Indianie mogą się tu znajdować.

— Oczywiście! Mamy wszelkie podstawy do przypuszczenia, że tak jest, ponieważ te łotry wykopały znów topór wojenny.

— Do wszystkich piorunów! To by było źle! Jakie to szczepy?

— Komańcze i Apacze.

— Najniebezpieczniejsi! A my znajdujemy się właśnie pomiędzy ich terytoriami. Gdy nożyce się zamkną, zwykle najgorzej wychodzi na tym ten, który jest w środku.

— Tak, miejcie się na baczności! Przygotowaliśmy już wszystko i wysłaliśmy ludzi po posiłki i zapasy żywności. Co dzień i co noc przebiegamy okolicę w dalekim promieniu. Każdy jest w tej chwili podejrzany, dopóki się nie okaże, że to nie hultaj. Dlatego wybaczcie nam, żeśmy się przed chwilą źle zachowali!

— To już zapomniane. Ale z jakiegoż powodu wyruszają czerwonoskórzy przeciwko sobie?

— Winien temu ten diabelski — przepraszam, sir, wy może inaczej o nim sądzicie — prezydent Juarez. Słyszeliście, że musiał zmykać aż do El Paso. Francuzi poszli oczywiście za nim aż do Chihuahua i Cohahuela. On ukrył się przed nimi jak szop przed psami, oni zaś gnali go aż nad Rio Grandę i byliby go ścigali jeszcze dalej, a w końcu wzięli do niewoli, gdyby nasz prezydent w Waszyngtonie nie zabronił im tego. Wszystko było przeciwko Juarezowi, wszyscy go opuścili, nawet Indianie, do których należy jako rodowity czerwonoskóry.

— Apacze także?

— Nie. To zna.czy, że nie byli ani za nim, ani przeciw niemu, nie stawali w ogóle po żadnej stronie i siedzieli cicho w swoich kryjówkach. Tak poradził im ich młody i sławny wódz, Winnetou. Tym łatwiej udało się agentom Bazaine'a podburzyć przeciwko niemu Komanczów. Komańcze w wielkich gromadach przeszli swoim zwyczajem potajemnie granicę Meksyku, aby skończyć ze stronnikami Juareza.

— Hm! Chcecie powiedzieć: aby rabować, mordować, pustoszyć i palić! Meksyk nic nie obchodzi Komanczów. Ich siedziby i tereny myśliwskie leżą po tamtej, a nie po tej stronie Rio Grandę. Ale skoro panowie Francuzi wzywają ich do pomocy przeciwko spokojnym ludziom, nie można się im zbytnio dziwić, że korzystają skwapliwie ze sposobności wzbogacenia się. Kto ponosi za to odpowiedzialność, tego nie zamierzam tu rozstrzygać.

— No, ja także nie. A więc krótko i węzłowato: przeszli granicę i zrobili, czego od nich żądano, a przy tym zderzyli się z Apaczami. Komańcze byli zawsze śmiertelnymi wrogami Apaczów. Toteż napadli na ich obóz, wystrzelali wszystkich, którzy się nie chcieli poddać, a resztę zabrali do niewoli razem z namiotami i końmi.

— A co potem?

— Co potem, sir? Mężczyzn wedle obyczaju poprzywiązywano do pali męczeńskich.

— Tak... Panowie Francuzi mają to na sumieniu! Oczywiście, że Apacze wyruszyli natychmiast, aby się zemścić?

— Nie. To przecież tchórze!

— Pierwszy raz słyszę coś podobnego. W każdym razie chyba nie przełknęli tej hańby spokojnie?

— Wysłali kilku wojowników, aby naradzić się nad tym z wodzami Komanczów. Narady te odbywały się u nas.

— W forcie Inge? Czemu tam?

— Bo to był grunt neutralny.

— Ładnie! Pojmuję. Czy wodzowie Komanczów przybyli?

— Przybyło pięciu wodzów z dwudziestoma wojownikami.

─ A ilu było Apaczów?
─Trzech.
─Z ilu towarzyszami?
─ Bez towarzyszy.
─ Hm! I wy mówicie, że to tchórze. Trzej ludzie mieli odwagę puścić się w sam środek wrogiego kraju na spotkanie z dwudziestu pięciu przeciwnikami! Panie, jeśli choć trochę znacie Indian, musicie zaświadczyć, że to bohaterstwo. Jaki był wynik narady?
─ Nie pokojowy, gdyż waśń pogłębiła się jeszcze bardziej. W końcu Komańcze rzucili się na Apaczów. Dwóch z nich zakłuto, trzeci zaś, chociaż ranny, dostał się do konia i przesadził trzyłokciowe ogrodzenie. Komańcze ruszyli za nim w pogoń, ale nie zdołali go doścignąć.
─ I to się stało na gruncie neutralnym, pod osłoną fortu i pod nadzorem majora wojsk Stanów Zjednoczonych! Jakże zdradziecko postąpili Komańcze! Czyż jest w tym coś dziwnego, że Apacze teraz ze swej strony wykopią topór wojenny? Zbiegły wojownik doniesie im o wszystkim, po czym wyruszą ogromnymi gromadami, aby się zemścić. Ponieważ zaś wymordowano posłów w forcie białych, zwrócą się także przeciw bladym twarzom. Jak zachowali się potem Komańcze względem was?
─ Przyjaźnie. Naczelnicy zapewnili nas o tym przed opuszczeniem fortu. Oświadczyli, że walczyć będą tylko z Apaczami, natomiast blade twarze uważają za przyjaciół.
─ Kiedy odbyły się te tak krwawo zakończone rokowania?
─ W poniedziałek.
─ Dziś jest piątek, a więc przed czterema dniami. Jak długo zabawili Komańcze w forcie po ucieczce Apacza?
─ Krótko. Odjechali w godzinę.
─ A wyście ich wypuścili? Oni znieważyli prawo międzynarodowe, należało więc ich zatrzymać i ukarać. Wykroczyli przeciwko Stanom Zjednoczonym, bo na ich terytorium popełnili zdradę i podwójne morderstwo. Major powinien ich był uwięzić i donieść o tym do Waszyngtonu. Nie pojmuję go.
─ Wyjechał tego dnia na polowanie i dopiero wieczorem powrócił do domu.
─ Aby nie być świadkiem narad i zdrady! Znam to! Skoro się Apacze dowiedzą, że pozwolono Komańczom
odejść z fortu, wówczas biada każdemu białemu, który się dostanie w ich ręce. Nie oszczędzą nikogo.
─ Sir, nie zapalajcie się tak bardzo! To, że Komańczom wolno było odejść, okazało się dobre i dla Apaczów. Gdyby Komańcze nie odeszli, Apacze utraciliby w godzinę później jednego ze swych wodzów.
Old Death zrobił gest zdziwienia.
─ Jeszcze jednego wodza, powiadacie? Ach, odgaduję! To było przed czterema dniami. Miał znakomitego konia i jechał prędzej od nas. To był on, to on z pewnością!
─ Kogo macie na myśli?. ─ zapytał wachmistrz zdziwi Oiny.
─ Winnetou.
─ Tak, to był on. Zaledwie Komańcze zniknęli na zachodzie, ujrzeliśmy od strony Rio Frio wynurzającego się jeźdźca. Przybył do fortu, aby kupić sobie prochu, ołowiu i naboi do rewolweru. Nie miał odznak szczepowych, a myśmy go nie znali. Podczas zakupów dowiedział się o tym, co się stało. Przypadkowo był przy tym oficer dyżurny. Do niego też zwrócił się Indianin.
─ To wysoce, wysoce zajmujące! ─ zawołał Old Death. ─ Chciałbym być przy tym. Co powiedział oficerowi?
─ Nic, oprócz tych słów: „Wielu białych odpokutuje za to, że spełniono u was taki czyn i że nie przeszkodziliście temu, a przynajmniej nie ukaraliście winnych!" Następnie opuścił magazyn i wsiadł na konia. Oficer poszedł za nim, by się przypatrzyć wspaniałemu karoszowi,

którego dosiadał czerwonoskóry, a ten jeszcze się tak do niego odezwał: „Ja chcę być uczciwszy, niż wy jesteście. Dlatego powiadam, że od dziś będzie wojna pomiędzy Apaczami a bladymi twarzami, Wojownicy Apaczów siedzieli spokojni w namiotach, wtem wpadli na nich zdradzieccy Komańcze, zabrali im kobiety, dzieci, konie i namioty, zabili wielu, a resztę powlekli z sobą, by ich zamęczyć przy palach. Mimo to ojcowie Apaczów słuchali jeszcze głosu Wielkiego Ducha. Nie wykopali natychmiast wojennego topora, lecz wysłali do was swoich posłów, by się tu ułożyć z Komańczami. Daliście wolność Komańczom i dowiedliście w ten sposób, że jesteście wrogami Apaczów. Wszelka krew, która od dziś popłynie, niech spadnie na was, nie na nas!”

— Tak, tak, to podobne do niego! Wydaje mi się, jak gdybym go słyszał! — rzekł Old Death. — Co odpowiedział na to oficer?

— Zapytał go, kim jest, a czerwonoskóry przedstawił się jako Winnetou, wódz Apaczów. Oficer zawołał natychmiast, żeby zamknięto wrota i pojmano Indianina, do czego miał prawo, ponieważ wojna już została wypowiedziana, a Winnetou nie był u nas w charakterze parlamentariusza. Indianin zaśmiał się tylko, stratował kilku naszych, w tym oficera, i nie skierował się wcale do bramy, lecz skoczył, tak jak poprzedni Apacz, przez ogrodzenie. Wysłano za nim natychmiast oddział żołnierzy, ale go już nie znaleźli.

— Ano, macie! Teraz się zacznie! Biada fortowi i załodze, jeśli nie zwyciężą Komańcze! Apacze żadnemu z was nie darują życia. Nie mieliście jakich odwiedzin?

— Tylko raz. Onegdaj pod wieczór był u nas jeździec sam jeden, który zdążał do Sabinal. Wiem dobrze, że nazywał cię Clinton, gdyż pełniłem wtedy właśnie służbę przy bramie.

— Clinton! Hm! Opiszę go wam. Uważajcie, czy to on! Old Death opisał Gibsona, a wachmistrz potwierdził, że opis zgadza się w zupełności. W dodatku ja pokazałem fotografię, którą on uznał za niewątpliwy wizerunek tego człowieka.

— Pozwoliliście się zatem okłamać — rzekł Old Death. — On wcale nie zmierzał do Sabinal, lecz przybył do was, aby się dowiedzieć, jak wygląda u was sytuacja. On należy do tej hołoty, o której mówiliście poprzednio. Po rozmowie z wami wrócił do swego towarzysza, który na niego czekał. Czy poza tym nie zdarzyło się nic ważnego?

— Więcej nie słyszałem o niczym.

— W takim razie nasza rozmowa skończona. Wspomnijcie śmiało majorowi, żeście się ze mną spotkali. Jako jego podwładny, nie możecie mu powtórzyć, co myślę o ostatnich wypadkach, ale odwrócilibyście wielkie nieszczęście i uniknęli rozlewu krwi, gdybyście nie spełniali tak niedbale swych obowiązków. Do widzenia, chłopcy!

Skręcił koniem i odjechał, a my za nim, rzuciwszy po drodze pozdrowienie dragonom, którzy z kolei zwrócili się na północ. Przebyliśmy cwałem wielką przestrzeń. Old Death zwiesił głowę i zagłębił się w myślach. Na zachodzie tonęło słońce, pozostawała jeszcze najwyżej godzina dnia, a widnokrąg leżał przed nami odcięty od nieba linią wyraźną jak ostrze noża. Chcieliśmy dotrzeć dzisiaj do rzeki Rio Leona, ciągle jednak byliśmy daleko od celu. Zauważył to zapewne także Old Death, gdyż popędzał konia, ilekroć ten chciał wpaść w wolniejsze tempo, Skutkiem tego pośpiechu, kiedy zwiększająca się ciągle kula słoneczna dotknęła linii horyzontu, ujrzeliśmy na południu ciemny pas, który stawał się coraz wyraźniejszy. Grunt, w ostatnich godzinach piaszczysty, pokrył się znowu trawą, a ciemny pas okazał się szeregiem drzew, które zdawały się zapraszać do odpoczynku. Old Death wskazał je ręką, puścił konia stępa i rzekł:

— Jeżeli w tych okolicach rosną drzewa, musi być w pobliżu woda. Mamy przed sobą Rio Leona i rozłożymy się na jej brzegu obozem.

Wkrótce dotarliśmy do drzew. Tworzyły one wąski, biegnący wzdłuż brzegów gaj, podszyty gęstymi zaroślami. Koryto rzeki było szerokie i niezbyt zasobne w wodę, mimo to nie mogliśmy przeprawić się w tym miejscu, w którym się zatrzymaliśmy; trzeba było pojechać jeszcze w dół. Po niedługim szukaniu znaleźliśmy miejsce płytkie, kamieniste, po którym przedostali-

śmy się na drugą stronę. Old Death prowadził pochód. W chwili gdy koń jego wchodził w wodę, Old Death zatrzymał go i pochylił się, by uważnie przyjrzeć się dnu rzeki.

— Well! — potwierdził. — Tak sobie myślałem! Tu spotykamy trop! Nie mogliśmy go zauważyć przedtem, ponieważ suchy brzeg pokryty jest twardym krzemieniem, na którym nie widać śladów. Popatrzcie na dno!

My także zsiedliśmy z koni i zauważyliśmy okrągłe, trochę większe od dłoni wgłębienia na dnie rzeki.

— Czy to jest trop? — zapytał Lange. — Mieliście istotnie słuszność, sir. Może to był koń, a więc i jeździec.

— Nie. Niechaj Sam przypatrzy się śladom, Zobaczę, co on o nich sądzi.

Murzyn stał dotąd skromnie za nami. Teraz podszedł i spojrzał w wodę.

— To być dwaj jeźdźcy, którzy przejść przez wodę — rzekł.

— Dlaczego twierdzisz, że to jeźdźcy, a nie bezpańskie konie?

— Bo koń, który mieć żelazo, nie być dziki mustang, lecz swojski, a na takim zawsze siedzieć jeździec. I ślad głęboki. Konie nieść ciężar, a ten ciężar to ludzie. Konie przejść przez wodę nie obok siebie, lecz za sobą; a potem stać i pić, jeden obok drugiego. To robić tylko, kiedy musieć i słuchać cugli. Gdzie być cugle, tam być i siodło, a na nim jeździec.

— Dobrze to wywnioskowałeś — pochwalił stary Murzyna. — Ja sam nie wytłumaczyłbym tego lepiej. Obaj jeźdźcy śpieszyli się bardzo, bo nie pozwolili nawet koniom napić się wody. Ponieważ jednak zwierzęta były bardzo spragnione, a westman uważa przede wszystkim na konia, sądzę, że pozwolili koniom napić się dopiero na drugim brzegu. Ci dwaj ludzie mieli widocznie powód do tego, aby się znaleźć czym prędzej na drugiej stronie. Spodziewam się, że odgadniemy ten powód.

Podczas tych roztrząsań nasze konie piły wodę długimi łykami. Gdy zaspokoiły pragnienie, wsiedliśmy na nie znowu i dostaliśmy się niemal suchą nogą na drugi brzeg. Rzeka była tu tak płytka, że woda nie dochodziła nawet do strzemion. Zaledwie stanęliśmy na drugiej stronie, Old Death, którego bystrości nic ujść nie mogło, rzekł:

— Oto mamy powód. Przypatrzcie się tej lipie. Zdarto z niej korę na wysokość człowieka. A tutaj co tkwi w ziemi?

Wskazał ręką przed siebie. Ujrzeliśmy tam dwa rzędy wbitych w ziemię palików, nie dłuższych i nie grubszych od zwyczajnego ołówka.

— Co mogą znaczyć te paliki? — ciągnął dalej Old Death. — W jakim stosunku pozostają do obdartej kory? Czy widzicie małe, zeschłe kawałki łyka, porozrzucane po ziemi? Tych palików używano do przytrzymywania oczek jakiejś tkaniny. Czy wiecie, jak wygląda warsztat do tkania sieci, chust i tym podobnych rzeczy? Nie? No, to wiedzcie, że taki właśnie warsztat mamy przed sobą, tylko nie sporządzony z drzewa ani z żelaznych gwoździ. Obaj jeźdźcy zrobili z łyka długą, szeroką wstęgę. Jak widać z ustawienia palików, miała ona dwa łokcie długości, a sześć cali szerokości. Takie opaski służą Indianom do opatrywania ran. Soczyste łyko chłodzi ranę, a wyschnąwszy, tak się ściąga, że podtrzyma nawet uszkodzoną kość. Sądzę zatem, że jeden z jeźdźców był ranny. A teraz spojrzyjcie tutaj w wodę! Czy widzicie dwa wgłębienia w kształcie muszli? Tutaj oba konie tarzały się w wodzie. Zdjęto z nich siodła, aby się mogły zamoczyć i orzeźwić, na co pozwalają tylko Indianie, i to wtedy jedynie, kiedy czeka ich długa i forsowna jazda. Możemy zatem przyjąć za pewnik, że ci dwaj jeźdźcy bawili tu tylko przez taki czas, jakiego potrzebowali, aby zrobić opaskę, i pojechali potem dalej. Rezultat naszych badań jest zatem następujący: dwaj jeźdźcy na indiańskich koniach, w tym jeden jeździec ranny, którzy tak się śpieszyli, że nie napoili nawet koni po tamtej stronie; spostrzegłszy na tym brzegu lipę, odjechali natychmiast po założeniu koniecznej opaski. Co z tego wynika, panowie? I wy natężcie swój mózg! — zwrócił się do mnie Old Death.

— Spróbuję — odrzekłem — ale nie śmiejcie się ze mnie, jeśli nie wpadnę na właściwą odpowiedź.

— Ani mi się śni! Uważam was za swego ucznia, więc nie mogę od was wymagać dojrzałej odpowiedzi.

— Ponieważ to były konie indiańskie, przeto przypuszczam, że jeźdźcy należeli do jakiegoś czerwonego plemienia. Jeśli teraz wezmę pod uwagę zdarzenia w forcie Inge oraz tę wiadomość, że jeden z Apaczów umknął, ale ranny, Winnetou zaś również odjechał czym prędzej, to dochodzę do przekonania, że podążył za nim i mając wyśmienitego konia doścignął go.

— Nieźle! — potwierdził Old Death. — Czy wiecie coś jeszcze?

— Tak, Obaj Apacze starali się przede wszystkim jak najprędzej dostać do współplemieńców, aby im donieść, jaka zniewaga spotkała ich w forcie, oraz zwrócić uwagę na to, że ich wrogowie, Komańcze, wkrótce nadejdą. Tym się tłumaczy ich wielki pośpiech widoczny także w tym, że dopiero tutaj zabrali się do opatrzenia rany, wiedząc zresztą z góry, że nad rzeką znajdzie się łyko. Po krótkim odpoczynku pojechali dalej.

— Tak jest. Jestem z was zadowolony. Prawie nie wątpię, że to był Winnetou z tym uczestnikiem rokowań pokojowych, któremu udało się uciec. Jest już oczywiście za późno na to, aby znaleźć ich ślady w trawie, ale domyślam się, w którą stronę podążyli. Musieli tak jak my przejść przez Rio Grandę i udali się potem w najprostszym kierunku, co i my także zrobimy. Sądzę więc, że napotkamy gdzieś jeszcze ich ślady. Rozejrzymy się teraz za miejscem na obóz, gdyż jutro trzeba wyruszyć jak najwcześniej.

Wprawnym okiem wybrał wnet odpowiednie miejsce, otoczone krzakami i zarosło soczystą trawą, na której konie mogły sobie użyć do syta. Rozsiodłaliśmy je i lassami zabranymi z La Grange poprzywiązywaliśmy do powbijanych w ziemię palików. Potem rozłożyliśmy się obozem i zasiedliśmy do wieczerzy, na którą złożyły się resztki naszych zapasów żywności. Na moje pytanie, czy nie można by rozniecić ognia, Old Death odrzekł z chytrze szyderczą miną:

— Spodziewałem się tego pytania z waszej strony, sir. Czytaliście pewnie już dawniej niejedną piękną historię Coopera i innych autorów o Indianach. Podobały wam się te rzeczy?

— Dosyć.

— Hm, tak! To się dobrze czyta. Człowiek zapala fajkę, siada na kanapie, zakłada nogę na nogę i zagłębia się w pięknej książce, wziętej z wypożyczalni. Ale gdy człowiek sam pójdzie w puszczę na daleki Zachód, wówczas sprawa przedstawia się inaczej aniżeli w książkach. Cooper był bardzo zdolnym pisarzem i ja również używałem sobie na jego opowiadaniach o różnych Skórzanych Pończochach, ale Dzikiego Zachodu on nie widział. Umiał doskonale łączyć poezję z rzeczywistością, ale tutaj niestety spotyka człowiek tylko rzeczywistość, poezji, ja przynajmniej, nie znalazłem. W powieści czyta się o pięknie płonącym obozowym ognisku, nad którym piecze się soczysta bawola polędwica. Ja powiadam jednak, że gdybyśmy rozniecili taki ogieniek, to zapach spalenizny zwabiłby do nas każdego Indianina, który by się znajdował w promieniu dwu mil angielskich.

— Prawie o godzinę drogi? Czy to możliwe?

— Przekonacie się jeszcze, jakie nosy mają czerwonoskórzy, a gdyby zresztą oni tego nie zwęszyli, to zwietrzą konie i zdradzą to parskaniem, którego ich Indianie uczą. To parskanie sprowadziło już śmierć na niejednego białego. Dlatego raczej wyrzekniemy się na dziś poezji obozowego ogniska.

— Nie zachodzi żadna obawa, żeby Indianie przebywali gdzieś w pobliżu, gdyż Komańcze nie mogą jeszcze być w drodze. Zanim wysłańcy powrócą do domu i zanim zgromadzą się wojownicy rozmaitych szczepów, upłynie sporo czasu.

— Hm! Jak to mądrze umie rozprawiać taki greenhorn. Niestety zapomnieliście o trzech rzeczach: po pierwsze — jesteśmy właśnie na terytorium Komanczów, po wtóre — ich wojownicy zapędzili się już aż do Meksyku, a po trzecie — nie potrzeba pozostałych dopiero zwoływać, gdyż dawno już są zebrani i przygotowani do wyprawy wojennej. A może uważacie Komanczów za tak głupich, że zabili posłów Apaczów, nie będąc gotowi do natychmiastowego wy-

ruszenia? Ja twierdzę, że zdradziecki postępek względem posłów Apaczów nie był bynajmniej skutkiem chwilowego gniewu, lecz został obmyślony i postanowiony już z góry. Sądzę, że Komańcze są już nad Rio Grandę, i obawiam się, że Winnetou z trudem tylko zdoła przedostać się obok nich niepostrzeżenie.

— Więc wy jesteście po stronie Apaczów?

— Po cichu, tak. Wyrządzono im krzywdę tym haniebnym napadem. Oprócz tego czuję dla Winnetou nadzwyczajną sympatię. Jednak rozwaga nakazuje nam nie stać po niczyjej stronie. Bądźmy zadowoleni, jeśli dostaniemy się do celu cało, i ani na myśl nam nie powinno przyjść kokietowanie jednej lub drugiej strony. Zresztą nie mam zbyt wielkiego powodu do strachu przed Komańczami. Oni mnie znają. Nie zrobiłem im nigdy świadomie nic złego, bywałem u nich często i przyjmowali mnie uprzejmie. Jeden z najbardziej znanych ich wodzów Oyokolca, czyli „Biały Bóbr", jest nawet moim przyjacielem, gdyż wyrządziłem mu przysługę, której, jak powiedział, nigdy mi nie zapomni. Stało się to nad Red River, gdzie napadł na niego oddział Czikazajów. Byłby utracił z pewnością skalp i życie, gdybym się wówczas nie pojawił. Ta przyjaźń posiada dla nas teraz wielką wartość. Powołam się na nią, gdybyśmy się spotkali z Komańczami, a oni próbowaliby się źle z nami obejść. Zresztą jest nas pięciu, z których każdy, jak sądzę, umie używać strzelby. Zanimby jakiś czerwonoskóry pozbawił mnie mojej czupryny, tuzin jego towarzyszy dostałby bilet do wiecznych ostępów. Na wszelki wypadek jednak musimy być przygotowani i zachowywać się tak, jak się zachowuje rozsądny człowiek w kraju nieprzyjacielskim. Wszyscy więc wprawdzie będziemy spali, lecz każdy z nas kolejno stanie na czatach, które zmieniać będziemy co godzinę, Porządek ustalimy za pomocą losowania źdźbłami trawy rozmaitej długości. Każdy będzie miał po pięć godzin snu; to powinno wystarczyć.

To rzekłszy ściął pięć trawek. Na mnie wypadła ostatnia warta. Tymczasem nadeszła noc i zrobiło się zupełnie ciemno. Dopóki nie zasnęliśmy, straż nie była potrzebna. Nikt z nas nie miał ochoty do snu. Zapaliliśmy cygara i bawiliśmy się rozmową tym chętniej, że Old Death opowiadał rozmaite zdarzenia ze swego życia, które, jak zauważyłem, dobierał tak, żebyśmy się mogli z nich czegoś nauczyć. Tak zeszedł nam czas do godziny jedenastej. Wtem Old Death zamilkł i zaczął nadsłuchiwać. Jeden z naszych koni zaparskał w szczególny sposób, jak gdyby z rozdrażnienia lub strachu. Mnie także to zastanowiło.

— Hm! — mruknął Old Death. — Co to było? Czy nie miałem słuszności, mówicie do Cortesia, że oba nasze człapaki bywały już na prerii? Tak parska tylko zwierzę, które nosiło już na sobie westmana. W pobliżu z pewnością znajduje się coś podejrzanego. Ale nie oglądajcie się, panowie! W zaroślach jest całkiem ciemno, a gdy się natęża oczy, aby coś ujrzeć w takiej ciemności, nabierają one blasku i wróg może je dostrzec. Patrzcie zatem spokojnie przed siebie! Ja sam rozejrzę się dokoła. Ściągnę przy tym na twarz kapelusz, aby nie wystawiać na widok moich oczu. Słuchajcie! Znowu! Nie ruszajcie się!

Parskanie się powtórzyło. Mój koń zaczął teraz tupać nogami, jak gdyby chciał się zerwać z lassa. Zamilkliśmy, co ja uważałem za naturalne, lecz Old Death szepnął:

— Skąd to nagie milczenie? Jeśli rzeczywiście ktoś jest w pobliżu, aby nas podsłuchać, to już słyszał rozmowę, a po milczeniu pozna, że parskanie zwróciło naszą uwagę i wzbudziło w nas podejrzenie. A więc mówcie, mówcie dalej! Opowiadajcie sobie cokolwiek bądź.

Wtem rzekł Murzyn po cichu:

— Sam wiedzieć, gdzie człowiek być. Sam widzieć dwoje oczu.

— Dobrze, ale nie patrz już w tamtą stronę, bo zobaczy także twoje oczy. Gdzież to jest?

— Gdzie Sam przywiązać swego konia, koło krzaka dzikich śliw. Całkiem nisko przy ziemi, całkiem słabo widzieć iskrzące punkty,

— Dobrze! Zakradnę się do tego człowieka od tyłu i wezmę go lekko za kark. Nie ma obawy, żeby było ich więcej, bo w takim razie konie zachowywałyby się inaczej. Rozmawiajcie więc dalej głośno! Przyda się to podwójnie, gdyż po pierwsze — ten człowiek nie będzie ni-

czego podejrzewał, a po wtóre ─ wasze głosy przygłuszą szmer moich kroków, którego w tej ciemności nie zdołam uniknąć.

Wstał i odszedł. Lange zapytał mnie o coś głośno, na co ja równie głośno odpowiedziałem. Wywiązał się z tego rodzaj sprzeczki, której ja usiłowałem nadać żartobliwe zabarwienie stwarzając powód do śmiechu. Głośne objawy wesołości najlepiej mogły przekonać podsłuchującego, że niczego nie przeczuwamy, i przygłuszyć szmer wywołany przez zbliżającego się doń Old Deatha.

Will i Murzyn wtórowali mi także i tak hałasowaliśmy z dziesięć minut, dopóki nie odezwał się głos Old Deatha:

─ Hola! Nie ryczcież jak lwy! To już niepotrzebne, bo go mam. Zaraz go przyniosę.

Usłyszeliśmy szelest tam, gdzie był przywiązany koń Murzyna, a za chwilę stary wyszedł ciężkim krokiem i złożył przed nami niesiony na plecach ciężar.

─ Tak! ─ rzekł. ─ Walka była bardzo łatwa, gdyż zrobiliście taki zgiełk, ze ten czerwonoskóry nie zauważyłby nawet trzęsienia ziemi.

─ Indianin? Jest ich więcej w pobliżu?

─ Możliwe, lecz nieprawdopodobne. Ale teraz trzeba nieco światła, aby mu się przypatrzyć. Widziałem tani trochę suchych liści i zeschłe drzewko. Przyniosę je. Uważajcie tymczasem na niego!

─ On się nie rusza. Czy nie żyje?

─ Nie, jest tylko nieprzytomny. Związałem mu ręce na plecach jego własnym pasem. Zanim przyjdzie do siebie, będę z powrotem.

Poszedł po drzewko, a gdy je przyniósł, połupaliśmy je drobno nożami. Zapałki mieliśmy z sobą, niebawem więc zapłonął niewielki ogień, w którego blasku można było dobrze obejrzeć pojmanego, gdyż suche drzewo paliło się prawie bez dymu.

Czerwonoskóry miał na sobie indiańskie spodnie z frędzlami, taką samą bluzę myśliwską i mokasyny bez ozdób. Na gładko ogolonej głowie zwisał tylko kosmyk skalpowy. Twarz miał pomalowaną w czarne pasy na żółtym tle. Broń, która się składała z noża, łuku i skórzanego kołczanu, odebrał mu Old Death. Leżał nieruchomo i z zamkniętymi oczyma, jak gdyby nie żył.

─ To zwykły wojownik ─ rzekł Old Death ─ który nie ma nawet odznaki, że zabił nieprzyjaciela. Nie ma też woreczka z lekami na szyi. Ten brak wskazuje, że albo nie otrzymał jeszcze w ogóle imienia, albo je utracił. Użyto go teraz do zwiadów, bo to zadanie najniebezpieczniejsze, przy którym można się odznaczyć, zabić nieprzyjaciela i zdobyć na nowo imię. Patrzcie, już się rusza! Zaraz przyjdzie do siebie. Bądźcie cicho!

Jeniec przeciągnął się i zaczerpnął głęboko powietrza. Poczuł, że ma związane ręce, i drgnął na całym ciele. Otworzył oczy, spróbował się zerwać, lecz upadł z powrotem. Teraz patrzył na nas błyszczącymi oczyma. Gdy wzrok jego padł na Old Deatha, wyrwało mu się z ust:

Kosza-pehwe![12]

─ Tak, to ja ─ odpowiedział westman. ─ Czy czerwony wojownik zna mnie?

─ Synowie Komanczów znają bardzo dobrze męża noszącego to imię, ponieważ był u nich.

─ Jesteś Komanczem. Widzę to po barwach wojennych na twojej twarzy. Jak ci na imię?

─ Syn Komanczów utracił swe imię i nigdy go już nosić nie będzie. Wyszedł, aby je odzyskać, ale wpadł w ręce bladych twarzy i obarczył się wstydem i hańbą. Prosi więc blade twarze, by go zabiły. Zanuci pieśń wojenną i nikt nie usłyszy z jego ust głosu skargi.

─ Nie możemy spełnić twej prośby, gdyż jesteśmy twoimi przyjaciółmi. Wziąłem cię do niewoli, ponieważ z powodu ciemności nie spostrzegłem, że jesteś synem Komanczów, z którymi łączy nas pokój. Będziesz żył dalej, dokonasz jeszcze wielu dzielnych czynów i zdobędziesz imię, przed którym zadrżą wrogowie. Jesteś wolny!

[12] Kosza – pehwe (ind.) – Stara Śmierć.

Po tych słowach Old Death rozwiązał mu ręce. Przypuszczałem, że Komańcz zerwie się z ziemi natychmiast. Tymczasem leżał dalej, jak gdyby był ciągle związany.

— Syn Komanczów — rzekł — i tak nie jest wolny. On chce umrzeć. Wbij mu nóż w serce!

— Nie mam do tego powodu ani najmniejszej ochoty. Dlaczego żądasz, żebym cię zabił?

— Ponieważ byłeś chytrzejszy ode mnie i wziąłeś mnie do niewoli. Skoro wojownicy Komanczów dowiedzą się o tym, wypędzą mnie od siebie, mówiąc: najpierw utracił leki oraz imię, a potem wpadł w ręce bladych twarzy. Oko jego jest ślepe, a ucho głuche. Nie będzie on nigdy godzien odznaki wojownika.

Powiedział to tak smutnym tonem, że mi się go żal zrobiło. Nie mogłem wprawdzie zrozumieć wszystkich jego słów, ponieważ mówił angielszczyzną pomieszaną z językiem Komanczów, ale starałem się odgadnąć ich znaczenie.

— Nasz czerwony brat nie ściągnął hańby na siebie — odezwałem się, zanim Old Death zdołał odpowiedzieć. — Dać się podejść tak sławnej bladej twarzy jak Kosza-pehwe nie jest hańbą, a zresztą wojownicy Komanczów nie dowiedzą się nigdy, że byłeś naszym jeńcem. Nasze usta będą o tym milczały.

— Czy Kosza-pehwe to potwierdzi? — zapytał Indianin.

— Bardzo chętnie — rzekł stary. — Udamy, że spotkaliśmy się pokojowo. Ja jestem waszym przyjacielem, nie byłoby więc błędem z twej strony, gdybyś poznawszy mnie, podszedł do nas otwarcie.

— Mój sławny biały brat pociesza mnie swoją mową. Ufam jego słowom i wstanę, gdyż nie wrócę z hańbą do wojowników Komanczów. Bladym twarzom będę wdzięczny za ich milczenie, dopóki oczy moje będą oglądać słońce.

Usiadł i odetchnął głęboko. Wprawdzie na jego grubo posmarowanej twarzy nie było widać żadnego wzruszenia, ale zauważyliśmy od razu, że lżej mu się zrobiło na sercu.

— Nasz czerwony brat widzi — zaczął znowu Old Death — że jesteśmy mu życzliwi. Spodziewamy się zatem, że on także będzie nas uważał za przyjaciół i szczerze odpowie na moje pytania.

— Niech Kosza-pehwe zapyta. Powiem samą prawdę.

— Czy mój czerwony brat wyruszył sam na zabicie nieprzyjaciela lub niebezpiecznego zwierza, aby z nowym imieniem wrócić do wigwamu, czy też jest z nim więcej wojowników?

— Tyle, ile kropel wody w te rzece.

— Czy czerwony brat chce przez to powiedzieć, że wszyscy wojownicy Komanczów opuścili swe namioty?

— Tak. Wyruszyli po skalpy nieprzyjaciół.

— Których nieprzyjaciół?

— Tych psów Apaczów. Doleciał od nich smród aż do namiotów Komanczów, a ci dosiedli koni, aby tych kujotów wytępić z powierzchni ziemi..

— Czy wysłuchali przedtem rady starych, rozumnych wodzów?

— Sędziwi wojownicy zebrali się na naradę i uchwalili wojnę. Potem czarownicy zapytali Wielkiego Ducha o jego wolę, a odpowiedź Manitou wypadła zadowalająco. Od obozowisk Kumanczów aż do rzeki, zwanej przez blade twarze Rio Grandę del Norte, roi się od naszych wojowników. Słońce zaszło cztery razy, od kiedy topór wojenny noszono z namiotu do namiotu.

— A czy czerwony brat należy do takiego oddziału wojowników?

— Tak, obozujemy powyżej tego miejsca nad rzeka. Wysłano ludzi na zwiady, aby zbadali, czy okolica jest bezpieczna. Ja poszedłem w dół rzeki i przybyłem tu, gdzie zwęszyłem konie bladych twarzy. Wlazłem w krzaki, aby was policzyć, gdy wtem wpadł na mnie Kosza - pehwe i zabił mnie na krótki czas.

— To zapomniane. Nikt o tym już mówić nie będzie. Ilu wojowników dzielnego szczepu Komanczów stoi tu obozem?

― Równo dziesięć razy po dziesięć.
― A kto dowodzi?
― Awat-wila[13], młody wódz.
― Nie znam go i nigdy nie słyszałem jego imienia.
― Otrzymał je dopiero niedawno, ponieważ zabił w Wielkich Górach szarego niedźwiedzia i przyniósł jego skórę i pazury. Jest on synem Oyo-kolca, którego blade twarze zwą Białym Bobrem.
― O, tego znam. To mój przyjaciel.
― Wiem o tym, bo widziałem cię u niego. Byłeś gościem w jego namiocie. Syn jego, Wielki Niedźwiedź, przyjmie cię uprzejmie.
― Jak daleko stąd znajduje się wasz obóz?
― Mój biały brat nie będzie jechał nawet przez połowę tego czasu, który nazywa godziną.
― W takim razie poprosimy wodza o gościnę. Niech nas czerwony brat poprowadzi.

W kilka minut dosiedliśmy koni i pojechaliśmy pod przewodnictwem Indianina najpierw poza owe drzewa na otwarty teren, a potem w górę rzeki.

W dobre pół godziny wynurzyło się przed nami kilka ciemnych postaci. Były to warty obozowe. Przewodnik zamienił z nimi kilka słów i oddalił się, my zaś musieliśmy się zatrzymać. Po jakimś czasie Indianin wrócił i poprowadził nas dalej. Ciemność panowała zupełna. Na zachmurzonym niebie nie świeciła ani jedna gwiazda. Patrzyłem pilnie w lewo i w prawo, ale nic nie zdołałem zobaczyć. Ujechawszy znowu niewielką przestrzeń, przewodnik rzekł:

― Niech biali bracia nie posuwają się już dalej naprzód. Synowie Komanczów nie palą ognisk na wyprawach wojennych, teraz jednak są pewni, że w pobliżu nie ma nieprzyjaciela, i rozniecą ogień.

Stanęliśmy na miejscu, on zaś odszedł. W kilka chwil potem ujrzałem jarzący się punkt wielkości główki od szpilki.

― To punks ― objaśnił Old Death.
― Co to jest punks? ― spytałem udając, że nie wiem, o co chodzi.
― Zapałka preriowa. Dwa kawałki drzewa, jeden szeroki, a drugi cienki, okrągły. W szerokim jest niewielkie wgłębienie, które napełnia się punksem, to jest suchym próchnem ze zbutwiałych, starych drzew. To najlepsze krzesiwo na świecie. Cienki pręt wkłada się do wgłębienia z próchnem i obraca się szybko obiema rękami. Przez to tarcie hubka się rozgrzewa i zapala. Patrzcie!

Płomyk błysnął raz i drugi i zamienił się w wielki płomień, podsycany zeschłym listowiem. Niebawem jednak opadł na powrót, gdyż Indianin nie znosi zbyt jasno świecącego ognia. Dokoła poukładano gałęzie tak, że jednym końcem dotykały żaru. W środku więc płonął ogień, regulowany w ten sposób, że zwiększał się albo zmniejszał, w miarę jak zbliżano lub odsuwano gałęzie. Kiedy liście mocniej zapłonęły, ujrzeliśmy, że znajdujemy się pod drzewami, otoczeni przez Indian trzymających broń w ręku. Kilku z nich miało strzelby, a reszta tylko włócznie, strzały i łuki. U wszystkich jednak zauważyłem tomahawki, straszliwe indiańskie topory, które w ręku wprawnego wojownika są bronią o wiele groźniejszą, aniżeli się zazwyczaj przypuszcza. Gdy uregulowano ogień, polecono nam zsiąść z koni, które odprowadzono na bok. W ten sposób znaleźliśmy się w mocy czerwonoskórych, gdyż bez koni nie mogliśmy w tych stronach nic począć. Nie zażądano wprawdzie od nas broni, ale pięciu przeciwko stu ― to nie był zbyt pomyślny stosunek sił.

Pozwolono nam przystąpić do ognia, przy którym siedział jeden Indianin. Nie można było poznać jego wieku, gdyż całą twarz miał pomalowaną tak samo jak zwiadowca. We włosach ujętych w węzeł tkwiło pióro białego orła ― znak wojny. U pasa wisiały dwa skalpy, a na sznurku, biegnącym dokoła szyi woreczek z lekami i fajka pokoju. Na kolanach leżała strzel-

[13] Awat – wila (ind.) – Wielki Niedźwiedź.

ba, stary grat sprzed dwudziestu lub trzydziestu lat. Indianin przypatrzył się nam uważnie po kolei.

— Dumnie sobie poczyna — szepnął Old Death tak, aby go czerwonoskórzy nie zrozumieli. — Pokażemy mu, że my także jesteśmy wodzami. Usiądźcie zatem i pozwólcie mi mówić!

Stary zajął miejsce naprzeciw wodza, a my tak samo. Tylko Murzyn nie usiadł wiedząc, że to należało jedynie do przywilejów wodza.

— Uff! wybuchnął Indianin gniewnie i wyrzucił z siebie jeszcze kilka słów, których jednak nie zrozumiałem.

— Czy umiesz mówić językiem bladych twarzy? — zapytał Old Death.

— Umiem, lecz nie używam go, gdyż mi się nie podoba — brzmiała odpowiedź wodza, którą Old Death natychmiast nam przetłumaczył.

— Proszę cię jednak, żebyś teraz nim mówił!

— Dlaczego?

— Ponieważ moi towarzysze nie rozumieją języka Komanczów, a muszą wiedzieć, o czym się będzie mówiło.

— Oni znajdują się u Komanczów i powinni się posługiwać ich językiem, Tego wymaga uprzejmość.

— Mylisz się. Oni nie potrafią mówić językiem, którego nie znają. To chyba jasne. Nadto są gośćmi Komanczów, oni więc mogą żądać od ciebie uprzejmości, której ty się od nich niesłusznie domagasz. Powiedziałeś, że umiesz po angielsku. Jeśli nie zechcesz mówić tym językiem, pomyślę, że kłamiesz.

— Uff! zawołał, a potem przeszedł na łamaną angielszczyznę. — Powiedziałem, że umiem, i nie kłamię. Jeśli nie wierzą, to mnie obrażają, a za to każę ich zabić. Dlaczego ośmieliliście się usiąść przy mnie?

— Ponieważ mamy do tego prawo, jako wodzowie.

— Czyim ty jesteś wodzem?

— Wodzem poszukiwaczy ścieżek.

— A ten? — pokazał na Langego.

— Wodzem kowali robiących broń.

— A ten? — wskazał na Willa.

— To jego syn, który kuje miecze oraz wyrabia tomahawki służące do rozrąbywania głów.

Wydało się, że to Indianinowi zaimponowało.

— Jeśli to umie, to jest bardzo zręcznym wodzem. A ten? — zakończył patrząc na mnie.

— Ten sławny mąż pochodzi z dalekiego kraju i przepłynął Wielkie Morze, aby poznać wojowników Komanczów. Jest wodzem mądrości i wiedzy wszelkich rzeczy, a gdy wróci do swego kraju, opowie, jakimi ludźmi są Komancze.

To przerastało zdolność pojmowania Indianina. Spojrzał na mnie frasobliwie i zauważył:

— Należy więc do ludzi mądrych i doświadczonych, ale włosy jego nie są białe.

— W owym kraju rodzą się synowie tak mądrzy jak tutaj ludzie starzy.

— W takim razie zapewne Wielki Duch bardzo kocha ów kraj. Ale synowie Komanczów obejdą się bez mądrości tej bladej twarzy, gdyż sami są dość mądrzy i wiedzą, czego im do szczęścia potrzeba. Zdaje się, że mądrość nie weszła wraz z nim do tego kraju, skoro ośmiela się przekraczać naszą ścieżkę wojenną. Wykopawszy tomahawk, nie znoszą wojownicy Komanczów białych mężów.

— Nie wiesz, jak się zdaje, co powiedzieli wasi wysłańcy w forcie Inge. Zapewniali, że prowadzą wojnę tylko z Apaczami, ale są przyjaciółmi bladych twarzy.

— Niech oni sami tego dotrzymają. Mnie przy tym nie było.

Indianin mówił dotychczas bardzo nieprzyjaźnie, a Old Death odpowiadał uprzejmie. Teraz jednak uznał za stosowne zmienić ton i wybuchnął:

— Tak twierdzisz? Kto ty jesteś właściwie, że się ośmielasz tak odzywać do Kosza-pehwe? Czemu nie podałeś mi swego imienia? Czy je w ogóle masz? Jeżeli nie, to wymień imię twego ojca!

Wódz zesztywniał widocznie ze zdumienia wobec tego zuchwalstwa, patrzył przez długi czas w twarz Old Deatha, a wreszcie krzyknął:

— Człowiecze, pilnuj się, bo cię każę na śmierć zamęczyć!

— O to ja się nie boję!

— Jestem Awat-wila, wódz Komanczów!

— Awat-wila, Wielki Niedźwiedź? Kiedy ja zabiłem pierwszego niedźwiedzia, byłem jeszcze chłopcem, a od tego czasu położyłem ich trupem tyle, że mógłbym sobie całe ciało obwiesić ich pazurami. Człowiek, który zabił niedźwiedzia, nie jest jeszcze bohaterem w mych oczach.

— To przypatrz się skalpom u mego pasa!

— Pshaw! Gdybym pozabierał skalpy tym wszystkim, których zabiłem, ozdobiłbym nimi całą gromadę twoich wojowników. To dla mnie również nic nie znaczy.

— Jestem synem wielkiego wodza, Oyo-kolca.

— To już ma dla mnie większe znaczenie. Wypaliłem z Białym Bobrem fajkę pokoju; przysięgliśmy sobie nawzajem, że jego przyjaciele będą moimi przyjaciółmi, a moi — Jego przyjaciółmi, i dotrzymywaliśmy zawsze danego słowa. Mam nadzieję, że syn będzie tak samo wobec mnie usposobiony jak jego ojciec!

— Odzywasz się do mnie ciągle zuchwałym językiem! Czy uważasz wojowników Komanczów za myszy, na które pies może szczekać, jak mu się podoba?

— Co? Pies? Jeśli myślisz, że Old Death jest psem, którego można zabić, to wyślę cię natychmiast do wiecznych ostępów!

— Uff! Tam stoi stu mężów! Wskazał ręką dokoła.

— Dobrze — odparł Old Death. — Ale tu my siedzimy. I znaczymy tyle samo, co twoich stu Komanczów. Oni wszyscy nie zdołają przeszkodzić, żebym ci wpakował kulę w brzuch, a z nimi pomówilibyśmy jeszcze potem osobno. Popatrz no! Mam tu dwa rewolwery, a w każdym po sześć kuł. Moi czterej towarzysze są tak samo uzbrojeni, a prócz tego widzisz u nas rusznice i noże. Zanimby nas pokonano, musiałaby wyginąć połowa twoich wojowników!

Nikt jeszcze tak nie rozmawiał z wodzem Indian. Awat-wila nie mógł tego pojąć, dlatego zauważył:

— Masz pewnie bardzo silny lek!

— Tak jest, mam lek, amulet, który dotąd zawsze sprowadzał śmierć na moich nieprzyjaciół. Tak będzie również nadal. Zapytuję cię, czy uznasz nas za swoich przyjaciół, czy też nie?

— Naradzę się z moimi wojownikami.

— Wódz Komanczów musi swoich ludzi pytać o radę? Tego nie przypuszczałem, ale skoro to mówisz, więc niewątpliwie tak jest. My jako wodzowie czynimy, co nam się podoba, posiadamy zatem więcej powagi i władzy niż ty, a wobec tego nie możemy z tobą siedzieć przy jednym ognisku. Dosiądziemy koni i odjedziemy.

Old Death powstał trzymając wciąż jeszcze w ręku oba rewolwery. Wielki Niedźwiedź zerwał się jak ukąszony przez żmiję, oczy mu rozgorzały, a wargi rozchyliły się, odsłaniając białe zęby. To świadczyło dostatecznie o jego wewnętrznym wzburzeniu. W razie wałki przypłacilibyśmy śmiercią zuchwalstwo starego westmana, z drugiej jednak strony było równie pewne, że wielu Komanczów padłoby z naszej ręki lub zostało rannych. Młody wódz wiedział, jak straszną bronią jest taki automatyczny pistolet i że jego pierwszego dosięgłaby kula. Był przed swoim ojcem odpowiedzialny za wszystko, co przedsiębrał na własną rękę, a chociaż u Indian nie zmusza się nikogo do udziału w wyprawie wojennej, to jednak każdy, jeśli już raz wyruszył, musi się poddać żelaznej dyscyplinie i nieubłaganemu prawu. Kto się okaże w walce tchórzem lub niedołęgą, kto nie panuje nad sobą i wyżej stawia własne porywy

niż dobro ogólne, ten ściąga na siebie powszechną pogardę. Nie przyjmie go do siebie żadne plemię, musi jak banita błąkać się po bezludnych okolicach i tylko w ten sposób może do pewnego stopnia odzyskać dobre imię, że wróci w pobliże swojego szczepu i zada sobie powolną i najbardziej męczeńską śmierć, aby przynajmniej dowieść, że potrafi znieść ból. To jedyny sposób, by otworzyć sobie drogę do wiecznych ostępów. Myśl o tych ostępach pcha Indianina do czynów, do jakich nikt inny nie byłby zdolny.

Takie rozmyślania zaprzątały teraz zapewne umysł czerwonoskórego. Czy miał nas kazać zamordować, a potem powiedzieć ojcu lub na wypadek swej śmierci zostawić pozostałym przy życiu pamięć tego, że nie umiał panować nad sobą? Że chcąc grać rolę wodza, odmówił gościny przyjacielowi ojca, że naurągał jemu i jego towarzyszom jak kojotom? Na takie to rozważania liczył zapewne Old Death. Na jego bowiem twarzy nie znać było niepokoju. Stał przed Indianinem z palcami na cynglach obu rewolwerów i patrzył mu w błyszczące od gniewu oczy.

— Chcecie odejść? — zawołał Indianin. — Gdzie wasze konie? Nie dostaniecie ich! Jesteście otoczeni!

— A ty razem z nami! Pomnij na Białego Bobra! Jeśli cię dosięgnie moja kula, nie osłoni on sobie głowy i nie zanuci pieśni żałobnej, lecz powie: „Nie miałem syna. Ten, którego zastrzelił Old Death, był niedoświadczonym chłopcem. Nie poważał moich przyjaciół i słuchał tylko głosu własnej głupoty". Cienie tych wojowników, których równocześnie z tobą zabijemy, zabronią ci wstępu do wiecznych krain myśliwskich, a stare baby otworzą bezzębne usta, aby wyśmiać wodza, który nie oszczędzał życia powierzonych mu wojowników, bo nie umiał sam nad sobą panować, Popatrz na mnie! Czy wyglądam na takiego, który się boi? Nie mówię tak do ciebie ze strachu, lecz dlatego, że jesteś synem mego czerwonego brata, któremu życzę, żeby miał z ciebie pociechę. Teraz rozstrzygaj! Jedno nieodpowiednie słowo zwrócone do moich ludzi, jeden fałszywy ruch z twojej strony, a strzelam; walka się zacznie!

Wódz stał jeszcze z minutę zupełnie bez ruchu. Co się w nim działo, nie można było rozpoznać, gdyż twarz jego pokrywała gruba warstwa farby. Potem usiadł zwolna, zdjął fajkę z szyi i rzekł:

— Wielki Niedźwiedź zapali z bladymi twarzami fajkę pokoju.

— I dobrze zrobisz. Kto chce walczyć z Apaczami, nie powinien usposabiać do siebie wrogo białych.

My usiedliśmy także.

Wielki Niedźwiedź dobył zza pasa woreczek z kinni-kinnikiem, czyli tytoniem zmieszanym z liśćmi dzikich konopi, napchał fajkę, zapalił, podniósł się i wygłosił krótką przemowę, w której często się powtarzały słowa: „pokój", „przyjaźń" i „biali bracia". Potem pociągnął sześć razy, wypuścił dym ku niebu, ku ziemi i na cztery strony świata i podał fajkę Old Deathowi. Westman również przemówił bardzo przyjaźnie, a pociągnąwszy parę razy, podał fajkę mnie, zaznaczając, że mówił za nas wszystkich i że wystarczy, jeśli każdy z nas pociągnie sześć razy. Następnie poszła fajka kolejno do Langego i jego syna. Sam też należał do naszego przymierza. Po tej ceremonii Komańcze usiedli dokoła nas w szerokim kręgu, a zwiadowca zbliżył się, aby opowiedzieć, w jaki sposób się z nami spotkał. Zdał szczegółowo sprawę ze wszystkiego, tylko nie wspomniał o tym, że Old Death go pochwycił. Kiedy odstąpił, poprosiłem o pokazanie drogi do koni, by przynieść cygara. Niestety oprócz wodza nie mógł otrzymać tego przysmaku żaden z Komanczów, gdyż to z kolei zaszkodziłoby mojej godności wodza, gdybym się tak bratał ze zwykłymi wojownikami. Wielki Niedźwiedź wiedział widocznie, co to jest cygaro, gdyż twarz rozjaśniła mu się z zachwytu, a gdy pociągnął raz i drugi, wydał z siebie głos podobny do chrząkania owych miłych zwierząt, z których wyrabia się smaczne szynki. Następnie zapytał nader uprzejmie o cel naszej podróży. Old Death nie uważał za stosowne powiedzieć mu prawdy, oświadczył więc tylko, że chcemy doścignąć kilku białych, którzy podążyli ku Rio Grandę, aby się udać do Meksyku.

— W takim razie mogą biali bracia jechać z nami — rzekł wódz. — Wyruszymy, skoro tylko znajdziemy trop Apacza, którego szukamy.

— Z której strony miał przybyć ten Apacz?

— Był tam, gdzie Komańcze układali się z Apaczami, Biali nazywają to miejsce: fort Inge. Chciano go zabić, lecz umknął. Dostał jednak kilka kuł, nie mógł więc długo utrzymać się na siodle. Z pewnością jest gdzieś w tej okolicy. Czy biali bracia zauważyli może jego trop?

Wielki Niedźwiedź miał oczywiście na myśli Apacza, którego opatrzył Winnetou, gdy razem przeszli przez rzekę, o obecności Winnetou zaś wcale nie wiedział.

— Nie — odrzekł Old Death. Nie myśleliśmy bynajmniej zdradzać Winnetou.

— W takim razie ukrywa się ten pies gdzieś w dole rzeki. Dalej nie mógł pojechać z powodu ran oraz dlatego, że wojownicy Komanczów stali po tej stronie, gotowi na przyjęcie Apaczów, gdyby ci umknęli z fortu Inge.

Brzmiało to dla Winnetou dość niebezpiecznie. Wprawdzie nie ulegało wątpliwości, że Komańcze nie odkryją śladów w rzece, ponieważ stratowały je już nasze konie, ale skoro bawili tutaj od trzech dni, łatwo się mogło zdarzyć, że obaj Apacze wpadli w ręce innego oddziału. To, że Wielki Niedźwiedź nic o tym nie wiedział, nie było jeszcze dowodem, że się to nie stało. Chytry westman, który myślał o wszystkim, zauważył:

— Jeśli moi czerwoni bracia poszukają, to znajdą miejsce, w którym przeszliśmy przez rzekę i odarliśmy drzewo z kory. Ja mam dawną ranę, która się teraz otworzyła, musiałem ją więc obwiązać łykiem. To znakomity środek na rany, o czym brat mój powinien pamiętać.

— Wojownicy Komanczów znają ten środek i używają go zawsze, gdy się znajdują blisko lasu. Mój biały brat nie powiedział mi nic nowego.

— Wobec tego życzę walecznym wojownikom Komanczów, żeby nie byli zmuszeni zbyt często używać tego środka. Pragnę dla nich zwycięstwa i chwały, gdyż jestem ich przyjacielem, żałuję również, że nie mogę z nimi pozostać. Oni będą tu szukali tropu, a my musimy jechać czym prędzej dalej, aby dogonić białych mężów.

— W takim razie spotkają biali bracia Białego Bobra, który ucieszy się ich widokiem. Dam im wojownika, żeby ich do niego zaprowadził.

— Gdzie się znajduje sławny wódz, twój ojciec?

— Chcąc Old Deathowi odpowiedzieć na to pytanie, muszę podać nazwy miejscowości w języku białych. Jeśli moi bracia pojadą stąd ku zachodowi, przybędą nad dopływ rzeki Nueces, zwany Turkey Creek, Ramię Indyka. Potem muszą przejść przez Chico Creek, skąd ciągnie się wielka pustynia aż do Elm Creek. Po niej to krążą wojownicy Białego Bobra, aby nie przepuścić przez bród nikogo, kto by usiłował przeprawić się przez Rio del Norte powyżej Orlego Wąwozu.

— Do diabła! — wymknęło się westmanowi. Ale natychmiast się poprawił: — To właśnie nasza droga. Mój czerwony brat uradował nas bardzo tą wiadomością. Jestem szczęśliwy, że będę mógł zobaczyć Białego Bobra. Teraz jednak czas udać się na spoczynek, aby się zbudzić o świcie.

— Pokażę sam białym braciom, gdzie się mają położyć.

Wstał i zaprowadził nas pod grube, rozłożyste drzewo, a potem kazał przynieść nasze siodła i koce. Od chwili wypalenia fajki pokoju zmienił się całkowicie. Gdy się oddalił, zbadaliśmy torby przy siodłach. Z uznaniem podkreślam, że nie brakowało najmniejszego drobiazgu. Z siodeł zrobiliśmy sobie poduszki i położyliśmy się jeden obok drugiego, owinąwszy się w koce. Niebawem nadeszli także Komancze, a kładąc się na spoczynek, otoczyli nas dokoła.

— Nie powinno to budzić w nas żadnego podejrzenia — rzekł Old Death, — Czynią to, ponieważ biorą nas w swoją opiekę, nie zaś po to, by przeszkodzić ucieczce. Skoro się raz wypaliło z czerwonoskórym fajkę pokoju, można mu już zaufać. Musimy się jednak starać od nich odłączyć. Otumaniłem ich porządnie co do Winnetou, gdyż chciałem ich sprowadzić z jego tropu. Sądzę jednak, że nawet jemu niełatwo uda się przejść przez Rio Grande. Kto inny

w ogóle by tego nie dokazał. Ale jego położenie niepokoi mnie podwójnie, gdyż ma ze sobą rannego. Do takich układów Indianie posyłają zawsze ludzi doświadczonych, dlatego przypuszczam, że był to człowiek stary. Jeśli jeszcze wziąć pod uwagę gorączkę z ran, której musiał dostać, zwłaszcza podczas takiej forsownej jazdy, to obawiam się niesłychanie o Winnetou. No, śpijmy Już. Dobranoc!

Mimo jego życzeń nie zaznałem dobrej nocy. Nie było mowy o śnie, bo troska o Winnetou nie dawała mi spokoju. Kiedy na wschodzie zaczęło świtać, obudziłem towarzyszy. Podnieśli się zupełnie bez szmeru, ale w tej samej chwili stanęli dokoła nas Indianie. Teraz, w świetle dnia można było lepiej się im przyjrzeć niż przy skąpym świetle ogniska. Dreszcz mnie przeszedł na widok okropnie pomalowanych twarzy i fantastycznie poubieranych postaci. Tylko niektórzy z nich okryli ciało odzieniem. Wielu poobwieszało się nędznymi łachmanami, wszyscy jednak wyglądali zdrowo i okazale, gdyż mężczyźni szczepu Komanczów znani są z piękności.

Wódz zapytał, czy coś zjemy, i przyniósł rzeczywiście kilka kawałków łykowatego mięsa końskiego, już „ujeżdżonego". Podziękowaliśmy tłumacząc się, że mamy swoje zapasy, chociaż w rzeczywistości był to tylko mały kawałek szynki. Wielki Niedźwiedź przedstawił nam także człowieka, który miał nam towarzyszyć. Potrzeba było niemałej sztuki dyplomatycznej, aby odwieść wodza od tego zamiaru. Ustąpił wreszcie, gdy Old Death wyjaśnił, że korzystanie z usług przewodnika byłoby hańbą dla takich jak my doświadczonych wojowników. Napełniwszy skórzane wory wodą i wziąwszy trochę trawy dla koni, wyruszyliśmy. Mój zegarek wskazywał godzinę czwartą.

Z początku jechaliśmy powoli, aby się konie rozruszały. Przez jakiś czas droga nasza prowadziła przez równinę pokrytą trawą, ale trawa rzedła i nędzniała z każdą chwilą, aż w końcu zupełnie jej zabrakło i zaczął się czysty piasek. Gdy już i drzewa nadbrzeżne zniknęły za nami, zdawało nam się, że znajdujemy się na Saharze. Przed nami i dokoła nas rozciągała się równina bez żadnego najmniejszego wzniesienia ─ piasek i tylko piasek, a nad nami słońce, którego promienie paliły dotkliwie pomimo wczesnego ranka.

─ Niebawem będziemy mogli puścić się szybszym kłusem ─ rzekł Old Death. ─ Musimy się śpieszyć szczególnie przed południem, dopóki mamy słońce z? plecami. Jedziemy prosto na zachód. Po południu będzie nam świeciło w twarz, a to bardziej męczy.

─ Czy na tej jednostajnej równinie, nie dającej żadnych punktów wytycznych, nie można stracić kierunku? ─ zapytałem jako rzekomy greenhorn.

Old Death uśmiechnął się pobłażliwie i odpowiedział:

─ To znowu jedno z waszych sławnych pytań, sir. Słońce jest najlepszym przewodnikiem. Zdążamy do Turkey Creek, o szesnaście mil stąd. Jeśli chcecie, to możemy się tam znaleźć za dwie godziny.

Podpędził konia najpierw do kłusa, a potem do cwału, a my za nim. Od tej chwili nie rozmawialiśmy już z sobą. Każdy starał się ulżyć koniowi i nie męczyć go niepotrzebnymi ruchami. Minęła jedna godzina, a potem druga, podczas której pozwoliliśmy koniom iść stępa aby im dać odsapnąć. Wtem Old Death wskazał przed siebie i rzekł:

─ Popatrzcie na zegarek, sir! Jechaliśmy dwie godziny i pięć minut i oto zbliżamy się do Nueces. Czy pomyliłem się co do czasu?

─ Nie ─ odpowiedziałem.

─ Widzicie więc ─ mówił dalej ─ człowiek ma w kościach zegarek. Powiem wam nawet w ciemną noc, która godzina, a chybię zaledwie o kilka minut. Wy nauczycie się tego także.

Ciemny pas wskazywał rzekę, ale nie było nad nią drzew, tylko zarośla. Znaleźliśmy wkrótce wygodne do przeprawy miejsce i przybyliśmy nad Turkey Creek, który w tych właśnie stronach uchodzi do Rio Nueces, tocząc zresztą w swych falach bardzo niewiele wody. Stąd udaliśmy się nad Chico Creek, gdzie stanęliśmy kilka minut po dziewiątej. Łożysko tej rzeki było prawie suche, tylko tu i owdzie błyszczała na dnie jakaś brudna kałuża, z której spływał

nędzny strumyczek. Drzew ani krzaków nie było wcale, a rzadka trawa dawno straciła swą zieloność. Na drugim brzegu zsiedliśmy i napoiliśmy konie wodą z worów. Zamiast wiadra użyliśmy dużego kapelusza Willa Langego. Zabraną trawę konie zjadły bardzo prędko i po półgodzinnym popasie ruszyliśmy dalej ku Elm Creek. Tu okazało się, że konie są już zmęczone.

Krótki wypoczynek pokrzepił je tylko nieznacznie i musieliśmy jechać stępa.

Nadeszło południe. Słońce prażyło żarem, a piasek był tak gorący i głęboki, że konie tonęły w nim po prostu, co utrudniało bardzo jazdę. O drugiej zsiedliśmy znowu, by dać koniom resztę wody. Sami nie piliśmy wcale, ponieważ Old Death na to nie pozwolił. Jego zdaniem mogliśmy daleko łatwiej znieść pragnienie niż konie, które musiały nas wlec po tym piasku.

— Zresztą — dodał uśmiechając się — trzymaliście się dzielnie. Nie wiecie nawet, jaką przebyliśmy przestrzeń. Powiedziałem, że dopiero wieczorem przybędziemy nad Elm Creek, tymczasem staniemy tam już za dwie godziny. Tego byle kto nie dokaże z takimi końmi.

Zboczył nieco z zachodniego kierunku na południowy i mówił dalej:

— Cud prawdziwy, że nie natrafiliśmy dotychczas na trop Komanczów. Widocznie posunęli się ku rzece. Co za głupota z ich strony szukać tak długo jednego Apacza! Gdyby udali się wprost ku Rio Grandę, zaskoczyliby już swych nieprzyjaciół.

— Sądzą pewnie, że i teraz mogą to jeszcze uczynić — rzekł Lange — gdyż jeśli WLnnetou nie przedostał się szczęśliwie z rannym Apaczem, to jego współplemieńcy nie mają pojęcia, że zdradzieccy Komańcze są już tak blisko.

— Hm! To nie jest pozbawione słuszności, sir. Właśnie ta okoliczność, że nie widzimy Komanczów, niepokoi mnie ze względu na Winnetou. Wynika z tego, że Komańcze nie uwijają się luźno, lecz zapewne już się skupili w oddział. To bardzo zły znak dla Apaczów. Może ich już nawet pochwycono.

— Jaki by w takim razie los spotkał Winnetou?

— Najokropniejszy, jak sobie można wyobrazić. Nie zabiliby go ani nie zamęczyli podczas wyprawy wojennej. Nie. Ujęcie najsłynniejszego wodza Apaczów byłoby dla Komanczów niebywałym zdarzeniem, które zechcieliby uczcić godniej, to znaczy: okropniej. Pod bezpieczną eskortą odprowadzono by go na pastwiska Komanczów, gdzie pozostali tylko starcy, kobiety i dzieci. Tam pielęgnowano by go troskliwie, nie zabrakłoby mu niczego oprócz wolności. Kobiety wyczytywałyby mu z oczu każde życzenie, możliwe do spełnienia. Jeśli jednak sądzicie, że to byłaby z ich strony uprzejmość, to się ogromnie mylicie. Oni starają się wzmocnić siły jeńca tylko po to, by mógł znieść jak najwięcej męczarni, a nie umarł zaraz na początku. Powiadam wam, że Winnetou musiałby zginąć, ale nieprędko, nie za godzinę ani za dzień. Rozszarpywano by jego ciało z iście naukową precyzją i upłynęłoby sporo dni, zanimby śmierć zdołała go wybawić. Oto śmierć godna wodza! Jestem pewien, że przy najwyszukańszych katuszach nie skrzywiłby się nawet, co więcej, szydziłby i wyśmiewał swoich katów. Boję się o niego istotnie i oświadczam, że w razie potrzeby narażę własne życie, żeby go wyrwać z rąk zwycięzców. W każdym razie mamy Komanczów przed sobą na zachodzie. Pojedziemy trochę ku południowi, do mego dawnego przyjaciela, od którego dowiemy się może, jak wyglądają sprawy nad Rio Grandę. Przenocujemy u niego.

— A czy nas chętnie przyjmie?

— Oczywiście! Nie nazywałbym go Inaczej przyjacielem. To ranczero[14], rolnik, prawdziwy Meksykanin, niefałszowanego hiszpańskiego pochodzenia. Jednego z jego przodków pasował ktoś na rycerza i dlatego on sam chętnie mianuje się „caballero” — kawaler, rycerz. Stąd i swemu ranczu nadał mile brzmiącą nazwę „Estanzia del Caballero”. Nazywajcie go senior Atanasio.

[14] Ranczero (hiszp. ranchero) – właściciel rancza – dużego gospodarstwa, głównie hodowlanego.

Po tych objaśnieniach jechaliśmy dalej w milczeniu. Nie udało nam się zmusić koni do cwału, gdyż zapadały w piasek po kolana. Zwolna jednak zmniejszała się jego głębokość, około czwartej po południu powitaliśmy pierwszą trawkę, a nieco później wydostaliśmy się na wspaniałą prerię, gdzie konni pasterze pilnowali koni, bydła rogatego i owiec. Nasze konie nabrały nowego życia i same ruszyły szybszym tempem. Przed nami ukazały się drzewa, a w końcu ujrzeliśmy coś białego przeglądającego przez zieleń.

— Oto Estanzia del Caballero — rzekł Old Death. — To szczególny budynek, zupełnie w stylu budowli Mogui albo Zunni[15], prawdziwa twierdza, niezbędna w tych okolicach.

Znalazłszy się w pobliżu zabudowań mogliśmy się im dokładniej przyjrzeć. Opasywał je mur wysokości dwóch ludzi, z szeroką bramą, przed którą znajdował się most nad głębokim, pozbawionym teraz wody rowem. Budynek miał kształt sześcianu. Parteru nie było widać, ponieważ zasłaniał go zupełnie mur. Piętro było cofnięte nieco, tak że dokoła powstała galeria. Galerię tę osłaniało białe płótno namiotowe. Okien nie zauważyliśmy wcale. Na tym sześciennym piętrze spoczywało drugie, tego samego kształtu, którego podstawa była znowu mniejsza od podstawy pierwszego. I tu utworzyła się galeria przykryta płótnem. W ten sposób parter, pierwsze i drugie piętro stanowiły kamienne sześciany, z których każdy wyższy był zawsze mniejszy od niższego. Mur był pobielony, płótno białe, toteż dom jaśniał z daleka. Będąc już prawie pod samą budowlą, zauważyliśmy na każdym piętrze biegnący dokoła muru szereg wąskich otworów podobnych do strzelnic. Były to prawdopodobnie okna.

— Piękny pałac! — zaśmiał się Old Death. — A dopiero urządzenie was zdziwi! Chciałbym widzieć wodza indiańskiego, który pokusiłby się o zdobycie szturmem tego domu!

Przejechaliśmy przez most wiodący do bramy, w której widać było mały otwór. Obok wisiał dzwon wielkości głowy ludzkiej. Old Death zadzwonił. Dźwięk można było usłyszeć o pół mili. Niebawem ukazał się w otworze nos Indianina, potem usta i zabrzmiało wypowiedziane po hiszpańsku pytanie:

— Kto tam?

— Przyjaciele gospodarza — odrzekł westman. — Czy senior Atanasio jest w domu?

Nos i wargi osunęły się niżej, a na ich miejscu ukazała się para ciemnych oczu, po czym doleciały nas słowa:

— Jakaż radość! Senior Death! Wpuszczę was oczywiście natychmiast. Chodźcie, seniores! Zaraz doniosę panu.

Usłyszeliśmy zgrzyt zasuwy, po czym drzwi się otworzyły i wjechaliśmy przez bramę. Człowiek, który nam otworzył, był to gruby, odziany w białe płótno Indianin, jeden z owych „Indios fideles", czyli Indian wiernych, którzy pogodzili się z cywilizacją. Zamknął bramę, skłonił się nam głęboko, przeszedł majestatycznie przez dziedziniec i pociągnął za drut wiszący na murze.

— Mamy czas objechać dom — rzekł Old Death. — Przypatrzymy się budynkowi.

Teraz dopiero można było zobaczyć parter, I tu ciągnął się przez wszystkie ściany szereg strzelnic. Budynek stał na środku utworzonego przez okalający mur dziedzińca dość szerokiego i porosłego trawą. Oprócz strzelnic nie widać było żadnych otworów okiennych, drzwi także nie było. Objechaliśmy dokoła cały dom. Indianin czekał już na nas.

— Jakże się wchodzi do wnętrza domu? — spytał Lange.

— Zaraz zobaczycie! — odrzekł Old Death. Wtem z galerii położonej nad parterem wychylił się jakiś człowiek i popatrzył, kto jest na dole. Ujrzawszy Indianina, schował głowę, po czym spuszczono schody podobne do drabiny. Myliłby się, kto by sądził, że przynajmniej na pierwszym piętrze znajdowały się drzwi! Na drugim piętrze stal znowu służący, spuścił z góry drugą drabinę, po której dostaliśmy się na szczyt domu. Płaski dach pokrywała blacha cynkowa

[15] Moqui, Zunni – nazwy szczepów indiańskich

posypana piaskiem. W samym środku dachu widniał czworoboczny otwór. Stąd prowadziły schody w głąb domu.

— Tak budowano od wieków w indiańskich pueblach — objaśnił Old Death. — Nikt nie wedrze się na dziedziniec, a gdyby się jakiemuś nieprzyjacielowi udało przeleźć przez mur, będzie miał przed sobą ścianę bez drzwi. W spokojnych czasach można się dostać na górę bez drabiny w ten sposób, że się staje na koniu i włazi na galerię. Podczas wojny jednak nie radziłbym nikomu tego próbować, gdyż z płaskiego dachu można mur, teren przed nim leżący i dziedziniec zasypać po prostu kulami. Senior Atanasio utrzymuje zapewne z dwudziestu waque-rów[16], peonów[17] i służących, z których każdy ma strzelbę. Gdyby tu na górze stanęło dwudziestu ludzi, musiałyby zginąć setki napastników, zanimby pierwszy zdołał przedostać się przez mur. Ten sposób budowania daje tutaj, na granicy, wielkie korzyści, a hacjendero[18] wytrzymał i odparł niejedno oblężenie.

Zauważyłem, że za domem przepływał Elm Creek, tocząc piękną, czystą wodę, dzięki czemu grunt dokoła był bardzo urodzajny. Widok tej wody wzbudził we mnie chęć kąpieli.

Zeszliśmy w towarzystwie służącego po schodach na dół do długiego i wąskiego korytarza, oświetlonego na jednym i drugim końcu światłem padającym z dwóch strzelnic. W obu ścianach zauważyłem szereg drzwi, a po przeciwległej stronie znajdował się otwór prowadzący na parter. Aby się dostać tam z podwórza, trzeba było przejść dwoje schodów wewnątrz domu do góry i dwoje na dół. Wydało mi się to uciążliwe, ale było widocznie uzasadnione miejscowymi warunkami. Służący zniknął i powrócił niebawem z wiadomością, że senior capitano de caballeria na nas czeka.

— Nie dziwcie się — rzekł Old Death — gdy mój stary senior Atanasio przyjmie was trochę etykietalnie. Hiszpanie lubią etykietę, a pochodzący od nich Meksykanie zachowali te ich obyczaje. Gdybym przyjechał sam, senior Atanasio wybiegłby już dawno naprzeciw mnie. Ponieważ jednak towarzyszą mi inni, przeto uważa za wskazane urządzić coś w rodzaju dworskiego przyjęcia. Nie śmiejcie się, gdyby się zjawił w mundurze meksykańskiego rotmistrza. Był nim w młodszych latach i do dziś dnia pokazuje się chętnie w starym, już nie używanym mundurze. Poza tym jest to wspaniały człowiek.

Weszliśmy do przyjemnie chłodnej komnaty z kosztownym niegdyś, ale teraz wypłowiałym już umeblowaniem. Trzy, do połowy przysłonięte, strzelnice przepuszczały przytłumione światło. Na środku pokoju stał wysoki, chudy jegomość ze śnieżnobiałą czupryną i wąsem. Miał na sobie czerwone spodnie, obszyte złotymi lampasami, wysokie buty z cholewami z błyszczącej skóry i niebieski frak bogato na piersiach wyszyty złotem. Złote epolety wskazywały rangę generała. U boku zwisała szabla w stalowej pochwie na rzemieniach, ze złoconymi sprzączkami. W lewej ręce trzymał trzyrożny kapelusz z brzegami obszytymi złotem, błyszcząca agrafa przytrzymywała pióropusz. Wyglądało to na maskaradę, gdy się jednak spojrzało w starą, poważną twarz i młode jeszcze, poczciwe oczy, nie można się było przynajmniej w duchu nie uśmiechnąć życzliwie. Kiedyśmy weszli, gospodarz stuknął z brzękiem ostróg obcasami, wyprostował się energicznie i powiedział;

— Dzień doby panom! Bardzo mi przyjemnie powitać! Brzmiało to dość sztywno. Skłoniliśmy się wszyscy, a Old Death odrzekł po angielsku:

— Dziękujemy, senior capitano de caballeria! Ponieważ znajdowaliśmy się w tych stronach, chciałem towarzyszom sprawić ten zaszczyt, żeby poznali dzielnego bojownika o niepodległość Meksyku. Pozwólcie, że wam ich przedstawię!

Po twarzy hacjendera przemknął uśmiech zadowolenia. Skinął potakująco głową, mówiąc:

---

[16] Waquero (hiszp. vaquero) – pasterz bydła.

[17] Peon – Indianin południowo – amerykański osiadły na roli, żyjący w zależności pańszczyźnianej od hiszpańskiego feudała.

[18] Hacjendero (hiszp. haciendero) – właściciel hacjendy – dużego folwarku.

— Dobrze, senior Old Death. Bardzo się cieszę, że mogę zawrzeć znajomość z seniorami, których przyprowadziliście.

Old Death wymienił nasze nazwiska, a caballero podał każdemu z nas rękę i poprosił, byśmy usiedli. West-man zapytał o seniorę i senioritę, po czym hacjendero otworzył drzwi, a za nimi ukazały się panie przygotowane już na nasze odwiedziny. Seniora była bardzo piękną, uprzejmą matroną, a seniorita — miłym dziewczątkiem. Jak się później dowiedzieliśmy, była to ich wnuczka. Obie miały na sobie suknie z czarnego jedwabiu, jak gdyby za chwilę miały się ukazać na królewskim dworze. Old Death podbiegł ku obu paniom i potrząsnął je tak serdecznie za ręce, że się przeląkłem. Obaj Langowie zadali sobie trud, żeby się nisko skłonić, a Sam. rozjaśnił całą twarz w uśmiechu i zawołał:

— O missis, missis, jakie piękne!

Ja podszedłem do seniory, pochyliłem się i pocałowałem ją w rękę. Pani przyjęła bardzo przychylnie tę uprzejmość i podała mi policzek, żebym na nim złożył beso de cortesia, czyli honorowy pocałunek. To samo powtórzyło się z senioritą. Usiedliśmy znowu i rozpoczęła się rozmowa o celu naszej podróży. Opowiedzieliśmy, co uznaliśmy za stosowne, a więc także o naszym spotkaniu z Komańczami. Gospodarze słuchali nas z największą uwagą, wymieniając ze sobą znaczące spojrzenia. Kiedy skończyliśmy, senior Atanasio poprosił o opis obu ludzi, których szukaliśmy. Wydobyłem fotografie. Zaledwie je zobaczyli, zawołała seniora;

— To oni, to oni! Na pewno! Nieprawdaż, kochany Atanasio?

— Tak — przyznał caballero — to rzeczywiście oni, seniores. Ci ludzie byli u mnie ubiegłej nocy.

— Kiedy przyszli i kiedy się oddalili? — zapytał Old Death.

— Przybyli późną nocą bardzo znużeni. Spotkał ich jeden z moich waquerów i sprowadził tutaj. Spali bardzo długo i zbudzili się dopiero po południu, odjechali zaledwie przed trzema godzinami.

— Pięknie! Wobec tego doścignіemy ich jutro z pewnością. W każdym razie znajdziemy ich ślad.

— Na pewno, senior. Oni udali się stąd ku Rio Grandę, aby przeprawić się przez tę rzekę pomiędzy Rio Morał a Rio las Moras niedaleko Orlego Wąwozu. Zresztą usłyszymy o nich jeszcze, gdyż posłałem za nimi kilku waquerów, którzy powiedzą nam dokładnie, jaki kierunek obrali.

— Dlaczego wysłaliście ludzi za nimi?

— Ponieważ odpłacili mi niewdzięcznością za moją gościnę, Przysłali do mnie pasterza jednej z trzód ze zmyśloną wiadomością i pod jego nieobecność ukradli sześć koni, z którymi uszli czym prędzej.

— Podłość! Więc ci dwaj ludzie nie byli sami?

— Nie. Była z nimi gromada przebranych żołnierzy, którzy mieli przeprowadzić ochotników do Meksyku.

— W takim razie sądzę, że wasi ludzie nie odzyskają koni, są bowiem za słabi w stosunku do tych złodziei.

— O, moi waguerowie umieją obchodzić się z bronią, a wybrałem najdzielniejszych.

— Czy Gibson i Wiliam Ohlert mówili coś o swoich planach?

— Ani słowa. Pierwszy był bardzo wesoły, a drugi bardzo milczący, Zaufałem im zupełnie. Prosili mnie, żebym im pokazał urządzenie domu, i widzieli nawet rannego Indianina, którego ukrywam przed wszystkimi.

— Ranny czerwonoskóry? Kto on i co tu robi? Caballero uśmiechnął się i odpowiedział;

— Tak, to was bardzo zajmie, seniores! Przechowuję wysłannika Apaczów, o którym wspomnieliście poprzednio, że go Winnetou opatrzył nad Rio Leona. To stary wódz Inda-niszo.

— Inda-niszo to znaczy „Dobry Mąż". Słusznie otrzymał on to imię! To najstarszy, najmędrszy i najbardziej pokojowo usposobiony wódz Apaczów! Muszę go zobaczyć,

— Pokażę go wam. Przybył do mnie w bardzo złym stanie. Trzeba wam wiedzieć, że sławny Winnetou zna mnie dobrze i zawsze do mnie zajeżdża, ilekroć znajduje się w tych stronach, pewny jest bowiem, że może mi zaufać. Jadąc z fortu Inge dogonił Inda-niszo, opatrzył mu rany nad Rio Leona, gdyż stary wódz dostał jedną kulę w ramię, a drugą w udo. Po odpoczynku ruszyli dalej natychmiast. U starego jednak wywiązała się silna gorączka z powodu ran, a Komańcze uwijali się na wszystkie strony, aby go pojmać. Jak Winnetou tego dokazał, że pomimo takich przeszkód doprowadził go do Estanzii del Caballero, to jest dla mnie zagadką. On jeden chyba potrafił zdobyć się na coś podobnego. Ale ranny nie mógł się już utrzymać na siodle, gdyż osłabł bardzo wskutek utraty krwi, a liczy przeszło siedemdziesiąt lat.

— To się wydaje wprost niemożliwe! Z fortu Inge dojechać z takimi ranami aż tutaj! Droga, którą odbyli, wynosi więcej niż sto sześćdziesiąt mil angielskich. W tym wieku może taką podróż wytrzymać tylko czerwonoskóry. Mówcie dalej!

— Winnetou przybył tutaj wieczorem i zadzwonił. Zszedłem sam. Poznałem go od razu. Opowiedział mi wszystko i poprosił, żebym się zaopiekował jego czerwonym bratem, dopóki po niego nie przyśle. On sam musiał śpieszyć czym prędzej przez Rio Grandę do swoich plemion, by je zawiadomić o zdradzie i zbliżaniu się Komanczów. Posłałem z nim dwóch najlepszych pasterzy, aby się dowiedzieć, czy udało mu się przejść. Mieli go odprowadzić i przynieść mi potem wiadomość.

— No i — zapytał z zaciekawieniem Old Death — czy udało mu się przeprawić?

— Tak i to mnie bardzo uspokoiło. Postąpił nadzwyczaj mądrze, bo nie przeprawił się przez Rio Grandę powyżej Rio Moral, gdzie się snuli Komańcze, lecz poniżej. Nie ma tam wprawdzie brodu, prąd jest wartki, a przepływać rzekę to bardzo niebezpieczna sprawa, mimo to on i moi chłopcy dokonali tego. Pasterze odprowadzili go polem dalej, dopóki nie upewnili się, że już nie spotka Komanczów. W ten sposób zawiadomił Winnetou Apaczów o niebezpieczeństwie, a ci zgotują nieprzyjacielowi odpowiednie przyjęcie. Ale teraz chodźcie do starego wodza, jeśli chcecie, seniores!

Wszyscyśmy wstali, pożegnali się z paniami i zeszli na niższe piętro, gdzie znaleźliśmy się w korytarzu podobnym do górnego, Otworzywszy ostatnie drzwi ujrzeliśmy starego wodza leżącego w przestronnej, chłodnej komnacie. Gorączka już go wprawdzie opuściła, ale bardzo był jeszcze osłabiony i ledwo mógł mówić. Oczy zapadły mu się głęboko, a policzki ogromnie wychudły. Lekarza oczywiście nie było, caballero jednak twierdził, że Winnetou jest mistrzem w opatrywaniu ran. Przyłożył choremu gojące zioła i surowo zakazał ruszać opatrunku, zapewniając, że skoro tylko minie gorączka, nie będzie obawy o życie chorego. Gdy zamknęliśmy drzwi i znaleźliśmy się na schodach, powiedziałem hacjenderowi, że chciałbym się wykąpać w rzece.

— Jeśli tak, to nie potrzebujecie wcale wchodzić na schody — odrzekł. — Wypuszczę was stąd od razu na dziedziniec.

— Zdaje mi się, że tu nie ma drzwi!

— Owszem są, tylko ukryte. Kazałem je tu umieścić, aby mieć drogę do ucieczki na wypadek, gdyby czerwonoskórym napastnikom udało się wtargnąć do domu. Zaraz je zobaczycie.

Przy ścianie stała szafka. Gdy ją gospodarz odsunął, ujrzałem otwór prowadzący na dziedziniec. Od zewnątrz zakrywały go zasadzone tu umyślnie zarośla. Caballero wyprowadził mnie, wskazał na krzak rosnący pod murem zewnętrznym i mówił dalej:

— Tędy się wychodzi wprost na pole, czego by się nikt nie domyślił. Chcecie pójść do rzeki tą drogą? Jest najkrótsza. Zaczekajcie tu chwilę! Przyślę wam wygodne ubranie.

W tej chwili zadzwoniono u bramy. Gospodarz poszedł otworzyć, a ja przyłączyłem się do niego. Było to pięciu jeźdźców; wspaniałe, silne postacie — waquerowie wysłani za koniokradami.

— No? — zapytał. — Nie ma koni?

— Nie — odrzekł jeden z nich. — Byliśmy już całkiem blisko. Po śladach widzieliśmy, że doścignemy ich za kwadrans. Wtem natrafiliśmy na trop wielu koni, który łączył się po prawej stronie z tropem koniokradów. Widocznie więc spotkali się z Komańczami. Ruszyliśmy tamtędy i wkrótce ujrzeliśmy ich wszystkich przed sobą. Ale było tam przeszło pięciuset Komanczów i wobec takiej przewagi nie mogliśmy się na nich rzucić.

— Bardzo słusznie. Nie powinniście narażać życia dla kilku koni. Czy Komańcze obchodzili się z białymi przyjaźnie?

— Baliśmy się zbliżyć o tyle, żeby to zobaczyć.

— Dokąd dążyli Komańcze?

— Ku Rio Grande.

— A więc prosto przed siebie. Możemy być przeto spokojni. Wy idźcie teraz do swoich stad!

Pasterze odjechali. Jak się później okazano, poczciwy caballero ogromnie się mylił w ocenie sytuacji. Gibson bowiem doniósł Komańczom, że w hacjendzie del caballero znajduje się ranny wódz Apaczów. Z tego powodu część wojowników wyruszyła zaraz wyciągniętym cwałem ku hacjendzie, aby wziąć go do niewoli, a seniora Atanasio ukarać za jego życzliwość okazaną Apaczom.

Caballero wszedł schodami z powrotem w głąb domu, a niebawem pojawił się jakiś peon i wyprowadził mnie przez bramę nad rzekę. Powyżej hacjendy był bród, co poznałem po łamaniu się fal. Poniżej brodu rzeka była bardzo głęboka. Tu peon się zatrzymał. Na ramieniu niósł białe płócienne ubranie.

— Tutaj, senior — powiedział. — Po kąpieli włożycię to ubranie, a rzeczy, które teraz zdejmiecie, zabiorę z sobą. Po powrocie zadzwonicie, to wam otworzą.

Oddalił się z moim ubraniem, a ja wskoczyłem do wody. Po całodziennym skwarze i trudzie długiej jazdy pływałem i zanurzałem się z prawdziwą rozkoszą. Zabawiwszy w wodzie z pół godziny, wyszedłem z rzeki i włożyłem ubranie. Właśnie się z tym uporałem i zabierałem się do odejścia, kiedy wzrok mój padł na przeciwległy brzeg. Z punktu, w którym się znajdowałem, mogłem dojrzeć dość dalekie miejsce, gdzie rzeka tworzyła zakręt. Ujrzałem tam długi szereg jeźdźców jadących, zwyczajem Indian, jeden za drugim. Popędziłem czym prędzej do bramy i zadzwoniłem. Otworzył mi peon, który mnie już oczekiwał.

— Prędko do caballera! — powiedziałem. — Z tamtej strony rzeki nadciągają Indianie do hacjendy.

— Ilu?

— Z pięćdziesięciu.

Peon przeraził się z początku tą wieścią, ale gdy usłyszał dokładnie liczbę, twarz jego przybrała z powrotem wyraz spokoju.

— Nie więcej? — spytał. — No, to nie ma obawy. My nawet z większą liczbą czerwonoskórych damy sobie radę, senior. Jesteśmy w każdej chwili przygotowani na takie odwiedziny. Nie mogę pójść do caballera, ponieważ muszę natychmiast zawiadomić waquerów. Zasuńcie za mną bramę i śpieszcie do seniora Atanasio. Ale wciągnijcie za sobą schodki.!

— Jak tam z naszymi końmi? Czy są w bezpiecznym miejscu?

— Tak, senior. Zaniósłszy uprząż do domu, wyprowadziliśmy je do waquerów, aby się popasły. O swoje wierzchowce nie potrzebujecie się więc obawiać.

Po tych słowach znikł czym prędzej. Zamknąłem za nim bramę i wszedłem na górę po schodach, po czym wciągnąłem je za sobą. W chwili właśnie, kiedy stanąłem na płaskim dachu, zobaczyłem seniora Atanasio i Old Deatha, wychodzących z wnętrza domu. Dowiedziawszy się o zbliżaniu się Indian, Meksykanin nie przeraził się tym bynajmniej, lecz zapytał spokojnie:

— Do jakiego szczepu należą?

— Nie wiem; nie zdołałem z tej odległości rozpoznać, jak mają pomalowane twarze.

— No, zobaczymy niebawem. Albo są to Apacze, których spotkał Winnetou i wysłał po rannego wodza, albo Komańcze, a w takim razie byłby to oddział zwiadowczy, którego zadaniem jest zapytać nas, czy nie widzieliśmy Apaczów. Odjadą natychmiast, gdy dostaną od nas odpowiedź.

— Mnie się jednak wydaje, że oni przybywają w nieprzyjaznych zamiarach — rzekł Old Death. — Radzę jak najrychlej przygotować się do obrony.

— Już się to robi. Każdy z moich ludzi wie, co ma czynić w takim wypadku. Widzicie, tam przez pole pędzi już peon do najbliższych koni, wsiądzie na jednego i zawiadomi waquerów, a najpóźniej w dziesięć minut spędzą stada. Dwaj zostaną przy koniach, aby je pilnować, a reszta stanie do walki z czerwonoskórymi. Ich lassa to broń wielce niebezpieczna, bo waquerowie posiadają więcej wprawy niż Indianie, a ich strzelby niosą dalej niż łuki i stare strzelby tamtych. Nie obawiamy się więc nawet pięćdziesięciu Indian. Nas chroni ta budowla. Żaden czerwonoskóry nie przelezie przez mur. W najgorszym razie liczę na was. Jest was pięciu dobrze uzbrojonych mężczyzn, a ja z ośmioma peonami dopełniam sumy czternastu ludzi. Chciałbym widzieć Indian, którzy by potrafili wysadzić bramę. O nie, senior! Czerwonoskórzy zadzwonią, zapytają i odejdą spokojnie. Skoro zwiadowca zobaczy tutaj czternastu dobrze uzbrojonych ludzi, nabierze prędko respektu. Nie ma żadnego niebezpieczeństwa.

Na twarzy Old Deatha odbiło się powątpiewanie. Potrząsnął głową i powiedział:

— Niepokoi mnie jednak pewna myśl. Twierdzę stanowczo, że mamy do czynienia nie z Apaczami, lecz z Komańczami. Czego oni chcą tutaj? Nie mogły ich tu sprowadzić zwykłe zwiady, gdyż jeśliby w tych stronach znajdował się oddział Apaczów, musiałyby to wykazać ślady. O to nie potrzebowaliby pytać. Nie, ta zgraja przybywa do nas z zupełnie innego powodu, z. powodu rannego wodza, który się tu ukrywa.

— Przecież oni o tym nie wiedzą! Kto mógł im to zdradzić?

— Śledzony przez nas właśnie Gibson, który był u was. Wszak pokazaliście mu Apacza, on zaś wyjawił to Komańczom, aby usposobić dla siebie przychylnie plemię. Jeśli to nieprawda, to niech nie będę dłużej Old Deathem! Czy jeszcze wątpicie?

— To możliwe. Wobec tego Komańcze zechcą nas zmusić do wydania rannego.

— Zapewne. Czy usłuchacie ich?

— Ani myślę! Winnetou jest moim przyjacielem, powierzył mi Dobrego Męża i ja nie mam prawa zawieść i nie zawiodę tego zaufania. Komańcze nie dostaną rannego. Będziemy się bronili!

— Ściągniecie tym na siebie największe niebezpieczeństwo. Wprawdzie pięćdziesięciu Indian zdołamy odeprzeć, ale gdy wrócą dziesięć razy liczniejsi, będziecie zgubieni.

— Wszystko w ręku Boga. W każdym razie dotrzymam słowa danego Winnetou.

Na to Old Death podał rękę seniorowi i rzekł:

— Jesteście człowiekiem honoru, śmiało więc możecie liczyć na naszą pomoc. Dowódca Komanczów jest moim przyjacielem. Może mi się uda dzięki temu odwrócić ten cios od was. Czy pokazaliście także Gibsonowi ukryte drzwi?

— Nie, senior.

— To bardzo dobrze. Dopóki czerwonoskórzy nie znają ego wejścia, będziemy mogli stawiać opór. Zejdźmy teraz po broń!

Podczas mojej nieobecności wyznaczono dla mych towarzyszy mieszkania i pownoszono tam ich i moje rzeczy, Poszliśmy tam. Pokój przeznaczony dla mnie znajdował się w przedniej części domu. Światło wpadało do niego przez dwie strzelnice. Wisiała tu moja strzelba. Zdejmując ją ze ściany, rzuciłem okiem na pole i ujrzałem Indian wychodzących spod drzew, w okolicy brodu, powyżej hacjendy. Przeprawiwszy się przez rzekę, pędzili cwałem ku budynkowi, nie wyjąc przy tym, jak to jest ich zwyczajem, lecz w podstępnym, groźnym milczeniu. Po barwach twarzy poznałem, że to Komańcze. Zatrzymali się pod murem, który ich zupełnie zakrył. Uzbrojeni byli we włócznie, łuki i strzały. Tylko pierwszy jeździec, prawdo-

podobnie dowódca, trzymał strzelbę w ręce. Niektórzy z nich wlekli za sobą jakieś długie przedmioty, które z początku wziąłem za tyczki do namiotów, przekonałem się jednak niebawem, że byłem w błędzie. Wyszedłem oczywiście natychmiast z izdebki, aby zawiadomić o tym wszystkich, Na korytarzu spotkałem się z Old Deathem, który wychodził z przeciwległej izby.

— Baczność! — krzyknął. — Będą przełazić przez mur. Przywieźli z sobą młode drzewa, których użyją jako drabiny. Prędzej na dach!

Ale nie poszło to tak prędko, jak sobie tego życzył. Peoni znajdowali się o piętro niżej, gdzie były mieszkania służby, a nam również nie udało się wyjść tak szybko, gdyż razem z caballerem wypadły na korytarz panie, zatrwożone ogromnie najazdem Komanczów. Zanim przeszliśmy przez schody, już upłynęły dwie minuty, co w takiej sytuacji jest bardzo dużo. Skutek tej straty czasu okazał się natychmiast, kiedy bowiem stanęliśmy na dachu, na jego krawędź wydrapywał się pierwszy Indianin. Za nim ukazał się zaraz drugi, trzeci i czwarty. Mieliśmy w ręku broń, ale nie mogliśmy im już wzbronić dostępu do domu, jeśli nie chcieliśmy ich wprost wystrzelać, Za pomocą przyniesionych drzewek z niesłychaną szybkością przeleźli przez mur, przebiegli przez dziedziniec i wydostali się na górę. Staliśmy oto w środku dachu, a oni na obu jego końcach.

— Zwróćcie ku nim strzelby! Nie dopuśćcie ich bliżej! — rozkazał Old Death, — Musimy przede wszystkim zyskać na czasie.

Naliczyłem pięćdziesięciu dwóch czerwono skorych. Żaden z nich dotychczas nie wydobył z siebie głosu. Zaskoczyli nas wprawdzie niespodzianie, lecz zatrzymali się na brzegu dachu z tukami i strzałami w rękach. Włócznie zostawili na dole, żeby im nie przeszkadzały podczas wspinania się po murze. Caballero wystąpił naprzód o kilka kroków i zapytał mieszaniną języka hiszpańskiego, angielskiego i indiańskiego, służącą za środek porozumiewania się na tym pograniczu:

— Czego chcą u mnie czerwoni mężowie? Czemu wchodzą do mego domu, nie zapytawszy mnie wprzód o pozwolenie?

Dowódca, który przedtem miał strzelbę na ramieniu, a teraz wziął ją do ręki, wysunął się o kilka kroków naprzód i odpowiedział:

— Wojownicy Komanczów przybyli, ponieważ blada twarz jest ich wrogiem. Słońce dnia dzisiejszego będzie ostatnim w jego życiu.

— Nie jestem wrogiem Komanczów. Miłuję wszystkich czerwonych mężów, nie pytając, do jakiego szczepu należą.

Blada twarz wygłasza wielkie kłamstwo. W tym domu ukrywa się wódz Apaczów, tych psów, którzy są wrogami Komanczów. Kto zaś przyjmuje u siebie Apacza, jest naszym wrogiem i musi umrzeć.

— Chcecie może zabronić mi przyjmowania u siebie, kogo mi się spodoba? Kto ma tu prawo rozkazywać — wy, czy ja?

— Wojownicy Koma-nczów wtargnęli do tego domu i są jego panami. Wydaj nam Apacza! A może będziesz się wypierał, że się u ciebie znajduje?

— Ani mi się śni. Kłamie tylko ten, kto się boi, ja zaś nie lękam się Komanczów i powiem otwarcie...

— Stójcie! — przerwał mu Old Death stłumionym głosem. — Nie róbcie głupstwa, senior.

— Czy mam zaprzeczyć? — zapytał Meksykanin.

— Oczywiście, Ja sam przyznaję, że kłamstwo jest czymś wstrętnym, ale prawda byłaby tu czystym samobójstwem.

— Samobójstwo? Co poradzą ci ludzie przeciwko naszym czternastu strzelbom?

— Bardzo dużo, bo są tu na górze. Większość padłaby wprawdzie, ale my dostalibyśmy także kilka strzał i pchnięć nożem. A nawet jeśli zwyciężymy, to pozostali przy życiu sprowadzą pięciuset następnych. Pozwólcie mi z nim pomówić!

Po tych słowach Old Death zwrócił się do dowódcy czerwonoskórych:

— Słowa mojego brata wprawiają nas w zdumienie. Skąd Komańczom przyszło na myśl, że tu się znajduje Apacz? — Oni to wiedzą — odrzekł krótko zapytany.

— W takim razie posiadacie lepsze wiadomości niż my sami.

— Czy chcesz twierdzić, że się mylimy? Jeżeli tak mówisz, to kłamiesz.

— A ty wygłosiłeś tu słowo, za które życiem zapłacisz, jeśli je raz jeszcze powtórzysz. Nie pozwolę nazywać siebie kłamcą. Widzisz, że nasze strzelby są wycelowane w ciebie. Wystarczy jedno skinienie z mojej strony, a padnie od razu tyle twych ludzi, ile nas jest.

— Cóż z tego? W pobliżu znajduje się jeszcze wielu naszych wojowników, więcej niż dziesięć razy po pięć. Oni przyszliby i zrównaliby ten dom z ziemią.

— Nie dostaliby się przez mur, gdyż jesteśmy już o-strzeżeni. Przywitalibyśmy ich z góry tylu kulami, że ani jeden nie zostałby przy życiu.

— Mój biały brat ma wielką i szeroką gębę. Dlaczego on do mnie mówi? Czy jest właścicielem domu? Kim jest i jak się nazywa, że śmie odzywać się do dowódcy Komanczów?

Old Death zrobił lekceważący ruch ręką.

— Kto jest dowódcą Komanczów? Czy jakiś sławny wojownik? Czy zasiada on w radzie mędrców? Nie nosi on pióra orła, czy kruka w swoich włosach i nie widzę u niego żadnych oznak wodza. Ja natomiast jestem wodzem bladych twarzy. Do jakiego plemienia Komanczów należycie, że musicie dopiero pytać o to, jak ja się nazywam? Imię moje brzmi Koszapehwe, paliłem fajkę pokoju z Oyo-kolcą, wodzem Komanczów. Rozmawiałem też wczoraj z jego synem Awat-wilą i przenocowałem razem z jego wojownikami. Jestem przyjacielem Komanczów, ale jeśli zarzucą mi kłamstwo, odpowiem im kulą.

Pomruk przebiegł przez szeregi czerwonoskórych. Dowódca cofnął się do nich i porozumiał się z nimi po cichu. Po rzucanych na Old Deatha spojrzeniach poznać było, że jego imię wywarło na nich wielkie wrażenie. Po krótkiej naradzie dowódca zwrócił się do westmana:

— Wojownicy Komanczów wiedzą, że Stara Śmierć jest przyjacielem Białego Bobra, ale słowa jego nie są słowami przyjaciela. Dlaczego zataja przed nami obecność Apacza?

— Nie zatajam niczego, lecz powiadam otwarcie, że go tu nie ma.

— A jednak dowiedzieliśmy się na pewno, że Inda-niszo jest tutaj. Powiedziała nam o tym blada twarz, która udała się pod opiekę Komanczów.

— Jak się nazywa ta blada twarz?

— Imię jego nie jest stworzone dla ust Komanczów. Brzmi jak Ta-hi-ha-ho.

— Może Gavilano?

— Tak jest.

— W takim razie Komańcze popełnili wielki błąd. Ja znam tego człowieka. To łotr, któremu kłamstwo nigdy nie schodzi z języka. Wojownicy Komanczów pożałują tego, że przyjęli go pod swoją opiekę.

— Mój brat myli się bardzo. Blada twarz powiedziała nam prawdę. Wiemy, że Winnetou przyprowadził Dobrego Męża, a potem umknął przez Awat-hono[19]. Popędzimy za nim i pochwycimy go, by zginął przy palu. Wiemy, że Dobry Mąż ranny jest w ramię i w udo. Znamy nawet zupełnie dokładnie miejsce, w którym leży.

— Jeśli to prawda, to mi je opisz!

— Schodzi się stąd dwa razy w głąb domu, gdzie w wąskim korytarzu znajduje się wiele drzwi na prawo i na lewo. Jeśli się otworzy ostatnie drzwi po lewej stronie, zobaczy się Apacza na łożu, którego nie ma siły opuścić.

— Blada twarz cię okłamała. W tym miejscu nie znalazłbyś Apacza.

— Pozwól więc nam zejść, abyśmy się przekonali, kto mówi prawdę, ty czy blada twarz.

[19] Awat – hono (ind.) – Rio Grande

— Na to nie zezwolę. Ten dom jest dla ludzi, którzy wchodzą doń za zgodą właściciela, a nie dla tych, którzy nań napadają jako wrogowie.

— Te słowa wskazują, że Apacz się tu ukrywa. Biały Bóbr nakazał- nam go stąd zabrać i będziemy mu posłuszni.

— Mylisz się znowu. Nie dlatego nie chcę spełnić waszego życzenia, że Apacz tu przebywa, lecz dlatego, że żądanie wasze jest dla mnie obrazą. Skoro Old Death zapewnia, że was okłamano, powinniście mu wierzyć. Jeśli mimo naszej odmowy zechcecie wejść, to spróbujcie! Czy nie widzicie, że jeden z nas wystarczy do obrony wejścia? Stojąc tu na schodach, może zastrzelić każdego, kto by się ośmielił wejść. Napadliście na nas jak wrogowie, dlatego nie zgadzamy się na wasze żądanie. Zejdźcie na dół przed bramę i proście, jak się należy, by was wpuszczono, a może wtedy przyjmiemy was jak przyjaciół.

— Stara Śmierć daje nam radę dobrą dla niego, ale nie dla nas. Jeśli ma czyste sumienie, to niech nam pozwoli zejść do domu. Jeśli tego nie uczyni, to zostaniemy tutaj i wyślemy wojownika, by sprowadził całą gromadę Komanczów. Wówczas zrobimy to, cośmy postanowili,

— Jesteście w błędzie. Gdyby nawet przyjechało tysiąc Komanczów, i tak mogliby schodzić tylko pojedynczo i każdy musiałby to przypłacić życiem. Zresztą nie zdołasz wysłać wojownika, gdyż skoro tylko wychyliłby się poza osłonę muru, położyłbym go trupem. Jestem przyjacielem Komanczów, ale wy przybyliście jak nieprzyjaciele, więc ja także muszę z wami wrogo postępować.

Podczas całej tej gadaniny strzelby nasze ciągle były zwrócone na czerwonoskórych. Chociaż udało im się dostać na dach, to jednak w stosunku do nas znajdowali się w gorszym położeniu. Dowódca Indian orientował się w tym i dlatego zaczął po cichu naradzać się ze swoimi ludźmi. Ale i nasza sytuacja nie była godna pozazdroszczenia. Old Death poskrobał się frasobliwie za uchem i powiedział:

— To strasznie przykra historia. Rozwaga nie pozwala nam obejść się wrogo z Komańczami. Jeśli sprowadzą posiłki, to będzie po nas. Ba, gdyby można tak schować Apacza, żeby nie zdołali go znaleźć! Znam jednak dokładnie ten dom, wiem zatem, że nie ma w nim takiej kryjówki.

— To go wynieśmy! — zauważyłem.

— Wynieść? — rzeki stary. — Co wy, sir! W jakiż sposób?

— Zapomnieliście o ukrytych drzwiach. Drzwi są z tyłu, a Komańcze stanęli po przeciwnej stronie i nic nie zauważą. Zaniosę Apacza w zarośla nad rzekę, gdzie pozostanie dopóty, dopóki oni nie odjadą.

— To rzeczywiście niezła myśl — rzekł Old Death. — Wcale nie pomyślałem o tych drzwiach. Wynieść by go można, ale co wtedy, jeśli Komańcze postawili warty za murem?

— Nie wierzę w to. Jest ich tylko pięćdziesięciu kilku. Paru musiało zostać przy koniach, które stoją pod murem po stronie frontu. Wobec tego wątpię, czy z tyłu także postawili kogoś na straży.

— Dobrze więc, spróbujmy, sir. Zajmiecie się tym wy i jeden z peonów. Urządzimy to tak, że nie zobaczą was, gdy będziecie schodzili, a potem także się tak ustawimy, że nie będą mogli nas zliczyć i przekonać się, że dwóch z nas brakuje. Niech warn panie pomogą, a gdy wyjdziecie, zasuną za wami szafkę.

— I jeszcze jeden projekt. Czy nie dałoby się umieścić pań w izbie chorego? Skoro czerwonoskórzy zobaczą, że tam mieszkają kobiety, przekona ich to w dwójnasób, że nie było tam Indianina.

— Słusznie — zauważył senior Atanasio. — Wystarczy położyć tam kilka koców, a z pokojów żony i wnuczki znieść hamaki. Haki do zawieszania wbite są we wszystkich izbach tego domu. Niech się tam panie położą. Wy zaś znajdziecie dla Apacza najlepszą kryjówkę nieco poniżej tego miejsca w rzece, w którym kąpaliście się niedawno. Zwisają tam aż do samej wody kwitnące gałęzie petunii, a pod nimi ukryte jest czółno. Ułożycie w nim Apacza, tam go

nikt nie odkryje. Pójdzie z wami Petro. Dopiero gdy obaj powrócicie, pozwolimy Indianom przeszukać wnętrze domu.

Zszedłem z peonem, imieniem Petro, na dół, gdzie obie panie, pełne niepokoju, czekały na dalszy rozwój wypadków. Gdyśmy im powiedzieli, o co chodzi, zaczęły nam gorliwie pomagać w wykonaniu przedsięwzięcia. Same przyniosły koce i hamaki. W jedną z der owinięto Apacza. Gdy usłyszał, że przybyli po niego Komańcze, rzekł słabym głosem:

— Inda-niszo widział już wiele zim, a dni jego są policzone. Po co mają dobre blade twarze narażać się przez niego na śmierć? Niechaj go oddadzą Komańczom, ale niech go przedtem zabiją. On prosi o to.

Odpowiedziałem mu przecząco energicznym ruchem głowy, po czym zabraliśmy go z izby. Po odsunięciu szafki przenieśliśmy go szczęśliwie aż do zewnętrznego muru nie zauważeni przez nikogo. Za murem rosły krzaki, które nas na razie zasłoniły. Pomiędzy nimi jednak a rzeką ciągnął się wolny szmat ziemi, przez który musieliśmy przejść. Wyglądałem ostrożnie i spostrzegłem ku memu rozczarowaniu siedzącego na ziemi Komańcza, Był uzbrojony we włócznię i łuk, w kołczanie miał strzały.

— Musimy wrócić, senior — rzekł peon, gdy mu pokazałem Indianina. — Moglibyśmy go wprawdzie zabić, ale to ściągnęłoby na nas zemstę tamtych.

— O zabiciu nie może być mowy. Ale czy nie dałoby się jakoś go oddalić, zwabić gdzie indziej?

— Wątpię. On nie opuści swego stanowiska, dopóki go, nie odwołają.

— Mam jednak pewien plan, który mi się może powiedzie. Ty zostaniesz tu w ukryciu, a ja się pokażę strażnikowi. Gdy mnie zobaczy, udam, że się bardzo przestraszyłem, i zacznę uciekać, a on popędzi za mną.

— Albo wypuści strzałę!

— Na to oczywiście muszę być przygotowany.

— Nie róbcie tego, senior! To zuchwalstwo. Komańcze tak pewnie trafiają z łuków jak my ze strzelb. Biegnąc odwrócicie się do niego plecami, nie zobaczycie strzały i nie będziecie mogli jej uniknąć.

— Będę umykał rzeką. Płynąc na plecach, zauważę, kiedy zechce strzelić, i zanurzę się natychmiast. On sądząc, że coś planuję przeciwko jego towarzyszom, wejdzie prawdopodobnie za mną do wody, a na drugim brzegu ogłuszę go uderzeniem w głowę i uczynię w ten sposób nieszkodliwym. Ty zaś nie opuszczaj tego miejsca, dopóki nie wrócę. W czasie kąpieli zauważyłem gałęzie petunii i wiem, gdzie się znajduje czółno. Zabiorę je i przybiję do brzegu po przeciwnej stronie.

Peon starał się mnie odwieść od tego przedsięwzięcia, ale nie słuchałem jego wywodów, byłem bowiem przekonany, że inaczej nie zdołalibyśmy wykonać danego nam polecenia. Zostawiłem go więc i aby go nie zdradzić, posunąłem się dość daleko wzdłuż muru zaroślami i tam dopiero wychyliłem się z nich, udając, że wyszedłem zza rogu. Komańcz nie od razu mnie zobaczył. Wkrótce jednak skierował wzrok ku mnie i zerwał się czym prędzej. Odwróciłem częściowo twarz, aby jej potem nie mógł poznać. Indianin zawołał na mnie, żebym stanął, a gdy tego nie uczyniłem porwał z ziemi łuk, wydobył z kołczanu strzałę i naciągnął cięciwę. W kilku skokach dostałem się do nadbrzeżnych zarośli. Stało się to tak szybko, że Indianin nie zdążył wystrzelić. Wskoczyłem natychmiast do wody i płynąc na plecach, starałem się dotrzeć do drugiego brzegu. W kilka chwil potem i on wypadł z zarośli, zobaczył mnie i wymierzył. Strzała wyleciała z cięciwy, ja zaś dałem nurka, wskutek czego mnie nie trafił. Wynurzywszy się z wody, ujrzałem go na brzegu. Stał pełen oczekiwania, gotowy do skoku. Kołczan zostawił pod murem, nie miał więc przy sobie drugiej strzały. Widząc, że nie jestem ranny, odrzucił łuk i wskoczył w wodę.

Tego właśnie chciałem. Aby go za sobą zwabić, udałem, że słabo pływam, i pozwoliłem mu zbliżyć się do siebie, po czym znowu zanurzyłem się pod wodę i puściłem się jak najszybciej

z biegiem rzeki. Wypłynąłem tuż przy brzegu. Komańcz zatrzymał się w dość dużej odległości powyżej mnie i wypatrywał, gdzie się znowu pokażę. W korzystnym dla siebie oddaleniu wyszedłem na brzeg i pobiegłem pomiędzy drzewami w górę rzeki. Zobaczyłem gruby, obrosły mchem dąb, który nadawał się do mego celu. Minąłem go w odległości pięciu kroków, potem zatoczyłem wielki łuk, aby się bezpiecznie ukryć za jego pniem. Przytuliwszy się do drzewa, czekałem na Komańcza, który niedługo potem nadbiegł, ociekając wodą i sapiąc ze zmęczenia, z wzrokiem wlepionym w mój trop. Gdy mnie minął, ruszyłem za nim. Ponieważ głośno sapał, przeto nie mógł usłyszeć moich kroków, zwłaszcza że biegłem za nim na palcach w wielkich o ile możności susach. Wreszcie wpadłszy nań tęgim skokiem, popchnąłem go tak, że padł twarzą do ziemi, a ja ukląkłem na nim. Po dwu uderzeniach pięścią przestał się ruszać. Nie opodal miejsca, na którym go ogłuszyłem, znajdował się złamany jawor zwrócony prostopadle do biegu rzeki tak, że fale przepływały pod jego suchym wierzchołkiem. To dało mi znakomitą sposobność powrotu bez zostawiania śladów. Po pniu tego jaworu dotarłem aż nad wodę i znowu wskoczyłem do niej. Prawie naprzeciwko błyszczały kwiaty petunii. Popłynąłem tam, odwiązałem czółno i powiosłowałem wzdłuż brzegu na to miejsce, skąd mieliśmy zabrać Apacza. Tam przywiązałem łódź do korzenia drzewa i pobiegłem po chorego. Musieliśmy się śpieszyć, by się z tym uporać, zanim Komańcz wróci do przytomności. Zanieśliśmy Apacza do czółna, podścieliwszy przedtem na dnie jego koc i szaty. Peon wrócił natychmiast do muru. Sam już odstawiłem chorego pod petunie, przymocowałem tam dobrze czółno, przypłynąłem na dawne miejsce i zdjąłem ubranie, by je wykręcić z wody. Włożywszy je z powrotem, zbadałem wzrokiem przeciwległy brzeg, czy przypadkiem Komańcz nie oprzytomniał i nie zauważył, cośmy zrobili, ale nie dostrzegłem niczego.

Teraz nareszcie mogliśmy wrócić do hacjendy. Weszliśmy z powrotem ukrytymi drzwiami, zużywszy na całą tę wyprawę kwadrans czasu. Od seniory otrzymałem natychmiast suche ubranie i mogłem się roześmiać w twarz każdemu Komanczowi, który by chciał twierdzić, że byłem poza domem, i do tego w rzece.

Panie położyły się w hamakach, a my wyszliśmy na platformę, wziąwszy oczywiście z sobą broń. Obie strony odbywały naradę. Old Death obstawał przy tym, że przeszukanie domu byłoby obelgą dla niego i hacjendera. Gdy go zawiadomiłem, że Apacz jest w bezpiecznym miejscu, zaczął się zwolna godzić i oświadczył w końcu, że pięciu Komańczom będzie wolno osobiście przekonać się, że nie ma tu Apacza.

— Dlaczego tylko pięciu? — spytał dowódca. — Czy nie jesteśmy wszyscy równi? Co czyni jeden, mogą też czynić wszyscy. Niech Old Death nam zaufa. Nie dotkniemy niczego Nikt z nas nic nie ukradnie.

— Dobrze! Zobaczycie, jacy jesteśmy wspaniałomyślni. Wszystkim wam pozwolimy wejść do domu, aby każdy mógł się przekonać, że powiedziałem prawdę. Żądam jednak, żebyście wpierw odłożyli broń i żeby nam było wolno zatrzymać i ukarać każdego, kto dotknie jakąś osobę lub przedmiot bez naszej zgody.

Naradziwszy się nad tym żądaniem, czerwonoskórzy przyjęli je. Odłożyli łuki, kołczany i noże i zeszli po jednym do środka.

Zanim jeszcze ja z Petrem oddaliliśmy się, by ukryć rannego Apacza, stanęli już na równinie waquerowie. Byli dobrze uzbrojeni, na koniach. Wzrok mieli zwrócony ku nam. Czekali na znak swego pana. Zachowywali się spokojnie tylko dlatego, że tego znaku jeszcze nie otrzymali.

Hacjendero i Old Death mieli otwierać Komańczom wszystkie pokoje. Dwóch z nas zostało na dachu, a pięciu na obydwóch korytarzach, aby w razie ewentualnych wykroczeń czerwonoskórych wystąpić z bronią w ręku. Ja byłem w dolnym korytarzu i ustawiłem się obok drzwi prowadzących do izby, w której leżał przedtem Apacz. Komańcze poszli prosto do tych drzwi, a Old Death je otworzył. Indianie byli widocznie pewni, że zastaną tam Dobrego Męża. Zamiast niego zobaczyli panie czytające swobodnie w hamakach.

— Uff! — zawołał dowódca z rozczarowaniem. — Tu są kobiety!

— Tak — zaśmiał się Old Death. — A wedle owej kłamliwej bladej twarzy tu miał się ukrywać wódz Apaczów! Wejdźcież i poszukajcie go!

Dowódca przebiegł wzrokiem komnatę i rzekł:

— Wojownik nie wchodzi do wigwamu kobiet. Tutaj nie ma Apacza. Oko moje dostrzegłoby go.

— To zbadajcie inne pokoje!

Minęła godzina, zanim Indianie skończyli poszukiwania. Nie znalazłszy ani śladu po Apaczu, powrócili jeszcze raz. Panie musiały opuścić izbę, którą przeszukano ponownie. Czerwonoskórzy podnosili koce i materace leżące na gołej ziemi, a nawet podważali podłogę, podejrzewając, że są pod nią puste miejsca. Wreszcie upewnili się, że Dobrego Męża nie ma w hacjendzie. Gdy dowódca to przyznał, rzekł Old Death:

— Powiedziałem wam z góry, ale wy nie chcieliście wierzyć. Zaufaliście bardziej kłamcy aniżeli mnie, przyjacielowi Komanczów. Gdy przybędę do Białego Bobra, poskarżę się na was przed nim.

— Czy mój biały brat chce się udać do niego? W takim razie niech pojedzie z nami!

— To niemożliwe. Mój koń zmęczył się bardzo i dopiero jutro zdolny będzie do dalszej jazdy, a wojownicy Komanczów dziś jeszcze opuszczą te strony.

— Nie. Zostajemy tutaj. Słońce idzie na spoczynek, a my nocą nie jeździmy. Wyruszymy o świcie, może więc biały brat nam towarzyszyć.

— Dobrze! Ale ja nie jestem sam. Mam jeszcze czterech przyjaciół z sobą.

— Ich także Biały Bóbr chętnie powita. Czy biali bracia pozwolą nam spocząć tej nocy w pobliżu ich domu?

— Nie sprzeciwiam się temu — odrzekł Meksykanin. — Słyszeliście ode mnie, że jestem przyjacielem czerwonych mężów, jeśli przychodzą do mnie pokojowo. Na dowód tego daruję wam wołu na zarżnięcie. Rozniećcie ognisko i upieczcie go sobie.

Ta obietnica sprawiła bardzo dobre wrażenie na Komańczach. Byli teraz naprawdę przekonani, że nie mieli racji. Starali się więc zachowywać w stosunku do nas jak najbardziej przyjaźnie. Oczywiście przyczyniło się do tego w największej mierze poważanie, jakie mieli dla Old Deatha. Nie dotknęli rzeczywiście niczego i wyszli z domu dobrowolnie. Spuszczono schody, a brama stała otworem. Na dachu pozostało na straży kilku uzbrojonych peonów. Pomimo bowiem zmiany w usposobieniu czerwonoskórych należało być ostrożnym. My wszyscy zeszliśmy na dół. Nadjechali także waquerowie, którzy otrzymali rozkaz schwytania jednego wołu. Wszystkie konie Komanczów znajdowały się z przodu za murem okalającym dziedziniec, strzeżone przez trzech wojowników. Po drugiej stronie domu stał, jak wiadomo, również jeden. Teraz ich wszystkich odwołano. Jeden z nich był to właśnie ten, którego zwabiłem za rzekę. Jego ubranie było jeszcze całkiem mokre, Wrócił wprawdzie na swe stanowisko, ale nie miał dotychczas okazji donieść dowódcy o tym, co się stało. Teraz podszedł do niego i opowiedział mu wszystko, ale tak, że my biali nie mogliśmy nic usłyszeć. Kończył już widocznie swoje sprawozdanie, kiedy wzrok jego padł na mnie. Ponieważ cała jego twarz była pomalowana, nie zauważyłem w niej żadnej zmiany wyrazu, ale wykonał nagle ruch gniewu, wskazał na mnie i rzucił jeszcze kilka słów indiańskich, których także nie zrozumiałem. Dowódca zwrócił na mnie groźny, badawczy wzrok i zbliżył się mówiąc:

— Młoda blada twarz przepłynęła niedawno przez rzekę i powaliła tego czerwonego wojownika?

Old Death ujął się za mną, pytając dowódcy, o co chodzi. Ten przedstawił wypadek ze strażnikiem, na co stary westman zaśmiał się wesoło i powiedział:

— Zdaje się, że czerwoni wojownicy nie umieją rozróżniać bladych twarzy. Kto wie, czy w ogóle blada twarz spotkał ten syn Komanczów.

― To był biały ― odrzekł zapytany pewnym tonem. ― I nikt inny, tylko ten. Widziałem jego twarz, kiedy płynął leżąc na plecach. Miał na sobie także to samo ubranie.

― Tak? W ubraniu płynął przez rzekę? Twoje jest jeszcze mokre, ale dotknij jego ubrania, a przekonasz się, że jest zupełnie suche.

― On zdjął mokre ubranie, a w domu włożył suche.

― A jak wszedł? Czy wasi wojownicy nie pilnowali bramy? Nikt nie może się dostać do tego domu ani zeń wyjść bez użycia tych schodów, na których stali Komańcze. Czy mój młody towarzysz mógł zatem być poza domem?

Przyznali nam rację, a wyprowadzony w pole strażnik sam nabrał w końcu przekonania, że się pomylił. Gdy z kolei hacjendero zauważył, że w okolicy włóczy się banda koniokradów, do których musiał należeć ten biały, sprawa była załatwiona. Zagadką zostało tylko jedno: nie było śladu, w którą stronę udał się ten człowiek! Dla rozwiązania tej zagadki dowódca ze strażnikiem i kilku innymi wojownikami przejechał przez bród. Na szczęście zaczęło się już ściemniać i dokładne badanie nie mogło się odbyć, Przebiegły Old Death wziął mnie z sobą, aby się przejść wzdłuż rzeki. Z oczyma zwróconymi na Komanczów myszkujących po drugiej stronie rzeki, ale zajęci nimi tylko pozornie, szliśmy powoli i zatrzymaliśmy się przy petuniach. Tam westman odezwał się cicho, tak cicho, że mogłem to usłyszeć tylko ja i człowiek znajdujący się w czółnie:

― Tu stoi Old Death i blada twarz, która Dobrego Męża tutaj schowała. Czy wódz Apaczów poznaje ich po głosie?

― Tak ― zabrzmiała równie cicha odpowiedź.

― Komańcze myślą teraz, że Dobrego Męża tu nie ma. O świcie wyruszą dalej. Czy mój brat zdoła wytrzymać w czółnie tak długo?

― Wódz Apaczów wytrzyma, bo zapach wody go orzeźwia i gorączka już nie wróci. Ale wódz Apaczów bardzo pragnąłby wiedzieć, jak długo pozostanie tu Old Death z towarzyszami.

― Odjeżdżamy jutro, razem z Komańczami.

― Uff! Czemu brat mój przyłącza się do naszych nieprzyjaciół?

― Bo musimy szukać ludzi, którzy się u nich znajdują.

― Czy biali mężowie spotkają się także z wojownikami Apaczów?

― To bardzo łatwo może się zdarzyć.

― W takim razie chciałbym młodemu wojownikowi, który naraził życie, aby mnie tutaj schować, dać totem[20], który sprawi, że Apacze chętnie go przyjmą u siebie. Old Death jest chytrym i doświadczonym myśliwcem. Jego nie przyłapią te psy Komańcze, jeśli mi przyniesie w ciemności nóż i kawałek białej skóry. Przed świtem zabierze totem, który w nocy sporządzę.

― Przyniosę jedno i drugie. Czy życzysz sobie jeszcze czego?

― Nie. Apacz jest zadowolony. Oby dobry Manitou czuwał zawsze nad ścieżkami Old Deatha i młodej bladej twarzy.

Powróciliśmy do domu. Nikt nie zauważył, że staliśmy przez minutę nad rzeką.

― To wielka rzadkość ― rzekł do mnie Old Death ― żeby biały otrzymał totem od wodza indiańskiego. Macie dużo szczęścia, sir. Własnoręczne pismo Dobrego Męża może się wam bardzo przydać.

― A wy rzeczywiście postaracie się dlań o nóż i skórę? Jeśli was podpatrzą, będzie po was i po Apaczu.

― Nonsens! Czy uważacie mnie za smarkacza? Wiem dokładnie, na co się mogę odważyć, a na co nie.

Dowódca Komanczów powrócił, nic nie wskórawszy ― śladu nie można już było rozpoznać.

[20] Totem – u Indian święty znak rodowy (zwierzę poczytywane za protoplastę jakiegoś szczepu).

Reszta dnia minęła bez nowych wypadków i noc tak samo. Rano zbudził mnie Old Death i wręczył mi czworokątny kawałek białej skóry, Przyjrzałem mu się, lecz nie zauważyłem nic szczególnego, gdyż kilka wcięć na gładkiej stronie skóry nic mi nie mówiło.

— To jest totem? — spytałem. — Nie znajduje tu nic nadzwyczajnego.

— Wcale nie o to chodzi. Dajcie to pierwszemu spotkanemu Apaczowi, a wyjaśni wam, jaki skarb posiadacie. Pisma na totemie teraz jeszcze nie widać, bo Dobry Mąż nie miał przy sobie farby, ale gdy dacie to jakiemukolwiek Apaczowi, zabarwi on wcięcia i wówczas wystąpią odpowiednie figury. Tylko, na miłość Boga, kryjcie się z tym przed Komańczami, bo uważaliby was za przyjaciela Apaczów. Przebierzcie się teraz i zejdźcie na dół, Komańcze wnet będą gotowi do drogi.

Komańcze spożywali śniadanie złożone z pozostałych od wczoraj resztek mięsa. Potem sprowadzili konie, by je napoić w rzece. Odbyło się to na szczęście powyżej miejsca, w którym znajdował się chory Apacz. Potem ukazał się także hacjendero z obiema paniami, które przestały się już bać czcrwonoskórych. Ujrzawszy nasze konie, hacjendero rzekł do Old Deatha, kiwając głową:

— To nie dla was konie, senior. Wy wiecie, co wart dobry koń. Jesteście moim dawnym przyjacielem, a ponieważ kochacie tego młodego pana, przeto i ja otworzyłem dlań moje serce. Dostaniecie obaj lepsze konie.

Przyjęliśmy z podziękowaniem propozycję hacjendera. Na jego rozkaz waguerowie schwytali dwa półdzikie konie, które wzięliśmy w miejsce naszych. Potem pożegnaliśmy się ze wszystkimi i wyruszyliśmy razem z Komańczami w dalszą drogę.

Słońce nie wychyliło się jeszcze ponad horyzont, kiedy przeprawiliśmy się przez Elm Creek i popędziliśmy cwałem na zachód. My i dowódca Komanczów jechaliśmy na przedzie, a jego ludzie za nami. Doznawałem przy tym uczucia niepewności i zdawało mi się ciągle, że za chwilę ugodzi mnie w plecy włócznia albo strzała, Indianie, siedzący na małych, chudych i kosmatych koniach, swoim uzbrojeniem, barwami twarzy i całym swoim zachowaniem nie budzili we mnie zbytniego zaufania. Old Death uspokoił mnie jednak. Nie było jeszcze o tym mowy, kiedy i gdzie spotkamy główny oddział Komanczów. Teraz zaś dowiedzieliśmy się, że Komańcze nie mieli zamiaru czekać na powrót swych pięćdziesięciu wojowników. Dowódca wysłanego do hacjendy oddziału otrzymał rozkaz wzięcia do niewoli Dobrego Męża i dostarczenia go pod eskortą dziesięciu ludzi do wsi Komanczów. Tam Dobry Mąż miał zginąć w męczarniach przy palu. Pozostałym czterdziestu wojownikom polecono jechać w pośpiesznym tempie ku Rio Grandę, odnaleźć trop głównego oddziału i połączyć się z nim. Biały Bóbr dowiedziawszy się od Gibsona, że Winnetou umknął przez rzekę i wobec tego zaalarmuje natychmiast Apaczów, zdecydował się działać jak najprędzej. Postanowił więc zaskoczyć nieprzyjaciół, zanim będą gotowi do obrony. Nam zaś zależało przede wszystkim na tym, żeby pochwycić u Komanczów Gibsona.

W niespełna dwie godziny przybyliśmy na miejsce, gdzie nasi indiańscy towarzysze odłączyli się wczoraj od głównego oddziału. Na południe przed nami leżał nad Rio Grandę Orli Wąwóz z fortem Dunkan, który Indianie musieli ominąć. Po następnych dwóch godzinach pokazały się znowu ślady trawy: pustynia Nueces była już za nami. Trop, po którym jechaliśmy, tworzył linię prostą. Nie przecinała jej żadna inna, Indianie więc przejechali niepostrzeżenie. Ziemia pokrywała się coraz bujniejszą zielonością, aż nareszcie ujrzeliśmy przed sobą las. To zapowiadało bliskość Rio Grandę del Norte.

— Uff! — rzekł dowódca tonem ulgi. — Nie spotkała nas żadna blada twarz i nikt nie wzbroni nam przeprawy .przez rzekę. Te psy Apacze zobaczą nas niebawem u siebie i zawyją ze strachu na widok naszych dzielnych wojowników.

Jechaliśmy przez pewien czas powoli pod wiązami, jaworami, klonami i drzewami kauczukowymi, dopóki nie przybyliśmy nad rzekę. Biały Bóbr wybrał dobrą drogę. .Trop, który się ciągnął milami i służył nam za przewodnika, prowadził prosto do brodu. Rio Grande była tu

bardzo szeroka, ale w swych falach toczyła niewiele wody. Wystawały z niej nagie ławice, utworzone jednak przez lotny piasek, wskutek czego znajdowało się w nich dużo miejsc, gdzie można było się zapaść. Tu na brzegu poprzedniej nocy rozłożyli się obozem Komańcze. Należało przypuszczać, że wyruszyli równie wcześnie jak my, ale nie mogli jechać tak prędko, gdyż zdążali przez okolice, w które zapuszczali się już Apacze. Musieli więc zachowywać środki ostrożności, co oczywiście opóźniało jazdę. Zauważyliśmy również, że przeprawy dokonano z wielką ostrożnością. Liczne ślady stóp dowodziły, że kilku wojowników zsiadło z koni, aby pieszo zbadać zwodnicze ławice. Miejsca, nadające się do przejścia, wytyczyli Komańcze wbitymi w ziemię gałązkami, czym bardzo ułatwili nam przeprawę. Ławice dzieliły rzekę na kilka odnóg. Musieliśmy je przepłynąć na koniach. Na drugim brzegu natrafiliśmy na pas drzew i zarośli, po czym znaleźliśmy się znowu wśród piasków. Znajdowaliśmy się w okolicy położonej między Rio Grandę a Bolson de Mapimi, nadającej się doskonale do wypraw indiańskich. Szeroką, piaszczystą równinę przerywały z rzadka pola kaktusów. Trop prowadził na zachód z lekkim odchyleniem ku południowi. Pomyliłem się jednak sądząc, że dziś jeszcze dogonimy Komanczów. Piasek, odrzucany daleko kopytami końskimi, dowodził, że bardzo się śpieszyli. Około południa minęliśmy łańcuch niskich, nagich wzgórz, po czym wjechaliśmy znowu na piaszczystą pustynię.

Podziwiałem wytrwałość koni indiańskich, które nawet po południu nie okazywały jeszcze wcale znużenia. Konie Langego, jego syna i Murzyna nadążały z trudem. Natomiast wierzchowce Old Deatha i mój dowiodły, że wyszliśmy dobrze na zamianie. Mrok już zapadał, kiedy kierunek tropu zmienił się nagle. Niespełna przed kwadransem przecięliśmy konną drogę wiodącą z San Fernando do Baji, a teraz trop skręcał ku południowemu zachodowi, Dlaczego? Musiała być jakaś przyczyna. Old Death wyjaśnił nam ją. Po śladach kopyt widać było, że -Komańcze się tu zatrzymali. Wprost od północy stykał się z ich tropem trop dwóch jeźdźców. Stary zsiadł z konia, przypatrzył się nowemu tropowi i rzekł:

— Tu przybyli do Komanczów dwaj ludzie, Indianie. Przynieśli im wiadomość, która wojowników Białego Bobra skłoniła do zmiany kierunku. My musimy zrobić to samo.

Dowódca zsiadł także z konia i zbadawszy trop potwierdził orzeczenie Old Deatha. Zwróciliśmy się więc na południe, jadąc ustawicznie, dopóki widać było trop, gdyż tego dnia należało przebyć jak największą przestrzeń. Nawet gdy się ściemniło, można było jeszcze odróżnić ślad od gładkiej powierzchni piasku. Później jednak wszystko sczerniało. Już chcieliśmy się zatrzymać, gdy wtem koń mój rozdął nozdrza i zarżał, usiłując biec dalej. Spełniłem jego wolę, gdyż przypuszczałem, że poczuł wodę. W kilka minut przybyliśmy rzeczywiście nad rzekę, gdzie urządziliśmy postój.

Po tak męczącej dla ludzi i koni szybkiej jeździe ta woda była prawdziwym pokrzepieniem. Wybraliśmy wkrótce miejsce na obóz. Czerwonoskórzy postawili straże i powierzyli konie opiece strażników, a my, biali, usiedliśmy razem. Old Death zaczął obliczać, jaka to mogła być rzeka, na którą natknęliśmy się tak niespodzianie, i doszedł do przekonania, że to Morelos, wpadająca do Rio Grandę pod fortem Dunkan. Nazajutrz okazało się, że Komańcze przepływali przez tę rzekę nie opodal. Zrobiliśmy to samo i puściliśmy się dalej ich tropem. Około południa trop skręcił znowu na zachód, a przed nami wynurzyły się nagie góry. Old Death przybrał zafrasowaną minę, a zapytany przeze mnie o powód, odrzekł:

— Nie podoba mi się ta historia. Nie mogę pojąć Białego Bobra, dlaczego się zapuszcza w te strony. Czy wiecie, co to za okolica przed nami?

— Bolson de Mapimi.

— A znacie tę pustynię?

— Nie.

— Mapimi — to prawdziwe rojowisko, z którego przez wszystkie czasy wypadały różne dzikie narody, aby rzucać się na przyległe kraje. Nie należy przy tym sądzić, że musi to być kraj żyzny, skoro żyje w nim takie mnóstwo ludzi. Doświadczenie poucza, że miejsca pustynne

często bywają siedzibą wojowniczych ludów. Do plemion mieszkających na tym płaskowyżu, w tych przesmykach, ostępach i dolinach, nie podobna dotrzeć. Wiem dobrze, że usadowiło się tam kilka plemion Apaczów. Jeżeli Komańcze mają zamiar na nich napaść, to mi ich żal; nie Apaczów, lecz Komanczów. Na północy snują się Apacze pomiędzy Rio del Norte a Rio Pecos i zajmują cały północny zachód aż poza Gile. Komańcze idą więc w pułapkę, która łatwo może się za nimi zamknąć.

— O biada! W takim razie i my się w niej znajdziemy!

— Tak, ale tego się zbytnio nie obawiam. Nie zrobiliśmy Apaczom nic złego i spodziewam się, że nie postąpią z nami wrogo, W razie potrzeby podziała wasz totem.

— Może byśmy ostrzegli Komanczów?

— Spróbujcie tylko, sir. Powiedzcie im dziesięć razy, że głupi, a nie uwierzą. Wyraziłem już dowódcy swoje przypuszczenia. On na to ofuknął mnie i odrzekł, że musi iść za tropem Białego Bobra, a jeśli my nie chcemy tego uczynić, możemy obrać kierunek, jaki nam się spodoba.

— To grubiaństwo!

— Tak, Komańcze nie odbyli kursów grzeczności towarzyskiej i salonowej konwersacji. A powiem wam jeszcze, że dziwiłbym się, gdyby tam w górach nie spotkało nas jakieś nieszczęście. No, cóż? Przeszliśmy przez granicę Stanów, ale czy i jak wrócimy znów przez nią? Przyszłość jest jak książka, której jeszcze dotychczas nie czytaliśmy.

ROZDZIAŁ IV

PRZEZ MAPIMI

Byłem pewien, że schwytam Gibsona jeszcze na terytorium Stanów Zjednoczonych. Teraz musiałem udać się za nim aż do Meksyku, i to w najniebezpieczniejsze strony tego kraju. Droga, którą należało obrać, aby się dostać do Chihuahua, styka się na północy z pustynią Mapimi i wiedzie przeważnie przez bezleśny, otwarty, łatwo dostępny kraj. Tymczasem my musieliśmy teraz zwrócić się na południe, gdzie czekały nas trudne do pokonania niebezpieczeństwa. Te przygniatające myśli potęgowało jeszcze fizyczne znużenie, któremu ulegli nawet Komańcze. Od hacjendy caballera jechaliśmy rzeczywiście forsownie. Czerwonoskórym skończyło się suszone mięso, nam także wyczerpał się zapas ofiarowany przez hacjendera. Teren wznosił się zwolna. Dotarliśmy do gór, które spostrzegliśmy w południe. Był to skalisty masyw pozbawiony roślinności. Przeciskaliśmy się pomiędzy stromymi zboczami ciągle ku południowi. Tutaj skwar wzmógł się jeszcze bardziej aniżeli na otwartej równinie. Konie szły w coraz wolniejszym tempie. Główny oddział Komańczów posuwał się tu także bardzo powoli, co można było poznać po śladach. Już od paru godzin unosiło się nad nami kilka sępów, jak gdyby się spodziewały, że nasze wyczerpanie przysporzy im obfitego łupu. Gdy minęliśmy jakiś zakręt, widoczny na południu pas widnokręgu ściemnił się nagle. Były to prawdopodobnie pokryte lasem góry. Konie, jak gdyby to także spostrzegły, ruszyły natychmiast szybciej. Oblicze Old Deatha rozjaśniło się.

— Teraz domyślam się, dokąd zdążamy — rzekł. — Znajdujemy się, jak mi się zdaje, w pobliżu dorzecza Rio Sabinas spływającej z Mapimi. Jeśli Komańcze zdecydowali się pojechać w górę jej biegu, to nasza bieda skończy się niebawem. Tam gdzie jest woda, muszą być drzewa, trawa i zwierzyna, nawet w tej smutnej okolicy. Podpędźmy konie! Im szybciej pojedziemy, tym szybciej wypoczną.

Trop skręcał znowu na wschód. Wjechaliśmy w wąski parów, a minąwszy go, ujrzeliśmy przed sobą zieloną dolinę, przez którą przepływał strumyk. W jednej chwili znaleźliśmy się nad nim i zeskoczyliśmy z siodeł. Gdyby nawet Komańcze chcieli zapanować nad sobą, musieliby się pogodzić z wolą koni. Gdy konie napiły się wody, dosiedliśmy ich i podążyliśmy dalej. Strumyk wpadał do większego potoku, ruszyliśmy więc w górę jego biegu. Przybyliśmy wkrótce do kanionu[21] o ścianach porosłych tu i ówdzie krzakami. Spoza niego wyłaniała się droga wiodąca wzdłuż zielonych zboczy, których barwa mile działała na nasz oślepiony słońcem wzrok. Tymczasem zaczęło się zmierzchać, wobec czego należało poszukać miejsca na obóz. Dowódca uparł się, żeby dotrzeć jeszcze do grupy następnych drzew, i musieliśmy go posłuchać, mimo że konie potykały się ciężko o leżące na ziemi kamienie. Noc już prawie zapadła, kiedy nagle usłyszeliśmy wołanie. Dowódca odpowiedział radosnym tonem, gdyż okrzyk był wydany w języku Komanczów, Zatrzymaliśmy się. Old Death pojechał przodem z dowódcą, lecz wnet powrócił i rzekł:

— Obóz Komanczów jest tuż przed nami. Stan tropu. nie wskazywał jeszcze na tak bliskie spotkanie, ale okazało się, że oni, nie mając odwagi jechać dalej po nie znanej sobie okolicy, zatrzymali się tu i rozesłali zwiadowców. Jeszcze nie wszyscy zwiadowcy powrócili. Chodźcie! Zaraz zobaczycie ogniska.

— Sądzę, że podczas takiej wyprawy wojennej nie roznieca się ognisk w obozie — zauważyłem.

[21] Kanion – głęboki jar o stromych zboczach, wyżłobiony przez rzekę.

— Teren na to pozwala. Wysławszy ludzi na zwiady, są pewni, że w pobliżu nie ma nieprzyjaciela, który by dostrzegł ogniska.

Pojechaliśmy jeszcze trochę naprzód. Gdy skończył się parów, ujrzeliśmy około dziesięciu ognisk z przytłumionymi płomieniami, jak zazwyczaj u Indian. Przed nami rozciągała się okrągła, bezdrzewna kotlina, otoczona dokoła stromymi zboczami, co Komancze uważali widocznie za gwarancję swego bezpieczeństwa.

Czerwoni wojownicy, z którymi dotychczas jechaliśmy, udali się wprost do obozu, a nam polecili zaczekać, dopóki po nas nie wrócą. Po dłuższej chwili przyszedł jeden z nich, by zaprowadzić nas do wodza, który siedział przy środkowym ognisku w towarzystwie dwóch, prawdopodobnie znakomitych wojowników. Siwe włosy miał związane w węzeł, w którym tkwiły trzy orle pióra. Ubrany był w mokasyny, czarne spodnie, kamizelkę i bluzę z jaśniejszej materii, a obok niego leżała dubeltówka. Zza pasa wystawał mu stary pistolet. W ręku trzymał nóż i kawałek mięsa, które na nasz widok odłożył. W powietrzu rozchodziła się woń pieczonej koniny. Tuż obok miejsca, na którym siedział wódz, szemrało tryskające z ziemi źródło. Nie zsiedliśmy jeszcze z koni, kiedy dokoła nas utworzył się zwarty krąg wojowników, pośród których dostrzegłem kilka białych twarzy. Zabrano nam natychmiast konie i odprowadzono je na bok. Ponieważ Old Death zgodził się na to bez sprzeciwu, nie widziałem w tym nic niebezpiecznego. Wódz wstał razem z obydwoma swymi towarzyszami, podszedł do Old Deatha, podał mu rękę na sposób białych ludzi i rzekł przyjaźnie, poważnym tonem;

— Mój brat Old Death robi niespodziankę wojownikom Komanczów. Nie mogli bowiem nawet przypuścić, że się z nim tu spotkają. Pozdrawiamy go i zapraszamy do wspólnej walki przeciwko tym psom Apaczom.

Mówił prawdopodobnie dlatego, żebyśmy i my rozumieli, mieszaniną słów angielskich i indiańskich. Old Death odpowiedział mu w ten sam sposób:

— Mądry Manitou prowadzi swoje dzieci dziwnymi drogami. Szczęśliwy, kto na każdej z tych dróg spotka przyjaciela, któremu może zaufać. Czy Biały Bóbr zapali także z moimi przyjaciółmi fajkę pokoju?

— Twoi przyjaciele są także moimi przyjaciółmi; jeżeli ty ich kochasz, to i ja ich kocham. Niechaj zajmą miejsce obok mnie i wypiją pokój z fajki wodza Komanczów!

Old Death usiadł, a my poszliśmy za jego przykładem. Czerwonoskórzy stali dokoła nas w milczeniu i bez ruchu jak posągi, Twarzy białych nie mogłem rozpoznać, bo blask ognia do nich nie dochodził. Oyo-kolca zdjął z szyi fajkę, napełnił ją tytoniem i zapalił, po czym nastąpiła znana nam już ceremonia. Teraz dopiero byliśmy pewni, że nic nam nie grozi ze strony Komanczów.

Gdyśmy czekali przed obozem, dowódca oddziału, z którym przyjechaliśmy, opowiedział Białemu Bobrowi, w jaki sposób zetknęliśmy się z jego oddziałem. Stary wódz poprosił Old Deatha, żeby mu jeszcze raz opowiedział, jak się to wszystko odbyło. Old Death dokonał tego w taki sposób, że ani na nas, ani na seniora Atanasio nie mogło paść żadne podejrzenie.

Biały Bóbr patrzył czas jakiś przed siebie w zadumie, a potem rzekł:

— Wierzę mojemu bratu, albowiem gdybym nawet chciał wątpić, nie znajduję w jego opowiadaniu nic, z czego mógłbym wnosić, że stara się mnie oszukać. Muszę jednak i tamtej bladej twarzy wierzyć, gdyż nie ma ona powodu okłamywać wojowników Komanczów, a zresztą kłamstwo przypłaciłaby życiem. Ów biały znajduje się u nas, a prawdopodobnie dawno już próbowałby zniknąć, gdyby nas w błąd wprowadził. Wobec tego stanu rzeczy nie mogę przypuścić nic innego jak to, że jeden z was się pomylił.

Było to bardzo sprytnie pomyślane. Old Death musiał się mieć na baczności. Jakżeż łatwo mogło przyjść na myśl Białemu Bobrowi, że powinien wysłać jeszcze raz syna, aby zaskoczył hacjendera nocą. Najlepiej było dać jakieś zręczne i wiarygodne wyjaśnienie owej rzekomej pomyłki. Westman pomyślał i o tym, bo rzekł:

— Pomyłka zaszła istotnie, ale oszukano nie mnie, lecz ową bladą twarz. Gdzie znajdzie się człowiek, który by zdołał oszukać Old Deatha? O tym wie także mój czerwony brat.

— Niech mi więc brat mój opowie, jak się to stało!

— Najpierw muszę zaznaczyć, że zwiedziono przede wszystkim samego wodza Komanczów.

— Kto to uczynił? — zapytał Biały Bóbr przybierając od razu surowy wyraz twarzy.

— Przypuszczam, że wszystkie blade twarze, które są u ciebie,

— Przypuszczenia nie wolno mi słuchać. Daj na to dowód! Jeśli oszukują mnie ci, z którymi wypaliliśmy fajkę pokoju, to muszą umrzeć!

— A więc nie tylko podałeś im rękę na znak pokoju, lecz nawet wypaliłeś z nimi fajkę? Gdybym był wówczas z tobą, nie dopuściłbym do tego. Żądany dowód zaraz przedstawię. Powiedz mi, czy jesteś przyjacielem prezydenta Juareza?

Zapytany wykonał ręką ruch lekceważenia i odpowiedział:

— Juarez jest odszczepieńcem czerwonoskórych, bo mieszka w domu i prowadzi życie na sposób bladych twarzy. Gardzę nim Wojownicy Komanczów użyczyli swego męstwa wielkiemu Napoleonowi, a on darowuje im za to koce, broń, konie i oddaje im w ręce Apaczów. Te blade twarze również sprzyjają Napoleonowi.

— To właśnie jest kłamstwo, którym cię zwiedli. Oni przybyli do Meksyku, aby służyć Juarezowi. Moi towarzysze mogą to poświadczyć. Wiesz przecież, kogo wielki biały ojciec w Waszyngtonie wziął w swoją opiekę?

— Juareza.

— Wiesz o tym także, że po tamtej stronie granicy zaciągają do wojska ludzi, których potajemnie wysyłają tutaj do Juareza. W La Grange mieszka Meksykanin, nazwiskiem Cortesio. My sami byliśmy u niego, a ci dwaj ludzie byli jego sąsiadami i przyjaciółmi. On powiedział im i nam, że zaciąga wojowników dla Juareza, a kilku białych, którzy znajdują się u ciebie, zrobił już żołnierzami. Reszta towarzyszy nowozaciężnym. Jesteś nieprzyjacielem Juareza, a mimo to wypaliłeś z jego żołnierzami fajkę pokoju, ponieważ oni cię okłamali...

Oko wodza zaiskrzyło się gniewem. Chciał się odezwać, ale Old Death mu przerwał:

— Pozwól mnie wpierw skończyć! Te blade twarze są zatem żołnierzami Juareza. Przybyli na hacjendę przyjaciela Napoleona, seniora Atanasio, który gościł u siebie znakomitego sędziwego wodza Francuzów. Blade twarze zabiłyby tego człowieka, gdyby go poznały. Musiał zatem udać chorego i położyć się. Posmarowano mu twarz na ciemno, aby go uczynić podobnym do Indianina. Gdy blade twarze ujrzały go i zapytały, kto to jest, odpowiedziano im, że to Dobry Mąż, wódz Apaczów.

Wódz podniósł brwi. Wierzył już opowiadającemu, ale był o tyle ostrożny, że zapytał:

— Dlaczego podano właśnie to imię?

— Ponieważ Apacze są po stronie Juareza. Blade twarze musiały więc w tym człowieku widzieć swego przyjaciela. Był on stary i miał siwe włosy, których nie podobna było ukryć. Wiedziano, że włosy Dobrego Męża również są białe, przeto użyto do tego podstępu jego imienia.

— Uff! Teraz ciebie rozumiem. Ten senior jest z pewnością bardzo rozumnym człowiekiem, skoro wpadł na taki fortel. Ale gdzie był dowódca Napoleona, kiedy nadeszli moi wojownicy? Oni go nie widzieli.

— Bo opuścił czym prędzej ten dom. Twierdzenie, jakoby Winnetou przyprowadził Dobrego Męża, było tylko wymówką. Blade twarze w to uwierzyły, potem natknęły się na ciebie i twoich wojowników, a wiedząc, że Komańcze są przyjaciółmi Francuzów, podały się również za ich przyjaciół.

— Wierzę ci, lecz muszę mieć pewny dowód, że oni są stronnikami Juareza. Nie mógłbym inaczej ich ukarać, ponieważ wypalili z nami także fajkę pokoju.

— Powtarzam ci, że ten dowód dam. Przedtem jednak przyjmij do wiadomości, że pomiędzy tymi białymi twarzami znajdują się dwaj ludzie, których chcę pojmać.

— Dlaczego?

— Bo są naszymi nieprzyjaciółmi, a konie nasze były przez wiele dni na ich tropie.

To była najlepsza odpowiedź. Gdyby Old Death długo i szeroko opowiadał o Gibsonie i Wiliamie Ohiercie, nie osiągnąłby tego, co zdziałały te trzy krótkie słowa: „są naszymi nieprzyjaciółmi". Okazało się to natychmiast, gdyż wódz zawołał:

— Jeśli są twoimi nieprzyjaciółmi, to będą także naszymi, skoro odbierzemy im dym pokoju! Daruję ci obydwóch.

— Dobrze. Każ tu przyjść dowódcy bladych twarzy! Kiedy będę z nim mówił, poznasz z łatwością, że mam słuszność, nazywając go stronnikiem Juareza.

Na dany przez wodza znak podszedł wojownik, a otrzymawszy odpowiednie polecenie, przystąpił do jednego z białych, powiedział mu kilka słów, po czym zbliżyła się do nas wysoka, tęga postać z wielką brodą i marsowym wyrazem twarzy.

— O co chodzi? — zapytał mierząc nas ponurym, nieprzyjaznym wzrokiem.

Gibson zapewne poznał mnie i uprzedził go, że nie należy się po nas spodziewać niczego dobrego. Bardzo byłem ciekaw, jak Old Death wybrnie z tej trudności. Stary, przebiegły westman spojrzał pytającemu przychylnie w oczy i odpowiedział bardzo uprzejmie:

— Mam was pozdrowić od seniora Cortesio z La Grange, senior.

— Wy go znacie? — wtrącił szybko, nie przeczuwając, że właśnie dał się złapać na bardzo niebezpieczny haczyk.

— Oczywiście — potwierdził Old Death. — Jesteśmy przyjaciółmi od dawna. Przybyłem do niego niestety za późno i nie zdołałem się z wami zobaczyć, on jednak podał mi kierunek, w którym mamy się udać za wami.

— Rzeczywiście? W takim razie jesteście niewątpliwie jego przyjacielem. Jaki kierunek wam wskazał?

— Bród pomiędzy Las Moras a Rio Morał, a potem przez Baję i Tabal do Chihuahua. Wy zboczyliście oczywiście nieco z tego kierunku.

— Ponieważ spotkaliśmy naszych przyjaciół Komanczów.

— Waszych przyjaciół? Ja sądzę, że wojownicy Komanczów są waszymi wrogami.

Biały zakłopotał się widocznie, wzruszył ramionami i chrząknął, aby dać znak Old Deathowi, ten jednak udał, że nic nie zauważył, i mówił dalej:

— Wy stoicie przecież po stronie Juareza, Komańcze zaś walczą po stronie Francuzów. Teraz Meksykanin skupił myśli i oświadczył:

— Senior, pod tym względem bardzo się mylicie; my także sprzyjamy Francuzom.

— I prowadzicie ochotników ze Stanów Zjednoczonych do Meksyku?

— Dla Napoleona.

— Ach, tak! Więc senior Cortesio zaciąga w szeregi Napoleona?

— Naturalnie. Dla kogóż by innego to robił?

— Ja sądzę, że dla Juareza.

— Ani mu się śni!

— Pięknie! Dziękuję za to wyjaśnienie, senior. Możecie wrócić na swoje miejsce.

Twarz wezwanego drgnęła gniewem. Czy miał pozwolić na to, żeby go ten nieznany człowiek odprawiał jak podwładnego?

— Senior! — rzekł. — Skąd macie prawo odzywać się do mnie w ten sposób?

— Przy tym ognisku siedzą tylko wodzowie i osoby wybitne.

— Ja jestem oficerem.

— Juareza? — spytał skwapliwie Old Death.

— Tak... nie, nie, Napoleona, jak to już powiedziałem.

— Aha, teraz wygadaliście się zupełnie. Oficer powinien, zwłaszcza w takich warunkach, lepiej pilnować języka. Skończyłem z wami, możecie odejść.

Oficer chciał coś jeszcze powiedzieć, ale wódz uczynił ręką ruch rozkazujący na znak, żeby się oddalił, więc musiał posłuchać.

— No, cóż na to mój brat? — zapytał Old Death.

— Jego twarz go oskarża — odrzekł Biały Bóbr — ale i to nie jest jeszcze dowodem.

— Ale jesteś już pewien, że jest oficerem i był u seniora Cortesio.

— Tak.

— Musi zatem należeć do partii, dla której Cortesio werbuje ochotników.

— Tak jest. Udowodnij mi jednak, że ten człowiek zaciąga w szeregi Juareza, a wtedy będę zadowolony.

— Oto masz dowód!

Old Death sięgnął do kieszeni i wydobył paszport podpisany przez Juareza, rozwinął go i mówił dalej:

— Chcąc się przekonać, czy Cortesio pracuje dla Juareza oraz czy wszystkie, przybywające doń, blade twarze są przyjaciółmi Juareza, udaliśmy, że pragniemy służyć w jego szeregach. Cortesio przyjął nas i dał każdemu z nas paszport z podpisem Juareza. Mój towarzysz może ci także pokazać swój.

Wódz wziął paszport i przypatrzył mu się dokładnie. Zły uśmiech przemknął mu po twarzy, gdy po chwili rzekł:

— Biały Bóbr nie nauczył się od białych sztuki mówienia na papierze, zna jednak dobrze znak, który tu widzi; to jest totem Juareza. Pomiędzy moimi wojownikami znajduje się młody człowiek, pół krwi, który jako chłopiec przebywał długo u bladych twarzy i umie kazać przemówić papierowi. Zaraz go tu zawezwę.

Gdy zawołał głośno jakieś imię, zbliżył się do ognia młody, o jaśniejszej skórze wojownik, wziął na rozkaz wodza papier do ręki i przeczytał napisane na nim słowa, tłumacząc je równocześnie. Ja go nie rozumiałem, ale twarz Old Deatha rozjaśniała się coraz bardziej. Gdy Indianin skończył, oddał paszport, dumny z tego, że zna taką sztukę, i oddalił się. Old Death schował paszport i zapytał:

— Czy mój towarzysz ma swój także pokazać? Wódz potrząsnął głową przecząco.

— Czy mój czerwony brat wierzy już, że go blade twarze okłamały i że są Jego wrogami?

— Teraz nie wątpi już o tym. Zgromadzi zaraz swoich najwybitniejszych wojowników, aby się z nimi naradzić nad tym, co ma teraz począć.

— Czy ja wezmę udział w tej naradzie?

— Nie. Mój brat jest rozumny w radzie i odważny w czynie, ale nam go nie potrzeba, gdyż dowiódł, czego chciał dowieść. Co ma teraz nastąpić, to już jest rzeczą Komanczów, których okłamano.

— Jeszcze jedno! Nie należy to wprawdzie do tej samej sprawy, ale jest dla nas bardzo ważne. Dlaczego mój czerwony brat posunął się tak daleko na południe, czemu zapędza się aż na pustynne wyżyny?

— Komańcze chcieli z początku jechać dalej na północ, ale dowiedzieli się, że Winnetou z wielkimi oddziałami pociągnął ku Rio Conchos i że z tego powodu wsie Apaczów nie są strzeżone. Zwróciliśmy się przeto czym prędzej na południe i zdobędziemy tu łupy, jakich jeszcze nigdy nie udało się nam zdobyć.

— Winnetou ku Rio Conchos! Hm! Czy ta wiadomość zasługuje na wiarę? Od kogo ją masz? Czy od tych dwóch Indian, którzy idąc z północy zetknęli się z wami?

— Tak. Czy widzieliście ich trop?

— Widzieliśmy go. Co to byli za Indianie?

— Ze szczepu Topią, ojciec i syn.

— Czy są jeszcze u ciebie i czy mogę z nimi pomówić?

— Mój brat może uczynić, co mu się spodoba.

— Czy mogę także pomówić i z tymi dwoma bladymi twarzami, które mi chcesz wydać?

— Któż by ci tego bronił?

— W takim razie mam jeszcze tylko jedną prośbę. Pozwól mi obejść obóz dookoła. Jesteśmy w kraju nieprzyjacielskim i pragnę się upewnić, że zrobiono wszystko, co jest konieczne dla naszego bezpieczeństwa.

— Uczyń to, choć to niepotrzebne. Biały Bóbr pilnuje porządku w obozie i straży, a nasi zwiadowcy znajdują się przed nami. Zatem wszystko w porządku.

Jego przyjaźń dla Old Deatha musiała być istotnie wielka, skoro się nie obraził za to, że stary westman chciał sam ocenić jego zarządzenia i przyjrzeć się środkom ostrożności. Obaj dostojni Komańcze, którzy dotąd siedzieli obok niego w milczeniu, powstali teraz i odeszli z godnością po wojowników, którzy mieli wziąć udział w naradzie. Reszta Komanczów usiadła z powrotem przy swych ogniskach. Obu Langom i Samowi wyznaczono także miejsce przy jednym z nich i podano trzy tęgie kawałki pieczonej koniny. Old Death natomiast wziął mnie za rękę i pociągnął ku ognisku, przy którym siedzieli sami biali. Skoro ujrzano nas, oficer wstał, wyszedł naprzeciw nas kilka kroków i zapytał po angielsku niechętnym tonem;

— Co miał właściwie oznaczać ten egzamin, master,

który spodobało się wam odbyć ze mną? Stary pozdrowił go uprzejmie i odrzekł:

— To wam później wyjaśnią Komańcze, dlatego ja mogę sobie oszczędzić odpowiedzi. Zresztą znajdują się między wami koniokrady! Nie mówcie poza tym takim wyniosłym tonem do Old Deatha! Wszyscy Komańcze są po mojej stronie, a przeciwko wam. Wystarczy, żebym skinął, a będzie po was.

Odwrócił się od niego dumnie, ale został na miejscu, aby mnie z kolei dać sposobność do mówienia. Gibsoa i Wiliam Ohlert siedzieli przy tym samym ognisku. Ohlert wyglądał na człowieka bardzo cierpiącego, był wynędzniały, Ubranie miał podarte, a włosy w dzikim nieładzie. Policzki mu się pozapadały, a oczy tkwiły głęboko w oczodołach. Zdawało się, że nie słyszy ani nie widzi, co się dokoła niego dzieje. Trzymał w ręku ołówek, a na kolanie ćwiartkę papieru i wpatrywał się w nią nieustannie. Z nim na razie nie miałem nic do czynienia, gdyż był pozbawiony własnej woli. Zwróciłem się zatem do jego krzywdziciela:

— Nareszcie spotykamy się, master Gibson! Spodziewam się, że od teraz będziemy razem przez czas dłuższy. On roześmiał mi się wprost w twarz i odrzekł:

— Z kim mówicie, sir?

— Oczywiście, że z wami!

— To nie takie bardzo oczywiste. Tylko po waszym wzroku poznaję, że mnie macie na myśli. Zdaje się, że nazwaliście mnie Gibsonem?

— Istotnie.

— Ja się tak nie nazywam.

— Czy to nie wy uciekaliście przede mną w Nowym Orleanie?

— Master, wam się chyba coś plącze pod kapeluszem! Nie nazywam się Gibson!

— Kto ma tyle nazwisk, może z łatwością wyprzeć się jednego. Czy nie nazywaliście się w Nowym Orleanie Clinton, a w La Grange senior Gavilano?

— To jest istotnie moje właście i prawdziwe nazwisko. Czego w ogóle chcecie ode mnie? Zostawcie mnie, w spokoju! Ja was nie znam!

— Wierzę bardzo. Urzędnik policyjny znajduje się czasem w takim położeniu, że go nie poznają. Wypieraniem się nie wymkniecie mi się już teraz. Swoją rolę odegraliście już do końca. Nie na to was ścigałem z Nowego Jorku aż tutaj, żebyście się ze mnie wyśmiewali. Odtąd pójdziecie za mną tam, dokąd ja was zaprowadzę.

— Oho! A jeśli tego nie uczynię?

— To przywiążę was ładnie do konia, a zwierzę mnie już posłucha.

Na to zerwał się, wydobył rewolwer i krzyknął:

— Człowiecze, powiedzcie jeszcze jedno takie słowo, to was natychmiast diabeł...

Nie dokończył. Old Death podszedł do niego od tyłu i uderzył go kolbą w rękę tak silnie, że łotr wypuścił rewolwer.

— Nie bądźcie tacy bezczelni, Gibsonie! — rzekł westman. — Są tutaj ludzie, którzy potrafią z łatwością zatkać waszą bezczelną gębę!

Gibson ujął się za rękę, odwrócił się i krzyknął:

— Panie, czy mam was pchnąć nożem w żebra? Czy sądzicie, że się was zlęknę, dlatego że nazywacie się Old Death?

— Nie, mój młodzieńcze. Nie lękaj się, ale musisz być posłuszny, Jeśli ci się raz jeszcze wyrwie słowo, które mnie połechce w nos, to kichnę w ciebie kulą ze strzelby Spodziewam się, że ci dżentelmeni będą nam wdzięczni za uwolnienie ich od takiego łotra jak ty.

Ton i postawa Old Deatha nie przeszły bez wrażenia. Gibson rzekł daleko pokorniej:

— Ależ ja nie pojmuję wcale, czego wy chcecie. Bierzecie mnie za kogoś innego!

— To bardzo wątpliwe. Masz taką łotrowską twarz, że trudno ją wziąć za inną. Zresztą główny świadek oskarżenia siedzi obok ciebie.

Przy tych słowach wskazał na Wiliama Ohlerta.

— Ten świadkiem przeciwko mnie? — zapytał Gibson. — To znowu dowód, że mnie nie poznajecie. Zapytajcie go!

Położyłem Wiliamowi rękę na ramieniu i zawołałem go po nazwisku. On podniósł zwolna głowę, popatrzył na mnie bezmyślnie i nic nie odpowiedział.

— Master Ohlert, sir Wiliamie, czy mnie słyszycie? — powtórzyłem. — Wasz ojciec posłał mnie do was.

On znowu utkwił we mnie bezmyślny wzrok, ale nie wyrzekł ani słowa. Wtem huknął nań groźnie Gibson:

— Chcemy usłyszeć twoje nazwisko. Powiedz je natychmiast!

Wiliam Ohlert zwrócił głowę ku Gibsonowi i odrzekł półgłosem, drżąc jak zalęknione dziecko:

— Nazywam się Guillelmo.

— Kim jesteś?

— Poetą.

Zapytałem dalej:

— Czy nazywasz się Ohlert? Czy pochodzisz z Nowego Jorku? Czy masz ojca?

Na wszystkie te pytania odpowiedział przecząco, ale bez najmniejszego namysłu. Można było poznać, że był wytresowany. Nie ulegało też wątpliwości, że odkąd znajdował się w ręku tego wyrafinowanego łotra, umysł jego zaciemniał się coraz bardziej.

— Oto macie świadka — zaśmiał się złoczyńca. — Dowiódł wam, że znajdujecie się na fałszywej drodze. Bądźcie zatem łaskawi zostawić nas teraz w spokoju!

— Ja mimo to chcę jeszcze o coś zapytać. Może jednak pamięć jego okaże się silniejsza od kłamstw, które w niego wpoiliście.

Przyszła mi do głowy nowa myśl. Wyjąłem portfel, w którym miałem gazetę z wierszem Ohlerta, i rozwinąwszy ją, przeczytałem głośno pierwszą zwrotkę. Sądziłem, że brzmienie własnego wiersza wyrwie go z umysłowego otępienia. Tymczasem on patrzył ustawicznie na swoje kolano. Wobec tego wygłosiłem drugą zwrotkę, ale także na próżno. Przystąpiłem tedy do trzeciej:

Znaszli tę noc, co ducha ci owija,
Że próżno żądzą wyzwolenia drga,
Co cię omota jako wściekła żmija,
A tysiąc diabłów ciągle w mózg ci plwa?

Na oba ostatnie wiersze położyłem silny nacisk. I oto nagle Ohlert podniósł głowę, wstał i wyciągnął ręce. Ja czytałem dalej:

Czuwać nie warto, na nic by się zdało,
Bo po tej nocy już nie będzie dniało!

Ohlert krzyknął, przyskoczył do mnie i sięgnął po gazetę. Dałem mu ją, a on pochylił się nad ogniem i sam głośno przeczytał cały wiersz od początku do końca. Potem się wyprostował i zawołał głosem tryumfalnym, który rozległ się daleko wśród ciszy nocnej:

— Poemat Ohlerta, Wiliama Ohlerta, mój, mój własny! Ja jestem Wiliam Ohlert, ja sam! Nie ty się nazywasz Ohlert, nie ty, lecz ja!

Ostatnie słowa zwrócone były do Gibsona. Teraz nasunęło mi się straszne podejrzenie. Gibson był w posiadaniu legitymacji Ohlerta — czyżby się mimo starszego wieku za niego podawał? Czy...? Nie dokończyłem jednak tej myśli, gdyż wódz, zapomniawszy o naradzie i własnej godności, nadbiegł, rzucił Wiliama na ziemię i krzyknął:

— Milcz, psie! Czy Apacze mają usłyszeć, że się tu znajdujemy? Sprowadzisz na nas walkę i śmierć!

Wiliam Ohlert wydał niezrozumiały okrzyk boleści i spojrzał tępym wzrokiem na Indianina. Ja wziąłem mu z ręki gazetę i schowałem ją na powrót w nadziei, że uda mi się później znowu doprowadzić go do przytomności.

— Nie gniewaj się na niego — prosił Old Death wodza. Duch jego jest zamroczony. On już będzie spokojny. A teraz powiedz mi, czy to ci dwaj ludzie są Topiami, o których mi wspomniałeś?

Wskazał na dwie, po indiańsku ubrane postacie, siedzące przy ognisku razem z białymi.

— Tak, to są oni — odrzekł Biały Bóbr. — Nie rozumieją dobrze języka Komanczów, Trzeba z nimi mówić językiem granicznym. Postarajcie się jednak o to, żeby ten biały, który nie ma już duszy, zachowywał się spokojnie, bo w przeciwnym razie musiałbym mu kazać zakneblować usta.

To rzekłszy Biały Bóbr wrócił znowu do narady przy ognisku. Old Death powiódł wzrokiem po obydwóch Indianach i zapytał starszego z nich:

— Moi czerwoni bracia przybyli z wyżyny Topią? Czy tamtejsi wojownicy są przyjaciółmi Komanczów?

— Tak — odrzekł zagadnięty. — Użyczamy naszych tomahawków wojownikom Komanczów.

— Skąd to jednak pochodzi, że wasz trop wiódł od północy, gdzie nie mieszkają wasi bracia, lecz nieprzyjaciele Komanczów — Apacze Lianero i Taracon?

Pytanie to wprawiło Indianina w kłopot, co łatwo dało się zauważyć, ponieważ ani on, ani jego syn, który mu towarzyszył, nie mieli pomalowanych twarzy. Odrzekł też dopiero po dłuższej chwili:

— Mój biały brat zadaje pytanie, na które może sobie sam z łatwością odpowiedzieć. Wykopaliśmy topór wojenny przeciwko Apaczom i pojechaliśmy na północ, aby się dowiedzieć o miejscu ich pobytu.

— No i co znaleźliście w tamtych stronach?

— Widzieliśmy największego wodza Apaczów, Winnetou, który wyruszył ze wszystkimi swoimi wojownikami, aby przenieść wojnę za Rio Conchos. Wróciliśmy więc, aby donieść o tym naszym ludziom, oni zaś prędko wpadną do wsi Apaczów. Natknęliśmy się przy tym na wojowników Komanczów i sprowadziliśmy ich tutaj, by i oni także przyczynili się do zguby naszych wrogów.

— Komańcze będą wam za to wdzięczni. Ciekaw jestem jednak, od kiedy to wojownicy Topiów zapomnieli o tym, że powinni być uczciwymi ludźmi?

Widać było, że stary westman podejrzewał o coś obydwóch Indian. Rozmawiał z nimi wprawdzie uprzejmie, ale głosem osobliwie zabarwionym, zupełnie tak jak zawsze, kiedy miał zamiar wywieść kogoś w pole. Topiom jego pytania były bardzo nie na rękę. Młodszy

błyskał nań groźnie oczyma, starszy usiłował odpowiadać przyjaźnie, ale słowa z trudem przeciskały mu się przez usta.

— Dlaczego mój brat pyta teraz o naszą uczciwość? — odpowiedział. — Z jakiej przyczyny wątpi o niej?

— Nie mam zamiaru was urazić. Dziwię się jednak, że nie siedzicie razem z wojownikami Komanczów, lecz przy ognisku bladych twarzy.

— Old Death stawia więcej pytań, niżby powinien. Siedzimy tutaj, ponieważ tak nam się podoba.

— Ale my moglibyśmy powziąć mniemanie, że Komańcze gardzą Topiami. To wygląda, jak gdyby chcieli was wykorzystać, lecz nie cierpieli was wśród siebie.

Na tę obelgę czerwonoskóry wybuchnął;

— Nie mów takich słów, bo będziesz musiał z nami walczyć! Przedtem siedzieliśmy z Komańczami, a teraz przyszliśmy do bladych twarzy, aby się czegoś od nich nauczyć. A może nie wolno nam dowiedzieć się, co się dzieje we wsiach i miastach bladych twarzy?

— Nie, to wolno. Ja na waszym miejscu postępowałbym jednak ostrożniej. Oko twoje widziało śnieg wielu zim; powinien byś zatem domyślić się, do czego zmierzam.

— Skoro nie wiem, to mi powiedz! — zabrzmiała szydercza odpowiedź.

Old Death przystąpił teraz do niego, pochylił się nad nim nieco i zapytał surowym głosem:

— Czy wypaliliście z Komańczami fajkę pokoju i wydmuchnęliście dym?

— Tak.

— Jesteście więc ściśle obowiązani czynić tylko to, co przyniesie im korzyść.

— Czy sądzisz może, że nie chcemy tego uczynić? Obaj patrzyli sobie ostro w oczy. Zdawało się, że walczą spojrzeniami. Old Death odrzekł po chwili:

— Widzę po tobie, że mnie zrozumiałeś i odgadłeś moje myśli. Gdybym zechciał je wypowiedzieć, bylibyście obaj zgubieni.

— Uff — zawołał czerwonoskóry zrywając się z ziemi i chwytając za nóż.

Syn jego podniósł się także groźnie i wydobył tomahawk zza pasa. Old Death jednak odpowiedział na te wrogie ruchy tylko poważnym skinieniem głowy i rzekł:

— Jestem pewien, że niedługo zabawicie u Komanczów. Kiedy wrócicie do tych, którzy was wysłali, powiedzcie im, że jesteśmy ich przyjaciółmi. Old Death miłuje wszystkich czerwonych mężów i nie pyta o to, do jakiego należą plemienia.

Na to wysyczał Indianin:

— Czy sądzisz może, że nie należymy do plemienia Topiów?

— Niech mój brat zważy, jak nieostrożnie postąpił zadając mi takie pytanie. Zamilczałem moje myśli, ponieważ nie chcę być twoim nieprzyjacielem. Czemu sam chcesz je zdradzić? Czy nie stoisz pośrodku pięćsetkrotnej śmierci?

Ręka czerwonoskórego, uzbrojona w nóż, drgnęła, jak gdyby zamierzał pchnąć swego rozmówcę.

— Powiedz mi najpierw, za kogo nas masz! — zażądał od starego westmana.

Old Death pochwycił Indianina za rękę trzymającą nóż, pociągnął za sobą na ubocze i rzekł cicho, lecz tak, że ja dosłyszałem:

— Jesteście Apaczami!

Indianin cofnął się o krok wstecz, wyrwał rękę, zamierzył się nożem do ciosu i rzekł:

— Mylisz się, psie!

Old Death zasłonił się przed ciosem i szepnął z cicha do podrażnionego Indianina:

— Czy chcesz zabić przyjaciela Winnetou? Nie wiadomo, czy treść tych słów, czy dumne spojrzenie starego wywołało zamierzony skutek, dość że Indianin opuścił rękę. Zbliżył usta do ucha Old Deatha i rzekł groźnie:

— Milcz!

Potem odwrócił się i usiadł znowu z twarzą tak spokojną i o tak niezbadanym wyrazie, jak gdyby się nic nie stało. Poczuł, że go przejrzano, ale nie okazał najmniejszego śladu nieufności lub trwogi. Czyżby znał tak dobrze Old Deatha, że nie obawiał się zdrady z jego strony? Syn jego również usiadł obok niego i wetknął tomahawk za pas. Ci Apacze odważyli się stanąć jako przewodnicy na czele oddziału swoich śmiertelnych wrogów! Było to podziwu godne zuchwalstwo! Jeśliby ich zamiar się udał, zguba Komanczów była pewna. Chcieliśmy się już oddalić od tej grupy, ale wstrzymał nas ruch, który powstał pośród Komanczów. Widać było, że narada się już skończyła. Uczestnicy jej podnieśli się z ziemi, a reszta czerwonoskórych na rozkaz wodza opuściła także swoje ogniska i otoczyła gęstym kręgiem to ognisko, przy którym myśmy się znajdowali. W ten sposób zostali przez nich okrążeni wszyscy biali. Biały Bóbr stanął w postawie pełnej godności w środku koła i podniósł rękę na znak, że chce przemówić. Głębokie milczenie zapanowało dokoła. Biali nie przeczuwali jeszcze, co teraz nastąpi, i powstali. Tylko obaj rzekomi Topiowie nie ruszyli się, spoglądając spokojnie przed siebie, jak gdyby ich to zupełnie nie obchodziło. Wiliam Ohlert siedział jeszcze na swoim miejscu i wpatrywał się w ołówek, który znów trzymał w ręku.

Wódz zaczął mówić powoli i z naciskiem:

— Blade twarze przyszły do wojowników Komanczów, oświadczając im, że są ich przyjaciółmi, dlatego przyjęto je i wypalono z nimi fajkę pokoju. Teraz jednak przekonali się Komańcze, że blade twarze ich okłamały. Biały Bóbr rozważył dokładnie wszystko, co przemawia za nimi i przeciwko nim, a naradziwszy się nad tym ze swoimi najdoświadczeńszymi wojownikami, nabrał pewności, że istotnie zostaliśmy oszukani. Blade twarze nie zasługują więc nadal na naszą przyjaźń i opiekę. Toteż od tej chwili ustaje przymierze z nimi, a miejsce przyjaźni zajmie nieprzyjaźń.

Zatrzymał się na chwilę, a oficer skorzystał skwapliwie z tej sposobności i zapytał:

— Kto nas oczernił? Zapewne ci czterej biali i Murzyn, którzy przybyli, aby sprowadzić na nas nie zasłużone nieszczęście. Dowiedliśmy i powtarzamy to, że jesteśmy przyjaciółmi Komanczów. Niechaj teraz ci obcy złożą dowód, że żywią względem czerwonych braci uczciwe zamiary! Kim oni są i kto ich zna? Jeśli mówili o nas źle, to żądamy, żeby nam to powiedziano, iżbyśmy się mogli bronić. Nie pozwolimy wydać na siebie wyroku bez wysłuchania nas. Jestem oficerem, a zatem wodzem moich ludzi. Mam prawo i muszę żądać, żeby nam wolno było uczestniczyć w każdej naradzie odnoszącej się do nas.

— Kto ci pozwolił odezwać się teraz? — zapytał wódz tonem surowym i dumnym. — Kiedy mówi Biały Bóbr, wszyscy powinni czekać, dopóki on nie skończy. Domagasz się, żeby cię wysłuchano? Słyszeliśmy cię, gdy mówiłeś przed chwilą z Old Deathem. To dowiedzione, że jesteście wojownikami Juareza. My jesteśmy przyjaciółmi Napoleona, a więc waszymi wrogami. Pytasz, kim są te cztery blade twarze, a ja odpowiadam ci na to, że to waleczni i uczciwi wojownicy. Znaliśmy Old Deatha wiele zim przedtem, zanim zobaczyliśmy wasze twarze. Domagasz się uczestnictwa w naszej naradzie? Na to ci oświadczam, że nawet Old Death nie otrzymał na to pozwolenia, Wojownicy Komanczów są mężami. Nie potrzebują chytrości bladych twarzy, aby wiedzieć, co mądre, a co nie mądre, co słuszne, a co fałszywe. Przyszedłem do was, aby wam oznajmić, cośmy postanowili. Macie tego wysłuchać spokojnie i nie mówić ani słowa, bo...

— Wypaliliśmy z wami fajkę pokoju — przerwał mu oficer. — Jeśli postąpicie z nami wrogo, to...

— Milcz, psie! — huknął nań wódz. — Na ustach twoich już teraz była zniewaga. Pamiętaj, że otacza was pięciuset wojowników, gotowych każdej chwili ją pomścić! Wypaliliście fajkę tylko dzięki waszemu oszustwu i kłamstwu. Ale wojownicy Komanczów znają wolę Wielkiego Ducha, szanują swoje prawa j wiedzą, że znajdujecie się jeszcze dotąd pod osłoną dymu pokoju, a więc muszą obchodzić się z wami jak z przyjaciółmi, dopóki nie wyjdziecie spod tej osłony. Czerwona jest święta glina, z której fajka została zrobiona, czerwona jest barwa świa-

tła dziennego i płomienia, którym się fajkę zapala. Skoro zgaśnie płomień, zgaśnie pokój. Gdy zacznie świecić światło dnia, skończy się przymierze. Aż do tego czasu jesteście naszymi gośćmi. Będziecie tu siedzieli i spali; nikt was nie dotknie. Ale skoro tylko niebo zacznie szarzeć, musicie odjechać w tę samą stronę, z której do nas przybyliście. Zostawimy wam taką ilość czasu, jaką wy nazywacie pięć minut; potem będziemy was ścigać. Aż do tej chwili możecie zatrzymać przy sobie wszystko, co posiadacie, ale potem zabijemy was i rzeczy wasze zabierzemy sobie. Ci dwaj, których Old Death zażądał dla siebie, będą także do świtu naszymi gośćmi, ponieważ wypalili z nami fajkę pokoju, ale nie będzie im wolno z wami odjechać. Zostaną tutaj jako jeńcy Old Deatha, a on zrobi z nimi, co zechce. Takie jest nasze postanowienie! Wódz Komanczów, Biały Bóbr, tak powiedział! Po tej mowie odwrócił się od nas.

— Co? — zawołał Gibson. — Ja mam być jeńcem tego starego? Ja...

— Cicho bądźcie! — przerwał mu oficer. — Zarządzeń wodza nie można już w niczym zmienić. Ja znam czerwonoskórych. Zresztą jestem pewien, że cios, wymierzony w nas przez oszczerców, spadnie na nich samych. Do rana jeszcze daleko. Do tego czasu może się wiele zdarzyć. Kto wie, czy zemsta nie jest bliżej, aniżeli można sądzić.

Biali usiedli znowu jak przedtem. Komańcze natomiast nie zajęli swych poprzednich miejsc, lecz pogasili ogniska i ułożyli się poczwórnym pierścieniem dokoła białych tak, że otoczyli ich ze wszystkich stron. Old Death zabrał mnie z tego koła, chcąc wyjść na zwiady.

— Czy sądzicie, sir, że Gibsona mamy na pewno w ręku? — zapytałem.

— Jeśli nie zdarzy się nic niespodziewanego, to nam nie ujdzie — odpowiedział.

— Najlepiej byłoby, żebyśmy ich natychmiast pojmali.

— To niemożliwe. Przeszkadza nam ta diabelska fajka pokoju. Przed nadejściem poranka nie pozwolą nam Komańcze nawet palcem dotknąć Gibsona. Potem jednak będziemy go mogli gotować, piec i jeść widelcem, jak nam się spodoba.

— Wspomnieliście o czymś niespodzianym. Czy obawiacie się czego?

— Niestety! Sądzę, że ci dwaj Apacze zwabili Komanczów w niebezpieczną pułapkę.

— Więc stanowczo uważacie ich za Apaczów?

— Powieście mnie, jeżeli się okaże, że się mylę. Od razu wydało mi się podejrzane, że dwaj Topiowie przybyli tu od strony Rio Conchos. To można wmówić w czerwonego Komańcza, ale nie w takiego starego westmana jak ja. Kiedy ich potem zobaczyłem, nie wątpiłem już, że podejrzenie moje jest słuszne. Topiowie należą do Indian na pół cywilizowanych. Mają miękkie, rozlane twarze. A przypatrzcie się tym ostrym, spiczastym, śmiało rzeźbionym rysom! A cóż dopiero, kiedy usłyszałem ich język. Zdradzili się od razu wymową. Kiedy zaś potem powiedziałem jednemu z nich w oczy, że jest Apaczem, czyż całe jego zachowanie nie potwierdziło tego?

— Mogliście się przecież pomylić!

— Nie. On nazwał Winnetou „największym wodzem Apaczów". Czy wróg Apaczów użyłby wyrażenia, które zawiera tyle uznania i uwielbienia? Życie daję w zakład, że się nie mylę!

— Co prawda, przedstawiacie ważne dowody i gdyby rzeczywiście tak było, to ci dwaj Indianie byliby naprawdę godni podziwu. Wejść w sam środek gromady Komanczów liczącej pięciuset ludzi, to jest więcej niż bohaterstwo!

— O, Winnetou zna swoich ludzi!

— Czy sądzicie, że on ich tu wysłał?

— Na pewno. Wiemy od seniora Atanasio, kiedy i gdzie Winnetou przepłynął Rio Grandę. Niewątpliwie nad Rio Conchos nie może jeszcze być, zwłaszcza ze wszystkimi swoimi wojownikami. O ile go znam, mogę przypuszczać, że pojechał wprost do Bolson de Mapimi, aby zebrać swoich Apaczów, a równocześnie polecił zwiadowcom wyszukać Komanczów i zwabić ich do Mapimi. Oni spodziewają się go nad Rio Conchos i myślą, że wsie Apaczów pozbawione są wszelkiej obrony, tym, czasem on oczekuje ich właśnie tutaj i wpadnie na nich, aby ich zniszczyć za jednym zamachem.

— Do stu piorunów! Wobec tego nasze położenie jest bardziej niż dziwne, gdyż obaj Apacze uważają nas za wrogów!

— Nie, Oni wiedzą, że ich przejrzałem. Wystarczyłoby, żebym Białemu Bobrowi napomknął jedno słowo, a zginęliby obaj straszną śmiercią. Fakt, że tego nie czynię, jest dla nich najpewniejszym dowodem mojego przyjaznego stosunku.

— W takim razie nie rozumiem tylko jeszcze jednego, sir. Czy nie jest naszym obowiązkiem przestrzec Komanczów?

— Hm! Dotykacie sprawy bardzo drażliwej. Komańcze to zdrajcy, którzy sprzyjają Napoleonowi. Mimo pokoju napadli na niewinnych Apaczów i pomordowali ich nikczemnie. Za to musi ich spotkać kara zgodnie z prawami boskimi i ludzkimi. Ale my wypaliliśmy z nimi fajkę pokoju i nie wolno nam ich zdradzić.

— Macie oczywiście słuszność, ale cala moja życzliwość jest po stronie Winnetou.

— I moja także. Pragnę dla niego i Apaczów wszystkiego dobrego. Zdradzić jego dwóch ludzi nam nie wolno pod żadnym warunkiem, ale wtedy będą zgubieni Komańcze, po których stronie także musimy stać. Co tu robić? Gdybyśmy mieli w ręku Gibsona i Ohlerta, moglibyśmy pojechać swoją drogą, a oba nieprzyjacielskie szczepy zostawić samym sobie.

— No, to się stanie jutro rano.

— Albo i nie. Kto wie, czy jutro o tej porze nie złowimy w odwiecznych ostępach, zarówno w towarzystwie Apaczów, jak i Komanczów, kilku tuzinów bobrów albo czy nie zabijemy i nie spożyjemy bawołu.

— Czy niebezpieczeństwo jest tak bliskie?

— Tak sądzę, i to z dwóch powodów: po pierwsze — najbliższe wsie Apaczów lezą niedaleko stąd, a Winnetou nie pozwoli Komańczom zbliżyć się do nich zanadto. Po wtóre — ten meksykański oficer przemawiał w taki sposób, że domyślam się, iż coś knuje.

— To bardzo prawdopodobne. My możemy zaufać fajce pokoju Komanczów i memu totemowi, zwłaszcza że Winnetou zna was i mnie już widział. Kto jednak dostanie się pomiędzy dwa kamienie młyńskie, ten choćby się nie obawiał każdego kamienia z osobna, naraża się na to, że go zetrą.

— W takim razie albo nie wejdziemy w środek, albo postaramy się, żeby kamienie nie zaczęły mleć. Teraz udamy się na zwiady. Może mimo ciemności zobaczę coś, co przyniesie ulgę mym myślom. Idźcie za mną powoli i cicho! Jeśli się nie mylę, byłem już raz w tej dolinie, sądzę więc, że się w niej szybko zorientuję.

Okazało się, że Old Death słusznie przypuszczał, znajdowaliśmy się bowiem w małej, prawie okrągłej kotlince, którą można było przebiec w pięć minut. Prowadziły do niej dwa wejścia: jedno to, którym weszliśmy, i drugie, równie wąskie jak pierwsze. Tam wysłano ludzi na zwiady. W samym środku kotliny rozłożyli się obozem Komańcze. Ściany kotliny tworzyły skały tak strome, że nikt by się z pewnością nie zdołał na nie wdrapać ani zejść na dół. Obeszliśmy kotlinę dookoła, natknęliśmy się na straże stojące u wejścia i wyjścia, a potem ruszyliśmy znowu w stronę obozu.

— To fatalne! — mruknął stary. — Siedzimy rzeczywiście w pułapce i nie wyobrażam sobie, jakby się można z niej wydobyć. Musimy postąpić jak lis, który odgryza sobie nogę, gdy wpadnie w żelazny potrzask.

— Czy nie udałoby się nakłonić Białego Bobra, żeby przeniósł obóz stąd na jakieś inne miejsce?

— Moglibyśmy spróbować, wątpię jednak, czy się zgodzi, jeśli mu nie powiemy, że ma u siebie dwóch Apaczów, a tego stanowczo nie możemy zrobić.

— Może zapatrujecie się na wszystko zbyt czarno, sir? Może jesteśmy tutaj bezpieczni? Te dwa, i to jedyne dwa punkty, które stanowią wejście i wyjście z kotliny, są dostatecznie obsadzone strażami.

— Tak, dziesięciu ludzi z jednej i dziesięciu z drugiej strony, to wygląda nieźle, ale nie zapominajmy, że mamy do czynienia z Winnetou. Jest to dla mnie istotnie zagadką, jak Biały Bóbr, zresztą rozumny i ostrożny, mógł wpaść na tak głupią myśl usadowienia się w tej kotlinie. Ci dwaj Apacze musieli go porządnie otumanić. Pomówię z nim. Gdyby trwał przy swoim zdaniu i gdyby się potem coś zdarzyło zachowamy się neutralnie, o ile tylko będzie można. Jesteśmy przyjaciółmi Komanczów, ale musimy się także strzec, żebyśmy nie zabili ani jednego Apacza. Oto mamy obóz, a tam stoi wódz. Chodźcie ze mną do niego!

W świetle ogniska poznać można było Białego Bobra po orlich piórach. Gdy podeszliśmy do niego, zapytał:

— Czy mój brat się przekonał, że jesteśmy bezpieczni?

— Nie — odrzekł Óld Death.

— Co ma temu miejscu do zarzucenia?

— Że podobne jest do pułapki, w której wszyscy siedzimy.

— Mój brat bardzo się myli. Ta dolina nie jest pułapką, lecz wygląda tak jak to, co biali nazywają fortem. Wróg się tu dostać nie może.

— Tak, wejściami nie, bo są tak ciasne, że dziesięciu wojowników z łatwością może je obronić. Ale czy Apacze nie mogliby zejść po zboczach?

— Nie, ponieważ są za strome,

— Czy mój czerwony brat jest tego pewny?

— Najzupełniej. Synowie Komanczów przybyli tu w biały dzień i zbadali wszystko. Próbowali wspinać się po skałach, lecz im się to nie udało.

— Może łatwiej zejść z góry na dół aniżeli wdrapać się z dołu do góry. Wiem, że Winnetou umie się wspinać po górach jak kozica.

— Winnetou nie ma tutaj. Tak twierdzą Topiowie.

— Może się mylą, może słyszeli o tym od kogoś, kto sam nie wiedział dokładnie.

— Oni tak twierdzą. To nieprzyjaciele Winnetou i ja im wierzę.

— Ale jeśli to prawda, że Winnetou był w forcie Inge, to nie mógł jeszcze być w tych stronach, zebrać swoich wojowników i przejść już na drugą stronę Rio Conchos. Niech mój brat porówna ten krótki czas i długą drogę,

Wódz pochylił głowę w zadumie. Doszedł widocznie do wniosku zgodnego ze zdaniem starego westmana, bo rzekł:

— Tak, czas był krótki, a droga długa. Zapytamy jeszcze raz Topiów.

Udał się do ogniska, a my za nim. Biali spojrzeli na nas ponuro. Obok nich siedzieli Lange, jego syn i Murzyn. Wiliam Ohlert pisał coś na kartce, głuchy i ślepy na wszystko, co się działo dokoła niego. Rzekomi Topiowie podnieśli wzrok dopiero wtedy, kiedy wódz do nich przemówił.

— Czy moi bracia wiedzą całkiem dokładnie, że... Nie dokończył pytania. Ze szczytu skały zabrzmiał trwożny pisk małego ptaka, a zaraz potem krzyk sowy. Wódz i Od Death zaczęli nadsłuchiwać. Gibbon wziął leżącą obok gałąź i jak gdyby dla zabawy pchnął ją w ogień tak, że na krótką chwilę ognisko rozbłysło płomieniami, Chciał to uczynić po raz wtóry, gdyż oczy wszystkich białych zwróciły się na niego z zadowoleniem, ale wtem przyskoczył doń Od Death, wyrwał mu z ręki gałąź i zawołał:

— Dajcie spokój, sir! Wypraszamy to sobie!

— Czemu? — spytał Gibson gniewnie. — Czy nie wolno mi nawet ognia podsycać?

— Gdy tam w górze odzywa się sowa, nie odpowiada się tu umówionym znakiem.

— Znakiem? Czyście się wściekli?

— Tak, jestem tak wściekły, że każdemu, kto się poważy jeszcze raz ruszyć w ten sposób ogień, dam kulą w łeb bez pardonu!

— Przeklęta z wami sprawa! Zachowujecie się zupełnie tak, jak gdybyście byli tu panem.

— Bo też jestem nim, a wy jesteście moim jeńcem, z którym się załatwię w diabelnie krótki sposób, jeśli mi się nie spodoba wasza fizjonomia. Nie wyobrażajcie sobie, że oszukacie Od Deatha!

— Czy mamy, seniores, pozwolić na to, żeby on się tak z nami obchodził?

To pytanie Gibsona zwrócone było do reszty białych, ale Od Death i ja mieliśmy już w rękach swoje rewolwery, a obok nas stanęli obaj Langowie i Sam również z rewolwerami. Strzelilibyśmy do każdego, kto by był tak nieostrożny i sięgnął po broń. W dodatku wódz zawołał do swoich ludzi:

— Nałóżcie strzały!

Komańcze zerwali się i tuziny strzał zwróciły się ku białym siedzącym w samym środku między ostrzami grotów.

— Widzicie! — zaśmiał się Od Death. — Jeszcze was chroni fajka pokoju. Pozostawiono wam nawet broń, ale skoro tylko któryś z was wyciągnie rękę po nóż, skończy się wasze bezpieczeństwo.

Wtem odezwał się znowu pisk i krzyk sowy, jakby prosto z nieba. Ręka Gibsona drgnęła, jak gdyby chciał nią znowu sięgnąć do ognia, ale nie miał odwagi tego uczynić. Wódz zwrócił się do Topiów z przerwanym przedtem pytaniem:

— Czy moi bracia wiedzą całkiem dokładnie, że Winnetou znajduje się po drugiej stronie Rio Conchos?

— Tak, oni to wiedzą — odpowiedział starszy z Topiów.

— Niech się dobrze namyślą, zanim udzielą odpowiedzi.

— Oni się nie mylą. Byli schowani w zaroślach, kiedy Winnetou przechodził, i widzieli.

Wódz pytał dalej, a Topią odpowiadał bez namysłu. W końcu Biały Bóbr rzekł:

— Twoje wyjaśnienie zadowoliło wodza Komanczów. Niech moi biali bracia odejdą ze mną!

To wezwanie skierował do Old Deatha i do mnie, lecz westman skinął na Langego, jego syna i Sama, żeby poszli razem z nami.

— Dlaczego mój brat przywołuje także swoich towarzyszy? — zapytał wódz.

— Ponieważ sądzę, że będą mi wkrótce potrzebni. Chcemy być razem na wypadek niebezpieczeństwa.

— Nie ma żadnego niebezpieczeństwa!

— Mylisz się niestety. Czy ciebie krzyk sowy nie zastanowił? Waszak to człowiek go wydał.

— Biały Bóbr zna głosy wszystkich ptaków i zwierząt i umie odróżnić je od głosów wydanych przez gardło ludzkie. To była prawdziwa sowa.

— A Old Death wie, że Winnetou potrafi naśladować głosy wielu zwierząt tak wiernie i dokładnie, że nie podobna ich odróżnić od prawdziwych. Proszę cię, bądź ostrożny! Dlaczego ten biały podsycił ogień? To był umówiony znak, który mu polecono dać.

— W tym celu musiałby się przedtem z Apaczami porozumiewać, a przecież nie mógł się z nimi spotkać.

— W takim razie ktoś inny umówił się z nimi, a blada twarz otrzymała rozkaz dania znaku, abyście nie poznali właściwego zdrajcy.

— Czy sadzisz, że są pośród nas zdrajcy? Ja w to nie wierzę. A gdyby nawet tak było, to nie mamy powodu bać się Apaczów, gdyż nie zdołają przejść przez straże ani nie zejdą po skałach.

— To nie jest tak zupełnie wykluczone. Można się spuścić ze skał za pomocą lassa, ponieważ... Słuchaj!...

Zabrzmiał znowu krzyk sowy, i to nie z góry, lecz z dołu, jakby z dna kotliny.

— To ptak — rzekł wódz bez niepokoju. — Wszelkie twoje obawy są zbyteczne!

— Nie. Do wszystkich diabłów! Apacze są w samym środku kotliny. Słyszysz?

Od strony wyjścia zabrzmiał głośny, przeraźliwy, wstrząsający krzyk śmiertelnej trwogi, a zaraz potem wojenne wycie Apaczów. Kto je raz słyszał, ten nie zapomni go nigdy. Nim wrzaski przebrzmiały, wszyscy biali zerwali się od ogniska.

— Tam stoją te psy! — zawołał oficer wskazując na nas. — Dalej na nich!

— Tak, na nich! — wrzasnął Gibson. — Zabić ich! Staliśmy w ciemności tak, że nie stanowiliśmy pewnego celu. Toteż woleli nie strzelać, lecz rzucić się na nas z podniesionymi strzelbami. Musieli się przedtem umówić, bo ich ruchy były tak szybkie i pewne, że nie mogły być dziełem jednej chwili. Znajdowaliśmy się najwyżej o trzydzieści kroków od nich, ale czas potrzebny do przebycia tej przestrzeni wystarczył Old Deathowi na stwierdzenie:

— No, czy nie miałem słuszności? W górę strzelby! Przyjmiemy ich należycie.

Sześć strzelb — gdyż wódz podniósł też swoją — zwróciło się przeciwko napastnikom. Huknęły strzały. Zauważyłem tylko, że Gibson nie rzucił się na nas razem ze swymi towarzyszami. Został przy ognisku, pochwycił za rękę Ohlerta i starał się go poderwać z ziemi. Potem go już nie widziałem, gdyż wycie zbliżyło się do nas i Apacze runęli na Komanczów.

Ponieważ światło ogniska nie sięgało daleko, więc Apacze nie mogli widzieć, ilu mają przed sobą nieprzyjaciół. Komańcze stali wciąż jeszcze kręgiem, który jednak rozerwał się niebawem i pod naporem atakujących rozwinął się z jednej strony. Słychać było huk wystrzałów, świst włóczni, jęk strzał. Do tego należy dodać wycie obu nieprzyjacielskich oddziałów i widok ciemnych, zmagających się wściekle postaci. Na czele wszystkich Apaczów biegł czerwonoskóry wojownik z rewolwerem w jednej, a wzniesionym tomahawkiem w drugiej ręce. Wkrótce przebił on pierwszą linię Komanczów. Apacz ten nie miał na głowie żadnej odznaki, nie miał też pomalowanej twarzy — widzieliśmy to zupełnie wyraźnie. Gdybyśmy nawet nie dostrzegli tych szczegółów, to ze sposobu walki i z faktu, że miał rewolwer, odgadlibyśmy, kto to. Biały Bóbr poznał go równie prędko jak my.

— Winnetou! — zawołał. — Nareszcie go mam! Biorę go na siebie.

Odskoczył od nas i rzucił się w wir walki. Walczący stłoczyli się za wodzem, tak że zniknął nam z oczu.

— Co zrobimy? — zapytałem Old Deatha. — Apacze są w mniejszości i jeśli się czym prędzej nie cofną, Komańcze ich wybiją. Ja pędzę tam, muszę odbić Winnetou.

Chciałem pobiec, ale westman zatrzymał mnie za rękę, mówiąc;

— Nie róbcie głupstw! Nie wolno nam wobec Komanczów dopuścić się zdrady, bo wypaliliśmy z nimi fajkę pokoju. Zresztą Winnetou nie potrzebuje naszej pomocy. Sam jest dość sprytny. O słyszycie?

Rzeczywiście zabrzmiał głos mego czerwonego przyjaciela.

— Oszukano nas! Cofnąć się szybko! Precz! Precz! Podczas tej krótkiej, lecz bardzo zaciętej walki zadeptano niemal całkowicie ognisko, ale świeciło ono jeszcze o tyle, że mogłem dostrzec, co się stało. Apacze się cofnęli, Winnetou poznał, że miał przeciwko sobie zbyt wielką przemoc. Zdziwiłem się ogromnie, że wbrew swojemu zwyczajowi nie zbadał wpierw siły nieprzyjaciół. Niebawem jednak dowiedziałem się, jaka była tego przyczyna.

Komańcze chcieli przeć naprzód, lecz wstrzymały ich kule Apaczów. Szczególnie często słyszałem huk dwururki Winnetou, odziedziczonej po ojcu. Biały Bóbr kazał na nowo podsycić ogień, podszedł do nas i rzekł;

— Apacze dzisiaj nam uszli, ale jutro wczesnym rankiem doścignę ich i zniszczę.

— Czy sądzisz, że ci się to uda? — spytał Old Death.

— Na pewno! Czy mój brat myśli inaczej? Jeżeli tak, jest w błędzie.

— Czy przedtem, kiedy cię ostrzegałem, nie powiedziałeś także, że się mylę? Nazwałem wówczas tę kotlinę pułapką. Kto wie, czy zdołasz ją opuścić.

— Niech tylko dzień zaświta, a zobaczymy resztki nieprzyjaciół i położymy ich trupem. Teraz chroni ich ciemność.

— W takim razie niepotrzebnie do nich strzelacie! Co będzie, gdy wyrzucicie wszystkie strzały? Wprawdzie ta dolina dostarczy wam drzewa na nowe, ale skąd weźmiecie żelazne groty? Nie marnujcie środków obrony! A co robią ci wojownicy, którzy stali na straży u wejścia? Czy są tam jeszcze?

— Nie, są już tutaj. Walka ich zwabiła.

— Więc wyślij ich tam natychmiast, żebyś miał przynajmniej wolny odwrót!

— Troska mego brata jest zupełnie zbyteczna. Apacze wybiegli wyjściem. Do wejścia nikt się nie może dostać.

— Mimo to radzę ci to uczynić. Tych dziesięciu ludzi na nic się tu nie przyda, a tam bardziej ich teraz potrzeba niż kiedykolwiek.

Wódz poszedł za tą radą bardziej z szacunku dla Old Deatha niż z przekonania. Niebawem okazało się, jak dalece miał słuszność stary westman. Skoro tylko tych dziesięciu, po otrzymaniu rozkazu, udało się na miejsce, huknęły dwa strzały z rusznicy, którym odpowiedziały dzikie okrzyki. W kilka minut potem wrócili dwaj z owych dziesięciu z doniesieniem, że przyjęto ich kulami i ulewą strzał i że tylko oni pozostali przy życiu.

— No co, teraz znów się pomyliłem? — zapytał Old Death. — Pułapka zamknięta z przodu i z tyłu, a my siedzimy w środku.

Biały Bóbr nie znalazł na to żadnej odpowiedzi. Zapytał więc strapionym głosem:

— Uff! Co należy czynić?

— Nie marnuj sił i broni twych ludzi! Postaw po dwudziestu lub trzydziestu u wejścia i wyjścia, aby pilnowali tych punktów. Reszta niechaj się cofnie i wypocznie, aby nabrać sił do jutrzejszej walki. To jedyna i najlepsza rada, jaką znam.

Tym razem wódz posłuchał natychmiast. Zaczęliśmy liczyć poległych, przy czym mnie chodziło głównie o białych. Okazało się, że razem z Gibsonem i Ohlertem brakowało dziesięciu ludzi.

— To źle! — zawołałem. — Te draby uszły do Apaczów i tam są bezpieczni.

— Tak. I przyjęto ich oczywiście bardzo dobrze, ponieważ byli w przymierzu z obydwoma zwiadowcami, rzekomymi Topiami.

— Więc Gibson przepadł nam znowu!

— Nie. Mamy totem Dobrego Męża, Apacze zaś mnie znają, więc na pewno dobrze nas przyjmą. Potem postaram się już o to, żeby wydali nam Gibsona i Ohlerta. Stracimy jeden dzień, i to wszystko.

— A jeśli Gibson i Ohlert uciekną?

— Wątpię. Musieliby jechać na przełaj przez Mapimi, a na to się nie odważą. Ale co to takiego?

Nie opodal stała gromada Komanczów, skupiona wokół rannego, który wydawał przejmujące jęki. Podeszliśmy bliżej i ujrzeliśmy jednego z białych.

Old Death ukląkł przy nim i zbadał ranę.

— Człowiecze — rzekł — pozostaje wam już niewiele życia. Ulżyjcie sercu i nie schodźcie ze świata z kłamstwem na ustach. Byliście sprzymierzeńcami Apaczów?

— Tak — odrzekł zapytany z jękiem.

— Czy wiedzieliście, że urządzą na nas napad tej nocy?

— Tak. Obaj Topiowie sprowadzili tu Komanczów w tym celu.

— A Gibsonowi polecono dać znak ogniem?

— Tak, sir. Właściwie miał tyle razy rozniecić ogień, ile jest setek Komanczów. Wówczas Winnetou nie uderzyłby dziś, lecz jutro, w innym miejscu, ponieważ dziś towarzyszyło mu tylko stu ludzi. Reszta połączy się z nim jutro.

— Przewidziałem to z góry. To, że przeszkodziłem Gibsonowi ruszać ogień, skłoniło Apaczów do napadu dzisiaj. A teraz obsadzili oba wejścia. Nie zdołamy stąd wyjść, ta kotlina stanie się otwartym grobem, w którym nas wolna wytną w pień.

— Będziemy się bronili! — zgrzytnął wódz, który stał bok. — Ten zdrajca niechaj idzie do wiecznych ostępów, my zwołajmy teraz naradę wojenną. Wojownicy Komanczów nie mają ochoty czekać, aż nadejdzie więcej tych psów Apaczów. Możemy jeszcze dziś w nocy przebić się przez strzeżone przez nich wyjście.

Usiadł z młodszymi dowódcami przy ognisku. Old Death musiał także wziąć udział w naradzie. Ja siedziałem z Langem, jego synem i Murzynem tak daleko od ognia, że nie słyszałem, o czym radzono, gdyż wszyscy prowadzili rozmowę stłumionymi głosami. Zauważyłem jednak po wyrazie twarzy i gwałtownych ruchach starego westmana, że nie podzielał zdania Indian i bronił swego bardzo żywo, ale widocznie bez skutku. Wreszcie zerwał się z gniewem i powiedział już głośno:

— No to gińcie! Ostrzegałem was już kilkakrotnie, ale nie chcieliście słuchać. Zawsze miałem słuszność i będę ją miał i tym razem. Róbcie sobie, co wam się podoba, ale ja i moi towarzysze tu zostaniemy.

— Czy cię strach obleciał i boisz się walczyć po naszej stronie? — zapytał jeden z niższych dowódców. Old Death żachnął się, ale rzekł spokojnie:

— Mój brat powinien wprzód sam dowieść swojej odwagi, zanim mnie o nią zapyta. Nazywam się Old Death. To wystarczy!

Podszedł do nas i usiadł, a czerwonoskórzy naradzali się jeszcze przez chwilę. Wreszcie zapadła jakaś uchwala, bo powstali. Wtem spoza wojowników, otaczających kołem miejsce narady, zabrzmiał donośny głos:

— Niech Biały Bóbr spojrzy tutaj! Moja rusznica chce go pożreć!

Oczy wszystkich zwróciły się w stronę, skąd głos pochodził. W dali stał Winnetou, wyprostowany, ze strzelbą podniesioną do strzału. Błysnęło z obu luf i Biały Bóbr, rażony kulą, runął na ziemię. Obok niego padł jeden z niższych dowódców.

— Tak zginą wszyscy kłamcy i zdrajcy! — zabrzmiało jeszcze i Apacz zniknął. Stało się to tak prędko, że Komańcze nie zdążyli się zorientować w sytuacji. Teraz jednak zerwali się na równe nogi i rzucili w kierunku, gdzie zniknął Winnetou.

Zostało tylko nas pięciu. Old Death podszedł do trafionych wodzów. Obaj już nie żyli.

— Co za odwaga! — zawołał Lange. — Ten Winnetou to diabeł wcielony.

— Ba! — odparł Olei Death. — Najgorsze dopiero nastąpi.

Zaledwie wypowiedział te słowa, rozległo się przeraźliwe wycie.

— Słyszycie? — zapytał Old Death. — Nie dość że pozbawił życia dwóch wodzów, lecz wciągnął Komanczów w zasadzkę. Strzały Apaczów będą miały teraz obfite żniwo!

— Słuchajcie!

Rozległ się ostry, suchy trzask rewolweru — dwa, pięć, osiem razy, raz po razie.

— To Winnetou — powiedział Old Death — używa swego rewolweru. Zdaje mi się, że wódz Apaczów znajduje się gdzieś w samym środku Komanczów, a oni nie mogą mu nic zrobić!

Dla starego westmana nie było w tym nic nadzwyczajnego. Twarz jego była tak spokojna, jak gdyby przypatrywał się w teatrze dramatowi, którego przebieg i zakończenie jest mu dobrze znane. Komańcze wrócili wkrótce, ponieważ nie udało im się pochwycić Winnetou. Przynieśli natomiast kilku swoich zabitych i rannych.

— Co właściwie postanowiono na naradzie wojennej? — zapytał Lange.

— Przebić się natychmiast na zachód.

— Co za głupota! W takim razie natkną się na Apaczów, którzy mają tu nadejść.

— Nie natkną się, master, ponieważ nie zdołają się przebić. Gdyby im się to jednak udało, mieliby Winnetou za sobą, a tamtych z przodu. Dostawszy się w środek, wyginęliby wszyscy. Oni jednak myślą, że Apaczów jest mniej, i pewni są, że zdołają ich zniszczyć. Wiedzą zresztą o tym, że wkrótce nadciągnie syn Białego Bobra, którego spotkaliśmy poprzedniego dnia. To podwaja ich wiarę w siebie. Teraz dopiero zapałają żądzą pomszczenia śmierci obu wodzów. Powinni jednak zaczekać do świtu i przedrzeć się tamtędy, którędy myśmy tu przy-

szli. W dzień widzi się nieprzyjaciela i zastawiane przez niego przeszkody. Ale mój pogląd nie znalazł uznania. Nam jest to oczywiście obojętne, co oni zrobią. My nie weźmiemy w tym udziału.

— To Komańcze będą na nas krzywo patrzeć.

— Nie dbam o to, Old Death nie ma bynajmniej ochoty przebijać głową muru. Słuchajcie no! Co to takiego?

Od kilku minut Komańcze wyli pieśń żałobną nad swymi zmarłymi, nie podobna więc było dobrze rozróżnić głosu, który nas teraz doleciał.

— A to głupcy! — rozgniewał się Old Death. — Winnetou doskonale wyzyska hałas, który oni podnoszą. Może kładzie pnie drzewne, aby nimi zatarasować wyjście. To brzmiało tak jak łoskot padającego drzewa. Przysiągłbym, że nie ujdzie stąd ani jeden z Komanczów. Będzie to straszliwą, lecz zasłużoną karą za to, że w czasie pokoju napadli na nie spodziewające się niczego osady Apaczów i wymordowali nawet ich posłów. Jeśli uda się Winnetou zamknąć im wyjście, to będzie mógł cofnąć się ze swymi ludźmi, zebrać ich tu w kotlinie i napaść od tyłu na nieostrożnych.

Nareszcie skończyła się żałobna pieśń za poległych. Komańcze ucichli, zeszli się i odebrali rozkazy niższego rangą wodza, który teraz objął dowództwo.

— Zdaje się, że chcą zaraz wyruszyć — rzekł Old Death. — Chodźmy do naszych koni, aby nie dobrali się do nich przypadkiem. Master Lange niechaj pójdzie po nie z synem i z Samem. My dwaj tu zostaniemy, gdyż przypuszczam, że wódz zechce jeszcze wygłosić do nas mowę.

Stary miał słuszność. Kiedy tamci trzej odeszli, zbliżył się powolnym krokiem nowy wódz i powiedział:

— Kiedy Komańcze udają się do swoich koni, blade twarze siedzą spokojnie na ziemi. Dlaczego także nie wstają?

— Ponieważ nie wiemy, co postanowili Komańcze.

— Opuszczamy kotlinę.

— Nie zdołacie z niej wyjść.

— Old Death podobny jest do wrony, która brzydko kracze. Komańcze stratują wszystko, co im stanie w drodze.

— Nie stratują nikogo oprócz siebie samych. My jednak tu zostaniemy.

— Czy Old Death nie jest naszym przyjacielem, czy nie palił z nami fajki pokoju? Czy nie ma obowiązku walczyć razem z nami? Blade twarze są walecznymi i śmiałymi wojownikami. Będą nam towarzyszyć i pojadą przodem.

Na to Old Death podniósł się, przystąpił blisko do Komańcza i roześmiał mu się w twarz, mówiąc:

— Mój brat wpadł na chytrą myśl. Blade twarze mają jechać na przedzie, aby czerwonoskórym utorować drogę i zginąć przy tym. Jesteśmy przyjaciółmi Komanczów, ale nie potrzebujemy słuchać ich wodzów. Spotkaliśmy się z nimi przypadkiem, lecz nie zobowiązaliśmy się do udziału w ich wyprawach wojennych. Jesteśmy odważni i mężni, pod tym względem powiedział mój brat prawdę. Pomagamy naszym przyjaciołom w każdej walce prowadzonej rozumnie, nie przyłożymy jednak ręki do planów, o których z góry jesteśmy przekonani, że nie mogą się udać.

— Więc biali bracia nie pojadą z nami? Ja uważałem ich dotąd za ludzi mężnych.

— Jesteśmy mężni, ale jesteśmy zarazem rozważni. Byliśmy gośćmi Komanczów, Od kiedy to zapanował u Komanczów zwyczaj zmuszania gości do jechania na przedzie tam, gdzie śmierć jest nieunikniona? Mój brat jest przebiegły, ale my także jesteśmy niegłupi. Mój brat jest dzielnym wojownikiem, niewątpliwie więc pojedzie na czele swoich ludzi, ponieważ tam jest jego miejsce.

Czerwonoskóry się stropił. Jego zamiar poświęcenia nas dla własnego ocalenia był istotnie bezczelny. Widząc, że nic nie poradzi, rozgniewał się i zapytał surowym tonem:

— Co zrobią blade twarze, gdy Komańcze odejdą? Czy przyłączą się do Apaczów?

— Czyż możemy to uczynić, skoro mój brat chce ich zniszczyć? Nie będzie ich, więc nie przyłączymy się do nich.

— Ale nadejdą nowi. Nie możemy na to pozwolić, żeby blade twarze tutaj zostały. Muszą pójść razem z nami.

— Oświadczyłem już raz, że się stąd nie ruszymy.

— W takim razie będziemy zmuszeni uważać was za nieprzyjaciół.

— Jeśli tak z nami postąpicie i my będziemy was uważać za nieprzyjaciół.

— Nie damy wam koni.

— A myśmy je już sobie sami wzięli. Oto je tu prowadzą.

Istotnie nasi towarzysze nadchodzili z końmi. Wódz ściągnął ponuro brwi i rzekł:

— A zatem biali zarządzili już, co im było potrzeba, Widzę, że są wobec nas wrogo usposobieni, więc każę moim wojownikom ich pojmać.

Westman zaśmiał się krótko, a groźnie i odrzekł:

— Wódz Komanczów myli się bardzo co do nas. Powiedziałem już Białemu Bobrowi, że tu zostaniemy. Jeśli teraz wykonamy to postanowienie, nie zrobimy wam niespodzianki i nie będzie w tym najmniejszej oznaki nieprzyjaźni wobec Komanczów, Nie ma więc powodu brać nas do niewoli.

— My jednak zrobimy to, jeśli biali nie przyrzekną natychmiast, że z nami wyruszą, i to na przedzie.

Wzrok Old Deatha błądził badawczo dokoła. Po twarzy jego przemknął ów jadowity uśmiech, który pojawiał się zawsze, ilekroć stary zamierzał spłatać komuś figla. My trzej staliśmy przy ognisku, a o kilka kroków dalej zatrzymali się nasi towarzysze z końmi. W pobliżu nie było ani jednego Komańcza, gdyż wszyscy poszli po swoje konie. Old Death rzekł:

— Już kilkakrotnie wzgardziliście dziś moją radą i nie zmądrzeliście nawet po doznanej szkodzie. Idziecie na pewną śmierć i staracie się nas zmusić do tego, żebyśmy siebie i was na nią poprowadzili. Nie znacie widocznie jeszcze Old Deatha. Czy myślisz, że potrafisz mnie zmusić, żebym zrobił to, czego nie chcę? Oświadczam ci, że nie obawiam się ani ciebie, ani twoich Komanczów. Ty nas chcesz pojmać? Czy nie widzisz, że znajdujesz się w moim ręku? Przypatrz no się tej broni! Wykonaj najmniejszy ruch, a zastrzelę cię natychmiast.

Wyciągnął ku niemu rewolwer. Indianin chciał sięgnąć po swoją broń, ale w tej samej chwili Old Death przyłożył mu lufę do piersi.

— Precz z ręką! — huknął. Indianin opuścił rękę.

— Tak. Ja z tobą nie żartuję. Zachowujesz się jak mój wróg i dlatego dostaniesz kulą, jeśli mnie nie usłuchasz w tej chwili!

Pomalowana twarz czerwonoskórego drgnęła. Rozejrzał się badawczo, ale Old Death rzekł:

— Nie szukaj pomocy u swoich ludzi. Zastrzeliłbym cię nawet wtedy, gdyby się tu znajdowali. Myśli twoje są tak słabe jak u starej baby, której mózg wysechł. Jesteś otoczony wrogami, którym musisz ulec, a mimo to stwarzasz sobie w nas nowych nieprzyjaciół, groźniejszych jeszcze od Apaczów. Moglibyśmy zastrzelić ze stu waszych wojowników, zanimby nas dosięgła jedna wasza strzała. Czy chcesz gwałtem poprowadzić na śmierć twych ludzi? Uczyń to! Dla nas twoje rozkazy nie mają znaczenia.

Indianin stał przez chwilę w milczeniu, a potem rzekł:

— Mój brat powinien zważyć, że nie miałem tego na myśli!

— Biorę twe słowa tak, jak brzmią. Co ty przez nie rozumiesz, to mnie nic nie obchodzi.

— Oddal swoją broń, a zostaniemy nadal przyjaciółmi.

— Zgoda. Zanim jednak odejmę od twej piersi moją broń, muszę uzyskać pewność, że naprawdę uczciwie myślisz o naszej przyjaźni.

— Powiedziałem tak, a moje słowo coś znaczy.

— A przed chwilą właśnie udowodniłeś, że inaczej rozumiesz swoje słowa, niż one brzmią. Trudno więc zaufać temu, co mówisz i obiecujesz.

— Jeśli mi nie wierzysz, to nie mogę ci dać innego zapewnienia.

— Daj mi swoją fajkę pokoju i... — Uff! — zawołał Indianin przerywając Old Deathowi z przestrachem. — Fajki wojownik nikomu nie oddaje.

— I to nie wystarczyłoby mi jeszcze. Żądam nie tylko twojej fajki, lecz także twoich leków.

— Uff, uff, uff! To niemożliwe!

— Nie dasz mi tego na zawsze ani nie darujesz. W chwili naszego pokojowego rozstania otrzymasz je z powrotem.

— Żaden wojownik nie wypuści z rąk swego woreczka z lekami.

— A mimo to ja tego żądam. Znam wasz obyczaj. Jeżeli będę miał twoją fajkę i leki, będę tobą samym i każdy nieprzyjazny krok względem nas pozbawiłby cię radości wiecznych ostępów.

— A ja leków nie dam!

— Wobec tego skończyłem z tobą. Dostaniesz teraz kulę w łeb, a potem zabiorę ci skalp. Podniosę po trzykroć lewą rękę, za trzecim razem zaś strzelę, jeśli mnie nie usłuchasz.

Podniósł rękę raz i drugi, trzymając rewolwer wymierzony w serce czerwonoskórego. Gdy podniósł rękę po raz trzeci, Indianin rzekł;

— Zaczekaj! Czy zwrócisz mi jedno i drugie?

— Tak.

— To je dostaniesz. Ale ja...

Podniósł ręce, jak gdyby chciał zdjąć z szyi fajkę i woreczek.

— Stój! — przerwał mu Old Death. — Zaufać mogę ci dopiero wtedy, gdy będę miał oba te przedmioty. Mój towarzysz zdejmie ci je i zawiesi na mojej szyi.

Komańcz opuścił ręce, a ja zdjąłem z jego szyi fajkę i woreczek i zawiesiłem na szyi Old Deatha, po czym stary westman cofnął się i schował rewolwer.

— Tak! — rzekł. — Teraz jesteśmy znów przyjaciółmi, a mój brat może czynić, co mu się podoba. My zostaniemy tutaj i zaczekamy na wynik walki.

Wódz nigdy jeszcze nie był tak wściekły jak dzisiaj. Sięgnął ręką po nóż, ale nie odważył się go wydobyć. Wybuchnął jednak syczącym głosem:

— Blade twarze są teraz pewne, że nic im się nie stanie, ale skoro tylko oddadzą moją fajkę i leki, wróci nieprzyjaźń, wtedy blade twarze zginą w mękach przy palu!

Odwrócił się i odszedł pośpiesznie.

— Teraz jesteśmy bezpieczni jak na łonie Abrahama — rzekł stary westman — ale mimo to nie wolno nam zaniedbać żadnego środka ostrożności. Nie zostaniemy tu przy ognisku, lecz oddalimy się ku tylnej ścianie kotliny i tam będziemy spokojnie czekać na dalsze wypadki. Chodźcie, panowie, i prowadźcie konie za sobą!

Udaliśmy się w oznaczone miejsce. Konie przywiązaliśmy do wbitych w ziemię kołków, a sami usiedliśmy u stóp ściany skalnej. Od strony opuszczonego obozu przeświecał ogień, dokoła panowała zupełna cisza.

— Niedługo będziemy czekać rzekł stary westman. — Przypuszczam, że taniec zaraz się zacznie. Komańcze rzucą się na wrogów z szatańskim wyciem, ale niejeden z nich krzyknie po raz ostatni. O, oto już macie!

Rozległo się wycie, o którym mówił, jak gdyby stado dzikich zwierząt wyrwało się z ogrodzenia.

— Słuchajcie! Czy padła dotąd choć jedna odpowiedź Apaczów? — rzekł stary. — Oni są mądrzy i w ciszy robią to, co do nich należy.

Wycie wojenne odbiło się od ścian kotliny z kilkakrotnie wzmożoną siłą, a echo powtórzyło huk dwóch wystrzałów.

— To srebrna rusznica Winnetou. Pewny znak, że atak Komanczów powstrzymano.

Gdyby przelatujące włócznie i strzały wywoływały hałas i łoskot, kotlina napełniłaby się teraz dzikim hukiem. tymczasem rozlegały się tylko wrzaski Komanczów i raz po raz powtarzające się strzały Winnetou. Trwało to kilka minut, a potem zabrzmiał przenikający do szpiku kości pokrzyk: iwiwiwiwiwiwi!

— To być Apacze! — krzyknął radośnie Sam. — Zwyciężyć i odeprzeć Komanczów!

Miał słuszność, gdyż po tym zwycięskim wyciu zapanowała głęboka cisza, a wkrótce ujrzeliśmy koło ognia postacie jeźdźców, których z każdą chwilą przybywało.

Byli to Komańcze. Próba wydostania się z kotliny nie udała się. Przez jakiś czas panowało przy ognisku ogromne zamieszanie. Znoszono zabitych i rannych, a żałobna okrzyki to cichły, to wznosiły się na nowo. Old Death kręcił się gniewnie na swoim miejscu i wymyślał Komańczom na rozmaite sposoby za ich głupotę. Pochwalił ich natomiast za jedno: że wysłali straż do obydwu wejść, co było koniecznym środkiem ostrożności. Gdy zamilkły żałobne śpiewy, Komańcze usadowili się do narady wojennej. Po upływie pół godziny ujrzeliśmy, że kilku wojowników oddaliło się od obozu i rozbiegło się po kotlinie.

— Szukają nas — rzekł Old Death. — Uznali, że popełnili głupstwo, i teraz już nie będą za dumni, by posłuchać naszej rady.

Jeden z wysłańców zbliżył się do nas. Old Death chrząknął z cicha. Indianin usłyszał to i podszedł ku nam.

— Czy są tutaj blade twarze? — zapytał. — Niech przyjdą do ogniska.

— Kto cię posyła?

— Wódz.

— Czego chce od nas?

— Ma się odbyć narada, w której tym razem wolno wziąć udział bladym twarzom.

— Wolno? Jacy wy jesteście łaskawi! Więc staliśmy się nareszcie godni tego, żeby nas wysłuchali rozumni wojownicy Komanczów? Leżymy tu dla odpoczynku i chcemy spać. Powiedz to wodzowi! Wasza nieprzyjaźń z Apaczami nic nas odtąd nie obchodzi.

Posłaniec zaczął prosić, co wywarło pewne wrażenie na dobrodusznym westmanie, gdyż powiedział:

— No, dobrze! Skoro bez naszej pomocy nie potraficie znaleźć drogi ocalenia, udzielimy wam rady, ale nie zgadzamy się na to, żeby wasz wódz nam rozkazywał. Powiedz mu, że powinien przyjść do nas, jeśli chce z nami mówić.

— Nie zrobi tego, ponieważ jest wodzem.

— Słuchaj no! Ja jestem o wiele większym i słynniejszym wodzem od niego. Nie znam nawet jego imienia. Oświadcz mu to ode mnie.

— Nie może przyjść, choćby nawet chciał, bo jest ranny w ramię.

— Od kiedyż to synowie Komanczów chodzą na rękach? Jeśli nie ma ochoty przyjść do nas, niech sobie zostanie tam, gdzie jest. Nie potrzebujemy ani jego, ani was wszystkich!

Ta odpowiedź brzmiała tak stanowczo, że czerwonoskóry zdobył się już tylko na te słowa:

— Powtórzę mu życzenie Old Deatha, może jednak przyjdzie.

— Powiedz mu również, żeby przyszedł tylko sam. Nie lubię długich narad z gromadą ludzi. No, idź!

Indianin wrócił do ogniska i wszedł w koło wojowników. Upłynęło sporo czasu, zanim wreszcie podniosła się spośród siedzących jakaś postać i zbliżyła ku nam. Nowy wódz Komanczów nosił na głowie orle pióra.

— Popatrzcie tylko! Zabrał poległemu Białemu Bobrowi odznakę wodza i przypiął ją sobie! Teraz wystąpi z największym majestatem!

Gdy wódz się nieco zbliżył, ujrzeliśmy, że istotnie lewa jego ręka wisiała na rzemiennym temblaku! Opisano mu dokładnie miejsce, w którym się znajdowaliśmy, gdyż szedł bez wahania i wkrótce stanął przed nami. Spodziewał się prawdopodobnie, że ktoś z nas przemówi

do niego pierwszy, gdyż sam milczał, Old Death jednak leżał dalej spokojnie i także milczał. My zachowywaliśmy się tak samo.

— Mój biały brat prosił, żebym przyszedł do niego — rzekł wreszcie czerwonoskóry.

— Old Death nie potrzebuje się zniżać do prośby. Ty chciałeś się ze mną naradzić, a więc ty powinieneś prosić, jeżeli w ogóle może być mowa o prośbie. Teraz zaś proszę cię bardzo uprzejmie, żebyś mi podał swe imię, gdyż nie znam go jeszcze.

— Znają je na preriach. Jestem Rączy Jeleń.

— Byłem na wszystkich preriach, ale takie imię nie obiło się o moje uszy. Widocznie ukrywałeś je starannie. Ponieważ jednak teraz je usłyszałem, przeto pozwalam ci przy nas usiąść.

Wódz cofnął się o krok, jakby na znak, że nie potrzebuje na to pozwolenia, ale czuł dobrze, że musi ustąpić. Toteż usiadł powoli i z godnością naprzeciwko Old Deatha. My usiedliśmy także.

Jeśli Komańcz sądził, że westman sam zacznie rozmowę, to się grubo pomylił. Old Death zachowywał nadal swą obojętność i czerwonoskóry musiał rozpocząć pierwszy.

— Wojownicy Komanczów zamierzają odbyć wielką naradę, a blade twarze mają w niej wziąć udział, abyśmy usłyszeli ich zdanie.

— To zbyteczne. Ofiarowałem się wam już tyle razy z moją radą, a nie usłuchaliście jej nigdy. Ja zaś przywykłem do tego, żeby zważano na moje słowa, dlatego odtąd zachowam myśli moje dla siebie!

— Niech mój brat zważy, że przydałoby się nam jego doświadczenie!

— Aha, nareszcie! Czy to Apacze was nauczyli, że Old Death był mędrszy niż wszyscy wojownicy Komanczów? Jakże wypadł wasz atak?

— Nie mogliśmy się wydostać przez wyjście, ponieważ było zatarasowane kamieniami, krzakami i drzewami.

— Tak przypuszczałem. Apacze pościnali drzewa tomahawkami, a wy nie słyszeliście tego, ponieważ opłakiwaliście głośno swoich zmarłych. Dlaczego nie pogasiliście ognisk? Czy nie pojmujecie, że wyrządzacie sobie tym wielką szkodę?

— Wojownicy Komanczów musieli zrobić to, co uradzono. Teraz postanowią coś rozumniejszego. Wszak ty nam coś poradzisz?

— Ale jestem pewien, że nie pójdziecie za moją radą.

— Pójdziemy.

— Jeśli mi to przyrzekniesz, to gotów jestem udzielić wam rady.

— Wobec tego chodź ze mną do ogniska!

— Dziękuję. Tam nie pójdę. To wielka nierozwaga, że palicie ognisko, gdyż Apacze widzą, co się u was dzieje. Nie mam też ochoty sprzeczać się z twoimi czerwonoskórymi. Ja powiem, co myślę, a ty rób, co ci się podoba.

— To powiedz!

— Apacze znajdują się nie tylko u obu wejść do kotliny, lecz są także i w samej kotlinie. Usadowili się w jej przedniej części i zabarykadowali wejścia. W ten sposób będą mogli robić wypady na prawo i na lewo, jak im to będzie potrzebne. Wypędzić ich nie podobna.

— Mamy nad nimi przecież wielką przewagę,

— Ilu wojowników utraciliście już dotychczas?

— Wielki Duch powołał wielu z nas do siebie, może już dziesięć razy po dziesięciu. I koni także dużo zginęło.

— Wobec tego nie możecie już tej nocy nic przedsięwziąć, bo powiodłoby się wam tak samo jak ostatnim razem. W ciągu dnia zaś Apacze tak się ustawią, że dosięgną was wszędzie swoją bronią, a wy im nic nie zrobicie. Potem nadciągną te gromady, po które posłał Winnetou, a wtedy będzie więcej Apaczów niż Komanczów. Czeka was śmierć.

— Czy to jest rzeczywiście mniemanie mojego brata? Postąpimy wedle jego rady, jeśli nas potrafi ocalić.

— Skoro mówisz o ocaleniu, uznałeś widocznie, że miałem słuszność, nazywając tę kotlinę pułapką. Gdy się nad tym zastanawiam, widzę tylko dwie drogi, na których można by próbować, czy uda się wam uniknąć zagłady. Po pierwsze — musielibyście zbadać, czy można się wspiąć po skałach, ale na to trzeba zaczekać do brzasku. Zresztą Apacze ujrzeliby was po drugiej stronie i rzuciliby się na was, a tam mają nad wami przewagę, bo nie możecie przecież wziąć z sobą koni. Pozostaje więc tylko drugi środek ocalenia: wejdźcie z Apaczami w układy!

— Tego nie zrobimy! — wybuchnął wódz. — Apacze zażądaliby naszej śmierci.

— Nie dziwiłbym się im zupełnie, gdyż wy daliście dowód do tego. Napadliście na ich wsie podczas pokoju, zagrabiliście ich mienie, uprowadziliście ich żony i córki, a wojowników zabiliście albo zamęczyliście na śmierć. Nadto złamaliście słowo dane ich posłom i wymordowaiście ich. Tak nikczemne uczynki domagają się zemsty, dlatego, rzecz jasna, nie możecie się spodziewać łaski.

Sam musisz przyznać, że skrzywdziliście ich nie licząc się z następstwami.

Old Death mówił bardzo szczerze, tak szczerze, że wódz zamilkł ze zdumienia.

— Uff! — wykrztusił po chwili. — Ty mnie to mówisz, mnie, wodzowi Komanczów?

— Powiedziałbym ci to nawet wówczas, gdybyś był samym Wielkim Duchem. Było to nikczemnością z waszej strony, że postąpiliście w ten sposób z Apaczami, którzy nie zrobili wam nic złego. Co wam uczynili ich posłowie, żeście ich pozabijali? Co wam uczynili oni wszyscy, że wyruszyliście na tę wyprawę, aby sprowadzić na nich śmierć, zagładę i hańbę? Odpowiedz!

— Są naszymi nieprzyjaciółmi! — wybuchnął Indianin jeszcze gniewniej niż przedtem.

— Nie. Żyli z wami w zgodzie i żaden wasz poseł nie zaniósł im od was wiadomości, że wykopaliście przeciwko nim topór wojenny. Wy sami poczuwacie się do winy, dlatego jesteś przekonany, że nie możecie spodziewać się łaski. A mimo to dałoby się zawrzeć z nimi znośny pokój. To wasze szczęście, że dowodzi nimi Winnetou, gdyż on nie pożąda krwi. To jedyny wódz Apaczów, który, jak sądzę, byłby skłonny do pobłażania. Wyślijcie do niego kogoś, żeby rozpoczął układy. Ja sam gotów jestem pójść, aby go do was łagodnie usposobić.

— Komańcze woleliby umrzeć aniżeli prosić Apaczów o łaskę.

— Ha, to wasza rzecz. Taka jest moja rada. Czy jej posłuchasz, to mi jest zupełnie obojętne.

— Czy mój brat nie zna innego sposobu? Przemawia na korzyść Apaczów, jest zatem ich przyjacielem.

— Ja sprzyjam i życzę dobrze wszystkim czerwonym mężom, dopóki na mnie nie napadają. Apacze zaś nie zrobili mi najmniejszej krzywdy. Dlaczegóż miałbym być ich wrogiem? To ty chciałeś z nami źle postąpić. Chciałeś nas pojmać. Zważ więc, kto ma większe prawo do naszej przyjaźni — wy, czy oni?

— Masz na sobie moją fajkę pokoju i moje leki, słowa twoje są więc niejako moimi słowami. Dlatego nie odpowiem ci tak, jakbym pragnął. Twoja rada nic nie jest warta. Zamierzasz oddać nas w ręce Apaczów. Wobec tego będziemy wiedzieli sami, co należy czynić.

— W takim razie, po co wam moja rada? Nie mamy sobie nic więcej do powiedzenia.

— Tak, skończyliśmy rozmowę — przyznał Komancz. — Pamiętaj jednak, że pomimo opieki, jakiej teraz zażywasz, jesteś naszym wrogiem. Nie wolno ci zatrzymać na zawsze mojej fajki i leków. Będziesz musiał je dać, zanim opuścimy to miejsce, a wtedy otrzymasz to wszystko, na co zasłużyłeś.

— Well! Zgadzam się z ochotą i czekam ze spokojem to, co mnie spotka. Pamiętaj, że groziłeś Old Deathowi! powtarzam, że skończyliśmy z sobą, możesz więc odejść.

— Uff! — wybuchnął wódz, po czym odwrócił się i odszedł wolnym krokiem ku ognisku.

— Oni naprawdę zgłupieli — rzekł rozgniewany Old Death patrząc za nim. — Nie ma dla nich innego ratunku, jak tylko prosić o pokój. Zamiast to uczynić, liczą wciąż jeszcze na swoją przewagę. Ale w obecnych warunkach sam Winnetou starczy za stu ludzi. Wy w to

może nie uwierzycie, bo jesteście nowicjuszem na Dzikim Zachodzie, ale nie macie pojęcia, co znaczy w pewnych okolicznościach jeden prawdziwy zuch. Gdybyście na przykład wiedzieli, czego ten młody Apacz dokazywał razem ze swoim białym przyjacielem Old Shatterhandem! Czy wam już kiedy o tym opowiadałem?

Old Death po raz pierwszy wymienił moje nazwisko.

— Nie — odpowiedziałem. — Kto to jest ten Old Shatterhand?

— Taki sam młodzieniec jak wy, ale zupełnie inny człowiek. Obala każdego wroga pięścią na ziemię. Nikt mu nie dorówna.

Wtem coś za nami zaszeleściło i odezwał się jakiś przytłumiony głos:

— Uff! Old Death tutaj? Nie wiedziałem o tym. Jakże się z tego cieszę!

Stary odwrócił się z przerażeniem, dobył noża i zapytał:

— Kto tu? Kto nas śmie podsłuchiwać?

— Mój stary biały brat zostawi chyba swój nóż za pasem i nie zaatakuje Winnetou!

— Winnetou? Do wszystkich diabłów! Zaiste, tylko Winnetou mógł tego dokazać, żeby niepostrzeżenie podejść Old Deatha. To sztuka, której nawet ja bym nie potrafił!

Apacz zbliżył się i odrzekł nie zdradzając się z tym, że mnie zna:

— Wódz Apaczów nie przypuszczał, że Old Death jest tutaj, bo już dawno byłby się przekradł do niego, aby z nim pomówić.

— Ależ ty się narażasz na ogromne niebezpieczeństwo! Musiałeś się przekraść przez straże, a potem będziesz musiał powrócić.

— Blade twarze są moimi przyjaciółmi, którym mogę zaufać. Ta dolina leży na terytorium Apaczów i Winnetou zrobił z niej pułapkę na wypadek, gdyby chcieli tu wtargnąć wrogowie. Te skalne ściany nie są takie niedostępne, jak się wydaje. Apacze zrobili wąską ścieżynę, biegnącą dokoła doliny, na wysokości kilku mężów. Po lassie tatwo się tam dostać i zejść. Moi zwiadowcy zwabili Komanczów do tej pułapki i Komancze muszą w niej zginąć.

— Czy śmierć ich jest istotnie postanowiona?

— Tak. Winnetou słyszał twoją rozmowę z wodzem przekonał się, że sprzyjasz Apaczom. Powiedziałeś, ile razy Komańcze względem nas zawinili, i przyznałeś, że nusimy pomścić tylokrotne morderstwa.

— Ale czy muszą popłynąć strumienie krwi?

— Wszak sam słyszałeś, że Komańcze nie chcą uznać swojej winy ani postąpić tak, jak im radziłeś i jak każe rozum. Niechaj więc krew ich spadnie na nich samych. Apacze dadzą odstraszający przykład, jak karze się zdradę. Niestety trzeba to uczynić, aby zapobiec na przyszłość podobnym zbrodniom.

— To okropne! Mimo to nie mogę wygłaszać raz jeszcze moich rad ludziom, którzy sądzą, że ich nie potrzebują.

— I tak by cię zresztą nie posłuchali. Słyszałem z ust twoich, że masz leki wodza. W jaki sposób je dostałeś?

Old Death opowiedział o tym, a kiedy skończył, Winnetou rzekł:

— Skoro mu je przyrzekłeś zwrócić, musisz dotrzymać słowa. Oddaj mu je zaraz i chodź do nas. Przyjmiemy was jako przyjaciół.

— Czy mamy zaraz przyjść do was?

— Tak. Za trzy godziny nadciągnie tu przeszło sześciuset Apaczów. Wielu z nich ma strzelby. Ich kule będą przelatywały przez całą kotlinę, a wobec tego życie wasze byłoby niepewne.

— Ale jak się do was dostać?

— Old Death o to pyta?

— Hm, tak! Wsiądziemy na konie i podjedziemy do ogniska. Tam zwrócę wodzowi jego świętości, po czym popędzimy ku Apaczom. Straże stojące na naszej drodze obalimy, ale jak się przedostaniemy przez barykady?

— Bardzo łatwo. Gdy odejdę, zaczekacie dziesięć minut. Potem ruszajcie w drogę. Będę po prawej stronie kotliny i tam was przyjmę.

Po tym zapewnieniu Winnetou znikł.

— No i cóż wy na to? — spytał Old Death.

— Niezwykły człowiek — odpowiedział Lange.

— Bez wątpienia. Gdyby ten człowiek był białym, doszedłby do godności naczelnego wodza, a biada białym, gdyby skupił wokół siebie czerwonoskórych w celu obrony praw Indian. On jednak miłuje pokój i chowa w sercu bolesne przekonanie, że czerwonoskórzy, pomimo wszelkiego oporu, skazani są na zagładę. No, usiądźmy sobie na dziesięć minut!

W kotlinie panowała niezmącona cisza. Komańcze naradzali się jeszcze. Po dziesięciu minutach Old Death podniósł się i wsiadł na konia.

— Róbcie dokładnie to samo, co ja! — rzekł do nas. Wolnym krokiem podjechaliśmy ku ognisku. Krąg Komanczów otworzył się przed nami i wjechaliśmy do środka. Gdyby ich twarze nie były pomalowane, wyczytalibyśmy w nich na pewno najwyższe zdumienie.

— Czego tu chcecie? — zapytał wódz zrywając się. — Dlaczego przybywacie na koniach?

— Przyjeżdżamy na koniach, aby walecznym i rozumnym wojownikom Komanczów okazać naszą cześć. Cóż postanowiliście zrobić?

— Narada nie skończyła się jeszcze. Zsiądźcie z koni! Nie możemy dopuścić do tego, żebyście wy, nasi nieprzyjaciele, siedzieli wobec nas na koniach. A może przynosisz mi z powrotem moje leki?

— Czy nie byłoby to głupio z mej strony? Wszak przygotowałeś mnie na to, że od chwili, w której otrzymasz na powrót swoją własność, nastąpi między nami nieprzyjaźń i pomrzemy przy palu męczeńskim.

— Tak też będzie. Powiedziałem to i słowa dotrzymam. Gniew Komanczów was zgubi!

— A my się nie boimy waszego gniewu! Niech się nieprzyjaźń rozpocznie natychmiast. Oto masz swoje rzeczy, a teraz patrzcie, czy potraficie nam coś zrobić!

Zerwał z szyi fajkę i woreczek z lekami i odrzucił je daleko od siebie. Zarazem dał koniowi ostrogi, przesadził wielkim łukiem ognisko, a po drugiej stronie rozerwał kąrąg Komanczów. My wszyscy ruszyliśmy za nim w tej samej chwili. Przewróciliśmy kilku Komanczów, wśród nich jednego ze strażników, i popopędziliśmy przez porosłą trawą kotlinę. Za nami zabrzmiało nieopisane wycie wściekłości naszych dotychczasowych, tak niepewnych, przyjaciół.

— Uff! — zawołał ku nam jakiś głos. — Stać, tu Winnetou!

Zatrzymaliśmy konie, a kilku Apaczów wzięło je za cugle. Zsiedliśmy, a Winnetou wprowadził nas do ciasneGO wyjścia z kotliny. Tam zrobiono już miejsce, tak że mogliśmy przejść i my, i konie.

Kiedy minęliśmy barykadę, wyjście się rozszerzyło niebawem ujrzeliśmy światło. Na równinie płonęło małe ognisko, przy którym siedzieli dwaj Indianie pochyleni ad naprędce sporządzonym rożnem. Spostrzegłszy nas oddalili się z szacunkiem. Reszta Apaczów cofnęła się także, przywiązawszy nasze konie do kołków. W pewnym oddaleniu pasła się gromada koni, której pilnowało kilku luidzi, To wszystko miało niemal wojskowy charakter. Ruchy Apaczów były tak dokładne, tak obliczone jak na mustrze.

— Niechaj moi bracia usiądą przy ogniu! — rzekł Winnetou. — Kazałem upiec kawał polędwicy bawolej. Możecie jeść, dopóki nie wrócę.

— Czy długo cię nie będzie? — spytał Old Death.

— Nie. Muszę wrócić do kotliny. Komańcze ze złości na was mogą się porwać na moich wojowników. Muszę się tam pokazać.

Z tymi słowy opuścił nas. Old Death usiadł wygodnie przy ogniu, dobył noża, a spróbowawszy pieczeni, orzekł z zadowoleniem, że jest wyśmienita. Stary i ja nie jedliśmy dotąd u Komanczów nic, a Langowie i Murzyn tylko raz skosztowali ich koniny, toteż wielki kawał po-

lędwicy zmniejszył się niebawem. Wkrótce powrócił Winnetou i popatrzył na mnie pytająco. Zrozumiałem natychmiast to spojrzenie. Chciał mi powiedzieć, że już nie musi się mnie wypierać. Powstałem więc od ognia, wyciągnąłem do niego obie dłonie i zawołałem:

— Mój brat Winnetou widzi, że nie potrzebuję iść aż nad Rio Pecos, aby się z nim znowu spotkać! Cieszę się ogromnie, że go znów widzę.

Uścisnęliśmy się serdecznie. Ujrzawszy to Old Death zapytał ze zdumieniem:

— Cóż to jest? Wy się już znacie?

— To mój biały brat Old Shatterhand — oświadczył Winnetou.

— Old... Shat... ter... hand! — zawołał stary robiąc przy tym minę wprost nieopisaną. Gdy zaś, śmiejąc się, potwierdziłem słowa Winnetou, mówił dalej z gniewem:

— A więc oszukaliście mnie i okłamali, wodziliście za nos Old Deatha! Old Shatterhand! A on tak długo się z tym krył i pozwolił się przezywać greenhornem i nowicjuszem!

Pozostawiliśmy go tymczasem na pastwę jego zdumienia, gdyż Winnetou chciał mi coś opowiedzieć.

— Mój brat słyszał, że musiałem się udać do fortu Inge. Tam dowiedziałem się...

— Wiem już o tym — przerwałem mu, — Gdy będziemy mieli więcej czasu, opowiem ci wszystko. Teraz muszę przede wszystkim zapytać, gdzie jest tych dziesięć bladych twarzy, które były u Komanczów razem z obydwoma twoimi zwiadowcami, rzekomymi Topiami, i które w czasie walki przeszły do was.

— Już odjechały.

— Już? Dokąd?

— Do Chihuahua, do Juareza.

— Już odjechali? Naprawdę?

— Tak. Śpieszyli się bardzo, bo jadąc z Komańczami musieli nadkładać drogi. Teraz postanowili nadrobić tę zwlokę.

— To dla mnie prawdziwy cios, ponieważ z nimi znajdowali się ci dwaj, których ścigałem!

— Uff, uff! Oni byli razem z nimi? O tym nie wiedziałem. Blade twarze były obowiązane przybyć o oznaczonym czasie do Chihuahua, a straciły dużo czasu. Winnetou miłuje Juareza, dlatego dopomógł im do tego, żeby jak najszybciej mogły odejść. Dał im świeże konie, żywność, a na przewodników — rzekomych Topiów, którzy znają dobrze drogę przez Mapimi do Chihuahua. Blade twarze oświadczyły, że szkoda im każdej minuty.

— I to jeszcze! Świeże konie, żywność i godni zaufania przewodnicy! Miałem już w ręku tego Gibsona, a teraz mi ujdzie!

Winnetou zamyślił się na chwilę i rzekł:

— Popełniłem bezwiednie wielki błąd, lecz go naprawię. Gibson wpadnie w twe ręce. Polecenie, które miałem wykonać w Matagordzie, zostało spełnione. Skoro więc tylko ukarzę Komanczów, będę wolny i będę mógł ci towarzyszyć. Dostaniecie najlepsze konie, a jeśli nie zajdzie nic niespodziewanego, doścignięcie białych jutro do południa.

Wtem nadbiegł z kotliny Apacz i oznajmił:

— Te psy Komańcze zgasiły ogień i odeszły z obozu. Planują atak.

— Odeprzemy ich znowu jak przedtem — odrzekł Winnetou. — Jeśli moi biali bracia pójdą ze mną, wskażę im miejsce, skąd wszystko usłyszą.

Wstaliśmy oczywiście natychmiast. Winnetou wprowadził nas znowu w przesmyk, prawie pod barykadę. Tam podał Old Deathowi zwisające ze skały lasso i powiedział:

— Wejdźcie po rzemieniu dwa razy na wysokość człowieka. Tam znajdziecie zarośla, a za nimi ścieżkę, o której wam wspominałem. Ja nie mogę pójść z wami, muszę się udać do wojowników.

Odchodząc wziął z sobą przedmiot oparty o ścianę skały. Była to jego rusznica.

— Hm! — mruknął Old Death. — Wyłazić na dwanaście stóp na takim cienkim lassie! No cóż, spróbujemy jednak!

Próba się udała. Ja wspiąłem się za nim, a potem reszta, chociaż z pewnymi trudnościami. Lasso było obwiązane o pień drzewa, które wyrastało ze skały. Obok drzewa rosły krzaki, które zakrywały ścieżkę. Ponieważ z powodu ciemności kierowaliśmy się tylko dotykiem, więc posuwaliśmy się bardzo powoli; wreszcie Old Death się zatrzymał. Oparci o skałę czekaliśmy na to, co nastąpi. W kotlinie panowała iście grobowa cisza. Jakkolwiek wytężałem słuch, nie zdołałem dosłyszeć nic prócz cichego sapania Old Deatha.

— Głupcy ci Komańcze! Nieprawdaż, sir? — rzekł. — Czuję zapach koni, i to koni, które są w ruchu. Brzmi to nieprawdopodobnie, a jednak doświadczony westman pozna zawsze po zapachu, czy ma przed sobą konie stojące, czy w ruchu. Oczywiście, jeżeli nie ma wiatru. Ponadto moim starym uszom wydało się, że doleciał je odgłos potknięcia się konia na miękkim, trawiastym gruncie. Sądzę więc, że Komańcze popędzili teraz ku wejściu, aby się tamtędy przebić.

Wtem zabrzmiało wołanie:

— Ntsa-ho!

To słowo oznacza „teraz". W chwilę potem huknęły dwa strzały z rusznicy Winnetou, za nimi strzały rewolwerowe, potem zaś rozległo się wycie nie do opisania. Dzikie wrzaski Indian przeszywały raz po raz powietrze, brzęczały tomahawki. Walka znowu wybuchła.

Lecz nie trwało to długo i poprzez parskania, rżenie koni i wściekłe krzyki Komanczów przebiło się zwycięskie „iwiwiwiwiwiwi" Apaczów. Usłyszeliśmy, że Komańcze cofnęli się w popłochu. Ich kroki i tupot kopyt oddalały się ku środkowi kotliny.

— Nie mówiłem? — szepnął Old Death. — Właściwie nie powinniśmy brać udziału w walce. Apacze trzymają się wspaniale. Są też dość rozumni, by nie iść za Komańczami, pomimo że tamci się cofają.

Komańcze poszli teraz za radą Old Deatha o tyle, że po porażce zachowali ciszę. Wycie zamilkło, a ponieważ ognie zgaszono, Apacze nie widzieli, co się w kotlinie dzieje. Czekaliśmy jeszcze, ale już się nic nie zdarzyło. Wtem doleciał nas z dołu przytłumiony głos Winnetou:

— Moi biali bracia mogą już zejść. Walka skończona i nie wybuchnie na nowo.

Powróciliśmy do lassa i spuściliśmy się po nim. Na dole stał Winnetou, z którym udaliśmy się znów do ogniska.

— Komańcze próbowali teraz z drugiej strony — rzekł. — Nie udało im się tak samo jak poprzednio. Strzeżemy ich tak, że nie mogą nic przedsięwziąć, o czym by się nie dowiedział Winnetou. Apacze udali się za nimi i leżą wzdłuż krawędzi skał długą linią, sięgającą od jednej do drugiej strony kotliny, aby wszystko pilnie obserwować.

Kiedy to mówił, pochylił głowę na prawo, jak gdyby nasłuchiwał. Następnie zerwał się tak, że ogień oświetlił jasno jego postać.

— Dlaczego to czynisz? — spytałem.

Wskazał ręką w ciemność nocną i powiedział:

— Winnetou usłyszał, że tam, na kamienistej drodze, potknął się koń. Nadjeżdża jeździec, jeden z moich wojowników. Zsiądzie, by zbadać, kto tu siedzi przy ognisku. Dlatego podniosłem się, aby już z daleka poznał, że to ja tu jestem.

Jego subtelny słuch nie zawiódł go. Po chwili nadjechał kłusem jeździec i zatrzymał się obok nas. Wódz przyjął go niezbyt przyjaznym spojrzeniem i zganił za hałas, wywołany potknięciem się konia.

Skarcony stał w wyprostowanej, a równocześnie pełnej szacunku postawie. Był to wolny Indianin, uznający jednak wyższość swego dowódcy.

— Nadchodzą — rzekł do Winnetou.

— W ile koni?

— Wszyscy. Nie brak ani jednego wojownika. Kiedy Winnetou wzywa, nikt z Apaczów nie zostanie przy kobietach.

— Jak daleko są jeszcze stąd?

— Nadejdą o świcie.

— Dobrze! Zaprowadź konia do stada, a potem usiądź przy strażach i wypocznij!

Czerwonoskóry natychmiast posłuchał, a Winnetou usiadł znowu przy nas, prosząc, byśmy opowiedzieli o naszym pobycie w hacjendzie del Caballero i o zdarzeniu w La Grange. Na tym zszedł nam czas i o spaniu oczywiście mowy nie było. Wódz Apaczów wysłuchał naszego opowiadania, dorzucając-tylko od czasu do czasu jakąś uwagę albo pytanie. Tak minęła powoli noc i nadszedł świt. Wtem wyciągnął Winnetou rękę ku zachodowi, mówiąc:

— Niechaj moi biali bracia zobaczą, jak punktualni są wojownicy Apaczów. Oto już się zbliżają!

Spojrzałem we wskazanym kierunku. Mgła leżała na zachodzie jak ogromne morze bez fal. Z tego morza mgły wynurzył się jeździec, a za nim wielu innych. Posuwali się długim szeregiem. Na, nasz widok pierwszy jeździec zatrzymał się na chwilę, po czym poznawszy Winnetou, ruszył ku nam krótkim kłusem. Był to wódz, gdyż miał dwa orle pióra we włosach. Żaden z jeźdźców nie miał kompletnej uzdy z wędzidłem i z cuglami, lecz wszyscy prowadzili konie na tręzlach. Mimo to kierowali nimi świetnie. Nadjechali cwałem i stanęli w pięciu szeregach tak pewnie, jak to się rzadko zdarza nawet u europejskiej konnicy. Większość uzbrojona była w strzelby, a tylko niewielu miało łuki, włócznie i kołczany. Dowódca porozmawiał przez krótką chwilę z Winnetou, na którego skinienie wojownicy pozsiadali z koni. Ci, którzy nie mieli strzelb, zabrali konie, by ich pilnować. Reszta weszła do wąwozu. Lasso, po którym wydostaliśmy się na ścieżkę, wisiało tam jeszcze. Po nim, jeden po drugim, wdrapywali się Apacze. Wszystko odbywało się tak cicho i składnie, jak gdyby omówiono to przedtem obszernie. Winnetou stał spokojnie, śledząc uważnie ruchy swoich ludzi. Gdy ostatni z nich zniknął, zwrócił się do nas:

— Komańcze będą zgubieni, jeśli wydam taki rozkaz.

— Jesteśmy tego pewni — odrzekł Old Death. — Czy jednak Winnetou chce rzeczywiście przelać krew tylu ludzi?

— Czy zasłużyli na coś innego? Jak postępują biali mężowie, gdy jednego z nich ktoś podle zamorduje? Czy nie szukają mordercy? A kiedy go znajdą, czyż wodzowie ich nie schodzą się na naradę, aby wydać wyrok i kazać go zabić? Czy możecie ganić Apaczów za to, że czynią to samo?

— To nie jest przecież to samo!

— Czy mój brat potrafi tego dowieść?

— Tak. My karzemy mordercę, pozbawiając go życia. Ty zaś chcesz wystrzelać nawet tych, którzy nie brali udziału w napadzie na wasze wsie.

— Oni ponoszą tę samą winę, gdyż zgodzili się na to. Byli też świadkami, kiedy pojmani Apacze ginęli w mękach przy palach. Są teraz panami naszych żon i córek i właścicielami zrabowanego nam mienia.

— Ale mordercami nie możesz ich nazwać!

— Nie wiem, czego chce Old Death. U jego braci zdarzają się, oprócz morderstwa, jeszcze inne uczynki, które karane są śmiercią. Westmani rozstrzeliwują na przykład każdego koniokrada. Jeśli białemu porwą żonę lub córkę, to on zabija wszystkich, którzy mieli jakąkolwiek styczność z tym czynem. Tam w kotlinie znajdują się rabusie naszych żon i córek, naszego dobra! Czy mamy im za to dać to, co biali nazywają krzyżem lub orderem?

— Nie, ale możecie im przebaczyć, a swoją własność odebrać.

— Konie odbierzemy, ale żony... Mój brat mówi jak chrześcijanin, który zawsze żąda od nas tego, czego sam nie czyni. Czy chrześcijanie nam przebaczają? Czy mają nam w ogóle coś do przebaczania? Przybyli do nas i zabrali nam ziemię. Jeśli u was ktoś posunie dalej słup graniczny albo zabije zwierzę w cudzym lesie, zamyka go się w ciemnym budynku, który nazywacie więzieniem. A co wy sami robicie? Gdzie są nasze prerie i sawanny? Gdzie trzody koni, bawołów i innych zwierząt, które do nas należały? Zjawiliście się u nas w wielkich

uzbrojonych gromadach i zabieraliście nam mięso potrzebne do życia. Wydzierano nam jeden kraj za drugim bez żadnego prawa do tego, a gdy czerwony mąż bronił swojej własności, zabijano jego i jego rodzinę. Żądasz, żebym darował winę naszym wrogom, którym nie wyrządziliśmy nic złego. Dlaczego mówicie to wy, którzy dopuszczacie się na nas tylu zbrodni, chociaż my nie daliśmy wam do tego żadnego powodu? Jeśli się bronimy, spełniamy nasz obowiązek, a wy karzecie nas za to zagładą. Co powiedzielibyście, gdybyśmy przyszli do was, aby wam narzucić nasze obyczaje, jak wy to czynicie? Z pewnością wybilibyście nas do ostatniego człowieka albo powsadzali do domu wariatów. Dlaczego nam nie wolno postępować tak samo? A gdy tak postępujemy, wtedy biali krzyczą po całym świecie, że czerwonoskóry jest dziki, że nie jest godny łaski ani miłosierdzia, że nie ucywilizuje się nigdy i dlatego powinien zginąć! Czy wy postępowaniem swoim dowiedliście kultury? Zmuszacie nas do przyjmowania waszej religii. Pokażcież nam ją! Wszyscy czerwonoskórzy czczą Wielkiego Ducha w jeden i ten sam sposób. Z was zaś każdy chce być inaczej zbawiony. Ja znam jedną dobrą wiarę chrześcijan. Głosili ją pobożni ojcowie, którzy nie chcieli nas wypierać z naszych ziem ani zabijać. Zakładali u nas misje i uczyli naszych rodziców. Chodzili od puebla do puebla przyjaźnie i zaznajamiali nas ze wszystkim, co było dla nas pożyteczne i dobre. Teraz wszystko się zmieniło. Pobożni mężowie musieli ustąpić wraz z nami, a my musieliśmy patrzeć na ich śmierć. Nikt ich nam nie zastąpił. Za to teraz przybywa stu innych, rzekomo pobożnych mężów, ogłuszają nas słowami, których nie rozumiemy. Nazywają się wzajem kłamcami, a mimo to twierdzą, że bez nich nie dostaniemy się do wiecznych ostępów. A kiedy odwracamy się od nich, znużeni ich sporami, biadają nad nami i powiadają, że otrzepią sobie pył z obuwia i umyją ręce na znak, że niczemu nie są winni. W jakiś czas potem przywołują inne blade twarze, które wciskają się do naszej ziemi i zabierają pastwiska naszym koniom. Jeśli mówimy, że im tego robić nie wolno, przychodzi rozkaz, że mamy się znów dalej wynosić. Oto moja odpowiedź dla ciebie. Nie spodoba ci się ona zapewne, ale ty na moim miejscu mówiłbyś jeszcze ostrzej. Howgh!

Z tym indiańskim słowem, przypieczętowującym jego oskarżenie, odwrócił się od nas i odszedł o parę kroków na bok. Zatrzymał się tam, patrząc w dal. Był wzburzony i chciał to wzburzenie przezwyciężyć. Potem podszedł do nas znowu i rzekł do Old Deatha:

— Wygłosiłem do mojego brata długą mowę. On przyzna mi słuszność, gdyż jest mężem, który myśli sprawiedliwie i uczciwie. Mimo to chcę mu oświadczyć, że serce moje nie pożąda krwi. Dusza moja jest łagodniejsza od mych słów. Sądziłem, że Komańcze przyślą pośrednika. Ponieważ tego nie czynią, nie powinienem mieć dla nich litości, ale mimo to wyprawię do nich człowieka, który się z nimi rozmówi.

— Cieszy mnie to niezmiernie! — zawołał Old Death. — Gdyby tych wszystkich ludzi zabito bez próby ich ocalenia, opuściłbym to miejsce w bardzo ponurym nastroju. Ja także ponoszę częściowo winę za to, że dostali się w twoje ręce.

— Uwalniam cię od tego zarzutu, gdyż zwyciężyłbym ich także i bez twojej pomocy — odparł Winnetou.

— Ale czy wiesz o tym, że nadejdą ich jeszcze setki?

— Winnetou wie o tym. Musiał saę przekradać pomiędzy nimi z Dobrym Mężem. Jest ich jeszcze tylko stu. Zamknę ich w tej samej kotlinie i zniszczę tak jak tych, jeśli się nie poddadzą dobrowolnie.

— Więc postaraj się o to, żeby nie przybyli za wcześnie. Załatw się z tymi, którzy są tutaj, zanim zjawi się reszta!

— Winnetou nie boi się w żadnej sytuacji, ale będzie się spieszył.

— Czy masz kogoś odpowiedniego do prowadzenia układów z Komańczami?

— Mam wielu, ale wolałbym, żeby mój brat się tego podjął.

— Chętnie to zrobię. Podejdę na bliską odległość i przywołam do siebie wodza. Jakie stawiasz warunki?

— Za każdego zabitego Apacza dadzą po pięć, a za każdego zamęczonego po dziesięć koni.
— To bardzo tanio, ale odkąd nie ma wielkich stad na preriach, nie łatwo o konia.
— Żądamy także zwrotu wszelkiego zagrabionego nam mienia, zwrotu kobiet oraz dzieci, które uprowadzili. Czy uważasz te warunki za zbyt surowe?
— Nie.
— W końcu niech oznaczą miejsce, na którym zejdą się wodzowie Apaczów i Komanczów, aby się naradzić nad pokojem, który by mógł trwać przynajmniej przez trzydzieści lat i zim.
— Jeśli się na to zgodzą, pogratuluję im szczerze.
— Tym miejscem może być kotlina, w której się teraz znajdują. Tu należałoby także sprowadzić wszystko, co mają nam wydać. Dopóki się nie stanie to, czego żądam, Komańcze, którzy będą musieli się dziś poddać, pozostaną u nas w niewoli.
— Uznaję, że warunki twoje nie są zbyt ostre i natychmiast je im przekażę.
Zarzucił strzelbę na ramię, uciął sobie gałązkę jako znak, że jest parlamentariuszem, po czym zniknął z wodzem w wąwozie. Nie było to poselstwo zbyt bezpieczne, ale stary westman nie znał trwogi.
Przekonawszy się, że Old Death rozpoczął już rozmowę z wodzem Komanczów, Winnetou wrócił do nas i zaprowadził nas do stada przybyłych ostatnio koni. Były między nimi i luźne, częściowo wysokiego gatunku, których oszczędzano i używano tylko wówczas, gdy szło o jakiś nadzwyczajny wysiłek, częściowo zaś były to konie zapasowe przeciętnej jakości.
— Obiecałem dać moim braciom lepsze konie — rzekł. — Wybiorę je teraz dla nich. Mój brat otrzyma jednego z moich własnych rumaków.
Wybrał pięć sztuk. Byłem zachwycony przeznaczonym dla mnie wierzchowcem. Obaj Langowie i Sam ucieszyli się także bardzo. Murzyn pokazał w uśmiechu wszystkie zęby i zawołał:
— Oh, oh! Co za konia Sam dostać! Być czarny jak Sam i przepyszny całkiem jak Sam. Pasować bardzo dobrze do siebie koń i Sam. Oh, oh, oh!
Po trzech kwadransach wrócił Old Death. Twarz miał bardzo poważną. Byłem pewny, że Komańcze zgodzą się na warunki Winnetou, ale oblicze Old Deatha zapowiadało niestety coś zupełnie przeciwnego.
— Mój brat chce mi powiedzieć to, czego się domyślałem — rzekł Winnetou. — Komańcze sprzeciwiają się moim żądaniom.
— Tak jest, niestety! — odparł westman.
— Wielki Duch ukarał ich głupotą za to, co uczynili:
nie chce dla nich łaski. Ale jakie podali powody odmowy?
— Spodziewają się, że jeszcze zwyciężą.
— Czy zawiadomiłeś ich o tym, że przybyło jeszcze przeszło pięciuset Apaczów? Czy powiedziałeś, gdzie się oni teraz znajdują?
— Oczywiście. Nie uwierzyli jednak temu i wyśmiali mnie.
— W takim razie czeka ich śmierć, gdyż reszta ich wojowników przyjdzie za późno.
— Włosy mi stają na głowie, gdy pomyślę, że w przeciągu kilku sekund zostaną zgładzeni ze świata.
— Mój brat ma słuszność. Winnetou nie zna trwogi ani lęku, ale dreszcz przechodzi mu po ciele, gdy pomyśli o daniu znaku zniszczenia. Wystarczy mi dłoń podnieść, a zahuczą wszystkie strzelby. Spróbuję więc jeszcze ostatniego środka. Może Wielki Duch rozjaśni ich umysły. Sam im się pokażę i przemówię do nich. Moi biali bracia odprowadzą mnie aż do barykady. Jeśli jednak Komańcze nie posłuchają moich słów, niechaj dobry Wielki Duch nie gniewa się na mnie, że wydam rozkaz.
Razem z Old Deathem odprowadziliśmy Winnetou na oznaczone miejsce. Tam wspiął się po lassie w górę i ruszył ścieżką wyprostowany tak, żeby Komańcze mogli go widzieć. Nie był jeszcze daleko, kiedy usłyszeliśmy świst strzał, które go jednak na szczęście nie dosięgły.

Wtem huknął strzał z rusznicy Białego Bobra, z której wymierzył do Winnetou nowy wódz Komanczów. Apacz kroczył dalej spokojnie, jak gdyby nie bał się zupełnie kuli, która uderzyła o skałę tuż obok niego, ba, jak gdyby w ogóle nie słyszał strzału. Potem zatrzymał się i zaczął mówić głosem donośnym i bardzo dobitnym. W pewnej chwili podniósł w toku mowy rękę i dokoła całej kotliny ─ jak daleko można było sięgnąć okiem ─ ujrzeliśmy Apaczów. Wstali z ziemi, żeby się pokazać Komańczom i przekonać ich o swojej przewadze. Było to dowodem uczciwości Winnetou, który w ten sposób podejmował ostatnią próbę, by skłonić Komanczów do poddania się. Potem podjął na nowo wątek rozpoczętej mowy. Lecz po krótkiej chwili rzucił się nagle na ziemię, tak że postać jego zniknęła nam z oczu. Równocześnie rozległ się odgłos drugiego strzału.

─ Dowódca Komanczów strzelił znowu do niego. Oto jego odpowiedź ─ rzekł Old Death. ─ Winnetou widział, jak ten nabijał strzelbę powtórnie, i rzucił się na ziemię w chwili, kiedy z niej wymierzono. Teraz zacznie... patrzcie, patrzcie!

Jak prędko padł Winnetou, tak prędko zerwał się znowu. Wycelował ze srebrzystej rusznicy i wypalił. Głośne wycie Komanczów odpowiedziało na ten wystrzał.

─ Zastrzelił ich wodza! ─ oświadczył Old Death. Teraz Winnetou podniósł rękę w ten sposób, że dłoń wyciągnął poziomo. Na ten znak wszyscy Apacze, jak okiem sięgnąć, przyłożyli strzelby do ramion. Huknęło przeszło czterysta strzałów.

─ Chodźcie panowie! ─ rzekł Old Death. ─ Nie patrzmy na to! To zanadto po indiańsku, jak na moje stare oczy, chociaż muszę przyznać, że Komańcze na to zasłużyli, Winnetou zrobił, co mógł, aby temu zapobiec.

Powróciliśmy do koni, gdzie stary obejrzał wybranego dlań wierzchowca. Wkrótce dała się słyszeć jeszcze jedna salwa, a potem zwycięski okrzyk Apaczów. W kilka minut potem powrócił do nas Winnetou i z niezwykle poważnym wyrazem twarzy powiedział:

─ Wielki płacz wybuchnie w namiotach Komanczów, gdyż żaden z ich wojowników nie wróci. Wielki Duch chciał, żebyśmy pomścili śmierć naszych braci. Nieprzyjaciele nie dali się skłonić do zgody, wobec tego nie mogłem postąpić inaczej, ale wzrok mój nie spojrzy już na tę kotlinę. Reszty dokonają moi wojownicy, ja zaś odjeżdżam natychmiast z moimi białymi braćmi.

W pół godziny później wyruszyliśmy w drogę, zaopatrzeni we wszystko, co nam było potrzebne, w towarzystwie Winnetou oraz dziesięciu dobrze uzbrojonych Apaczów. Z wielką radością opuściliśmy to okropne miejsce!

Mapimi leży na obszarze dwóch meksykańskich prowincji: Chihuahua i Chohahuila i tworzy rozległą nizinę na płaskowyżu wznoszącym się przeszło tysiąc sto metrów nad poziomem morza. Z wyjątkiem północy otaczają ją ze wszystkich stron wysokie i strome skały wapienne, oddzielone od właściwej Mapimi mnóstwem kanionów. Sama Mapimi składa się z falistych, bezleśnych płaszczyzn, porosłych rzadką i niską trawą, a poprzerywanych pasami piasków, na których gdzieniegdzie tylko widać drzewa lub krzaki. Tu i ówdzie wznosi się z tej pustej równiny góra, a miejscami ziemia pocięta jest głębokimi rozpadlinami o prostopadłych ścianach, co zmusza podróżnych do dalekich objazdów. Ale Mapimi nie jest tak bezwodna, jak sądziłem z początku. Są tam jeziora, które wprawdzie w gorącej porze roku tracą większą część wody, ale roztaczają mimo to tyle wilgoci, że na brzegach rozwija się dość bujna roślinność.

Zdążaliśmy ku jednemu z tych jezior, a mianowicie ku Laguna de Santa Maria. Leżało ono w odległości dziesięciu mil od doliny, z której wyjechaliśmy. Był to zatem dobry dzień drogi, zwłaszcza po bezsennej nocy. Przejeżdżaliśmy ciągle z jednego parowu do drugiego, skąd nie mieliśmy żadnego widoku.

Prawie przez cały dzień nie widzieliśmy słońca albo tylko w krótkich chwilach. Droga prowadziła przy tym raz w prawo, raz w lewo, czasem nawet pozornie wstecz, tak że gubiłem niemal zasadniczy jej kierunek.

Wieczór zapadał, kiedy przybyliśmy nad Lagunę. Grunt był tu piaszczysty. Na miejscu gdzie rozłożyliśmy się obozem, nie było drzew, tylko skąpe zarośla o nie znanej mi nazwie. Jezioro tworzyło posępną płaszczyznę wodną, otoczoną z rzadka krzakami. Za nim rozciągała się równina, na zachodzie wznosiły się u jej krańca wzgórza, za którymi zaszło już słońce. O ile w głębokich, ciasnych kanionach było mi niemal chłodno, o tyle w górze promienie słońca działały z ogromną siłą. Toteż ziemia dyszała tu żarem, w którym można się było upiec. Za to w nocy, kiedy oddała swoje ciepło powietrzu, było tym zimniej, a nad ranem zaczął wiać wiatr tak, że musieliśmy otulić się szczelniej wełnianymi kocami.

Wczesnym rankiem ruszyliśmy dalej w drogę prosto na zachód. Niebawem jednak kaniony zmusiły nas znowu do częstych objazdów. Dostać się na dół taką rozpadliną skalną byłoby niepodobieństwem, gdyby sama natura nie tworzyła zejść w postaci karkołomnych schodów. Z kolei zaś trzeba było przejeżdżać przez kilkanaście wąwozów, zanim się znalazło miejsce, którym nareszcie można się było wydostać na równą powierzchnię. Oczywiście wszędzie groziło niebezpieczeństwo. W takim kanionie jeździec zwisa często razem z koniem na skale, nad którą ciągnie się wąski pas rozżarzonego nieba, pod sobą ma przerażającą otchłań, a w tej głębi ani kropli wody, tylko piętrzące się zwaliska skalne. W górze krążą sępy, nieodstępni towarzysze podróżnego. Nie opuszczają go od rana do nocy i siadają w pobliżu, ilekroć ułoży się na spoczynek, aby nazajutrz lecieć nad nim dalej i oznajmiać przeraźliwym, ochrypłym wrzaskiem, że czekają tylko, aż padnie ze znużenia albo wskutek fałszywego kroku konia runie w głąb kanionu. Z rzadka pokaże się gdzieś w skalistym kącie wychudły szakal i znika jak cień, a potem biegnie za jeźdźcem, czatując na taką samą ucztę jak sępy.

Około południa przebyliśmy znowu niebezpieczny labirynt kanionów i ruszyliśmy cwałem przez porosłą trawą równinę. Natknęliśmy się tutaj na trop dziesięciu jeźdźców, który łączył się z naszym po prawej stronie pod kątem prostym, Winnetou stwierdził, że to ten, którego-śmy szukali, a nawet zwrócił naszą uwagę na ślady podkutych koni białych ludzi i bosych koni obu Apaczów, dodanych białym jako przewodnicy. Old Death był tego samego zdania. Okazało się jednak, niestety, że Gibson wysforował się naprzód o sześć godzin drogi. Oddział jego jechał widocznie przez całą noc w przypuszczeniu, że go będziemy ścigali.

Pod wieczór jadący przodem Old Death zatrzymał się, zaczekał na nas, którzyśmy pozostali nieco w tyle, pokazał nam nowy trop. Trop ten łączył się od południa z dotychczasowym, Byli to także jeźdźcy w liczbie około trzydziestu do czterdziestu. Jechali pojedynczo jeden za drugim, trudno więc było odgadnąć dokładnie ich liczbę. Ta jazda gęsiego i brak podków u koni wskazywały, że byli to Indianie. Z jednakowego wyglądu obu tropów należało wnosić, że musieli się potem spotkać z białymi. Old Death mruknął coś niechętnie pod nosem, a potem rzekł głośniej:

— Jacy to mogli być czerwonoskórzy? Z pewnością nie Apacze. Nie czeka nas z ich strony nic dobrego.

— Mój biały brat ma słuszność — potwierdził Winnetou. — Apaczów teraz tu nie ma, a oprócz nich znajdują się w Mapimi tylko hordy nieprzyjacielskie. Musimy się mieć na baczności.

Pojechaliśmy dalej i dotarliśmy wkrótce do miejsca, w którym Indianie połączyli się z białymi. Oba oddziały stały widocznie jakiś czas na miejscu i prowadziły układy. Wynik był w każdym razie pomyślny dla białych, gdyż powierzyli się opiece czerwonoskórych. Ich dotychczasowi przewodnicy, dwaj Apacze, których pognaliśmy początkowo jako Topiów, pożegnali się tutaj z nimi, gdyż trop ich odłączył się od tropu wszystkich pozostałych.

Po chwili dojechaliśmy do łańcucha wzgórz, porosłych trawą i krzakami. Spływał z nich niewielki potok — w tych stronach niezwykła rzadkość. Tu zatrzymali się ścigani przez nas biali i poili konie. Brzegi potoku nie były obrosłe, więc było widać daleko jego bieg. Old Death stanął, przysłonił sobie ręką oczy i długo patrzył w kierunku północno-zachodnim, w którym płynął potok. Zapytany, dlaczego to czyni, odpowiedział:

— Widzę daleko przed nami dwa punkty. Sądzę, że to wilki. Ale dlaczego te bestie tam siedzą? Przypuszczam, że gdyby to istotnie były wilki, uciekłyby już dawno przed nami, gdyż nie ma tak tchórzliwego zwierzęcia jak wilk preriowy.

— Niech się moi bracia uciszą, ja coś słyszę — rzekł Winnetou.

Gdyśmy zamilkli, doleciały nas stamtąd, gdzie znajdowały się owe zagadkowe punkty, jakieś słabe okrzyki.

— To człowiek! — zawołał Old Death. — Jedźmy tam!

Wsiadł na konia, a my za nim. Gdy zbliżyliśmy się do tego miejsca, dwa wilki, które istotnie siedziały przedtem nad samym brzegiem, uciekły. Na środku potoku ujrzeliśmy ludzką głowę wyglądającą z wody. Twarz roiła się od komarów.

— Na .miłość Boga, ratujcie mnie, seniores! — rozległ się jęk. — Nie wytrzymam już dłużej! Zeskoczyliśmy z koni natychmiast.

— Co z wami? — spytał Old Death po hiszpańsku, ponieważ nieszczęśliwy przemówił w tym języku. — jak dostaliście się do wody? Dlaczego nie wyłazicie? Tu jest najwyżej dwie stopy głębokości!

— Zakopano mnie tutaj.

— Za co? Do wszystkich diabłów! Zakopać żywcem człowieka! Kto to uczynił?

— Indianie i biali.

Nie zauważyliśmy z początku, że od miejsca gdzie pojono konie, prowadziło tu kilka śladów.

— Trzeba go czym prędzej wydobyć. Chodźcie, panowie! Wykopiemy go, a ponieważ brak nam do tego larzędzi, przeto posłużymy się rękami.

— Łopata leży za mną w wodzie. Przykryli ją piaskiem — rzekł nieszczęśliwy.

— Łopata? Skąd macie to narzędzie?

— Jestem gambusino[22]. My zawsze nosimy przy sobie motykę i łopatę.

Znaleźliśmy łopatę i zabraliśmy się do roboty. Łożysko potoku wyścielone było głęboko miękkim piaskiem, który dał się łatwo kopać. Teraz dopiero spostrzegliśmy, że za plecami nieznajomego wbito w dno rzeki włócznię i przywiązano go do niej za szyję w ten sposób, że nie mógł schylić głowy. Usta jego znajdowały się tylko trzy cale nad wodą, ale napić się jej nie mógł. Nie mógł się także uwolnić, gdyż związano mu ręce na plecach, a nogi jedną do drugiej, i tak wsadzono go do jamy głębokiej na dwa łokcie. Gdy go z niej wyciągnęliśmy i uwolniliśmy z więzów, zemdlał.

Gdy przyszedł niebawem do siebie, zanieśliśmy go nad potok, ponieważ tam postanowiliśmy rozłożyć się obozem. Ocalony posilił się i zaczął nam opowiadać, co go spotkało.

— Byłem jako gambusino zajęty ostatnio w pewnej bonancy[23] — rzekł — położonej o dzień drogi stąd w górach. Miałem towarzysza, Jankesa, nazwiskiem Harton,który...

— Harton? — przerwał mu pośpiesznie Old Death. — Jak mu na imię?

— Fred.

— Czy wiecie, gdzie się urodził i ile ma lat?

— Urodził się w Nowym Jorku i liczy może sześćdziesiąt lat.

— Czy wspominał coś o swej rodzinie?

— Żona mu umarła, a syn zajmuje się, we Frisco jakimś rzemiosłem. Czy znacie tego człowieka?

Old Death zadawał pytania nadzwyczaj gwałtownie. Oczy mu się świeciły, a głęboko zapadłe policzki rozgorzały rumieńcem. Starał się uspokoić i po chwili rzekł już zwykłym głosem;

— Widziałem go raz dość dawno. Podobno był w bardzo dobrej sytuacji materialnej. Nic wam o tym nie opowiadał?

---

[22] Gambusino (hiszp.) – poszukiwacz złota

[23] Bonanca (hiszp.) – miejsce obfitujące w złoto lub srebro.

— Tak. Był synem porządnych rodziców, uczył się, został kupcem. Dorobił się z czasem bardzo dobrego sklepu, ale miał brata nicponia, który przyczepił się do niego jak pijawka i doprowadził go do ruiny.

— Czy dowiedzieliście się, jak się ten brat nazywał?

— Tak. Na imię mu było Henry.

— To się zgadza. Spodziewam się, że zobaczę jeszcze kiedyś waszego Hartona!

— To trudna sprawa. Zdaje się, że niedługo pożyje, gdyż opryszki, które mnia tu zakopały, zabrały go ze sobą.

— Jak się to stało?

— Chciałem to właśnie opowiedzieć, ale mi przerwaliście. Harton był zatem kupcem, ale brat wyłudził od niego cały majątek. Przypuszczam, że on do dziś dnia kocha tego niesumiennego chłopaka, który go wszystkiego pozbawił. Zubożawszy chwytał się rozmaitych zawodów, lecz szczęście mu nie sprzyjało. Został nawet waquerem, ale bez skutku, aż w końcu poszedł do gambusinów. Ponieważ jednak nie posiadał żyłki do przygód, przeto, nawet jako gambusino, klepał biedę jeszcze gorszą niż przedtem.

— Nie powinien był obierać tego zawodu!

— Łatwo wam to powiedzieć, senior. Miliony ludzi nie zostają tym, do czego mają zdolności, lecz tym, do czego się najmniej nadają. Może zresztą przystał do gambusinów z jakiegoś ukrytego powodu? Może dlatego, że do garabusinów należał jego brat, który był bardzo szczęśliwy? Pewnie spodziewał się, że spotka w ten sposób brata.

— To sprzeczność. Ten nicpoń brat miałby być szczęśliwym gambusinem, a mimo to pozbawić swego brata całego majątku? Przecież szczęśliwemu gambusinowi nie brak pieniędzy.

— Tak, lecz gdy je przehula prędzej, niż znajdzie lub zarobi, to muszą się w końcu wyczerpać. Był to rozrzutnik w najwyższym stopniu! A w.ięc tamten Harton przybył wreszcie do Chihuahua, gdzie rozpoczął pracę u mojego pryncypała. Tu go poznałem i polubiłem, co rzadko się zdarza między gambusinami, gdyż. jak łatwo sobie wyobrazić, poszukiwacze cennych metali są o siebie ogromnie zazdrośni. Odtąd chodziliśmy razem na poszukiwania.

— Jakżeż się wasz pan nazywa?

— Davis.

— Do stu piorunów, senior! Czy mówicie także po angielsku?

— Tak dobrze jak po hiszpańsku.

— To bądźcie tacy dobrzy i mówcie po angielsku, ponieważ są tu dwaj ludzie, którzy nie umieją po hiszpańsku, a bardzo ich zajmie wasze opowiadanie.

Wskazał na obu Langów.

— Dlaczego? — spytał gambusino.

— Zaraz się o tym dowiecie. Posłuchajcie, master Lange, ten człowiek jest poszukiwaczem złota w służbie niejakiego Davisa w Chihuahua.

— Co? Davisa?! — wykrzyknął Lange. — Wszak to pryncypał mojego zięcia!

— Tylko nie tak nagle, sir! Może być więcej Davisów.

— Jeśli ten master ma na myśli Davisa trudniącego się zyskownym skupem złotych i srebrnych min, to pomyłka jest wykluczona — rzekł gambusino.

— Tak jest! — zawołał Lange. — Czy znacie tego pana?

— Naturalnie! Pracuję u niego.

— A mego zięcia znacie także?

— Kto to jest?

— Nazywa się Uhlmann.

— To się zgadza. Jest dyrektorem kopalni z wysokimi tantiemami, a od kilku miesięcy sprawy tak się ułożyły, że niebawem zostanie wspólnikiem. Jesteście zatem jego teściem?

— Oczywiście! Jego żona, Agnieszka, jest moją córką.

— Nazywamy ją seniora Inez. Znamy ją wszyscy bardzo dobrze, sir! Słyszałem, że jej rodzice mieszkają w Missouri. Czy chcecie ją odwiedzić?

Lange odpowiedział twierdząco.

— W takim razie udajcie się nie do Chihuahua, lecz do bonancy, o której już mówiłem. Czy nie słyszeliście o niej jeszcze? Należy do waszego zięcia! Wyjechał on niedawno w góry dla wypoczynku i odkrył przy tym pokłady złota, jakich tu dotąd nie znano. Senior Davis posłał mu zaraz robotników, żeby natychmiast dotrzeć do pokładów. Pracują tam teraz pilnie, a znajdują tyle, że można się spodziewać, iż senior Davis zaproponuje seniorowi Uhlmannowi spółkę, co przyniosłoby obu wielkie korzyści.

— Co wy mówicie! Willu, czy słyszysz?

Z pytaniem tym zwrócił się Lange do syna, który jednak nie odpowiedział, gdyż szlochał z cicha i płakał łzami radości.

Oczywiście, że wszyscy ucieszyliśmy się nadzwyczajnie szczęściem naszych towarzyszy. Old Death jednak robił jakieś niewyraźne miny, których nie rozumiałem, chociaż zazwyczaj orientowałem się dość dobrze w ich znaczeniu.

Minęła chwila, zanim ucichły okrzyki radości i wzruszenia, po czym gambusino ciągnął dalej:

— Ja wraz z Hartonem pomagałem w urządzaniu bonancy, potem zaś wyruszyliśmy na poszukiwania na Mapimi. Jeździliśmy przez trzy dni w tych stronach, ale nie znaleźliśmy żadnych pokładów złota. Dziś przed południem zatrzymaliśmy się tu nad potokiem. Nie spaliśmy prawie całą noc, byliśmy więc bardzo znużeni zasnęliśmy. Kiedyśmy się zbudzili, otaczała nas gromada czerwonoskórych i białych jeźdźców.

— Jacy to byli Indianie?

— Czimarrowie. Czterdziestu Czimarrów i dziesięciu białych.

— Czimarrowie? To jeszcze najdzielniejsi z tutejszych hultajów! I oni to zabrali się do takich biedaków jak wy? Dlaczego? Czy żyją w nieprzyjaźni z białymi?

— Biali nigdy nie wiedzą, na jakiej są z nimi stopie, gdyż Czimarrowie nie są ani ich przyjaciółmi, ani wrogami. Unikają wprawdzie otwartych wystąpień, gdyż są na to za słabi, ale nie postępują nigdy tak, żeby można im było śmiało zaufać. To niebezpieczniejsze od jawnej wrogości, ponieważ nigdy się nie wie, jak należy się wobec nich zachować.

— W takim razie ciekaw jestem, dlaczego obeszli się z wami w ten sposób. Czy obraziliście ich czymkolwiek?

— Ani trochę. Ale senior Davis wyposażył nas bardzo dobrze. Każdy z nas miał dwa konie, dobrą broń, amunicję, żywność, narzędzia i wszystko, czego potrzeba na dłuższy pobyt w takiej pustej okolicy.

— Hm! To oczywiście wystarczy dla tych ludzi.

— Otoczyli nas i zapytali, kim jesteśmy i czego chcemy w tych stronach. Gdy powiedzieliśmy im prawdę, udali bardzo rozgniewanych, twierdząc, że Mapimi jest ich własnością razem ze wszystkim, co się w niej i na niej znajduje. Potem zażądali od nas wszystkiego, cośmy posiadali.

— A wy daliście?

— Ja nie. Harton postąpił rozsądniej ode mnie, dał bowiem wszystko, co miał, ja natomiast porwałem za rusznicę, nie dlatego, by do nich strzelać, gdyż wobec przemocy byłoby to wielkim głupstwem, lecz aby ich nastraszyć. Pokonali mnie oczywiście od razu, powalili i doszczętnie ograbili. Biali nie przyszli nam z pomocą! Wypytywali nas tylko o różne rzeczy, a ponieważ nie chciałem odpowiadać, przeto oćwiczyli mnie za to lassami. Harton był i tym razem mądrzejszy ode mnie. Nie znając ich zamiarów, powiedział im o wszystkim, nawet o nowej bonancy seniora Uhlmanna. Wówczas zaczęli słuchać pilniej, żądając, by im ją opisał. Wpadłem Hartonowi w słowo, prosząc, żeby zamilkł. On poczuł wreszcie, że nie można im ufać, i odmówił dalszych wyjaśnień. Za to skrępowano mnie i wkopano tutaj, Hartona zaś

bito tak długo, dopóki nie wyjawił wszystkiego. Ponieważ jednak napastnicy przypuszczali, że Harton starał się wprowadzić ich w błąd, przeto zabrali go z sobą i zagrozili mu śmiercią w największych męczarniach, jeśli do jutra wieczorem nie doprowadzi ich do bonancy.

Nie widziałem jeszcze u Old Deatha takiej miny, jaką przybrał w tej chwili, chociaż widywałem go już w rozmaitych nastrojach. W twarzy jego zarysował się wyraz dzikiej, nieubłaganej stanowczości. Głos jego zadrżał i stał się niemal ochrypły, kiedy zapytał:

— Sądzicie więc, że udali się stąd do bonancy?

— Tak. Chcą napaść na bonancę i ograbić ją. Są tam wielkie zapasy amunicji, żywności i innych przedmiotów, które mają dla tych opryszków wielką wartość. Srebra także jest tam mnóstwo.

— Do wszystkich diabłów! Będą się dzielić Biali zabiorą kruszce, a czerwonoskórzy — resztę. Jak daleko stąd do bonancy?

— Dobry dzień drogi. Mogą tam przybyć jutro wieczorem, jeśli Harton nie posłucha rady, którą mu dałem.

— Jakiej rady?

— Żeby kołował. Spodziewałem się, wbrew nadziei, że ktoś nadejdzie i uwolni mnie. Tego przechodnia chciałem poprosić, żeby czym prędzej pojechał do bonancy i ostrzegł jej załogę. Sam nie mógłbym tego zrobić, ponieważ zabrano mi konia.

Stary westman patrzył przez chwalę w zamyśleniu przed siebie, a potem rzekł:

— Najchętniej wyruszyłbym zaraz. Można aż do zmroku iść za tropem tych łotrów. Czy możecie mi opisać drogę tak dokładnie, żebym trafił i w nocy?

Gambusino zaprzeczył i ostrzegał poważnie przed nocną jazdą. Old Death postanowił zatem zaczekać do rana.

— Jest nas szesnastu — mówił dalej — i będziemy mieli do czynienia z czterdziestu czerwonoskórymi

z dziesięciu białymi, czyli razem z pięćdziesięciu ludźmi, nie potrzebujemy więc zbytnio się obawiać. Jak byli uzbrojeni Czimarrowie?

— We włócznie, łuki i strzały. Przywłaszczyli sobie nasze obydwa rewolwery i strzelby — odrzekł gambusino.

— To nic, gdyż nie umieją się obchodzić z taką bronią. Zresztą skorzystamy ze wszystkich okoliczności. Oprócz tego musimy się dowiedzieć, gdzie i jak położona jest bonanca. Mówiliście, ze można ją odnaleźć tylko przypadkiem. Nie mogę tego pojąć. Koło bonancy jest najprawdopodobniej woda. Takie potoki płyną zwykle parowem lub kanionem, a w tej bezdrzewnej okolicy nie trudno znaleźć kanion. Opiszcie mi więc to miejsce!

— Wyobraźcie sobie parów wcięty głęboko w las, rozszerzający się w środku, a dokoła otoczony stromymi skałami wapiennymi. Te skały kryją w sobie ogromne bogactwa srebra, miedzi i ołowiu. Wysokopienny las dochodzi górą aż do krawędzi parowu, a drzewa rosną nawet na ścianach. W tyle wytryska źródło i spływa od razu obfitym strumieniem. Ten parów albo raczej kotlina jest długa na dwie mile angielskie, a mimo to nie ma prawie nigdzie miejsca, którędy można by zejść po skałach. Jedyne wejście i wyjście znajduje się tam, gdzie z kotliny wypływa potok, a tam z kolei skały schodzą się tak ciasno, że obok wody jest miejsce tylko na trzech pieszych lub dwóch jeźdźców.

— W takim razie można się doskonale bronić przed napadem!

— Zapewne. Innego wejścia nikt nie znajdzie, przynajmniej nikt taki, kto tam nie mieszka. Ponieważ jednak pracujemy w środku kotliny i byłoby nam trudno za każdym razem tak daleko chodzić, senior Uhlmann kazał zbudować w jednym miejscu ścieżkę pnącą się po ścianie. Skała wznosi się tam nie pionowo, lecz stopniami. Semor polecił pościnać drzewa i postrącać je na stopnie tak, że leżą wsparte o skałę. W ten sposób utworzyła się od góry aż do dołu masa pni i konarów, pod których osłoną wyrąbano schody. Nikt obcy ich nie dostrzeże.

— Oho! Ja jestem gotów zaraz odkryć te słynne schody. Zdradziliście się sami wzmianką o ścinaniu drzew. Tam bowiem, gdzie są usunięte sztucznie drzewa, muszą lub musieli się znajdować ludzie.

— Gdy znajdziecie się w tym miejscu, nie domyślicie się, że te drzewa spuszczano sztucznie, z wielkim wysiłkiem, za pomocą lin i lass, nawet z narażeniem życia. Zrozumcie mnie dobrze! Nie ścinano drzew w zwykłym tego słowa znaczeniu. Nie widać ani jednego kawałka pnia. Senior Uhlmann kazał je wykopać z korzeniami tak, że zwolna nachylały się ku parowowi i podnosiły z ziemi cały kłąb korzeni. Około trzydziestu ludzi trzymało je potem na sznurach, aby nie runęły w kotlinę; ale zsunąwszy się zwolna, oparły się na właściwym występie skalnym.

— Czyż Uhlmann ma tylu robotników?

— Teraz czterdziestu.

— W takim razie nie ma wielkiego niebezpieczeństwa. Jak urządzone jest połączenie ze światem zewnętrznym?

— Za pomocą karawan z jucznymi mułami, które przybywają co dwa tygodnie, aby zaopatrzyć kotlinę we wszystkie potrzebne produkty i zabrać kruszec.

— Czy senior każe pilnować wejścia?

— Tylko w nocy, kiedy się śpi. Oprócz tego przez cały dzień krąży po okolicy strzelec wynajęty specjalnie w tym celu, aby zaopatrywał bonancę w dziczyznę. Jego uwadze nic ujść nie może.

— Czy Uhlmann postawił jakieś budynki?

— Nie. Sam mieszka w wielkim namiocie, w którym gromadzą się wszyscy po pracy. Drugi mniejszy namiot służy za skład na zapasy. Oba przytykają do ściany parowu. Dokoła stoją, zbudowane na razie z gałęzi, szałasy, w których obozują robotnicy.

— Ale ktoś obcy może z górnej krawędzi parowu zobaczyć jasne namioty!

— Nie, ponieważ pokrywają je gęste korony drzew, oprócz tego dachy zrobione są nie z białego płótna, acz z ciemnej materii gumowej.

— To już lepsze. Jakże z uzbrojeniem?

— Znakomicie! Każdy z robotników ma dubeltówkę, nóż i rewolwer.

— W takim razie niech sobie przychodzą kochani Czimarrowie. Oczywiście, że my powinniśmy przybyć przed nimi. Trzeba jutro dobrze popędzić konie. A teraz spróbujemy zasnąć. Wobec tego, co czeka nas jutro, musimy dobrze wypocząć, my i konie.

Chociaż poprzedniej nocy ani chwili nie spałem, teraz też nie mogłem zasnąć. Podniecała mnie myśl, że jutro schwytam Gibsona. Old Death także nie spal. Przewracał się co chwila z jednego boku na drugi, co było u niego rzeczą rzadką. Słyszałem, jak wzdychał i mruczał do siebie jakieś słowa, których nie rozumiałem, chociaż leżałem tuż obok niego. Coś mu widocznie ciążyło na sercu. Już w czasie rozmowy o gambusinie Hartonie jego zachowanie zwróciło moją szczególną uwagę, ale tłumaczyłem je sobie tym, że Old Death znał zapewne tego człowieka. Czyżby jednak stosunek do niego był czymś więcej niż stosunkiem do zwyczajnego znajomego?

Po paru godzinach leżenia zauważyłem, że Old Death wstał. Zaczął nasłuchiwać, czy oddychamy regularnie i śpimy, po czym odwrócił się i ruszył wzdłuż potoku. Stojący na straży Indianin nie przeszkodził mu w tym oczywiście. Minął jeden kwadrans, drugi i trzeci, a on nie powracał. Wobec tego wstałem i udałem się za nim.

Ujrzałem go dopiero po dziesięciu minutach drogi. Stał tyłem do mnie nad potokiem, wpatrzony w księżyc. Nie starałem się stąpać cicho, ale trawa głuszyła odgłos moich kroków. Mimo to Old Death usłyszałby je, gdyby nie był tak zamyślony. Dopiero kiedy stanąłem tuż za nim, odwrócił się, wyrwał rewolwer zza pasa i huknął na mnie;

— Do wszystkich diabłów! Kto jesteście? Po co się tu skradacie? Czy chcecie dostać kulą?

Wtem zamilkł. Widocznie był daleko od nas myślami, skoro mnie dotąd nie poznał.

— Ach, to wy! — mówił dalej, — Byłbym was poczęstował kulą, gdyż naprawdę wziąłem was za obcego. Czemu nie śpicie?

— Ponieważ nie daje mi spokoju myśl o Gibsonie i Ohercie.

— Tak? Wierzę bardzo. No, jutro będziemy ich mieli wreszcie w ręku albo niech się nie nazywam Old Death. Zresztą nie mógłbym ich już dłużej ścigać, gdyż muszę zostać w bonancy.

— Wy? Dlaczego? Czy to tajemnica?

— Tak.

— W takim razie uszanuję ją i nie będę wam dłużej przeszkadzał. Słyszałem wasze westchnienia, sądziłem więc, że będę mógł wam ulżyć w cierpieniu, które wam dolega. Dobranoc, sir!

Odwróciłem się, aby odejść. Ledwo zrobiłem parę kroków, doleciały mnie jego słowa:

— Master, nie uciekajcie! To prawda, co mówicie o mym cierpieniu. Ciąży mi ono bardzo. Wiem, że umiecie milczeć i że jesteście dobrym człowiekiem, który nie osądzi mnie zbyt surowo. Toteż dowiecie się teraz, co mnie gnębi. Wszystkiego mówić nie potrzebuję, wystarczy, że powiem pokrótce, a reszty sami się z łatwością domyślicie.

Wziął mnie pod ramię i ruszyliśmy zwolna wzdłuż potoku.

— Co wy właściwie o mnie myślicie? — zapytał znienacka. — Co sądzicie o moim charakterze... o... o... moralnym Old Deathie?

— Jesteście człowiekiem honoru, dlatego kocham was i szanuję.

— Ha! Czy popełniliście kiedykolwiek przestępstwo?

— Hm! — mruknąłem. — Robiłem na złość rodzicom i nauczycielom. Przełaziłem przez płot do sadu sąsiada. Obijałem innych chłopców, którzy byli odmiennego . zdania niż ja, i tak dalej!

— Nie plećcie głupstw! Ja myślę o prawdziwym przestępstwie, za które się odpowiada przed sądem.

— Nie, nic takiego sobie nie przypominam.

— W takim razie jesteście szczęśliwym człowiekiem, sir. Zazdroszczę wam. Nieczyste sumienie to największa kara! Żadne więzienie nie dorówna okropności tej kary.

Powiedział to takim tonem, że wzruszył mnie głęboko.

Tak, ten człowiek wlókł za sobą ciężar jakiejś zbrodni — w przeciwnym razie nie mówiłby z takim przejęciem. Milczałem. Upłynęła długa chwila, nim zaczął mówić dalej:

— Master, nie zapominajcie o tym, że istnieje sprawiedliwość. Sąd znajduje się także w sumieniu człowieka i dniem i nocą grzmi mu w uszy wyrokiem. Muszę sobie ulżyć, muszę wam to powiedzieć. Czemu właśnie wam? Bo pomimo swej młodości wzbudziliście we mnie wielkie zaufanie, a poza tym mam jakieś dziwne przeczucie, że jutro może się stać coś, co nie pozwoli staremu westmanowi wyznać win.

— Co z wami, sir! Nie myślicie chyba o śmierci?

— Niestety, zdaje mi się, że ona wkrótce przyjdzie — potwierdził kiwając głową. — Słyszeliście, co mówił gambusino o kupcu Hartonie. Co sądzicie o bracie tego człowieka?

Teraz dopiero zacząłem się domyślać prawdy. Odpowiedziałem więc łagodnie:

— Był to człowiek lekkomyślny.

— Pshaw! Chcecie wydać łagodny wyrok? Powiadam wam, że lekkomyślny bywa o wiele niebezpieczniejszy niż zły. Złego poznać można z daleka, lekkomyślny natomiast jest przeważnie miłym, ujmującym człowiekiem i dlatego jest czasem dla społeczeństwa o wiele bardziej niebezpieczny. Ja właściwie nie byłem nigdy zły, lecz lekkomyślny, bezdennie lekkomyślny. Owym Henry Hartonem, który roztrwonił majątek swego brata, jestem... ja!

— Ależ, sir, przedstawiliście mi się pod innym nazwiskiem!

— Oczywiście! Przybrałem sobie inne, ponieważ zbezcześciłem to, które nosiłem. Żaden zbrodniarz nie powiada chętnie o swym upadku. Czy przypominacie sobie, co wam powie-

działem w Nowym Orleanie, że zacna moja matka wskazała mi drogę do szczęścia, ja go jednak szukałem zupełnie gdzie indziej?

— Przypominam sobie.

— Nie będę więc tracił wielu słów. Matka moja, umierając, wskazała mi drogę cnoty, ja jednak zszedłem na manowce lekkomyślności. Chciałem się wzbogacić, posiąść miliony. Spekulowałem nierozumnie, straciłem ojcowiznę i honor kupiecki. Wobec tego przyłączyłem się do poszukiwaczy złota. Miałem szczęście i znalazłem go mnóstwo. Roztrwoniłem je jednak równie szybko i z kolei stałem się namiętnym graczem. Męczyłem się miesiącami przy kopaniu złota, aby potem w pięć minut stracić cały zarobek, ale i to mi nie wystarczało. Nie zdobywałem takich sum, jakie chciałem posiadać. Pewnego razu zapragnąłem — ostatni głupiec! — postawić na raz sto tysięcy dolarów, aby rozbić bank, a potem z pomocą tego wszystkie inne banki. Udałem się do Meksyku, zostałem gambusinem. Z początku szczęście sprzyjało mi ogromnie, ale w końcu wszystko przegrałem. Takie życie poderwało mnie także fizycznie, a w dodatku zacząłem palić opium. Byłem przedtem mocny i muskularny, teraz wyglądałem jak ostatni cherlak. Tak dalej już być nie mogło. Ludzie patrzyli na mnie ze wstrętem, a wszystkie psy szczekały na mój widok. Wówczas spotkałem się z bratem, który miał sklep w San Francisco. Poznał mnie mimo wszystko i wziął do swego domu. O czemuż to zrobił! Gdyby mi pozwolił zginąć! Oszczędziłby sobie nieszczęścia, a mnie jeszcze gorszych wyrzutów sumienia!

Zamilkł na chwilę. Westchnął ciężko. Poczułem przypływ wielkiej litości.

— Byłem zmuszony sprawować się dobrze — mówił dalej Old Death. — Brat uwierzył, że się poprawiłem, i dał mi posadę w swoim sklepie. Ale szatan gry drzemał tylko, a gdy się zbudził, porwał mnie jeszcze mocniej w swe szpony. Naruszyłem kasę — chciałem zmusić szczęście, by mi służyło! Wystawiałem fałszywe weksle, by pieniądze poświęcić molochowi hazardu, Przegrywałem i przegrywałem, aż w końcu nie było już ratunku. Wtedy uciekłem. Brat popłacił sfałszowane weksle i stał się przez to żebrakiem. Wyjechał wówczas wraz ze swym małym synkiem, pochowawszy przedtem żonę, która zmarła ze zmartwienia. Dowiedziałem się o tym dopiero po wielu latach, gdy odważyłem się zajrzeć do Frisco. Wrażenie, jakie wywołała ta wiadomość, pchnęło mnie na lepsze tory. Zacząłem znowu pracować jako gambusino, nie bez szczęścia. Przybyłem więc po raz drugi do Frisco, aby wynagrodzić bratu szkodę, ale go również nie zastałem. Odtąd szukałem go wszędzie bez skutku. To niespokojne, koczownicze życie uczyniło ze mnie poszukiwacza ścieżek. Gry zaniechałem zupełnie, opium nie palę także, żuję go tylko czasem w znikomo małych dawkach z tytoniem. Oto moje wyznanie, a teraz odwróćcie się ode mnie. Nie mam nic przeciwko temu, gdyż zasłużyłem na to!

Puścił moją rękę, usiadł na trawie, wsparł łokcie na kolanach, a twarz ukrył w dłoniach. Siedział tak długi czas w milczeniu, ja zaś stałem obok pełen różnorodnych uczuć, których niesposób opisać. W końcu zerwał się znowu, wpatrzył się we mnie przejmującym wzrokiem i zapytał;

— Wy jeszcze tutaj? Czy nie boicie się takiego nędznika?

— Bać się? Nie. Żal mi was serdecznie, sir. Nagrzeszyliście wiele, ale też wiele przecierpieliście, a wasza skrucha jest szczera. Jakżebym śmiał rościć sobie prawo do wydawania wyroku! Ja sam jestem grzesznikiem i nie wiem, jakie jeszcze pokusy przyniesie mi życie.

— Wiele wycierpiałem? Tak, macie słuszność, wielką słuszność! Mój Boże, czymże są dźwięki fanfar całego świata wobec głosu sumienia człowieka, który poczuwa się do winy? Muszę naprawić krzywdę — ile tylko zdołam. Jutro zobaczę nareszcie brata. Doznaję wrażenia, jak gdyby wschodziło dla mnie jakieś słońce, ale już nie na ziemi, Co innego jednak chciałem wam powiedzieć i o co innego prosić. Czy spełnicie moje życzenie?

— Z całego serca!

— To posłuchajcie! Wiecie, że nawet kiedy przez pewien czas nie mam konia, włóczę z sobą siodło. Dzieje się to dla słusznego powodu. Pod podszewką znajdują się rzeczy przeznaczone dla mego brata, ale wyłącznie dla mego brata. Zapamiętacie to sobie, sir?

— To prośba nad wyraz skromna.

— Nie tak bardzo. Ale może się jeszcze kiedyś dowiecie, jak wielkie pokładam w was zaufanie, skoro proszę was, żebyście o tym nie zapomnieli. A teraz odejdźcie, sir! Zostawcie mnie samego! Wydaje mi się, jak gdybym musiał dziś w nocy raz jeszcze przeczytać księgę mych win. Jutro może już nie będzie na to czasu. Proszę was, idźcie! Spijcie dobrze. Wasze sumienie jest czyste. Dobranoc, sir!

Wróciłem powoli do obozu i położyłem się. Zasnąłem dopiero w parę godzin później na krótko przed samym brzaskiem, a starego westmana jeszcze nie było. Gdy nas zbudzono, siedział już w siodle. Gambusino oświadczył, że z wyjątkiem niewielkiego bólu w plecach czuje się zupełnie dobrze i rześko. Opasano go jedną derką jak spódnicą, na to zarzucono drugą jako płaszcz, jeden z Apaczów wziął go na swego konia i ruszyliśmy w drogę.

Jechaliśmy znów przez głębokie kaniony aż do południa, dopiero o tej porze skończył się ten uciążliwy teren. Odtąd droga prowadziła przez porosłe trawą równiny, w których miejscami wznosiły się wzgórza. Trop Czimarrów mieliśmy ciągle przed sobą.

Wtem gambusino zatrzymał nas i rzekł z zadowoleniem:

— Tu musimy zboczyć z tropu. Harton posłuchał mej rady i zaczął kołować. My skierujemy się teraz na prawo, bo tam wiedzie prosta droga.

— Well! Prowadźcie nas!

Na północnym zachodzie, dokąd teraz zdążaliśmy, rozłożyły się na widnokręgu niebieskawe masywy, które gambusino określił jako góry. Były one jednak tak daleko, że dopiero po kilku godzinach poznaliśmy, że się do nich zbliżamy. Po południu odpoczęliśmy przez krótki czas i ruszyliśmy ze zdwojoną szybkością. Wreszcie ujrzeliśmy pierwszy, choć nędzny krzak, potem pojawiło się ich więcej, aż w końcu otwarła się przed nami preria pokryta licznymi kępami zarośli.

Odżyliśmy na nowo, a konie nasze trzymały się znakomicie. Były to zupełnie inne zwierzęta niż te, które nam dał senior Atanasio. Kłusowały tak raźno, jak gdybyśmy dopiero przed chwilą wyruszyli z obozu.

Tymczasem odległość między nami a górami zmniejszyła się znacznie. Był też już czas po temu, gdyż słońce chyliło się ponad ich szczytami ku zachodowi. Wkrótce ujrzeliśmy w samym środku prerii pierwsze drzewo z poszarpanymi przez burzę konarami. Powitaliśmy je jako zwiastuna upragnionego lasu. Potem ukazało się ich więcej z prawej i z lewej strony, aż utworzyły gaj rosnący na stromym zboczu. Przez gaj ten wydostaliśmy się na w/górze, za którym teren opadał stromo ku niezbyt głębokiej dolinie. Musieliśmy zjechać w dół, aby przeciąć dolinę, stamtąd zaś zaczynała się znowu dość znaczna wyżyna, naga wprawdzie i łysa po bokach, ale na grzbiecie pokryta drzewami. Wzdłuż tego grzbietu jechało się pod koronami drzew, a potem stromo w dół przez parów, a następnie znowu pod górę na małe, bezdrzewne, ale porosłe trawą płaskowzgórze. Tu ujrzeliśmy pas zgniecionej trawy ciągnący się prostopadle do kierunku naszej drogi.

— Trop! — zawołał gambusino. — Kto mógł tędy przejeżdżać? — I zsiadł z konia, by zbadać ślady.

— Ja to widzę z siodła — rzekł gniewnie Old Death. — Taki trop może zostawić tylko gromada licząca ponad czterdziestu jeźdźców. Przybywamy zatem za późno.

— Sądzicie istotnie, że to byli Czimarrowie?

— Stanowczo tak, senior!

Winnetou zsiadł również, poszedł kawałek drogi za tropem, po czym oświadczył:

— Dziesięć bladych twarzy, a czterdziestu czerwonoskórych. Przeszli tędy przed godziną.

— Cóż wy na to, senior gambusino? — spytał Old Death.

— Jeśli tak jest naprawdę, to możemy ich przecież jeszcze przegonić — odrzekł zapytany. — Przed napadem będą badali okolicę, a to wymaga czasu.

— Oni zmuszą Hartona, żeby im wszystko opisał, nie będą więc tracili czasu na długie poszukiwania.

— Ale Indianie atakują zawsze przed rannym brzaskiem.

— Zabierajcie się ze swoim brzaskiem! Wiecie przecież, że są z nimi biali! Diabła tam będą zważali na obyczaje czerwonóskórych. Założyłbym się, że wejdą do bonancy w biały dzień. Postarajcie się zatem, żebyśmy się tam jak najprędzej dostali!

Ostrogi poszły w ruch i popędziliśmy przez równinę, ale w innym kierunku niż Czimarrowie, Harton poprowadził ich nie ku wejściu do bonancy, lecz na jej tylną krawędź. My zaś dokładaliśmy starań, aby jak najszybciej dostać się do jej wnętrza. Niestety, ciemność zaczęła teraz szybko zapadać, a na domiar złego wjechaliśmy w las na zupełne bezdroża. Musieliśmy to zjeżdżać na dół, to znów piąć się pod górę, zdając się całkowicie na kroczącego przed nami gambusina oraz na oczy koni. Konary i gałęzie biły nas po twarzy i zachodziła obawa, że nas zmiotą z siodeł. Pozsiadaliśmy więc i poszliśmy dalej piechotą, prowadząc konie za . uzdy, z rewolwerami w drugiej ręce, ponieważ w każdej chwili mogliśmy się spotkać z nieprzyjacielem. Nareszcie usłyszeliśmy szmer wody.

— Jesteśmy przy wejściu — szepnął gambusino. — Uważajcie teraz! Na prawo jest woda. Trzymajcie się skały po lewej stronie i idźcie po jednemu!

— Ładnie! — rzekł Old Death. — Tu w nocy straże nie stoją?

— Teraz jeszcze nie. Jeszcze nie nadszedł czas nocnego spoczynku.

— Ładna gospodarka! I w dodatku w bonancy! Jaka tam droga? Ciemno, że oko wykol!

— Ciągle prosto. Grunt równy. Aż do namiotu nie ma żadnej przeszkody.

Widzieliśmy w ciemności tylko tyle, że przed namii ciągnie się otwarte dno doliny. Na lewo wznosiły się wysoko czarne masy ścian skalnych, na prawo szemrała woda. Wznoszącego się za nią zbocza góry nie mogliśmy dojrzeć. Tak szliśmy, prowadząc jeszcze ciągle konie za uzdy. Gambusino, Old Death i ja otwieraliśmy pochód. Wtem wydało mi się, że dostrzegłem jakąś postać przemykającą się pomiędzy nami a skałą. Zwróciłem na to uwagę innych, wobec czego zatrzymaliśmy się i zaczęliśmy nadsłuchiwać. Nic jednak się nie odezwało.

— Ciemność zwodzi — rzekł gambusino. — Co prawda, za nami znajduje się ukryte wejście na górę.

— Ta postać mogła właśnie zejść stamtąd — powiedziałem.

— W takim razie nie byłoby obawy, gdyż musiałby to być przyjaciel. Ale mieszkaniec doliny nie ma tu teraz czego szukać. Zdawało wam się tylko, senior.

Na tym skończyła się ta sprawa, która potem sprowadziła na nas straszne nieszczęście. Wkrótce zobaczyliśmy niepewne światło lamp przedostające się przez ściany namiotu i usłyszeliśmy głosy ludzkie.

— Wy zaczekajcie na resztę rzekł Old Death do gambusina, który szedł z nami przodem i powiedzcie, by się zatrzymali przed namiotem, dopóki nie zawiadomimy seniora Uhlmanna.

Tętent naszych koni musiano słyszeć w namiocie, mimo to jednak nie uchylono drzwi.

— Chodźcie ze mną, sir! — rzekł stary. — Zobaczycie, jaką radość i niespodziankę im sprawimy. Zauważyliśmy już, gdzie znajdowały się drzwi w kształcie zasłony. Old Death wszedł pierwszy.

— To już oni! — zawołał nagle jakiś głos. — Nie wpuszczajcie go do środka!

I oto w trakcie tych słów padł strzał. Ujrzałem, jak stary westman pochwycił oburącz ramę drzwi, a równocześnie dostrzegłem kilka zwróconych ku drzwiom wylotów strzelb. Old Death nie mógł się już utrzymać na nogach i osunął się na ziemię.

— Moje przeczucie... mój brat... Przebaczenia... Siodło!... — jęknął.

— Senior Uhlmann, nie strzelajcie, na miłość Boga! — krzyknąłem. — Jesteśmy przyjaciółmi. Z nami jest wasz teść i szwagier. Przychodzimy, by was obronić przed zamierzonym napadem.

— Mój Boże! Przyjaciele! — odpowiedziano z wnętrza. — Czy to prawda?

— Tak, nie strzelajcie! Wpuśćcie mnie, tylko mnie samego!

— To wejdźcie, ale nikt więcej!

Wszedłem i zastałem tam kilkunastu mężczyzn uzbrojonych w strzelby. Świeciły się trzy lampy zwisające ze stropu namiotu. Naprzeciw mnie wyszedł młody człowiek, obok niego stał jakiś wynędzniały i obdarty mężczyzna.

— Czy ten był z nimi, Hartonie? — zapytał ów młody.

— Nie, senior!

— Nonsens! — zawołałem. — Nie przeprowadzajcie tu śledztwa. My jesteśmy przyjaciółmi, ale nieprzyjaciel jest tuż za nami. Może nadejść każdej chwili. Ten człowriek nazywa się Harton? Czy to jego wlekli z sobą Czimarrowie już od dłuższego czasu?

— Tak, ale im umknął. Wszedł tu zaledwie przed dwiema minutami.

— Więc to wy przekradaliście się obok nas, master Harton? Widziałem was, ale moi towarzysze mi nie wierzyli. Kto wystrzelił?

— Ja — rzekł jeden z obecnych.

— Zabiliśoie człowieka, któremu zawdzięczacie swoje ocalenie! — powiedziałem, ale odetchnąłem, ponieważ przychodziło mi już na myśl, że to może brat zastrzelił brata.

Old Death trafiony w samo serce nie żył już. Murzyn Sam wniósł go z łąki do namiotu i położył wśród głośnego lamentu.

Wtem weszli obaj Langowie, a za nimi gambusino, który nie mógł już dłużej wytrzymać. Teraz nastąpiła chaotyczna, gwarliwa scena radości, do której przyłączyli się mieszkańcy z pobliskich szałasów. Cóż dopiero, gdy z drugiego przedziału namiotu wyszły dwie kobiety. Jedna z chłopczykiem na rękach była niańką. Druga, seniora Inez, padła w ramiona ojca i brata.

Kiedy wszyscy, zajęci sobą, żywo rozmawiali, zapytałem Hartona, jak mu się udało uciec.

— Wyprowadziłem ich lasem na tył doliny — zaczął opowiadać — gdzie rozłożyli się obozem, a wódz po-. szedł na zwiady. Kiedy zmrok zapadł, ruszyli w drogę, zostawiając konie pod opieką kilku strażników. Leżałem ze związanymi rękami i nogami. Jakoś zdołałem uwolnić najpierw ręce, a następnie nogi, po czym pomknąłem szybko ku ukrytym schodom. Zauważyłem was, a myśląc, że to wrogowie, pospieszyłem tu, gdzie zastałem zgromadzoną większość robotników, którym doniosłem o grożącym napadzie. Pierwszy, który szedł, padł od strzału.

— Obyście raczej zostali tam, gdzie byliście! Spowodowaliście straszne nieszczęście. Ale z waszych słów wnioskuję, że te łotry mogą się tu zjawić lada chwila. Trzeba zrobić porządek.

Zwróciłem się oczywiście wprost do Uhlmanna, owego młodzieńca, który w chwili mojego wejścia stał obok Hartona. Poinformowałem go w krótkich słowach o stanie rzeczy i z jego pomocą w niespełna dwie minuty wydane zostały wszystkie zarządzenia. Konie nasze zaprowadzono dalej w głąb doliny. Apacze ustawili się za namiotem, a obok nich robotnicy Uhlmanna. Wyniesiono nad strumień beczkę nafty i flaszkę benzyny. Odbito pokrywę beczki, a jeden z robotników miał na umówiony znak wlać benzynę do nafty, zapalić ją, a potem zepchnąć beczkę do wody. Płonąca nafta płynąc po wodzie powinna była oświetlić całą dolinę.

Stało teraz pięćdziesięciu ludzi gotowych na przyjęcie nieprzyjaciół. Liczbą dorównywaliśmy napastnikom, a przewyższaliśmy ich uzbrojeniem. Kilku doświadczonych robotników wysłano do wejścia, aby donieśli o zbliżaniu się wrogów.

Na tylnej ścianie namiotu rozluźniono pierścienie, aby móc tamtędy wchodzić i wychodzić.

Kobiety z dzieckiem zaprowadzono do tylnej części doliny. W namiocie pozostałem tylko ja, Uhlmann, Winnetou i obydwaj Langowie. Sam towarzyszył Apaczom. Po dziesięciu mi-

nutach wszedł jeden z wysłanych naprzód ludzi i doniósł, że przyprowadził dwóch białych, którzy pragną złożyć swoje uszanowanie seniorowi Uhlmannowi. Za tymi białymi jednak zauważono pewien ruch, z czego należy wnosić, że reszta zbliża się także. Obu obcym przybyszom pozwolono wejść, przedtem jednak ukryłem się wraz z obydwoma Langami i Winnetou w drugiej części namiotu.

Tymi dwoma białymi byli ku memu zdumieniu Gibson i Ohlert. Powitano ich uprzejmie i poproszono, żeby usiedli, co też obaj uczynili. Gibson przedstawił się jako geograf Gavilano, który razem z kolegą zwiedza góry. Oświadczył, że niedaleko stąd rozbił obóz, a wkrótce potem do obozu tego przybył pewien gambusino, niejaki Harton, który poinformował go, że tu znajduje się porządne mieszkanie. Ponieważ kolega jego zachorował ─ mówił dalej Gibson ─ przeto poprosił Hartona, żeby go tu przyprowadził i zapytał seniora Uhlmanna, czyby się nie zgodził przyjąć chorego na nocleg.

Nie zastanawiając się nad tym, czy podstęp Gibsona jest obmyślony dobrze, czy głupio, wyszedłem z kryjówki. Na mój widok Gibson zerwał się na równe nogi i wpatrzył się we mnie z wyrazem najwyższego przerażenia.

─ Czy Czimarrowie, którzy idą za wami, także zachorowali, master Gibson? ─ zapytałem. ─ Wiliam Ohlert nie tylko zostanie tutaj, lecz pójdzie ze mną, a i was także zabiorę.

Ohlert siedział jak zwykle, nie biorąc w niczym udziału, Gibson jednak szybko się opamiętał.

─ Łotrze! ─ krzyknął na mnie. ─ Aż tutaj ścigasz uczciwych ludzi?

─ Milcz! ─ przerwałem mu. ─ Jesteś moim jeńcem!

─ Jeszcze nie! ─ odparł z wściekłością. Miał strzelbę w ręku i zamierzył się na mnie kolbą. Odepchnąłem jego rękę, przez co zrobił pół zwrotu, strzelba zatoczyła łuk i trafiła w głowę Ohlerta, który upadł natychmiast na ziemię. W następnej chwili wtargnęli do namiotu robotnicy i wycelowali strzelby w Gibsona.

─ Nie strzelać! ─ zawołałem chcąc go wziąć żywcem, ale było już za późno. Huknął strzał i Gibson runął z przestrzeloną głową na ziemię.

Na ten strzał, jakby na znak umówiony przez Gibsona ze wspólnikami, rozległo się w pobliżu wejścia indiańskie wycie wojenne. To wpadli Czimarrowie i sprzymierzeni z nimi biali.

Uhlmann wybiegł na dwór, inni za nim. Jego głos, strzały i krzyki ludzi mieszały się z sobą wśród ciszy nocnej. Zostałem w namiocie sam z nieprzytomnym Ohlertem. Ukląkłem przy nim, aby się przekonać, czy żyje. Tętno biło, więc poczułem się spokojniejszy. Mogłem wziąć udział w walce.

Wyszedłszy zobaczyłem, że to już zbyteczne. Płynąca potokiem nafta oświetliła dolinę. Było jasno jak w dzień. Przyjęto nieprzyjaciół zupełnie inaczej, niż się tego spodziewali. Kilku z nich leżało na ziemi, a reszta umykała ku wyjściu, ścigana przez zwycięzców. Tu i ówdzie pojedynczy napastnicy walczyli jeszcze z dwoma lub trzema ludźmi Uhlmanna, lecz oczywiście bez żadnej nadziei zwycięstwa. W kilka minut potem na placu boju nie było już nikogo.

Pierwszy wrócił z pościgu Harton. Nie miał on oczywiście najmniejszego pojęcia o tym, kto był jedynym poległym z naszej strony, i to poległym od kuli przyjaciela. Poszedłem z nim w głąb doliny. Wokoło płonęło już kilka roznieconych ognisk. Usiedliśmy w ciemnym miejscu, po czym rozpocząłem swoją opowieść.

Harton płakał głośno i rozdzierająco jak dziecko. Kochał brata zawsze, dawno mu już przebaczył i został gambusinem w nadziei, że go gdzieś spotka. Prosił, żebym mu opowiedział wszystko, począwszy od mego pierwszego spotkania z Old Deathem aż do chwili, kiedy dosięgła go zabłąkana kula. Chciał znać każde zamienione przez nas słowo, a gdy po paru godzinach wróciliśmy do namiotu i stanęliśmy u wezgłowia zmarłego, poprosił mnie, żebym go pokochał tak jak jego biednego brata.

Rankiem przy niesiono siodło Old Deatha i obaj, tylko w cztery oczy, odpruliśmy podszewkę. Znaleźliśmy portfel, cienki wprawdzie, lecz o bogatej zawartości. Zmarły pozostawił przekazy bankowe na znaczną sumę, a co ważniejsze ─ dokładnie narysowany plan pewnej miejscowości w Sonorze, gdzie odkrył wielce obiecującą bonancę. Od tej chwili był Fred Harton bardzo bogatym człowiekiem.

Jakie plany miał Gibson co do Ohlerta, nie podobna się było dowiedzieć. Nawet siostra jego, Feliza Perillo, do której wiodła ich droga, nie zdołała tego wyjaśnić. Znalazłem przy nim tylko pieniądze, wszystkie zresztą, które podjął na nazwisko Ohlerta, oczywiście oprócz tego, co wydał na podróż.

Ohlert żył, lecz ciągle jeszcze nie mógł przyjść do siebie po ogłuszeniu. Należało się zatem spodziewać, że będzie musiał zabawić tu nieco dłużej, co było mi nawet na rękę, gdyż mogłem wypocząć po trudach i poznać gruntownie życie w bonancy. Potem zamierzałem oddać Ohlerta pod opiekę zdolnego lekarza w Chihuahua.

Old Deatha pochowano. Wystawiliśmy mu pomnik z krzyżem ze srebrzystego kruszczu. Brat jego zrezygnował z pracy u Uhlmanna, aby odpocząć po trudach i przykrościach, na które był ciągle narażony jako gambusino.

Uhlmann i jego żona byli bardzo uszczęśliwieni przybyciem obydwóch krewnych. Byli to mili, gościnni ludzie, którym z serca życzyłem szczęścia.

Harton, żegnając się z nimi i ze mną, prosił mnie, żebym mu towarzyszył w poszukiwaniu bonancy. Nie mogłem mu dać stanowczej odpowiedzi i pocieszałem go nadzieją, że przybędę wkrótce do Chihuahua.

Winnetou postanowił powrócić do domu wraz ze swymi dziesięcioma Apaczami, których Uhlmann obdarował sowicie.

Murzyn Sam odjechał razem z Hartonem i z pewnością wykonał szczęśliwie polecenie Cortesia, ale czy wrócił do niego, tego już nie wiem.

W dwa miesiące potem siedziałem u poczciwego braciszka Benito z kongregacji El Buono Pastor w Chihuahua. Jemu to, jako najsłynniejszemu lekarzowi północnych prowincji, powierzyłem mojego pacjenta. Udało mu się też uzdrowić go całkowicie. Powiadam „całkowicie", gdyż wraz ze zdrowiem fizycznym powróciło także duchowe. Wiliam był rześki l zdrowy, a chwilami nawet wesoły i tęsknił do ojca, nie wiedząc o tym, że właśnie go tu oczekiwałem. Ojciec bowiem, gdy mu doniosłem o znalezieniu Wiliama, zawiadomił mnie, że sam przyjedzie po syna. Przy sposobności prosiłem go, żeby mi załatwił zwolnienie z pracy u Taylora. Z każdym dniem nabierałem coraz więcej ochoty, by udać się z Hartonem do Sonory.

Harton odwiedzał nas codziennie. Zaprzyjaźnił się ze mną serdecznie i cieszył się również bardzo powracającym zdrowiem pacjenta. Młody Ohlert nie chciał już nawet słyszeć słowa „poeta". Przypominał sobie każdą nieomal godzinę życia, czas jednak od momentu ucieczki z Gibsonem aż do obudzenia się w bonancy tworzył jeszcze w jego pamięci pustą kartę.

Pewnego dnia siedzieliśmy tak razem, zakonnik, Ohlert, Harton i ja, opowiadając o tym. cośmy przeżyli, i układając plany na przyszłość. Wtem zapukał służący i wprowadził do izby starszego mężczyznę, na którego widok Wiliam wydał okrzyk radości. Wiedział już (oczywiście ode mnie), jaką boleść i jakie kłopoty sprawił ojcu. Rzucił się więc z płaczem w jego ramiona, a my wyszliśmy cicho z pokoju.

Później oczywiście musieliśmy opowiedzieć ojcu szczegółowo o wszystkich naszych przygodach, a on słuchał pełen radości, że odnalazł syna. Ohlert senior przywiózł mi zwolnienie z pracy, wobec tego Fred Harton otrzymał ode mnie upragnione słowo, że będę mu towarzyszył. Pragnęliśmy oczywiście gorąco, żeby jeszcze ktoś trzeci wziął udział w tej podróży. Tym trzecim był nie kto inny jak nieodżałowanej pamięci Old Death! Niestety, stało się inaczej.

ROZDZIAŁ V

OLD FIREHAND

Mógłbym wiele, bardzo wiele napisać o tym, co przeżyłem z Hartonem, ale ponieważ tutaj chodzi przede wszystkim o Winnetou, którego z nami nie było, przeto powiem tylko, że po długich trudach, przygodach i walkach udało nam się szczęśliwie znaleźć bonancę. Z udziału, jaki mi w niej przyznał Fred, nie miałem ochoty korzystać na stałe, toteż sprzedałem go za sumę, która wynagrodziła mi sowicie straty poniesione podczas rozbicia okrętu. Pożegnawszy się z Hartonem, pojechałem nad Rio Pecos do puebla Apaczów, gdzie mnie przyjęto jak brata. Nie zastałem jednak niestety Winnetou, gdyż objeżdżał wtedy właśnie wszystkie osiedla Apaczów.

Apacze prosili, żebym zaczekał na niego, ponieważ jednak jego podróż miała trwać pół roku, przeto ruszyłem tymczasem do Kolorado, aby potem przez Kanzas powrócić do St. Louis. W drodze przyłączył się do mnie Anglik Emery Bothwell, którego później, jak się moi mili czytelnicy dowiedzą, spotkałem na Saharze.

Wszystko, co przeżyłem dawniej z Winnetou, potem z Fredem Hartonem, a teraz z kolei z Bothwellem, rozeszło się głośnym echem. Kiedy więc przybyłem do St. Louis, zdumiałem się, że nazwisko „Old Shatterhand" było na wszystkich ustach. Mój kochany mr. Henry, zauważywszy moje zdumienie, rzekł zwykłym swoim sposobem:

— A to z was ptaszek! Przeżywacie w jednym miesiącu więcej przygód niż niejeden człowiek przez dwadzieścia lat, przebijacie się przez wszelkie niebezpieczeństwa tak szczęśliwie jak kula pistoletowa przez bibułę, idziecie jako młody greenhorn w zawody z najbardziej doświadczonym westmanem, obalacie okrutne prawa Dzikiego Zachodu, oszczędzając nawet śmiertelnego wroga, a potem gębę otwieracie ze zdumienia nad tym, że o was mówią. Powiadam wam, że co do sławy, to zapędziliście w tak krótkim czasie w kozi róg nawet sławnego Old Firehanda, a on jest od was dwa razy starszy. Okrutnie się cieszyłem waszą sławą, gdyż to ja skierowałem was na tę drogę. A teraz coś wam pokażę!

Otworzył szafę ze strzelbami i wydobył z niej pierwszy gotowy sztucer swego systemu, objaśnił, jak. go należy używać, i zaprowadził mnie potem na strzelnicę, abym go wypróbował i ocenił. Byłem zachwycony, ale ponownie zwróciłem jego uwagę na to, że rozpowszechnienie tego szybkostrzelnego sztucera na Dzikim Zachodzie sprowadziłoby złe skutki dla ludzi i zwierząt.

— Wiem to, wiem — rzekł — już raz to od was słyszałem. Zrobię też tylko kilka egzemplarzy. To jest pierwszy i ten wam darowuję. Wsławiliście moją rusznicę na niedźwiedzie, zachowajcie ją więc na zawsze razem ze sztucerem. Liczę na to, że w przyszłych podróżach po drugiej stronie Missisipi odda wam jakie takie usługi.

— To nie ulega najmniejszej wątpliwości. Ale w takim razie nie mogę teraz przyjąć tego daru.

— Dlaczego?

— Ponieważ nie udaję się teraz na Zachód.

— A dokąd?

— Najpierw do domu, a potem do Afryki.

— Af... Af... Afryki?! — zawołał zapominając zamknąć usta. — Czy macie dobrze w głowie? Chcecie zostać Murzynem, czy Hotentotem?

— Nie. Obiecałem mr. Bothwellowi, że spotkam się z nim w Algerze, gdzie przebywają jego krewni. Stamtąd zamierzamy zrobić wycieczkę na Saharę.

— I dać się pożreć lwom i hipopotamom!

— Pshaw! Hipopotamy nie są mięsożerne i nie żyją na pustyni.
— Ale lwy!
— Nie ma ich także na właściwej Saharze. Zwierzętom potrzebna jest woda.
— Wiem, że nie piją syropu! Tu chodzi jeszcze o inne sprawy. Prawda, że w Algerze mówi się po francusku?
— Tak.
— A wy umiecie?
— Oczywiście.
— A jak mówią na pustyni?
— Po arabsku.
— To jednak pójdzie wam kulawo!
— Nie. Profesor, który mnie uczył arabskiego, uchodzi za największego znawcę tego języka w swojej ojczyźnie.
— Niech was kaczka kopnie! Z żadnej strony do was nie przystąpisz. Przypuszczam jednak, że jest coś, co was odwiedzie od tej podróży.
— Co?
— Pieniądze.
— O, te mam.
— Oho!
— Tak! Bonanca przyniosła mi sporo, a od bankiera Ohlerta otrzymałem także pokaźne wynagrodzenie, nie licząc pensji przesłanej mi przez Johna Taylora.
— To lećcie sobie, lećcie na swoją Saharę! — zawołał z gniewem. — Nie mogę pojąć człowieka, którego tam coś ciągnie! Piasek, nic tylko piasek i miliony pcheł pustynnych! Tu byłoby wam o wiele lepiej. Rozchodzimy się na zawsze, bo kto wie, czy zobaczymy się jeszcze kiedy.

Mr, Henry biegał szybko wielkimi krokami po pokoju, mruczał coś gniewnie i wymachiwał obydwiema rękami.

Ale jego dobroduszność wnet odniosła zwycięstwo. Stanął przede mną i zapytał:
— Czy potrzeba wam i na pustym rusznicy?
— Tak.
— A sztucera?
— Tym bardziej.
— To weźcie jedno i drugie i zabierajcie się! Wynoście się i nie pokazujcie mi się na oczy, jeśli chcecie, żeby was nie wyrzucono. Wy... wy... wy... głupi ośle pustynny, wy...!

Wcisnął mi w ręce obie strzelby, otworzył drzwi, wypchnął mnie i zasunął rygiel. Kiedy jednak wyszedłem na ulicę, wystawił głowę przez okno i zapytał:
— Przyjdziecie do mnie dziś wieczorem?
— Oczywiście!
— Well! Ugotuję na maszynce zupę piwną, waszą ulubioną potrawę. A teraz zabierajcie się stąd!

Gdy żegnałem się z nim kilka dni później, wymógł na mnie słowo honoru, że wrócę po sześciu miesiącach, jeśli jakaś nieprzezwyciężona przeszkoda nie stanie mi w drodze. Udało mi się dotrzymać słowa i w pół roku potem znalazłem się znowu w St. Louis.

Mr. Henry ucieszył się niezmiernie dowiedziawszy się, jak bardzo przydały mi się obie strzelby przy zniszczeniu osławionej karawany rabusiów, i oświadczył, że był w tym czasie u niego Winnetou. Dowiedziawszy się, kiedy mam wrócić, Winnetou prosił, żebym przybył do Sierra Blanca, gdzie będzie polował ze swoimi wojownikami.

Wyruszyłem natychmiast w drogę i dotarłem na miejsce w trzy tygodnie. Po krótkich poszukiwaniach znalazłem obóz Apaczów. Winnetou zachwycał się, tak samo jak ja, sztucerem Henry'ego, ale nie pragnął zeń ani razu wystrzelić, uważając go za coś w rodzaju mojego le-

ku. Zrobił mi radosną niespodziankę, darowując mi karego konia, którego umyślnie zabrał z sobą z puebla przeznaczając go dla mnie. Koń nazywał się Swallow[24], a główna jego zaleta ─ szybkość, usprawiedliwiała aż nadto tę nazwę. Przeszedł on najlepszą indiańską tresurę i szybko się do mnie przyzwyczaił.

Winnetou wybierał się po polowaniu do Nawajów, aby doprowadzić do zgody między nimi a Nijorami, z którymi wiedli spór. Postanowiłem mu towarzyszyć, lecz nie wykonałem tego postanowienia. Oto bowiem na kilka dni przed zamierzoną wyprawą spotkaliśmy ludzi, którzy wieźli złoto z Kalifornii. Przelękli się niemało, ujrzawszy, że ich otoczyli czerwonoskórzy, uspokoili się jednak, usłyszawszy nazwiska Winnetou i Old Shatterhanda. Cieszyły się one, widać, dobrą sławą, gdyż ludzie ci poprosili mnie, żebym ich, za odpowiednim wynagrodzeniem, odprowadził do Fortu Scott. Nie chciałem na to przystać, aby się nie rozłączać z Winnetou, on jednak, jako mój dawny nauczyciel, dumny był z tego zaufania i nalegał, żebym nie odmawiał im tej przysługi. Potem z. fortu Scott miałem się udać na północ do położonej na zachód od Missouri prerii Grawel, gdzie wyznaczyliśmy sobie spotkanie. Winnetou chciał odwiedzić znajdującego się wówczas w tamtych sironach swego dawnego przyjaciela, Old Firehanda.

Ponieważ to lozstanie było jego życzeniem, odjechałem z owymi ludźmi i doprowadziłem ich szczęśliwie na miejsce przeznaczenia. Nie obeszło się oczywiście bez niebezpieczeństw, które trzeba było pokonać. Starałem się brać je na siebie i kilka razy tylko dzięki sztucerowi i świetnemu wierzchowcowi nie przypłaciłem życiem swego postępowania.

Dalej pojechałem już sam, najpierw przez Kanzas, a potem przez Nebraskę, terytorium Siuksów, od których pościgu ocaliła mnie kilkakrotnie tylko chyżość Swallowa. Winnetou powiedział mi przy pożegnaniu, że w tych stronach, przez które będzie wiodła moja droga, leżą nowoodkryte tereny naftowe należące do niejakiego Forstera, i że tam znajduje się sklep, w którym będę mógł nabyć, czego mi będzie potrzeba.

Według moich obliczeń powinienem był już być w pobliżu owej osady naftowej. Wiedziałem, że nazywa się New Venango i leży w jednym z jarów, zwanych bluffs. Jary te wcinają się stromo w płaszczyznę prerii, a przepływa je zazwyczaj rzeczka, która bądź to niknie bez śladu pomiędzy skałami, bądź też wsiąka powoli w grunt, albo wreszcie, jeżeli ma więcej wody, płynie ku większej rzece. Ale dotychczas nie znalazłem na równinie, usianej żółtym kwieciem heliantu, żadnego znaku, który by dowodził bliskości takiego jaru. Koń potrzebował odpoczynku, a i ja sam byłem tak znużony długim błądzeniem, że coraz bardziej tęskniłem do celu dzisiejszej mojej wędrówki. Postanowiłem tam porządnie wypocząć i uzupełnić wyczerpującą się już niemal amunicję.

Straciłem już prawie nadzieję, kiedy nagle Swallow podniósł głowę i zaparskał w ten szczególny sposób, jakim prawdziwy koń preriowy oznajmia zbliżanie się żyjącej istoty. Zatrzymałem go lekkim szarpnięciem cugli i odwróciłem się na siodle, aby zbadać widnokrąg.

Nie potrzeba było patrzeć zbyt długo. Z boku od miejsca, na którym stałem, spostrzegłem dwóch jeźdźców, którzy musieli mnie także zauważyć, gdyż puścili konie cwałem wprost ku mnie. Ponieważ odległość między nami była zbyt wielka, aby rozróżnić szczegóły, spojrzałem przez lunetę i dostrzegłem ku memu zdziwieniu, że jeden z jeźdźców nie był dojrzałym mężczyzną, lecz młodym chłopcem, co się dość rzadko zdarza w tych stronach.

„A, do stu piorunów! Dziecko na prerii, i to w prawdziwym traperskim ubraniu!" ─ pomyślałem i wsunąłem na powrót za pas nóż i rewolwer, które wyjąłem przedtem dla bezpieczeństwa.

Czyżby starszy jeździec miał być jednym z owych słynnych Jankesów, gotowych do wszelkiej ekstrawagancji, czy może to nawet sam „duch równiny", który wedle wierzeń indiańskich jeździ nocą na ognistym koniu, a we dnie pod rozmaitymi postaciami włóczy się po lasach,

[24] Swallow (ang.) – jaskółka.

aby wabić białych ludzi i doprowadzać ich do zguby. Chłopiec natomiast mógł być zakładnikiem, uprowadzonym ze Wschodu.

Ogarnięty wątpliwościami zbadałem swoją powierzchowność i stwierdziłem brak tego wszystkiego, co dżentelmen powinien mieć na sobie i przy sobie. Mokasyny stały się z czasem zbyt otwarte, spodnie świeciły się, ponieważ przejąłem chwalebny obyczaj wszystkich myśliwych używania ich przy stole zamiast serwetki i w ten sposób wysmarowałem je dokładnie łojem bawolim i tłuszczem szopa. Workowata, skórzana koszula myśliwska, która z uznania godnym poświęceniem znosiła wszelkie zmiany temperatury i zaburzenia atmosferyczne, nadała mi wygląd stracha na wróble zmaltretowanego doszczętnie przez deszcz i wiatr. Bobrowa czapka, okrywająca mi głowę, nie tylko poważnie się rozciągnęła, lecz. także utraciła większą część włosów i robiła wrażenie, jakby wchodziła w nazbyt bliską styczność z ogniskami obozowymi.

Szczęściem nie znajdowałem się na parterze wielkiej opery, lecz pomiędzy Black Hilis a Górami Skalistymi i nie miałem czasu na to, by się tym martwić. Nie dokończyłem jeszcze swych oględzin, gdy obaj przybysze zatrzymali się przede mną. Chłopak podniósł na pozdrowienie rękojeść szpicruty i zawołał cienkim, świeżym głosem:

— Dzień dobry, sir! Co chcecie znaleźć? Czego tak na sobie szukacie?

— Do usług, mój chłopcze! Zapinam moją pancerną koszulkę, żeby mnie nie uszkodziło wasze badawcze spojrzenie.

— To nie wolno na was spojrzeć?

— O, i owszem, ale przypuszczam, że i mnie pozwolicie odwzajemnić się w ten sam sposób.

— Wobec rycerza z hełmem bobrowym i w pancerzu trzeba być uprzejmym. Podnieście zatem waszą straszną przyłbicę i spojrzyjcie na mnie!

— Dziękuję. Przypatrzmy się więc sobie do syta, przy czym oczywiście ja lepiej na tym wyjdę, ponieważ wasz strój jest jeszcze dosyć nowy i bardziej godny dżentelmena — odrzekłem, a obróciwszy mustanga na zadnich nogach w kółko, dodałem; — Teraz obejrzeliście mnie ze wszystkich stron, na koniu i w naturalnej wielkości. Jak wam się podobam?

— Zaczekajcie trochę i przypatrzcie się mnie — rzekł chłopiec śmiejąc się i poderwał konia śmiałym ruchem tak samo jak ja to uczyniłem, — Teraz przedstawiliśmy się sobie wzajemnie, a wy powiedzcie pierwsi, jak ja się wam podobam!

— Hm, nieźle! Wydaje mi się, że pasujecie do tego miejsca, w którym się znajdujemy. A ja?

— Tak, o la la! Ale trzeba być ostrożnym i nie zbliżać się do was za bardzo, gdyż wasz wygląd nasuwa jednak pewne wątpliwości.

— Tak, jeśli nie brać pod uwagę waszej wartości jako człowieka, to jako jeździec jesteście znakomici — rzekł towarzysz chłopca lekceważącym tonem, przypatrując się Swallowowi okiem znawcy. Nie zwróciłem uwagi na tę obelgę i odpowiedziałem chłopcu, który okazywał, jak na swój wiek, dość duże obycie towarzyskie:

— Wasze wątpliwości są słuszne, sir, ale usprawiedliwiają mnie te dzikie strony, w których się znajdujemy.

— Dzikie? Jesteście więc tu obcym?

— Tak dalece obcym, że już przez cały dzień szukam na próżno właściwego numeru domu.

— To udajcie się z nami! Zobaczycie, jak ogromne są te dzikie strony!

Zwrócił się w kierunku, w którym poprzednio podążałem, i puścił konia przez wszystkie tempa — od wolnego kroku aż do wyciągniętego cwału. Swallow ruszył za nim z łatwością, pomimo że od brzasku byliśmy w drodze. Dzielne zwierzę jakby zmiarkowało, że idzie tu o jakąś próbę, zaczęło pędzić w ten sposób, że chłopiec nie mógł mi w końcu sprostać i zatrzymał swego konia z okrzykiem podziwu:

— Macie doskonałego konia, sir. Może byście go sprzedali?

— Za żadną cenę, sir — odrzekłem, zdziwiony tym pytaniem.

— Opuśćcie to „sir”!

— Dobrze! Otóż ten mustang wyratował mnie z niejednego niebezpieczeństwa, zawdzięczam mu życie, które często wisiało na włosku, nie mógłbym więc go sprzedać.

— Ma indiańską tresurę — zauważył chłopiec patrząc na konia okiem znawcy. — Gdzieście go nabyli?

— Od Winnetou, wodza Apaczów, z którym spotkałem się w ostatnich czasach nad Rio Suanca. Spojrzał na mnie z widocznym zdziwieniem.

— Od Winnetou? To najsławniejszy Indianin od Sonory aż po Kolumbię! Nie wyglądacie na człowieka, który się cieszy takimi znajomościami.

— Czemu nie? — zapytałem śmiejąc się szczerze.

— Uważałem was za surweyora lub kogoś w tym rodzaju. Tego typu ludzie bywają wprawdzie dzielni i zręczni, ale do tego, by zapuszczać się między Apaczów, Nijorów i Nawajów — potrzeba czegoś więcej. Wasze rewolwery, zgrabny nóż i odświętna strzelba na rzemieniu, a najbardziej wasza paradna postawa na koniu, nie przypominają tego, co się zwykle widzi u prawdziwego trapera.

— Przyznaję otwarcie, że jestem myśliwym tylko od święta, ale broń mam rzeczywiście niezłą. Pochodzi ona z Front Street w St. Louis, a jeśli znacie ten skład, to wiecie zapewne, że za dobrą cenę można tam dostać dobry towar.

— Hm, ja sądzę, że dobroć towaru okazuje się dopiero przy jego użyciu. Co myślicie o tym pistolecie?

Po tych słowach sięgnął do torby przy siodle, wyjął stare, zardzewiałe narzędzie do strzelania, podobne do wszystkiego, tylko nie do broni godnej zaufania.

— Tak. To pochodzi, co prawda, z epoki króla Ćwieczka, ale wprawny strzelec może sobie z tym poradzić bardzo dobrze. Widziałem Indian, którzy wspaniale strzelali z najnędzniejszej broni.

— W takim razie powiedzcie, czy umieli zrobić coś podobnego?

Skoczył w bok, objechał mnie dokoła szybkim kłusem, podniósł rękę i wypalił do mnie, zanim się spostrzegłem, co zamierza. Poczułem lekkie szarpnięcie mego wyłysia-łego okrycia głowy i równocześnie ujrzałem spadający przede mną kwiat heliantu, który miałem zatknięty za czapką. Wyglądało to tak, jakby ten pewny siebie strzelec chciał się dowiedzieć, co ma sądzić o poziomie moich umiejętności myśliwskich, „od święta". Odrzekłem więc z zimną krwią na jego pytanie:

— Sądzę, że tej sztuki dokaże wielu, natomiast nie każdy się zgodzi nastawiać swą czapkę jako cel z tej prostej przyczyny, że pod nią znajduje się głowa. Nie strzelajcie zatem do nikogo, zanim go nie przekonacie, że umiecie celnie strzelać.

— Dlaczegóż to? — zabrzmiało za mną pytanie. Towarzysz chłopca jechał na dużym i ciężkim koniu, który nie mógł nam dotrzymać kroku, i dotarł do nas dopiero w chwili wystrzału. — Nabój za głowę przebiegacza sawanny razem z futrzaną czapką to aż nadto duża zapłata.

Ten chudy z długą i cienką szyją człowiek miał zawziętą fizjonomię Jankesa. Ze względu na jego towarzysza nie zwróciłem uwagi i na to grubiaństwo, chociaż spostrzegłem, że chłopiec fałszywie sobie wytłumaczył moje milczenie. Na jego twarzy odbił się wyraz dezaprobaty dla mojej bierności i braku natychmiastowej odpowiedzi.

Całe to spotkanie wydało mi się tak osobliwe, że gdybym coś podobnego przeczytał w powieści, podejrzewałbym autora o chęć przedstawienia rzeczy nieprawdopodobnych. Zapewne gdzieś w pobliżu musiała się znajdować jakaś osada, a że od dawna nie zabłąkało się tutaj żadne z dzikich plemion mógł więc nawet tak młody mieszkaniec osady odważyć się na niedaleki wyjazd na prerię. Tak sobie wyobrażałem tę sytuację. Mniej jasno zdawałem sobie sprawę tego, jak należało się zachować w stosunku do tego dziwnego chłopaka. Okazywał dobrą znajomość Zachodu i wprawę w potrzebnych tam umiejętnościach, co skłaniało do przypuszczenia, że wychował się w jakichś niezwykłych warunkach. Nic więc dziwnego, że przypatrywałem mu się z żywym zaciekawieniem.

Jechał o pół długości konia przede mną, a blask chylącego się ku widnokręgowi słońca oblewał go złotymi promieniami. W jego oryginalnych rysach widać było obok młodzieńczej miękkości siłę woli i energię, z postawy zaś i z każdego ruchu przebijała samodzielność i pewność siebie, nie pozwalająca traktować go jak dziecko, choć nie mógł liczyć więcej niż szesnaście lat.

Patrząc na niego przypomniałem sobie czytane dawniej opowiadania i historie o odwadze, jaką tu, na Dzikim Zachodzie, odznaczają się nawet dzieci. Sądziłem jednak, że samodzielność tego chłopaka była nie tylko cechą jego charakteru, lecz i jego warunków materialnych, gdyż nie pytałby mnie z taką swobodą o cenę konia.

Wtem ściągnął cugle.

— Czy zmierzacie do New Venango, sir?

— Tak.

— I przybywacie oczywiście z sawanny?

— Widać to chyba po mnie.

— Ale nie jesteście westmanem!

— Czy cieszycie się tak bystrym wzrokiem, że poznajecie to natychmiast?

— Jesteście Europejczykiem.

— Tak. Czy mój angielski akcent świadczy, że jestem cudzoziemcem?

— Trochę. Co do mnie urodziłem się nad Ouicourt. Matka moja była Indianką z plemienia Assineboinów.

To wyjaśniło mi od razu szczególne rysy jego twarzy oraz ciemną barwę cery. A więc matka jego umarła, ojciec zaś żył. W każdym razie natknąłem się tu na jakieś bardzo interesujące okoliczności. To jednak, co czułem w tej chwili do chłopca, było czymś więcej niż pustą ciekawością.

— Spojrzyjcie no tam! — wezwał mnie podnosząc rękę. — Widzicie dym wychodzący jakby spod ziemi?

— Ach! Jesteśmy więc nareszcie nad szukanym przeze mnie jarem, w którym leży New Venango! Czy znacie Emery Forstera, króla naftowego?

— Trochę. Jest ojcem żony mojego brata, który mieszka w Omaha. Wracam właśnie stamtąd z odwiedzin i wstąpiłem po drodze tutaj. Czy macie coś do załatwienia z Forsterem, sir?

— Nie. Udaję się do sklepu po zakupy, a zapytałem o Forstera tylko dlatego, że, jako król naftowy, jest dla każdego przybysza ciekawą osobistością.

— Czy widzieliście go już kiedykolwiek?

— Nie!

— O. i owszem! Widzicie go nawet teraz, gdyż jedzie u waszego boku! Widać niedostatecznie się sobie przedstawiliśmy, ale możemy to sobie darować. Preria nie wymaga zbytnich ceremonii.

— Nie podzielam tego zdania — odrzekłem, nie zaszczyciwszy Jankesa ani jednym spojrzeniem. — Sądzę nawet, że preria wytworzyła bardzo surową etykietę, tylko miarą jej nie jest kabza, lecz prawdziwa wartość człowieka. Dajcie jednemu z waszych aroganckich królów naftowych pistolet, z którego tak znakomicie strzelacie, i poślijcie go na Zachód, a zginie pomimo swoich milionów. Zapytajcie natomiast któregokolwiek z westmanów, panujących z rusznicą w ręku nad prerią, ile ma pieniędzy, to zaśmieje się wam w oczy. Tam gdzie człowiek znaczy tyle, ile niebezpieczeństwo, któremu musi dać radę, moja „patentowana czapka" spełni lepsze usługi niż pół tuzina źródeł oleju skalnego. Preria nadaje swoje prawa i przepisy grzeczności nie przez nauczyciela tańców, lecz nożem!

Oko jego zabłysło szybkim, jasnym spojrzeniem, które przemknęło od Forstera do mnie. Zauważyłem, że to, co powiedziałem, było po jego myśli. Mimo to nie zaniechał sprostowania:

— Nie odmawiam wam pewnej słuszności, sir, ale chyba się znajdzie tu i ówdzie traper, który nie zdziwiłby się, gdyby go spytano o „kruszec". Czy słyszeliście kiedy o Old Firehandzie?

— Czemużby nie? Jest jednym z najbardziej poważanych westmanów. Nie spotkałem go jednak dotąd, co prawda.

— No, widzicie, on i Winnetou, którego przecież znacie, a więc biały i czerwonoskóry, należą do takich ludzi, jakich właśnie mam na myśli. Znają oni każdy zakątek w górach i mogliby was zaprowadzić do pokładów złota i srebra, o których istnieniu i obfitości nikomu się nie śniło. Wątpię, czy którykolwiek z nich zamieniłby się z narciarzem!

— Pshaw! Harry — wtrącił Forster — sądzę, że nie chcesz robić aluzji!

Chłopak nie odpowiedział, ja zaś rzekłem chłodno:

— Nafciarz w każdym razie nie doszedł do swoich skarbów własną zasługą i nie odważyłby się narazić dla nich życia. Przyznacie zresztą, mój młody master, że wasza odpowiedź jest tylko potwierdzeniem tego, co ja mówię. Prawdziwy myśliwiec może znaleźć żyłę złota, ale za jej zawartość nie sprzeda wolności, którą ceni nade wszystko. Lecz oto jar, a zarazem cel naszej podróży.

Zatrzymaliśmy się nad krawędzią parowu i spojrzeliśmy na małą osadę. Wyobrażałem sobie, że liczy ona znacznie więcej domów. Dolina, leżąca przed nami, tworzyła jakby wąskie koryto, otoczone zewsząd pnącymi się stromo skałami i przecięte w środku pokaźną rzeczką. Cały teren najeżony był urządzeniami potrzebnymi do wydobywania oleju skalnego, W górze, tuż nad rzeką, widać było świder w pełnym ruchu. Pośrodku, przed właściwymi zabudowaniami fabrycznymi stał dom, mimo swej prowizoryczności dość .okazały, a wokoło niego, gdzie tylko okiem sięgnąć, wszędzie leżały klepki, dna i gotowe beczki próżne lub napełnione cennym palnym materiałem,

— Tak, to jest nasz jar, sir — odrzekł Harry. — Po tamtej stronie widzicie sklep, a zarazem restaurację, hotel, gdzie można dostać wszystko, czego kto zapragnie. Tu zaś prowadzi droga na dół. Jest trochę stroma, tak że trzeba zsiąść z konia, ale niebezpieczeństwa nie ma. Czy pójdziecie z nami?

Zeskoczyłem szybko z siodła, a on także, mówiąc;

— Weźcie konia za wodze. — Swallow sam zejdzie — odrzekłem. — Schodźcie pierwsi!

Chłopiec wziął swego konia za cugle, a mój mustang zaczął iść za mną bez osobnego wezwania. Forster szedł z tyłu ze swoim koniem powoli i ostrożnie. Przy tej sposobności przypatrzyłem się gibkim i zręcznym krokom idącego przede mną chłopca, którego osoba zajmowała mnie z każdą minutą coraz bardziej. Na dnie doliny wsiedliśmy znowu na konie. Chciałem się pożegnać, sądząc, że Forster i Han-y pojadą wprost do domu, gdy tymczasem mnie wypadła droga w odwrotnym kierunku.

— Dajcie pokój, człowieku — odezwał się Forster. — My także pojedziemy do sklepu, gdyż chciałbym z wami załatwić jeszcze pewną drobnostkę!

Miło mi było zabawić z nimi dłużej ze względu na towarzystwo młodzieńca. Nie pytałem jednak Forstera, o jaką drobnostkę mu chodzi, zresztą niedługo czekałem na wyjaśnienie. Gdy bowiem zsiadłem z konia koło „Magazynu-hotelu", jak brzmiał napis umieszczony na drzwiach prostego domku, Forster zeskoczył także ze swego i ujął Swallowa za uzdę.

— Kupię od was tego konia. Ile żądacie?

— Ja go nie sprzedam!

— Dam dwieście dolarów. Zaśmiałem się tylko.

— Dwieście pięćdziesiąt!

— Nie trudźcie się, sir!

— Trzysta!

— Koń nie jest na sprzedaż!

— Trzysta, a ponad to — wszystko, co macie zamiar kupić w tym sklepie.

— Czy wam się zdaje, że człowiek z prerii sprzeda konia, bez którego by zginął?

— To odstąpię wam mego w dodatku!

— Zatrzymajcie sobie swoją szkapę. Ja nie dam za nią ani włoska z mojej czapki!

— Ale ja muszę mieć waszego konia! — odparł niecierpliwie. — On mi się podoba!

— Bardzo wierzę, ale go nie dostaniecie. Jesteście za ubogi na to, by za niego zapłacić.

— Za ubogi?! — Spojrzał na mnie takim wzrokiem, jakby mnie chciał przestraszyć. — Czy nie słyszeliście, że jestem Emery Forster? Kto mnie zna, wie bardzo dobrze, że mogę zapłacić za tysiąc takich mustangów!

— Wasza kieszeń nic mnie nie obchodzi. Jeśli istotnie możecie dobrze zapłacić, to udajcie się po dobrego konia do handlarza, a mojego teraz puśćcie!

— Jesteście bezczelny drab, wiecie? Taki obdartus jak wy, któremu palce z butów wyglądają, powinien się cieszyć, jeśli dostaje pieniądze na nowe buty, bo w ten sposób raz przynajmniej zdobędzie je uczciwą drogą!

— Emery Forsterze, trzymaj no swój język na wodzy, bo możesz się łatwo przekonać, że człowiek, który jest opłacony aż nadto jednym nabojem prochu, bardzo prędko jest gotów sam uiścić tego rodzaju zapłatę!

— Oho, mój chłopcze! To nie sawanny, gdzie pierwszy lepszy rabuś robi, co mu się podoba. W New Venango ja jestem jedynym panem i władcą i kto mnie po dobremu nie usłucha, tego nauczę rozumu innym sposobem. Podałem ostatnią cenę. Dostanę konia, czy nie?

Każdy inny westman dawno już odpowiedziałby na to wszystko bronią, ale zachowanie Forstera bawiło mnie raczej, niż gniewało, poza tym postępowałem tak ze względu na jego towarzysza. Gdyby był sam, zachowałbym się inaczej.

— Nie — odpowiedziałem spokojnie. — Puśćcie! Sięgnąłem po cugle, które Forster trzymał w ręku, ale pchnął mnie w pierś tak silnie, że się zatoczyłem, i wskoczył na siodło.

— Tak, teraz ci pokażę, że Emery Forster potrafi kupić konia nawet wówczas, kiedy mu się go odmawia. Tu stoi mój koń, należy teraz do ciebie. Rachunek w sklepie zapłacę, a po dolary możesz przyjść, kiedy ci się spodoba! Chodź, Karry! Skończyliśmy!

Chłopiec nie pojechał jednak od razu, lecz zatrzymał się jeszcze na chwilę i spojrzał mi z zaciekawieniem w oczy. Gdy dostrzegł, że nie mam zamiaru odbierać swej własności na sposób - westmański, przemknął mu po twarzy wyraz głębokiej pogardy.

— Czy wiecie, co to jest kujot, sir? — zapytał.

— Tak — odrzekłem spokojnie.

— Cóż o nim sądzicie?

— To tchórzliwe i niegodne uwagi zwierzę, które ucieka, nawet gdy usłyszy szczekanie psa.

— Macie słuszność. Łatwo wam było dać tę odpowiedź, ponieważ... sami jesteście kujotem!

Po tych słowach odwrócił się z gestem nieopisanego lekceważenia i podążył za „panem i władcą" New Ve-nango.

Milczałem, gdyż wiedziałem, co czynię. Swallow jeszcze nie przepadł, a zostawiając go na krótki czas u Forstera, mogłem znowu zobaczyć Harry'ego, który mnie bardzo zainteresował. Ostatnich jego słów nie uważałem za obelgę, ponieważ pochodziły właśnie od niego.

W drzwiach sklepu ukazało się kilku ludzi, którzy przysłuchiwali się naszym mało budującym pertraktacjom. Jeden z nich przywiązał konia Forstera do słupa i przystąpił do mnie. W tym hultaju o ryżej głowie i zapitej twarzy poznałem Irlandczyka.

— Nie żałujcie tego targu, master! — rzekł. — Złe na tym nie wyjdziecie. Czy zabawicie dłużej w New Ve-nango?

— Nie czuję do tego najmniejszej ochoty! Czy wy jesteście właścicielem tego sławnego przedsiębiorstwa?

— Ja we własnej osobie, a przedsiębiorstwo rzeczywiście jest sławne. Pod tym względem macie słuszność. Sławne — dopóki znajdują się tacy, którym brandy gładko spływa do gardła, a wy przybyliście tu może nawet na swoje szczęście!

— Jak to?

— Zaraz wam to wyjaśnię. Moglibyście zostać u mnie nie tylko na dziś, jutro i pojutrze, lecz na zawsze. Potrzeba mi właśnie posługacza, który by się nie rzucał od razu, jak dostanie tęgiego kopniaka. W naszym interesie

ambicja jest często rzeczą zbyteczną i szkodliwą. Widziałem właśnie, że wy potraficie znieść bez słowa nawet porządnego szturchańca. Zgódźcie się, a dobrze na tym wyjdziecie.

Właściwie brała mnie wielka ochota dać temu człowiekowi w twarz, ale jego oferta bawiła mnie raczej, aniżeli złościła. Nie odpowiedziawszy więc nic na to, wszedłem do jego sklepu, aby zakupić rzeczy, których potrzebowałem. Kiedy zapytałem o cenę wybranych przedmiotów, spojrzał na mnie zdumiony i rzekł:

— Czy nie słyszeliście, że Emery Forster chce za wszystko zapłacić? On dotrzyma słowa, możecie więc wziąć te wszystkie rzeczy, choćbyście nie mieli ani jednego centa.

— Dziękuję! Jeśli sobie coś kupuję, to płacę swoimi pieniędzmi. Nie potrzebuję pieniędzy koniokrada.

Kupiec chciał się sprzeciwić, ale gdy zobaczył pełną garść złotych monet, które wyjąłem zza pasa, na jego twarzy ukazał się wyraz nadzwyczajnego respektu. Teraz rozpoczął się handel z ową przebiegłością i uporem, z jakim zawsze w tamtych stronach kupcy wyzyskują obcego.

Nareszcie zgodziliśmy się. Za wcale niemałe pieniądze kupiłem nowe ubranie traperskie i zaopatrzyłem się w żywność i amunicję na dłuższy czas.

Tymczasem zapadł wieczór, a dolinę wypełniła głęboka ciemność. Nie miałem ochoty zostać w niskim i dusznym pokoju hotelowym, toteż zarzuciłem na plecy worek napełniony obrokiem i wyszedłem na dwór. Chciałem się udać do Forstera, aby go pouczyć o jego prawach jako władcy doliny.

Droga wiodła wzdłuż rzeki. Uderzyło mnie teraz to, czego przedtem nie zauważyłem, zajęty obserwowaniem młodego towarzysza Forstera. Oto woń nafty, napełniająca całą dolinę, wzmagała się w pobliżu wody. Rzeka niosła widocznie na swych falach niemałą ilość tej palnej cieczy.

Domy, do których się zbliżałem, rozciągały się przede mną czarnym szeregiem. Kiedy jednak skręciłem nieco w stronę posiadłości Forstera, z werandy jego domu padł jasny blask światła, wskutek czego spostrzegłem, że siedzi na niej małe towarzystwo. Będąc już koło płotu, który otaczał placyk przed domem, usłyszałem lekkie parskanie. Od razu wyjaśniło mi to sytuację. Wiedziałem, że nikt obcy nie zdoła Swallowa wprowadzić do stajni. Musiano go więc pozostawić na wolnym powietrzu i przywiązano tuż pod werandą, ponieważ tam najlepiej można go było pilnować. Przekradłem się po cichu przez ciemne miejsca placu aż do niskiego muru, w który wpuszczone były dźwigary lekkiego dachu. W ten sposób dostałem się do konia i ku swemu zadowoleniu ujrzałem także Harrye'go leżącego w hamaku. Miał on najwidoczniej zamiar wytłumaczyć coś siedzącemu obok niego Forsterowi. Nie odwracając od nich wzroku przywiązałem worek do siodła Swallowa. Dzielny koń nie dał także zdjąć z siebie uzdy. Gdybym tylko gwizdnął, wówczas kiedy Forster na nim odjeżdżał, byłby go pewno zrzucił i powrócił do mnie.

— To niepotrzebne i zbrodnicze przedsięwzięcie, drogi wuju, nie obliczyłeś sobie chyba tego dokładnie — powiedział chłopiec.

— Czy chcesz mnie może uczyć kalkulacji? Ceny nafty dlatego są takie niskie, że źródła dostarczają jej zbyt wiele. Jeśli zatem jeden i drugi z nas pozwoli jej przez miesiąc spływać swobodnie, to nafta podrożeje", a my zrobimy interes, powiadam ci, świetny interes. Tak postanowiono i każdy dotrzyma przyrzeczenia. Puszczę teraz z dolnego szybu wszystko do naszego Venango River. Zanim ceny podskoczą, trafimy dalej w górze na ropę, a ponieważ mam dużo beczek, prześlę potem w przeciągu kilku dni taką ilość nafty na Wschód, że przyniesie mi to setki tysięcy.

— To nie jest uczciwe przedsięwzięcie. Zapomnieliście także, jak widzę, o źródłach w Starym Kraju i gdzie indziej, Wasze postępowanie natychmiast podnieci tamtejszą konkurencję

do jak największych wysiłków, wy sami zaś dacie w rękę broń śpiącemu jeszcze przeciwnikowi.

Zresztą zapasy, nagromadzone tu, w Stanach, są tak wielkie, że wystarczą na długi czas.

— Nie wiesz, jak wielkie jest zapotrzebowanie, i dlatego nie możesz wydawać o tym sądu, a w ogóle jesteś na to za młody.

— To należałoby wpierw udowodnić!

— Dowód bardzo łatwy. Czy nie przyznałeś przed chwilą, że pomyliłeś się co do owego westmana, czy czym tam był ten człowiek? Nigdy bym nie przypuszczał, że może ci się podobać takie towarzystwo.

Harry zarumienił się i odpowiedział natychmiast:

— Wyrosłem w takim towarzystwie, wiesz o tym. Żyłem dotychczas w ostępach leśnych i musiałbym chyba ani trochę nie kochać ojca, gdybym gardził tym „towarzystwem" tylko z powodu jego zewnętrznego wyglądu. Bywają tam ludzie, którym niejeden z naszych dżentelmenów i królów przemysłu nie dorówna pod względem wartości wewnętrznej. Zresztą nie ma dziś mowy o pomyłce, gdyż powiedziałem, że mi się tylko zdawało, a zwykłem czynić różnicę między przypuszczeniem a twierdzeniem.

Forster chciał mu odpowiedzieć, ale nie zdołał, gdyż w tej chwili rozległ się straszliwy huk, jak gdyby ziemia pod nami zadrżała i pękła na dwoje. Gdy spojrzałem w bok, ujrzałem z przerażeniem w górnej części doliny, gdzie pracował świder, jasny strumień ognia, który buchał prostopadle w górę prawie na pięćdziesiąt stóp, rozpływał się tam, a potem spadał na ziemię i zalewał ją z niepohamowaną szybkością. Wnet zaczął się wciskać w narządy oddechowe ostry odór; zdawało się, że powietrze napełnione jest lekkim, eterycznym ogniem.

Znałem to straszne zjawisko, ponieważ widziałem je w całej okropności w dolinie Kanawha. Jednym skokiem znalazłem się wśród skamieniałego ze strachu towarzystwa.

— Pogaście światła, prędzej gaście światła! Świder trafił na ropę, a wy nie zabroniliście palić ognia w pobliżu. Teraz gazy się rozchodzą i zapalają wszystko po drodze. Pogasić światła, bo w dwie minuty pożar obejmie całą dolinę! — zawołałem.

Biegałem od jednego płonącego kandelabra do drugiego. ale w górnych pokojach świeciły się również lampy, a od strony sklepu błyszczało także światło. W dodatku fale tryskającej wysoko ropy rozlały się z niewiarogodną szybkością po całej górnej dolinie i dopłynęły do rzeki, wobec czego należało już właściwie myśleć tylko o tym, żeby ocalić życie.

— Ratujcie się, ludzie, biegnijcie, na miłość Boga! Starajcie się wydostać z doliny! — wołałem dalej.

Nie troszcząc się o nikogo więcej, porwałem Harry'ego w ramiona i w następnej chwili siedziałem już z min na siodle. Nie rozumiejąc mojego postępowania i nie doceniając niebezpieczeństwa, Harry wyrywał się jak mógł z mych objęć, ale ponieważ w takich chwilach siła człowieka zwiększa się do najwyższych granic, przeto jego wysiłki ustały prawie zupełnie pod naciskiem moich rąk. Swallow, którego instynkt działał sprawniej niż cugle i ostrogi, poniósł nas szalonym pędem w dół rzeki.

Do ścieżki górskiej, którą z sawann ów zeszliśmy do New Venango, nie mogliśmy się dostać, gdyż przepłynął już koło niej strumień żaru. Można się było ocalić tylko uciekając w dół rzeki, ale za dnia nie zauważyłem tu żadnej drogi, przeciwnie — ściany skalne schodziły się tak ciasno, że rzeka pieniąc się zdobywała sobie wyjście przemocą.

— Powiedzcie — rzekłem do Harry'ego w trwożnej obawie — czy tędy prowadzi jakaś droga z doliny?

— Nie, nie! — stękał usiłując kurczowo wydostać się z moich objęć. — Puśćcie mnie, mówię wam, puśćcie! Nie potrzebuję was, poradzę sobie sam.

Nie zważałem oczywiście na to żądanie i badałem dalej wąski pas horyzontu, jaki się wyłaniał spod wznoszących się stromo ścian skalnych. Wtem poczułem ucisk w okolicy pasa, a równocześnie chłopiec zawołał;

Co chcecie ze mną zrobić? Puśćcie mnie, bo w przeciwnym razie wbiję wam w brzuch wasz własny nóż.

Ujrzałem w jego ręku błysk ostrza; był to mój nóż, który mi wyrwał zza pasa. Nie mając czasu na długie wyjaśnienia, ścisnąłem oba jego przeguby w mojej prawej ręce, obejmując go lewą coraz mocniej.

Niebezpieczeństwo zwiększało się z każdą chwilą. Rozżarzony strumień dosięgał już składów. Beczki zaczęły pękać z donośnym hukiem, wylewając równocześnie swą palącą się zawartość do morza płomieni, które rosło ciągle i posuwało się naprzód z coraz większą chyżością.

Powietrze było tak gorące, że można się było udusić. Miałem uczucie, jak gdybym się już gotował w garnku wrzącej wody. Gorąco i suchość powietrza wzmagały się z ogromną siłą ─ wydawało mi się, iż płonę wewnątrz. Niewiele brakowało mi do utraty przytomności, ale chodziło nie tylko o moje życie, lecz także o życie chłopca.

─ Naprzód, Swallow! Naprzód!

Straszny żar spalił mi słowa na ustach, dalej mówić nie mogłem. Szczęściem zachęcanie konia do pośpiechu było zbyteczne, gdyż dzielne zwierzę pędziło z nieprawdopodobną wprost szybkością. Pomimo że przebyłem w ten sposób dość znaczną przestrzeń, przekonałem się, że z tej strony rzeki nie było wyjścia. Płomienie oświetlały skaliste ściany dość jasno, by dojrzeć, że wspiąć się na stoki doliny było niepodobieństwem. Powiedziałem więc sobie w duchu: „Jazda na drugą stronę rzeki!" i rzuciłem się do wody, ścisnąwszy mustanga kolanami, by go zmusić do skoku. Fale rzeki podniosły się wysoko i zamknęły nad nami. Poczułem w żyłach nową siłę, nowe życie, ale grzbiet konia wymknął się spode mnie. To jednak było mi w tej chwili obojętne ─ pragnąłem tylko dostać się jak najprędzej na drugi brzeg. Dotąd Swallow był szybszy od żywiołu płomieni. Teraz jednak ogień zaczął spływać rzeką, podsycany ustawicznie ropą płynącą ze źródła. Zdawało się, że mnie dosięgnie za minutę, za sekundę, a może nawet w tej chwili. Nieprzytomny chłopiec trzymał się mnie stężałymi śmiertelnie ramionami. Płynąłem jak jeszcze nigdy w życiu, a raczej nie płynąłem, lecz ciskałem sobą w szalonych skokach przez nurty prześwietlone aż do dna drgającymi światłami. Ogarnął mnie straszny, potworny lęk... Wtem usłyszałem tuż przy sobie parsknięcie konia. „Swallowie, mój wierny, dzielny Swallowie, czy to ty?" Już brzeg... tam wsiądę znowu na siodło... Niestety nie mogłem się na nie wydostać... Boże, Boże! Wszak nie każesz mi tu zostać... Skoczyłem jeszcze raz... i udało się... „Swallowie, precz, precz, dokąd chcesz, tylko dalej od tego piekielnego żaru!"

Wiedziałem, że pędzę dalej, ale nie troszczyłem się już o to ─ dokąd. Oczy moje, zapadłe głęboko, musiały świecić jak roztopiony kruszec ─ wpadający przez nie blask przepalał mi mózg. Język wysunął się spomiędzy wyschniętych warg, wydawało mi się, że całe moje ciało to jarzące się próchno, którego wiotki popiół może się rozpaść w każdej chwili. Koń stękał i jęczał pode raną prawie ludzkim głosem. Biegł, skakał, wspinał się, przelatywał ponad skały, rozpadliny, krawędzie i szczyty w tygrysich i wężowych ruchach. Prawą ręką objąłem

jego szyję, a lewą trzymałem wciąż chłopca. Po jeszcze jednym strasznym, ogromnym skoku minęliśmy skalną ścianę. Przebyliśmy dalszych kilkaset kroków w głąb prerii, Swallow stanął, a ja zsunąłem się na ziemię.

Podniecenie i nadmierny wysiłek były jednak tak wielkie, że przezwyciężyły opanowujące mnie omdlenie. Podniosłem się znów powoli, objąłem rękoma szyję wiernego zwierzęcia, któremu drżały wszystkie członki ciała, i całowałem je wśród szlochania z żarliwością, z jaką rzadko chyba całowano kiedykolwiek ukochaną dziewczynę.

─ Drogi Swallowie, dzięki ci, ocaliłeś nas obu. Tej godziny nigdy ci nie zapomnę!

Niebo płonęło jak krew, a dym rozpętanego żywiołu unosił się w gęstych, czarnych, poprzerywanych purpurowymi promieniami kłębach nad miejscem zniszczenia. Nie było jednak czasu na te rozmyślania, gdyż przede mną leżał Harry, blady, zimny i sztywny, ciągle jeszcze

trzymając kurczowo nóż w ręku. Wydało mi się, że już nie żyje, że utonął w nurtach rzeki, gdy chciałem go wydrzeć płomieniom.

Przemokłe ubranie przylegało ściśle do jego nieruchomego ciała. Na pobladłej twarzy igrały ponure odblaski ognistych płomieni, wyskakujących ponad krawędź doliny. Wziąłem go na ręce, odgarnąłem włosy z czoła, natarłem skronie, przyłożyłem usta do jego warg, aby w nieruchomą pierś tchnąć mój własny oddech, słowem, czyniłem wszystko, do czego byłem zdolny w mej bezsilności, aby go przywołać do życia.

Nareszcie drgnął, z początku nieznacznie, a potem coraz widoczniej. Serce zaczęło bić, a pierś słabo się poruszać. Chłopiec zbudził się, otworzył szeroko oczy i spojrzał mi w twarz z nieopisanym wyrazem. Wkrótce jego martwy dotychczas wzrok ożywił się i Harry zerwał się z głośnym okrzykiem.

— Gdzie jestem? Kto wy? Co się stało?! — zawołał.

— Ocaliłem was z pożaru, który szaleje tam na dole. Dźwięk mego głosu i widok wciąż jeszcze buchających wysoko płomieni ocuciły go do reszty.

— Pożar? Na dole? To prawda! Na Boga, tam się paliło! A Forsterowie...

Jak gdyby pod wpływem myśli o strasznym niebezpieczeństwie, w jakim zostawił krewnych, podniósł się groźnie i krzyknął:

— Panie, jesteście tchórzem, nędznym tchórzem, kujotem, jak to już ode mnie słyszeliście. Mogliście ocalić ich wszystkich, wszystkich, wy tymczasem umknęliście jak szakal przed szczekaniem nędznego psa. Gardzę wami i wracam do nich!

Chciał odejść, ale przytrzymałem go za rękę.

— Zaczekajcie! Nic się już nie da zrobić. Pędzicie tylko po swoją własną zgubę!

— Puśćcie mnie! Nie chcę mieć nic więcej do czynienia z tchórzami!

Wyrwawszy rękę popędził. Równocześnie poczułem w palcach jakiś mały przedmiot. Był to pierścień, który podczas silnego szarpnięcia zsunął się Harry'emu z palca. Ruszyłem za chłopcem, lecz on już zniknął wśród stromo spadających skał. Trudno się było gniewać na niego. Był jeszcze młody, a katastrofa odebrała mu spokój niezbędny przy ocenie sytuacji. Schowałem więc pierścień i usiadłem, by wypocząć po nadludzkim wysiłku. Postanowiłem tu zostać przez noc i zaczekać na świt, gdyż przedtem nie podobna było dostać się do jaru.

Wszystkie moje nerwy dygotały, a dolina, w której wciąż jeszcze płonął żar naftowy, wydawała mi się piekłem. Stare ubranie, które miałem na sobie, rozpadało się na mnie jak próchno. Włożyłem więc nowe, które podczas przeprawy przez rzekę zmokło, ale zostało nienaruszone.

Swallow leżał blisko mnie nie tykając nawet trawy, której było pod dostatkiem. Dzielne zwierzę ucierpiało tak samo jak ja albo nawet jeszcze więcej. Ale co się stało z mieszkańcami doliny? Pytanie to nie dawało mi zasnąć, pomimo że bardzo potrzebowałem odpoczynku. Czuwałem przez całą noc i wychodziłem często na krawędź jaru, by spojrzeć na dół. Ogień nie miał już tych rozmiarów, co przedtem, ale mimo to tworzył widok, którego nigdy nie zapomnę. Nafta biła z szybu na wysokość trzydziestu łokci. Słup ten płonął, rozpryskiwał się w górze na poszczególne snopy i tysiące iskier, spadał na ziemię i pędził potem jako wstęga ognia wysokości paru metrów ku rzece, zajmując natychmiast całą jej szerokość. Tak trwało do rana i — jeśliby się nie udało ognia zagasić — musiało się tak palić dalej dopóty, dopóki nafta tryskała z szybu. Światło dzienne złagodziło tylko intensywność barwy płomieni. Kiedy teraz znowu spojrzałem na dół, zobaczyłem, że z wyjątkiem małego domku położonego na najwyższym miejscu doliny, dokąd ogień nie mógł się dostać — zniknęło wszystko. Dom mieszkalny, zabudowania fabryczne i wszystkie inne, jakie się tu znajdowały, stały się pastwą płomieni. Cały jar aż do najwyższej krawędzi był czarny i wyglądał jak straszna, olbrzymia, pokryta sadzą patelnia, której zawartość zwęglił nieuważny kucharz.

Przed ocalonym domkiem stało kilkoro ludzi, a pośród nich Harry. Śmiały chłopiec odważył się widocznie zejść tam w nocy. Teraz w ciągu dnia potrafiłoby to każde dziecko. Ścieżką

więc, którą poprzedniego dnia dostałem się do doliny, poszedłem ku domkowi. Zauważyłem, że Harry pokazuje mnie swoim towarzyszom, Jakiś człowiek zniknął w domku i wyszedł po chwili ze strzelbą w ręku, po czym ruszył naprzeciw mnie aż do przeciwległego brzegu.

— Halo! — zawołał groźnie. — Co tu jeszcze robicie? Zabierajcie się, jeśli nie chcecie dostać kulą między żebra!

— Zostałem tu, aby wam pomóc, o ile możności — odpowiedziałem.

— Wiem! — zaśmiał się szyderczo. — Taką pomoc dobrze znamy!

— Muszę także pomówić z Harry'm.

— To będzie trudno!

— Chcę mu coś dać.

— Nie zawracajcie głowy! Ciekaw jestem, co by mógł mu dać taki hultaj! Najpierw zachowuje się tchórzliwie i bez godności, że aż litość bierze, a potem podpala z zemsty naftę!

Przez chwilę nie zdołałem przemówić ani słowa. Ja — podpalaczem? Ów człowiek uważał zapewne moje milczenie za dowód winy, gdyż mówił dalej:

— Widzicie, jaki lęk was zdjął! Tak, wiemy dobrze, o co tu chodzi. Jeśli nie odejdziecie natychmiast, dostaniecie kulą!

Złożył się do mnie ze strzelby, na co zawołałem z gniewem:

— Co wam do głowy strzeliło, człowieku? O podpaleniu nie może być mowy. Gazy naftowe zapaliły się od waszych lamp i świec. To straszne nieszczęście jest następstwem waszego własnego niedbalstwa.

— Wiem już, wiem! Precz stąd! A może mam wystrzelić?

— Czyż ratowałbym chłopca z narażeniem własnego życia, gdybym był sprawcą pożaru?

— To wymówka! Gdybyście rzeczywiście chcieli nam pomóc i nie umknęli, wszyscy byliby ocaleli, a tak wszyscy się spalili, strasznie się spalili. Posyłam wam za to nagrodę!

Przy tych słowach strzelił do mnie. Oburzenie, które mnie opanowało, zatrzymało mnie w miejscu, w którym stałem. Nie ruszyłem się, aby ujść kuli, i wyszło mi to na dobre, gdyż człowiek ów źle wymierzył i nie trafił. Palce mi drgnęły, by mu odpowiedzieć niechybną kulą. nie uczyniłem tego jednak. Odwróciłem się i skierowałem zwolna w górę, nie obejrzawszy się ani razu. Przybywszy na górę, dosiadłem konia i odjechałem. Jeśli człowieka, który jest wybawcą, zamiast wdzięczności spotyka ciężkie oskarżenie o zbrodnię, wówczas najlepiej tylko kurz strzepnąć z obuwia.

W kilka dni potem znalazłem się na prerii Grawel, gdzie czekałem na Winnetou cały tydzień. Nie cierpiałem przez ten czas niedostatku, gdyż w tych stronach było mnóstwo zwierzyny. Okolica nie wydawała mi się też ani osamotniona, ani nudna, gdyż włóczyło się tu kilka hord

Siuksów, wskutek czego wciąż musiałem się mieć na baczności. Gdy potem przybył Winnetou i dowiedział się ode mnie o obecności czerwonoskórych, zgodził się od razu ze mną, że należy jechać dalej.

Ucieszyłem się ogromnie tym, że poznam Old Firehanda, gdyż spodziewałem się, że wiele się jeszcze od niego nauczę. Droga do jego siedziby nie była bezpieczna; zauważyliśmy to zaraz nazajutrz, natrafiwszy na trop Indianina, który niewątpliwie był na zwiadach.

Zbadałem dokładnie to miejsce. Koń Indianina był przywiązany do wbitego w ziemię palika i poobgryzał kępki na pół zeschłej trawy preriowej. Jeździec leżał tu i bawił się kołczanem. Przy tym złamał mu się jeden grot, on zaś wbrew zwykłej indiańskiej ostrożności nie pozbierał ułamków. Podniosłem je, żeby się im przypatrzyć. Nie była to strzała myśliwska, lecz wojenna.

— Znajduje się na ścieżce wojennej — rzekłem — ale jest jeszcze młody i niedoświadczony, ukryłby bowiem zdradzieckie kawałki. Zresztą ślady jego nóg to nie są ślady dorosłego mężczyzny.

Rzut oka na dalsze odciski przekonał nas, że młody Indianin wstał ze swego miejsca dopiero niedawno, gdyż krawędzie ich były dość ostre, a popchnięte lub przegięte źdźbła trawy nie podniosły się jeszcze.

Poszliśmy dalej tym śladem, dopóki cienie nie zaczęły się zanadto wydłużać i nie zaczęło się ściemniać. Zanim jednak zsiadłem z konia, wziąłem lunetę do ręki, aby jeszcze raz spojrzeć na okolicę. Staliśmy właśnie na jednej z licznych falistych wyżyn, które w owej części prerii układają się obok siebie jak fale stężałego morza, dzięki czemu widok mieliśmy otwarty.

Zaledwie przyłożyłem szkło do oka, uderzyła mnie prosta, długa linia, ciągnąca się od wschodu wzdłuż północnego widnokręgu aż do najdalej położonego punktu na zachodzie. Pełen radości podałem lunetę Winnetou i pokazałem mu, w którym kierunku ma patrzeć. On potrzymawszy lunetę przez chwilę, odjął ją nagle od oczu i spojrzał na mnie z wyrazem zapytania w twarzy.

— Czy mój brat wie, jaka to ścieżka? — rzekłem. — To nie droga bawołów ani też nie wydeptała jej stopa czerwonego męża.

— Wiem. Żaden bawół nie przebiegnie takiej przestrzeni jak ta ścieżka i nikt z Indian nie potrafi jej wydeptać. To droga konia ognistego, którego dziś jeszcze pewno zobaczymy.

Podniósł znowu lunetę do oka i przypatrywał się zbliżonemu przez soczewki pasowi szyn. Wtem opuścił ją nagle, zeskoczył z konia i zbiegi razem z nim szybko w dolinkę.

To postępowanie miało oczywiście jakiś słuszny powód, wobec tego zrobiłem natychmiast to samo.

— Tam nad ścieżką ognistego konia leżą czerwoni mężowie! — zawołał. — Znajdują się za wzniesieniem, ale zobaczyłem jednego ich konia.

Dobrze Winnetou uczynił, że zszedł z naszego wzniesionego stanowiska, na którym łatwo nas było dostrzec. Oddalenie było wprawdzie znaczne nawet dla bystrego wzroku Indian, ale podczas mojej włóczęgi widziałem u nich często lunety. Cywilizacja rozszerza się ciągle, a chociaż wypiera czerwonoskórych, mimo to daje im w ręce środki oporu przeciwko swej potędze.

— Cóż mój brat myśli o zamiarze tych ludzi? — spytałem,

— Chcą zburzyć ścieżkę ognistego konia — odrzekł.

— Takie jest i moje zdanie. Podejdę ich.

Wziąwszy lunetę, prosiłem Winnetou, żeby tu na mnie zaczekał, i poczołgałem się ostrożnie.

Jakkolwiek Indianie na pewno nie mieli pojęcia o naszej obecności w pobliżu, starałem się, o ile się to dało, posuwać pod osłoną wyniosłości i w ten sposób dostałem się do nich tak blisko, że mogłem, leżąc na ziemi, przypatrzeć się im i policzyć, ilu ich jest.

Było ich trzydziestu, pomalowanych wojennymi barwami i uzbrojonych w strzały i strzelby. Ponieważ liczba koni była znacznie większa, utwierdziło mnie to w przekonaniu, że chcieli wziąć łupy.

Wtem usłyszałem tuż za sobą cichy oddech. Dobywszy noża odwróciłem się prędko. Był to Winnetou, który nie mógł wytrzymać przy koniach.

— Uff! — szepnął. — Mój brat ośmiela się iść tak daleko. To Indianie Ponka, najzuchwalsi z Siuksów, a tam leży ich biały wódz, Paranoh.

Spojrzałem na niego zdumiony.

— Biały wódz?

— Czy mój przyjaciel nie słyszał nic jeszcze o okrutnym wodzu Atabasków, Paranohu? Nikt nie wie, skąd tu przyszedł, ale był to dzielny wojownik i na radzie szczepu przyjęto go pomiędzy czerwonych mężów. Kiedy wszystkie siwe głowy odeszły do Manitou, otrzymał fajkę pokoju wodza i nazbierał dużo skalpów. Później jednak, oślepiony przez złego ducha, zaczął

obchodzić się z wojownikami jak z murzyńskimi niewolnikami i musiał uciekać. Teraz znajduje się z kolei w radzie Ponków i ma zamiar powieść ich do wielkich czynów.

— Czy mój brat zna jego twarz?

— Winnetou zmierzył się z nim na tomahawki, ale biały jest podstępny i nie walczy rzetelnie.

— To zdrajca, ja to widzę. Chce zatrzymać konia ognistego, a moich braci zabić i ograbić.

— Białych ludzi? — spytał zdziwiony, — Wszak on sam od nich pochodzi. Co mój przyjaciel uczyni?

— Zaczekajmy, żeby zobaczyć, czy Paranoh zniszczy ścieżkę ognistego konia, a potem pojedziemy naprzeciwko naszych białych braci i ostrzeżemy ich.

Winnetou skinął głową.

Wówczas zdarzało się nierzadko, że biali lub czerwonoskórzy rabusie wykolejali pociągi, by je potem ograbić.

Zmrok zapadał i coraz trudniej było nie tracić z oczu postaci nieprzyjaciół. Musiałem jednak dobrze pilnować, co uczynią Indianie. Poprosiłem Winnetou, żeby wrócił do koni i tam na mnie zaczekał. Zastosował się do tego, powiedziawszy przedtem:

— Jeśli mój brat znajdzie się w niebezpieczeństwie, niech wyda głos psa preriowego. Przyjdę mu zaraz na pomoc.

Odszedł, ja natomiast poczołgałem się ku nasypowi kolejowemu, zwracając bacznie uwagę na każdy szmer. Dość długo trwało, zanim dostałem się do nasypu. Przelazłem przezeń i ze zdwojoną ostrożnością zwróciłem się ku miejscu, gdzie przedtem widziałem Ponków. Dotarłem do nich i zobaczyłem ich właśnie przy robocie. W pobliżu leżało, co na prerii jest rzadkością, mnóstwo wielkich kamieni. Dlatego też prawdopodobnie Ponkowie wybrali to miejsce do wykonania swego zamiaru. Usłyszałem, że rzucają na szyny duże i ciężkie kamienie, co mogłem wywnioskować z sapania tych, którzy je znosili.

Wobec takiej sytuacji szkoda było każdej chwili. Poczołgałem się szybko z powrotem, potem zaś, podniósłszy się, pobiegłem czym prędzej tą samą drogą, którą przybyłem. Nie wiedziałem, w którym miejscu się znajdujemy, ani nie znałem godziny nadejścia pociągu, odgadłem jednak kierunek, z którego należało się go spodziewać. Mógł nadjechać lada chwila, a po to, by go ostrzec, trzeba było pójść dość daleko. Byłem tak podniecony, że zapomniałem o haśle, i Winnetou, na którego wpadłem, nie poznał mnie i omal nie pchnął nożem.

Po kilku słowach porozumienia byliśmy już na koniach i pędziliśmy ostrym kłusem ku wschodowi. Przydałoby się nam trochę światła księżycowego, ale i jasne miganie gwiazd wystarczyło w pewnej mierze do rozpoznania drogi.

Upłynął jeden kwadrans, a potem drugi. Jeśliby się tylko udało dokazać tego, żeby nas ze zbliżającego się pociągu zauważono, niebezpieczeństwo byłoby zażegnane. Pragnęliśmy jednak uczynić to w tajemnicy przed Indianami, a na płaskim terenie przenikliwe światło lokomotyw amerykańskich widoczne jest na mile. Puściliśmy więc konie wolno i jechaliśmy obok siebie bez słowa jeszcze dość znaczną przestrzeń.

Wreszcie wydało mi się, że już czas się zatrzymać. Zeskoczyłem więc z konia, Winnetou zrobił to samo. Po spętaniu koni nazbierałem pęk zeschłej trawy i skręciłem najsuchsze jej części w kształt pochodni, którą po posypaniu prochem łatwo było zapalić.

Ułożywszy się na kocach, nadsłuchiwaliśmy wpatrzeni w ciemną noc, nie odwracając oczu ani na chwilę od kierunku, z którego miał nadejść pociąg.

Wtem, w dalekiej, dalekiej odległości, błysnęło światło. Z początku małe, potem zwiększało się coraz bardziej. Niebawem doleciał nas słaby łoskot zbliżających się wagonów, który stopniowo stał się podobny do huku dalekich grzmotów,

Nadeszła chwila stanowcza. Pociąg nadjechał rzucając przed siebie oślepiający klin światła. Wydobyłem rewolwer i wypaliłem w lont. Proch buchnął słupem ognia i zapalił zeschłą trawę. Machając pochodnią, drugą ręką dałem znak do zatrzymania pociągu.

Maszynista widocznie natychmiast spostrzegł te znaki, gdyż już po kilku wahnięciach pochodni rozległy się krótkie, przeraźliwe gwizdy i w tej samej chwili przykręcono hamulce. Szereg wozów zwalniając minął nas z łoskotem. Dałem znak Winnetou, żeby ruszył za mną, i puściłem się za pociągiem, który zmniejszał w oczach swą szybkość, aż wreszcie stanął. Nie zważając na razie na wychylających się ze swych budek konduktorów, przebiegłem obok wagonów aż do lokomotywy, zarzuciłem koc na reflektor i zawołałem równocześnie możliwie najdonioślejszym głosem:

— Pogasić światła!

Latarnie zgasły natychmiast, albowiem funkcjonariusze kolei Pacific — to ludzie odznaczający się przytomnością umysłu i szybką decyzją.

— Do pioruna! — zawołano z lokomotywy, — Dlaczego zakrywacie nam światło, człowieku? Chyba nic się nie stało na przedzie.

— Musimy się znaleźć w ciemności, sir — odrzekłem — przed wami są Indianie i chcą wykoleić pociąg.

— Do wszystkich diabłów! Jeśli tak, to jesteście najzacniejszym chłopem, jaki kiedykolwiek zawadził o ten przeklęty kraj — rzekł maszynista, zeskoczył na ziemię i uścisnął mi rękę tak mocno, że omal nie krzyknąłem.

W kilka chwil otoczyli nas podróżni jadący pociągiem.

— Co to jest?! Co się stało?! Dlaczego stoimy?! — wołano dokoła.

W krótkich słowach opowiedziałem, co zaszło. Wzburzyło to wszystkich.

— Dobrze, bardzo dobrze! — zawołał inżynier kolejowy. — Spowoduje to wprawdzie przerwę w ruchu, ale to nic wobec okazji dania nauczki tym czerwonoskórym łajdakom. Jest nas wprawdzie niewielu, lecz wszyscy są dobrze uzbrojeni. Czy wiecie, ilu jest Indian?

— Trzydziestu Ponków. Tylu naliczyłem.

— Well. W takim razie łatwo sobie z nimi poradzimy, Ale co to za człowiek tam stoi? Na Boga, to czerwonoskóry!

Sięgnął ręką za pas i chciał się rzucić na Winnetou, który stał wyprostowany niedaleko mnie, w półcieniu.

— Uspokójcie się, sir. To mój przyjaciel, który się ucieszy z poznania śmiałych jeźdźców ognistego konia,

— To co innego. Zawołajcie go tutaj. Jak się nazywa?

— To Winnetou, wódz Apaczów.

— Winnetou? — zawołał ktoś w głębi i jakiś mężczyzna przecisnął się przez stojących półkolem. — Winnetou, wielki wódz Apaczów, jest tutaj?

Był to mężczyzna o iście olbrzymich kształtach, jeśli mogłem dojrzeć w ciemności. Wydało mi się przy tym, że nie ma na sobie munduru funkcjonariusza kolei, lecz ubranie preriowego myśliwca. Stanął przed wodzem i zapytał głosem, w którym wyraźnie przebijała radość:

— Czy Winnetou przypomina sobie jeszcze postać i głos przyjaciela?

— Utf — odpowiedział zapytany z taką samą radością. — Jakże mógłby Winnetou zapomnieć Old Firehanda, największego ze wszystkich myśliwych. Nie zapomniał, chociaż nie widział go od tylu miesięcy.

— Wierzę, wierzę, kochany bracie. To samo było ze mną, ale...

— Old Firehand? — zawołano dokoła i wszyscy z czcią odstąpili o krok od najsławniejszego westmana. Z osobą jego łączyło się tyle opowiadań o wręcz nieprawdopodobnie odważnych czynach, że zabobon preriowych myśliwców otoczył go nimbem rosnącym z każdą nową jego przygodą.

— Old Firehand?! — zawołał także inżynier. — Czemu wsiadając nie podaliście swego nazwiska? Bylibyście dostali wygodniejsze miejsce niż pierwszy lepszy podróżny, którego z grzeczności zabiera się kawałek na Zachód.

— Dziękuję, sir. Moje miejsce zupełnie mi wystarczało. Ale nie przygadujmy cennego czasu, lecz naradźmy się, co czynić, aby odeprzeć Indian.

Natychmiast wszyscy go otoczyli, jak gdyby rozumiało się samo przez się, że jego plan będzie najlepszy, ja zaś musiałem powtórzyć dokładnie moje sprawozdanie.

— A więc jesteście przyjacielem Winnetou? — zapytał, gdy skończyłem. — Ja nie tak łatwo zawieram przyjaźnie, ale ten, kogo on szanuje, może na mnie liczyć. Macie moją rękę.

— Tak, to mój brat i przyjaciel — oświadczył Winnetou. — Piliśmy z sobą krew przymierza.

— Piliście krew? — zapytał Old Firehand przystępując do mnie prędko, aby mi się przypatrzyć. — Więc ten człowiek jest chyba...

— Old Shatterhand, pod którego pięścią każdy musi upaść — uzupełnił Winnetou.

— Old Shatterhand, Old Shatterhand! — wołali stojący dokoła, cisnąc się do mnie.

— Wy jesteście Old Shatterhand? — zapytał inżynier uradowanym głosem. — Old Firehand, Old Shatterhand i Winnetou, jakież to szczęśliwe spotkanie. Trzej najsławniejsi mężowie Zachodu, trzej niezwyciężeni. Teraz nam już niczego nie brakuje, a czerwonoskórzy rabusie przepadli. Panowie, rozkazujcie, a będziemy wam posłuszni.

— Jest trzydziestu czerwonoskórych łajdaków — rzekł Old Firehand — z którymi nie będziemy sobie robić wielkich zachodów. Wystrzelamy ich co do nogi.

— To ludzie, sir — wtrąciłem.

— Ludzie, którzy zachowują się jak bestie — odparł. — Słyszałem o was i wiem, że nawet w największym niebezpieczeństwie pobłażacie nieprzyjaciołom. Ja jednak jestem całkiem innego zdania. Gdybyście przeżyli to, co ja, nikt nie mówiłby o Old Shatterhandzie jako o człowieku pobłażliwym, A ponieważ tą hałastrą dowodzi Paranoh, odszczepieniec i stokrotny morderca, mój tomahawk musi pożreć ich wszystkich. Mam z nim rachunek do wyrównania, i to rachunek pisany krwią.

— Howgh! — potwierdził łagodny zwykle Winnetou. Miał widocznie słuszne powody do uznania, wbrew swemu zwyczajowi, tak surowego wyroku i przeciwstawienia się mojemu zdaniu.

— Bardzo słusznie mówicie — zauważył także inżynier. — Oszczędzanie byłoby tutaj grzechem. Jaki więc jest wasz plan?

— Personel kolejowy zostanie przy wagonach. Wy jesteście urzędnikami, których nie wolno nam wikłać w walkę. Ale tamci wszyscy dżentelmeni mogą wziąć udział w walce i dać Ponkom nauczkę, że nie należy ograbiać pociągu. Zakradniemy się do nich prędko w ciemności i wpadniemy na nich. Ponieważ nie przeczuwają tego, przerażenie nie pozwoli im użyć broni. Skoro tylko ich pokonamy, damy znak ogniem, po czym pociąg będzie mógł ruszyć za nami, ale powoli, ponieważ nie wiem, czy uda nam się do jego przybycia pousuwać wszystkie przeszkody z szyn. A zatem, kto idzie z nami?

— Ja, ja, ja!... — zawołali wszyscy obecni oprócz personelu kolejowego. Nikt nie chciał rezygnować z udziału w wyprawie.

— Weźcie więc broń i chodźcie. Mamy niewiele czasu, gdyż czerwonoskórzy wiedzą, kiedy pociąg ma nadejść, a gdy się spóźni, gotowi powziąć podejrzenie.

Winnetou i ja poprowadziliśmy cały oddział. Głęboka cisza zalegała okolicę, ponieważ staraliśmy się unikać najlżejszego nawet szmeru. Nic nie wskazywało na to, że spokój, panujący pozornie na równinie, kryje w sobie zapowiedź walki.

Szliśmy najpierw w wygodnej wyprostowanej postawie, potem jednak, zbliżywszy się do przyszłego placu boju, położyliśmy się i zaczęliśmy się czołgać na rękach i nogach wzdłuż zbocza nasypu.

Tymczasem wzeszedł księżyc i zalał okolicę spokojnym, czystym światłem. Ta jasność utrudniała wprawdzie podchodzenie, ale była także dla nas korzystna. Wobec ciągłych wzniesień i zagłębień gruntu nie łatwo by nam było oznaczyć w ciemnościach dokładnie to miejsce,

gdzie widzieliśmy Ponków, mogliśmy się więc natknąć na nich niespodzianie. To nam teraz nie groziło.

Zatrzymując się ostrożnie od czasu do czasu i unosząc się z ziemi, rzucałem badawcze spojrzenia ponad nasyp. W pewnym momencie zauważyłem na położonym z boku wzgórzu ciemną postać. Był to strażnik. Gdyby nie był tak pochłonięty oczekiwaniem na pociąg, lecz zwracał wzrok także na bliższe otoczenie, musiałby nas zobaczyć.

W kilka minut potem ujrzeliśmy resztę Indian leżących nieruchomo na ziemi. Nie opodal stały powiązane konie, okoliczność ta bardzo utrudniała niespodziany napad, gdyż zwierzęta łatwo mogły nas zdradzić. Równocześnie zauważyłem, że Indianie ułożyli na szynach jeszcze więcej kamieni aniżeli poprzednio. Ze zgrozą pomyślałem o losie, jaki czekał podróżnych, gdybyśmy nie spostrzegli zamiaru dzikich.

Posuwaliśmy się dalej naprzód, dopóki nie znaleźliśmy się naprzeciwko oddziału Ponków. Tu położyliśmy się, pełni oczekiwania, z bronią gotową w każdej chwili do użycia.

Pierwszym zadaniem było unieszkodliwić strażnika, a pod tym względem nie ufałem nikomu z wyjątkiem Winnetou. Indianin, który stał na straży, mógł w świetle księżyca z łatwością rozpoznać każdy szczegół swego otoczenia i przy panującej dokoła ciszy musiał usłyszeć najlżejszy szmer. A gdyby się nawet udało zaskoczyć go niespodzianie, trzeba było koniecznie zerwać się; z ziemi i pokazać się tym sposobem reszcie Ponków. Mimo to Winnetou podjął się ochoczo tego trudnego zadania.

Poczolgał się i wkrótce ujrzeliśmy, że wartownik padł na ziemię, a po chwili stanął znowu w wyprostowanej postawie. Ruch ten odbył się z błyskawiczną szybkością, ale wiedziałem od razu, co oznaczał: Indianinem, stojącym teraz pozornie na straży, nie by już Ponka, lecz Winnetou, który przyczołgawszy się do posterunku, wstał prawie w tej samej chwili, w której przewrócił strażnika za nogi i pozbawił go możliwości wydania głosu.

Była to jedna z podziwu godnych sztuczek indiańskich Winnetou. Ponieważ nieprzyjaciele w dalszym ciągu leżeli nieruchomo, przeto całe zdarzenie musiało ujść ich uwagi. Najtrudniejsza rzecz była już dokonana, mogliśmy więc przystąpić do ataku.

Ale zanim jeszcze dano znak, huknął za mną strzał. Ktoś z naszych dotknął nieostrożnie cyngla odwiedzionego rewolweru. Jakkolwiek czerwonoskórzy nie spodziewali się napadu, jednak nie dali się wyprowadzić z równowagi. Zerwaliśmy się i rzuciliśmy się na nich. Indianie zobaczywszy nas pospieszyli wśród przenikliwych okrzyków do koni, aby przede wszystkim wydostać się z zasadzki, a potem dopiero coś postanowić, już w bezpiecznym miejscu.

— Baczność! — zawołał Old Firehand. — Strzelajcie do koni!

Huknęła salwa i gromada Indian utworzyła natychmiast bezładny kłąb poprzewracanych koni i ludzi oraz jeźdźców usiłujących umknąć.

Old Firehand i Winnetou pośpieszyli ku nim natychmiast z tomahawkami w ręku. Na energiczną pomoc ze strony reszty białych nie liczyłem od samego początku, pukali też oni do czerwonoskórych z daleka, nie trafiając zupełnie, i zaczęła nikczemnie uciekać, gdy kilku Ponków rzuciło się na nich z rykiem.

Wystrzeliwszy ostatnią kulę, odłożyłem rusznicę i sztucer i pośpieszyłem do boku Old Firehanda i Winnetou z tomahawkiem. Tak więc właściwie tylko my trzej walczyliśmy z Ponkami.

Winnetou znalem dostatecznie, nie potrzebowałem się o niego obawiać. Przeciskałem się natomiast z całej siły do Old Firehanda, bo widok jego przypominał mi dawnych rębajłów, o których tylekroć z zachwytem czytałem jako chłopiec. Długa grzywa włosów powiewała mu dokoła odkrytej głowy, a w twarzy, oświetlonej jasno księżycem odbijała się pewność zwycięstwa, która nadawała jego rysom dziwny, aż straszny wyraz.

W środku gromady Indian dojrzałem Paranoha. Starałem się dotrzeć do niego. On, uchodząc przede mną, znalazł się w pobliżu Apacza, próbował go także ominąć, ale Winnetou to zauważył, skoczył ku niemu i zawołał:

— Paranoh! Czy pies Atabasków chce uciec przed wodzem Apaczów. Winnetou? Usta ziemi muszą się napić jego krwi, szpon sępi rozszarpie ciało zdrajcy, a skalp jego ozdobi pas Apacza.

Odrzucił tomahawk daleko od siebie, wydobył nóż zza pasa i pochwycił białego wodza. Lecz przeszkodzono mu w śmiertelnym pchnięciu.

Kiedy wbrew swojemu zwyczajowi rzucił się na Ponkę z tym głośnym okrzykiem, Old Firehand zwrócił wzrok w ich stronę i objął nim oblicze wroga. I oto — jak się okazało — poznał człowieka, którego nienawidził z całej mocy, którego przez długie, długie lata z największym wysiłkiem na próżno szukał, który tu, w tym miejscu. niespodzianie zjawił się przed nim.

— Tirn Finnetey! — krzyknął. Rozepchnął Indian jak źdźbła trawy i skoczył pomiędzy nich ku Winnetou, chwytając jego podniesioną do ciosu rękę. — Stój, bracie, ten człowiek do mnie należy!

Paranoh, usłyszawszy swoje prawdziwe imię i nazwisko, stanął zesztywniały ze strachu. Ledwo jednak rzucił okiem na twarz Old Firehanda, wyrwał się z rąk Winnetou i jak wyrzucony z cięciwy pomknął w step. W tejże chwili ja uwolniłem się także od Indianina, z którym właśnie walczyłem, i puściłem się w pogoń za uciekającym. Nie miałem z nim wprawdzie żadnych osobistych porachunków, ale gdyby nawet jako właściwy sprawca zamierzonego napadu na pociąg nie zasługiwał na kulę, to wystarczał mi fakt, że był śmiertelnym wrogiem Winnetou. W ciągu ostatnich chwil zrozumiałem także, że i Old Firehandowi zależało na pojmaniu go.

Winnetou i Old Firehand pobiegli też natychmiast za Paranohem, nie było jednak nadziei, że wyrównają tę przestrzeń, o którą ich wyprzedziłem. Jakkolwiek Old Firehand był niezawodnie mistrzem we wszelkich umiejętnościach, potrzebnych do życia na Zachodzie, to jednak nie był już w tym wieku, który sprzyja gonitwie na śmierć i życie, a Winnetou przyznawał niejednokrotnie, że mi nie dorównuje w biegu. Na domiar złego zauważyłem, że mam do czynienia z doskonałym biegaczem.

Mimo to ku swemu zadowoleniu spostrzegłem po chwili, że Paranoh popełnił błąd, bo nie zmierzywszy dokładnie swoich sił, pędził na złamanie karku prosto przed siebie i w przerażeniu zaniechał zwykłej taktyki Indian uciekania zygzakiem. Ja natomiast starałem się oszczędzać oddechu i z pełną świadomością przenosiłem cały wysiłek biegu na przemian z jednej nogi na drugą. Ta ostrożność przynosiła mi zawsze korzyść.

Winnetou i Old Firehand zostawali coraz bardziej w tyle, nie dolatywał mnie już szmer ich oddechów, który z początku słyszałem tuż za sobą, a po chwili zabrzmiał ze znacznego oddalenia głos Winnetou;

— Niechaj się Old Firehand zatrzyma! Mój młody biały brat pochwyci tego płaza Atabasków i zabije go, bo ma nogi wichru i nikt mu nie ujdzie.

Jakkolwiek pochlebiał mi ten okrzyk, nie mogłem się odwrócić, aby zobaczyć, czy zawzięty myśliwiec usłuchał Winnetou. Księżyc świecił wprawdzie jasno, ale wobec zwodniczości jego światła nie mogłem zbiega ani na chwilę spuścić z oka.

Dotychczas nie zbliżyłem się doń ani o krok, spostrzegłszy jednak po pewnym czasie, że szybkość jego zaczęła się zmniejszać, puściłem się chyżej i wkrótce pędziłem tak blisko niego, że usłyszałem jego sapanie. Nie miałem przy sobie żadnej innej broni oprócz wystrzelonych rewolwerów i noża, którego teraz dobyłem. Topór przeszkadzałby mi w biegu, dlatego odrzuciłem go zaraz po paru pierwszych krokach.

Wtem Paranoh skoczył w bok, aby uderzyć mnie z tyłu, gdy przelecę koło niego w pełnym biegu. Ja jednak byłem na ten manewr przygotowany i skręciłem w tej samej chwili w bok, wskutek czego zderzyliśmy się z sobą z całej siły, a nóż mój wbił mu się w ciało aż po rękojeść.

Zderzenie było tak silne, że runęliśmy obaj na ziemię, z której on się już oczywiście nie podniósł, gdy tymczasem ja zerwałem się natychmiast. Odetchnąwszy głęboko, wyjąłem nóż z jego piersi.

Nie był to pierwszy nieprzyjaciel, którego położyłem trupem, a ciało moje nosiło na sobie niejedną pamiątkę po nie zawsze szczęśliwych starciach z wyćwiczonymi w walce mieszkańcami stepów amerykańskich. Ale tu leżał przede mną biały, który zginął od mojej broni. Nie mogłem jakoś obronić się przed niepokojącym mnie, dziwnym uczuciem, jakkolwiek on zasłużył na śmierć i nie był godny pożałowania.

Kiedy się zastanawiałem, jaki sobie wziąć dowód zwycięstwa, usłyszałem za sobą czyjś pośpieszny bieg. Rzuciłem się czym prędzej na ziemię, ale nie było powodu do obaw. Był to Winnetou, który powodowany przyjacielskim niepokojem pobiegł za mną i zatrzymał się teraz przy mnie.

— Mój brat jest szybki jak strzała Apacza, a nóż jego nie chybia celu — rzekł ujrzawszy na ziemi zabitego. — Gdzie jest Old Firehand? — spytałem. — Old Firehand jest silny jak niedźwiedź o pierwszym śniegu, ale nogi jego wstrzymuje ręka lat. Czy mój brat nie przyozdobi się skalpem Atabaski?

— Daruję go memu czerwonemu bratu!

Apacz zdjął trzema cięciami skórę z czaszki poległego. Jakże zajadle musiał ten łagodny zazwyczaj Winnetou nienawidzić Tima Finneteya!

Gdy się odwróciłem, wydało mi się, że posuwają się ku nam trzy ciemne punkty.

— Niechaj Winnetou położy się na ziemi; będzie musiał bronić skalpu białego wodza! — ostrzegłem go.

Nadchodzący zbliżali się z widoczną ostrożnością. Było tam z pół tuzina Ponków, którzy starali się odszukać swoich rozproszonych współplemieńców.

Apacz poczołgał się po ziemi, kierując się w bok, a ja za nim gdyż zrozumiałem jego zamiar. Old Firehand powinien był być już dawno przy nas, ale straciwszy z oczu Winnetou, pobiegł zapewne w fałszywym kierunku. Teraz zauważyliśmy, że Ponkowie mieli z sobą konie, które prowadzili za cugle. W ten sposób byli. w każdej chwili przygotowani do szybkiej ucieczki, nam jednak groziło niebezpieczeństwo. Musieliśmy zdobyć konie! Zatoczyliśmy więc niewielki łuk, dzięki czemu dostaliśmy się na ich tyły, a konie ich znalazły się pomiędzy nami a nimi.

Ponkowie nie spodziewali się oczywiście znaleźć zabitego w tak dużej odległości od placu boju, toteż krzyknęli kilkakrotnie „uff", ujrzawszy przed sobą ze zdziwieniem nieruchome ludzkie ciało. Gdyby przypuszczali, że ich wódz poległ tutaj, nie pędziliby z takim pośpiechem. Sadzili raczej, że wydostał się z walki ranny i dowlókł się aż do tego miejsca. Pochylili się nad nim natychmiast, a na widok zdjętego skalpu wybuchnęli głośnym wyciem wściekłości.

To była dla nas stosowna chwila. W sekundę chwyciliśmy konie za cugle, które oni wypuścili w przestrachu, wsiedliśmy na nie i popędziliśmy cwałem ku naszym. Na walce nam nie zależało. Wystarczyło, że bezbronni umknęliśmy trzykroć liczniejszemu wrogowi i oprócz skalpu nieprzyjacielskiego wodza przyprowadziliśmy jeszcze kilka koni.

Z łatwym chyba do wybaczenia zadowoleniem wyobrażałem sobie miny, jakie z pewnością mieli oszukani przez nas Ponkowie. Nawet poważny Winnetou nie zdołał się powstrzymać od wesołego okrzyku „uff". Czuliśmy jednak usprawiedliwioną obawę o Old Firehanda, ponieważ mógł się, tak samo jak my, natknąć na jakiś oddziałek Ponków.

Obawa ta okazała się słuszna, gdyż po powrocie nie zastaliśmy go na placu boju, chociaż od naszego rozstania upłynęło już sporo czasu.

Walka była skończona. Biali, którzy nam pomagali, poznosili zabitych Indian. Rannych nie było, gdyż umknęli ze zdrowymi. W pobliżu miejsca, gdzie leżały kamienie, płonęły dwa

wysokie ogniska, które oświetlały dostatecznie okolicę, a zarazem służyły za sygnał dla personelu pociągu.

Ogień zauważono, pociąg zaraz nadszedł i zatrzymał się koło nas. Urzędnicy zeskoczyli z wagonów i dopytywali się o szczegóły i wynik walki. Kiedy im opowiedziałem, pochwalili nas, co mogli sobie darować, a kierownik pociągu obiecał, że wspomni o nas w swoim raporcie i postara się, aby nasze nazwiska wymieniono w dziennikach.

— To niepotrzebne, sir — odrzekłem. — Jesteśmy prostymi westmanami i zrzekamy się chętnie takiej sławy. Ale skoro macie taką ochotę, to otrąbcie po Stanach nazwiska reszty walecznych dżentelmenów. Wypukali oni sporo prochu, słusznie i sprawiedliwie należy się im więc za to uznanie.

— Czy naprawdę tak było, sir? — zapytał, nie mogąc zrozumieć tonu, jakim to wypowiedziałem.

— Oczywiście.

— Byli zatem waleczni?

— Ponad wszelką miarę.

— Cieszy mnie to niezmiernie. Zanotuję ich nazwiska i ogłoszę je publicznie. Ale gdzie jest Old Firehand, nie widzę go tu. Chyba nie znajduje się między poległymi?

Na to rzekł Winnetou:

— Mój brat, Old Firehand, stracił trop Paranoha i zapewne natknął się na nowych nieprzyjaciół. Pójdę z Old Shatterhandem, by go poszukać.

— Tak, musimy iść czym prędzej — potwierdziłem — gdyż kto wie, czy nie jest on w niebezpieczeństwie. Spodziewamy się, że was tu jeszcze zastaniemy po powrocie.

Wzięliśmy z sobą tomahawki i strzelby, które porzuciliśmy przed pościgiem, i pośpieszyliśmy w tym samym kierunku, co przedtem, ponieważ tam należało szukać Old Firehanda.

Nie mogliśmy nic dojrzeć na większą odległość, gdyż światło księżyca było na to za słabe i za blade. Musieliśmy się zdać bardziej na słuch niż na wzrok. Z początku i to było niemożliwe, gdyż hałas pociągu zagłuszał wszelkie szmery. Dopiero kiedy oddaliliśmy się tak, że nie było go już słychać i dokoła otoczyła nas cisza nocy, zaczęliśmy przystawać od czasu do czasu i nadsłuchiwać.

I to przez długi czas pozostało bez skutku. Już mieliśmy zawrócić, przypuszczając, że Old Firehand wrócił tymczasem do pociągu, kiedy doleciało nas z dala wołanie.

— To musi być brat Old Firehand, gdyż umykający Ponkowie nie zdradziliby się okrzykami — rzekł Winnetou.

— Takie jest i moje zdanie — odparłem. — Pośpieszmy tam prędko!

Ruszyliśmy równocześnie, ale Winnetou skierował się na północ, a ja na wschód. Zatrzymaliśmy się natychmiast, a Apacz rzekł:

— Czemu brat mój tam się skierował? To było na północy.

— Nie, na wschodzie. Słuchaj! Okrzyk się powtórzył, ja zaś dodałem:

— To na wschodzie. Słyszę całkiem wyraźnie.

— Na północy, mój brat się myli powtórnie.

— A ja jestem pewien swego ucha. Old Firehand znajduje się w niebezpieczeństwie i nie mamy czasu na sprawdzanie omyłki. Niech mój brat idzie na północ, a ja na wschód. Jeden z nas na pewno natknie się na niego.

— Niech tak będzie!

Z tymi słowy Winnetou, który nie mylił się zresztą nigdy w tych sprawach, pobiegł w swoim, ja zaś w swoim kierunku. Wkrótce przekonałem się, że słuszność była po mojej stronie, gdyż wołanie zabrzmiało znowu, i to o wiele wyraźniej niż poprzednio. Niebawem ujrzałem grupę walczących ludzi.

— Przybywam, Old Firehand, przybywam! — krzyknąłem pędząc większymi skokami.

Zobaczyłem grupę wyraźniej. Old Firehand klęczał na ziemi i bronił się przeciwko trzem nieprzyjaciołom. Byli to ci, którym zabraliśmy konie. Każdy cios mógł go pozbawić życia, a ja byłem jeszcze co najmniej o pięćdziesiąt kroków od niego. Toteż zatrzymałem się i wymierzyłem z nabitego poprzednio sztucera. Z powodu niepewnego światła księżycowego, przyśpieszonego biegiem tętna i gwałtownego oddechu, był to strzał niebezpieczny, gdyż mogłem trafić tego, któremu chciałem dopomóc. Strzeliłem trzy razy raz po razie i trzej nieprzyjaciele padli na ziemię. Ja zaś popędziłem ku Old Firehandowi.

— Dzięki Bogu! W sam czas, w ostatniej chwili, można powiedzieć, sir! — zawołał do mnie,

— Jesteście ranni? — spytałem przystąpiwszy do mego, — Chyba nie ciężko?

— Niebezpieczeństwo mi nie grozi. Otrzymałem dwa cięcia tomahawkiem w nogi. Napastnicy nie mogli się do mnie zbliżyć, dlatego walili w nogi, od dołu, tak że musiałem przyklęknąć.

— Z pewnością dużo krwi upłynęło. Pozwolicie, że was zbadam!

— Tak, tak! Ale, sir, cóż to za strzelec z was, żeście zdołali przy takim świetle i po takim biegu trafić wszystkich trzech. Tego może dokonać tyiko — Old Shatterhand. Nie mogłem przedtem, podczas ścigania Finneteya nadążyć za wami, gdyż miałem w nodze ranę od strzały, która przeszkadzała mi w biegu. Waszych śladów także nie zdołałem dostrzec i szukałem was długo. Wtem wyrośli jak spod ziemi ci Indianie. Położyli się przedtem płasko na brzuchu, aby mnie bliżej dopuścić. Miałem tylko nóż i pięści, ponieważ dla łatwiejszego biegu odrzuciłem wszelką inną broń. Zaczęli mnie rąbać po nogach. Byliby mnie zabili, gdybyście nie nadbiegli w samą porę. Nie zapomnę tego nigdy Old Shatterhandowi!

Podczas jego opowiadania zbadałem mu rany; były bolesne, ale szczęściem niegroźne dla życia. Po chwili nadszedł Winnetou i dopomógł mi opatrzyć zranione nogi, przyznając otwarcie, że dzisiaj zawiódł go znakomity zwykle słuch. Zostawiliśmy na ziemi poległych i ruszyliśmy ku linii kolejowej, oczywiście bardzo powoli, ponieważ Old Firehandowi prędki chód sprawiał ból. Pociągu już nie było. Nie zdziwiliśmy się tym bardzo, gdyż maszynista chcąc zastosować się do wyznaczonej godziny nie mógł czekać dłużej. Zdobyte konie stały przywiązane razem z naszymi, było więc na czym przewieźć Old Firehanda. Mimo to musieliśmy oczywiście z powodu jego stanu zdrowia zatrzymać się tu dłużej, dopóki nie nabrałby sił do dłuższej jazdy konnej. On sam wskazał nam miejsce, oddalone o pół dnia jazdy, gdzie były drzewa, trawa i woda — gdzie zatem nie tylko dla nas, lecz i dla koni istniały warunki znośnego bytu.

ROZDZIAŁ VI

W WAROWNI

Upłynął szereg dni, zanim Old Firehand mógł ruszyć z nami do swego ,,zamku". Droga, którą odbyliśmy zresztą szczęśliwie, wiodła przez sam środek obszarów należących do nieprzyjacielskich szczepów. Toteż dopiero wtedy, gdy niebezpieczeństwo mieliśmy już za sobą, mogliśmy wreszcie odpocząć, by nabrać nowych sił.

Strzelby nasze milczały w ostatnich dniach, staraliśmy się bowiem nie zwracać na siebie uwagi czerwonoskórych. Mimo to nie doznaliśmy głodu, łowiąc zwierzynę w pułapki. Pewnej nocy siedziałem z Old Firehandem przy ogniu, Winnetou zaś pełnił straż. Gdy podczas jednego z okrążeń obozu przechodził koło nas, Old Firehand rzekł do niego:

— Czy mój brat nie usiądzie przy ognisku? Ścieżka Rapahów nie prowadzi w to miejsce. Jesteśmy bezpieczni.

— Oko Apacza jest zawsze otwarte; nie dowierza on nocy, gdyż noc jest jak kobieta — odrzekł Winnetou. Po tych słowach zniknął znowu w ciemności.

— Nienawidzi kobiet — napomknąłem, chcąc rozpocząć rozmowę, jedną z tych przyjemnych rozmów, które się prowadzi pod spokojnie mrugającymi gwiazdami i które pamięta się potem przez długie lata.

Old Firehand otworzył futerał, który nosił zawsze na szyi, wyjął zeń troskliwie schowaną tam fajkę, napełnił ją powoli tytoniem i zapalił.

— Tak sądzicie? Może się mylicie...

— Wyczułem to z jego słów.

— A jednak tak nie jest — mruknął myśliwiec. — Była bowiem kobieta, o której posiadanie walczyłby z całym światem, z człowiekiem i diabłem, ale od owego czasu zapomniał wyrazu: skwaw.

— Czemuż nie wprowadził jej do swojego wigwamu?

— Bo kochała innego.

— Indianin nie pyta o to zazwyczaj.

— Ale ten inny był jego przyjacielem,

— A nazwisko tego przyjaciela?

— Teraz brzmi: Old Firehand.

Podniosłem wzrok, zaskoczony niespodzianką, bo oto znalazłem się w obliczu jednej z tragedii, w jakie obfituje Zachód. Oczywiście nie miałem prawa pytać w dalszym ciągu, ale żądza dowiedzenia się czegoś więcej musiała wyzierać z mojej twarzy, gdyż Old Firehand rzekł;

— Zostawcie przeszłość w spokoju, sir! Gdybym chciał o niej mówić, to wy, mimo swej młodości, bylibyście naprawdę jedynym człowiekiem, któremu bym się zwierzył. Polubiłem was w ciągu tego krótkiego okresu czasu, odkąd jesteśmy razem.

— Dziękuję, sir! Mogę wam powiedzieć otwarcie, że i ja czuję do was ogromną życzliwość.

— Wiem o tym, wiem. Dowiedliście tego dostatecznie. Bez waszej pomocy zginąłbym owej nocy. Wpadłem w diabelnie trudne położenie i ociekałem krwią jak wielokrotnie ranny bawół, Gniewało mnie to, że nie udało mi się wyrównać rachunku z Timem Finneteyem. Dałbym sobie tu na miejscu rękę uciąć, gdyby ten łotr mógł pokosztować mojego żelaza.

Spokojne zazwyczaj i otwarte oblicze mówiącego drgało podczas tych słów gorzką zawziętością. Kiedy tak leżał przede mną z iskrzącymi się oczyma i zaciśniętymi pięściami, wyobrażałem sobie, że ów rachunek z Paranohem czy Finneteyem musiał być pokaźny.

Przyznaję, że ciekawość moja zwiększała się stale. Myślę, że z każdym innym człowiekiem, który byłby na moim miejscu, działoby się to samo. Spotkałem się tu z nie znaną mi historią ─ oto niegdyś mój przyjaciel Winnetou otworzył swoje serce dziewczynie. Zachował to w tajemnicy nawet przede mną, swoim najlepszym przyjacielem i bratem. Musiałem jednak być cierpliwy, chociaż przychodziło mi to z trudnością. Spodziewałem się, że przyszłość przyniesie wyjaśnienie.

Rekonwalescencja Old Firehanda postępowała tak szybko, jakeśmy sobie tego wszyscy życzyli, wyruszyliśmy więc w drogę w stosunkowo krótkim czasie. Chcieliśmy się dostać przez kraj Rapahów i Pawnejów aż do Mankicity, nad której brzegiem Old Firehand miał „warownię", jak się wyrażał Przepłynęliśmy przez Kehupahan i wkrótce byliśmy już niedaleko od niej. Chciałem tam na pewien czas przyłączyć się do traperów, którymi Old Firehand dowodził, a potem przez Dakotę i Psią Prerię dostać się do jezior. Podczas pobytu z nim nadarzyłaby mi się zapewne niejednokrotnie sposobność wejrzenia w jego przeszłość.

Pewnego razu siedziałem w milczeniu przy ognisku, poruszając się tylko po to, aby podsycić ogień.

Podczas jednego takiego ruchu błysnął mi na palcu pierścionek. Mimo iż błysk ten trwał zaledwie chwilę, Old Firehand wprawnym okiem spostrzegł ten mały przedmiot i ze zdumieniem w twarzy zerwał się ze swego miejsca.

─ Co to za pierścień marie na palcu, sir? ─ spytał pośpiesznie.

─ To pamiątka po jednej z najstraszniejszych godzin mojego życia.

─ Czy wolno mu się przypatrzeć? Kiedy mu podałem pierścień, pochwycił go z widoczną skwapliwością i zaledwie nań spojrzał, rzucił pytanie:

─ Od kogo go macie?

Opanowało go nieopisane wzburzenie, gdy odpowiedziałem:

─ Od pewnego chłopca z New Venango. Zawołał z jeszcze większym niepokojem:

─ Z New Venango? Byliście u Forstera? Czy widzieliście Harry'ego? Wspomnieliście o strasznej godzinie, o nieszczęściu!

─ Była to przygoda, w której mnie i mojemu dzielnemu Swallowowi groziło niebezpieczeństwo upieczenia się żywcem ─ odrzekłem wyciągając rękę po pierścień.

─ Zostawcie to! ─ rzekł nie oddając pierścienia. ─ Muszę wiedzieć, jakim sposobem dostał się w wasze posiadanie. Mam do tego uświęcone prawo.

─ Usiądźcie spokojnie, sir! Gdyby ktoś inny usiłował nie zwrócić mi pierścienia, potrafiłbym go zmusić do tego, wam jednak opowiem bliższe szczegóły, a wy dowiedziecie mi potem swego prawa.

─ Mówcie! A zapewniam was, że ten pierścień stałby się w ręku każdego innego człowieka, któremu bym mniej ufał niż wam, wyrokiem śmierci dla niego. A zatem opowiadajcie, opowiadajcie!

A więc Old Firehand znal Harry'ego, znał także Forstera, a wzburzenie, jakie go opanowało, dowodziło, jak bardzo los tych ludzi nie był mu obojętny. Cisnęło mi się na usta sto pytań, lecz wstrzymałem się i rozpocząłem sprawozdanie z owego spotkania.

Wsparty na łokciu leżał Old Firehand naprzeciwko mnie po drugiej stronie ognia, a w każdym rysie jego twarzy malowało się napięcie. Uwaga jego rosła z każdą chwilą, a gdy doszedłem do tego momentu, w którym porwałem Harry'ego z sobą na konia, zerwał się i zawołał:

─ Człowiecze, to jedynie mogło go ocalić! Drżę o jego życie! Prędzej, prędzej, mówcie dalej!

Podniosłem się także pod wpływem przypomnienia tego strasznego wypadku i opowiadałem dalej. On pod chodził do mnie coraz bliżej i bliżej, usta mu się rozchliły, jak gdyby bał się uronić jakieś słowo, szeroko otwarte oczy wpiły się w moje wargi, a całe jego ciało zgięło się, jak gdyby to on sam siedział na pędzącym Swallowie, rzucał się w spienione nurty rzeki i w strasznym przerażeniu starał się dotrzeć do stromej, poszarpanej, skalnej ściany. Już przedtem

pochwycił mnie za ramię i gniótł ją teraz bezwiednie tak mocno, że musiałem zacisnąć zęby. Oddech wydzierał mu się z piersi z głośnym stękaniem.

— Wielkie nieba! — zawołał odetchnąwszy głęboko, kiedy usłyszał, że przedostałem się szczęśliwie wraz z chłopcem poza krawędź parowu w bezpieczne miejsce. — To było okropne, straszne! Wydawało mi się, jak gdyby moje własne ciało tkwiło w płomieniach, jakkolwiek wiedziałem przedtem, żeście go ocalili, gdyż w przeciwnym razie nie mógłby ofiarować wam pierścienia.

— Nie uczynił tez tego. Pierścień zsunął mu się z palca wbrew jego woli, a on nie spostrzegł zguby.

— W takim razie powinniście byli bezwarunkowo zwrócić cudzą rzecz właścicielowi.

— Chciałem to zrobić, lecz on uciekł ode mnie. Ujrzałem go dopiero nazajutrz w otoczeniu jakiejś rodziny, która uszła śmierci, ponieważ jej mieszkanie znajdowało się w najwyżej położonym kącie doliny, a pożar się już cofnął.

— I powiedzieliście mu o pierścieniu?

— Nie. Wcale mnie nie dopuszczono, nawet strzelano óo mnie, wobec czego pojechałem swoją drogą.

— On jest taki! Tak! Taki właśnie! Nic mu nie jest tak wstrętne jak tchórzostwo, a was uważał za tchórza. Co się stało z Forsterem?

— Słyszałem, że ocaliła się tylko owa rodzina. Morze płomieni, które wypełniło kotlinę, pochłonęło wszystko.

— To straszna, zbyt straszna kara za niepotrzebne i śmieszne przedsięwzięcie spuszczenia nafty po to, aby podnieść jej cenę!

— Czy znaliście go także, sir? — spytałem.

— Byłem u niego kilka razy w New Venango. Był to człowiek dumny ze swoich pieniędzy. Powinien był, ze mną przynajmniej, obchodzić się nieco układniej, niż to czynił.

— A widzieliście u niego Harry'ego?

— Harry'ego? — rzekł ze szczególnym uśmiechem na spokojnej znowu twarzy. — Tak, u niego i w Omaha, gdzie chłopak ma brata, a może jeszcze gdzie indziej.

— Może byście mi coś o nim powiedzieli?

— Nie teraz, nie teraz! Wasze opowiadanie tak mnie wzruszyło, że nie czuję się na siłach do podjęcia takiej rozmowy. Później usłyszycie o nim więcej, to znaczy tyle, ile ja sam wiem o nim. Czy nie powiedział wam, czego szukał w New Venango?

— Owszem! Wstąpił tam tylko na krótko.

— Tak, tak! Twierdzicie zatem, że uszedł niebezpieczeństwu — rzeczywiście i na pewno?

— Na pewno.

— A widzieliście go, jak strzela?

— Już wam o tym mówiłem, że strzela znakomicie. To nadzwyczajny chłopak!

— Tak jest. Ojciec jego jest starym traperem, który potrafi utoczyć każdą kulę tak, że ta znajdzie zawsze właściwą drogę. Od niego Harry nauczył się celować, a jeślibyście sądzili, że nie umie zrobić z tego użytku w odpowiednim czasie i miejscu, bylibyście w błędzie.

— A gdzie jest ten ojciec?

— Raz tu, raz tam. Mogę powiedzieć o nim tylko tyle, że poznałem go dość dobrze. Kto wie, czy nie ułatwią wam kiedyś spotkania z nim.

— Byłoby mi bardzo przyjemnie, sir,

— Zobaczymy. Zasłużyliście, żeby ojciec wam podziękował za syna.

— Ach, nie o to mi idzie!

— Oczywiście, oczywiście. Znam was dość dobrze. Tu macie pierścień. Później dopiero przekonacie się, co to znaczy, że go wam zwracam. Na razie przyślę wam tu Apacza, bo jego warta się kończy. Połóżcie się, żebyście rano byli rześcy. Nasze koniska muszą jutro także wytężyć siły, żeby pokonać dwa dni drogi.

— Dwa? Czy nie mieliśmy jutro dojechać tylko do Green-Parku?

— Zmieniłem zdanie. Dobranoc!

— Szczęśliwej warty, nie zapomnijcie mnie zbudzić, gdy nadejdzie moja kolej.

— Zaśnijcie tylko! Ja mogę także raz zrobić coś dla was. Wyście dosyć dla mnie uczynili.

Dziwnie mi się zrobiło. Właściwie nie wiedziałem, co myśleć o tej rozmowie. Kiedy tak leżałem, rozmaite domysły zaczęły mi przelatywać przez głowę, ale żaden z nich nie wydawał mi się słuszny. Długo jeszcze po powrocie Winnetou, który zaraz owinął się w koc, aby się przespać, przewracałem się niespokojnie z jednego boku na drugi. Opowiadanie mnie wzburzyło, a ów okropny wieczór przesuwał się przede mną ze wszystkimi szczegółami. Pomiędzy tym pełnym grozy wspomnieniem wynurzała się co chwila postać Old Firehanda i jeszcze w ostatniej chwili przed ostatecznym zaśnięciem brzmiały mi w uszach słowa: „Zaśnijcie tylko! Wyście dosyć dla mnie uczynili!"

Obudziwszy się nazajutrz, zobaczyłem, że jestem sam przy ognisku. Obaj moi towarzysze musieli jednak być niedaleko, gdyż mały blaszany kocioł wisiał nad ogniem z wrzącą wodą, a obok kawałka mięsa, pozostałego z wczorajszego wieczora, stał jeszcze otwarty worek z mąką.

Odwinąłem koc i poszedłem nad wodę, aby się umyć. Tam zastałem towarzyszy, a wrażenie, jakie wywołał mój widok, dowodziło, że byłem przedmiotem ich rozmowy.

Wkrótce potem byliśmy gotowi do drogi i ruszyliśmy w kierunku, który w odległości dwudziestu mil od Missouri prowadził równolegle z rzeką do doliny Mankicity.

Dzień był chłodny. Konie nasze były dobre, a ponieważ oszczędzaliśmy ich poprzednio i pielęgnowaliśmy porządnie, przeto odwaliły tęgi kawał drogi przez ten zielony kraj.

Osobliwa wydała mi się zmiana w postępowaniu obydwóch towarzyszy w stosunku do mnie, co zauważyłem od razu rano. Jakaś większa życzliwość czy szacunek przebijały w całym ich zachowaniu. Doznawałem wrażenia, jak gdyby spojrzenie Old Firehanda, którym mnie co pewien czas obrzucał, wyrażało jakąś cichą, przeznaczoną tylko dla mnie, pieszczotę.

Zastanawiała mnie także przychylność i oddanie, z jakim odnosili się do siebie wzajemnie Winnetou i Old Firehand. Dwaj bracia, złączeni z sobą węzłami krwi, całą swoją istotą poczuwający się do wspólnoty, nie mogliby sobie okazywać większej serdeczności. Dotąd zdawało mi się, że troskliwość mego czerwonoskórego brata skupia się na mojej osobie. Winnetou odnosił się jednak do Old Firehanda z jeszcze większą przyjaźnią niż do mnie, tak że ogarniała mnie prawie zazdrość. Na szczęście nie leżało to w moim charakterze ani rozum mój na to nie pozwalał.

Kiedy zatrzymaliśmy się około południa, Old Firehand się oddalił, aby zbadać otoczenie obozu, a ja zacząłem wyjmować zapasy żywności. Winnetou wyciągnął się obok mnie i rzekł:

— Mój brat jest odważny jak wielki leśny kot, a niemy jak usta skały. Nie odpowiedziałem .nic na ten szczególny wstęp.

— Jechał przez płomienie oleju ziemnego, a nie wspomniał o tym nic swemu przyjacielowi, Winnetou.

— Język mężczyzny — odrzekłem — jest jako nóż w pochwie. Jest ostry i spiczasty i nie nadaje się do igraszki.

— Mój brat jest mądry i ma słuszność, ale Winnetou sprawia to smutek, kiedy serce jego młodego przyjaciela zamyka się przed nim jak kamień, w którego łonie kryją się ziarnka złota.

— Czy serce Winnetou było otwarte dla ucha jego przyjaciela?

— Czy Winnetou nie wyjawił mu wszystkich tajemnic prerii? Czy nie pokazał mu i nie nauczył go, jak się czyta tropy, rzuca lassem, ucina skalpy i robi to wszystko, co musi znać wielki wojownik?

— Winnetou to uczynił, ale czy powiedział coś swemu bratu o Old Firehandzie, który posiada jego serce, i o kobiecie, której pamięć nie umarła w jego myśli?

— Winnetou ją kochał, a miłość nie mieszka w ustach. Ale czemu brat mój zamilczał o chłopcu, którego Swallow przeniósł przez ogień?

— Gdyż brzmiałoby to jak samochwalstwo. Czy znasz tego chłopaka?

— Nosiłem go na rękach, pokazywałem mu kwiaty na polu i drzewa w lesie, ryby w wodzie i gwiazdy na niebie. Uczyłem go wypuszczać strzałę z cięciwy i dosiadać dzikiego konia. Obdarzyłem go językami czerwonych mężów, a w końcu dałem mu strzelbę ognistą, której kula zabiła Ribannę, córę Assineboinów.

Spojrzałem nań zdumiony. Budziło się we mnie przeczucie, któremu zaledwie ośmieliłem się nadać szatę słów, a jednak byłbym to może teraz uczynił, gdyby w tej chwili nie powrócił Old Firehand i nie skierował naszej uwagi na jedzenie. Ustawicznie jednak myślałem nad słowami Winnetou, gdyż z tych słów i z tego, co słyszałem od Harry'ego, wynikało, że Old Firehand był jego ojcem. Jego wczorajsze zachowanie podczas mojego opowiadania potwierdzało ten domysł. Harry mówił jednak o ojcu jak o kimś obcym i nie zdradził się niczym, co mogłoby mnie upewnić w moich przypuszczeniach.

Po parogodzinnej przerwie ruszyliśmy znowu dalej. Konie, jak gdyby wiedząc, że czeka je kilkudniowy wypoczynek, kłusowały raźno, dzięki czemu przejechaliśmy dużą część drogi. O zmierzchu łańcuch wzgórz, za którym leży dolina Mankicity, zbliżył się do nas znacznie, grunt zaczął się wznosić i wjechaliśmy w parów prowadzący, jak się zdawało, prostopadle ku rzece.

— Stać! — zabrzmiało nagle z rosnących po bokach krzaków, a równocześnie ukazała się między gałęziami lufa wymierzonej do nas strzelby. — Jakie hasło?

— Mężnie!

— I?

— Milcząco — odrzekł Old Firehand starając się przebić wzrokiem zarośla.

Po tym ostatnim słowie rozchyliły się gałęzie, przepuszczając człowieka, którego widok napełnił mnie radosnym zdumieniem. Spod smętnie zwisających krys pilśniowego kapelusza, którego wiek, kształt i barwa sprawiłyby przy ocenie kłopot najbystrzejszemu myślicielowi, z lasu zmierzwionego, szpakowatego zarostu wyglądał nos o przerażających niemal rozmiarach, który każdemu zegarowi słonecznemu mógł służyć do rzucania cienia. Z powodu potężnego zarostu widać było, oprócz zbyt hojnie wyposażonego narządu powonienia, tylko parę małych oczek, niesłychanie ruchliwych, które z wyrazem szelmowskiej chytrości przebiegały z jednego z nas na drugiego.

Głowa ta należała do tułowia niewidocznego aż po kolana, który tkwił w bluzie z kozłowej skóry, zrobionej najwyraźniej dla jakiejś znacznie tęższej osoby. Wskutek tego ten mały człowiek wyglądał jak dziecko, które dla rozrywki ubrało się w szlafrok dziadka. Z lego aż nadto wystarczającego okrycia wyglądały dwie nogi, krzywe jak sierpy, ubrane w wystrzępione i odwieczne legginy, z których ów człowieczek wyrósł z pewnością jeszcze przed dziesięciu laty; spod legginów zaś wyzierała para indiańskich butów, w których mógłby się od biedy zmieścić cały właściciel. W ręce trzymał on starą strzelbę, której dotknąłbym tylko z największą ostrożnością. Kiedy zbliżał się do nas pełen godności, nie można sobie było wyobrazić lepszej i sympatyczniejszej karykatury preriowego myśliwca.

— Samie Hawkens! — zawołał Old Firehand. — Czy twoje oczka zgłupiały, że żądasz ode mnie hasła?

— Nie sądzę, sir! Uważam jednak za odpowiednie, żeby człowiek stojący na warcie pokazał czasem, że nie zapomniał hasła. Witam was serdecznie, panowie. Będzie uciecha, wielka uciecha, Wariuję z zachwytu, że widzę tu mego byłego greenhorna, który zwie się teraz Old Shatterhand, i Winnetou, wielkiego wodza Apaczów, jeśli się nie mylę.

Podał mi obie ręce, przycisnął mnie serdecznie do swej bluzy myśliwskiej, aż zatrzeszczała jak puste drewniane pudło. Jego czarne dawniej wąsy i broda posiwiały.

— Cieszy mnie to serdecznie i szczerze, że znów was widzę, kochany Samie — rzekłem zgodnie z prawdą. — Ale przyznajcie się, czy mówiliście Old Firehandowi, żeście mnie znali i byliście moim nauczycielem?

— Oczywiście, że to zrobiłem.

— A wy milczeliście jak zaklęci i nie powiedzieliście mi, że spotkam u was Sama Hawkensa

Na ten przyjacielski wyrzut odpowiedział Old Firehand śmiejąc się;

— Chciałem wam zrobić niespodziankę. Widzicie zatem, że znałem was już od dawna, gdyż mówiliśmy o was często. Zastaniecie u mnie jeszcze dwóch dobrych znajomych.

— Chyba Dicka Stone'a i Willa Parkera, nieodłącznych towarzyszy Sama?

— Tak. Wasze przybycie będzie dla nich także wielką niespodzianką. Ale, Samie, którzy z naszych ludzi są dzisiaj w domu?

— Wszyscy, z wyjątkiem Billa Bulchera, Dicka Stone'a i Harrisa, którzy wyszli, aby przynieść trochę mięsa.

Mały sir przybył już także.

— Wiem już, wiem, że jest tutaj. A jakżeż wam się w ogóle powodzi? Czy byli czerwonoskórzy?

— Dziękuję, dziękuję, sir! Nie przypominani sobie, chociaż — przy tych słowach wskazał na swój przyrząd do strzelania — Liddy za nimi tęskni.

— A potrzaski?

— Miały dobry plon, bardzo dobry, jeśli się nie mylę. Możecie zobaczyć sami, sir, w bramie znajdziecie niewiele wody.

Odwrócił się i odszedł do swej kryjówki, a my pojechaliśmy dalej.

Ta mała scena pouczyła mnie o tym, że jesteśmy już blisko „ warowni", gdyż Sam Hawkens musiał stać nie opodal wejścia. Zacząłem się rozglądać uważnie po otoczeniu, aby zobaczyć bramę.

Wtem ukazał się przesmyk tak wąski, że wyciągnąwszy ręce można było dotknąć obu ścian skalnych, schodzących się blisko i pokrytych jak dachem krzakami łożyn. Całą szerokość przesmyku zajmował potok, na którego twardym, kamienistym łożysku nie mógł pozostać żaden odcisk nogi. Pojechaliśmy brzegiem potoku w górę doliny, tutaj Old Firehand skręcił, es my podążyliśmy za nim pod prąd wody. Teraz dopiero zrozumiałem słowa . Sama, że w bramie znajdziemy mało wody.

Przez pewien czas jechaliśmy w tym kierunku; wkrótce skały zeszły się przed nami w taką zbitą masę, że zdawało się, iż droga tu się już kończy. Old Firehand jechał jednak ciągle naprzód i niebawem ujrzałem, że znika w ścianie. Winnetou jechał za nim. Kiedy dotarłem do tego zagadkowego miejsca, zauważyłem, że zwieszające się łodygi dzikiego powoju nie zakrywają skalistej ściany, lecz tworzą kotarę, za którą znajduje się otwór w kształcie tunelu; tunel ten wiódł w nieprzebitą ciemność.

Przez długi czas podążałem za nimi, skręcając w ciemności w rozmaitych kierunkach, aż w końcu zajaśniał przede mną mdły blask dziennego światła, po czym dostaliśmy się w taką samą szczelinę jak ta, którą przybyliśmy tutaj. Gdy się skończyła, spojrzałem przed siebie zdumiony.

Znajdowaliśmy się u wejścia do szerokiej, rozległej kotliny, otoczonej niedostępnymi ścianami skalnymi. Bujny wieniec zarośli otaczał tę kolistą prawie, pokrytą trawą płaszczyznę. Pasło się na niej kilka stad koni i mułów. Pomiędzy nimi uwijały się psy. Część z nich była podobna do wilków — psów tego typu używają Indianie do pilnowania stad i jako zwierzęta pociągowe. Część zaś była z gatunku małych, szybko tyjących mieszańców, których mięso, na równi z mięsem pantery, uchodzi za największy przysmak.

— Oto mój zamek — zwrócił się do nas Old Firehand — w którym się mieszka bezpieczniej aniżeli na łonie Abrahama.

— Czy jest tam w górach jakiś otwór? — spytałem wskazując na przeciwległą stronę doliny.

— Ani tyle, żeby mysz mogła się prześliznąć, a z zewnątrz nie podobna prawie wydostać się na górę. Już niejeden czerwonoskóry przekradał się tamtędy, nie przeczuwając, że te ostre złomy skalne nie tworzą po tej stronie zwartej masy, lecz otaczają taką miłą dolinkę.

— Jak znaleźliście to cenne miejsce?

— Ścigałem szopa aż do szczeliny, nie zakrytej jeszcze wtedy powojem, i oczywiście objąłem to miejsce w posiadanie.

— Sam?

— Z początku tak. Ze sto razy uniknąłem śmierci, znalazłszy tu pewną i niezawodną kryjówkę przed pościgiem czerwonoskórych. Później jednak zabrałem tu swoich chłopców, a teraz gromadzimy razem skórki i stawiamy czoło okropnościom zimy.

Podczas tych słów rozległ się donośny gwizd; zaledwie przebrzmiał, rozsunęły się zarośla i ukazało się kilka postaci, po których można było poznać na odległość paru tysięcy kroków, że mają prawo obywatelstwa na Zachodzie.

Pokłusowaliśmy ku środkowi doliny i niebawem otoczyli nas ludzie, którzy głośno wyrażali swą radość z przybycia Old Firehanda. Wśród nich znajdował się także Will Parker, który oszalał prawie z radości na mój widok, a Winnetou przywitał ogromnie przyjacielsko.

Wśród hałasu, dozwolonego jedynie w tym zamkniętym miejscu, rozsiodłał Winnetou konia, dał mu lekkim uderzeniem dłoni znak, że ma się sam postarać o wieczerzę, wziął siodło, uzdę i derkę na plecy i odszedł nie spojrzawszy na nikogo z obecnych.

Widząc, że Old Firehand jest zanadto zajęty, aby się nami zajmować, zrobiłem to samo: puściłem Swallowa zupełnie wolno i udałem się w głąb kotliny.

Masy kamienne wydęte przez podziemne potęgi jak olbrzymia bańka mydlana, zostawiły po pęknięciu wklęsłą, otwartą od góry półkulę, podobną do krateru wygasłego wulkanu. Powietrze, światło, wiatr, niepogoda zajęły się potem rozkładem twardego gruntu i udostępnieniem go roślinności, a nagromadzone wody przewierciły się z czasem przez jeden ze skalnych boków i utworzyły strumyk, który był dziś naszym przewodnikiem.

Na przechadzkę obrałem sobie zewnętrzny skraj doliny i szedłem wzdłuż prostopadłych, a często nawet zwisających skał. Zauważyłem w nich sporo zasłoniętych zwierzęcymi skórami otworów, które prowadziły do mieszkań lub składów koniecznych w tej myśliwskiej kolonii.

Musiała ona liczyć więcej osób, aniżeli pokazało się podczas powitania nas. Wnosiłem to z ilości kobiet spotkanych podczas wędrówki. Większość mieszkańców znajdowała się na wyprawach myśliwskich i miała powrócić dopiero przed zimą, która zbliżała się już powoli.

Podczas tej przechadzki zauważyłem na jednej z niedostępnych na pozór skał mały szałas, zbudowany z sękatych konarów. Stamtąd zapewne widać było dokładnie całą dolinę ze wszystkimi szczegółami. Postanowiłem się tam wydostać i wkrótce znalazłem nie ścieżkę wprawdzie, lecz ślady stóp, które prowadziły na górę.

Miałem jeszcze do przebycia niewielką przestrzeń, kiedy ujrzałem jakąś postać wysuwającą się z niskich i wąskich drzwi. Nie przeszkodziło jej zapewne moje przybycie, gdyż nie zauważyła mnie wcale i odwrócona do mnie plecami poszła na samą krawędź skały i spojrzała w dolinę, przysłaniając oczy ręką.

Postać ta była ubrana w pstrą koszulę myśliwską z mocnego materiału, legginy wystrzępione na szwie od góry aż do dołu oraz małe mokasyny ozdobione suto perłami i kolcami jeżozwierza. Głowę miała owiniętą czerwoną chustką, podobną do turbanu, a tej samej barwy szarfa zastępowała pas.

Kiedy stanąłem na platformie, człowiek ten usłyszał odgłos moich kroków i odwrócił się szybko. „Czy to prawda, czy tylko złudzenie?” — pomyślałem sobie. Lecz zaraz zawołałem jak człowiek zaskoczony radosną niespodzianką:

— Harry! Czy to być może? — i ruszyłem szybko ku niemu.

Ale wzrok jego spoczął na mnie poważnie i zimno; ani jeden rys ciemnej jego twarzy nie drgnął nawet najlżejszym uczuciem przychylności.

— Gdyby to nie było możliwe, nie spotkalibyście mnie tutaj, sir — odparł. — Ale to raczej ja mam prawo pytać, nie wy. Z jakiego to powodu pozwoliliście sobie przyjść do naszego obozu?

„Czy zasłużyłem na takie przyjęcie?" — zapytałem w duchu, a głośno odrzekłem tylko jedno słowo jeszcze zimniej i poważniej niż on:

— Pshaw! — i odwróciwszy się od niego, zsunąłem się ostrożnie z powrotem.

Harry był więc, jak się tego domyślałem, synem Old Firehanda, a reszta spraw była też już teraz dostatecznie jasna.

Jakkolwiek był to tylko chłopiec, to jednak gniewało mnie trochę jego postępowanie po tym wszystkim, co między nami zaszło. Twierdzenie Old Firehanda, że Harry uważał mnie za tchórza, zgadzało się z tym, co powiedział wówczas sam chłopiec, ale nie mogłem w żaden sposób zrozumieć, w czym widział on moje tchórzostwo. Uspokoiłem się wreszcie i powróciłem do obozu.

Był wieczór. W środku szerokiej kotliny płonęło wysoko buchające ognisko, dokoła którego zgromadzili się wszyscy obecni mieszkańcy „warowni". Harry, jak to zauważyłem niebawem, był traktowany na równi z dorosłymi, usiadł pomiędzy nimi i przypatrywał mi się teraz wzrokiem nieco mniej nienawistnym niż poprzednio.

Przez jakiś czas przysłuchiwałem się opowiadaniom o najnowszych wypadkach w okolicy „warowni", a potem wstałem, aby starym zwyczajem popatrzeć, co porabia mój koń. Opuściłem ognisko i zanurzyłem się w ciemność, nad którą rozpięło się niebo tak pogodne, jak gdyby miliony utajonych w nim świateł rzucały swój blask na jakieś inne krainy szczęśliwsze niż ziemia, na której istoty ludzkie stają naprzeciwko siebie z bronią w ręku, aby się wzajemnie rozszarpywać.

Ciche, radosne rżenie na skraju zarośli otaczających brzegi potoku wskazało mi miejsce pobytu Swallowa. Swallow poznał mnie i jął pieszczotliwie trzeć głowę o moje ramię. Od czasu kiedy mnie przeniósł przez morze płomieni, polubiłem go w dwójnasób i chcąc mu dać dowód sympatii, przyłożyłem teraz policzek do jego szyi.

Wtem koń prychnął krótko nozdrzami, co zwykle służyło mi za znak ostrzegawczy, Wobec tego rozejrzałem się dokoła. Podeszła do nas jakaś postać, a na jej głowie powiewał koniec chusty. Był to Harry.

— Wybaczcie, jeśli przeszkadzam — rzekł trochę niepewnym głosem. — Myślałem właśnie o waszym dzielnym Swallowie, któremu zawdzięczam życie, i chciałem go przywitać.

— Oto on. Nie chcę tego powitania psuć swoją obecnością. Dobranoc!

Odwróciłem się, żeby odejść, ale zaledwie uszedłem kilkanaście kroków, usłyszałem wołanie:

— Sir!

Gdy się zatrzymałem, Harry podszedł do mnie z wahaniem, a szczególne drganie jego głosu świadczyło o zakłopotaniu, którego nie potrafił ukryć.

— Ja was obraziłem!

— Obraziliście? — odrzekłem chłodno i spokojnie. — Mylicie się, sir! Wy możecie wzbudzić we mnie uczucie pobłażliwości, ale nigdy obrazy.

Upłynęła może minuta, zanim znalazł odpowiedź na te niespodziewane słowa.

— W takim razie przebaczcie mi mój błąd.

— Chętnie przebaczam, gdyż jestem przyzwyczajony do tego, że ludzie popełniają błędy.

— Będę się starał nie korzystać nigdy więcej z waszej pobłażliwości.

— Mimo to gotów jestem ofiarować ją wam w każdej chwili.

Chciałem się już oddalić, kiedy Harry nagle przystąpił do mnie szybko i położył mi rękę na ramieniu.

— Nie dotykajmy teraz spraw osobistych, Ocaliliście życie memu ojcu z narażeniem własnego, i to dwa razy w ciągu jednego wieczora. Chcę wam podziękować, choćbyście nawet

użyli wobec mnie słów jeszcze gorszych i bardziej odpychających. Dowiedziałem się dopiero teraz o waszych zasługach.

— Każdy westman z ochotą uczyniłby to samo, co ja, a bywają większe zasługi niż te, o których mówicie. Co jeden człowiek czyni drugiemu, to być może inni zrobili dlań już dziesięciokrotnie. Nie mierzcie tego wypadku miarą miłości synowskiej.

— Przedtem ja byłem dla was niesprawiedliwy. Teraz wy popełniacie niesprawiedliwość w stosunku do samego siebie. Czy chcecie być takim także i dla mnie?

— Nie.

— Czy mogę wobec tego przedłożyć wam pewną prośbę?

— Owszem.

— Gniewajcie się na mnie, sir; bądźcie źli, jak tylko potraficie, skoro popełnię coś złego, ale nie mówcie już nigdy o pobłażaniu. Dobrze?

— Zgadzam się.

— Dziękuję! A teraz wróćmy razem do ogniska, by powiedzieć wszystkim: dobranoc. Wskażę wam przeznaczone dla was pomieszczenie. Musimy szybko udać się na spoczynek, ponieważ jutro wcześnie wyruszamy.

— Dokąd?

— Ustawiłem łapki nad Beeforkiem, a wy pójdziecie ze mną zobaczyć, cośmy złapali.

W kilka minut potem staliśmy przed jednymi z ukrytych w ścianie drzwi. Harry odsunął je, aby mnie wprowadzić do mrocznej izby, oświetlonej tylko najzwyklejszą świecą z jeleniego łoju.

— Tu jest wasza sypialnia, sir. Zwykli tutaj nocować nasi kamraci, jeśli się obawiają, żeby pod gołym niebem nie dostać reumatyzmu.

— A wy sądzicie, że ja także nie wiem, co to za złośliwe choróbsko?

— Wolałbym, żebyście nie potrzebowali na to zważać, ale istotnie dolina jest wilgotna. Góry leżące dokoła nie dopuszczają wiatrów. Ostrożność nie zawadzi, jak powiadają starsi. Śpijcie spokojnie!

Podał mi rękę i wyszedł skinąwszy przyjaźnie głową.

Zostawszy sam rozglądnąłem się po małej celce. Nie była to grota naturalna, lecz wykuta w kamieniu ludzką ręką. Skalistą podłogę wyłożono garbowanymi skórami, którymi obwieszono też ściany. Pod tylną ścianą znajdowało się łoże zbite z gładkich pni czereśniowych, na których leżał gruby pokład białych skór i dostateczna ilość prawdziwych nawajskich koców.

Na kilku kołkach wbitych w szpary wisiały przedmioty, które dowodziły, że Harry odstąpił mi swoją własną izbę.

Tylko wielkie znużenie, które mnie opanowało, skłoniło mnie do pozostania w tym ciasnym, zamkniętym miejscu. Kto bowiem spędzał noce wśród nieskończoności wolnej, otwartej prerii, temu trudno bezpośrednio potem nagiąć się do takiego więzienia, jakie człowiek cywilizowany nazywa mieszkaniem.

Cisza panująca w moim apartamencie była też zapewne przyczyną tego, że spałem nieco mocniej i dłużej niż zwykle, Obudziło mnie wołanie:

— Pooch! Sir, gotów jestem pomyśleć, że jeszcze nie skończyliście przymierzać się do długości kOldry. Wyprostujcie się jeszcze trochę, ale nie na długość, lecz w górę. To będzie lepsze, jak mi się zdaje!

Zerwałem się i spojrzałem na niespokojnego ducha, który stał w otwartych drzwiach. Był to Sam Hawkens. Wczoraj miał tylko strzelbę, dzisiaj zaś pełny traperski rynsztunek, co było dowodem, że miał zamiar nam towarzyszyć.

— Zaraz będę gotów, kochany Samie!

— Spodziewam się; mały sir stoi już, jak mi się zdaje, przy wyjściu.

— Idziecie z nami?

— Tak wygląda, jeśli się nie mylę. Mały sir nie poniesie przecież całego sprzętu, a od Old Shatterhanda także nie można tego wymagać.

Wyszedłszy przed drzwi, dostrzegłem Harry'ego czekającego na mnie u wejścia do parowu. Sam wziął kilka związanych sideł, zarzucił je na plecy i nie oglądając się na mnie, ruszył ku czekającemu.

— Zostawimy konie tutaj? — spytałem.

— Wątpię, czy wasz koń umie zakładać prawidłowo sidła albo łowić bobry z dna rzeki. Trzeba nam dobrze nogi wyciągać, aby zdążyć na czas. Chodźcie więc! — rzekł Sam żartobliwie swoim zwyczajem.

— Muszę przecież, mój stary, wpierw opatrzyć konia!

— To zbyteczne! Mały sir już to uczynił, jeśli się nie mylę.

Wiadomość ta była nadzwyczaj przyjemna. A więc Harry już o świcie zatroszczył się o mego konia, a tym samym musiał pomyśleć także i o jego panu. Widocznie Old Firehand mówił mu o mnie i wpłynął na zmianę jego stosunku do mojej osoby. Już zacząłem się dziwić, że go tu także nie ma, kiedy zobaczyłem go brodzącego w potoku z Winnetou i z jeszcze jednym strzelcem.

Winnetou przywitał Harry'ego po indiańsku:

— Syn Ribanny jest silny jak wojownicy znad brzegów Gili. Oko jego zobaczy wiele bobrów, a ręka nie uniesie wielkiej liczby skór — rzekł, a widząc, że się rozglądam za Swallowem, dodał uspokajająco: — Mój dobry brat może iść, jego przyjaciel będzie dbał o konia, Swallow posiada także miłość Apacza.

Minąwszy parów zwróciliśmy się w przeciwnym do wczorajszego kierunku na lewo i poszliśmy w dół potoku, aż do miejsca, gdzie uchodzi on do Mankicity.

Oba brzegi pokrywały gęste, splątane zarośla. Po stojących naprzeciw siebie pniach wspinały się łodygi dzikiego wina, biegły od gałęzi do gałęzi, zwisały w dół, sczepione silnie z sobą, a potem znowu pięły się w górę po drzewie, tworząc plątaninę, przez którą nawet nożem z trudem można było torować sobie drogę.

Mały Sam szedł ciągle przed nami, a jego objuczona postać przypominała mi Słowaków sprzedających u nas w Niemczech po miastach łapki na myszy. Jakkolwiek w pobliżu nie należało się spodziewać żadnej nieprzyjacielskiej istoty, mimo to noga jego omijała z podziwu

godną zręcznością każde miejsce, na którym mógłby pozostać odcisk. Małe jego oczka biegały ciągle to tu, to tam po bogatej roślinności, która mimo spóźnionej pory roku dorównywała bujności dziewiczych lasów w dolinie rzeki Missisipi.

Nagle Sam podniósł w górę kilka gałązek i schyliwszy się przełazi pod nimi.

— Chodźcie, sir — wezwał mnie Harry idąc za nim. — Tu rozwidla się ścieżka prowadząca do bobrów.

Rzeczywiście za zieloną zasłoną ciągnęła się przez gęstwinę wąska, nie zarośnięta ścieżka. Szliśmy jeszcze dobrą chwilę, równolegle do rzeki wśród gmatwaniny drzew i zarośli, dopóki Sam, usłyszawszy na pół mrukliwy, a na pół świszczący głos wychodzący z rzeki, nie zatrzymał się i nie odwrócił do nas, przykładając rękę do ust.

— Jesteśmy na miejscu — szepnął Harry — a ich straż powzięła podejrzenie.

Po chwili, podczas której panowała dokoła zupełna cisza, posunęliśmy się dalej naprzód i dotarliśmy do zakrętu rzeki, gdzie nadarzyła się nam sposobność ujrzenia pokaźnej osady bobrów.

Daleko w wodę wbudowana była szeroka, wystarczająca nawet dla ludzkiej stopy, tama, a gorliwi czworonożni budowniczowie zajęci byli jej umacnianiem i rozszerzaniem. Na drugim brzegu spora liczba tych zwierząt przegryzała wysmukłe młode drzewka, kierując je tak, żeby wpadały do wody. Inna grupka przewoziła pnie drzewek w ten sposób, że posuwała je przed

sobą w wodzie, a jeszcze inne bobry oblepiały budowę tłustą ziemią, naniesioną z brzegu, przyczepiając ją do drzewa za pomocą nóg i ogona, niby kielni.

Z zajęciem przypatrywałem się czynnościom tego ruchliwego ludku, a szczególnie zwrócił moją uwagę niezwykle duży osobnik, który siedział w czujnej postawie na tamie, zapewne jako straż. Wtem grubas nastawił uszy, obrócił się do połowy, wydał wspomniany poprzednio głos ostrzegawczy i zniknął w następnej chwili pod wodą.

Reszta prawie równocześnie poszła za jego przykładem. Zabawny to był widok, gdy przy zanurzaniu się podnosiły w górę tylną część ciała, a płaskim ogonem uderzały w powierzchnię wody, rozpryskując ją z głośnym pluskiem.

Kto spłoszył te pocieszne zwierzątka? Przeszkodę w ich pracy mógł spowodować tylko jakiś wróg, a największym wrogiem tych spokojnych i tak bardzo poszukiwanych zwierząt jest... człowiek.

Jeszcze ostatni bóbr nie zniknął pod wodą, a my leżeliśmy już z bronią w ręku pod opadającymi nisko gałęziami pinii i czekaliśmy niecierpliwie, kiedy ukaże się niemiły gość. Niebawem poruszyły się w pewnym oddaleniu od nas czuby sitowia i w kilka chwil potem ujrzeliśmy dwóch Indian skradających się chyłkiem ku rzece. Jeden z nich miał na plecach kilka sideł, a drugi niósł skórki. Obaj byli uzbrojeni, a postawa ich wskazywała, że spodziewają się w pobliżu nieprzyjaciela.

— Do licha! — syknął Sam przez zęby. — Te łajdaki dobrały się do naszych sideł i pozbierały, czego nie zasiały, jeśli się nie mylę. Czekajcie, łotry, moja Liddy wam powie, do kogo należą te żelaza i skórki!

Podniósł powoli strzelbę i złożył się do strzału. Ja jednak byłem przekonany, że trzeba działać bez hałasu, toteż pochwyciłem starego trapera za ramię. Pierwszy rzut oka pouczył mnie, że to Ponkowie, a farby pokrywające ich twarze upewniły, że są na wyprawie wojennej, a nie myśliwskiej. Nie byli tu więc sami, a strzał mógł przywołać innych na pomoc lub stać się przyczyną późniejszej zemsty.

— Nie strzelajcie, Samie! Weźcie tylko nóż. Oni wykopali topór wojenny i nie są tu tylko we dwójkę.

Mały westman, choć wystrzeliłby z ochotą, odpowiedział:

— Ja to oczywiście także widzę, że lepiej zgładzić ich po cichu, ale mój stary nóż jest zanadto stępiony, aby mógł przeżreć dwóch takich ludzi,

— Ba! Wy weźmiecie jednego, a ja drugiego; naprzód!

— Hm! Cztery najlepsze nasze sidła, a każde po trzy i pół dolara! Bardzo bym się cieszył, gdyby te draby do skradzionych skórek musiały dodać swoje dwie własne.

— Naprzód, Samie, żeby nie było za późno! Obaj Indianie stali teraz zwróceni do nas tyłem i szukali śladów na ziemi. Zostawiwszy strzelbę posunąłem się cicho naprzód z nożem w ręce. Wtem usłyszałem trwożny szept tuż przy moim uchu. To Harry rzekł cicho:

— Zostańcie, sir! Ja zrobię to za was.

— Dziękuję, potrafię sam tego dokonać. Po tych słowach zbliżyłem się do krawędzi zarośli, zerwałem się, pochwyciłem najbliżej mnie stojącego Indianina za kark lewą ręką, a prawą wbiłem mu nóż między łopatki, on zaś padł na ziemię bez jęku. Zrobiłem to oczywiście tylko z konieczności. Ponków nie można było oszczędzać, gdyż w razie odkrycia przez nich „warowni", naszemu życiu zagrażałoby poważne niebezpieczeństwo. Odwróciłem się szybko, wyciągnąwszy nóż z rany, aby w razie potrzeby zabrać się do drugiego, lecz i ten już leżał na ziemi, a Sam stał na nim ze skalpem w ręku.

— Tak, mój chłopcze; teraz możesz w wieczystych ostępach nastawiać tyle łapek, ile ci się spodoba, ale naszych nie zdołasz już użyć — rzekł, a potem dodał: — Jedną skórkę już mamy, a drugą weźmie sobie Old Shatterhand.

— Nie — odpowiedziałem. — Wszak wiecie, co ja myślę o skalpowaniu. Dziwi mnie to, że wy się teraz tym zajmujecie!

— Czynię to ze słusznych powodów, sir. Od kiedy widzieliśmy się po raz ostatni, przeżyłem wiele złego i musiałem się tak tłuc z czerwonoskórymi, że teraz nie mam dla nich litości. Oni mnie także nie oszczędzali. O, popatrzcie!

Zdarł z głowy obwisły kapelusz, a z nim razem długowłosą perukę. Znałem już widok, jaki przedstawiała jego naga czaszka.

— Co wy na to, sir, jeśli się nie mylę? Nosiłem swój czepek od dziecka z pełnym uprawnieniem i żaden sędzia nie zaprzeczyłby mi prawa do tego, aż znalazł się jeden i drugi tuzin Pawnejów, którzy mnie pozbawili włosów. Udałem się więc do Tekamy i kupiłem sobie tam nową skórę. Nazywała się peruką, a kosztowała mnie pełne trzy wiązki skórek bobrowych. To zresztą nic nie szkodzi, gdyż nowa skóra okazuje się praktyczniejsza od dawnej, zwłaszcza latem — mogę ją zdjąć, kiedy się spocę. Ale za to musiał zginąć niejeden Indianin, a skalp czerwonoskórego sprawia mi większą przyjemność niż złowienie największego bobra.

Mówiąc te słowa włożył na nowo perukę i kapelusz. Nie było teraz jednak czasu na wspomnienia, gdyż za każdym drzewem mogła jęknąć cięciwa albo szczęknąć odwiedziony kurek od strzelby. Przede wszystkim należało zaalarmować obóz i zwrócić uwagę myśliwych na bliskość Indian. Dlatego rzekłem do Hawkensa:

— Dalej, Samie! Trzeba zabitych Indian dobrze ukryć!

— Macie słuszność, sir. Sądzę, że to konieczne, Ale niech mały sir schowa się trochę za krzaki, gdyż stawiam w zakład moje mokasyny, że czerwonoskórzy wkrótce tutaj będą.

Harry postąpił wedle przestrogi starego, a my rzuciliśmy obydwa trupy w sitowie, nie mogąc ich zepchnąć do wody. Gdyśmy się uporali z nieżywymi Ponkami, Sam Hawkens rzekł:

— No, to by było na razie wszystko. Teraz wrócicie z małym sirem do „warowni" i ostrzeżecie naszych ludzi, a ja tymczasem przejdę się trochę tym tropem, by się dowiedzieć czegoś więcej niż to, co nam wyjawili ci dwaj czerwonoskórzy.

— Czy nie wolelibyście wy pójść do ojca, Samie Hawkens? — zapytał Harry. — Umiecie się lepiej obchodzić z sidłami, a czworo oczu widzi więcej od dwojga.

— Jeśli mały sir życzy sobie tego koniecznie, to tak zrobię, ale jeśli „patyk popłynie inaczej", aniżeli sir sobie wyobraża, to niechaj wina nie spadnie na mnie.

— Bądźcie o to spokojni, mój stary! Wiecie już, że niechętnie czynię co innego aniżeli to, co mi się podoba. Wy zdobyliście już jeden skalp; ja muszę także postarać się o coś dla siebie. Chodźcie, sir!

Zostawił trapera, a sam zaczął się przeciskać dalej przez gąszcze. Udałem się za nim, a chociaż okoliczności nakazywały zwracać całą uwagę na otoczenie, nie mogłem się powstrzymać od tego, żeby nie myśleć o zachowaniu chłopca, Z wprawą doświadczonego przebiegacza puszczy przedzierał się bez szmeru przez krzaki, a każdy jego ruch świadczył o największej ostrożności.

Te jego zalety mówiły wyraźnie, że z pewnością od dzieciństwa zapoznał się z życiem w krainie polowań i przeżył przygody, które zaostrzyły jego zmysły, zahartowały uczucia ź nadały szczególny kierunek losowi.

Prawie pół godziny posuwaliśmy się powoli i z trudnością, ale nieustannie naprzód, aż dotarliśmy do drugiej kolonii bobrów, której mieszkańców nie widać było na powierzchni wody.

— Tu były założone łapki, które właśnie odebraliśmy czerwonoskórym, sir. Tam dalej, gdzie chcieliśmy dotrzeć poprzednio, Beefork się rozdziela. Ale patrzcie, ślady prowadzą do lasu, z którego wyszli czerwonoskórzy! Pójdziemy oczywiście za tymi śladami, chciał iść dalej, lecz go powstrzymałem.

— Harry! — rzekłem do niego. Przystanął i spojrzał na mnie pytająco.

— Czy nie wolelibyście zawrócić, a resztę zostawić już mnie?

— Skąd wam to na myśl przyszło?

— Czy wiecie, jakie niebezpieczeństwa nas tam czekają?

— Owszem. Nie mogą być większe od tych, którym już stawiałem czoło z zawsze szczęśliwym dla mnie wynikiem.

— Chciałbym was od nich uchronić!

— Ja również będę się o to starał. A może myślicie, że mnie zdoła przerazić widok pstro pomalowanego człowieka?

Znowu puściliśmy się dalej. Zostawiliśmy teraz rzekę z boku i posuwaliśmy się naprzód pomiędzy wysmukłymi drzewami wysokopiennego lasu, którego gęsty, zielony dach osłaniał ziemię pokrytą wilgotnymi mchami, tak miękkimi, że z łatwością można było na niej zauważyć odciski stóp.

Wtem Harry, który szedł ciągle jeszcze przodem, przystanął. Teraz widać było ślady nie dwóch, lecz czterech ludzi, którzy szli razem aż dotąd, a tutaj się rozdzielili. Obaj zabici przez nas Indianie mieli na sobie pełne uzbrojenie wojenne. Ta okoliczność wskazywała na to, że znajdowała się tu zapewne większa liczba ich współplemieńców, których tylko jakieś ważne przedsięwzięcie mogło skłonić do odbycia tak dalekiej drogi przez nieprzyjacielskie obszary. Gdy sięgnąłem pamięcią do wypadków ostatnich dni, przyszło mi na myśl, że ta wyprawa ma może jakiś związek z nieudanym napadem Ponków na pociąg. Mogła to być jedna z owych wypraw zemsty, podczas których Indianie wytężają wszystkie siły, aby powetować doznaną obelgę albo poniesione straty.

— Co robić? — zapytał Harry. — Te ślady prowadzą ku naszemu obozowi. Nie możemy dopuścić, żeby go odkryli. Czy pójdziemy za nimi, czy też się podzielimy, sir?

— Ten poczwórny trop prowadzi także do ich obozu, oczywiście ukrytego, gdzie czekają na powrót zwiadowców. Przede wszystkim musimy wyszukać ten obóz, aby poznać ich liczbę i zamiaiy. Wejścia do naszej „warowni" zawsze ktoś strzeże, więc na razie nie ma o nią obawy.

— Macie słuszność. Chodźmy dalej!

Zbocze wzgórza, u którego stóp płynęła rzeka, pokrywał las, sięgał on dość daleko w równinę. Przecinały go głębokie, skaliste szczeliny, w których rosły bujnie paprocie i dzikie górskie krzewy. Kiedyśmy się zbliżyli do jednego z takich zagłębień, poczułem nagle woń spalenizny, co oczywiście od razu mnie zastanowiło. Starając się przeniknąć wzrokiem las, dojrzałem cienki słup dymu, który przerywał się często, chwilami zupełnie niknął, to znowu wznosił się aż po korony drzew.

Ten dym mógł pochodzić tylko z indiańskiego ogniska. Kiedy bowiem biały roznieca ognisko, rzuca w ogień całe polana, a przez to powstaje szeroki, wysoko buchający płomień, który wydaje dużo zdradzieckiego często dymu. Natomiast czerwonoskóry wsuwa w ogień tylko końce polan, co wytwarza mały płomień z ledwie dostrzegalnym dymem. Winnetou zwykł był mówić o wielkich ogniskach białych: blade twarze robią swoimi ogniami takie gorąco, że nikt nie może przy nich usiąść, aby się ogrzać.

Zatrzymałem Harry'ego i zwróciłem jego uwagę na to, co dostrzegłem.

— Połóżcie się za tym krzakiem! Ja przypatrzę się tym ludziom!

— Czemu nie ze mną?

— Jeden wystarczy. Gdy jest dwóch, wtedy niebezpieczeństwo odkrycia wzrasta w dwójnasób.

Skinął głową na zgodę i zacierając ostrożnie ślady za sobą, odszedł w zarośla, gdy tymczasem ja, kryjąc się za drzewami, zacząłem się skradać ku szczelinie.

Na jej dnie siedziało lub leżało tuż obok siebie tylu czerwonoskórych, że zagłębienie ledwie zdołało ich pomieścić. Na dole u wejścia stał jak spiżowy posąg — długowłosy Indianin, a po obu stronach na krawędzi — straże, które na szczęście mnie nie zauważyły.

Spróbowałem policzyć obozujących i w tym celu przypatrywałem się każdemu z osobna, gdy wtem przerwałem tę czynność zaskoczony niezwykłą niespodzianką. Najbliżej ogniska siedział — czyżby to było możliwe? — biały wódz Paranoh albo Tim Finnetey, jak go nazwał Old Firehand. Widziałem zbyt dobrze jego twarz owej nocy podczas pogoni przy księżycu i

potem, gdy go nożem pchnąłem, abym się mógł teraz pomylić, a jednak się stropiłem. Z głowy zwisał mu przepyszny kosmyk skalpowy, a wszak Winnetou ani na minutę nie odjął go od swego pasa.

Wtem strażnik, stojący po tej stronie parowu, zwrócił się ku miejscu, na którym leżałem ukryty za głazem, wobec czego musiałem się cofnąć czym prędzej.

Znalazłszy się szczęśliwie koło Harry'ego, skinąłem nań, żeby poszedł za mną, po czym wróciliśmy znaną już nam drogą aż do miejsca, w którym ślady się rozdzielały. Stąd udaliśmy się nowym tropem, biegnącym przez najgęstszą plątaninę roślinności, wprost ku dolinie, przez którą przeszliśmy wczoraj i gdzie nas zatrzymała warta.

Teraz wiedziałem już na pewno, że Ponkowie otrzymawszy posiłki, puścili się za nami krok w krok, aby się na nas zemścić. Przez zwłokę z naszej strony, spowodowaną chorobą Old Firehanda, zyskali sporo czasu do zgromadzenia wszystkich sił, którymi rozporządzali. Tego tylko nie mogłem zrozumieć, dlaczego przeciwko nam trzem zebrało się aż tylu wojowników, czemu na nas nie uderzyli od razu, a przeciwnie ─ pozwolili nam odejść spokojnie. Nasunęło mi się w końcu przypuszczenie, że Paranoh wie o myśliwskiej osadzie Old Firehanda i ma plany co do wszystkich jej mieszkańców.

Obaj Indianie, którzy skradali się przed nami, dobrze utorowali nam drogę. Toteż posuwaliśmy się naprzód stosunkowo dość szybko. Byliśmy już niedaleko doliny przecinającej pod kątem prostym kierunek naszej drogi, kiedy poza gęstym krzakiem dzikiej czereśni usłyszałem lekki brzęk.

Dawszy Harry'emu ręką znak, żeby się ukrył, położyłem się na ziemi, wyjąłem nóż i zataczając krąg, poczołgałem się we wspomnianym kierunku. Ujrzałem najpierw stos żelaznych łapek na bobry, a obok niego parę krzywych nóg ze stopami w olbrzymich mokasynach. Przyczołgawszy się bliżej, zobaczyłem długą i szeroką bluzę myśliwską, na górnej zaś jej części pomarszczoną krezę prastarego pilśniowego kapelusza. Spod niej wyłaniały się zjeżone końce pomierzwionego zarostu, z którego wyzierało bystro i uważnie dwoje drobnych oczek.

Był to mały Sam. Ale jak się tu dostał, skoro powinien był już dawno być w „warowni”? Należało go o to zapytać. Kiedy czołgałem się ku niemu, jak mogłem najciszej, cieszyłem się już z góry wrażeniem, jakie wywoła mój niespodziewany napad.

Pochwyciłem cichutko za strzelbę, leżącą obok niego, przyciągnąłem do siebie ową przedpotopową Liddy i odwiodłem zardzewiały kurek. Na wywołany tym trzask Sam odwrócił się tak szybko, że zwisające nisko gałęzie zerwały mu z głowy kapelusz i perukę. Gdy zaś zobaczył wymierzoną do siebie swą własną strzelbę, zrobił w swej twarzy pod samym nosem, mieniącym się wszystkimi barwami tęczy, potężny otwór, który rozszerzał się coraz bardziej ze zdumienia.

─ Samie Hawkens! ─ szepnąłem. ─ Jeżeli nie zamkniecie ust, wsunę wam w nie tuzin tych oto sideł!

─ Do licha, przestraszyliście mnie, sir, jeśli się nie mylę! ─ odrzekł traper, który pomimo przerażenia nie wydał z siebie nieostrożnego okrzyku i czym prędzej umieścił kapelusz i perukę na swoim miejscu. ─ Niech was diabeł porwie! Ciarki po mnie przeszły, gdyż jeśli byście byli czerwonoskórym, to...

─ Już nigdy nie jedlibyście puddingu! Weźcie swoją strzelbę! A teraz mówcie, jak się to stało, że tutaj śpicie?

─ Śpię? O spaniu mowy nie ma, chociaż dostaliście się do mnie niepostrzeżenie. Wszystkie moje myśli skupiły się na dwóch Indianach, których chciałem jeszcze złapać. A wy nie wygadajcie się przypadkiem przed tamtymi, że zaskoczyliście starego Sama Hawkensa!

─ Będę milczał.

─ A gdzie mały sir?

─ Został w tyle. Usłyszeliśmy brzęk waszych łapek, musiałem przeto zobaczyć, co to za dzwony.

— Dzwony? Czy było tak głośno? Samie Hawkens, jaki z ciebie stary i głupi szop! Kładzie się taki ciężki muł, aby nałapać skalpów, i hałasuje przy tym tak, że słychać aż w Kanadzie, jak mi się zdaje! Ale skąd wzięliście się w tej stronie? Czy śledzicie także tych dwóch czerwonoskórych?

Potwierdziłem to pytanie i opowiedziałem mu, co zauważyłem.

— Hm! Będzie to kosztowało sporo prochu, sir! Szedłem sobie tu w górę rzeki z moimi skórkami i ujrzałem nagle dwóch Indian, jeśli się nie mylę, szpiegujących tam na skraju zarośli, nie dalej jak o osiem kroków od nas. Przykucnąłem oczywiście zaraz za krzakiem i spostrzegłem, że jeden z nich zwrócił się na dół, a drugi w górę, aby przeszukać dolinę. Ale nie wyjdzie im to na dobre, jak sądzę! Puściłem jednego z nich obok siebie i przeniosłem się potem tutaj, aby skoro tylko się spotkają, zapytać ich, co zobaczyli.

— Myślicie, że się jeszcze raz zejdą?

— Rozumie się! Jeśli chcecie postąpić rozsądnie, to przejdźcie na drugą stronę, abyśmy ich dostali między siebie. Nie każcie też dłużej czekać małemu sirowi, bo gotów z niecierpliwości popełnić jakieś głupstwo.

Zastosowałem się do tej wskazówki i wróciłem do Harry'ego. Gdy powiedziałem mu o wszystkim w krótkich słowach, zajęliśmy stanowisko na wprost Sama czekając na powrót obydwóch czerwonoskórych.

Cierpliwość nasza była wystawiona na ciężką próbę, gdyż dopiero po kilku godzinach usłyszeliśmy ciche stąpanie skradającego się człowieka. Był to jeden z oczekiwanych, stary, ogorzały Indianin, któremu u pasa zabrakło miejsca na zdobyte skalpy, toteż ozdobił grubymi frędzlami z włosów zewnętrzne szwy u spodni.

Zaledwie znalazł się między nami, pochwyciliśmy go z obu stron i „zdmuchnęliśmy". To samo stało się z drugim, który nadszedł niebawem. Potem powróciliśmy razem do „warowni" tak, jak z niej wyszliśmy.

Przed bramą odszukaliśmy ukrytego za krzakiem strażnika, który niewątpliwie musiał widzieć dzikiego, gdy ten skradał się o kilka kroków obok niego. Na straży stał Will Parker.

Sam spojrzał na niego ze zdumieniem.

— Byłeś greenhornem, Willu, i zostaniesz greenhornem, dopóki cię jakiś czerwonoskóry nie weźmie za czuprynę. Myślałeś chyba, że Indianin przyszedł tu mrówki łapać, skoro nie wyjąłeś nawet żelaza zza pasa.

— Samie Hawkens, trzymaj no swój język na wodzy! Will Parker — greenhorn! Ten żart wart jednego naboju, stary szopie. Jedyny syn twojej matki nie potrafi zrozumieć, że zwiadowcę puszcza się wolno, aby zabiciem jego nie zwrócić uwagi reszty nieprzyjaciół.

— Mógłbyś mieć nawet słuszność, człowiecze, jeśli oczywiście nie chcesz wejść w posiadanie skórek indiańskich.

Z tymi słowy Sam Hawkens skierował się ku wodzie, ale zanim zniknął pomiędzy skałami, odwrócił się jeszcze i ostrzegł stojącego na straży:

— Otwieraj dobrze oczy! Niedaleko stąd jest całe gniazdo łuczników. Oni gotowi wetknąć swoje nosy, gdzie nie potrzeba. Szkoda byłoby ciebie, jeśli się nie mylę, bardzo szkoda!

Hawkens schowany głęboko pod swymi skórami kroczył na przedzie, a my za nim. Niebawem stanęliśmy u wylotu szczeliny i objęliśmy wzrokiem kotlinę. Ostry gwizd starego trapera wystarczył, by zwołać wszystkich mieszkańców, którzy z wytężoną uwagą wysłuchali opowiadania o naszej przygodzie.

Old Firehand słuchał w milczeniu do końca, dopiero kiedy wspomniałem o Paranohu, wyrwał mu się okrzyk zdziwienia i radości:

— Czy to być może, czyście się nie pomylili? W takim razie nadarzyłaby mi się sposobność spełnienia mojej przysięgi i ujęcia go w me ręce! Od tylu lat było to moim najgorętszym życzeniem!

— Tylko jego włosy mnie bałamucą.

— One nic nie znaczą! Niech wam posłuży za przykład Sam Hawkens. Zresztą możliwe, że owej nocy nie trafiliście go dobrze. Podczas mojej choroby przyszedł do siebie, kazał nas śledzić i ruszył potem za nami.

— Ale dlaczego na nas nie uderzył?

— Tego nie wiem, ale stało się to niewątpliwie z jakiegoś ważnego powodu. Poznamy go jeszcze. Czy jesteście bardzo znużeni, sir?

— Nie.

— Muszę go sam zobaczyć. Czy będziecie mi towarzyszyć?

— Oczywiście, Zwracam jednak waszą uwagę na niebezpieczeństwo tej wycieczki. Indianie będą na próżno czekali na ludzi wysłanych na zwiady, zaczną ich szukać i znajdą zabitych. Mogą nas spotkać i odciąć nam odwrót do „warowni".

— To wszystko może się zdarzyć, ale ja nie mogę tu siedzieć i czekać, dopóki nas nie znajdą. Dicku Stone!

Stone był wczoraj na łowach, zobaczył mnie więc dopiero teraz i przywitał się ze mną serdecznie.

— Czy słyszałeś, dokąd mamy iść? — zapytał go Old Firehand.

— Cośkolwiek.

— Weź strzelbę! Przypatrzymy się czerwonoskórym.

— Jestem gotów, sir! Czy pojedziemy konno?

— Nie. To blisko. Wy, którzy zostajecie, weźcie się do roboty i pozasłaniajcie schowki ze skórami darniną.

Nie można przewidzieć, co nastąpi, a gdyby czerwonoskórzy dostali się pomiędzy nasze skały, niech przynajmniej nie znajdą tego, co mogłoby im się przydać. Harry, ty pójdziesz do Willa Parkera i Billa Bulchera i będziesz wraz z nimi czuwał nad porządkiem.

— Ojcze, pozwól mi iść z sobą! — prosił Harry.

— Na nic mi się nie przydasz, moje dziecko. Spocznij sobie; jeszcze nieraz będziesz miał sposobność do takich wycieczek.

Harry ponowił prośbę, ale Firehand nie zmienił decyzji i niebawem ruszyliśmy we trzech łożyskiem potoku.

Wydostawszy się na zewnątrz, minęliśmy straż, której daliśmy kilka wskazówek, i podążyliśmy ku miejscu, na którym ulokował się poprzednio Sam Hawkens. Kierunek wiodący stamtąd do parowu był dla nas najkorzystniejszy, gdyż mieliśmy z obu stron osłonę i byliśmy pewni, że nie zderzymy się z Indianami wysłanymi na poszukiwania zaginionych.

Winnetou opuścił obóz na krótko przed naszym wyruszeniem i nie wrócił jeszcze. Żałowałem tego ogromnie, bo byłby dla nas w tej wycieczce najbardziej upragnionym towarzyszem. Trudno mi też było pozbyć się niepokoju o niego. Lękałem się, że spotka się z nieprzyjacielem, a wówczas pomimo swego męstwa byłby zgubiony.

Myślałem właśnie o tym, kiedy nagle rozdzieliły się obok nas zarośla i Apacz stanął przed nami. Ręce nasze, które na szelest liści sięgnęły po broń, cofnęły się natychmiast.

— Winnetou pójdzie z białymi mężami — rzekł mój przyjaciel — aby zobaczyć Paranoha i Ponków.

Spojrzeliśmy nań zdumieni tym, że wiedział już o obecności Indian.

— Czy mój czerwony brat widział najokrutniej szych pobratymców Siuksów? — zapytałem.

— Winnetou musi czuwać nad swym bratem Old Shatterhandem i nad synem Ribanny. Ruszył za nimi i widział, jak ich noże wbiły się w serca czerwonych wojowników. Paranoh wziął sobie skórę z głowy męża z narodu Osagów. Włosy jego są kłamstwem, a myśli pełne fałszu. Winnetou go zabije.

— Nie, wódz Apaczów go nie dotknie, lecz mnie to pozostawi! — odrzekł Old Firehand.

— Winnetou darował go już raz swemu białemu przyjacielowi!

— Już mi nie ujdzie, gdyż moja ręka...

Usłyszałem jeszcze tylko to słowo, bo w chwili gdy ono padło, za krzakiem zasłaniającym zakręt tropu ujrzałem dwoje iskrzących się oczu. Runąłem szybkim skokiem i pochwyciłem człowieka, do którego te oczy należały.

Był to ten właśnie, o którym mówiliśmy. Ledwo stanąłem przed nim i chwyciłem go palcami za gardło, zaszeleściło z obu stron i kilku Indian skoczyło na pomoc wodzowi.

Przyjaciele zauważyli mój ruch i rzucili się natychmiast na mych napastników. Ja trzymałem już białego wodza pod sobą. Czując moje kolana na swej piersi, palce lewej ręki na gardle, a prawą na ręce, którą zdołał wyciągnąć nóż, wił się pode mną jak robak i czynił wściekle wysiłki, aby mnie z siebie zepchnąć. Kopiąc nogami jak byk uwiązany na łańcuchu, starał się potężnymi szarpnięciami poderwać się w górę. Fałszywa skóra spadła mu z głowy, oczy nabiegły krwią, a na ustach ukazała się piana wściekłości. Zdawało mi się, że pode mną szamoce się rozszalałe zwierzę. Z całej siły zaciskałem mu palce na gardle, wskutek czego po chwili głowa opadła mu wstecz i po kilku coraz to słabszych drgnieniach rozłożył ręce... był pokonany.

Teraz dopiero podniosłem się, obejrzałem się za siebie i zobaczyłem scenę, jakiej nie opisze nigdy żadne pióro. Nikt z walczących nie użył broni palnej, bojąc się, żeby nie przywołać tym reszty nieprzyjaciół. Czynne były tylko noże i tomahawki. Nikt nie stał, lecz wszyscy tarzali się na ziemi.

Winnetou gotował się właśnie pchnąć nożem znajdującego się pod nim przeciwnika i mnie nie potrzebował.

Old Firehand leżał na jednym i starał się utrzymać z dala od siebie drugiego, który mu rozpłatał rękę. Pośpieszyłem mu na pomoc i powaliłem napastnika własnym jego toporem, który mu wypadł z ręki. Następnie podbiegiem do Dicka Stone'a, który pomiędzy dwoma zabitymi już czerwonoskórymi zmagał się z olbrzymim przeciwnikiem, usiłującym zadać mu śmiertelne pchnięcie. Nie udało mu się to jednak, nadszedł kres jego wysiłków.

Stone powstał i wyprostował członki.

— Na Boga, sir, to była pomoc w samą porę! Trzech przeciwko jednemu, kiedy strzelać nie wolno, to przecież trochę za wiele; dziękuję!

Old Firehand podał mi także rękę i chciał coś powiedzieć, kiedy wzrok jego padł na Paranoha.

— Tim Finn... Czy to być może? Sam wódz? Kto z nim walczył?

— Old Shatterhand go powalił — odrzekł za mnie Winnetou. — Wielki Duch użyczył mu siły bawołu ryjącego rogiem ziemię.

— Człowiecze — zawołał Old Firehand — nie spotkałem jeszcze nikogo takiego jak wy, chociaż sporo świata obszedłem. Ale jak się to stało, że Paranoh ukrył się tu ze swoimi, skoro Winnetou był tam w pobliżu?

— Biały wódz nie był ukryty obok Winnetou — odrzekł Apacz. — On zobaczył ślady wrogów i szedł za nimi. Jego ludzie podążą za nim, wobec czego moi biali bracia muszą się udać czym prędzej do swoich wigwamów.

— Winnetou ma słuszność — potwierdził Dick Stone, — Trzeba się starać dostać do naszych.

— Dobrze — odrzekł Old Firehand, któremu krew ciekła z ręki strumieniem. — Ale przedtem należy usunąć, o ile możności, ślady walki. Wyjdź no trochę naprzód, Dicku, i uważaj, żeby nas nie zaskoczono niespodzianie!

— Dobrze, sir, lecz wyjmijcie mi przedtem nóż z rany. Trudno mi z tym chodzić.

Jeden z trzech przeciwników wbił mu nóż w bok, a przy poruszaniu się ostrze wciskało się coraz głębiej. Szczęściem nie utkwiło w miejscu niebezpiecznym. Po wyjęciu noża została tylko rana, nie ciężka dla tak żelaznej natury jak Stone.

W krótkim czasie wykonano, co było niezbędne, i sprowadzono na powrót Stone'a.

— Jak zabierzemy jeńca? — spytał Old Firehand.

— Chyba go poniesiemy — rzekłem — będzie to jednak trudne, gdy wróci do przytomności.

— Nieść? — spytał Stone. — Od wielu lat nie miałem już tej przyjemności, jaka mi się teraz nadarza, nie chciałbym też pozbawiać jej tego starego draba.

Mówiąc to odciął nożem kilka stojących obok pieńków od korzeni, wziął derkę Paranoha, pociął na wąskie pasy i rzekł, kiwając do nas głową z zadowoleniem:

— Zrobimy sanki, płozy z drzewa lub coś podobnego, przywiążemy do nich tego łotra i tak wyruszymy do domu.

Propozycję Stone'a przyjęto i wykonano, po czym ruszyliśmy w drogę. Zostawialiśmy jednak ślad tak wyraźny, że idący za nami Winnetou musiał zadać sobie niemało trudu, aby go pozacierać.

Następnego dnia rano promienie słoneczne nie dotknęły jeszcze leżących dokoła gór i głęboki spokój panował w obozie, kiedy się obudziłem i wyszedłem ze skalnej izby. W dolinie dokoła gęstwiny drzew przewalały się ciężkie obłoki mgły, w górze jednak powietrze było czyste i jasne i owiewało moje skronie orzeźwiającym chłodem. Mały ziarnojad skakał z jednej gałązki ożyn na drugą, wabiąc nabrzmiałym, czerwonym gardziołkiem nieposłuszną samiczkę; nieco niżej siedział szaroniebieski droździec przerywając chwilami swój śpiew zabawnym piskiem, a z dołu dochodził cudowny głos jakiegoś ptaka, który po każdej zwrotce swej brawurowej arii przyklaskiwał sobie kaczym kwakaniem. Myśli moich jednak nie zajmował poranny koncert — raz jeszcze rozmyślałem nad tym, co przeżyliśmy wczoraj.

Według sprawozdania jednego z naszych strzelców, który błądząc cicho po lasach, zobaczył także Indian, było ich więcej, aniżeli przypuszczaliśmy. W dole, na równinie, strzelec napotkał drugi obóz, gdzie znajdowały się także konie. Nasuwało to przypuszczenie, że wojenna wyprawa Ponków nie była wymierzona przeciwko poszczególnym ludziom, lecz przeciwko całej naszej osadzie. Wobec ich wielkiej liczby położenie nasze nie było godne zazdrości.

Przygotowania, jakie trzeba było poczynić, aby odeprzeć napad, do tego stopnia wypełniły wczorajsze popołudnie i wieczór, ze nie mieliśmy czasu zająć się losem naszego jeńca. Leżał on związany i pilnie strzeżony w jednej ze skalnych komór. Rano jeszcze, od razu gdy się zbudziłem, przekonałem się, że jest mocno związany.

Najbliższe dni, a może nawet godziny, musiały przynieść rozstrzygnięcie. Bardzo poważnie więc myślałem o obecnym położeniu, kiedy wyrwał mnie z zamyślenia odgłos zbliżających się kroków. Był to Harry.

— Dzień dobry, sir! Sen umykał dziś przed wami prawdopodobnie tak samo jak przede mną. Podziękowałem za pozdrowienie i odrzekłem:

— Czujność jest cnotą najpotrzebniejszą w tym kraju pełnym niebezpieczeństw, sir!

— Czy boicie się czerwonoskórych? — zapytał Harry z uśmiechem.

— Wiem, że zadajecie mi to pytanie żartem, jest nas jednak wszystkiego trzynasta ludzi, a mamy przed sobą dziesięciokrotnie liczniejszego nieprzyjaciela. W otwartej walce nie moglibyśmy się przed nimi obronić, a jedyna nasza nadzieja w tym, że nas nie znajdą.

— Zbyt czarno widzicie te sprawy. Trzynastu ludzi takich jak my może już czegoś dokazać, a gdyby nawet czerwonoskórzy wywąchali naszą kryjówkę, to połamią sobie na nas zęby.

— Ja jestem innego zdania. Są rozzłoszczeni naszym napadem, a jeszcze bardziej wczorajszą utratą ludzi, a nadto wiedzą, że ich wódz jest w naszym ręku. Szukali go oczywiście, natknęli się na trupy, ale jego nie znaleźli. Gdy tak liczna horda podejmuje tak daleką wyprawę, to będzie się starała osiągnąć swój cel z jak największą energią i chytrością.

— To wszystko słuszne, sir, ale mimo to nie ma jeszcze powodu do obaw. Ja znam także tych ludzi. Są tchórzliwi i bojaźliwi, umieją atakować jedynie z tyłu, i to bezbronnego. Przeciągaliśmy ich myśliwskimi terenami od Missisipi aż do Oceanu Spokojnego, od Meksyku aż ku Jeziorom, pędziliśmy ich przed sobą i biliśmy się z nimi. Niekiedy musieliśmy umykać przed ich przewagą i kryć się, ale zawsze w końcu zwyciężaliśmy.

Spojrzałem na niego. Nie wyczytał zapewne w moim wzroku podziwu, bo po krótkiej przerwie mówił dalej:

— Wiem, że wasze zapatrywanie jest inne, ale jednak są w sercu ludzkim uczucia, których musi słuchać energiczna ręka, czy należy ona do dorosłego mężczyzny, czy też do chłopca. Gdybyśmy dotarli wczoraj do Beeforku, zobaczylibyście grób kryjący dwie istoty najmilsze mi i najdroższe na całej kuli ziemskiej. Zabili je mężowie o czarnych włosach i czerwonych twarzach, a od tego czasu ręka mi drga, ilekroć zobaczę powiewający kosmyk skalpowy. Niejeden Indianin musiał ześliznąć się z konia, gdy błysnął ten pistolet. Jest to ten sam pistolet, z którego wyleciała śmiercionośna kula, przeszywając serce mej matki. Wy poznaliście celność jego strzałów w New Venango.

Wydobył broń zza pasa i podsunął mi ją przed oczy, po czym mówił dalej;

— Dobry z was strzelec, sir, ale z tej starej lufy nie trafilibyście na piętnaście kroków do pnia hikory[25]. Możecie sobie zatem wyobrazić, ile się naćwiczyłem, aby być pewnym strzału. Umiem się obchodzić z wszelką bronią, ale jeśli chodzi o Indian, biorę do ręki tylko tę, gdyż przysięgłem sobie, że za każde ziarnko prochu, którym wystrzelono ową morderczą kulę, zapłacić musi życiem jeden czerwonoskóry. Zdaje mi się, że bliski jestem spełnienia przysięgi. Ta sama lufa, z której wystrzał spowodował śmierć mojej matki, będzie też i teraz narzędziem mojej zemsty!

— Otrzymaliście ten pistolet od Winnetou?

— Czy on opowiadał wam o tym?

— Tak.

— Wszystko?

— Nic ponad to, co właśnie powiedziałem.

— Tak, pistolet jest od niego. Ale usiądźcie, sir! Dowiecie się o tym, co jest najistotniejsze — ta sprawa nie nadaje się, aby ją ubierać w wiele słów.

Usiadł obok mnie, rzucił badawcze spojrzenie na dolinę i rozpoczął:

— Ojciec mój był nadleśniczym w Starym Kraju i żył w niezmąconym szczęściu z żoną i małym synkiem. Wtem rozszalała się polityczna wichura, która zawiodła nadzieje niejednego człowieka, a jego popchnęła w wir, z którego musiał się ratować ucieczką za morze. Ofiarą przeprawy padła matka jego dziecka, a ponieważ ojciec po wylądowaniu znalazł się w obcym kraju bez środków do życia i bez znajomych, chwycił się tego, co mu się trafiło — udał się jako strzelec na Zachód, a dziecko zostawił u zamożnej rodziny, która je przyjęła jako własne.

Spędził kilka lat wśród niebezpieczeństw i przygód, dzięki czemu stał się westmanem, którego szanowali biali, a obawiali się czerwonoskórzy. Razu pewnego w czasie jednej z myśliwskich wędrówek zaszedł do Quicourt w sam środek plemion Assineboinów i spotkał się tu po raz pierwszy z Winnetou, który przyjechał znad brzegów Kolorado, aby nad górną Missisipi nabrać gliny na fajki pokoju dla swego szczepu. Obaj byli gośćmi wodza Tahsza-tungi, zaprzyjaźnili się ze sobą i poznali w wigwamie wodza jego córkę, Ribannę, piękną jak zorza, a miłą jak róża górska. Żadna z cór plemienia nie umiała tak delikatnie garbować skór ani tak ładnie uszyć myśliwskiego ubrania jak ona. Kiedy szła po drzewo na ogień pod kocioł, kroczyła przez równinę wysmukła jak królowa, a z głowy spływały jej włosy niemal do ziemi. Była ulubienicą Wielkiego Ducha Manitou, była dumą szczepu, a młodzi wojownicy pałali żądzą zdobycia skalpów nieprzyjaciół, aby je złożyć u jej stóp.

Ale żaden z nich nie znalazł łaski w jej oczach, gdyż pokochała białego myśliwca, chociaż był starszy od wszystkich, którzy starali się o nią. Winnetou był z nich najmłodszy — prawie chłopiec.

W duszy białego obudziły się także najświętsze uczucia; chodził śladami jej stóp, czuwał nad jej wezgłowiem i rozmawiał z mą jak z córką bladych twarzy. Pewnego wieczora przystąpił doń Winnetou i rzekł:

[25] Hikora – gatunek drzewa owocowego rosnącego w Ameryce.

„Biały człowiek nie jest podobny do dzieci swego narodu. Z ich ust bowiem padają kłamliwe słowa, on natomiast mówił zawsze prawdę swemu bratu Winnetou!" A biały odpowiedział młodemu Apaczowi:

„Mój czerwony brat ma rękę silnego wojownika i jest najmędrszy przy ognisku wielkiej narady. Nie pragną! nigdy krwi niewinnego, a ja podałem mu dłoń przyjacielską. Niechaj mówi!"

„Mój brat kocha Ribannę, córkę Tah-sza-tungi?" "Milsza mi jest ona nad stada na prerii i nad skalpy wszystkich czerwonych mężów".

„I będzie dla niej dobry, i nie obrazi uszu jej przykrymi słowy, lecz odda jej swoje serce i będzie jej strzegł przed burzami życia?"

„Będę ją nosił na rękach i nie opuszczę jej w żadnej potrzebie i w żadnym niebezpieczeństwie".

„Winnetou zna nazwy i mowę gwiazd, ale gwiazda życia jego zachodzi, a w sercu jego zapada ciemność i noc. Winnetou pragnął zabrać różę z Cklicourt do swojego wigwamu i na piersi jej złożyć znużoną głowę, ilekroć wróci ze ścieżek bawolich albo ze wsi nieprzyjaciół. Ale oko jej świeci dla jego białego brata, a usta jej wymawiają imię bladej twarzy. Apacz odejdzie z krainy szczęścia, a stopy jego błądzić będą samotnie nad nurtami Rio Pecos. Ręka jego nie dotknie nigdy głowy kobiecej, a głos syna nie obije się o jego uszy. Wróci on jednak w porze, kiedy łoś przechodzi przez parowy, by zobaczyć, czy szczęśliwa jest córka Tah-sza-tungi, Ribanna".

Winnetou odwrócił się po tych słowach, zniknął w ciemnościach nocy, a nazajutrz już się nie pokazał.

Kiedy wrócił na wiosnę, odnalazł Ribannę, a błyszczące jej oczy powiedziały mu wyraźniej niż słowa o szczęściu, jakie jej przypadło w udziale. Apacz wziął jej z rąk mnie, kilkudniowe dziecko, pocałował mnie w małe usta, a położywszy rękę na mej główce, wypowiedział te słowa:

„Winnetou będzie nad tobą jako drzewo, na którego gałęziach ptaki zasypiają, a zwierzęta polne szukają ochrony przed zalewem płynącym z chmur. Życie jego jest twoim życiem, a jego krew twoją krwią. Nigdy nie zabraknie mu tchu ani siły ramienia na obronę syna róży z Quicourt. Niechaj rosa poranna pada na twoją drogę, a światło słońca na twoje ścieżki, aby miał z ciebie pociechę biały brat Apacza".

Mijały lata, ja podrosłem, a równocześnie ojciec zapragnął gorąco zobaczyć swego pierwszego syna. Brałem zawsze udział w zabawach chłopców i wyobraźnia moja pełna była ducha wojny i szczęku broni. Tymczasem ojciec nie mógł już dłużej zapanować nad tęsknotą. Pojechał na Wschód i wziął mnie z sobą. U boku brata i w cywilizowanym życiu otworzył się przede mną nowy świat. i zdawało mi się, że się z nim nie zdołam rozstać. Ojciec powrócił sam, a mnie zostawił u opiekunów brata. Wnet jednak obudził się we mnie żal za ojczyzną z taką potęgą, że nie mogłem go stłumić, odjechałem więc z ojcem z powrotem po drugich jego odwiedzinach.

Powróciwszy do domu zastaliśmy obóz pusty i zupełnie spalony. Po dłuższych poszukiwaniach znaleźliśmy wampum[26], który zostawił Tah-sza-tung, aby nas zawiadomić o tym, się stało.

Tim Finnetey, biały myśliwiec, bywał dawniej często w naszym obozie i pragnął pojąć różę z Quicourt za żonę, lecz Assineboinowie nie byli dlań usposobieni przychylnie, ponieważ uprawiał złodziejstwo i kilka razy już okradł ich schowki ze skórami. Odprawiono go z niczym, a on odszedł z przysięgą zemsty na ustach. Od mojego ojca, z którym spotkał się w Black Hilis, dowiedział się, że Ribanna została jego żoną. Udał się więc do Czarnonogich, aby nakłonić ich do wyprawy wojennej przeciwko Assineboinom,

[26] Wampum (ind.) – oynacza sznur z nanizanymi różnobarwnymi muszlami służący do porozumiewania się.

Ci usłuchali jego rady i przybyli wówczas, kiedy wojownicy byli na wyprawie myśliwskiej. Napadli na obóz, splądrowali go i spalili, pozabijali starców i dzieci, a młode kobiety i dziewczęta zabrali do niewoli, Gdy wojownicy wrócili i zobaczyli siedzibę obróconą w perzynę, poszli śladami wrogów. Ponieważ tę wyprawę dla zemsty podjęli na kilka dni przed naszym przybyciem, więc przypuszczaliśmy, że uda nam się ich jeszcze dopędzić.

Co tu dłużej o tym mówić! Po drodze spotkaliśmy Winnetou, który nadszedł przez góry. Skoro mu ojciec wszystko opowiedział, zawrócił konia nie rzekłszy ani słowa i przyłączył się do nas. Nigdy nie zapomnę tych dwóch mężów, jak jechali obok siebie w milczeniu a pośpiesznie tropem uchodzących nieprzyjaciół i pogoni.

Znaleźliśmy ich nad Beeforkiem, gdzie Czarnonodzy obozowali w dolinie rzeki. Nasi czekali tylko nocy, by na nich napaść. Mnie polecono zostać przy straży koło koni, ale nie mogłem wytrzymać i kiedy nadeszła chwila napadu, zakradłem się między drzewami aż na skraj lasu. Dostałem się tam, kiedy padł pierwszy strzał. Była to straszna noc. Nieprzyjaciel miał nad nami przewagę, wrzawa wojenna ustała dopiero wraz ze świtem.

Widziałem gmatwaninę dzikich postaci, słyszałem jęki i stękania rannych i umierających i modląc się leżałem w mokrej trawie. Potem powróciłem do straży, ale jej nie zastałem. Ogarnął mnie niewypowiedziany lęk, a gdy usłyszałem radosne okrzyki nieprzyjaciół, byłem pewny, że nas zwyciężono.

Ukrywszy się, przesiedziałem do wieczora i dopiero wtedy odważyłem się wyjść na pole walki.

Głęboka cisza panowała dokoła, a jasny blask księżyca padał na porozrzucane na ziemi postacie bez życia. Przejęty zgrozą błądziłem pomiędzy nimi, aż natrafiłem na własną matkę. Nieszczęsna leżała z przestrzeloną piersią i ramionami kurczowo otaczającymi małą siostrzyczkę, której głowę rozpłatano nożem na dwoje. Widok ten odebrał mi przytomność; padłem zemdlony na zwłoki.

Nie wiem, jak długo tak leżałem. Nadszedł dzień, potem noc, a potem znowu dzień. Wtem usłyszałem w pobliżu odgłos cichych kroków. Podniosłem się i ─ co za szczęście! ─ zobaczyłem ojca i Winnetou, obydwóch w potarganych ubraniach i z ranami na ciele. Ulegli przemocy i skrępowani, zawleczeni zostali do niewoli, ale zdołali się wyswobodzić i umknęli.

Westchnąwszy głęboko Harry umilkł i wpatrzył się w dal z tępym wyrazem w oczach. Po chwili zapytał, zwracając się szybko do mnie:

─ Czy macie jeszcze matkę, sir?

─ Tak.

─ Co byście uczynili, gdyby ją wam ktoś zamordował?

─ Oddałbym go w ręce sprawiedliwości.

─ Dobrze! A jeżeli są one za słabe lub za krótkie jak tu na Zachodzie, to trzeba oddać na usługi prawu własne. ręce!

─ Jest różnica między zemstą a karą, Harry! Zemsta jest podła i pozbawia człowieka tych cech, którymi różni się on od zwierząt.

─ Wy możecie tak mówić, ponieważ w waszych żyłach nie płynie krew indiańska. Jeśli jednak jakiś człowiek dobrowolnie wyrzeka się swych ludzkich cech i staje się niebezpieczną bestią, to należy z nim postępować jak z bestią i ścigać dopóty, dopóki go nie dosięgnie zabójcza kula. Kiedyśmy nazajutrz zakopali obie nasze zmarłe chroniąc je w ten sposób od sępów, nie było w naszych sercach innego uczucia prócz żaru nienawiści do morderców naszego szczęścia. Ślubowanie, wypowiedziane wtedy przez Winnetou, było także naszym ślubowaniem. Przysiągł on bowiem pełnym głębokiej nienawiści głosem:

„Wódz Apaczów rył w ziemi i znalazł strzałę zemsty. Pięść jego zaciśnięta, stopa lekka, a tomahawk ostry jak błyskawica. Poszuka i znajdzie Tima Finneteya, mordercę róży z Ouicourt, i weźmie skalp jego za życie Ribanny, córy Assineboinów".

─ Czy Finnetey był mordercą?

— Tak! W pierwszych chwilach walki, kiedy się zdawało, że Czarnonodzy ulegną, zastrzelił ją. Winnetou to zobaczył i rzucił się na niego, wyrwał mu broń i byłby go zabił, gdyby go inni nie pochwycili i po rozpaczliwej walce nie wzięli do niewoli. Jako szyderstwo pozostawiono mu nienabity pistolet, który potem dostałem jako dar i z którym nie rozstawałem się nigdy — czy stąpałem po chodnikach miast, czy po trawach prerii.

— Muszę jednak zauważyć, że... Przerwał mi gwałtownym ruchem ręki:

— Wiem, co mi chcecie powiedzieć. Ja sam powtórzyłem sobie to już tysiąc razy. Wy nie znacie podania o upiorach, które gnają jak burza przez równinę i niszczą wszystko, co im się ośmieli oprzeć. Jest w tym podaniu głęboka myśl, która mówi, że nieokiełznana wola rozlewa się jak wzburzone morze po równinie, zanim nie utrwali się tu na stałe porządek, jaki niesie ze sobą cywilizacja, W moich żyłach tętnią też fale owego morza, ale ja nie chcę i nie ustąpię przed ich naporem, chociaż wiem, że utonę.

Były to słowa pełne gorzkiego przeczucia, a po nich nastąpiła głęboka cisza, którą wreszcie przerwałem, mówiąc, co sądzę o tych sprawach. Ten chłopiec myślał, mówił i działał jak dorosły. To było w moich oczach niewłaściwe, nienaturalne. Starałem się go o tym przekonać łagodnymi słowy, a on słuchał i kiwał głową. Wymownie określił wrażenie, jakie wywarła na nim owa straszna noc, barwnie opisał swoje późniejsze życie, które miotało nim, każąc ciągle wybierać między dzikimi instynktami a moralnością człowieka cywilizowanego. Po jego opowiadaniu doszedłem do przekonania, że nie mam prawa potępić jego postępowania.

Wtem zabrzmiał z dołu ostry świst. Chłopiec zamilkł i rzekł znowu po chwili:

— Ojciec zwołuje ludzi. Zejdźmy na dół! Dla jeńca wybiła ostatnia godzina.

Powstałem i ująłem go za rękę.

— Czy spełnicie jedną moją prośbę, Harry?

— Chętnie, jeśli tylko nie zażądacie czegoś niemożliwego.

— Zostawcie jeńca dorosłym mężczyznom!

— Prosicie o to właśnie, na co się nie mogę zgodzić. Tyle tysięcy razy pragnąłem stanąć z nim oko w oko, aby weń cisnąć śmiercią, tysiące razy malowałem sobie tę godzinę wszystkimi barwami, jakie tylko człowiek ma do wyboru, ona była celem mojego życia, ceną wszystkich cierpień i niedostatków, jakich zakosztowałem, a teraz, kiedy jestem tak bliski urzeczywistnienia mych pragnień, miałbym się wyrzec ich spełnienia? Nie, nie i jeszcze raz nie!

— To życzenie spełni się także bez waszego osobistego udziału. Człowiek powinien dążyć do wyższych celów niż te, które wy sobie wytknęliście, a serce ludzkie zdolne jest objąć większe szczęście niż to, którego się doznaje przez zaspokojenie najgorętszego choćby uczucia zemsty.

— Wy, sir, myślcie sobie, jak chcecie, ale pozwólcie mnie pozostać również przy moim własnym zdaniu!

— Odmawiacie więc?

— Nie mogę postąpić inaczej. Chodźcie na dół! Nadzwyczajne wyrobienie tego wysoce uzdolnionego chłopca wzbudziło we mnie wielkie zainteresowanie jego osobą. Żałowałem więc, że z takim uporem trwa przy swych krwawych zamiarach, i dziwnie wzruszony naszą rozmową poszedłem za nim powoli.

Na dole przywitałem najpierw mego dzielnego Swallowa, a potem dopiero podszedłem ku myśliwym zgromadzonym dokoła przywiązanego do drzewa Paranoha. Naradzano się nad tym, jaki rodzaj śmierci należałoby wybrać dla jeńca.

— Trzeba bezwarunkowo „zdmuchnąć" tego łotra, jeśli się nie mylę — rzekł Sam Hawkens — ale nie mógłbym wyrządzić mojej Liddy takiej przykrości, żeby miała wykonać ten wyrok.

— Umrzeć musi, tak trzeba! — potwierdził Dick Stone potrząsając głową. — Ucieszę się bardzo, gdy go zobaczę na gałęzi, gdyż nie zasłużył na nic innego. Co wy na to, sir?

— Dobrze! — rzekł Old Firehand. — Ale nie wolno tego naszego pięknego miejsca plamić krwią tego potwora. Pomordował on moich najbliższych nad Beeforkiem, tam też poniesie karę. Miejsce, które słyszało moją przysięgę, ujrzy także jej spełnienie,

— Pozwólcie, sir! wtrącił Stone. — Na co ja tego oskalpowanego, biało-czerwonego łotra wlokłem aż tutaj daremnie? Czy sądzicie, że mi to sprawi przyjemność, jeśli przy okazji oddam za to czerwonoskórym moją własną czuprynę?

— Jakie jest zdanie wodza Apaczów, Winnetou? — zapytał Old Firehand, pojmując słuszność tego zarzutu.

— Winnetou nie obawia się strzał Ponków; ma już za pasem skórę tego psa Atabasków i darowuje ciało jego białemu bratu.

— A wy? — zwrócił się pytający do mnie.

— Uporajcie się z nim krótko! Nikt z was nie boi się Indian, ale uważam za zbyteczne narażać się na niebezpieczeństwo i zdradzać nasze miejsce pobytu. Ten człowiek nie jest tego wart.

— Wy możecie tu zostać, sir, i pilnować swojej sypialni — poradził Harry wzruszając jakoś dziwnie ramionami. — Co do mnie, to domagam się bezwarunkowo wykonania wyroku w tym samym miejscu, gdzie leżą ofiary mordercy. Los popiera moje żądanie tym, że wydał go w nasze ręce tu, a nie gdzie indziej. To, czego żądam, winien jestem tym, na których grobie wypowiedziałem przysięgę, że nie spocznę, dopóki nie będą pomszczone.

Odwróciłem się bez odpowiedzi.

Jeniec stał wyprostowany, oparty o drzewo. Pomimo bólu, jaki musiały mu sprawiać więzy, wrzynające się w ciało, i pomimo poważnego znaczenia, jakie miała dla niego ta narada, jego twarz poorana wiekiem i namiętnościami nie drgnęła, W tych odstraszających rysach wypisana była cała historia jego życia, a widok nagiej czaszki powiększał odrażające wrażenie, które ten człowiek wywierał niewątpliwie nawet na najbardziej nieuprzedzonym widzu.

Po dłuższej naradzie, w której nie wziąłem już udziału, obradujący rozeszli się i zaczęli wybierać się w drogę.

Wola chłopca zwyciężyła! Nie mogłem jednak pozbyć się myśli, że wyniknie z tego jakieś nieszczęście. Old Firehand podszedł do mnie i położył mi rękę na ramieniu.

— Pozwólcie, żeby to się odbyło swoim trybem, sir. Nie przykładajcie fałszywej miary do rzeczy, które nie są skrojone wedle szablonu waszej tak zwanej cywilizacji.

— Nie pozwalam sobie na sąd o waszym postępowaniu, sir. Zbrodnia musi być ukarana, to słuszne, ale nie gniewajcie się na mnie, jeśli się nie przyczynię do wykonania wyroku. Idziecie nad Beefork?

— Tak. Ponieważ wy nie chcecie się do tego mieszać, cieszę się przeto, że będę miał komu powierzyć opiekę nad obozem.

— Nie moja będzie wina, jeśli się zdarzy coś, czego sobie nie życzymy, sir. Kiedy wrócicie?

— Trudno oznaczyć na pewno. To zależy od tego, co tam zastaniemy. A zatem bądźcie zdrowi i miejcie oczy otwarte!

Po tych słowach przystąpił do tych, którzy mieli mu towarzyszyć podczas przeprowadzania jeńca na miejsce stracenia. Odwiązano go od drzewa, a kiedy powrócił Winnetou, który wyszedł zobaczyć, czy przejście jest bezpieczne, i doniósł, że nie dostrzegł nic podejrzanego, wepchnięto Finneteyowi knebel w usta i wszyscy ruszyli ku wylotowi doliny.

— Czy mój biały brat zostaje? — spytał Apacz, zanim się przyłączył do or.szaku.

— Wódz Apaczów zna moje myśli, wobec tego usta nie potrzebują ich wyjawiać.

— Mój brat jest ostrożny jak stopa, zanim wstąpi do wody, w której żyją krokodyle, ale Winnetou musi pójść z synem Ribanny, która zginęła z ręki Atabaski.

W „warowni" zostało tylko kilku myśliwców, a między nimi Dick Stone. Zawołałem ich do siebie i oznajmiłem, że chcę wyjść, aby przetrząsnąć zarośla.

— Nie potrzeba, sir — rzekł Stone. — Na zewnątrz stoi warta i pilnie baczy na wszystko, a oprócz tego Apacz chodził na zwiady. Zostańcie tutaj i odpocznijcie. Robota sama się znajdzie.

— Jak to?

— No, czerwonoskórzy mają oczy i uszy i zauważą pewnie, że można tam coś pochwycić.

— Przyznaję wam zupełną słuszność, Dicku. Dlatego Spojrzę, czy się co gdzie nie rusza. Wy pilnujcie tymczasem tego miejsca! Nie dam długo czekać na siebie.

Wziąłem sztucer i wyszedłem. Warta zapewniła mnie, że nie widziała nic podejrzanego. Ja nauczyłem się jednak ufać tytko własnym oczom i przecisnąłem się przez rząd zarośli, aby poszukać śladów Indian.

Tuż u wejścia do naszej kotliny spostrzegłem kilka ułamanych gałązek, a po dokładniejszym zbadaniu ziemi przekonałem się, że leżał tu niedawno człowiek, który przed odejściem starał się troskliwie zatrzeć odciski swego ciała pozostawione na opadłych liściach i miękkiej ziemi.

Podsłuchano nas zatem i odkryto miejsce naszego pobytu! Napad mógł nastąpić w każdej chwili. Przypuszczając jednak, że nieprzyjaciel zwróci głównie uwagę na Paranoha i jego eskortę, postanowiłem przede wszystkim ostrzec zawczasu Old Firehanda i w tym celu udać się czym prędzej za idącym przede mną orszakiem.

Wydawszy warcie odpowiednie polecenie, puściłem się śladem naszych ludzi, którzy obrali drogę wzdłuż rzeki w kierunku przeciwnym do jej biegu. Tamtędy wydostałem się wnet na miejsce wczorajszych wydarzeń. Przewidywania moje sprawdziły się. Ponkowie znaleźli zabitych, a po podeptanej trawie można było osądzić, że przybyli tu w znacznej liczbie, aby pozabierać zwłoki swych braci.

Nie uszedłem jeszcze daleko poza to miejsce, kiedy natknąłem się na nowe ślady, które wychodziły z boku z zarośli i biegły dalej w tym samym kierunku, w którym udali się nasi myśliwcy. Podążyłem za nimi, ostrożnie wprawdzie, ale z jak największym pośpiechem. W ten sposób dotarłem w krótkim stosunkowo czasie do miejsca, gdzie Mankicita wpada do Beeforku.

Nie wiedząc, w której części doliny ma się odbyć egzekucja, musiałem zdwoić ostrożność i szedłem przez rosnące obok zarośla, patrząc na ślady tylko z boku.

Rzeczka skręcała tutaj i otaczała polanę, na której krzaki ustąpiły przed bujnie rozrosłymi trawami. Na środku stała grupa balsamowych jodeł, a pod nimi siedzieli myśliwi prowadząc ożywioną rozmowę. Jeniec przywiązany był do jednego z pni.

Wprost przede mną, najwyżej o trzy długości człowieka, kilku Indian wyglądało z zarośli na polanę. Zrozumiałem w jednej chwili, że reszta poszła na prawo i na lewo, aby otoczyć podsłuchanych ze wszystkich stron i pozabijać w nagłym napadzie albo zapędzić do wody.

Nie było ani chwili czasu do stracenia! Przyłożyłem sztucer do ramienia i wypaliłem. W pierwszych sekundach były moje strzały jedynym hasłem walki, gdyż zaskoczyły zarówno przyjaciół, jak i wrogów. Potem jednak rozległ się okrzyk wojenny Indian, chmura strzał wyleciała z zarośli, a polana pokryła się w jednej chwili wyjącymi, sapiącymi i krzyczącymi ludźmi, którzy zmagali się ze sobą we wściekłych zapasach.

Wyskoczyłem z zarośli prawie równocześnie z Indianami. Ukazałem się w sam czas, aby powalić czerwonoskórego, który zamierzył się na Harry'ego. Chłopak zerwał się i podniósł pistolet, aby zastrzelić Paranoha, ale przeszkodził mu w tym Indianin, który to zauważył. Zwróceni do siebie plecami lub oparci o drzewa bronili się myśliwcy przed otaczającymi ich zewsząd dzikimi. Byli to sami doświadczeni traperzy, którzy przeszli już niejedną ciężką przeprawę i nie znali trwogi, ale tu jasne było, że będą musieli ulec, zwłaszcza że już przedtem stanowili dla Indian otwarty cel. Prawie wszyscy byli też ranni.

Kilku czerwonoskórych rzuciło się od razu w pierwszej chwili do Paranoha, aby go uwolnić z więzów, co im się też udało pomimo wysiłków Old Firehanda i Winnetou. Obu ich odepchnięto od niego. Silnym ruchem wyrzucił ten muskularny człowiek ręce w górę, aby puścić

w ruch krew zatamowaną więzami, wyrwał tomahawk z ręki jednego ze swoich ludzi i zgrzytnął, uderzając na Winnetou:

— Chodź tu, ty psie z Pimo! Zapłacisz teraz za moją skórę!

Apacz zaczepiony obelżywym przezwiskiem swego plemienia, natychmiast stanął do walki, ale był już zraniony. Równocześnie napadnięto nań z drugiej strony. Old Firehanda nieprzyjaciele otoczyli całkowicie, a inni biali tak byli zajęci własną obroną, że o wzajemnej pomocy nie było nawet mowy.

Dłuższy opór byłby wobec tego stanu rzeczy głupotą i fałszywą ambicją. Toteż zawołałem, ciągnąc Harry'ego, przez krąg otaczających nas nieprzyjaciół:

— Do wody, ludzie, do wody!

I w następnej chwili uczułem, jak zwarła się nade mną fala.

Pomimo głośnej wrzawy dosłyszano mój okrzyk i kto zdołał się wyrwać, szedł za moim przykładem. Rzeka była wprawdzie głęboka, ale wąska tak, że kilka ruchów rąk wystarczyło, aby się dostać na przeciwległy brzeg. Nie było tam jeszcze wcale bezpiecznie, toteż zamierzałem przeciąć cypel, utworzony przez Beefork i Mankicitę, aby się schronić za tą drugą rzeką. Już skinąłem na chłopca, żeby biegł za mną w tym kierunku, kiedy obok nas przemknął krzywonogi Sam w ociekającej wodą bluzie myśliwskiej i kłapiących mokasynach. Rzucając chytre spojrzenia na nieprzyjaciół zniknął jednym skokiem w zaroślach.

Natychmiast popędziliśmy za nim, gdyż celowość jego zamiaru była zbyt widoczna, iżbym się miał trzymać poprzedniego planu.

— Ojciec, ojciec! — zawołał Harry z trwogą. — Muszę być przy nim! Nie mogę go opuścić!

— Chodźcie tylko — przynaglałem, ciągnąc go naprzód. — Nie ocalimy go, jeśli mu się to już samemu nie udało!

Przedzierając się z jak największą szybkością przez gęstwinę dostaliśmy się w końcu znowu nad Beefork, powyżej tego miejsca, w którym wskoczyliśmy do wody.

Wszyscy Indianie ruszyli za nami ku Mankicicie. Gdy przedostaliśmy się z powrotem na drugą stronę Beeforku, mogliśmy bezpiecznie iść dalej. Sam Hawkens jednak zawahał się. .— Czy widzicie tam strzelby? — zapytał.

— Indianie porzucili je, zanim powskakiwali do wody.

— Hi! hi! hi! sir. To głupcy, skoro zostawili nam swoje pukawki, jeśli się nie mylę!

— Chcecie je zabrać? To niebezpieczne!

— Niebezpieczne? Sam Hawkens i niebezpieczeństwo! W kilku szybkich skokach, przypominających skoki kangura, pobiegł i pozbierał strzelby. Ja poszedłem oczywiście za nim i poprzecinałem cięciwy łuków, leżących w nieładzie na ziemi, przez co przynajmniej na jakiś czas stały się nic do użycia.

Nikt nam nie przeszkadzał w tej czynności, gdyż czerwonoskórzy nie przypuszczali, żeby ścigani odważyli się wrócić na pole walki. Hawkens trzymał strzelby przez chwilę w ręku, patrzył na nie z politowaniem, a potem wrzucił wszystkie do wody.

— Ładne strzelby, sir, ładne! W ich lufach będą się ślicznie chowały szczury i nic im to nie zaszkodzi. Chodźcie no stąd, bo tu nieswojo, jeśli się nie mylę!

Ruszyliśmy najprostszą drogą na przełaj, aby jak najszybciej dostać się do „warowni". Nad Beeforkiem była tylko część Indian, a ponieważ nas podsłuchano i dowiedziano się o miejscu naszego pobytu, przeto należało się spodziewać, że reszta skorzysta z nieobecności myśliwych i napadnie na nasz obóz.

Mieliśmy jeszcze dość dużą przestrzeń do przebycia, kiedy doleciał nas huk wystrzału od strony kotliny.

— Naprzód, sir! — zawołał Hawkens i przyśpieszył kroku.

Harry nie wymówił jeszcze ani słowa i parł naprzód z wyrazem trwogi na twarzy. Wszystko stało się tak, jak przepowiedziałem, a chociaż nie mogłem się teraz zdobyć na żadne wyrzuty, czułem, że Harry także zdaje sobie z tego sprawę.

Strzały się powtórzyły. Teraz już nie ulegało wątpliwości, że myśliwi, którzy pozostali w „warowni", walczyli z Indianami. Pomoc była konieczna. Toteż mimo trudnej do przebycia gęstwiny przedarliśmy się wkrótce ku dolinie, na którą wychodziło się z naszego „zamku". Kierowaliśmy się do punktu położonego naprzeciwko wyjścia, gdzie znalazłem poprzednio ślady Indianina. Czerwonoskórzy leżeli zapewne ukryci na skraju lasu i blokowali stąd naszą wodną bramę. Jeśli chcieliśmy osiągnąć powodzenie, musieliśmy ich zajść z tyłu.

Wtem wydało mi się, że słyszę szmer, jak gdyby ktoś przeciskał się prędko przez zarośla. Cofnęliśmy się w ukrycie, czekając na ukazanie się tych, którzy szmer wywołali. Jak wielka była nasza radość, kiedy ujrzeliśmy Old Firehanda, Winnetou i dwóch innych strzelców wynurzających się z gąszczu! Uniknęli zatem pościgu! Chociaż Harry nie wyraził swej radości w zbyt głośnych słowach, ale zauważyłem ją w jego twarzy. Świadczyło to, iż ten chłopak zdolny jest do uczuć silnych i dobrych i to przekonanie pogodziło mnie z nim ostatecznie.

— Czy słyszeliście strzały? — spytał Old Firehand gorączkowo.

— Tak — odrzekłem.

— To chodźcie! Musimy pośpieszyć naszym na pomoc. Chociaż wejście jest tak ciasne, że jeden człowiek obroni je z łatwością, to przecież nie wiemy, co się tam stało.

— Nic się nie stało, sir, jeśli się nie mylę — rzeki Sam Hawkens. — Czerwonoskórzy odkryli nasze gniazdo i położyli się przed nim, aby się zorientować, co wymyślimy. Bili Bulcher, który stoi na warcie, posłał im pewnie trochę ołowiu.

— Być może, ale mimo to musimy tam pójść, aby się upewnić. Należy także wziąć to pod uwagę, że nasi prześladowcy zjawią się tutaj niebawem, a wtedy będziemy mieli do czynienia z podwójną liczbą Indian.

— Ale co się stanie z naszymi ludźmi, którzy się rozproszyli po walce? — wtrąciłem.

— Hm, tak! Potrzebujemy teraz każdej ręki. Żadnej nam się wyrzekać nie wolno. W pojedynkę wejścia zdobyć nie można. Zobaczymy zatem, czy się jeszcze kto z naszych nie znajdzie.

— Moi biali bracia zostaną tutaj, a Winnetou pójdzie zobaczyć, na którym drzewie wiszą skalpy Ponków — odezwał się wódz Apaczów.

Zanim zdołaliśmy odpowiedzieć na tę propozycję, Winnetou odszedł, a my siłą rzeczy musieliśmy zgodzić się na to. Usiedliśmy więc, by zaczekać na jego powrót. Podczas tego udało nam się rzeczywiście ściągnąć jeszcze dwóch z rozproszonych myśliwców, którzy usłyszawszy wystrzały, pospieszyli także na pomoc „warowni". Dzięki temu, że wszyscy obraliśmy najkrótszą drogę przez las, zeszliśmy się szczęśliwie, a chociaż nie było między nami nikogo, kto nie byłby ranny, wierzyliśmy, że wydostaniemy się szczęśliwie z tej niebezpiecznej sytuacji. Było nas przecież dziesięciu, liczba, która przy solidarnym wysiłku mogła czegoś dokazać.

Minęło sporo czasu, zanim Winnetou powrócił. Gdy nadszedł, ujrzeliśmy za jego pasem świeży skalp. „Zdmuchnął" więc po cichu Indianina, wobec czego nie mogliśmy tu już dłużej pozostać; Ponkowie musieli niewątpliwie zauważyć śmierć jednego ze swoich i dowiedzieli się już, że znajdujemy się za nimi.

Za radą Old Firehanda mieliśmy utworzyć tyralierę równoległą do pasma zarośli, wpaść na tyły nieprzyjaciela i wyrzucić go z jego kryjówki. W tym celu rozdzieliliśmy się, a doprowadziwszy do porządku przemokłe w kąpieli strzelby ruszyliśmy naprzód. W kilka minut później huknęło dziewięć rusznic jedna za drugą, a głośne wycie przestraszonych zasadzką Indian wypełniło powietrze.

Ponieważ linia nasza rozciągała się dość szeroko, a strzały padały co chwila na nowo, Czerwonoskórzy sądzili, że jest nas znacznie więcej, niż było w istocie, i rzucili się do ucieczki. Omijając otwartą dolinę, gdzieby przedstawiali pewny cel dla naszych strzelb, przebili się pomiędzy nami, zostawiając na miejscu poległych.

Jak się okazało, pełniący straż Bili Bulcher zawczasu zauważył, że zbliżają się Czerwonoskórzy, i cofnął się w porę do „warowni". Ponkowie puścili się za nim, ale wrócili po kilku strzałach Bulchera i Stone'a, który zaraz nadbiegł i zajął stanowisko w ciasnym wejściu skalnym. Potem Indianie usadowili się w zaroślach, z których ich teraz wypędziliśmy.

Obaj myśliwcy siedzieli wciąż jeszcze w bramie wodnej, gdyż nie wolno im było narażać się na niebezpieczeństwo przed naszym powrotem. Gdyśmy się zjawili, przybiegli do nas razem z resztą pozostałych w „zamku" i wysłuchali sprawozdania o naszych przygodach.

W tej chwili zadudniło z boku, jak gdyby nadbiegała trzoda dzikich bawołów. Natychmiast wskoczyliśmy w zarośla i przygotowaliśmy się do strzału. Jakież było jednak nasze zdziwienie, kiedy ujrzeliśmy gromadę koni, a na jednym z nich człowieka w myśliwskim ubraniu, którego rysów nie poznaliśmy w pierwszej chwili z powodu krwi ściekającej mu z rany na głowie. Miał także kilka ran na ciele i widać było po nim, że nie znajduje się w położeniu godnym zazdrości.

Zatrzymał się w tym właśnie miejscu, gdzie stała zazwyczaj warta, i jak gdyby się za nią rozejrzał. Nie zauważywszy jej, potrząsnął głową, ruszył dalej i zeskoczył z konia przed bramą wodną. Wtem tuż obok mnie dał się słyszeć głos Sama;

— Niech mnie obedrą ze skóry i wypatroszą jak bobra, jeżeli to nie Will Parker. Nikt inny tak ładnie nie spada z konia jak ten człowiek, jeśli się nie mylę.

— Masz słuszność, stary szopie! To Will Parker, greenhorn... pamiętasz jeszcze, Samie Hawkens? Will Parker greenhorn, cha! cha! cha!

A kiedy i my wyszliśmy z zarośli, zawołał:

— Błogosławione moje oczy. Oto są wszyscy szybkobiegacze, którzy razem z jedynym synem mojej matki tak walecznie uciekali przed czerwonoskórymi! No, sir, nie bierzcie mi tego za złe, ale czasem bardziej warto umieć biegać niż czynić cokolwiek innego.

— Wiem o tym, Willu, ale powiedz, co znaczą te konie? — spytał Old Firehand.

— Hm! Pomyślałem sobie, że czerwono skorzy wszędzie będą szukali starego Parkera, tylko nie we własnym obozie. Toteż udałem się najpierw do owej doliny, ale tam już nic nie znalazłem. Wobec tego groenhorn — słyszysz, Samie Hawkens — cha! cha! cha! poszedł do kryjówki, gdzie ukryte były konie. Ptaszki wyleciały i zostawiły przy koniach tylko dwóch strażników. Była to ciężka robota, powiadam wam, przysporzyła mi kilka dziur w skórze, ale Will Parker sądził, że sprawi uciechę czerwonoskórym, jeśli pomoże im pozbyć się koui. Liche szkapy wygnałem na prerię, a dobre wierzchowce przyprowadziłem. Oto one.

— Hm, dobrześ zrobił! — zawołał Dick Stone pełen podziwu dla bohaterstwa przyjaciela.

— Pewnie że dobrze — odrzekł Will Parker. — Skorośmy zabrali łucznikom konie, to będą chyba w końcu musieli zginąć nędznie. Ale tu leży trzech z nich! Aha, więc byli i tutaj i dlatego w kryjówce było tak pusto! Przypatrzcie się temu gniademu, sir! Koń jak malowanie, pewno należał do wodza!

— Którego tak pięknie wyprowadziliśmy na spacer — zżymał się mały Sam. — Popełniliśmy głupstwo nie do darowania, jak sądzę!

Old Firehand nie słyszał tego zarzutu, bo podszedł właśnie do gniadosza i przypatrywał mu się wzrokiem pełnym zachwytu.

— Kapitalny koń — zwrócił się do mnie. — Gdyby mi dano do wyboru jego albo Swallowa, to nie wiem, czybym wziął Swallowa, czy tego.

— Winnetou rozmawia z duszą konia i słyszy tętno jego krwi i wybrałby Swallowa — rozstrzygnął Apacz.

Wtem rozległ gię ostry świst i w ramię Sama Hawkensa uderzyła strzała, która zsunęła się po sztywnej jak deska bluzie, a w tej samej chwili zabrzmiało ogłuszające „ho-ho-hi". Pomimo tej wojowniczej demonstracji nikt z czerwonoskórych się nie pokazał, a Sam rzekł podnosząc strzałę i przypatrując się jej:

— Hi! hi! hi! Bluzę Sama Hawkensa miałby przebić taki pręcik! Przez trzydzieści lat kładłem tatę na łacie i siedzę w tym jak święty Jakub na łonie Abrahama, jeśli się nie mylę.

Nie słyszałem już dalszego ciągu ody do bluzy myśliwskiej, gdyż skoczyliśmy natychmiast w zarośla, aby odpowiedzieć stamtąd na to nieprzyjazne pozdrowienie. Gdybyśmy chcieli cofnąć się od razu do twierdzy, trwałoby to z powodu ciasnoty przejścia tak długo, że nie osłonięci niczym, zostalibyśmy tymczasem wystrzelani. Koni także nie moglibyśmy wziąć ze sobą, gdyż przeprowadzenie ich przez wąskie skalne zakręty zbyt długo by nas zatrzymało w przejściu. Z tego zaś, że nieprzyjaciele od razu nie uderzyli, można było wnosić, że nie zgromadzili się jeszcze w dostatecznej liczbie i nie odszukali zabranej im przeze mnie i przez Sama broni albo przynajmniej nie naprawili jej jeszcze.

Cały zgiełk był tylko zapowiedzią wojennej odwagi Indian, gdyż chociaż wdarliśmy się daleko w zarośla, nie zobaczyliśmy żadnego. Cofnęli się widocznie czym prędzej, by zaczekać na posiłki, a nas ten, nieszkodliwy na szczęście, wypadek pouczył, że nie powinniśmy pozostawać dłużej w tym miejscu, toteż przedostaliśmy się do bezpiecznej kotliny.

Jeden z myśliwych, który nie brał udziału w wyprawie, a więc nie był zmęczony, poszedł na wartę, inni zaś opatrzyli swoje rany i zabrali się do jedzenia albo wypoczywali.

Przy ognisku, które tworzyło miejsce zebrania dla wszystkich, którzy pragnęli się wygadać, panowało wielkie ożywienie. Każdy czuł potrzebę opowiedzenia tego, czego dokonał, i wygłoszenia swojego zdania. Wszyscy twierdzili, że nie ma już powodu obawiać się czerwonoskórych. Liczba zdobytych skalpów była znaczna, przygoda przebyta zwycięsko, a żadna z ran nie okazała się groźna, W dodatku zdawało się, że miejsce pobytu jest zupełnie bezpieczne. Mieliśmy dostateczne zapasy żywności i amunicji, wobec tego nieprzyjaciel mógł oblegać wejście, jak długo by mu się podobało, albo walić łbem o sterczące dokoła skały.

Old Firehand podzielał także to zdanie, tylko Winnetou zapatrywał się na sprawę inaczej. Leżał opodal przy swoim koniu, pogrążony w głębokim i poważnym zamyśleniu.

— Oko mego czerwonego przyjaciela patrzy ponuro, a czoło jego pokryte jest zmarszczkami troski. Jakie myśli nurtują w jego sercu? — zapytałem go.

— Wódz Apaczów widzi śmierć wdzierającą się wejściem i zgubę schodzącą z gór. Dolina płomienieje od ognia, a woda czerwieni się od krwi zabitych. Winnetou mówi z Wielkim Duchem. Oko białych oślepło od nienawiści, a ich rozum ustąpił miejsca uczuciom zemsty. Paranoh przyjdzie i zabierze skalpy myśliwców, ale Winnetou stoi gotów do walki i zanuci pieśń śmierci nad trupami nieprzyjaciół.

— Jak może Ponka wedrzeć się do „warowni”? Nie dostanie się przez bramę.

— Mój brat wygłasza słowa, w które sam pewnie nie wierzy. Czy jedna strzelba potrafi wstrzymać taką Iźczbę nieprzyjaciół, skoro przedrą się przez przesmyk?

Miał słuszność. Jeden człowiek mógł obronić przesmyk przed niewielką liczbą nieprzyjaciół, ale nie przed taką zgrają jak ta, którą mieliśmy naprzeciw siebie. Chociażby bowiem wdzierała się za każdym razem jedna tylko osoba, to przecież także tylko jedna mogła przeciwko niej występować. Jeśliby zaś naciśnięto szereg z tyłu, to poległoby kilku pierwszych, ale reszta niezawodnie przedostałaby się do „warowni”.

Przedstawiłem te wątpliwości Old Firehandowi,' on zaś odparł:

— Jeśli się ośmielą na atak, to z łatwością zdołamy ich powstrzymać, gdy będą przechodzili przez parów.

Tu też była pewna racja, musiałem więc zadowolić się tym, chociaż wiedziałem, że byle drobnostka mogła obalić wszystkie rachuby.

Gdy zapadł wieczór, zdwojono oczywiście czujność. . Chociaż ja na własne życzenie miałem stanąć na straży dopiero o świcie, kiedy Indianie najchętniej podejmują ataki, nie mogłem się uspokoić i na wszelki wypadek byłem przez cały czas w pogotowiu.

Cicho i spokojnie zaległa noc nad doliną. Na przedzie płonęło ognisko, rzucając dokoła krąg światła. Swallow, który mógł się tutaj swobodnie poruszać, pasł się w najdalszym zakątku

kotliny. Podszedłem ku niemu aż pod stromo wznoszące się skały. Popieściwszy się z nim jak zwykle, chciałem się już oddalić, kiedy zwrócił moją uwagę przyciszony łoskot.

Koń podniósł także głowę w górę. Ponieważ najlżejszy oddech mógł zdradzać naszą obecność, przeto pochwyciłem go za rzemień i nakryłem mu dłonią rozdęte już pod wpływem podejrzenia nozdrza. Tu na dole byliśmy niewidoczni, ja jednak mogłem z dołu rozpoznać na tle nieba każdy przedmiot i z natężeniem szukałem przyczyny, która spowodowała upadek kamienia.

W pierwszej chwili nie zauważyłem nic nadzwyczajnego. Prawdopodobnie także i na górze usłyszano szmer wywołany upadkiem kamienia i czekano przez chwilę, by się przekonać, czy nie zwróciło to niczyjej uwagi.

Przypuszczenie to było słuszne, gdyż już po chwili spokoju ujrzałem kilka postaci odrywających się od krawędzi skały i schodzących na dół, a potem długi szereg Indian. Jeden po drugim wychodzili na grzebień wyżyny, a potem ostrożnym krokiem spuszczali się za tym, który szedł pierwszy i był widocznie nadzwyczaj dobrze obeznany z miejscowością. Przewodnik potrzebował już tylko dwóch minut, aby się dostać na dno kotliny.

Gdybym wziął z sobą sztucer, z łatwością sprzątnąłbym go wystrzałem, a tym samym dałbym sygnał na alarm. Ten pierwszy Indianin prowadził pochód sam, reszta Ponków nie odważyłaby się zrobić bez niego kroku dalej w niebezpiecznym dla siebie terenie. Niestety miałem tylko rewolwery, które nie nadawały się' do strzału na większą odległość.

Gdybym zaalarmował obóz wystrzałem z rewolweru, to i tak zanim pomoc by nadeszła, nieprzyjaciele byliby już na dole, a ja znalazłbym się w bardzo niebezpiecznym położeniu. Gdybym nawet chciał się cofnąć, musiałbym opuścić miejsce osłonięte krzakami i wystawić się na kule czerwonoskórych. Z tego powodu wybrałem inną taktykę.

Paranoh ─ gdyż on niewątpliwie prowadził ─ który nie po raz pierwszy szedł widocznie tą drogą, znajdował się właśnie w pobliżu skalnego występu, który musiał okrążyć. „Gdybym się tam dostał przed nim ─ pomyślałem sobie ─ wpadłby prosto na kulę". W tym celu postanowiłem wydostać się wyżej. Ukryty za głaem mogłem stawić czoło im wszystkim i zabijać, w miarę jakby nachodzili, jednego po drugim.

Zaledwie zrobiłem krok naprzód, padł strzał od strony bramy wodnej, a po nim nastąpiło kilka innych. Pojąłem natychmiast sprytny fortel Indian, którzy przypuścili pozorny atak do bramy, aby odwrócić naszą uwagę od właściwego niebezpieczeństwa. Ze zdwojonym pośpiechem piąłem się więc w górę i byłem już tak blisko głazu, że niewiele brakowało, żebym go dosięgną! ręką, kiedy nagle rozluźniony gruz skalny obsunął się pode mną i runąłem głową w dół, tocząc się z kamienia na kamień i od skały do skały. Na dole utraciłem na kilka chwil przytomność.

Kiedy znów zebrałem myśli i otworzyłem oczy, zobaczyłem pierwszych Indian już tylko o kilka kroków od siebie. Na ten widok zerwałem się pomimo strasznych stłuczeń, wypaliłem kilkakrotnie do ciemnych postaci, wskoczyłem na Swallowa i pocwałowałem do ogniska, nie chcąc dzielnego konia narazić na niebezpieczeństwo.

Ponkowie zauważywszy, że ich spostrzeżono, wydali okrzyk wojenny i puścili się za mną.

Zeskoczywszy z konia w obozie, nie zastałem w nim niestety nikogo. Wszyscy zgromadzili się koło wejścia i ruszali właśnie w stronę moich wystrzałów. Przyjęli mnie gorączkowymi pytaniami.

─ Indianie idą! ─ zawołałem. ─ Prędzej do grot!

Był to jedyny środek ocalenia się od zguby, która nam groziła niechybnie wskutek przewagi Indian. W grotach byliśmy bezpieczni i mogliśmy się stamtąd nie tylko opierać Ponkom, lecz wystrzelać ich do ostatniego. Toteż ruszyłem pospiesznie do swego skalnego apartamentu, ale ─ już było za późno.

Czerwono skorzy ruszyli za mną natychmiast i wbrew zwyczajowo, nie czekając, aż się wszyscy zgromadzą, uderzyli na myśliwych, dla których nagłe pojawienie się Indian było

taką niespodzianką, że zaczęli odpierać ciosy nieprzyjaciół dopiero wówczas, kiedy ci wywijali już bronią nad ich głowami.

Byłbym jeszcze może dostał się do mojej kryjówki, gdybym nie ujrzał Harry'ego, Old Firehanda i Winnetou, otoczonych przez Ponków. Musiałem oczywiście rzucić się im na pomoc.

— Precz, precz, pod skałę! — zawołałem wpadając gwałtownie w kłąb walczących. Napastnicy stracili na chwilę pewność siebie i zrobili nam przejście do pionowo wznoszącej się skały, gdzie mieliśmy zabezpieczone plecy,

— Czy tak musi być, jeśli się nie mylę? — zawołał ku nam jakiś głos ze skalnej szczeliny szerokiej na tyle, że mógł się w nią wcisnąć jeden człowiek, — Wobec tego zdradzono starego trapera, Sama Hawkensa!

Chytry człowieczek był jedynym, który zachował przytomność umysłu, i tych kilka sekund wyzyskał na to, by ukryć się w szparze skalnej. Niestety jego usiłowania spełzły na niczym, gdyż to właśnie miejsce, w którym się ukrył, i my obraliśmy sobie za cel. Mimo to bez wahania wyciągnął rękę po Harry'ego i pochwycił go za ramię.

— Niech mały sir wejdzie do tej nory, jest tu jeszcze miejsce dla niego, jak sądzę.

Czerwonoskórzy oczywiście ruszyli za nami i runęli na nas z dziką zajadłością. Na szczęście myśliwi mieli przy sobie wszelką broń, gdyż przygotowali się do odparcia owego pozornego ataku u bramy. Co prawda w walce na bliską odległość strzelby stały się zupełnie bezużyteczne, ale tym skuteczniej szalał topór wojenny.

Tylko Hawkens i Harry robili użytek z broni palnej. Pierwszy nabijał, a drugi strzelał tak, że ogień wybuchał ze szczeliny dzielącej mnie od Old Firehanda.

Była to walka dzika, przerażająca, jakiej wyobraźnia nie zdoła sobie odmalować. Ognisko rzucało migotliwe, ciemno płonące blaski na przód doliny, gdzie rysowały się grupy walczących niczym rozszarpujące się demony. Poprzez wycie Indian dolatywały nas bojowe okrzyki traperów i krótkie, ostre trzaski strzałów rewolwerowych. Zdawało się, że ziemia drży pod tupotem nóg zmagającego się z sobą tłumu.

Nie było już żadnej wątpliwości, że jesteśmy zgubieni. Ilość Ponków była zbyt znaczna, abyśmy się mogli jej oprzeć. Żadnej zmiany na naszą korzyść nie należało się także spodziewać, o przebiciu się nie było mowy, toteż każdy zrozumiał, że wkrótce przestanie się zaliczać do żyjących. Ale nie chcieliśmy ginąć za darmo. Chociaż więc poddaliśmy się nieuniknionemu losowi, broniliśmy się ze wszystkich sił i z tą zimną krwią, która daje białemu tak wielką przewagę nad czerwonym mieszkańcem stepów amerykańskich.

Wśród tych krwawych zapasów przypomniałem sobie rodziców, których zostawiłem w ojczyźnie, którzy nie mieli już otrzymać żadnej wiadomości o synu. Przyszło mi na myśl... lecz nie, odrzuciłem wszystkie myśli, gdyż chwila obecna wymagała największego wysiłku fizycznego i przytomności umysłu.

Nie mogłem odżałować, że nie miałem przy sobie sztucera! Pozostał on w kryjówce, do której nie mogliśmy się teraz dostać. Cóż, przewidziałem to nieszczęście, radziłem, ostrzegałem, a teraz musiałem pokutować za błędy innych. Porwała mnie nie odczuwana jeszcze nigdy dotąd złość i gorycz, która zdwoiła moje siły. Z taką zręcznością wywijałem tomahawkiem, że ze szczeliny rozległy się słowa uznania:

— Dobrze tak, sir, dobrze! Sam Hawkens i Old Shatterhand bardzo do siebie pasują, jak sądzę. Szkoda, że nas „zdmuchną". W przeciwnym razie bylibyśmy razem zdobyli jeszcze niejedną skórę, jeśli się nie mylę.

Walczyliśmy dotąd w milczeniu, nie wydając głosu. W tej straszliwej ciszy słowa małego łowcy zabrzmiały bardzo wyraźnie. Usłyszał je i Will Parker, bo pomimo odniesionych wczoraj ran, zawołał wodząc dokoła siebie odwróconą strzelbą:

— Samie Hawkens, popatrz no tu, jeśli chcesz widzieć, co trzeba robić! Dalej z dziury! Powiedz, czy greenhom, cha! cha! cha! Will Parker greenhorn — słyszysz, Hawkens — patrz, czy greenhorn się czegoś nauczył!

Zaledwie o dwa kroki od mej prawej ręki stał Old Firehand. Sposób, w jaki oburącz rozprawiał się z cisnącymi się doń przeciwnikami, budził we mnie najwyższy podziw. Stary traper cały zbryzgany krwią opierał się o ścianę skalną. Długie, siwe włosy zwisały mu z głowy w Rozlepianych kosmykach, rozstawione nogi wparły się w ziemię, jakby w nią wrosły, w prawej pięści trzymał ciężki topór, a w lewej zakrzywiony nóż i potężnie odbijał ciosy nacierających nań nieprzyjaciół. Był jeszcze bardziej ode mnie pokryty ranami, ale żadna nie zwaliła go z nóg, toteż jego bohaterska postać przyciągała wprost oczy.

Wtem w kłębowisku czerwonoskórych powstał ruch i ukazał się Paranoh, torując sobie drogę przez zwartą masę walczących. Zaledwie dostrzegł Old Firehanda, zawołał:

— Nareszcie mam cię! Pomyśl o Ribannie i giń! Chciał mnie minąć i rzucić się na Old Firehanda, lecz ja porwałem go za ramię i zamachnąłem się do śmiertelnego ciosu. Poznawszy mnie, odskoczył i mój tomahawk przeciął powietrze.

— Ty także? — ryknął, — Ciebie muszę dostać żywego w ręce!

Przebiegł obok mnie, podniósł pistolet i wypalił, zanim zdołałem powtórzyć cios toporem. Old Firehand rozkrzyżował ręce w powietrzu, rzucił się potężnym kurczowym skokiem w sam środek nieprzyjaciół i runął, nie wydawszy z siebie głosu.

Wydało mi się, jak gdyby to mnie kula przeszyła piersi, tak wstrząsnął mną upadek bohatera. Powaliłem Indianina, z którym walczyłem, i miałem już uderzyć Paranoha, kiedy ujrzałem, jak ciemna jakaś postać, przeciskając się wężowym ruchem między nieprzyjaciółmi, wyprostowała tuż przed mordercą swoje gibkie ciało i rzekła:

— Gdzie jest płaz Atabasków? Tu stoi wódz Apaczów, Winnetou, by pomścić śmierć swego białego brata!

— Ha, ten pies Pimo! Idź do piekła!

Więcej już nie słyszałem, gdyż to, co się przede mną działo, tak dalece zajęło moją uwagę, że zapomniałem o własnej obronie. I oto nagle okręciła mi się o szyję pętlica, nastąpiło szarpnięcie, a równocześnie uczułem druzgoczące uderzenie w głowę i straciłem przytomność. Gdy przyszedłem do siebie, dokoła było zupełnie ciemno i cicho. Na próżno zastanawiałem się, jakim sposobem znalazłem się w tej ciemności. Palący ból głowy przypomniał mi wreszcie, że mnie uderzono, a z kolei szczegóły minionej walki zaczęły się układać w dokładny obraz. Dolegał mi nie tylko ból głowy, niemniej cierpiałem z powodu ran i ucisku więzów, które z wyrafinowaną siłą nałożono mi na ręce i nogi, tak że wpiły mi się głęboko w ciało, czyniąc mnie niezdolnym do żadnego ruchu.

Wtem usłyszałem obok siebie szmer, jak gdyby ktoś chrząkał.

— Czy tu jest ktoś jeszcze?

— Hm, pewnie! Ten człowiek tak się pyta, jak gdyby Sam Hawkens był nikim, jeśli się nie mylę.

— To wy, Samie? Powiedzcież na miłość Boską, gdzie my jesteśmy!

— W mniej więcej bezpiecznym miejscu. Wsadzili nas do jaskini na nasze skóry, które tak ładnie zakopaliśmy. Nie znajdą ani jednej, powiadam, że ani jednej!

— A co z tamtymi?

— Ujdzie, sir. Old Firehanda „zdmuchnęli", Dicka Stone'a „zdmuchnęli", Willa Parkera „zdmuchnęli" — to był przecież greenhorn, hi! hi! hi! greenhorn, powiadam, ale nie chciał w to wierzyć, jeśli się nie mylę — Bili Bulcher „zdmuchnięty", Harry Korner „zdmuchnięty", wszyscy, wszyscy „zdmuchnięci", tylko wy się jeszcze palicie, Apacz i mały sir troszkę żyje, jeśli się nie mylę, a stary Sam... może jego także całkiem nie zgasili, ha! hi! hi!

— Czy wiecie na pewno, że Harry żyje? — zapytałem skwapliwie.

— Czy sądzicie, że taki stary łowca skalpów nie pamięta tego, co widział? Wsadzili go tu obok nas do drugiej dziury, a z nim razem waszego czerwonego przyjaciela. Chciałem się także tam dostać, lecz nie udzielono mi audiencji, jeśli się nie mylę.

— A co z Winnetou?

— Dziura przy dziurze, sir! Jeśli się stamtąd wydostanie, będzie wyglądał jak ta stara bluza, w którą się owija Sam Hawkens. Łata na łacie i cera na cerze.

— O wydostaniu się chyba nie ma mowy. Ale jak wzięli go żywcem?

— Zupełnie tak jak was i mnie. Bronił się jak diabeł... hm, to także nie pierwszy lepszy wojownik, jeśli się nie mylę. Wolał zginąć niż dać się przypiekać na

palu, ale nic nie pomogło; powalono go i omal nie rozdarto na dwoje. Więc wy nie bardzo chcecie się stąd wydobyć? Sam Hawkens zaś ma wielką na to ochotę, jak mi się zdaje.

— Co znaczy ochota, skoro to niemożliwe.

— Niemożliwe? Hm, to brzmi całkiem tak jak u Willa Parkera! Czerwonoskórzy to poczciwi ludzie, bardzo poczciwi, zabrali wszystko staremu szopowi, wszystko:

pistolet, fajkę hi, hi, hi! Zdumieją się, gdy powąchają:

pachnie całkiem jak śmierdziel. Będzie się im wówczas najbardziej podobało. Liddy także poszła do diabła... biedna Liddy. Który szakal weźmie ją teraz! Kapelusz i peruka... zdziwi ich ten skalp, hi, hi, tu! Kosztował mnie trzy grube wiązki skórek bobrowych, jak wiecie. Ale nóż zostawili Samowi Hawkensowi; jest w rękawie. Wetknął go tam ten stary niedźwiedź, skoro tylko zmiarkował, że się skończyła kwatera w szczelinie.

— Macie nóż? Nie wydobędziecie go chyba.

— Ja także tak sądzę. Musicie cokolwiek pomóc synowi mojej matki!

— Już się robi. Zobaczymy, co się da zdziałać w tej sprawie.

Nie zacząłem się jeszcze toczyć ku niemu, gdyż tylko tym ruchem mogłem się do niego zbliżyć, kiedy drzwi się otworzyły i wszedł Paranoh z kilku Indianami. Trzymał w ręku żagiew tak, by światło jej padało na nas. Nie starałem się udawać nieprzytomnego, ale nie spojrzałem nań wcale.

— A więc mamy cię nareszcie! — zgrzytnął do mnie. — Byłem ci winien drobnostkę, ale teraz nie będziesz się uskarżał. Czy znasz to?

Przysunął mi przed oczy skalp ten sam, który mu zabrał Winnetou. Wiedział zatem, że to ja pchnąłem go nożem. Apacz nie wyjawił mu tego, to było pewne, nie wątpiłem, że na każde zapytanie odpowiedział dumnym milczeniem, ale Finnetey mógł mnie owego wieczora zauważyć przy świetle ogniska albo rzucić na mnie okiem podczas zderzenia ze mną. Gdy mu nie odpowiedziałem, mówił dalej:

— Doznacie wszyscy tego uczucia, które ogarnia człowieka, kiedy mu ściągają skórę przez uszy. Zaczekajcie tylko trochę, dopóki nie nadejdzie dzień. Uradujecie się moją wdzięcznością!

— Nie będziecie mieli wielkiej przyjemności — rzekł Hawkens nie mogąc wytrzymać, żeby mu coś nie powiedzieć. — Ciekawym, jaką skórę ściągniecie Hawkensowi przez uszy. Wszak moja jest już w waszych rękach. Sfabrykował ją fryzjer. Jak wam się podobała robota, stary yambariko[27]?

— Wymyślaj sobie na zdrowie! Znajdziemy jeszcze na tobie dość skóry do obdarcia — rzekł Paranoh i dodał po zbadaniu naszych więzów: — Nie przypuszczaliście pewnie, że Tim Finnetey zna waszą pułapkę. Ja byłem w tej dolinie, zanim jeszcze ten pies, Firehand, oby dusza jego była potępiona, słyszał coś o niej, i wiedziałem także, żeście się tu wybrali.

Dobył noża i potrzymał drewniany trzonek przed oczyma Sama. Rzuciwszy oknem na wycięte tam litery, Hawkens zawołał:

— Fred Owins? Zawsze był łotrem! Życzę mu, żeby sam tego noża skosztował.

— Nie ma obawy, człowieku! On myślał, że się wykupi tajemnicą, ale to nic nie pomogło, zabraliśmy mu życie i skórę z głowy zupełnie tak, jak się to stanie z wami. Tylko u was będzie odwrotnie: najpierw skóra, a potem życie.

[27] Yambrico – pogardliwa nazwa Indian.

— Róbcie, oo chcecie! Testament Sama Hawkensa gotowy. Zapisałem wam to, co nazywacie peruką, jeśli się nie mylę. Może wam się to przyda, hi! hi! hi!

Paranoh kopnął go i wyszedł otoczony swoimi towarzyszami.

Przez pewien czas nie wyrzekliśmy ani słowa i nie poruszaliśmy ale wcale. Dopiero gdy poczuliśmy się bezpieczni, zaczęliśmy się przewracać z boku na bok, dopóki nie zbliżyliśmy się całkiem do siebie. Jakkolwiek ręce moje były mocno z sobą związane, udało mi się wyciągnąć nóż z rękawa Sama i przeciąć nim więzy na jego rękach, W kilka chwil potem staliśmy przed sobą prosto, nie skrępowani, i rozcieraliśmy sobie ścierpnięte od więzów członki.

— To słuszne, Samie Hawkens; nie jesteś widocznie tak zupełnie do niczego! — chwalił sam siebie chytry westman. — Siedziałeś już w niejednej matni, ale tak źle jeszcze nigdy nie było jak dzisiaj. Ciekawym, jak uszy powyciągasz z tej czapki, jeśli się nie mylę.

— Zobaczymy przede wszystkim, co tam słychać na dworze, Samie!

— Ja też tak sądzę, sir, że to najpotrzebniejsze.

— A potem poszukamy broni. Wy macie nóż, ale ja jestem goły.

— Coś się już znajdzie!

Podeszliśmy do drzwi i rozsunęliśmy skóry służące za portierę.

Kilku Indian wywlekało właśnie z sąsiedniej jaskini obu jeńców, a z obozu nadszedł Paranoh. Zrobiło się już dość jasno, dzięki czemu mogliśmy objąć wzrokiem całą dolinę. Niedaleko od bramy wodnej Swallow wdał się w awanturę z gniadym, zdobytym przez biednego Parkera, a widok tego zwierzęcia, tak serdecznie przeze mnie ukochanego, kazał mi się wyrzec ucieczki pieszo, chociaż w mym położeniu byłoby to najwłaściwsze wyjście z sytuacji. Nie opodal pasł się grubokościsty, a wytrwały człapak Winnetou, po którym trudno było poznać, ile był wart. Gdybyśmy zdołali zaopatrzyć się w broń i dotrzeć do naszych koni — ucieczka mogła się udać.

— Czy widzicie coś, sir? — zachichotał Sam.

— Co?

— Hm, tego starego, o tam, tarzającego się wygodnie w trawie.

— Widzę.

— I to, co tam się opiera o kamień?

— Również.

— Hi! hi! hi! Los stawia staremu szopowi pukawkę na drodze, i to tak wygodnie! Jeśli rzeczywiście nazywam się Sam Hawkens, to musi to być Liddy, jak sądzę, a ten człowiek ma pewnie także worek z kulami!

Nie zważałem zbytnio na radość starego, gdyż całą moją uwagę zajął Paranoh. Niestety nie zrozumiałem, co mówił do jeńców — a upłynęło sporo czasu, zanim od nich odszedł — ale usłyszałem jego ostatnie słowa, wymówione donośnie. One wyjaśniły mi całkowicie treść jego przemówienia.

— Przygotuj się, Pimo! Pal właśnie w ziemię wbijają, a ty — dodał, zwracając na Harry'ego wzrok pełen nienawiści — przypieczesz się obok niego!

Dał znak swoim ludziom, żeby zabrali pojmanych na plac, gdzie Indianie obsiedli znowu jasno płonące ognisko, a sam się oddalił.

Teraz wszystko zależało od szybkiego działania, gdyż gdyby ich zawleczono w środek zgromadzenia, nie byłoby nadziei wydobycia ich stamtąd.

— Samie, czy można wam zaufać? — spytałem.

— Hm, nie wiem, skoro wy nie wiecie. Musicie spróbować, jak mi się zdaje.

— Wy weźmiecie prawego, a ja lewego, a potem czym prędzej przeciąć rzemienie.

— A potem do Liddy, sir!

— Czyście gotowi?

Skinął głową z wyrazem, z którego przebijała radość jak z powodu zamierzonego figla.

— A zatem do dzieła!

W cichych, lecz szybkich skokach pobiegliśmy za Indianami wlokącymi jeńców, a chociaż z powodu dużego ciężaru musieli być do nas częściowo zwróceni, udało nam się dostać do nich niepostrzeżenie.

Sam powalił jednego tak dobrze wymierzonym pchnięciem, że ten padł nie wydawszy głosu, ja natomiast, będąc całkiem bezbronnym, wyrwałem najpierw drugiemu nóż zza pasa, a potem wbiłem go z taką siłą, że Indianin charcząc osunął się na ziemię.

Po kilku szybkich cięciach jeńcy byli wolna, zanim jeszcze, wobec szybkiego przebiegu zdarzenia, ktokolwiek z siedzących przy ognisku zdołał coś zauważyć.

— Naprzód! Weźcie sobie broń! — zawołałem widząc, że bez niej nie można myśleć o skutecznej ucieczce. Zerwałem z zabitego przez siebie Indianina worek z prochem i kulami i popędziłem za Winnetou, który, zrozumiawszy położenie, nie pobiegł do bramy, lecz pomiędzy siedzących przy ognisku.

Jak w każdej chwili, w której idzie o śmierć i życie, człowiek staje się inny niż zwykle, tak też i teraz myśl o tym, cośmy przedsięwzięli, dała nam konieczną chyżość. Zanim napadnięci zdołali się zorientować, co się stało, przebiliśmy się przez nich z wydartą im bronią w ręku.

— Swallow, Swallow! — zawołałem na konia. Gdy nań wsiadałem, ujrzałem Winnetou wskakującego na swego człapaka, a Hawkensa dosiadającego pierwszego z brzegu konia indiańskiego.

— Do mnie, na mdłość Boga, prędzej! — zawołałem na Henrry'ego, który daremnie usiłował dosiąść gniadosza Finnetey'a wściekle walącego kopytami. Pochwyciłem go za ramię, porwałem do siebie i zwróciłem się ku wyjściu, w którym zniknął właśnie Sam.

Była to chwila najwyższego podniecenia. Powietrze napełniało wściekłe wycie, huczały już strzelby, świstały strzały, a wśród tych wszystkich odgłosów brzmiał tętent i parskanie koni, na które wskoczyli dzicy, aby nas ścigać.

Byłem ostatni z nas trzech i nie potrafię doprawdy powiedzieć, jak wydostałem się przez wąski i kręty przesmyk na wolną przestrzeń oraz dlaczego nieprzyjaciel mnie nie doścignął. Hawkensa nie było już widać, a Winnetou skręcił w prawo, w dolinę, którą przed paru dniami przybyliśmy do ,,warowni". Widziałem, że się ogląda, czy podążam za nim.

Mieliśmy właśnie minąć zakręt, kiedy za nami padł strzał. Poczułem, że Harry drgnął. Kula go gdzieś dosięgła.

— Swallowie, mój Swallowie, prędzej! — zachęcałem konia w najwyższej trwodze, a on gnał tym samym szalonym pędem, jak wówczas po wybuchu w New Ve-nango.

Obejrzawszy się zobaczyłem Paranoha tuż za sobą. Reszta nieprzyjaciół nie wychyliła się jeszcze spoza zakrętu. Chociaż rzuciłem nań tyko przelotne spojrzenie, zauważyłem wściekłą zajadłość, z jaką starał się nas doścignąć. Zdwoiłem okrzyki zachęcające do biegu mego dzielnego Swallowa, od którego szybkości i wytrwałości zależało teraz wszystko. Jakkolwiek bowiem nie obawiałem się walki z tym dzikim człowiekiem, to przecież w każdym swobodnym ruchu przeszkadzałby mi chłopiec. Na razie mogłem się zdobyć tylko na to, żeby pędzić dalej naprzód.

Jak burza mknęliśmy wzdłuż rzeki. Kasztan Winnetou wyrzucał ziemię grubokościstymi nogami, aż iskry leciały, a rozluźnione osypisko tworzyło za nim po prostu deszcz kamieni. Swallow dotrzymywał mu kroku, mimo że dźwigał na sobie dwóch ludzi. Paranoh gonił niewątpliwie tuż za nami, gdyż tętent jego gniadosza słychać było ciągle w tej samej odległości!.

— Jesteście ranni? — zapytałem Harry'ego w pełnym biegu.

— Tak.

— Czy niebezpiecznie?

Ciepła jego krew sączyła się po mojej ręce, którą go obejmowałem. Zbyt go polubiłem, żeby mnie to nie napełniało obawą.

— Czy wytrzymacie tę jazdę?

— Mam nadzieję.

Podniecałem konia do coraz bardziej szalonego biegu. Nie darmo nazywał się Swallow. Leciał jak jaskółka i zdawało się, że kopytami zaledwie ziemi dotyka.

— Trzymajcie się tylko, Harry, jesteśmy już na pół ocaleni.

— Nie zależy mi na życiu. Pozwólcie mi spaść, jeżeli mój ciężar przeszkadza wam w ucieczce!

— Nie, nie, musicie żyć, macie prawo do tego!

— Teraz już nie, skoro ojciec zginął. Wolałbym umrzeć z nim razem!

Nastąpiła przerwa w rozmowie, podczas której biegliśmy, a raczej lecieliśmy dalej.

— Ja jestem winien jego śmierci! — oskarżał się teraz chłopiec, — Gdybym was posłuchał, zastrzelilibyśmy Paranoha w ,,warowni", a Indianie nie zabiliby ojca.

— Dajcie już pokój temu, co się stało! Mamy do czynienia z teraźniejszością!

— Nie, puśćcie mnie! Paranoh zostaje w tyle, możemy więc spokojniej zaczerpnąć powietrza!

— Spróbujmy!

Z silnym postanowieniem wytrzymania do końca oglądnąłem się za siebie.

Dawno już oddaliliśmy się od wody i skręciliśmy na wolną równinę, którą pędziliśmy równolegle ze skrajem leżącego po lewej stronie lasu. Paranoh został znacznie w tyle i Swallow dowiódł, że ma przewagę nad gniadym. Za białym wodzem pędzili pojedynczo lub grupkami Indianie, nie chcąc zaniechać pogoni, pomimo że przestrzeń między nimi a nami zwiększała się z każdą chwilą.

Odwróciwszy się zobaczyłem, że Winnetou zsiadł z konia, nabił zdobytą strzelbę i stanął za zwierzęciem.

Ja także osadziłem mojego ogiera. Pozwoliłem Harry'emu obsunąć się na ziemię, zsiadłem także i ułożyłem go w trawce. Na nabicie strzelby nie miałem już czasu, gdyż Paranoh był za blisko. Poderwałem się i chwyciłem tomahawk.

Ścigający zauważył nasze ruchy, dał się jednak unieść gorączce i runął na mnie, zamierzając się tomahawkiem do ciosu. Wtem huknął strzał Apacza. Wróg drgnął i spadł z konia z rozpłataną głową w chwili, gdy ja trafiłem go równocześnie moją bronią.

Winnetou przewrócił nogą martwe ciało i powiedział:

— Ten wąż Atabasków nigdy już nie zasyczy i nie nazwie wodza Apaczów imieniem Pimo. Niech mój brat odbierze mu swoją broń!

Rzeczywiście! Poległy miał przy sobie mój nóż, topór, rewolwery i sztucer. Zabrałem swoją własność i skoczyłem znowu ku Harry'emu, Winnetou zaś schwytał gniadego.

Tymczasem Indianie tak się do nas zbliżyli, że ich kule mogły nas już dosięgnąć. Wsiedliśmy więc na konie i popędziliśmy ze wznowioną szybkością.

Wtem z lewej strony jakby zamigotał jasny błysk broni. Silny oddział jeźdźców wypadł z lasu pomiędzy nas i ścigających, zwrócił się ku nim i popędził naprzeciw nim wyciągniętym cwałem.

Był to oddział dragonów z fortu Rondall. Gdy Winnetou zobaczył pomoc, zawrócił konia, minął jeźdźców jak strzała i wpadł z podniesionym tomahawkiem pomiędzy Ponków, którzy mieli zaledwie tyle czasu, żeby powstrzymać bieg koni. Ja natomiast zsiadłem, aby zbadać ranę Harry'ego.

Niebezpieczeństwa nie było. Odciąłem nożem pas z mojej koszuli, opatrzyłem ranę powierzchownie, aby przynajmniej zatamować krew.

— Czy potraficie wsiąść na konia, Harry? — spytałem.

Chłopak uśmiechnął się; przystąpił do gniadego, którego cugle rzucił mi Winnetou, kiedy przebiegał obok mnie, i jednym skokiem wydostał się, na siodło.

— Krew już nie płynie i rany nie czuję. Tam zmykają czerwonoskórzy. Prędzej za nimi, sir!

Tak rzeczywiście było. Pozbawieni wodza, który by ich zachęcił do oporu albo przynajmniej zorganizował odwrót, pędzili z powrotem tą samą drogą, mając ciągle za sobą dragonów. Wyglądało to tak, jak gdyby starali się uciec do naszej kotliny!

Teraz ruszyliśmy znowu pędem, mijając leżących na ziemi Indian, i doścignęliśmy dragonów w dość dużej jeszcze odległości od bramy wodnej.

Chodziło o to, żeby nie pozwolić dzikim usadowić się w skalnym przesmyku, lecz wedrzeć się tam wraz z nimi. W tym celu przynaglałem Swallowa do coraz szybszego pędu; wkrótce przebiegłem obok szeregu ścigających i znalazłem się obok Winnetou, który czynił straszne spustoszenie wśród uciekających, jadąc im ciągle na karku.

Ponkowie skręcili w lewo ku bramie, pierwszy z nich miał właśnie skierować konia w przesmyk, gdy wtem padł stamtąd strzał i jeździec osunął się na ziemię bez życia. Natychmiast huknął znowu strzał i drugi Indianin wyleciał ze strzemion, a przerażeni dzicy, widząc wejście zamknięte, a nas dokoła siebie, rzucili się w bok ku Mankicicie i popędzili wzdłuż biegu rzeki ścigani dalej przez dragonów.

Niemniejsze od przerażenia dzikich było moje zdumienie z powodu strzałów, które tak w porę przyszły w pomoc naszym zamiarom, a raczej uczyniły je zbytecznymi. Ale niedługo rozmyślałem nad tym, kto mógł być tym dzielnym strzelcem. Zaledwie bowiem przebrzmiał tętent odjeżdżających, spoza krawędzi skały, z lasu nastrzępionego zarostu wyjrzał olbrzymi nos, a za nim para małych, chytrych oczek. Ponieważ nie było widać nigdzie żadnej wrogiej istoty, przeto za węszącym na wszystkie strony narządem powonienia wysunęły się także dalsze części ciała.

— Niechaj będą błogosławione moje oczy, sir! Jakim cudem wy znaleźliście się tutaj znowu, jeśli się nie mylę? — zapytał mały człowieczek, tak samo zdumiony Kioim jak ja jego widokiem.

— Samie, to wy? Skąd wzięliście się tu w bramie? Widniałem na własne oczy, jak odjeżdżaliście!

— Odjeżdżałem? Dziękuję za taką jazdę, sir! Głupia bestia, na którą wsiadłem, najpierw nie chciała ruszyć z miejsca, a potem tak trzęsła swoimi starymi kośćmi, że moje byłyby się rozsypały, gdybym nie zsiadł i nie przepędził jej na sto wiatrów. Potem przyczołgałem się z powrotem, hi! hi! hi! Pomyślałem sobie, że wszyscy czerwonoskórzy niewątpliwie wyruszyli za wami i opróżnili „warownię", jak mi się zdawało. Tak też było istotnie. Pewnie się mocno zdziwili, powróciwszy tutaj. Najbardziej interesujące musiały być ich miny, hi, hi, hi! Ale skądżeście wzięli żOldaków, sir?

— Trzeba się dopiero dowiedzieć, jaki zamiar sprowadza ich właśnie w samą porę w te odległe strony. Uważam ich nagłe ukazanie się wprost za cud, nawet muszę przyznać, że właściwie to oni nas ocalili.

— Ja tego nie powiem. Old Shatterhand, Winnetou i Sam Hawkens to ludzie, którzy potrafią się sami ocalić. Ale dragoni nadeszli rzeczywiście w dobrej chwili, aby tym Ponkom dać nauczkę na długi czas. Czy sądzicie, że powinniśmy pojechać za nimi?

— Po co? Oni i bez nas uporają się z Indianami. Winnetou widocznie także jest tego zdania, bo pojechał z Harry'm do „zamku". Pojedźmy i my tam, aby zająć się naszymi poległymi.

Kiedy, minąwszy bramę, dostaliśmy się do owej nieszczęsnej kotliny i rzuciliśmy okiem ku miejscu, na którym wczoraj wrzała walka, zobaczyliśmy Winnetou i Harry'ego pochylonych nad zwłokami Old Firehanda. Harry płacząc trzymał głowę swego ojca na kolanach, Apacz zaś badał ranę postrzałową. Właśnie w chwili naszego nadejścia rozległ się jego okrzyk:

— Uff, uff, ufif! Jeszcze nie umarł! Żyje!

Słowa te zelektryzowały nas po prostu, a Harry krzyknął głośno z radości. Pomogliśmy oczywiście Apaczowi w jego usiłowaniach, a niebawem Old Firehand otworzył oczy. Poznał nas, uśmiechnął się nieznacznie do syna, ale mówić nie mógł.

Wkrótce potem znowu strącał przytomność. Ja także go zbadałem. Kula trafiła w pierś, przebiła po prawej stronie płuca i wyleciała pod łopatką. Rana była ciężka, połączona z wielką utratą krwi, Ale mimo iż chory odniósł niedawno poważne uszkodzenia podczas walki w obronie pociągu, zgodziłem się z zapatrywaniem Apacza, że ranny dzięki swej niezmiernie silnej naturze i przy niezwykle uważnej opiece będzie mógł wrócić do zdrowia. Opatrzyliśmy go wedle wypróbowanej metody Winnetou i przygotowaliśmy mu doskonałe łoże, na ile pozwalały miejsce i okoliczności.

Następnie pomyśleliśmy o sobie. Nikt z nas nie wyszedł bez szwanku, połataliśmy się więc wzajemnie, jak było można. Reszta towarzyszy przypłaciła lekkomyślność śmiercią.

Około południa nadjechali dragoni, którzy przegnali Ponków zupełnie, nie utraciwszy przy tym ani jednego ze swoich. Od dowodzącego oficera dowiedzieliśmy się, że nie zjawili się tu przypadkiem. Przeciwnie, dowódca usłyszawszy o zamiarze wykolejenia pociągu przez Ponków, postanowił ukarać ich za to natychmiast, Wyruszył do nich czym prędzej, a na wieść o ich wojennej wyprawie odwetowej podążył ich śladem. Dragoni zostali z nami w dolinie przez trzy dni, aby pochować naszych zmarłych i dać koniom wypocząć. Oficer zaś zaprosił nas do fortu Rondall, skoro tylko będzie można przewieźć Old Firehanda, wyjaśniając zarazem, że jakkolwiek chory nie znajdzie tam może większej pieczołowitości, to jednak lekarska opieka jest niewątpliwie lepsza. Oczywiście przyjęliśmy z wdzięcznością jego zaproszenie.

Sam Hawkens przejął się do głębi śmiercią Dicka Stonek i Willa Parkera. Zapewniał też wielokrotnie, że zastrzeli bez miłosierdzia każdego spotkanego Ponka. Ja jednak i ten wypadek oceniłem inaczej. Paranoh był białym. Moje dawne przekonanie, że Indianin tylko pod wpływem bladych twarzy stał się tym, czym jest dzisiaj, znalazło jeszcze jedno smutne potwierdzenie.

ROZDZIAŁ VII

P E D L A R[28]

W trzy miesiące po ostatnio opisanych wypadkach, których skutki pomimo upływu długiego czasu jeszcze nie przeminęły, spełniła się nadzieja ocalenia Old Firehanda. Rekonwalescencja jego postępowała jednak bardzo powoli. Z powodu wielkiego osłabienia nie mógł jeszcze wstawać wobec tego musieliśmy porzucić pierwotny zamiar przeniesienia go do fortu i zatrzymaliśmy go w „warowni" aż do zupełnego powrotu do zdrowia. Przekonaliśmy się zresztą, że tutaj miał dostateczną opiekę.

Rana Harry'ego okazała się na szczęście niegroźna. Winnetou był poraniony na całym ciele, ale niebezpieczeństwa również nie było, dzięki czemu i jego rany zabliźniły się niebawem prawie zupełnie. Moje szramy i pchnięcia, które otrzymałem, były także bez znaczenia. Bolały wprawdzie przy dotknięciu, ale na ból byłem zahartowany jak Indianin. Najlepiej wyszedł ze wszystkiego Sam Hawkens, bo doznał tylko kilku stłuczeń, niegodnych wzmianki.

Z góry już przewidywaliśmy, że Old Firehand nawet po zupełnym wyzdrowieniu będzie musiał oszczędzać się jeszcze długo i nie będzie mógł od razu prowadzić życia na sposób westmański. Postanowił on przeto udać się wraz z Harrym na Wschód do starszego syna. Wobec tego nie mogły tutaj pozostać zebrane przez kompanię myśliwych skórki, lecz trzeba było pomyśleć o ich sprzedaży. W forcie nie było na razie żadnej ku temu sposobności, a dla ozdrowieńca było rzeczą jeżeli nie niemożliwą, to w każdym razie bardzo niewygodną zabierać ze sobą takie mnóstwo skór. Jakby należało temu zaradzić? Dopomógł nam w tym jeden z żołnierzy zostawionych nam na pewien czas dla ochrony. Dowiedział się on, że nad Turkey River przebywa handlarz, który kupuje wszystko, co się trafi, i prowadzi nie tylko handel zamienny, lecz płaci także za towary gotówką. Ten człowiek mógł nas wybawić z kłopotu.

Ale jak go sprowadzić? Żołnierza nie mogliśmy wysłać, gdyż żadnemu z nich nie wolno było opuszczać stanowiska. Wobec tego jeden z nas musiał zawiadomić pedlara. Gotów byłem udać się nad Turkey River, ale zwrócono moją uwagę na to, że grasują tam teraz bardzo niebezpieczni dla białych Siuksowie Okananda. Pedlar mógł śmiało iść między nich, gdyż. czerwonoskórzy rzadko czynią coś złego handlarzom, ponieważ dostają u nich na zamianę wszystko, czego im potrzeba. Ale za to tym bardziej musiał się ich wystrzegać każdy inny biały. Chociaż się nie bałem, to jednak ucieszyłem się, gdy Winnetou oświadczył, że chce towarzyszyć mi w drodze. Mogliśmy odejść obaj, gdyż Old Firehandowi wystarczali Harry i Sam Hawkens. Wyruszyliśmy też w drogę, a ponieważ Winnetou znał dokładnie te strony, przeto już na trzeci dzień dotarliśmy nad Turkey River albo Turkey Creek. Istnieje kilka rzeczek tej nazwy. Ta, którą mam na myśli, znana jest z licznych starć, które się rozgrywały nad jej brzegiem między białymi i Siuksami.

Ale jak znaleźć pedlara? Jeżeli bawił u Indian, to należało zachować jak największą ostrożność. Nad rzeką mieszkali jednak biali, którzy przed kilku laty odważyli się tam osiedlić, trzeba więc było udać się najpierw do jednego z nich, aby się czegoś dowiedzieć. Puściliśmy się zatem wzdłuż rzeki, ale długo nie natrafiliśmy na żadne ludzkie mieszkanie. Dopiero nad wieczorem ujrzeliśmy łan żyta, do którego przytykały inne pola. Nad potokiem, zlewającym swoje wody do rzeki, leżał warowny dom, zbity z grubo ciosanych, mocnych pni, a otaczał go ogród, ogrodzony mocnym częstokołem, Taki sam częstokół otaczał z boku wolne miejsce, na którym znajdowało się kilka koni i krów. Tam też wjechaliśmy, zsiedliśmy z koni, a przywią-

[28] Pedlar (ang.) – wędrowny handlarz.

zawszy je, chcieliśmy się udać do domu, którego wąskie okna podobne były do strzelnic. Wtem ukazała się w jednym z nich wymierzona do nas dwururka, a szorstki głos zawołał:

— Stójcie! Stójcie! To nie gołębnik, do którego każdy może wlatywać i wylatywać, jak mu się podoba. Kto jesteście, biały człowieku, i czego tutaj chcecie?

— Jestem Niemcem i szukam pedlara, który się tu podobno znajduje — odrzekłem.

— To go sobie szukajcie! Ja nie chcę mieć z wami nic do czynienia. Zabierajcie się!

— Ależ, sir! Przypuszczam, że będziecie na tyle rozumni, że nie poskąpicie mi odpowiedzi, jeśli ją możecie dać. Tylko hołotę odprawia się od drzwi.

— To bardzo słuszne, dlatego właśnie was odprawiam.

— Uważacie więc nas za hołotę?

— Tak!

— Czemu?

— To moja rzecz. Przed wami z tego zwierzać się nie potrzebuję. To, że podajecie się za Niemca, jest również kłamstwem.

— Nie, to prawda.

— Pshaw! Niemiec nie odważyłby się zajść aż tutaj, chyba że byłby to Old Firehand.

— Od niego właśnie przychodzę.

— Wy? Hm! A skąd?

— O trzy dni drogi stąd, gdzie jest jego „warownia", o której zapewne słyszeliście.

— Był raz tutaj niejaki Dick Stone i mówił, że istotnie trzeba jechać mniej więcej tyle czasu, aby się dostać do Old Firehanda.

— Dick Stone już nie żyje. Żal mi go, bo był moim przyjacielem.

— Być może, ale ja wam nie ufam, gdyż macie czerwonoskórego przy sobie, a obecne czasy nie nadają się do tego, żeby wpuszczać do siebie ludzi o tej barwie skóry.

— Jeśli ten Indianin do was przyjdzie, to będziecie musieli uważać to za zaszczyt, gdyż jest to Winnetou, wódz Apaczów.

— Winnetou? Do stu piorunów! Naprawdę! Niech rai pokaże swoją strzelbę!

Winnetou zdjął strzelbę z ramienia i podniósł tak, że osadnik ją zobaczył.

— Srebrne gwoździe! — zawołał. — To się zgadza. A u was widzę dwie strzelby, wielką i małą. Domyślana się, że ta wielka to rusznica na niedźwiedzie.

— Tak.

— A ta mała to sztucer Henry'ego.

— Tak.

— A wy macie nazwisko brzmiące inaczej aniżeli to, któreście powiedzieli.

— Bardzo słusznie!

— Może wy jesteście Old Shatterhand, który podobno przyjechał tu ze Starego Kraju?

— To właśnie ja jestem.

— W takim razie proszę, proszę, panowie! Takich ludzi witam bardzo serdecznie i będę się starał zadowolić wasze życzenia, o ile tylko będzie to w mej mocy.

Lufy zniknęły, a po chwili w drzwiach ukazał się osadnik, starszy już, ale silny i grubokościsty mężczyzna, po którym widać było na pierwszy rzut oka, że nieraz walczył z życiem, ale nie dał się powalić. Wyciągnął do nas obie ręce na powitanie i wprowadził nas do wnętrza domu, gdzie znajdowała się jego żona i syn, młody i silny chłopak. Dwaj inni synowie zajęci byli w lesie.

Dom stanowiła właściwie tylko jedna izba. Na ścianach wisiały strzelby i rozmaite myśliwskie trofea, a na zbudowanym z kamieni piecu gotowała się woda w żelaznym kotle. Najpotrzebniejsze naczynia stały na półce. Kilka skrzyń służyło za szafy na ubrania i spiżarnie, a u powały wisiało tyle wędzonego mięsa, że rodzina złożona z pięciu osób mogłaby żyć tym przez całe miesiące. W kącie stał ręcznie wyciosany stół z kilkoma takimi samymi stołkami. Poproszono nas, byśmy usiedli. Syn zajął się naszymi końmi, a osadnik i jego żona podali

wieczerzę, która jak na tamtejsze stosunki nie pozostawiała nic do życzenia. Podczas tego nadeszli z lasu pozostali dwaj synowie i zajęli miejsce obok nas bez ceremonii, jedząc tęgo i nie biorąc udziału w rozmowie, którą prowadził z nami wyłącznie ojciec.

— Tak, panowie — rzekł — nie bierzcie mi tego za złe, że odezwałem się do was trochę szorstko. Tutaj trzeba się liczyć z czerwonoskórymi, a szczególnie z Siuksami Okananda, którzy niedawno w odległości o dzień drogi stąd napadli na dom warowny. A jeszcze mniej należy dowierzać białym, gdyż zachodzą tu jedynie tacy, którzy nie mogą się już pokazać na Wschodzie. Toteż cieszymy się bardzo, jeśli spotkamy takich dżentelmenów jak wy. Szukacie więc, panowie, handlarza? Macie do niego jakiś interes?

— Tak — odpowiedziałem. Winnetou milczał swoim zwyczajem.

— Jaki? Nie pytam z ciekawości, tylko po to, żeby wam coś więcej powiedzieć.

—- Chcemy mu sprzedać skóry.

— Dużo?

— Tak.

— Za towar, czy za pieniądze?

— O ile możności za pieniądze.

— W takim razie dobrze trafiliście, bo tylko ten, którego tu można znaleźć, jest takim, jakiego wam potrzeba. Inni pedlarze zamieniają tylko, ten zaś zawsze ma przy sobie pieniądze lub złoto. Jednym słowem to kapitalista, a nie biedak noszący cały swój kram na grzbiecie.

— A czy rzetelny?

— Hm, rzetelny! Co nazywacie rzetelnością? Pedlar sprzedaje i kupuje dla zarobku, nie będzie więc taki głupi, żeby się wyrzekać zysku. Kto mu się pozwoli oszukać, ten sam sobie będzie winien. Nazywa się Bourton. Zna swój zawód gruntownie. Jeździ zawsze z trzema lub czterema pomocnikami.

— A gdzie teraz może być?

— Dowiecie się o tym jeszcze dzisiaj wieczorem. Jeden z jego pomocników, nazwiskiem Rollins, był tutaj wczoraj, by zapytać o zlecenia. Pojechał w górę rzeki do dalszych osadników i wróci, by tu pozostać do jutra rana. Zresztą Bourtonowi nie powiodło się w ostatnich czasach kilka razy.

— A bo co?

— W przeciągu krótkiego czasu zdarzyło się kilkakrotnie, że kiedy przybył z interesem do jakiejś osady, zastał ją ograbioną i spaloną przez Indian. To dla niego nie tylko strata czasu, ale wprost szkoda materialna, nie biorąc już w rachubę tego, że nawet dla pedlara niezbyt to bezpiecznie wchodzić w ten sposób w drogę czerwonoskórym.

— Czy napadów dokonano w pobliżu?

— Tak, jeśli uwzględnimy, że do słów „blisko” i „daleko” przykłada się tu inną miarę niż gdzie indziej. Mój najbliższy sąsiad mieszka o dziewięć mil stąd.

— To źle, gdyż przy takiej odległości nie możecie sobie w razie niebezpieczeństwa przychodzić z pomocą.

— Oczywiście, ale ja mimo to się nie obawiam. Nie radziłbym czerwonoskórym odwiedzać starego Cornera — nazywam się bowiem Corner, sir — potrafiłbym im już dać odprawę!

— Chociaż jest was tylko cztery osoby?

— Cztery? Moją żonę możecie uważać śmiało za osobę, i to za jaką jeszcze! Ona'nie boi się Indianina i umie się obchodzić ze strzelbą tak samo jak ja.

Bardzo wierzę, ale gdy Indianie zjawiają się w wielkiej liczbie, to wtedy dzieje się na ogół wedle przysłowia „siła złego na jednego”.

— Well! Ale na to trzeba by być tchórzem. Nie jestem takim sławnym westmanem jak wy i nie mam ani srebrzystej strzelby, ani sztucera Henry'ego, lecz strzelać umiem także. Nasze strzelby biją dobrze, a gdy zamknę drzwi, nie dostanie mi się do środka żaden czerwonoskóry.

Gdyby ich było na dworze stu, wymietlibyśmy wszystkich jednego po drugim. Ale pst! To jedzie Rollins.

Usłyszeliśmy tętent konia, który zatrzymał się zewnątrz przed drzwiami. Comer wyszedł, pomówił z jeźdźcem, a następnie wprowadził go do izby i przedstawił nam:

— To mr. Rollins, o którym wam mówiłem, pomocnik pedlara Bourtona.

Zwracając się zaś do przybyłego, dodał:

— Powiedziałem wam na dworze, że spotka was u mnie wielka niespodzianka. Myślę, że w słowach moich nie było przesady, bo ci dwaj dżentelmeni to Winnetou, wódz Apaczów, i Old Shatterhand, o których niewątpliwie dużo już słyszeliście. Szukają mr. Bourtona, któremu chcą sprzedać mnóstwo skór i futer.

Handlarz był mężczyzną w średnim wieku o zupełnie przeciętnej powierzchowności, nie mającej w sobie nic uderzającego ani w dobrym, ani w złym znaczeniu. Postać jego .nie wywoływała na pierwszy rzut oka ujemnego wrażenia, ale mimo to nie podobał mi się wyraz jego twarzy. Jeśli byliśmy istotnie tak wybitnymi ludźmi, jak powiedział Corner, to powinien się był ucieszyć spotkaniem z nami oraz nadzieją dobrego zarobku. Tymczasem w jego rysach nie przebijała ani radość, ani zadowolenie. Wydało mi się nawet, że zetknięcie z nami jest mu nie na rękę. Łatwo jednak mogłem się pomylić, a to, co mi się w nim nie podobało, mogło być tylko objawem zakłopotania pomocnika handlarskiego wobec dwóch słynnych westmanów. Toteż przezwyciężyłem swoje uprzedzenia i wezwałem go, żeby przysiadł się do nas i pomówił o interesach.

Dostał także wieczerzę, ale nie miał widocznie apetytu, bo wstał zaraz, aby zajrzeć do konia. To nie wymagało wiele czasu, a mimo to upłynął kwadrans, a on nie wracał. Nie nazwałbym tego nieufnością, a jednak coś podobnego skłoniło mnie, by wyjść za nim. Koń jego stał uwiązany przy domu, jego jednak nie było. Wieczór zapadł już dawno, ale księżyc świecił tak jasno, że musiałbym zauważyć Rollinsa, gdyby się znajdował gdzieś blisko. Dopiero po dłuższym czasie ujrzałem go wychodzącego zza rogu ogrodzenia. Zobaczywszy mnie zatrzymał się na chwilę, ale potem szybko do mnie podszedł.

— Czy jesteście zwolennikiem przechadzek przy świetle księżyca, mr. Rollins? — spytałem.

— Nie, taki poetyczny nie jestem — odrzekł.

— Ja jednak uważam, że jest przeciwnie.

— Czemu?

— Przechadzacie się przecież.

— Ale nie dla księżyca. Jest ml niedobrze. Zepsułem sobie dzisiaj rano żołądek, nadto znużyło mnie to długie siedzenie na siodle. Musiałem użyć trochę ruchu. To wszystko, sir.

Odwiązał konia i wprowadził do ogrodzenia, gdzie stały już także nasze, a potem wszedł do domu. Co mnie on obchodził? Był panem samego siebie i mógł sobie robić, co mu się podobało. Westman musi być wprawdzie ostrożny i nieufny i jest też skłonny do tego, ale przyczyna długiej nieobecności, podana przez Rollinsa, była dostateczna i zadowalająca. Jadł przedtem mało, można więc było uwierzyć, że to z powodu choroby żołądka. Potem zaś gdy znaleźliśmy się wszyscy razem w środku, zachowywał się tak naturalnie i swobodnie, że moja nieufność znacznie się zmniejszyła.

Rozmawialiśmy oczywiście o interesach, o obecnych cenach futer i o wszystkim, co odnosiło się do naszego handlu — Rollins okazał wiele wiadomości fachowych i tak otwarcie je nam wyłożył, że nawet Winnetou nabrał do niego przekonania l mówił więcej niż zwykle. My opowiedzieliśmy o wypadkach, które przeżyliśmy w ostatnich czasach, a wszyscy obecni uważnie się przysłuchiwali. Oczywiście wypytywaliśmy o pedlara, bez którego osobistej zgody nie mogliśmy zawrzeć umowy. Na to odpowiedział Rollins:

— Nie mogę wam niestety powiedzieć, gdzie mój pryncypał się dzisiaj znajduje ani gdzie będzie jutro lub pojutrze. Ja zbieram tylko zlecenia i zanoszę mu je w określone dni, w których wiem, gdzie go spotkać. Jak długo trzeba jechać, aby się dostać do Old Firehanda?

— Trzy dni.

— Hm! Od dziś za sześć dni będzie rnr. Bourton nad Riffley Fork. Miałbym więc dość czasu, by pojechać z wami, obejrzeć towar i oznaczyć w przybliżeniu jego wartość. Następnie zdam sprawę Bourtonowi i sprowadzę go do was, oczywiście wtedy tylko, jeśli zgodzimy się mniej więcej co do ceny i jeśli on będzie tego samego zdania. Co wy na to, sir?

— Towar w każdym razie musicie zobaczyć. Wolałbym jednak, żeby sam mr. Bourton był teraz tutaj.

— To niestety niemożliwe, a gdyby nawet był tutaj, to jeszcze pytanie, czy pojechałby zaraz do was. Nasz handel zakrojony jest na wielką skalę, a pryncypał nie ma czasu jeździć o trzy dni drogi stąd, nie wiedząc z góry, czy będzie mógł załatwić interes. Jestem pewien, że sam nie udałby się z wami, lecz kazałby najpierw jednemu z nas obejrzeć towar. Właśnie dobrze się składa, że mogę teraz odbyć z wami tę drogę. Powiedzcie zatem tak lub nie, żebym wiedział, czego mam się trzymać!

Nie było najmniejszego powodu do odrzucenia jego propozycji byłem raczej przekonany, że czynię po myśli Old Firehanda, kiedy odrzekłem:

— Jeśli macie czas, to jedźcie z nami, ale od razu jutro rano!

— Oczywiście! Nam, kupcom, szkoda każdej godziny, a tym bardziej całego dnia. Wyruszymy skoro świt, dlatego połóżmy się wcześnie.

I temu nie można było nic zarzucić, chociaż przekonaliśmy się później, że ten człowiek nie był bynajmniej tak niewinny, jak się wydawało. Wstał on od stołu, by pomóc gospodyni w rozkładaniu skór i koców do spania. Gdy to skończyli, wskazał nam nasze miejsca.

— Dziękuję! — rzekłem. — My wolimy spać na dworze. W izbie pełno dymu, a tam jest świeże powietrze.

— Ależ mr. Shatterhand, na dworze przy jasnym świetle księżyca nie zaśniecie. Prócz tego zimno teraz po nocach.

— Do chłodu jesteśmy przyzwyczajeni, a co do księżyca, to nie bronimy mu zaglądać tam, gdzie mu się spodoba.

Próbował jeszcze kilkakrotnie odwieść nas od tego zamiaru, ale na próżno. Nie zastanowiło nas to na razie i dopiero później, kiedyśmy go poznali, przypomnieliśmy sobie, oczywiście po niewczasie, że to namawianie powinno było zwrócić naszą uwagę. Złe zamiary były w nim już widoczne.

Zanim wyszliśmy, gospodarz zrobił uwagę:

— Mam zwyczaj zamykać drzwi na noc. Czy zostawić je dzisiaj otwarte, panowie?

— A to po co?

— Może będziecie sobie czegoś życzyli.

— To jest prawie wykluczone. Naszym zdaniem nie należy w tych stronach zostawiać drzwi na noc otworem. Gdybyśmy czego potrzebowali, to powiemy wam przez okno.

— Dobrze. Okien i tak nie zamykamy.

Wychodząc z domu słyszeliśmy wyraźnie, że gospodarz zamknął za nami drzwi. Księżyc był już tak nisko, że budynek rzucał cień aż poza ogrodzenie, w którym znajdowały się konie. Udaliśmy się więc do nich, by leżeć w cieniu. Swallow i koń Winnetou pokładły się obok siebie. Pościeliłem sobie koło mojego konia koc, położyłem się na nim, opierając jak zwykle głowę na szyi karego jak na poduszce. Koń był do tego nie tylko przyzwyczajony, lecz nawet bardzo to lubił. Wkrótce też twardo usnąłem.

Spałem może z godzinę, kiedy mnie zbudził ruch konia, który na ogół nie poruszał się nigdy, dopóki na nim leżałem, chyba że stało się coś niezwykłego. Teraz zaś podniósł głowę i wciągał podejrzliwie powietrze nozdrza mi. Wstałem oczywiście natychmiast i udałem się w kierunku, w którym wietrzył. Podszedłem ku ogrodzeniu w pochylonej postawie, aby nie być spostrzeżonym. Wyjrzawszy ostrożnie, zobaczyłem w odległości może dwustu kroków coś poruszającego się powoli naprzód. Była to gromada ludzi leżących na ziemi i pełzających ku

nam. Odwróciłem głowę, by zawiadomić o tym Winnetou i zobaczyłem go stojącego już za mną. Usłyszał bowiem przez sen moje lekkie kroki.

— Czy mój brat widzi te postacie? — spytałem.

— Tak — odrzekł — to czerwoni wojownicy

— Prawdopodobnie Siuksowie Okananda, którzy chcą napaść na dom.

— Old Shatterhand ma słuszność. Musimy wejść do środka domu

— Dobrze Pomożemy osadnikom. Ale koni nie zostawimy tutaj, gdyż zabraliby je Okanandowie.

— Zaprowadzimy je z sobą do domu. Chodź prędzej! Dobrze, że jesteśmy w cieniu, bo przez to nie mogą nas Siuksowie zobaczyć.

Wróciliśmy czym prędzej do koni, odwiązaliśmy je i przeprowadziliśmy z ogrodzonego miejsca do domu. Winnetou chciał właśnie obudzić przez okno śpiących, kiedy spostrzegłem, że drzwi nie są zamknięte. Otworzyłem je całkowicie i wciągnąłem Swallowa do środka. Szmer, wywołany przez nas, pobudził śpiących.

— Kto to? Co się stało? Konie w domu? — zapytał zrywając się osadnik.

— To my, Winnetou i Old Shatterhand — uspokoiłem go, gdyż nie mógł nas poznać w ciemności.

— Wy? Jakżeście weszli?

— Drzwiami.

— Przecież je zamknąłem.

— Ale były otwarte.

— Do stu piorunów! Zapewne źle popchnąłem zasuwę, kiedyście wychodzili. Ale dlaczego wprowadzacie konie do domu?

Corner zasunął zasuwę zupełnie dobrze. To handlarz otworzył drzwi, gdy wszycy zasnęli, aby Indianie mogli się dostać do środka — lecz o tym dowiedzieliśmy się dopiero później.

— Ponieważ ukradziono by je nam — odpowiedziałem.

— Kto by je miał ukraść?

— Siuksowie Okananda, którzy właśnie czołgają się ku domowi, by na was napaść.

Można sobie wyobrazić, jakie zaniepokojenie wywołały te słowa. Corner twierdził wprawdzie wieczorem, że się Indian nie obawia, ale teraz, kiedy rzeczywiście nadeszli, zląkł się ogromnie. Rollins udawał, że jest równie przerażony jak inni. Winnetou nakazał spokój:

— Bądźcie cicho! Krzykiem nie zwycięża się nieprzyjaciół. Musimy się czym prędzej zastanowić nad tym, w jaki sposób odeprzeć Okanandów.

— Nad tym nie potrzeba się naradzać — odrzekł Cor-ner. — Rozpoznamy ich, bo księżyc świeci dość jasno, i wymieciemy kulami jednego po drugim, w miarę jak będą nadchodzić.

— Tego nie uczynimy — oświadczył Apacz.

— Czemu nie?

— Ponieważ krew ludzką przelewa się dopiero wtedy, kiedy tego nie można uniknąć w żaden inny sposób.

— Teraz zachodzi właśnie ten wypadek, gdyż te czerwonoskóre psy muszą dostać nauczkę, którą pozostali przy życiu zapamiętają na długo.

— Mój biały brat nazywa Indian czerwonoskórymi psami? Niechaj jednak zważy, że i ja jestem także Indianinem i lepiej od niego znam moich czerwonych braci. Ilekroć uderzają na bladą twarz, zawsze mają do tego powód, bo zwykle albo ona sama występowała przeciwko nim zaczepnie, albo namówił ich do tego jakiś inny biały, któremu uwierzyli przez łatwowierność. Ponkowie napadli na Old Firehanda, ponieważ wódz ich był białym, a jeżeli Okanandowie teraz nadchodzą, aby ciebie ograbić, to spowodowała to pewnie jakaś blada twarz.

— Wątpię bardzo.

— Jak ty się na to zapatrujesz, to jest obojętne wodzowi Apaczów, ponieważ on jest pewny, że się nie myli.

— Gdyby nawet tak było, jak Winnetou utrzymuje, to przecież należałoby Okanandów jak najsurowiej ukarać za to, że dali się namówić. Kto usiłuje wtargnąć do mego domu, tego zabijam. Takie jest moje prawo, z którego nie omieszkam w pełni skorzystać.

— Twoje prawo nic nas nie obchodzi. Stosuj się do niego, gdy będziesz sam, ale teraz są tutaj Old Shatterhand i Winnetou przyzwyczajeni do tego, żeby ich słuchano wszędzie, gdzie tylko się znajdują. Od kogo kupiłeś ten skrawek gruntu?

— Kupiłem? Niegłupim kupować! Osiedliłem się tutaj, bo mi się podobało, a jeśli pozostanę tu przez przeciąg czasu przepisany ustawą, ziemia będzie należała do mnie.

— A zatem nie pytałeś o pozwolenie Siuksów, do których ten kraj należy?

— Ani mi przez myśl nie przeszło!

— I dziwisz się, że uważają cię za wroga, za złodzieja i rabusia ich ziemi? Nazywasz ich czerwonoskórymi psami i chcesz ich wystrzelać? Daj jeden strzał, a wtedy ja wpakuję ci kulę w głowę!

— Cóż mam czynić? — spytał osadnik spuszczając z tonu wobec tej przemowy słynnego Apacza.

— Nic, zupełnie nic — odrzekł Indianin. — Ja i mój brat Old Shatterhand będziemy działali za ciebie. Jeśli zastosujesz się do naszych poleceń, nic ci się nie stanie.

Rozmowa ta odbyła się tak szybko, że nie zajęła więcej czasu niż dwie minuty. Ja stałem tymczasem przy jednym z okien, śledząc, kiedy zbliżą się Okanandowie, lecz nie zauważyłem jeszcze nikogo. Skradali się widocznie najpierw z daleka dokoła domu, by się przekonać, czy nie ma powodu do obaw i czy nie spostrzeżono ich nadejścia. Wtem przystąpił Winnetou do mnie i rzekł:

— Czy mój brat widzi już Siuksów?

— Jeszcze nie — odpowiedziałem.

— Czy zgadzasz się ze mną, że nie należy ich zabijać?

— W zupełności. Osadnik ukradł im ziemię, a kto wie, czy nie sprowadza ich tu jeszcze jakiś inny powód.

— To bardzo prawdopodobne. Jak jednak odpędzimy ich stąd bez przelewu krwi?

— Mój brat Winnetou wie o tym tak dobrze jak ja.

— Old Shatterhand zawsze zgaduje moje myśli. Pochwycimy jednego z nich. Dobrze?

— Tak. Na pewno przyjdzie tu jeden aż do drzwi na zwiady, aby nas podsłuchać. Tego pochwycimy,

Udaliśmy się do drzwi, a odsunąwszy zasuwę, odemknęliśmy je na tyle, że powstała wąska szpara, przez którą można było wyjrzeć na dwór. Stanąłem przy drzwiach i czekałem. We wnętrzu domu było całkiem ciemno i cicho. Nikt się nie ruszał. Tak trwało dość długo. Wtem usłyszałem, że zwiadowca się zbliża, a właściwie nie usłyszałem, lecz poczułem, gdyż nie ucho mi to powiedziało, lecz ów osobliwy instynkt, który wyrabia się w każdym dobrym westmanie. W kilka chwil potem zobaczyłem Indianina, jak leżąc na ziemi czołgał się ku drzwiom, a potem podniósłszy rękę obmacał je dokładnie. W tej chwili otworzyłem drzwi na oścież, skoczyłem na niego i pochwyciłem oburącz za gardło. On usiłował się bronić, kopał nogami i wywijał rękami, ale nie mógł wydobyć z siebie głosu. Dźwignąłem go z ziemi i wciągnąłem do środka domu, po czym Winnetou zamknął drzwi.

— Zapalcie światło, mr. Corner! — powiedziałem do osadnika. — Przypatrzymy się temu człowiekowi.

Wezwany uczynił zadość poleceniu, zapalając świecę z jeleniego łoju i świecąc w twarz Indianinowi, którego szyję wypuściłem tymczasem z rąk, ująwszy go teraz za ramiona.

— Gniady Koń, wódz Okanandów! — zawołał Winnetou. — Memu bratu Shatterhandowi udał się połów!

Indianin omal nie udusił się w moim uścisku. Teraz odetchnął kilkakrotnie głęboko i wykrztusił przestraszony:

— Winnetou, wódz Apaczów!

— Tak — odrzekł wymieniony. — Znasz mnie, ponieważ mnie już widziałeś. Ten jednak mąż nie stał jeszcze przed twymi oczyma. Czy słyszałeś jego imię, wymówione dopiero co przeze mnie?

— Old Shatterhand?

— Tak. Że to on, poczułeś na sobie samym, gdyż pojmał cię i przyniósł tutaj, a ty nie mogłeś mu się oprzeć. Znajdujesz się w naszej mocy. Jak myślisz, co z tobą zrobimy?

— Moi sławni bracia puszczą mnie wolno i pozwolą mi odejść.

— Czy tak sądzisz naprawdę?

— Oczywiście.

— Czemu?

— Ponieważ wojownicy Okanandów nie są wrogami Apaczów.

— Okanandowie należą do szczepu Siuksów, tego samego co Po-nkowie, którzy niedawno temu na nas napadli.

— My nie mamy z nimi nic wspólnego.

— Tego mi nie mów! Ja sprzyjam wszystkim czerwonym mężom, ale kto postępuje niesprawiedliwie, ten jest mo,im wrogiem, jakąkolwiek by miał barwę skóry, A jeśli twierdzisz, że z Ponkami nic was nie wiąże, to mijasz się z prawdą, ponieważ wiem, że Ponkowie i Okanandowie nie zwalczali się nigdy wzajemnie, a teraz nawet bardzo silnie jesteście z sobą związani. A więc twoja wymówka nic w moich oczach nie znaczy. Przybyliście, aby ograbić te blade twarze. Czy zdaje ci się, że ja i Old Shatterhand dopuścimy do tego?

Okananda patrzył przez chwilę ponuro przed siebie, a potem spytał:

— Od kiedy wielki wódz Apaczów, Winnetou, stał się niesprawiedliwy? Wszak sława jego pochodzi stąd, że zawsze starał się unikać niesprawiedliwości, dzisiaj natomiast występuje przeciwko mnie, chociaż jestem w swoim prawie.

— Mylisz się, gdyż wasze zamiary nie są bynajmniej słuszne.

— Czemu nie? Czy ten kraj nie do nas należy? Czy każdy, kto chce tu zostać i zamieszkać, nie powinien nas prosić o pozwolenie?

— To prawda.

— A te blade twarze tego nie uczyniły. Czyż wobec tego nie mamy prawa ich wypędzić?

— Owszem. Daleki jestem od tego, żeby wam tego prawa odmawiać, ale to zależy od sposobu, w jaki z niego skorzystacie. Czy musicie palić i mordować, aby się pozbyć natrętów? Czy musicie jak złodzieje i zbóje skradać się nocą upodabniając się w ten sposób sami do białych rabusiów? Żaden waleczny wojownik nie obawia się pokazać wrogowi otwarcie i rzetelnie swego oblicza. Ty natomiast przychodzisz z tylu wojownikami w nocy, aby uderzyć na niewielu ludzi. Winnetou wstydziłby się czegoś takiego. Gdzie tylko odtąd przybędzie, wszędzie opowie, jakimi tchórzami są synowie Okanandów. Nie można ich nawet nazwać wojownikami.

Gniady Koń chciał się zerwać gniewnie, ale wzrok Apacza spoczywał na nim z taką mocą, że nie odważył się na to, lecz odrzekł mrukliwie:

— Postąpiłem wedle zwyczaju wszystkich czerwonych mężów. Nieprzyjaciela napada się nocą.

— Jeżeli napad jest potrzebny!

— Czy należało może przemawiać do tych bladych twarzy dobrymi słowy? Prosić ich może, kiedy mam prawo rozkazywać?

— Nie powinieneś prosić, lecz rozkazywać, to słuszne, ale nie powinieneś także skradać się nocą jak złodziej. Ukaż się tu otwarcie, rzetelnie i dumnie jako pan tego kraju. Powiedz im, że ich nie ścierpisz na swoim obszarze, wyznacz im dzień, w którym się muszą oddalić. A dopiero gdy nie posłuchają twej woli, możesz im dać odczuć swój gniew. Gdybyś tak postąpił,

uważałbym cię rzeczywiście za wodza Okanandów, równego mnie, teraz jednak widzę w tobie człowieka, który skrada się chyłkiem dlatego, że brak mu odwagi do otwartego działania.

Okananda wpatrzył się w kąt izby i milczał. Co mógł zresztą odpowiedzieć Winnetou?

Puściłem jego ramiona, stał więc przed nami wolno, lecz w postawie człowieka, który świadom jest swego położenia, wcale nie godnego zazdrości. Winnetou, po którego twarzy przemknął lekki uśmiech, zwrócił się do mnie z zapytaniem:

— Gniady Koń myślał, że puścimy go wolno. Co sądzi o tym mój brat Old Shatterhand?

— Sądzę, że się przeliczył — odrzekłem. — Kto przychodzi jako podpalacz, z tym postępuje się jak z podpalaczem. Życie jego przepadło.

— Czy Old Shatterhand mnie zamorduje? — wybuchnął Okananda.

— Nie jestem mordercą. To wielka różnica, czy się człowieka morduje, czy karze go zasłużoną śmiercią.

— Czy ja zasłużyłem na śmierć?

— Tak.

— Nieprawda. Znajduję się w kraju, który do nas należy.

— Znajdujesz się w wigwamie bladej twarzy, a czy leży on w twoim kraju, to obojętne. Kto bez mojego pozwolenia wdziera się do mojego wigwamu, tego wedle prawa Zachodu czeka śmierć. Mój brat Winnetou powiedział ci, jak powinieneś był postąpić, a ja zgadzam się z nim zupełnie. Nikt nas nie potępi, jeśli teraz odbierzemy ci życie. Ale ty znasz nas i wiesz, że nie przelewamy krwi, gdy nie zajdzie konieczna tego potrzeba. Spróbujemy zawrzeć z tobą umowę, mocą której zdołasz siebie ocalić. Zwróć się do wodza Apaczów, a on ci powie, czego się masz spodziewać.

Okananda przybył tu, żeby sądzić, a tymczasem my staliśmy przed nim jako sędziowie. Był wysoce zaniepokojony, co -widać było po nim, jakkolwiek usiłował to ukryć. Byłby chętnie jeszcze coś przytoczył na swe usprawiedliwienie, ale nie mógł niczego wymyślić. Toteż wolał milczeć i patrzył na Apacza z wyrazem na poły oczekiwania, a na poły tłumionego gniewu. Następnie rzucił okiem na Rollinsa. Czy się to stało przypadkiem, czy naumyślnie, tego nie wiedziałem w owej chwili, wydało mi się jednak, że w tym spojrzeniu mieściło się wezwanie o pomoc. Rollins ujął się też za nim istotnie i rzekł do Winnetou:

— Wódz Apaczów nie będzie chciwy krwi. Nawet tu na Zachodzie zwykle podlegają karze tylko te czyny, które rzeczywiście zostały spełnione, tu zaś jeszcze nic karygodnego się nie stało.

Winnetou spojrzał nań podejrzliwie i badawczo, a potem odpowiedział:

— Ja i Old Shatterhand wiemy bez cudzej rady, co mamy myśleć i postanowić. Słowa twoje są zatem zbyteczne. Zapamiętaj sobie, że mężczyźnie nie wolno być paplą, lecz powinien mówić tylko wtedy, kiedy potrzeba.

Skąd to napomnienie? Winnetou sam tego nie wiedział. Jak się jednak później okazało, jego wypróbowany instynkt i tym razem utrafił w samo sedno. Zwróciwszy się do Okanandy, mówił dalej;

— Słyszałeś słowa Old Shatterhanda. Jego zdanie jest także moim. Nie przelejemy twojej krwi, lecz tylko pod warunkiem, że wyznasz całą prawdę. Jeślibyś usiłował mnie oszukać, i tak ci się to nie uda. Powiedz mi więc uczciwie, po co przyszliście tutaj?

— Uff! — wybuchnął z gniewem zapytany. — Wojownicy Okanandów nie są tacy trwożliwi, jak twierdziłeś poprzednio. Nie wypieram się wcale tego, że chcieliśmy na ten dom napaść.

— I spalić?

— Oczywiście.

— Co się miało stać z mieszkańcami?

— Postanowiliśmy ich pozabijać.

— Czy sami powzięliście to postanowienie? Okananda zawahał się z odpowiedzią, więc Winnetou wyraził się dokładniej:

— Czy was może kto na tę myśl naprowadził? Zapytany milczał dalej, co w moich oczach równało się potwierdzeniu pytania.

— Gniady Koń nie może widocznie znaleźć właściwych słów — ciągnął dalej Apacz. — Niechaj zważy, że tu idzie o jego życie. Jeśli je chce zachować, to musi mówić, Ja chcę wiedzieć, czy jest ktoś, nie należący do plemienia Okanandów, kto przyczynił się do tego dzisiejszego napadu.

— Jest taki mąż — odezwał się w końcu jeniec.

— Kto taki?

— Czy wódz Apaczów zdradziłby sprzymierzeńca?

— Nie — przyznał Winnetou.

— W takim razie nie powinieneś się na mnie gniewać, że nie wymienię mojego.

— Nie gniewam się. Kto zdradza przyjaciela, zasługuje na to, żeby go zabito jak parszywego psa. Możesz zatem nie podawać nazwiska. Muszę jednak wiedzieć, czy to jest Okananda.

— Nie.

— Czy należy do innego plemienia?

— Nie.

— A więc biały?

— Tak.

— Czy znajduje się tu z wojownikami?

— Jego tu nie ma.

— Moje przypuszczenie sprawdza się zatem, a mój brat Old Shatterhand także się tego domyślał. Sprężyną waszego wrogiego wystąpienia jest ręka białego. To nas usposabia pobłażliwie. Jeżeli Siuksowie Okananda nie chcą na swoim obszarze cierpieć bezprawnej osady bladych twarzy, to trudno im to brać za złe, ale do mordowania nie ma jeszcze powodu. Zamiar był, ale go nie wykonano, dlatego darujemy życie i wolność ich wodzowi, jeśli się zgodzi na warunki, jakie postawię.

— Cóż mam zrobić? — zapytał Gniady Koń.

— Przede wszystkim musisz rozstać się z białym, który was namówił do napadu.

Ten warunek nie podobał się wprawdzie Okanandzie, ale przystał nań w końcu po pewnym wahaniu. Kiedy potem spytał o drugi, otrzymał odpowiedź:

— Zażądasz od bladej twarzy, która nazywa się Corner, żeby kupił od was tę osadę lub ją opuścił. Dopiero gdy nie spełni żadnego z tych żądań, wrócisz z twoimi wojownikami, aby go stąd wypędzić.

Na to Gniady Koń zgodził się od razu, ale osadnik był temu przeciwny. Powoływał się na prawo osadnictwa i wygłosił długą przemowę, na którą Winnetou tak odpowiedział:

— Znamy blade twarze tylko jako rabusiów naszych ziem. Co u takich ludzi jest ustawą, prawem lub zwyczajem, to nas nic nie obchodzi. Jeśli ci się wydaje, że możesz nam kraść ziemię, a potem zasłaniać się prawem przed karą, to już jest twoja rzecz. Uczyniliśmy dla ciebie, co było można, więcej od nas żądać ci nie wolno. Teraz Old Shatterhand i ja wypalimy fajkę pokoju z wodzem Okanandów, aby wynikom naszej narady nadać trwałe znaczenie.

Winnetou powiedział to takim tonem, że Corner przestał sprzeciwiać się czemukolwiek. Apacz nałożył fajkę pokoju, po czym zatwierdzono umowę z Gniadym Koniem wśród zwyczajnych, znanych już ceremonii. Nie wątpiłem, że wodzowi Okanandów można było zaufać, a Witmetou był tego samego zdania, gdyż podszedł ku drzwiom, odsunął zasuwę i rzekł do niego:

— Niechaj mój czerwony brat wróci do swych wojowników i odejdzie z nimi stąd. Jesteśmy pewni, że wykonasz to, co przyrzekłeś.

Okananda wyszedł z domu. Zamknęliśmy za nim drzwi i stanęliśmy przy oknach, aby dla ostrożności jak najdalej towarzyszyć mu spojrzeniem. Odszedł zaledwie o kilka kroków i zatrzymał się w świetle księżyca, chcąc zapewne, żebyśmy go widzieli. Wetknąwszy w usta

dwa palce, gwizdnął przeraźliwie, na co zbiegli się zaraz jego wojownicy. Byli oczywiście bardzo zdumieni tym, że sam zwoływał ich tak głośno, jakkolwiek przedtem nakazał zachowywać się bardzo ostrożnie i unikać wszelkiego szmeru. Wódz odezwał się do nich głosem tak donośnym, że słyszeliśmy każde słowo:

— Niechaj wojownicy plemienia Okanandów wysłuchają słów swego wodza! Przybyliśmy, aby bladą twarz Cornera ukarać za to, że osiedlił się tu bez naszego pozwolenia. Ja poszedłem, aby zbadać wszystko dokoła domu. Tymczasem znajdowali się tu dwaj najsłynniejsi wojownicy gór i prerii. Old Shatterhand i Winnetou nocowali dziś w tym domu, a usłyszawszy, że nadchodzimy, otworzyli swe silne ramiona na me przyjęcie.

Dostałem się do niewoli, a pięść Old Shatterhanda wciągnęła mnie do domu. To nie wstyd zostać przez niego zwyciężonym, a zaszczytem jest zawrzeć przymierze z nim i z Winnetou wypaliwszy fajkę pokoju. Uczyniliśmy to, postanawiając, że darujemy życie zamieszkującym ten dom bladym twarzom, jeśli albo kupią go od nas, albo opuszczą go w czasie, który ja im naznaczę. Na to się zgodziłem i dotrzymam danego słowa. Winnetou i Old Shatterhand stoją w oknach i słyszą, co mówię do moich wojowników. Między nami a nimi jest pokój i przyjaźń. Mol bracia pójdą za mną z powrotem do swych wigwamów.

Po tym przemówieniu zniknął wraz z wojownikami za rogiem ogrodzenia. My wyszliśmy także z domu, aby popatrzeć, czy rzeczywiście się oddalili. Przekonawszy się, że ich nie ma, byliśmy pewni, że drugi raz już nie wrócą. Wyprowadziliśmy więc konie z domu i położyliśmy się obok nich tam, gdzie przedtem. Tylko Rollins nie dowierzał Okanandom i poszedł za nimi, aby ich dłużej śledzić. Później okazało się, że uczynił to z innego powodu. Nie wiedzieliśmy, o której godzinie powrócił, ale kiedy wstaliśmy rano, był już na miejscu i siedział z gospodarzem na klocu, który służył za ławkę.

Corner powiedział nam „dzień dobry!", które jednak nie brzmiało zbyt przychylnie. Był na nas wściekły, bo uważał, że byłoby daleko lepiej dla niego, gdybyśmy — jak mówił — „wymietli" czerwonoskórych. Teraz musiał albo odejść z tego kraju, albo zapłacić. Nie żałowałem go, bo po co wcisnął się na to terytorium? Jak postąpiono by w Illinois albo w Vermoncie, gdyby jaki Siuks usadowił się z rodziną w okolicy, która by mu się spodobała, i twierdził, że to jego własność?

Nie zważaliśmy na utyskiwania osadnika, lecz podziękowawszy za gościnę, odjechaliśmy.

Handlarz towarzyszył nam oczywiście, ale tak jak gdyby do nas nie należał, bo nie jechał razem z nami, lecz w pewnym oddaleniu, niczym podwładny, który chce okazać uszanowanie przełożonemu. Nie zwróciło to naszej uwagi, a było nam nawet na rękę, gdyż mogliśmy rozmawiać z sobą bez przeszkody i nie zajmować się nim.

Dopiero po kilku godzinach drogi przybliżył się do nas, aby pomówić o przyszłym interesie. Dopytywał się o rodzaj i ilość skór, które Old Firehand zamierzał sprzedać, a my odpowiadaliśmy mu, jak umieliśmy najlepiej, choć się nie bardzo na tym znaliśmy. Chciał się także dowiedzieć, gdzie czeka na nas Old Firehand oraz jak przechowuje skóry. Mogliśmy odpowiedzieć na to, ale nie uczyniliśmy tego, gdyż nie znaliśmy go, a, jako westmani i myśliwcy, nie mieliśmy zwyczaju mówić o kryjówkach, w których przechowuje się zapasy. Nie dbaliśmy o to, czy nam weźmie to za złe, czy nie. Od tej chwili jednak jechał w jeszcze większej odległości za nami niż przedtem.

Wracając, obraliśmy tę samą drogę, którą przybyliśmy tutaj, dlatego okolicy, przez którą jechaliśmy, nie badaliśmy tak, jakby to trzeba było czynić, gdybyśmy jej nie znali. Nie zwalniało nas to jednak od zwykłej ostrożności, jaką zachowuje westman nawet wówczas, kiedy jedzie przez okolicę znaną mu jak własna kieszeń. Patrzyliśmy więc ciągle, czy nie ujrzymy śladów ludzkich lub zwierzęcych, a dzięki tej natężonej uwadze zobaczyliśmy około południa trop, którego byśmy na pewno me spostrzegli, gdyby nie zbyt widoczna troska o jego zatarcie. Może nawet i mimo to bylibyśmy go przeoczyli, gdybyśmy się nań nie natknęli w miejscu, w którym owi nie znani nam ludzie spoczywali przez krótki czas, oraz gdyby trawa, przez nich

zdeptana, zdołała się już podnieść. Zatrzymaliśmy się oczywiście i zsiedliśmy z koni, aby zbadać trop. Podczas tego nadjechał Rollins i zeskoczył z siodła.

— Czy to były zwierzęta, czy ludzie? — spytał. Winnetou nie odpowiedział, ja jednak uważałem milczenie za niegrzeczność i zauważyłem:

— Nie jesteście, jak się zdaje, zbyt wprawni w czytaniu śladów. Wszak na pierwszy rzut oka poznać, kto tutaj był.

— A zatem ludzie?

— Tak.

— Wątpię bardzo, gdyż w takim razie trawa byłaby bardziej zdeptana.

— Czy myślicie, że tu są ludzie, którzy deptaliby trawę dla przyjemności, aby ich potem znaleziono i „zdmuchnięto"?

— Nie, ale gdy się jest z końmi, trudno nie pozostawić wyraźnych śladów.

— Osoby, które tu były, nie miały koni.

— Nie miały koni? To byłoby dziwne, nawet podejrzane. Sądzę, że w tych stronach nie podobna istnieć bez konia.

— Takie jest i moje zdanie. Czy jednak nie doświadczyliście ani nie słyszeliście nigdy, że ten lub ów w jakiś sposób konia utracił? '

— Owszem. Ale przykład jednego człowieka nie jest tu odpowiedni, bo jeden człowiek łatwo może utracić konia. Zęby natomiast kilku ludzi...

Udawał mądrego, chociaż, jak się zdawało, niewiele rozumiał. Nie odpowiedziałbym mu nawet, gdyby mnie Winnetou nie zapytał:

— Czy mój brat Old Shatterhand wie, co myśleć o tym tropie?

— Tak.

— Byli tu trzej biali bez koni. Nie mieli strzelb, tylko kije w rękach. Odeszli stąd w ten sposób, że jeden wstępował w ślady drugiego, a ostatni je zacierał. Przypuszczają widocznie, że ich ktoś ściga.

— Mnie się także tak zdaje. Może nawet są zupełnie bezbronni.

— Broni palnej w każdym razie nie mają. Ponieważ tu spoczywali, musielibyśmy przeto dostrzec ślady strzelb.

— Hm! To szczególne! Trzy nieuzbrojone blade twarze w tych niebezpiecznych stronach! Można sobie to tylko tym wytłumaczyć, że spotkało ich jakieś nieszczęście, że ich napadnięto i ograbiono.

— Mój biały brat sądzi tak samo jak ja. Ci ludzie opierali się na kijach, które, sobie ułamali. Widać wyraźnie dołki w ziemi. Potrzebują pewnie pomocy.

— Czy Winnetou życzy sobie, żeby im jej udzielić?

— Wódz Apaczów pomaga chętnie każdemu, kto potrzebuje jego pomocy, i nie pyta, czy to biały, czy czerwonoskóry. Ale niech Old Shatterhand rozstrzygnie, co czynić. Ja pomógłbym, lecz im nie dowierzam.

— Czemu?

— Bo zachowanie się tych bladych twarzy jest dwuznaczne. Zadawali sobie wiele trudu, by zatrzeć dalsze ślady, a dlaczego nie zniszczyli ich tutaj?

— Może im się zdawało, że nie powinni na to tracić czasu. Zresztą nie troszczyli się o to, czy kto spostrzeże, że tu spoczywali. Chcieli tylko ukryć to, dokąd poszli.

— Może mój brat ma słuszność, ale w takim razie nie byli to dobrzy westmani, lecz ludzie niedoświadczeni. Chodźmy im na pomoc!

— Zgadzam się chętnie, zwłaszcza że prawdopodobnie nie zboczymy zbytnio z naszego kierunku.

Ja z Winnetou dosiedliśmy znowu koni, tylko Rollins ociągał się, rzekłszy podejrzanym tonem:

— Czy nie byłoby lepiej zostawić tych ludzi samym sobie? Na co nam się przyda jechać za nimi?

— Nam oczywiście na nic się to nie przyda, ale im za to bardzo — odpowiedziałem.

— Ale my tracimy czas,

— Nam nie jest tak pilno, żebyśmy me mogli wesprzeć ludzi potrzebujących widocznie pomocy.

Powiedziałem to trochę ostrzej, Rollins zaś mruknął kilka słów i niechętnie wsiadł na konia, aby z nami jechać tropem. Nie dowierzałem mu ciągle jeszcze, ale nie przyszło mi na myśl uważać go za tak podstępnego, jakim był istotnie.

Trop wychodził z lasu i z zarośli prowadził na otwartą sawannę. Był świeży, bo zostawiony zaledwie przed godziną. Po krótkiej jeździe ujrzeliśmy przed sobą tych, których szukaliśmy. Kiedyśmy ich spostrzegli, mogli być od nas oddaleni o milę angielską. Ujechaliśmy z połowę tej przestrzeni, zanim nas zauważyli. Jeden z nich obejrzał się, dojrzał nas i oznajmił to pozostałym. Jakiś czas stali ze strachu, po czym zaczęli biec, jak gdyby szło o ich życie. My popędziliśmy konie i doścignęliśmy ich oczywiście z łatwością, ale zanim dojechaliśmy do nich, zawołałem kilka słów, żeby ich uspokoić, wobec czego zatrzymali się zaraz.

Byli rzeczywiście zupełnie bezbronni. Nie mieli nawet noży do ucięcia kijów, lecz musieli je ułamać. Ubrania ich natomiast były w dobrym stanie. Jeden z nich miał głowę owiniętą chustką, drugi rękę na temblaku, trzeciemu nic nie dolegało. Spojrzeli na nas trwożnym, podejrzliwym wzrokiem.

— Czemu gonicie tak, panowie? — zapytałem, gdy stanęliśmy obok nich.

— Czyż wiemy, kto wy jesteście? — odrzekł najstarszy.

— To obojętne. Kimkolwiek bowiem jesteśmy, bylibyśmy i tak was doścignęli, wasz pośpiech zatem nie przydałby się na nic. Ale nie obawiajcie się niczego. Jesteśmy porządnymi ludźmi, a pojechaliśmy waszym śladem tylko po to, aby wam oświadczyć, że gotowi jesteśmy wam dopomóc. Domyślamy się bowiem, że wasze obecne położenie niezupełnie odpowiada waszym życzeniom.

— I nie pomyliliście się, sir. 2le było z nami, cieszymy się, że uszliśmy przynajmniej z życiem.

— Ubolewam nad tym bardzo. Któż was tak urządził? Czy może biali?

— Nie, Siuksowie Okananda.

— Ach, oni! Kiedy?

— Wczoraj rano.

— Gdzie?

— Tam nad górnym Turkey River.

— Jak to się stało? A może lepiej o to nie pytać?

— Możecie pytać, jeśli istotnie jesteście porządnymi ludźmi, za jakich się podajecie. Spodziewamy się, że wolno nam będzie spytać o wasze nazwiska.

— I owszem. Ten czerwony dżentelmen to Winnetou, wódz Apaczów, a mnie nazywają zazwyczaj Old Shatterhandem, ten trzeci zaś to mr. Rollins, pedlar, który się do nas przyłączył z powodu wspólnych interesów.

— Tam do licha! Wobec tego wykluczona jest wszelka nieufność między nami. Słyszeliśmy już dość o Winnetou i Old Shatterhandzie, chociaż nie zaliczamy się do westmanów. To są mężowie, na których można się zdać w każdym położeniu, dziękujemy też Bogu za to, że sprowadził was na naszą drogę. Potrzebujemy pomocy, bardzo potrzebujemy, panowie, a wy zasłużycie na nagrodę niebios, jeśli się nami choć trochę zaopiekujecie.

— Uczynimy to chętnie. Powiedzcie tylko, w jaki sposób.

— Wobec tego musicie się najpierw dowiedzieć, kim jesteśmy. Ja nazywam się Warton; to mój syn, a tam to bratanek. Przybywamy z okolic Nowego Ulm, aby się osiedlić nad Turkey River.

— To bardzo nierozważnie postąpiliście!

— Niestety, nie wiedzieliśmy o tym. Opisano nam wszystko tak ładnie, że zdawało się, iż wystarczy tylko usadowić się tu, aby spokojnie zwozić zbiory.

— A Indianie? O nich nie pomyśleliście?

— O, i owszem, ale przedstawiono nam ich całkiem inaczej, niż są w rzeczywistości. Przybyliśmy dobrze zaopatrzeni w zapasy, aby najpierw przypatrzeć się okolicy i wybrać odpowiedni kawałek ziemi. Przy tym wpadliśmy w ręce czerwonoskórym.

— Dziękujcie Bogu, że jeszcze żyjecie!

— Pewnie, pewnie! Wyglądało to z początku daleko gorzej, niż się później stało. Mówili o palu i o innych pięknych rzeczach, potem jednak zadowolili się tym, że ograbili nas ze wszystkiego. Mieli pewnie ważniejsze sprawy na oku niż to, żeby nas wlec z sobą.

— Ważniejsze? Dowiedzieliście się może, jakie sprawy?

— Nie znamy ich języka, ale ze słów wodza, nader lichą angielszczyzną wypowiedzianych, zrozumieliśmy że chodziło im o osadnika, nazwiskiem Corner, do którego, jak się zdawało, zamierzali się zabrać.

— Słyszeliście dobrze. Oni rzeczywiście chcieli nań napaść wieczorem, dlatego nie mieli czasu ani ochoty zajmować się wami. Tej właśnie okoliczności zawdzięczacie życie!

— Ale jakie życie!

— Jak to?

— Życie, które właściwie nie jest życiem. Nie mamy broni ani nawet noża i nie możemy upolować zwierzyny. Od wczoraj rana żywimy się korzonkami i jagodami, a i te skończyły się tu na prerii. Sądzę, że gdybyśmy was nie spotkali, musielibyśmy zginąć z głodu, spodziewam się bowiem, że wspomożecie nas kawałkiem mięsa lub czymś podobnym.

— Oczywiście, że to zrobimy. A dokąd chcecie się dostać?

— Do fortu Rondall.

— Czy znacie drogę?

— Nie, ale zdaje nam się, że obraliśmy mniej więcej dobry kierunek.

— To prawda. Jaki powód skłania was do tej podróży?

— Najuczciwszy, jaki tylko być może. Powiedziałem już, że my trzej pojechaliśmy naprzód, aby się przypatrzyć krajowi. Nasi krewni przybyli po nas i czekają na nas w forcie Rondall. Skoro się tam znajdziemy szczęśliwie, będziemy ocaleni.

— W takim razie dobrze się wam udało. My jedziemy właśnie w tym samym kierunku i pozostajemy w dobrych stosunkach z załogą fortu. Możecie się do nas przyłączyć.

— Naprawdę? Pozwolicie nam, sir?

— Naturalnie. Nie możemy was przecież zostawić tutaj w takim stanie.

— Ale czerwonoskórzy zabrali nam konie, będziemy więc musieli iść pieszo, a to przyprawi was o stratę czasu,

— To się już nie da odmienić. Usiądźcie tymczasem i odpocznijcie! Musicie przede wszystkim coś zjeść.

Rollins nie był widocznie zadowolony z takiego przebiegu sprawy, bo mruczał coś o stracie czasu i zbytecznej litości. My jednak, nie zważając na to, zsiedliśmy z koni, rozłożyliśmy się na trawie i udzieliliśmy trzem nieszczęśliwym nieco z naszych zapasów żywności. Gdy się posilili i odpoczęli, ruszyliśmy dalej w drogę, zbaczając z kierunku, w którym szli Wartonowie, z powrotem na nasz pierwotny. Nasi nowi towarzysze, uszczęśliwieni spotkaniem z nami, byliby chętnie podczas dalszej podróży z nami rozmawiali, my jednak, to jest ja i Winnetou, nie okazywaliśmy do tego ochoty.

Wobec tego starali się kilkakrotnie nawiązać rozmowę z handlarzem, ale on odprawił ich ostro, gdyż rozgniewało go to, żeśmy się z nimi spotkali. To usposobiło mnie do niego jeszcze gorzej, dlatego, w tajemnicy oczywiście, zwracałem teraz na jego zachowanie baczniejszą

niż dotychczas uwagę. Moje spostrzeżenia pouczyły mnie o czymś zupełnie innym, niż przypuszczałem z początku.

Oto w chwilach, w których mu się zdawało, że go nikt nie widzi, przemykał mu po twarzy szyderczy uśmiech czy też wyraz ukrywanego chytrze zadowolenia. Po każdym takim momencie rzucał na mnie i na Winnetou ostre, badawcze spojrzenie. To niewątpliwie miało jakieś znaczenie, może nawet zapowiadało coś dla nas niekorzystnego. Śledziłem jego ruchy coraz pilniej, starając się oczywiście nie wzbudzić w nim podejrzenia. W ten sposób zauważyłem potem jeszcze jedno.

Oto od czasu do czasu rzucał on okiem na jednego z trzech ludzi idących pieszo, a ilekroć ich spojrzenia spotykały się, zawsze szybko się z siebie ześlizgiwały. Jakby tknięty przeczuciem, zacząłem dopatrywać się w tym jakiegoś tajnego porozumienia. Czyżby ci czterej znali się wzajemnie? Czy odpychające zachowanie handlarza mogło być tylko udane?

Ale w jakim celu oszukiwałby nas? Ze strony zaś tamtych trzech nie należało się też chyba niczego obawiać, bo winni nam byli wdzięczność? Lecz to mnie jeszcze nie uspokoiło, gdyż mogłem się mylić.

Wątpliwości moje spotęgowały się jeszcze bardziej, gdy okazało się, że uczucia, zapatrywania i myśli Winnetou były zgodne z moimi. Kiedy bowiem zastanawiałem się nad tym, co właśnie zauważyłem, Winnetou zatrzymał konia, zsiadł i rzekł do starego Wartona:

— Mój biały brat szedł już dość długo. Niech teraz wsiądzie na mego konia.. Old Shatterhand także chętnie użyczy swego. My umiemy bardzo prędko chodzić i dotrzymamy koniom kroku.

Warton udawał z początku, że nie chce skorzystać z tej przysługi, ale przyjął ją w końcu, a syn jego wsiadł na mojego konia. Handlarz powinien był właściwie dać swego bratankowi Wartona, ale tego nie uczynił. Z tego też powodu młody Warton musiał potem odstąpić konia swemu stryjecznemu bratu.

Ponieważ szliśmy teraz pieszo, przeto nie wpadało to w oko, że trzymaliśmy się nieco w tyle. Zostaliśmy tak daleko, że tamci nie mogli naszych słów dosłyszeć, a z ostrożności mówiliśmy oczywiście językiem Apaczów.

— Mój brat użyczył konia nie z litości, lecz z innego powodu! — rzekłem do Winnetou.

— Old Shatterhand odgadł — odpowiedział Apacz.

— Czy Winnetou przypatrzył się dobrze tym ludziom?

— Widziałem, że Old Shatterhand nabrał podejrzenia, dlatego miałem także oczy otwarte. Ale już przedtem zastanowiły mnie różne rzeczy.

— Co?

— Może mój brat odgadnie.

— Bandaże?

— Tak. Jeden obwiązał sobie głowę, a drugi trzyma rękę na temblaku. Te uszkodzenia mają pochodzić z wczorajszego spotkania z Siuksami. Czy wierzysz w to?

— Nie, Sądzę raczej, że ci ludzie wcale nie są zranieni.

— Tak też niewątpliwie jest. Od kiedy spotkaliśmy się z nimi, przejeżdżaliśmy obok dwóch strumieni, oni jednak nie zatrzymali się ani razu, aby sobie ochłodzić rany. Jeśli owe skaleczenia są zmyślone, to kłamstwem jest także napad Siuksów i ograbienie. Czy mój brat przypatrzył im się, gdy jedli?

— Tak. Nie żałowali sobie.

— Ale przecież nie jedli tak dużo ani tak łakomie jak ludzie, którzy od wczoraj żywili się tylko korzonkami i jagodami. Twierdzą też, że napadnięto na nich nad górnym Turkey River. Czy mogliby w takim razie teraz już znajdować się tutaj?

— Tego nie wiem, bo jeszcze tam nie byłem.

— W tak krótkim czasie mogliby tu przybyć tylko na koniach. Albo więc mają konie, albo nie byli nad górnym Turkey River.

— Hm! Dajmy na to, że mają konie. Czemu się tego wypierają? Komu powierzyli zwierzęta?
— Zbadamy to. Czy mój brat Old Shatterhand uważa handlarza za ich wroga?
— Nie, on udaje.
— Tak, z pewnością. Jestem o tym przekonany. On ich zna, może nawet do nich należy.
— Dlaczegoż się z tym kryje?
— Tego nie odgadniemy. O tym trzeba się dowiedzieć.
— Czy nie lepiej byłoby powiedzieć im w oczy, co o nich myślimy?
— Nie.
— Czemu?
— Bo ich skrytość może być także wywołana przyczyną, która nas nie powinna obchodzić. Ci czterej ludzie mogą wbrew naszym podejrzeniom być zupełnie uczciwi. Nie mamy prawa ich martwić przedwczesnymi zarzutami, zanim się nie przekonamy, że to źli ludzie.
— Hm! Mój brat Winnetou zawstydza mnie swoją delikatnością.
— Czy Old Shatterhand chce mnie za to zganić?
— Nie. Winnetou wie, że daleki jestem od tego.
— Howgh! Nie należy nikomu robić przykrości, dopóki się nie jest pewnym, że na to zasłużył. Lepiej doznać krzywdy aniżeli się jej dopuścić. Niech się mój brat Old Shatterhand namyśli! Czy handlarz ma jakiś powód do tego, żeby knuć coś złego przeciwko nam?
— Bynajmniej. Wypadałoby mu raczej zachowywać się względem nas przyjaźnie.
— Ja także tak sądzę. On chce zobaczyć nasz towar a pan jego ma z Old Firehandem zawrzeć korzystną transakcję. Nie doszłoby jednak do tego, gdyby się nam po drodze stało coś złego, gdyż w takim razie nie dowiedziano by się nigdy, gdzie się znajduje Old Firehand ze swoimi skarbami. Gdyby więc nawet handlarz nosił się z wrogimi zamysłami przeciw nam, to dopóki nie obejrzy towaru, nie mamy powodu się go obawiać. Czy mój brat zgadza się ze mną?
— Tak.
— A ci trzej, którzy się przedstawiają jako napadnięci osadnicy...
— Nie są nimi.
— Oczywiście.
— Czym więc są w takim razie?
— To w tej chwili obojętne. Dopóki jesteśmy w drodze, nie grozi nam nic złego z ich strony.
— Ale może gdy znajdziemy się, z nimi razem w „warowni”?
— Uffi — uśmiechnął się Winnetou. — Mój brat Shatterhand wpadł znowu na tę samą myśl, co i ja!
— Nic w tym dziwnego. To przypuszczenie bardzo łatwe, a inne jest prawie wykluczone.
— Że wszyscy czterej są handlarzami z jednej spółki?
— Tak. Corner powiedział wczoraj, że pedlar Bourton zatrudnia czterech pracowników. Może ten rzekomy stary Warton nazywa się Bourton? Oba nazwiska brzmią podobnie. Był w pobliżu osady Cornera, a pomocnik Rollins wychodził w nocy. Mógł zawiadomić swojego pana o dobrym interesie, który się nadarza, a ten przyłączył się do nas po drodze z dwoma innymi pomocnikami. .
— Ale w jakim celu? W dobrym, czy złym? Jak sądzi mój biały brat?
— Hm, myślę, że w złym. Czyżby Bourton chciał się do nas dostać pod fałszywym nazwiskiem tylko po to, by ocenić towary? Dlaczego nie miałby się przyznać, że jest pedlarem i właścicielem przedsiębiorstwa? Poza tym byłoby to zupełnie zbyteczne, gdyż pomocnik sam mógłby się podjąć oceny.
— Słusznie. Pozostaje więc tylko to jedno, że ci trzej chcą się dostać do nas wraz z Rollinsem, aby zobaczyć futra, a potem zabrać je bez zapłaty.
— A więc zamiarem ich jest grabież, a może nawet mord?
— Tak.

— Ja także tak sądzę.

— Wobec tego mamy do czynienia ze złymi ludźmi! Po drodze jednak nie potrzebujemy jeszcze się ich bać.

Nic nam się nie stanie. Na zbrodnię zdecydują się dopiero wówczas, gdy wszyscy czterej znajdą się w „warowni".

— A to trzeba im uniemożliwić. Rollinsa musimy z sobą wziąć; tego już się nie da uniknąć, ale z tamtymi rozstaniemy się w stosownym czasie. Zasłonimy się tym, że oni zdążają do fortu do swoich rodzin. Mimo to w dalszej podróży należy zachować wszelką ostrożność. Wyobrażamy sobie wprawdzie, że utrafiliśmy w sedno, ale możemy się mylić. Musimy ich obserwować nie tylko w dzień, lecz i w nocy.

— Tak zrobimy. Trzeba bowiem być na to przygotowanym, że w pobliżu znajduje się ciągle ktoś z ich końmi. Gdy jeden z nas będzie spał, drugi będzie czuwał, gotów w każdej chwili do walki, ale tak, żeby ci ludzie nic nie zauważyli.

Tak to podzieliliśmy się naszymi spostrzeżeniami. Winnetou z wrodzoną sobie bystrością domyślił się prawie wszystkiego. Prawie... Gdybyśmy bowiem przeczuli, na czym polegało istotne sedno sprawy, nie wiem, czy zdołalibyśmy zachować ten choćby zewnętrzny spokój i ukryć przed towarzyszami nasze wzburzenie.

Po południu nie odebraliśmy im koni, chociaż chcieli nam je kilkakrotnie oddać. Gdy wieczór zapadł, bylibyśmy się najchętniej rozłożyli obozem na odkrytej prerii, gdzie łatwo spostrzec, gdy się ktoś zbliża. Tymczasem jednak zerwał się wiatr z deszczem i musieliśmy wyruszyć dalej, aby się dostać do najbliższego lasu. Tam na skraju rosły wysokie, gęsto pokryte liściem drzewa, tak że korony ich chroniły nas przed deszczem. Dla tej wygody zaryzykowaliśmy niebezpieczeństwo, które nam mogło grozić jeszcze tego samego dnia. Postanowiliśmy jednak na wszelki wypadek zachowywać jeszcze większą ostrożność.

Nasz prowiant był obliczony tylko na dwie osoby. Rollins jednak miał większe zapasy, na razie więc jego żywność musiała wystarczyć dla nas wszystkich. Cośkolwiek jeszcze zostało, ale postanowiliśmy postarać się o zwierzynę.

Po jedzeniu należało właściwie położyć się spać, ale towarzysze nasi nie mieli jakoś na to ochoty. Rozmawiali z wielkim zajęciem, chociaż zakazaliśmy im głośnej gadaniny. Nawet Rollins zrobił się rozmowny i opowiadał o przygodach, które przeżył podczas swoich handlowych podróży. Wobec tego ani ja, ani Winnetou nie mogliśmy zasnąć, lecz musieliśmy czuwać, pomimo że nie braliśmy udziału w rozmowie. Rozmowa ta zresztą nie wydała mi się przypadkowa, lecz jak gdyby prowadzona naumyślnie w ten sposób. Czyżby przez to chcieli odwrócić nasza uwagę? Spojrzałem na Winnetou i dostrzegłem, że myślał zapewne to samo, gdyż trzymał całą broń, nawet nóż, w pogotowiu i rozglądał się na wszystkie strony. Zauważyłem to oczywiście tylko ja, znając go dobrze. Zamknął bowiem prawie zupełnie powieki, jak gdyby spał, przez rzęsy jednak śledził wszystko jak najdokładniej. Ja czyniłem oczywiście to samo.

Po pewnym czasie deszcz ustał, a siła wiatru znacznie zmalała. Wobec tego przenieślibyśmy chętnie obóz na otwarte miejsce, ale na to nie zgodziliby się nasi towarzysze, musieliśmy więc zostać w lesie.

Ognisko się nie paliło. Okolica, w której się znajdowaliśmy, należała do nieprzyjacielskich plemion Siuksów, a to dało nam wystarczający pretekst do tego, żeby nie pozwolić na rozpalenie ogniska. Ogień mógł nas zdradzić nie tylko przed czerwonoskórymi, lecz także przed sprzymierzeńcami naszych towarzyszy. Że zaś oczy nasze przywykły do ciemności, byliśmy pewni, że nie tylko usłyszymy, lecz nawet ujrzymy, gdyby się ktoś zbliżał. Na razie nie mogliśmy nadsłuchiwać z powodu rozmowy, ale za to oczy były tym bardziej czynne.

Siedzieliśmy pod drzewami na skraju lasu z twarzami zwróconymi w gęstwinę, ponieważ przypuszczaliśmy, że gdyby nieprzyjaciel chciał nas zaskoczyć, nadszedłby stamtąd. Wkrótce wyrósł na niebie cienki sierp księżyca i rzucił łagodne, blade światło na roztaczającą się nad

nami koronę drzewa. Towarzysze prowadzili dalej rozmowę, przerywając ją tylko od czasu do czasu. Nie zwracali się wprawdzie wprost do nas, ale widać było, że starają się

zająć naszą uwagę i odwrócić ją od czego innego. Winnetou leżał wyciągnięty na ziemi, oparłszy głowę na dłoni lewej ręki. Wtem przyciągnął do siebie nieznacznie prawą nogę tak, że kolano utworzyło kąt rozwarty. Czyżby chciał dać ów słynny, nadzwyczaj trudny strzał z kolana, który opisałem już kiedyś?

Mój domysł sprawdził się. Winnetou pochwycił kolbę rusznicy i pozornie bez żadnego zamiaru, jakby dla zabawy, przyłożył lufę do uda. Rzuciłem okiem w kierunku lufy i ujrzałem pod czwartym drzewem od nas krzak, a pomiędzy jego liśćmi lekkie fosforyzujące światło, dostrzegalne tylko dla wprawnych oczu Apacza. Była to para oczu człowieka, który siedział za krzakiem i przypatrywał się nam. Winnetou chciał do niego strzelić między oczy, oparłszy rusznicę o kolano, aby uniknąć wszelkiego wpadającego w oko ruchu. Dzielny wódz Apaczów nie chybiał nawet w nocy i przy takim trudnym wystrzale. Widziałem, że przyłożył palce do cyngla, ale nie strzelił. Odjął palec, opuścił strzelbę i znowu wyciągnął nogę. Blask oczu zniknął.

— Mądra sztuka! — szepnął do mnie w języku Apaczów.

— Ktoś, komu znany jest strzał z kolana, chociażby sam nie umiał strzelać w ten sposób — odrzekłem w tym samym narzeczu.

— To była blada twarz.

— Tak. Wojownik Siuksów, którzy jedynie mogą się tu znajdować, nie otwiera oczu tak szeroko. Niewątpliwie nieprzyjaciel jest w pobliżu.

— Ale przekonał się, że wiemy o jego obecności.

— Niestety. Poznał, że chciałeś strzelić do niego, i będzie się miał na baczności!

— To mu się na nic nie przyda, bo go podejdę.

— To wielce niebezpieczne!

— Dla mnie?

— Odgadnie twój zamiar, skoro się tylko oddalisz.

— Pshaw! Udam, że idę do koni. To nie wpadnie mu w oko,

— Zdaj to lepiej na mnie, Winnetou!

— Czy mam ciebie narażać na niebezpieczeństwo, jak gdybym się sam bał? Winnetou pierwszy zobaczył oczy, jemu więc przysługuje prawo pochwycenia tego człowieka. Mój brat pomoże mi tylko oddalić się tak, żeby tamten nie domyślił się niczego.

Wobec tego zaczekałem jeszcze chwilę i zwróciłem się do towarzyszy zatopionych w rozmowie;

— Przestańcie już wreszcie! Rano wyruszamy wcześnie dalej i chcemy spać. Mr. Rollins, czy przywiązaliście dobrze swojego konia?

— Tak — odrzekł zapytany, niezadowolony z tego, że mu przeszkodziłem.

— Mój jeszcze wolny — rzekł Winnetou głośno. — Uwiążę go na prerii, żeby się trochę popasł. Czy zabrać także konia mego brata Shatterhanda?

— Proszę — potwierdziłem, aby się wydawało, iż, chodzi rzeczywiście o konie.

Winnetou podniósł się zwolna, owinął kocem i poszedł zaprowadzić konie. Wiedziałem, że położy się potem na ziemi i poczołga do lasu. Koca nie potrzebował, zabrał go tylko dlatego, żeby wprowadzić w błąd nieprzyjaciela.

Przerwaną na krótko rozmowę rozpoczęto na nowo. Z jednej strony było mi to na rękę, a z drugiej nie. Trudno mi było wprawdzie dosłyszeć, co robił Winnetou, ale za to ten, którego Apacz podchodził, nie mógł zauważyć jego zbliżania się. Spuściłem powieki, udając, że się o nic nie troszczę, w rzeczywistości jednak przypatrywałem się skrajowi lasu.

Upłynęło pięć minut, potem dziesięć, wreszcie nawet pół godziny. Zacząłem się już niepokoić o Winnetou. Wiedziałem, jak trudne jest podchodzenie w takich warunkach i jak powoli to się odbywa, gdy się ma do czynienia z nieprzyjacielem posiadającym bystre zmysły. Na-

reszcie usłyszałem kroki z tej strony, w którą udał się Apacz z końmi. Odwróciwszy lekko głowę, ujrzałem go z daleka, owiniętego znowu w koc, co świadczyło o tym, że unieszkodliwił już ukrytego nieprzyjaciela. Z ulgą w sercu odwróciłem znów głowę, czekając spokojnie, dopóki nie usiądzie obok mnie. Odgłos kroków zbliżał się coraz bardziej, wreszcie ustał tuż za mną, a jakiś obcy głos zawołał:

— A teraz tego!

Obejrzawszy się szybko, zobaczyłem wprawdzie koc, ale tym, który się nim owinął, nie był Winnetou, lecz jakiś brodacz, który mi się wydał znajomy. Powiedział owe trzy słowa i zamachnął się na mnie kolbą. Stoczywszy się błyskawicznie na bok starałem się ujść ciosu, ale było już za późno, bo napastnik dosięgnął mnie, wprawdzie nie w głowę, lecz w kark, a więc w jeszcze niebezpiecz-niejsze miejsce. Siły mnie opuściły natychmiast, a gdy dostałem jeszcze jeden cios w głowę, straciłem przytomność.

Musiałem w tym stanie przeleżeć pięć lub sześć godzin, gdyż kiedy znowu przyszedłem do siebie i po długim wysiłku zdołałem podnieść powieki, szarzał już świt. Oczy zamknęły mi się zaraz ponownie i zapadłem w jakiś dziwny stan — ni to sen, ni to jawa. Zdawało mi się, że umarłem i że przysłuchuję się z wieczności rozmowie prowadzonej nad moimi zwłokami. Nie mogłem jednak zrozumieć poszczególnych słów, dopóki nie odezwał się głos, który by mnie nawet z grobu wywołał. Słowa zaś były następujące:

— Ten pies Apacz nie chce nic powiedzieć, a tamtego zabiłem! Jaka szkoda! A tak się cieszyłem, że go dostanę w swe ręce! Chciałem mu dać podwójnie, dziesięciokrotnie odczuć, co to znaczy znaleźć się w mej mocy! Dałbym za to wiele, bardzo wiele, żebym go tylko ogłuszył, a nie zabił!

Dźwięk tego głosu po prostu rozdarł mi powieki. Wpatrzyłem się w tego mężczyznę — którego z powodu gęstego zarostu, jaki teraz nosił, w pierwszej chwili nie poznałem — śmiertelnie umęczonym spojrzeniem. To przerażające wrażenie będzie dla każdego zrozumiałe, gdy powiem, że zobaczyłem... Santera! Santera we własnej osobie siedzącego naprzeciwko mnie! Starałem się znów zamknąć oczy, aby nie pokazać po sobie, że żyję, ale to mi się już nie udało. Nie, nie mogłem tego zrobić, chociaż przedtem powieki same opadały mi ciężko na oczy. Patrzyłem nieustannie na Santera nie mogąc odwrócić wzroku, dopóki tego nie zauważył. Zerwał się i zawołał z promieniejącą z radości twarzą:

— On żyje, żyje! Czy widzicie, że otworzył oczy? Zobaczymy zaraz, czy się mylę, czy nie.

Zwrócił się do mnie z zapytaniem, a gdy nie odpowiedziałem mu od razu, ukląkł obok mnie, porwał za kołnierz i zaczął mną szarpać na wszystkie strony tak, że głowa moja uderzała o kamienie, których było tu pełno. Nie mogłem się bronić, gdyż byłem cały bardzo silnie skrępowany. Równocześnie Santer ryczał:

— Czy będziesz odpowiadał, psie! Widzę, że żyjesz, że jesteś przytomny, że możesz mówić. Jeśli będziesz dalej milczał, to ja ci usta otworzę!

Podczas tego szarpania na różne strony, głowa moja znalazła się przez chwilę w takim położeniu, że mogłem rzucić okiem w bok. Ujrzałem Winnetou leżącego na ziemi i związanego w kabłąk. Położenie takie sprawiałoby wielki ból nawet cyrkowemu akrobacie. Co on musiał wycierpieć! Kto wie, czy już od kilku godzin nie był tak nieludzko skrępowany. Zobaczyłem także rzekomego Wartona z jego synem i bratankiem. Rollinsa nie było między nimi.

— Będziesz więc mówił? — krzyknął Santer groźnie. — Czy mam ci język nożem rozwiązać? Chcę wiedzieć, czy mnie znasz, czy wiesz, kto jestem, i czy słyszysz, co mówię!

Dalsze milczenie na nic by się nie przydało, lecz nawet pogorszyłoby nasze położenie. Już choćby ze względu na Winnetou nie należało okazywać uporu. Nie byłem oczywiście pewny, czy zdołam mówić. Spróbowałem jednak; próba się udała, jakkolwiek mówiłem jeszcze słabym i bełkotliwym głosem:

— Poznaję was. Jesteście Santer.

— Tak, tak! Więc mnie poznajesz? — śmiał mi się szyderczo w oczy. — Ogromnie się chyba cieszysz? Jesteś zachwycony moim widokiem tutaj? Wspaniała, niezrównana, radosna niespodzianka! Nieprawdaż?

Zawahałem się z odpowiedzią na to złośliwe pytanie, on zaś wydobył nóż, przyłożył mi ostrze do piersi i zagroził:

— Czy potwierdzisz natychmiast głośno moje pytanie? Bo w przeciwnym razie wbiję ci nóż w piersi!

Wtem Winnetou, pomimo swego bólu, rzucił mi przestrogę:

— Mój brat Old Shatterhand nie potwierdzi tego, lecz raczej da się zakłuć nożem!

— Milcz, psie! — ryknął nań Santer. — Jeśli wymówisz jeszcze słowo, to naciągniemy ci pęta tak mocno, że ci kości popękają. A zatem, Old Shatterhandzie, mój przyjacielu, którego kocham z całego serca, prawda, że jesteś zachwycony moim widokiem?

— Tak — odrzekłem głośno i pewnie mimo przestrogi Apacza.

— Czy słyszycie? Słyszeliście? — skrzywił się w uśmiechu Santer do towarzyszy. — Old Shatterhand, ten sławny, niezwyciężony Old Shatterhand z obawy przed moim nożem jak mały chłopak przyznaje, iż raduje się z widoku mojej osoby!

Czy poprzedni mój stan nie był tak zły, jak przypuszczałem, czy też szyderstwo tego łotra wywołało we mnie taką zmianę, dość że głowa przestała mnie boleć, jak gdybym nigdy nie dostał uderzenia kolbą, i zupełnie pewny siebie odrzekłem, śmiejąc mu się w oczy:

— Mylicie się grubo. Nie powiedziałem „tak" ze strachu przed waszym nożem.

— Nie? A dlaczegoż?

— Bo to jest prawda. Cieszę się istotnie, że was znów widzę po tak długiej rozłące.

Jakkolwiek śmiałem się przy tym, odpowiedź moja nie brzmiała bynajmniej ironicznie lub szyderczo, lecz poważnie i z takim wyrazem prawdy, że go to zastanowiło. Cofnął głowę, podniósł brwi, popatrzył na mnie przez kilka chwil badawczo, po czym rzekł:

— Jak? Co? Czy dobrze słyszę? Czy moje uderzenia tak wstrząsnęły ci mózg, że majaczysz? Ty cieszysz się rzeczywiście?

— Naturalnie! — potwierdziłem.

— Do wszystkich diabłów! Gotów bym przypuścić, że ten drab nie żartuje!

— Mówię całkiem poważnie!

— Wobec tego zwariowałeś, zupełnie zwariowałeś!

— Ani mi się śni! Jestem przy zdrowych zmysłach, jak zwykle zresztą.

— Naprawdę? W takim razie to zuchwalstwo, bezczelne zuchwalstwo, jakiego jeszcze w życiu nie spotkałem! Człowiecze, ja cię związę w kabłąk tak jak Winnetou i powieszę na drzewie głową na dół, tak że ci krew tryśnie wszystkimi otworami.

— Tego nie zrobicie!

— Z jakiegoż to powodu miałbym tego nie uczynić?

— Jest on wam tak dobrze wiadomy, że ja nie potrzebuję go wam podawać.

— Oho! Nie znam takiego powodu. — Pshaw! Mnie nie oszukacie. Powiesicie mnie! Za dziesięć minut skonam, a wy nie dowiecie się nigdy tego, czego chcieliście się ode mnie dowiedzieć.

Poznałem po nim, że trafiłem w sedno. Spojrzał na Wartona, potrząsnął głową i ciągnął dalej:

— Zdawało nam się, że ten łajdak nie żyje, a tymczasem on nawet przytomności nie stracił, gdyż słyszał wszystkie moje pytania zadane Winnetou, na które ta przeklęta czerwona skóra nie odezwała się ani słowem.

— Mylicie się znowu. Byłem rzeczywiście ogłuszony — odpowiedziałem — ale Old Shatterhand ma dość oleju w głowie, aby was przejrzeć na wylot.

— Tak? Wobec tego może mi powiesz, czego chcę się od was dowiedzieć!

— Dajcie pokój tym dziecinnym niedorzecznościom!

Nie dowiecie się o niczym. Przeciwnie, powiadam wam, że cieszę się tym spotkaniem nadzwyczajnie. Tęskniliśmy za wami tak długo i nadaremnie, że teraz radość nasza musi być szczera i bardzo serdeczna. Mamy więc was nareszcie!

Santer wpatrywał się we mnie przez długą chwilę jak urzeczony, potem cisnął mi przekleństwo nie do powtórzenia i krzyknął;

— Łotrze, bądź zadowolony, że cię uważam za obłąkanego, gdyż jeślibym wiedział, że mówisz tak przy zdrowych zmysłach i z pełną świadomością znaczenia swych słów, przekonałbym cię tysiącem męczarni, że nie pozwalam z sobą żartować. Pobłażam ci zatem i chcę spokojnie z tobą pomówić. Jeśli jednak nie będziesz odpowiadał szczerze i dobrowolnie, to spodziewaj się takiej śmierci, jaką nikt jeszcze dotychczas nie umarł!

Usiadł przede mną i spoglądał przez chwilę w dal w zamyśleniu, a potem podjął na nowo badanie:

— Obydwaj uważacie siebie za nadzwyczajnie mądrych, za najmędrszych na całym Dzikim Zachodzie, ale jacy głupi, jacy nieskończenie głupi jesteście w istocie! Winnetou poszedł za mną! Czy mnie pochwycił? Każdy inny na jego miejscu nie pokazałby się ludziom ze wstydu! A teraz, czy przyznasz, że wczoraj wieczorem widzieliście moje oczy?

Potwierdziłem to pytanie.

— Winnetou chciał do mnie strzelić?

— Tak jest,

— Spostrzegłem to i zniknąłem natychmiast. Wtedy on odszedł, aby mnie podejść. Prawda?

— Najzupełniejsza!

— Mnie podejść, cha! cha! cha! Wszak wiedziałem, że mnie spostrzeżono, każde dziecko powiedziałoby to sobie. Aby się mimo to pokusić o podejście mnie, na to potrzeba bezdennej głupoty! Zasłużyliście rzeczywiście na baty. Zamiast on mnie, podszedłem ja jego i powaliłem jednym uderzeniem kolby. Następnie wziąłem na siebie jego koc i zabrałem się do ciebie. Co sobie pomyślałeś ujrzawszy mnie zamiast Apacza?

— Ucieszyłem się tym.

— Czy i cięgami, które dostałeś? Chyba nie! Daliście się wystrychnąć na dudków jak ośmioletni chłopcy, których nawet nie można wyśmiać, lecz raczej żałować należy. Teraz znajdujecie się całkowicie w naszej mocy i nie ma dla was ocalenia, jeśli mnie nie ogarnie łagodniejsze uczucie. Nie jest wykluczone, że będę skłonny do pobłażliwości, ale tylko w jednym wypadku — jeżeli dasz mi szczere wyjaśnienia. Przypatrz się tym trzem mężczyznom! To są moi ludzie. Wysłałem ich, by was wywiedli w pole. Za kogo nas teraz uważasz?

Kim i czym on był, tego nie tylko domyślałem się teraz, lecz wiedziałem całkiem dokładnie, ale rozwaga nie pozwoliła mi wyznać tego otwarcie. Powiedziałem więc tylko tyle:

— Łotrem byliście zawsze i jesteście nim do dzisiaj. To przekonanie mi wystarcza.

— Pięknie! Powiem ci teraz jedno. Na razie przyjmuję spokojnie te obelgi, ale gdy rozmowa nasza się skończy, nastąpi kara. Zapamiętaj to sobie! Przyznam ci się najpierw bez ogródek, że wolimy zbierać aniżeli siać. Siew jest tak męczący, że pozostawiamy go innym; gdzie jednak znajdziemy zbiór, nie wymagający wiele trudu, korzystamy z niego czym prędzej i nie pytamy o to, jak zapatrują się na to ludzie, do których należy pole. Tak postępowaliśmy dotychczas i tak będziemy postępować dalej, dopóki nie zaspokoimy naszych pragnień.

— A kiedy to nastąpi?

— Może nawet wkrótce. Oto w pobliżu jest pole z pełnym, dojrzałym plonem, który chcemy zebrać. Jeśli nam się to uda, to osiągniemy nasz cel.

— Gratuluję! — rzekłem z przekąsem.

— Dziękuję — odpowiedział on tak samo. — Ponieważ nam gratulujesz, a więc dobrze nam życzysz, przeto sadzę, że nam pomożesz znaleźć to pole.

— Ach, więc nie wiecie nawet jeszcze, gdzie ono leży? — Nie. Wiemy tylko, że niedaleko stąd.

— To źle.
— Pociesza nas to, że od ciebie dowiemy się o położeniu tego pola.
— Bardzo wątpię, czy się wam to uda.
— Rzeczywiście?
— Tak.
— Czemu?
— Bo ja nie znam pola, które by się nadawało dla was.
— Żartujesz!
— Mówię całkiem poważnie!
— To ja pomogę twej pamięci. Nie idzie tu o pole w zwyczajnym tego słowa znaczeniu, lecz o schowek, który chcielibyśmy wypróżnić.
— Jaki schowek?
— Skór i futer.
— Hm! I ty utrzymujesz, że ja o nim wiem?
— Tak.
— Mylisz się prawdopodobnie.
— O nie. Wiem, jak sprawy stoją. Przyznasz, że byliście u starego Cornera nad Turkey River?
— Byliśmy.
— Czego chcieliście od niego?
— Odwiedziliśmy go bez żadnego zamiaru.
— Nie próbuj mnie wywieść w pole! Spotkałem się z Cornerem po waszym odejściu i dowiedziałem się, kogo szukaliście u niego.
— No, kogo?
— Pedlara nazwiskiem Bourton.
— To stary niepotrzebnie powiedział!
— Oczywiście, ale w każdym razie powiedział. Pedlar miał od was kupić bardzo wiele futer.
— Od nas?
— Nie tyle od was, ile od Old Firehanda, który stoi na czele całej grupy traperów i zgromadził ogromny zapas futer.
— Do stu piorunów! To dobrze was pouczono o wszystkim!
— Prawda? — zaśmiał się złośliwie, nie zważając na
mój ironiczny ton. — Nie zastaliście pedlara, tylko jego pomocnika i zabraliście go z sobą. Ruszyliśmy czym prędzej za wami, by pojmać was i jego, ale ten drab, nazwiskiem Rollins, jak mi się zdaje, uciekł nam niestety, kiedy byliśmy wami zajęci.

Nawykły do uważania na wszystko, nawet na najmniejszy drobiazg, dostrzegłem, że mówiąc to zerknął tam, gdzie zobaczyliśmy wczoraj jego oczy. To spojrzenie rzucił mimo woli, nieumyślnie i nieświadomie, toteż zwróciło moją uwagę. Czyżby ten krzak pozostawał w związku z tym, co mówił, a zatem z Rollinsem? Postanowiłem to wybadać, ale nie zwracałem jeszcze oczu w tę stronę, aby Santer tego nie zauważył. Tymczasem on mówił dalej:

— Ale to nic nie szkodzi, gdyż Rollinsa nam nie potrzeba. skoro mamy was. Znacie Old Firehanda?
— Oczywiście.
— I jego schowek?
— Również.
— Ach, cieszy mnie niezmiernie, że przyznajecie się do wszystkiego tak ochoczo!
— Pshaw! Dlaczego miałbym się wypierać czegoś, co jest prawdą?
— Well! Wobec tego przypuszczam, że ułatwicie mi bardzo całą sprawę.
— Spodziewacie się tego istotnie?

— Tak, gdyż uznacie to chyba sami, że najlepszą dla was rzeczą jest powiedzieć mi o wszystkim.

— O ile najlepszą?

— O tyle, że ulżycie przez to swojemu losowi.

— Co wy nazywacie właściwie naszym losem?

— Śmierć. Wy znacie mnie, a ja znam was. Wiemy bardzo dobrze, w jakim stosunku do siebie pozostajemy. Kto z nas dostanie się w ręce drugiego, ten przepadł i musi zginąć. Pochwyciłem was, a więc już jest po was. Idzie tylko o to, jaki będzie ten koniec. Zawsze marzyłem o tym, żeby z rozkoszą zadręczyć was powoli na śmierć, teraz jednak, ponieważ chodzi mi o schowek Old Firehanda, porzuciłem te surowe zamiary.

— Czegóż od nas żądacie w zamian za obiecaną łagodność?

— Powiecie mi, gdzie się ten schowek znajduje, i opiszecie mi go dokładnie.

— A co otrzymamy za to?

— Szybką śmierć. Dostaniecie kulą w łeb!

— Bardzo pięknie! To dowodzi, że macie wprawdzie czułe serce, ale nie macie rozumu.

— Jak to?

— Aby zginąć lekką i szybką śmiercią, na to wystarczy nam opisać jakiekolwiek bądź miejsce, a wcale niekoniecznie to, na którym wam zależy.

— W takim razie uważacie mnie za bardziej nieostrożnego, aniżeli w rzeczywistości jestem. Już ja się tak zabiorę do rzeczy, że wydobędę z was potrzebne wiadomości. Przedtem jednak muszę wiedzieć, czy jesteście skłonni zdradzić mi położenie tego miejsca.

— Zdradzić — to jest istotnie właściwe słowo. Pamiętajcie jednak o tym, że Old Shatterhand nie jest zdrajcą. Widzę, że Winnetou także wam nie był posłuszny, może nawet nie dał wam żadnej odpowiedzi, gdyż jest za dumny na to, aby mówić z takimi opryszkamj jak wy. Ja jednak mówiłem z wami z pewnym zamiarem.

— Zamiarem? A to jakim?

Przy tym zapytaniu spojrzał mi w twarz z wielkim zaciekawieniem.

— To dla was teraz obojętne. Dowiecie się o tym później i beze mnie.

Santer odzywał się dotychczas stosunkowo uprzejmiej, a nadto wyrażał się już nie przez „ty", lecz „wy". Teraz zaś wybuchnął znowu gwałtownie:

— A więc i ty się chcesz wzbraniać?

— Rozumie się.

— I nic nie powiedzieć?

— Ani słowa!

— W takim razie zwiążemy ciebie tak samo w kabłąk jak Winnetou.

— Nic nie mam przeciwko temu.

— I zamęczymy was na śmierć!

— To wam się na nic nie przyda.

— Tak sądzisz? A ja ci powiadam, żs schowek w każdym razie znajdziemy!

— Chyba przez ślepy przypadek, ale wtedy będzie za późno. Jeśli bowiem nie wrócimy do pewnego czasu, Old Firehand nabierze podejrzenia i opróżni schowek. Tak się z nim umówiliśmy.

Opryszek patrzył przed siebie w ponurym zamyśleniu, bawiąc się przy tym nożem, co jednak nie było już w tej chwili dla mnie niebezpieczne. Przejrzałem go i jego podwójny plan. Pierwsza połowa się nie udała, musiał więc przystąpić do drugiej. Usiłował nie okazać swojego zakłopotania, lecz bezskutecznie. Sprawa przedstawiała Się następująco:

Santer chciał pozbawić nas życia i zarazem zabrać skarby Old Firehanda, ale te ostatnie posiadały dlań większą wartość aniżeli zaspokojenie nienawiści do nas. Byłby nas nawet wypuścił, byleby pozyskać skarby, gdyby się inaczej nie dało. Toteż bez uczucia trwogi, a nawet niepokoju, czekałem na to, co nastąpi. Nareszcie podniósł Santer znowu głowę i zapytał;

— Nie zdradzisz mi więc nic?
— Nie.
— A jeśli natychmiast przypłacicie to życiem?
— Tym bardziej nie, gdyż szybka śmierć jest daleko lepsza od śmierci pełnej mąk.
— Well! Ja cię jeszcze zmuszę do posłuszeństwa! Zobaczymy, czy masz ciało tak samo nieczułe jak Apacz.

Dał znak trzem swoim towarzyszom. Ci wstali, dźwignęli mnie z ziemi i zanieśli tam, gdzie leżał Winnetou. Przy tej sposobności udało mi się spojrzeć w tę stronę, gdzie zobaczyliśmy wczoraj oczy Santera. Mój domysł był słuszny: tam bowiem leżał ukryty człowiek. Aby zobaczyć, co się ze mną dzieje, człowiek ów wysunął nieco głowę spomiędzy gałęzi i wydało mi się, że poznaję twarz Rollinsa.

Krótko mówiąc, związali mnie także w kabłąk. Tak leżeliśmy obaj z Winnetou przez pełne trzy godziny, nie rzekłszy do siebie ani słowa, nie okazawszy naszym prześladowcom ani śladu bólu, nie zdradziwszy cierpienia ani jednym głębszym westchnieniem, ani jednym skrzywieniem twarzy. Co kwadrans podchodził do nas Santer i pytał, czy wskażemy mu drogę do schowka Old Firehanda, ale nie dostawał żadnej odpowiedzi. Wyglądało to tak, jak gdyby chodziło o to, kto ma więcej cierpliwości — on czy my. Winnetou znał i rozumiał oczywiście nasze położenie tak samo jak ja.

Wtem około południa po jednym z owych daremnych zapytań Santer usiadł obok swoich trzech towarzyszy i zaczął się z nimi po cichu naradzać. Po krótkiej rozmowie rzekł tak głośno, żeśmy to usłyszeli:

— Ja także sądzę, że pewnie ukrywa się gdzieś w pobliżu, ponieważ nie udało mu się zabrać z sobą konia. Przeszukajcie raz jeszcze dobrze tę okolicę! Ja zostanę tu, aby pilnować jeńców.

Santer miał na myśli Rollinsa, a to, że mówił o tym głośno, sprawiło, że przejrzeliśmy od razu jego zamiar. Chcąc rzeczywiście schwytać kogoś w pobliżu, nie mówi się o tym tak, żeby to doszło do uszu szukanego. Wszyscy trzej oddalili się wziąwszy ze sobą broń. Wtedy Winnetou szepnął do mnie z cicha:

— Czy mój brat się domyśla, co się teraz stanie?
— Tak.
— Złapią Rollinsa i sprowadzą tutaj.
— Na pewno. Udają, że to ich wróg, a potem się okaże, że to dobry znajomy Santera. On zapewne wstawi się za nami.
— A Santer zgodzi się po długim wahaniu i puści nas wolno. Zrobią zupełnie tak, jak się to dzieje w wielkich wspaniałych domach bladych twarzy, zwanych teatrami.
— Santer jest oczywiście owym pedlarem, który się zwie teraz Bourton, a Rollins miał nas oddać w jego ręce. Jeśli jednak nie zdradzimy schowka Old Firehanda, będą musieli nas uwolnić, aby potem udać się potajemnie za nami i znaleźć w ten sposób schowek. W tym celu Rollins nie został tutaj, lecz pozornie uciekł, aby go potem mogli schwytać i dać mu sposobność wstawienia się za nami.
— Mój brat myśli zupełnie tak samo jak ja. Gdyby Santer był mądry, obszedłby się bez tego wszystkiego. Kazałby Rollinsowi pójść z nami, a potem dowiedziałby się od niego, gdzie szukać Old Firehanda i nas razem z nim.
— Santer działał zbyt szybko. Znajdował się pewnie u Siuksów Okananda, kiedy chcieli obrabować osadę Cornera. Jest ich sprzymierzeńcem, a Rollins, jego pomocnik, wziął na siebie rolę szpiega. Usłyszawszy, kim jesteśmy, doniósł o tym Santerowi, a ten widząc, że Siuksowie nie mogą nam zrobić krzywdy, postanowił sam na nas napaść. Rollins pojechał z nami, a tamci trzej pomocnicy musieli pójść naprzód piechotą, za nimi zaś zdążał Santer z końmi. Plan ten powzięli zbyt pospiesznie i bezmyślnie, upojeni nadzieją, że nas wkrótce schwytają.. Nie obliczyli się z tym, że nie jesteśmy na tyle podli, żeby wydać schowek Old Firehanda. Ponieważ zaś chcą koniecznie go znaleźć i ograbić, muszą naprawić popełniony błąd wypusz-

czając nas i potajemnie podążając za nami. Bardzo dobrze się stało, że nie wyjawiliśmy Rollinsowi miejsca schowka.

Powiedzieliśmy sobie to wszystko, nie poruszając prawie wargami, tak że Santer nic nie zauważył. Siedział zresztą na pół odwrócony od nas i nasłuchiwał w stronę lasu. Po pewnym czasie rozległ się tam jeden okrzyk, w chwilę później drugi, na który odpowiedziały jeszcze dwa głosy. Potem usłyszeliśmy głośny wrzask, zbliżający się szybko, a w końcu ujrzeliśmy trzech Wartonów prowadzących Rollinsa, który się na pozór opierał.

— Prowadzicie go? — zawołał do nich Santer zrywając się z ziemi. — Czy nie powiedziałem, że się jeszcze gdzieś w pobliżu znajduje? Zaprowadźcie tego draba do tamtych dwóch jeńców i związcie w kabłąk, jak...

Urwał nagłe, poruszył się jakby pod wpływem wielkiej niespodzianki i mówił dalej, jąkając się z radości:

— Co... co... cooo? Kto... kto to? Czy dobrze widzę, czy też to tylko podobieństwo?

Rollins udał również uradowanego, wyrwał się tamtym trzem podbiegł do Santera i zawołał:

— Mr. Santer! To wy? Czy to być może? O, teraz już wszystko dobrze, nic mnie złego nie spotka.

— Oczywiście, nic złego wam stać się nie może! A więc ja się nie mylę, wy jesteście Rollins! I to was postanowiłem pochwycić! Kto by przypuszczał, że jesteście identyczni z tym człowiekiem! Służycie więc teraz u pedlara Bourtona?

— Tak, mr. Santer. Różnie mi się dotąd powodziło, ale teraz jestem zadowolony. Właśnie uśmiechała mi się sposobność zrobienia doskonałego interesu, lecz niestety wczoraj wieczorem nas...

Wtem przerwał. Obaj potrząsnęli sobie ręce jak przyjaciele, którzy się dawno nie widzieli. Naraz zrobił Rollins zdumioną minę, spojrzał na Santera i mówił dalej:

— Tak, ale jak to? Czy to wy napadliście na nas, mr. Santer?

— W istocie.

— Do diabła! Mój najlepszy przyjaciel, któremu kilkakrotnie uratowałem życie, napada na mnie! Jak mogliście się tak pomylić?

— Nie pomyliłem się wcale, bo w ogóle was nie widziałem. Drapnęliście przecież czym prędzej.

— To prawda. Uważałem, że najlepiej zrobię, jeśli się najpierw sam ukryję, a potem dopomogę do ucieczki tym dżentelmenom, z którymi jechałem. Dlatego nie odszedłem, lecz schowawszy się tutaj, czekałem na stosowną chwilę. Ale co ja widzę! Oni skrępowani, i to w taki sposób? To straszne! Ja nie mogę się na to zgodzić. Ja ich zaraz rozwiążę!

Z tymi słowy zwrócił się ku nam, lecz Santer pochwycił go za rękę i odrzekł:

— Stójcie, co robicie, mr. Rollins! To moi śmiertelni
wrogowie.

— Ale moi przyjaciele!

— To mnie nic nie obchodzi. Ja mam z nimi rachunek, za który zapłacą życiem. Dlatego napadłem na nich i pojmałem, nie wiedząc oczywiście, że łączy was z nimi znajomość.

— Do stu piorunów, to przykra sprawa! Wasi śmiertelni wrogowie? A jednak ja muszę im pomóc. Czy istotnie zawinili wobec was tak strasznie?

— Mógłbym im za ich postępowanie dziesięć razy nóż do gardła przyłożyć!

— Ale zważcie, kim oni są!

— Sądzicie, że ich nie znam?

— Winnetou i Old Shatterhand! Takich bohaterów nie zabija się dla byle jakiego powodu!

— Właśnie dla nich tym bardziej nie mam litości!

— Czy to wasze ostatnie słowo, mr. Santer?

— Ostatnie i nieodwołalne!

— Nawet jeśli ja się wstawię za nimi?

— Nawet wtedy.
— Przypomnijcie sobie przecież, co mi zawdzięczacie. Kilka razy życie wara ocaliłem!
— Wiem o tym dobrze i pamiętać będę przez całe życie, mr. Rollins.
— Czy wiecie, coście mi przyrzekli ostatnim razem?
— Co?
— Przysięgliście, że spełnicie każde moje życzenie, każdą prośbę.
— Hm! Zdaje mi się, że tak było.
— A jeśli teraz przedłożę wam prośbę?
— Nie czyńcie tego, bo w tym wypadku musiałbym wam odmówić, a nie chciałbym złamać danego słowa. Zostawcie to sobie na później!
— Trudno! Mam tu święte zobowiązania. Chodźcie więc, mr, Santer, i pomówmy z sobą!
Wziął go za rękę i odciągnął trochę na bok. Obaj stanęli i rozmawiali z sobą, gestykulując gwałtownie, ale my niczego nie mogliśmy zrozumieć. W sumie odegrali tę komedię dość dobrze. Dalibyśmy się nawet oszukać, gdybyśmy nie byli przekonani o czymś zupełnie innym. Potem Rollins zbliżył się do nas i rzekł;
— Mój przyjaciel Santer pozwolił mi przynajmniej ulżyć wam trochę w waszym położeniu, panowie. Widzicie i słyszycie, ile trudu sobie zadaję. Mam jeszcze nadzieję, że mi się uda uwolnić was zupełnie.
To mówiąc rozluźnił nasze więzy o tyle, że nie byliśmy już skrępowani w kabłąk, a potem powrócił do Santera, aby w dalszym ciągu wstawiać się za nami. Po dłuższym czasie podeszli ku nam obydwaj, a Santer przemówił w następujący sposób;
— Zdaje się, że sam diabeł opiekuje się wami. Dałem raz temu dżentelmenowi przyrzeczenie, na które on się teraz powołuje, nie chcąc w żaden sposób ustąpić. Dla niego popełnię największe głupstwo w mym życiu i puszczę was wolno, ale wszystko, co macie z sobą, a więc i broń, zostaje moją własnością.
Winnetou nie odpowiedział na to ani słowa i ja również.
— No? Czy zdumienie nad moją wspaniałomyślnością odjęło wam mowę?
Gdy i na to nie było odpowiedzi Rollins rzekł:
— Naturalnie, że oniemieli wobec tej łaski. Zaraz ich rozwiążę.
Sięgnął ręką do moich więzów.
— Dajcie pokój! — rzekłem. — Zostawcie te rzemienie, jak są, mr. Rollins!
— Czy diabeł was opętał? Dlaczego?
— Albo wszystko, albo nic!
— Co to znaczy?
— Po co nam wolność bez broni i mienia?
— Czy to możliwe? Czy to do pomyślenia?
— Niech sobie inni myślą inaczej. Winnetou i ja nie pójdziemy bez tego, co do nas należy. Wolimy umrzeć aniżeli rozstać się z bronią.
— Ależ, cieszcie się, że...
— Milczcie! — przerwałem mu. — Znacie już nasze zapatrywanie i nikt go zmienić nie zdoła!
— Tam do licha! Ja pragnę was ocalić, a muszę przyjąć taką odprawę!
Odciągnął znów Santera, aby się naradzić, co dalej czynić, a do tej narady powołano także Wartonów.
— Mój brat dobrze zrobił — szepnął mi Winnetou. — To pewne, że spełnią waszą wolę, gdyż sądzą, że później i tak wszystko dostaną z powrotem.
Spodziewałem się tego także. Oczywiście Santer musiał się jeszcze przez pewien czas pozornie ociągać, ale w końcu podeszli wszyscy do nas, a Santer oświadczył:
— Macie niezwykłe szczęście! Słowo dane niegdyś przeze mnie zmusza mnie dziś do czynu, który byłby szaleństwem w innym wypadku. Będziecie się ze mnie śmiać, ale przysięgam, że

to ja śmiać 'się będę na końcu. Przekonacie się o tym prędzej, aniżeli się spodziewacie. A teraz posłuchajcie, co ułożyliśmy w tej sprawie!

Zatrzymał się, aby dodać wagi swym słowom i mówił dalej:

— Puszczam was wolno tym razem i oddaję wszystko, co do was należy, ale będziecie aż do wieczora przywiązani tu do tych drzew, żebyście mogli nas ścigać dopiero jutro rano. Odjeżdżamy teraz tam, skąd przybyliśmy, i zabieramy z sobą mr. Rollinsa, aby was nie odwiązał przedwcześnie. Pozwolimy mu jednak powrócić o zmroku. Zawdzięczacie mu życie, starajcie się więc odpłacić mu za to!

Tak zakończyły się układy. Przywiązano nas do dwu drzew stojących obok siebie, a konie nasze w pobliżu, obok nas zaś położono wszystko, cośmy z sobą mieli. Ucieszyłem się niezmiernie, widząc moją broń leżącą przy mnie! Po czym cała piątka odjechała.

Zachowywaliśmy się spokojnie może z godzinę, natężając słuch na każdy szmer. Potem odezwał się do mnie Apacz:

— Oni są tu jeszcze, a ruszą za nami, skoro tylko wybierzemy się w drogę. Abyśmy ich nie widzieli, puszczą nas dopiero wieczorem. Musimy koniecznie schwytać Santera. Jak zdaniem mego brata najpewniej dałoby się to uczynić?

— W każdym razie nie należy go wabić aż do Old Firehanda.

— Oczywiście. Będziemy jechali przez całą noc i dzień i wieczorem może staniemy w „warowni". Ale przedtem się zatrzymamy. Rollins, jadąc za nami, będzie im zostawiał potajemnie znaki, za którymi oni podążą. Gdy nadejdzie odpowiedni czas, unieszkodliwimy Rollinsa i cofniemy się pewną część drogi, aby zaczekać na nich na na'szym własnym tropie. Czy mój brat Shatterhand zgadza się na ten plan?

— Najzupełniej i wydaje mi się jedynie możliwym. Santer jest pewien, że nas dostanie, a tymczasem my go dostaniemy.

— Howgh!

Winnetou wypowiedział tylko to jedno słowo, ale brzmiało w nim głębokie, nietajone zadowolenie, że ten, którego tak długo nadaremnie szukał, nareszcie wpadnie w jego ręce.

Dzień wlókł się do wieczora jak ślimak. Wreszcie się ściemniło, a wtedy usłyszeliśmy tętent kopyt końskich. Był to Rollins. Osadziwszy wierzchowca przed nami, zsiadł i rozwiązał nam pęta. Oczywiście, starał się przedstawić w najkorzystniejszym świetle, jako nasz wybawca, i wmówić w nas, jak daleko musiał jechać z Santerem. Udaliśmy, że mu wierzymy, zapewniając go zarazem o naszej wdzięczności, przy czym jednak unikaliśmy przesadnych wyrażeń. Potem dosiedliśmy koni i odjechaliśmy zwolna.

On trzymał się oczywiście za nami. Słyszeliśmy, jak dla pozostawienia bardziej wyraźnych śladów zmuszał od czasu do czasu konia do dreptania na miejscu. Kiedy później zaświecił na niebie księżyc, zauważyliśmy, że zatrzymywał się często w tyle, aby zerwać gałązkę i rzucić ją na drogę.

Rano urządziliśmy krótki odpoczynek i w południe drugi, tym razem dłuższy, bo trwający około trzech godzin. Chcieliśmy dopuścić jak najbliżej do siebie Santera, który mógł podążyć za nami dopiero rano. Następnie pojechaliśmy dalej jeszcze ze dwie godziny, dopóki nie znaleźliśmy się na połowie drogi do twierdzy. Wtedy nadszedł czas rozprawienia się z Rollinsem. Stanęliśmy więc i zsiedliśmy z koni. Niewątpliwie zdziwiło go to, bo zapytał, zeskakując z konia:

— Czemu przerywamy znowu jazdę, panowie? To już dziś po raz trzeci. Do Old Firehanda już chyba niedaleko. Czy nie lepiej byłoby od razu przebyć całą tę przestrzeń, zamiast rozkładać się tutaj na nocleg?

Milczący zwykle Winnetou odpowiedział:

— Old Firehanda nie wolno odwiedzać łotrom.

— Łotrom? Jak to wódz Apaczów rozumie?

— Sądzę, że ty nim jesteś.

— Od kiedy to Winnetou jest na tyle niesprawiedliwy i niewdzięczny, że Izy swojego wybawcę?

— Wybawcę? Czy myślałeś naprawdę, że oszukasz mnie i Old Shatterhanda? Wiemy już wszystko, wszystko. Santer to pedlar Bourton, a ty jesteś jego szpiegiem. Przez całą drogę zostawiałeś im znaki, aby mogli znaleźć nas i schowek Old Firehanda. Chcesz nas wydać Santerowi i powiadasz, że jesteś naszym wybawcą? Śledziliśmy cię tak, że tego nie zauważyłeś, ale teraz przyszedł czas na nas i na ciebie. Santer upomniał nas, żebyśmy z tobą załatwili rachunki wdzięczności. Teraz właśnie przystępujemy do tego.

To mówiąc wyciągnął rękę, by pochwycić Rollinsa, ten jednak pojął, o co chodzi, cofnął się i wskoczył błyskawicznie na siodło, aby umknąć. Równie szybko złapałem jego konia za cugle, ale jeszcze prędzej Winnetou wskoczył za nim na siodło i ujął łotra za kark. Rollins uważał mnie za niebezpieczniejszego wroga dlatego, że trzymałem jego konia, wydobył przeto dwururkowy pistolet, wymierzył do mnie i wypalił. Schyliłem się, a równocześnie Winnetou porwał za broń. Huknęły oba wystrzały, ale mnie nie dosięgły, a w następnej chwili Rollins zleciał na ziemię, zrzucony przez Winnetou z siodła. W pół minuty potem był związany i zakneblowany. Rzemieniami, którymi nas poprzedniego dnia związali, przymocowaliśmy go do drzewa, a jego konia przywiązaliśmy w pobliżu. Po pokonaniu Santera mieliśmy zamiar Rollinsa stąd zabrać. Następnie dosiadłszy znowu koni, cofnęliśmy się kawałek drogi, nie naszym tropem, lecz równolegle do niego, aż dostaliśmy się do widocznych z daleka zarośli, obok których po drugiej stronie prowadziły nasze poprzednie ślady. Santer musiał tamtędy przejeżdżać. Wprowadziwszy konie w te zarośla, usiedliśmy, aby zaczekać na tych, którzy zamierzali na nas napaść.

Spodziewaliśmy się ich z zachodu. Ku tej właśnie stronie ciągnęła się niewielka, otwarta preria, dzięki czemu mogliśmy zauważyć Santera, zanim dojechałby do naszej zasadzki. Obliczyliśmy sobie, że musi być już niedaleko za nami. Pozostawało jeszcze półtorej godziny dnia, a do tego czasu, a nawet prędzej, powinien był nas dogonić.

Odwinąwszy lassa siedzieliśmy obok siebie przez cały czas w milczeniu, gdyż znając się wzajemnie, nie potrzebowaliśmy umawiać się co do -sposobu wykonania napaści. Nie wątpiliśmy, że pochwycimy Santera l jego trzech towarzyszy.

Tymczasem minął jeden kwadrans, drugi i trzeci, a nasze oczekiwanie było daremne. Dopiero po upływie może godziny zauważyłem po południowej stronie prerii jakiś szybko poruszający się przedmiot, a równocześnie rzekł Winnetou, wskazując w tym samym kierunku:

— Uff! Jeździec po tamtej stronie.

— Zaiste, jeździec. To szczególne!

— Uff, uff! Jedzie cwałem w tę stronę, skąd ma nadjechać Santer. Czy mój brat rozpoznaje maść konia?

— Zdaje się, że to gniady, a Rollins miał konia gniadego.

— Rollins? To nie może być. Jak mógł się wyrwać? Winnetou błysnął oczyma złowrogo. Oddech mu się przyśpieszył, a lekki brąz jego twarzy znacznie pociemniał. Wnet jednak Apacz opanował się i rzekł spokojnie:

— Zaczekajmy jeszcze kwadrans.

Minął i ten czas, jeździec dawno już zniknął, ale Santer nie przybywał, Wówczas poprosił mnie Winnetou:

— Niech mój brat pojedzie szybko do Rollinsa i przyniesie mi o nim wiadomość!

— A jeżeli tymczasem te cztery draby tu nadciągną?

— To Winnetou sam ich pokona.

Wyprowadziłem konia z zarośli i pojechałem z powrotem. Przybywszy w dziesięć minut na miejsce, gdzie przywiązaliśmy Rollinsa, nie zastałem ani jego, ani konia. W ciągu następnych pięciu minut zbadałem znalezione tam ślady i powróciłem do Winnetou. Zerwał się jak sprężyna, kiedy mu powiedziałem, że Rollinsa nie ma.

— Dokąd pojechał?
— Naprzeciwko Santera, aby go ostrzec.
— Czy widziałeś ślad idący w tym kierunku?
— Tak.
— Uff! On widział, że wróciliśmy równolegle do własnego tropu, dlatego trzymał się bardziej strony południowej i okrążył nas, aby nie spotkać się z nami. Dlatego widzieliśmy go na skraju prerii. Ale jak on się wyrwał? Czy widziałeś jakieś ślady?
— Owszem. Nadjechał jakiś jeździec ze wschodu i uwolnił go.
— Kto to mógł być? Może żołnierz z frontu Rondall?
— Nie. Ślady stóp były tak wielkie, że niewątpliwie pochodzić mogły tylko od odwiecznych buciorów indiańskich naszego Sama Hawkensa. Zdaje mi się także, że w śladach konia poznałem kopyta jego Mary.
— Uff! Może jeszcze uda nam się pochwycić Santera, chociaż go ostrzeżono. Niech się mój brat Shatterhand śpieszy!

Dosiadłszy koni, popędziliśmy co tchu naszym tropem na zachód. Winnetou nie rzekł ani słowa, ale wrzała w nim burza. Po trzykroć biada Santerowi, gdyby go pojmał!

Słońce zniknęło już za widnokręgiem. W pięć minut potem preria była już za nami, w trzy minuty wjechaliśmy na trop zbiegłego Rollinsa, łączący się z naszym z lewej strony, a w trzy następne dojechaliśmy do miejsca, gdzie Rollins spotkał się z Santerem i trzema Wartonami.

Zauważyliśmy, że zatrzymali się tam tylko na kilka chwil, aby wysłuchać doniesienia Rollinsa, po czym zawrócili czym prędzej. Gdyby pojechali naszym tropem, bylibyśmy ruszyli za nimi od razu, oni jednak byli na tyle mądrzy, że zboczyli w innym kierunku, w którym nie mogliśmy niestety podążyć, gdyż zaraz się ściemniło. Winnetou zawrócił konia, nie mówiąc i tym razem ani słowa i pogalopowaliśmy z powrotem. Jechaliśmy znowu ku wschodowi, najpierw obok miejsca gdzie oczekiwaliśmy pierwotnie Santera, potem obok tego, na którym przywiązaliśmy Rollinsa, a wreszcie skierowaliśmy do „warowni". Santer uszedł nam znowu, ale czy tylko na dziś, czy na zawsze? Pościg trzeba byle rozpocząć nazajutrz rano, skoro tylko da się rozpoznać trop, a należało się spodziewać, że Winnetou podejmie tę wyprawę z całą zawziętością.

Księżyc właśnie zaszedł, kiedy dostaliśmy się w pobliże Mankicity i wjechaliśmy w parów, gdzie w zaroślach stała zazwyczaj warta. Był tam i dziś wartownik i zażądał hasła. Na nasz odzew rzekł;

— Nie bierzcie mi tego za złe, że pytałem tak ostro! Musimy dzisiaj być ostrożniejsi niż zwykle.
— Czemu? — spytałem.
— Zdaje się, że coś się święci w pobliżu.
— Co takiego?
— Nie wiem dobrze. Musiało się jednak coś stać, gdyż mały człowiek, zwany Sam Hawkens, powróciwszy do „wartowni", wygłosił długie kazanie.
— Czy on wyjeżdżał?
— Tak.
— I jeszcze ktoś z nim?
— Nie, on sam.
— A zatem słusznie się domyślałem, że sprytny zazwyczaj Sam popełnił głupstwo i uwolnił Rollinsa.

Przejechawszy przez parów i bramę skalną i znalazłszy się w „warowni", dowiedzieliśmy się najpierw, że stan zdrowia Old Firehanda znacznie się pogorszył. Nie było wprawdzie niebezpieczeństwa, wspominam jednak o tym dlatego, że z tego właśnie powodu musiałem rozłączyć się znowu z Winnetou.

Winnetou zarzucił koniowi cugle na szyję i poszedł wprost ku obozowemu ognisku, przy którym siedzieli obok Old Firenhanda Sam Hawkens, Harry i oficer z fortu Rondall. Gospodarz otulony był kocami.

— Dzięki Bogu! Jesteście! — powitał nas przytłumionym głosem. — Czy znaleźliście pedlara?

— Znaleźliśmy i straciliśmy potem — odrzekł Winnetou. — Czy mój brat Hawkens dzisiaj wyjeżdżał?

— Tak — odrzekł Sam nie przeczuwając niczego.

— Czy mały biały brat wie, czym jest?

— Westmanem, jeśli się nie mylę.

— Nie. mały brat nie jest westmanem, lecz głupcem, jakiego Winnetou jeszcze nigdy nie widział i nie zobaczy! Howgh!

Udzieliwszy w ten sposób Samowi nagany, odwrócił się i odszedł. Takie wyrażenie w ustach spokojnego zwykle i delikatnego Apacza wprawiło oczywiście wszystkich w zdumienie. Powód zrozumiano jednak łatwo, kiedy usiadłem i opowiedziałem, co się nam wydarzyło. Spotkanie Santera i jego ucieczka były wypadkiem tak ważnym, że wobec nich wszystko inne zmalało. Mały Sam odchodził od zmysłów, nadawał sobie najobelżywsze przezwiska, grzebał z furią w krzaczastym zaroście, ale pociechy nie znalazł. Zerwał sobie z głowy perukę, miął ją w najrozmaitsze kształty, lecz i to go nie u'spokoiło. W końcu rzucił się z gniewem na ziemię i zawołał:

— Winnetou ma słuszność, zupełną słuszność. Jestem największym głupcem, ostatnim greenhornem, jaki być może, i zostanę nim po ostatnie dni mego życia!

— Jakże się to mogło .stać, że ten Rollins odzyskał wolność, kochany Samie? — spytałem.

— Właśnie przez moją głupotę. Usłyszałem dwa strzały i pojechałem tam, skąd zabrzmiały. Zobaczyłem człowieka przywiązanego do drzewa, a obok konia, jeśli się nie mylę. Zapytałem go, jak się znalazł w tym położeniu, a on zaczął się skarżyć, że jest pedlarem, że jechał do Old Firehanda, ale Indianie nań napadli i przymocowali go do drzewa.

— Hm! Jeden rzut oka na ślady mógł dowieść, że obecność Indian była zmyślona.

— Słusznie mówicie, ale dziś miałem mój zły dzień, uwolniłem więc tego draba. Chciałem go tu sprowadzić, lecz on wskoczywszy na konia, popędził w przeciwnym kierunku. Zrobiło mi się nieswojo zwłaszcza z powodu Indian, o których wspomniał, dlatego przyjechawszy czym prędzej tutaj, zaleciłem ostrożność, jeśli się nie mylę. Powyrywałbym sobie wszystkie włosy po jednemu, ale ich nie mam, a jeślibym nawet popsuł sobie perukę i przeklął siebie całkowicie, to także nie naprawiłoby już niczego. Ale jutro rano znajdę trop łotra i nie spuszczę go z oka, dopóki wszystkich tych drabów nie pochwycę i nie „zdmuchnę", jakem Sam Hawkens!

— Mój brat Sam tego nie zrobi — odezwał się Winnetou, który się zbliżył tymczasem. — Wódz Apaczów sam wyruszy w ślad za mordercą. Biali bracia muszą tu wszyscy pozostać, gdyż możliwe jest, że Santer będzie jeszcze szukał „warowni", by ją ograbić. Potrzeba tu zatem do obrony mądrych i walecznych mężów.

Później, gdy się wszyscy nieco uspokoili po tym wypadku i położyli się spać, poszedłem za Winnetou, Koń jego pasł się nad wodą, on sam zaś rozciągnął się w trawie. Ujrzawszy mnie, powstał, ujął mnie za rękę i rzekł;

— Winnetou wie, z czym kochany brat Szarlih do niego przychodzi. Chciałbyś wyruszyć razem ze mną w pogoń za Santerem?

— Tak.

— Tego zrobić nie możesz. Osłabienie Old Firehanda się wzmogło, syn jego to jeszcze dziecko. Sam Hawkens się starzeje, jak to sam dzisiaj widziałeś, a żołnierzy z fortu należy uważać za obcych. Old Firehand potrzebuje cię bardziej niż ja. Ja sam, bez pomocy, popędzę za Santerem. Co by się stało, gdyby Santer, zebrawszy sobie zgrają pomocników, wtargnął

tutaj? Okaż mi swoją miłość w ten sposób, że dopilnujesz Old Firehanda! Czy spełnisz tę prośbę brata Winnetou?

Z ogromnym trudem przyszło mi zgodzić się na rozłąkę, ale Apacz nastawa! na mnie dopóty, dopóki nie ustąpiłem. Old Firehand rzeczywiście bardziej mnie potrzebował niż on. Mimo wszystko jednak postanowiłem odprowadzić przyjaciela część drogi. Gwiazda poranna świeciła jeszcze jasno, kiedy wjechaliśmy razem w las, a o świcie zatrzymaliśmy się w miejscu, skąd zawróciliśmy wczoraj z nowego tropu Santera. Bystre oko Apacza rozpoznało go jeszcze.

— Tu się pożegnamy — rzekł schylając się ku mnie z konia i obejmując mnie ręką. — Wielki Duch każe nam się rozstać, ale połączy nas znowu w swoim czasie, gdyż Old Shatterhand i Winnetou nie mogą żyć z dala od siebie. Mnie pędzi nieprzyjaźń, a ciebie zatrzymuje tu przyjaźń. Ale miłość znowu mnie z tobą połączy. Howgh!

Pocałował mnie, krzyknął donośnie na konia i popędził tak, że jego długie, wspaniałe włosy powiewały jak grzywa. Patrzałem za nim, dopóki nie zniknął mi T. oczu.

Czy dopędzisz wroga? I kiedy cię znów zobaczę, mój drogi, kochany Winnetou?...

KONIEC TOMU DRUGIEGO